PRZEGLĄD

POWSZECHNY.

BŁOGOSŁAWIONY LUD, KTÓREGO PANEM BÓG JEGO.
Ps. 143.

ROK DWUDZIESTY ÓSMY. — TOM CIX.

STYCZEŃ, LUTY, MARZEC.

1911.

KRAKÓW.
DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI.
1911.

DOM POLSKI.

Nieraz przychodziło mi na myśl, że ten sam indywidualizm polski, który przyczynił się tak przeważnie do upadku państwa, uchronił jednak od zagłady nasz naród. W tym gmachu, który zwał się Rzeczpospolitą Polską, źle powiązane cegły żyły własnem życiem i gdy gmach runął — żyć nie przestały. Mocarstwa, które podzieliły między siebie kraje polskie, nie rozumiały i nie mogły rozumieć, że to, co było powodem małej odporności państwowej, stanie się przyczyną wielkiej odporności narodowej. Niewątpliwie byłoby stokroć dla nas lepiej, gdyby wiązadła gmachu okazały się silniejsze, niemniej faktem jest, że po nieszczęsnej katastrofie Polskę trzeba było zabijać w każdym domu polskim zosobna, a to już jest rzecz przechodząca wszelkie państwowe siły.

I taki stan trwał od rozbiorów.

Zgaszono wielki Znicz na forum, ale domowe patryotyczne ogniska płonęły jasno. Okazało się, że nacisk zewnętrzny, choćby najdłuższy i najbardziej nieubłagany, może przyczynić narodowi męczarni, — zabić go nie może. Idea polska może zginąć tylko samobójstwem, albo z choroby wewnętrznej. Jeśli to się nie stanie, przetrwa złe czasy i w zwykłej kolei spraw ludzkich musi doczekać się lepszych.

Ale takie widoki potęgują jeszcze zadanie polskiego domu. Dawny miał do czynienia tylko z niebezpieczeństwem ze-

wnętrznem, dzisiejszy musi walczyć i z wewnętrznem. Próżno bowiem wmawialibyśmy w siebie i drugich, że obecnie jesteśmy tak zdrowi, jak byliśmy przed niedawnym jeszcze czasem, i że ta idea, którą nasze domy przechowywały przez cały wiek w nieskalanej czystości, nie zabrukała się w rozterce i w mętach lat ostatnich.

Dziś, nie wśród obcych i nie wśród nieprzyjaciół, ale wśród nas samych są tacy, którzy patrzą na nią obojętnie, są tacy, którzy się jej wyrzekają, są tacy, którzy ją czernią, są tacy, którzy jej nienawidzą, są tacy, którzy na nią plwają.

I ta zaraza wewnętrzna, szerzona przez obce żywioły, obcą szkołę, a w części i przez obcą literaturę, jest największem niebezpieczeństwem, jakie nam kiedykolwiek groziło.

A czy mamy środki ratunku?

Zapewne — nie wszędzie nam je odjęto, a tam, gdzie chciano to uczynić, nie zdołano odjąć wszystkich.

Mamy w niektórych dzielnicach kraju przybytki nauki, mamy na całym obszarze dawnej Rzeczypospolitej własną literaturę, mamy prasę, która jest wyrazem opinii — i wreszcie te drobiny życia publicznego, które przedostają się na wierzch przez wszystkie szpary przygniatających nas głazów.

Nie powinniśmy jednak zapominać, że jeśli istnieje prasa pragnąca nas uzdrowić, to istnieje także taka, która nas rozkłada. Jeśli istnieje literatura potęgująca życie, to istnieje i taka, która pcha ku śmierci. Tę broń mogą pochwycić każde ręce, jak również w życiu publicznem mogą się znaleźć, obok budowniczych, burzyciele. Nie w naszych przytem ręku jest oświata ludu i przeważnie nie w naszych wychowanie młodzieży.

Więc przeciw tym wewnętrznym dążeniom do podkopania idei polskiej i przeciw temu niebezpieczeństwu, które istotnie jest groźne, obok wszelkich sił, jakiemi rozporządzamy, powinien wystąpić w pierwszym szeregu dom polski.

Niechże ta forteca oprze się i nieprzyjacielowi wewnętrznemu. Niech będzie, jak była dotychczas, piastunem tradycyi i patryotyzmu — ale niech dziś już na tem nie poprzestaje.

Tradycyę bowiem można przechowywać tak, jak rodzinne klejnoty. Dobrze zamknięte nie giną — ale też i nie promienieją. Tradycya polska powinna promieniować. Powinna rzucać blask na życie i zabarwiać je. Patryotyzm może być bierny, albo czynny. Nie dość ci tkwić w polskości przez bezwład i być Polakiem dlatego, żeś się nim urodził i nie potrafisz być kim innym. Obowiązkiem polskiego domu jest wytworzyć tęgą, zwartą i czynną rodzinę, a obowiązkiem rodziny jest wszczepić w dziecko przekonanie, że patryotyzm ma być mu przewodnikiem, wskaźnikiem i celem wszelkich czynów na polu gospodarczem, naukowem, społecznem, artystycznem — słowem: słupem ognistym, o którym mówi poeta, że: »W dzień jak słońce, w noc jak żar prowadzi«.

Lecz i na tem nie koniec.

Rozkładowi wewnętrznemu nie dość jest opierać się, choćby najenergiczniej. Należy niszczyć go w jego gniazdach pracą, przekonywaniem, miłością, cnotą publiczną i przykładem ofiarności.

Dom polski ma wychowywać dzieci, tak, by miały spełna woli i sił, by szukać ognisk zarazy i przeprowadzać wszędy, gdzie one się zjawią, ideową desinfekcyę. Naród musi się bronić przed epidemią moralną, tak, jak społeczeństwo broni się przed fizyczną, a ponieważ zwykłe czynniki, powoływane do takiej walki w innych społeczeństwach, nie są w naszych ręku — więc obronę powinien podjąć dom. A gdy się jej podejmie i gdy ją przeprowadzi, spełni naprzód: zadanie narodowe, a powtóre i wychowawcze. Wszczepić w dusze dzieci tak wzniosłą ideę, jaką jest patryotyzm, to znaczy: uszlachetnić je i uchronić od wszelkich lichych i nikczemnych wpływów — to znaczy, łakome wszelkich płaskich rozkoszy zwierzęta zmienić w prawdziwych ludzi, a zwykłych »zjadaczy chleba« w rycerzy wielkiej sprawy.

W domu zaś może tego dokonać przedewszystkiem kobieta Ojca rodziny odrywają od ogniska pozadomowe obowiązki; matka zawsze jest z dziećmi. Ona urabia materyał ich dusz. To, co ona w nie wszczepi, będzie zawsze tkwiło w ich organizmie. Ona

je uodparnia, ona daje im męstwo i wolę do walki za ideały, — ona przyszłe zwycięztwo.

I ostatecznie, od niej przeważnie zależy, by z czasem drobne rodzinne znicze zlały się w jedno spokojne, wielkie, błogosławione i powszechne ognisko.

Henryk Sienkiewicz.

NA PRZYSZŁY WIEC KATOLICKI.

Niniejsza rubryka nie ma wcale pretensyi do wpływania na inicyatywę lub termin zwołania wiecu. Wychodząc z założenia, że przy pomyślnych warunkach wiec katolicki dojdzie do skutku, publikujemy idee i materyały, które na nim mogłyby być wzięte pod obrady. Rozprawy te ogłaszać będziemy, w miarę napływania opracowań na zamówione tematy.

Redakcya.

POŁOŻENIE RELIGIJNE WIELKICH MIAST.

Nadzwyczajny rozwój przemysłu i z nim zwiększone potrzeby i wymagania kulturalne spowodowały wzrost miast tak zadziwiający i niespodziewany, że musiał on zwrócić na siebie uwagę nie tylko ekonomistów, ale także i duszpasterzy. Nie tylko bowiem wytwarzają one nowe objawy pod względem administracyjnym, ekonomicznym i kulturalnym, ale jeszcze w większym może stopniu sprowadzają nowe warunki i trudności pod względem religijnym, bo wielkie miasta nie tylko są żołądkiem, ale także głową i sercem kraju. Nowe te warunki, odmienne od dawnych, trzeba było poznać, zbadać, zdać sobie z nich sprawę, żeby też i sposób postępowania odpowiednio do nich dostosować. Dlatego to coraz to częściej poczęto w ostatnich czasach zwracać uwagę na położenie religijne tych wielkich środowisk ludzkich. Uczeni rozmaitych wyznań poświęcali tej kwestyi swe studya i istnieje już za granicą sporo monografii z tej dziedziny. Przed dwoma laty wyszło też z pod prasy dzieło wiedeńskiego profesora Henryka Swobody [1], które gruntownością swych spostrzeżeń, wywodów i uwag zasłużony pozyskało rozgłos i żywo zajęło umysły interesowanych. Swoboda uważa wprawdzie za wielkie tylko te miasta, które mają 100.000 mieszkańców lub więcej nad 100.000, ale nic nie przeszkadza rozciągnąć jego wywodów

[1] *Grossstadtseelsorge.* Eine pastoral-theologische Studie. Verlag Friedrich Pustet. Regensburg. 1909.

i uwag na miasta o mniejszej liczbie mieszkańców, w których już także wielkomiastowe stosunki się przejawiają, jak to spostrzegać się daje w miastach o 50.000 mieszkańców. Charakterystyczne cechy miast wielkich są znane. Ogólna gorączkowość jakaś, wśród atmosfery walki o byt i konkurencyi ustawicznej; szeroka swoboda ruchów pojedynczych jednostek, które uchodzą uwagi ogółu i giną niepostrzeżone w szarym tłumie, gęsta sposobność i pokusa do ciągłych a łatwych rozrywek, użycia i nadużycia; przepełnienie mieszkań, zwłaszcza w dzielnicach na linii obwodowej; łatwość w doborze towarzyszy według upodobania — prędkość i łatwość informacyi o wszystkich kwestyach aktualnych — warunki korzystne dla rozwoju rozmaitych agitacyi, wszystkie te i inne jeszcze czynniki wywierają duży wpływ na rozwój zapatrywań, poglądów, usposobień mieszkańców wielkich miast. Wytwarzają one odrębny psychologicznie typ ludzi o pojęciach szerszych, liberalniejszych, postępowych, dziś najczęściej socyalistycznych, wywołują barwną mieszaninę stanów, narodowości, zajęć i wykształcenia, skupiają na stosunkowo małem terytoryum najwybitniejsze siły kraju i tem wszystkiem mnożą i wikłają zadania duszpasterskie.

Wcale nie dzielimy zdania tych entuzyastów, ekonomistów, którzy w naszych miastach chętnie dopatrują się szczytu kulturalnego rozwoju, bo obok rzeczywistego postępu za wiele w nich swawoli, rozpasania, korupcyi, za wiele niebezpieczeństw dla najwyższych dóbr człowieka, nie mówiąc już o istnieniu materyalnej nędzy; jednak także za pesymistyczny uważamy pogląd tych, którzy w nich widzą jakby jedyne źródło wszelkiego złego, wypływające niejako ze samej natury wielkich miast. Nie! Wielkie miasta są naturalnym i koniecznym wynikiem nowoczesnego ekonomicznego i socyalnego rozwoju, a znane zjawiska ujemne, tak często z przesadą piętnowane, nie należą do ich istoty. Zatem niema też w nich jakiejś wewnętrznej i istotnej opozycyi do religii i spraw z nią związanych. Kłam zadają podobnym twierdzeniom owe nierzadkie przykłady pięknych, nawet heroicznych cnót chrześcijańskich, owe olbrzymie wprost dzieła i instytucye miłości i miłosierdzia chrześcijańskiego i żywa akcya religijna,

rozwinięta wśród różnych i licznych stowarzyszeń po wielkich miastach. Z drugiej zaś strony nie można zaprzeczyć, że stosunki wielkomiastowe niemało utrudniają duszpasterstwo na wielu punktach, a nader szybki a niespodziewany wzrost miast przyczynił się do tego, że dzisiejsze położenie religijne w większej liczbie naszych miast wielkich przedstawia obraz przerażąco smutny. Obchodzi nas tutaj tylko stan Kościoła katolickiego i jego zadania wielkomiastowe.

Podstawą wszelkiej wydatnej pracy w jakiemkolwiek społeczeństwie, jest ujęcie jej w pewien ład i porządek — jest odpowiednia do celu organizacya. To też w badaniach nad pracą kościelną w miastach wielkich należy zwrócić przedewszystkiem uwagę, czy istniejąca organizacya odpowiada nowym warunkom, wytworzonym przez niebywały dotąd wzrost miast i czy jest w możności podołać wszystkim trudnościom z niego wynikłym.

Słusznie zatem bada Swoboda we wzmiankowanem dziele najpierw stan rdzennej organizacyi kościelnej, parafialnej. Przy pomocy licznych dat statystycznych przedstawia on dzisiejsze warunki parafialne całego szeregu miast wielkich i biorąc liczbę 6—10 tysięcy dusz za wyraz normalnego stanu parafii — jak to zresztą wynika z przepisów kościelnych — przez zestawienie i porównanie warunków normalnych z warunkami dzisiejszymi, dochodzi do ciekawych rezultatów.

Miasta, które zbadał, dzieli on na cztery główne typy. Pierwszy, to typ francuski, paryski. Tutaj ułożyły się warunki parafialne tak, że na każdą parafię przypada przeciętnie 36.000 dusz. Tych parafii jest 251, z których najliczniejsza Ste Marguerite, licząca 96 200 dusz. Aby doprowadzić do normalnej liczby 6000 dusz w każdej parafii, trzebaby istniejące już parafie pomnożyć o 450 nowych. Oprócz tego niesłychanego przeludnienia parafii jeszcze jedna okoliczność niekorzystnie oddziaływa na francuskie duszpasterstwo. Stowarzyszenia, obejmujące sprawy charytatywne i społeczne, nie są u Francuzów środkiem ale celem, a ponieważ na nich głównie skupia się praca duszpasterska, dlatego tysiące parafian znajdują się niejako poza sferą działalności duszpasterstwa parafialnego. Rzuca to spostrzeżenie

z pewnością dużo światła na dzisiejszy smutny stan Kościoła we Francyi i daje cenne wskazówki dla głębszej oceny francuskiej akcyi katolickiej, którą się z pewną dozą optymizmu chełpią katolicy francuscy, a nawet za wzór podają dla innych narodowości.

Drugi typ londyński czyli angielski. Londyn należy do dwóch dyecezyi, do westminsterskiej i southwarskiej. Katolików jest około 350.000, podzielonych na 100 stacyi misyjnych z prawem matrykularnem. Stąd przeciętna liczba dusz każdej parafii wynosi od 3—4000. Przy tym liczebnie idealnym stanie parafii londyńskich podnieść należy też sposób, w jaki tamtejsi duszpasterze pojmują swą pracę. Podczas gdy kler francuski wyczekuje, ażby wierni do niego przychodzili, w Londynie proboszcz chodzi za swemi owieczkami. Jedną z charakterystycznych cech duszpasterstwa londyńskiego są owe swobodne, przyjacielskie wizyty proboszcza po domach i najściślejsza ewidencya parafian, czyli status animarum. Zwróciło też duszpasterstwo londyńskie wczas uwagę na jedno zjawisko miast wielkich bardzo doniosłe. Jest faktem, który wszędzie po miastach wielkich powtarza się, że środek miasta coraz więcej się wyludnia a za to wzrasta ludność w przyspieszonem tempie odśrodkowo na linii obwodowej miasta. Dlatego to kler londyński zawczasu zakupuje grunt pod nowe kościoły w tych stronach, w których miasto okazuje dążność do rozszerzenia się od środka na zewnątrz. Stowarzyszenia przedstawiają się tutaj tylko jako skutek i owoc intensywnego duszpasterstwa i idą z niem w parze.

Trzeci typ berliński czyli niemiecki. Katolików liczą w Berlinie 325.240, podzielonych dziś na 31 parafii, tak, że na każdą przeciętnie wypada 10.400 dusz. Najliczniejszą jest parafia św. Jadwigi i św. Piusa, mające 31.000 dusz. Z pośród tych kościołów, których obecnie posiada Berlin 31, 21 powstało w dobie obecnej, za rządów kardynała Koppa, a ruchliwi i przewidujący proboszczowie starają się, podobnie jak w Anglii, o wczesne zakupno gruntów pod nowy kościół. Mając miejsce pod kościół gotowe, mieszczą się tymczasowo w wynajętych odpowiednich lokalach dopóty, dopóki nie stanie na zakupionych gruntach ich

własny dom boży. I tutaj kwitnie życie w rozmaitych Vereinach, ale te Vereiny są tylko środkiem do celu, czyli do intensywniejszego duszpasterstwa w parafii.

Czwarty typ wiedeński czyli austryacki. W roku 1907 wynosiła liczba katolików wiedeńskich 1,712.500, rozdzielonych na 76 parafii. Na każdą więc parafię przypada przeciętnie po 22.500 dusz. Przyjąwszy więc za stan normalny parafii 10.000 dusz, trzebaby w Wiedniu 100 nowych parafii. Ponad to obarczone jest duchowieństwo parafialne obfitą pracą kancelaryjną i liczną pracą po szkołach (4—5 godzin dziennie katechezy). Dlatego też życie we Vereinach nie wiąże się wiele z parafią a tem więcej wizyt na wzór angielskich wcale niema.

Z poczynionych zestawień wynika, że pod względem liczebnym najgorzej przedstawia się Paryż, liczący przeciętnie 36.000 na każdą parafię, potem Budapeszt 27.990, Wiedeń 22.500, Monachium 22.250 i t. d. Rzym, gdzie Pius X przeprowadził gruntowną rewizyę stosunków parafialnych, obecnie przedstawia się względnie dobrze. Liczy bowiem 500.000 katolików rozdzielonych na 60 parafii, tak, że na każdą przeciętnie wypada około 8000 dusz. Jakież stosunki pod tym względem panują w naszych większych miastach?

Biorąc za podstawę obliczeń liczby według statystyki z r. 1910, to stan duszpasterstwa w nich ma wygląd następujący:

Warszawa liczy 12 parafii na 407.620 katolików, stąd na każdą parafię przypada przeciętnie 33.968 dusz.

Kraków z ruską parafią włącznie liczy 12 parafii na 84.759 katolików, tak, że na każdą parafię przypada przeciętnie 7.063 dusz.

Lwów liczy 11 parafii, ale między niemi znajduje się jedna parafia szpitalna i jedna ekspozytura, tak, że wskutek tego najwyżej liczyć można we Lwowie 10 parafii łacińskich. Do nich należy 91.186 kakolików ob. łać., tak, że na każdą parafię przeciętnie przypada 9.118 dusz.

Warszawa zatem przedstawia się najgorzej i na tablicy Swobody zajęłaby miejsce zaraz po Paryżu, tem więcej zaś odbija od korzystnego stanu parafialnego Krakowa i Lwowa, że

miasta te obfitują w kościoły zakonne, czego w Warszawię niema. Częściowo tłumaczy ten smutny stan duszpasterstwa w Warszawie trudne wogóle położenie Kościoła pod panowaniem rosyjskiem. Jeżeli zaś chodzi o typy przez Swobodę zaznaczone, to Kościół krakowski i lwowski należy zaliczyć do typu wiedeńskiego, gdyż mniej więcej te same warunki w nich istnieją.

Z tych krótkich dat statystycznych wynika, że położenie religijne miast wielkich pod względem stosunków parafialnych jest bardzo różne a często bardzo niepocieszające.

Parafia jest tem dla całego organizmu Kościoła, czem komórka dla żywego organizmu człowieka. Od ich zdrowia i siły zależy w wielkiej części zdrowa siła, wzrost całego organizmu, i naodwrót niedomaganie parafii odczuć się daje niekorzystnie na całej żywej działalności Kościoła. A w parafii znowu najważniejszą rzeczą jest kontakt parafian ze swym proboszczem, złączenie za jego pośrednictwem z całością organizmu kościelnego. Ten kontakt i ile możności najściślejsze węzły między owieczkami a ich pasterzem, są duszą całego duszpasterstwa.

I słusznie. Trudno bowiem oprzeć rozumne i umiejętnie prowadzone duszpasterstwo na innej podstawie, i bez pewnego osobistego kontaktu pojedynczych parafian z duszpasterzem niemożliwe jest intensywne i zbawienne duszpasterstwo. Żeby duszami kierować — trzeba je poznać — a żeby je poznać, nie wystarczy raz lub drugi z daleka je zobaczyć, ale trzeba się zetknąć poza kościołem, prywatnie, przy pracy i wypoczynku, przy zabawie i w cierpieniu — odczuć ich potrzeby, wyrozumieć je w każdej z osobna i dopiero wtedy lekarstwo, rada, wskazówka i wogóle prowadzenie duszpasterskie, oparte na podstawie osobistego zetknięcia się, będzie skuteczne i przyniesie owoce. Takie stosunki między parafianami a duszpasterzem są wprost niemożliwe w parafiach o kilkunastu lub kilkudziesięciotysięcznej ludności.

Więc Swoboda z całym naciskiem stawia postulat podziału wielkich parafii i to podziału, któryby od razu stworzył warunki normalne. Przedsiębiorąc podział, nie tworzyć stopni jakichś pośrednich, tymczasowych, np. parafii liczącej 40.000 dusz nie dzielić na

dwie o liczbie 20.000 dusz, lecz na jedną mającą najwyżej 10.000 a drugą zatrzymującą tymczasem 30.000, aby ją w najbliższym czasie dalej podzielić. Rzecz w teoryi bardzo jasna i rozumna, ale w praktyce wobec niemałych wydatków i mnożących się podatków kościelnych niełatwa do przeprowadzenia, przynajmniej nie wszędzie.

Jeszcze większą wagę kładzie Swoboda na osobisty kontakt proboszcza z parafianami. Prócz prowadzenia bardzo dokładnego status animarum w każdej parafii, żąda, aby proboszcz odwiedzał parafian. Wizyta proboszcza po domach i rodzinach ma się odbywać tylko w celach duszpasterskich z wykluczeniem towarzyskich, agitatorskich i t. p. Swoboda może na udowodnienie swego postulatu powołać się na ową ogólną regułę duszpasterza, *cognoscere oves suas*, ale na jego korzyść przemawiają też szczegółowe przepisy pastoralne niektórych synodów prowincyonalnych, w których wyraźnie mowa o tem, aby wszyscy duszpasterze »omnes aliquoties invisant« i nikt chyba nie zaprzeczy, że ta zasada jest i d e a l n i e piękna. Ideału tego nie może nigdy spuszczać z oka duszpasterz, chcący sprostać swemu zadaniu i o realizacyę jego starać się musi wszystkiemi siłami. Ale postawić go jako ogólną regułę bez żadnego wyjątku, we wszystkich okolicznościach, zawsze i wszędzie, na to trzeba być niepoprawnym idealistą lub optymistą. Przypuśćmy nawet normalny stan parafialny po wielkich miastach we wszystkich krajach i dostateczną liczbę duchowieństwa zajętego duszpasterstwem. Któżby tę ustawiczną wizytę odważył się nakładać na proboszcza i na młodych, często niedoświadczonych wikarych, jako ciężki ich obowiązek — zwłaszcza, gdy weźmie pod uwagę te wszystkie okoliczności, w których się ona ma odbywać: ową ustawiczną fluktuacyę ludności przenoszącej się z miejsca na miejsce; ową wyrafinowaną korupcyę, wprost zasadzającą się na księdza, nienawiść do kleru wywołaną w socyalistycznej agitacyi, nawał rozrywających prac społecznych i miłosiernych, żeby już nie mówić o trudności dostosowywania się do tysiąca usposobień, stanów i zajęć pojedynczych osób. Niezawodnie różne nadarzają się sposobności, w których duszpasterz bez trudności

będzie mógł wejść w bliższy kontakt z pojedynczemi rodzinami, jak np. tam, gdzie do dziś dnia utrzymał się zwyczaj chodzenia z t. zw. kolędą, przy odwiedzaniu chorych, może nawet przy uroczystościach familijnych albo przy innej okazyi, ale trudno postawić bezwzględną regułę, zniewalającą do systematycznej, dorocznej wizyty duszpasterskiej. Unormowanie tych wizyt należy pozostawić do spełnienia pojedynczym dyecezyom, — ba, nawet niejednokrotnie należy się spuścić na duszpasterską przezorność i troskliwość pojedynczych duszpasterzy, którzy w danych okolicznościach najlepiej mogą osądzić, co należy przedsięwziąć dla zrealizowania ideału częstego stykania się z ludźmi poza kościołem. To pozostawienie wizyt duszpasterskich do oceny samym interesowanym duszpasterzom, pociąga za sobą niebezpieczeństwo, że niektórzy z nich nie uczynią zadość nawet możliwemu obowiązkowi, ale temu i ogólna norma nie zdoła zapobiedz.

We wszystkich zapatrywaniach Swobody znać pewną dążność do jakiejś centralizacyi duszpasterstwa, ale ta centralizacya jest dostatecznie uwzględniona przez samą organizacyę kościelną. Jeżeli się nie mylimy, to w dzisiejszych stosunkach wielkomiastowych nie tak chodzi o centralizacyę, jak o ujęcie duszpasterstwa w jakiś system. System zaś przy pewnych zasadniczych liniach, które już są dane i zmieniać się nie mogą — musi posiadać dość duże różnice, stosownie do lokalnych i czasowych warunków działania. Był nawet czas, i to dość długi, kiedy się w kościele obchodzono bez proboszczów w naszem pojęciu, i znowu może nastąpić czas taki, że kościół będzie się musiał obywać bez proboszczów w naszem pojęciu, ale jakiekolwiek nastaną czasy, nie może się obejść duszpasterstwo kościelne bez systemu pracy, bo wogóle żadna praca poważna bez niego obejść się nie może. Dzisiejsze czasy znają dość zasady ekonomiczne, którym zawdzięczamy po wielkiej części olbrzymi postęp na wszystkich polach kultury, t. j. podział pracy i korzystanie ze wszystkich sił jakkolwiek zdatnych do pracy. One też powinny być punktem wyjścia w systematyzacyi pracy duszpasterskiej. Dziś do duszpasterskiej pracy nie należy tylko pouczanie w rzeczach wiary i mo-

ralności i udzielanie sakramentów świętych, choć to zawsze będzie jej głównem zadaniem; potrzeby i niebezpieczeństwa czasu koniecznie domagają się w celach czysto duszpasterskich współudziału kleru także na innych polach, np. w prasie i w pracy społecznej [1]. Przy dzisiejszej fluktuacyi ludności znikają właściwie też dla proboszcza i słupy graniczne jego parafii, on tam musi sięgać duszpasterską gorliwością swoją, gdzie sam nigdy nie był i może nigdy w życiu nie będzie. Stąd wynika konieczność podziału pracy duszpasterskiej i korzystanie ze wszystkich sił ochotnych i zdatnych do niej, choćby te siły były osobami świeckiemi. Swoboda wysuwa o ile możności poza nawias pracy duszpasterskiej nie tylko świeckich ale nawet i kler, o ile nie jest klerem parafialnym, a wskutek tego jest zmuszony wkładać na barki proboszcza takie obowiązki i ciężary, które w teoryi znośne, w rzeczywistości okazują się niemożliwe. I wskutek tego przy czytaniu dzieła jego odnosi się wrażenie, jakby praca duszpasterska, w rękach ludzi nie wchodzących w skład kleru parafialnego, była rodzajem prostytucyi duszpasterstwa lub przynajmniej malum necessarium. I rzeczywiście razi u Swobody niedocenianie jednej z najważniejszych prac duszpasterskich, t. j. pracy katechetycznej, która zwłaszcza w szkołach średnich jest dziś nieocenionej wartości; razi zapoznanie posłannictwa zakonów i ich olbrzymiej działalności, która w myśl Kościoła jest niesieniem pomocy urzędowym duszpasterzom na polach przez nich mniej uprawianych; razi zbyt mała waga, jaką kładzie na apostolstwo i współpracownictwo duszpasterskie ludzi świeckich. Cenimy u Swobody wysokie wyobrażenie o posłannictwie proboszczów, ale nie zapominajmy o tem, że proboszcz w dzisiejszem pojęciu ma w sobie pewną dozę charakteru urzędniczego. Charakter urzędowy proboszcza paraliżuje na niejednym punkcie jego działalność, a w takim razie pomoc mniej urzędowych duszpasterzy okazuje się bardzo pożądaną.

---

[1] Swoboda zalicza wprawdzie pracę w stowarzyszeniach i prasę do nadzwyczajnych środków duszpasterstwa, ale chyba jego zdanie w naszym czasie uważać trzeba za anachronizm.

Jak zaś uskutecznić tę systematyzacyę pracy duszpasterskiej według potrzeb naszego czasu i pojedynczych miast?

W tej kwestyi zwraca Swoboda szczególną uwagę na starą instytucyę kościelną, która w ostatnich czasach idzie coraz więcej w zapomnienie. Są to synody dyecezyalne, które przedtem miały za zadanie przynaglać do przeprowadzenia wniosków przyjętych na synodach prowincyonalnych i udzielać uczestnikom obfitej, wzajemnej informacyi. Weszło wprawdzie w zwyczaj przez różne konferencye uzupełniać niejako brak synodów dyecezyalnych, ale każdy przyzna, że one nie są w stanie zastąpić synodów ani pod względem szerokiej, ogólnej informacyi, ani nie zdołają dać inicyatywy jakiejś szerszej wspólnej pracy duszpasterskiej. Stąd ten dotkliwy brak szerokiego i zarazem jednolitego systemu przeprowadzonego wspólnemi siłami; stąd to smutne zjawisko, że i najlepsze siły przy najlepszej woli albo niczego nie dokazują, albo nawzajem się paraliżują, czy to w prasie, czy na polu społecznem, czy na innych polach. Nie chodzi tu o wprowadzenie jakiegoś parlamentaryzmu do Kościoła, bo przecież tej obawy dawniejsze czasy nie znały, lecz o skupienie sił, o systematyczny podział pracy, o porozumienie wzajemne, o kontrolę wspólnej akcyi i o coraz większe wydoskonalenie środków stosownych do potrzeb naszej doby, o jakieś przynaglanie się wzajemne do pracy pod kontrolą innych, przynaglanie, któremu sankcya i inicyatywa obecnego najwyższego pasterza dyecezyi niemało dodawałaby siły żywotnej i błogosławieństwa. Te synody dyecezyalne nie wykluczają konferencyi kół, związanych osobnymi interesami, owszem dopraszają się ich i czynią wydatniejszą ich działalność, bo dają jej oparcie i poparcie w ramach ogólnego i jednolitego systemu.

Jak zaś pomoc ludzi świeckich jest korzystną, jak się daje ująć w jeden potężny system, uwzględniający przytem potrzeby miejscowe i czasowe, tego żywym przykładem są wiece katolickie, zwłaszcza w Niemczech, i dzieła, jakich one już dokonały. Wystarcza przeczytać sprawozdania wieców z ostatnich zwłaszcza lat, aby się przekonać, że wszystkie obrady i wnioski na nich postawione przedstawiają jednolity, gruntownie obmyślany, do po-

trzeb czasu i miejsca zastosowany program, nad którego wykonaniem czuwają i pracują różne instytucye i stowarzyszenia, powstałe często z inicyatywy wiecu. Jaka imponująca praca świeckich na polu społecznem, w prasie, nad oświatą ludową, w misyach, jaka troska o katolików niemieckich i poza ojczystym krajem się znajdujących; jaka idealna pomoc dla duszpasterzy! Obawa pewnej emancypacyi tej pomocy świeckiej z pod opieki i kierownictwa kościelnego jest z pewnością w części dziś uzasadniona, ale bodaj, czy w poważnej części nie z winy samego kleru, który nieraz aż nadto chowa się za słupy graniczne swej parafii i za mało interesuje się dobrem ogółu. Jest tutaj miejsce może najodpowiedniejsze, żeby ze Swobodą zwrócić uwagę na fakt wielkiej doniosłości dla duszpasterstwa. Duszpasterstwo po miastach i po wsiach nie tylko co do istoty swojej nie różni się, ale w dzisiejszych warunkach powinno iść ze sobą ręka w rękę, więcej niż kiedykolwiek w innych warunkach i czasach. Miasta wielkie zasilają się ustawicznie ludnością wiejską, nadzwyczajna grawitacya do środowisk przemysłowych i handlowych uprowadza rok rocznie setki tysięcy ze wsi do wielkich miast, jeżeli więc do intensywnego duszpasterstwa w pojedynczych parafiach nie dołączy się systematyczna praca na szerszą skalę, łącząca duszpasterstwo wiejskie i miejskie w umiejętnym systemie, dużo z pracy pojedynczych duszpasterzy pójdzie na marne; to, co konserwatywna wieś wyhodowała, zginie w silniejszej, postępowej atmosferze miast, jeżeli duszpasterze nie podadzą sobie dłoni do wspólnej pracy, ujętej w system, jeśli do niej nie wciągną pomocy tak zakonnej jak i zastępów działaczy świeckich. Powiedzmy więcej. Warunki dzisiejsze domagają się z bezwzględną koniecznością takiego rozszerzenia systemu pracy duszpasterskiej, żeby na pole jej wstąpiły, jako jednostki robocze, całe narody. Narody całe trzeba wciągnąć do tego boju o duszę i sprawy boże. Jest to konieczność narzucona katolikom przez ich wrogów, którzy związani w związki międzynarodowe, występują solidarnie z nimi do walki — oraz wytworzona z potrzeby niesienia pomocy swoim współwyznawcom, którzy w nowoczesnych wędrówkach narodów przeniesieni w obce strony, mimo rozbieżnych

dążności nacyonalistycznych, skupiają się razem i tworzą całe osady katolickie na obcej ziemi, po miastach zwłaszcza i większych centrach przemysłowych. Jedna i druga potrzeba piekąca — koniecznie domaga się realizacyi hasła rzuconego niedawno przez ks. arcybiskupa Teodorowicza na wiecu insbruckim: Katolicy wszystkich krajów łączcie się! Niema zaś zaiste prostszej drogi do tej międzynarodowej organizacyi akcyi katolickiej w celach przedewszystkiem duszpasterskich, jak przez wiece katolickie pojedynczych narodów. Następnie wzajemne ich porozumienie się i energiczny współudział w pracy nad wspólnym celem, mogą sprawie bożej przynieść pożądane poparcie ze strony ludzkiej.

Pomimo tego wszystkiego pozostaje prawdą, że głównem i pierwszem polem duszpasterstwa jest i musi być parafia, i jej istotne obowiązki duszpasterskie pierwsze miejsce zajmować powinny; pozostaje prawdą, że i w dalszej pracy duszpasterskiej proboszcz ważną odgrywać powinien rolę, oświadczamy się tylko przeciw pewnej ekskluzywności pod tym względem, która w dzisiejszych stosunkach przeprowadzić się nie da i do istoty organizacyi kościelnej bynajmniej nie należy. Jedynym koniecznym i istotnym postulatem duszpasterstwa jest, aby zawsze zostało w rękach i pod kierownictwem kleru i nie emancypowało z pod opieki tych, którym piecza o dusze od Chrystusa została poruczona. Skupienie duszpasterstwa po wielkich miastach w jednem ręku, mianowicie proboszcza, natrafia jeszcze na jedną bardzo ważną trudność, która nawet niechętnego do ustępstw Swobodę zmusza do poczynienia takowych na korzyść kleru nieparafialnego. Większe zróżniczkowanie i solidarność pojedynczych stanów naszej doby, domaga się osobnego niejako duszpasterstwa dla każdego pojedynczego stanu. Żeby cały jeden stan mieszkał w jednej parafii wielkiego miasta, jest rzeczą nader rzadką, często nawet niepodobną. Chodzi tu przeważnie o akademików, artystów, powiedzmy o inteligencyę wogólności, i o robotników. Także kwestya narodowościowa domaga się szerszego uwzględnienia w duszpasterstwie wielkich miast. W tych wszystkich wypadkach duchowieństwo parafialne, przy najlepszej chęci, nie jest w stanie

wszystkim uzasadnionym wymaganiom zadość uczynić; mnożyłoby niepotrzebnie pracę pojedynczych proboszczów. To też sam Swoboda uznaje, że tym potrzebom najlepiej zaradzi kler nieparafialny, a po olbrzymich szpitalach i zakładach naukowych i dobroczynnych często osobny duszpasterz staje się koniecznością.

Trudno w tej krótkiej rozprawie, która tylko chce zwrócić uwagę interesowanych na ten tak doniosły przedmiot, poruszać wszystkie kwestye wchodzące w zakres duszpasterstwa miast wielkich, a które Swoboda gruntownie i jasno rozbiera. Wspaniałe są jego słowa, w których żąda, aby po olbrzymich centrach dzisiejszego świata duszpasterze byli wybitnemi osobistościami pod każdym względem — mężami zwłaszcza heroicznego apostolskiego ducha; godne wszelkiej uwagi to, co mówi o zastosowaniu sztuki po naszych kościołach i o znaczeniu śpiewu kościelnego; słusznie narzeka na tandetę i fuszerkę, co zapełnia kościoły nasze, zamiast prawdziwej sztuki, któraby dużo mogła się przyczynić do dobra duszpasterstwa. Z uwag poczynionych przy omawianiu duszpasterstwa klas robotniczych, podnosi Swoboda obowiązek duchowieństwa, aby się starało szerzyć dobrą lekturę zwłaszcza po rodzinach robotniczych, choćby to było połączone z pewną ofiarą; poleca nawet pewną organizacyę między robotnikami dla rozrzucania pożytecznych broszur i artykułów, celem informacyi religijnej. Dodajmy tu bardzo praktyczne zastosowanie prasy do duszpasterstwa po wielkich miastach. Zwłaszcza po większych miastach niemieckich weszło w zwyczaj wydawanie »Przewodnika« dla katolików, dostarczającego krótkich informacyi o wszystkiem, co się odnosi do spraw katolickich pewnego miasta. Tak np. urzędowy przewodnik dla Berlina i całej delegatury berlińskiej zawiera następujące rubryki: 1) kościoły, duchowieństwo i porządek kościelny; 2) szkoły katolickie albo nauka religii katolickiej; 3) instytucye miłosierdzia i społeczne; 4) stowarzyszenia. Dodatek podaje podział miasta na pojedyncze parafie. Nie potrzeba się długo rozwodzić nad tem, jak taki przewodnik może oddać duszpasterstwu i całej akcyi katolickiej wielkie usługi, w każdym razie umożliwia on ludziom dobrej woli korzystanie z istniejących po mieście instytucyi katolickich, o których

może nigdy nie byliby się dowiedzieli. Byłoby zaś wskazanem, żeby w takim przewodniku uwzględnić także prasę katolicką, przynajmniej gazety i czasopisma katolickie, zwłaszcza miejscowe, i podać statystycznie cały obecny stan katolików i katolicyzmu w pewnem mieście. W ten sposób szerzyłoby się uświadomienie katolickie, wychodziłyby na jaw braki i luki, domagające się usunięcia i naprawy. Tem więcej zaś występuje potrzeba takiego przewodnika, jeżeli się uznaje potrzebę bardziej systematycznej pracy duszpasterskiej. Ujęcie zaś w jakikolwiek system bez dokładnego przeglądu istniejących warunków, prac i sił nie jest możebne.

Duszpasterstwo wielkich miast było zawsze i jest do dnia dzisiejszego najważniejszą pracą na tem polu. Pierwsze chrześcijaństwo zaszczepione było najprzód w miastach i z nich rozeszło się po prowincyi; i dziś wielkie miasta nie tylko są miarodajne pod względem kultury doczesnej ale i religijnej. Z nich szerzą się różne idee religijne, w nich biorą początek różne instytucye religijne, uwzględniające dzisiejsze potrzeby. Dodajmy do tego żywszy stosunek dzisiejszych miast do prowincyi, choćby tylko za pośrednictwem prasy, dodajmy, że cała młodzież mająca kiedyś zajmować wpływowe stanowiska, kształci się po większych miastach, a jasnem będzie, że punkt ciężkości duszpasterstwa leży w wielkich miastach, tak, że żąda ono w nich koncentracyi sił najwybitniejszych, ustawicznego doskonalenia środków odpowiednio do potrzeb czasu i przedewszystkiem umiejętnego systemu pracy, któryby uwzględniał także prowincyę. Pomimo pewnych odrębnych poglądów, w których różnimy się od Swobody, jednak z tem się zgadzamy, i chyba każdy, któremu dobro Kościoła leży na sercu zgodzić się musi, że nie na polu naukowem, ale na duszpasterskiem leży przyszłość Kościoła — prawda, która w zeszłem stuleciu nie była dość uwzględniona, a na którą obecny papież Pius X, strawiwszy życie na pracach duszpasterskich, ze zwykłą sobie siłą zwrócił uwagę, w słowach i czynach.

Ks. A. Starker.

KS. PATRON WAWRZYNIAK.

W dziejach narodów i społeczeństw ukazują się na widowni publicznej postacie, które indywidualnością swą nęcą wyobraźnię współczesnych, pragnienie budzą poznania i trud zadają chcącym przeniknąć je, dać ich syntezę i odtworzyć słowem, pendzlem czy dłutem.

Tylko zdarza się, że potrzeby i prawa do zajęcia się niemi ogół od razu nie uznaje, i że za życia i w najbliższej po ich zgonie potomności, trzeba do studyów nad niemi i głoszenia wyników — śmiałości i odwagi.

Istnieją bowiem te postacie jako prawdy, ale prawdy dla siebie, najprzód są rzeczywistością, a potem stają się własnością cudzej wiedzy. Współcześni, patrzący na ich życie i dzieła, nie oceniają ich wielkości, przeczuwa ją tylko niewielu i obawia się wypowiedzieć, a ten, który objawia pierwszy rodzaj ich geniuszu, ponosi ryzyko, że mu zarzucą bezkrytyczny entuzyazm.

Z Wawrzyniakiem tak nie będzie. Wawrzyniak należał do tych zjawisk, które w świecie ducha objawiają się podobnie ludziom, jak w świecie fizycznym olbrzymy katedr gotyckich.

Wszyscy i w kraju i za granicą wiedzą, gdzie się gmach taki potężny wznosi, czem się odznacza, jakie ma rozmiary, jakie wywiera wrażenie, świadomość o nim jest własnością ogółu, wobec cyfr i faktów ogarnia zdumienie każdego — mieszkańcy bliższych okolic pod jego znakiem żyją i pracują, chlubią się nim i wzrok swój ku niemu kierują, szukając otuchy i męstwa do dalszego trudu

i znoju. Nie przenikają jednak jego istoty. Ci tylko, którzy przed tumem gotyckim przystają codziennie i ogarniają powoli wszystkie jego piętra, logicznie a niezłomnie zbudowane szeregi arkad, bogactwo ozdób, tłumy kamiennych postaci, stropy naw i słyszą dobywające się z głębi wież tony spiżu, dające olbrzymowi życie, ci z wązkiej, średniowiecznej uliczki, z głową przerzuconą w tył, z blizka patrząc i obchodząc dokoła gigantyczne kształty, nabierają pojęcia o istocie i przymiotach zjawiska, a wszedłszy do jego wnętrza poznają nastrój, skupienie i powagę olbrzyma.

Wiedział świat i wiedziała Polska cała, że na wielkopolskiej ziemi żyje olbrzym, który od lat dźwiga wielki gmach gospodarstwa krajowego i to obcym i wrogom służyło za hasło, a Polsce za naukę, pociechę i bodziec do pracy i naśladowania. Zabór pruski czerpał z niego bezpośrednio swą siłę, pożywienie i postęp, ale tylko ci, którzy w jego cieniu własnym stawali i dotrzeć mogli do jego wnętrza, ci wśród nieustannie rosnącego zdumienia poznawali coraz lepiej jego wielkość i wzniosłość i różnorodność i głębię wewnętrzną i bogactwo niewysłowione.

Od dawna więc przestał być tajemnicą niewielu, a świadomość o nim stała się własnością ogółu.

Ale miara i stopień tej świadomości pozostała nierówną. Świat i kraj wiedział, że Wawrzyniak to Patron spółek pożyczkowych, które takich dosięgły wyżyn rozwoju, o jakich nigdy polskie nie marzyło plemię, i te cyfry z roku na rok rosnące powtarzał sobie ze zdumieniem. Ale cyfry to tylko szkielet czy rama dzieła.

Inni zajmujący się ściślej sprawami społecznemi wiedzieli więcej i powtarzali: Wawrzyniak z hańbiącej niegdyś gospodarki polskiej uczynił dla Polaków tytuł siły i chluby i sprawił, że najsilniejsze na lądzie europejskim państwo daremno się boryka z drobnym odłamem ujarzmionego narodu.

Ale tylko tym, którzy w jego znajdowali się pobliżu, przedstawiał się w całym swym ogromie potęgi ducha, siły woli, rozmiarów poświęcenia jako działacz społeczny i w całej podziw budzącej indywidualności jako człowiek.

I tylko z pobliża można zrozumieć było wiele, co w oddali nieraz nawet nie było przeczuwane.

Skoro zaś życie jego nie dość długo trwało, by współcześni poznali go w całej jego wielkości, to obowiązkiem spieszyć się, by to, na co patrzeliśmy, oddać w miarę swej możności dla dobra ogółu i sprawy, której zmarły wódz służył.

Tytuł do zasług Wawrzyniaka mieści się w pojęciu ogółu w rozwoju polskich Spółek gospodarczych i zarobkowych pod zaborem pruskim. Każdy Polak zdumiewa się, że Związek Spółek tych liczy w Księstwie i Prusiech Zachodnich 248 rozmaitego rodzaju spółek z 116849 członkami, z 22 mil. udziałów i 177 mil. depozytów. Tymczasem fakt ten jeszcze nie dowodzi prawidłowego gospodarstwa społecznego.

Zakładanie spółek może być sztuczne, nie wywołane rzeczywistą potrzebą, tak jak się to dzieje w Księstwie po stronie niemieckiej, która, stosując się do życzeń rządu, powołała do życia trzy razy większą ilość spółek (w wielkiej części zaledwie wegetujących) i zgromadziła w nich podwójnie wielką ilość członków, pożądających pomocy rządu w postaci pożyczek, a nie kierujących się zasadami współdzielczości. Na udziały mogą składać członkowie w spółkach dla wysokiej dywidendy, jaką uchwalą na walnem zebraniu, w celach zysku osobistego, a na niekorzyść warstw uboższych, potrzebujących taniego kredytu. Depozyty mogą świadczyć o braku przedsiębiorczości ze strony społeczeństwa, które zamiast zajmować się produkcyą osobiście i intensywnie, zamiast lokować kapitały swe w przedsiębiorstwach rolnych, przemysłowych i handlowych i wyższe z nich osiągać zyski, zadawala się niższym zyskiem, jaki bez żadnego z ich strony trudu bank wypłaca.

Dopiero po bliższem rozpatrzeniu i ocenieniu najrozmaitszych względów i okoliczności można wydać sąd merytoryczny, czy istnienie spółek jest uzasadnione w interesie całokształtu gospodarstwa społecznego i czy one zadanie swe wypełniają należycie wobec interesów całego społeczeństwa.

O uprawnieniu istnienia i rozwoju spółek polskich pod zaborem pruskim mówi dobitnie historya.

Nic smutniejszego nad widok społeczeństwa wielkopolskiego po r. 1848, gdy zawiodły nadzieje uzyskania samodzielnego bytu narodowego, a reakcya pruska stłumiła najpiękniejsze i najpożyteczniejsze programy i początki działalności Ligi Polskiej.

Głosy ówczesnych publicystów to jeden chór skarg na nieustanny ubytek ziemi, na brak stanu mieszczańskiego, na ciemnotę, lenistwo i upadek włościan, na brak ogólny kredytu i lichwę zabójczą, w której szponach jęczeli niemal wszyscy, na brak wykształcenia zawodowego, brak chęci współzawodnictwa na polu zarobkowem z wrogim żywiołem, brak wszelkich praktycznych cnót społecznych.

Po roku 1860 zaczynają się skargi i projekty zamieniać w czyny. Powstaje Centralne Towarzystwo Gospodarcze, pierwsze Towarzystwo pożyczkowe, pierwsze Kółka włościańskie, a mniej więcej dziesięć lat później dochodzi do założenia pierwszych wspólnych akcyi finansowych na większą skalę.

Ale pierwsze te próby nie przynoszą upragnionego rezultatu, wyrządzają po części nawet olbrzymią szkodę społeczeństwu. Powstał, aby po paru latach istnienia upaść, Tellus (przedsiębiorstwo, które nagromadziło największe zakładowe kapitały, na jakie się Księstwo w XIX w. zdobyło, aby ratować większą własność ziemską). — Bank włościański, założony dla wspomagania mniejszych gospodarstw, minął się z celem, i interesentom chłopom wręcz szkody wyrządzał[1], a banki prywatne i spółki poczciwe, nieumiejętne prowadząc gospodarstwo chwiały się i upadały.

Brakło sił zawodowych do prowadzenia przedsiębiorstw finansowych, nie było kontroli nad zawiadowaniem groszem cudzym, nie dostawało zaufania, iżbyśmy mogli o własnych siłach poprawić dolę ogółu.

Brakło funduszu do ratowania ziemi i melioracyi majątków, do podniesienia przemysłu i handlu, do uwolnienia się ze szpon lichwy. Pieniądze leżały w skrzyniach i kryjówkach, a światlejsi

[1] Dzisiaj pod zmienionem kierownictwem zupełnie działa prawidłowo.

oddawali je do kas miejskich, powiatowych lub banków niemieckich i żydowskich. Zdawało się, że Polak rzeczywiście nie jest stworzony do powstania o własnych siłach, — a tymczasem rząd z coraz większą natarczywością i nakładem materyalnym poczynał się zabierać do tępienia żywiołu polskiego.

Nie zabrakło po stronie polskiej usiłowań, które na polu finansowem chciały stworzyć jednolitość akcyi spółkowej. Ale mimo najlepszych chęci wybitniejszych jednostek, mimo zrozumienia rzeczy z ich strony, przez trzy dziesiątki lat (1861—1891) nie osiągnięto potrzebnego skutku. Warstwy wchodzące w rachubę i jednostki działające w pojedyńczych organizacyach finansowych nie były jeszcze dość rozwinięte, doświadczone i dojrzałe.

Dzisiaj każde przedsiębiorstwo spółkowe w Księstwie dąży do tego, aby je Związek spółek przyjął do swego łona. Wie bowiem, że istnienie i rozwój jego od tego faktu zależne, że jego śmierci równałoby się wykluczenie ze Związku. Patronat zaś Związku ma egzekutywę swych rozporządzeń, którym się każda spółka poddać musi. Patronat też jako centralna instytucya decyduje o zakładaniu spółek nowych tylko w miarę potrzeby i widoków powodzenia, on kształci je, opiekuje się niemi, wspiera przysługującymi mu środkami. Przez pierwsze trzy dziesiątki istnienia Spółek tego wszystkiego nie było.

Nasamprzód powstawały Spółki bardzo powoli. Od chwili powstania Związku i Patronatu 1871 aż do roku 1891 (objęcia go przez Wawrzyniaka) założono 39 spółek, od r. 1877—87 tylko dwie, a cały szereg Spółek mimo wszelkiej pomocy patrona (ks. Szamarzewskiego), który dnie i tygodnie całe spędzał na miejscu dla sanacyi spółki i pouczenia zarządu, upadał tak, iż ogólny bilans wszystkich spółek w tym okresie chwiejną wykazywał tendencyę, liczba członków, udziałów, oszczędności nie tylko z roku na rok zawsze się nie zwiększała, lecz nawet malała w niejednym roku w stosunku do poprzedniego.

Zarządy pojedyńczych spółek kierowały się fałszywą ambicyą, tak, iż część ich ani patrona ani rewizorów Związku nie chciała wcale przyjąć i przedłożyć im książek. Wobec uległych zaś spółek nie przysługiwało Patronatowi w razie niedostatków prawo egze-

kutywy. Spółek nie można było zmusić do uwzględnienia choćby najsłuszniejszych i najpożyteczniejszych monitów. Dopiero nowe prawo spółkowe z d. 1. maja 1889 przyszło rozwojowi spółek w pomoc. Prawo to przepisywało obligatoryczną rewizyę każdej spółki w przeciągu dwóch lat i obowiązywało spółki do uwzględnienia wytkniętych przez rewizora niedostatków. Pozostawiało jednak do woli pojedynczym spółkom wybrać sobie rewizora osobnego i przedstawić go do potwierdzenia sądowi, albo też, o ile należały do jakiego związku, przyjąć rewizora przez związek ustanowionego i przez rząd potwierdzonego.

W Związku Spółek polskich postanowiono skorzystać z prawa i pozyskać przywilej rewizyi. Sądzono wszakże, że łatwiej rząd udzieli prawa rewizyi mniejszym organizacyom, niż jednemu polskiemu Związkowi i postanowiono istniejący Związek spółek zamienić na trzy związki. W komisyi zajmującej się tą sprawą na sejmiku w Poznaniu (1889) przekonał ks. Piotr Wawrzyniak, dyrektor spółki śremskiej, obecnych, że rozbicie zjednoczenia byłoby wprost zgubne dla spółek. W *plenum* wszakże zarzucono ks. Wawrzyniakowi chęć przewodzenia i ukrócenia praw poszczególnych spółek, arbitralność i bezwzględność, nie zrozumiano wartości jednej wielkiej, silnej organizacyi, wywrócono uchwałę Komisyi i ignorując główny Związek i Patronat, uchwalono trzy związki rewizyjne z siedzibami w Poznaniu, Bydgoszczy i Kwidzynie (odnośnie do trzech obwodów rejencyjnych, w których spółki miały swoje siedziby). Skoro ministeryum wszystkie trzy związki zatwierdziło, rozpoczęła się walna kampania przeciw Patronatowi. Odezwały się głosy, że Patronat nie jest organem nadzorczym, lecz współrzędnym związkom. Na zaproszenie zaś Patronatu na wspólny sejmik do Inowrocławia (1890) odpowiedziała część spółek, że kompetencyi tego zjazdu nie uznaje i delegatów nie przyśle. Większość zaś delegatów przybyłych na sejmik, w braku zrozumienia doniosłości Patronatu dla spółek, usunęła zupełnie wpływ jego na związki rewizyjne i spółki do nich należące. W dyskusyi zastanawiano się nawet nad tem, czy Patronowi wogóle można pozwolić przemawiać na sejmiku. W ten sposób, odebrawszy Patronatowi prawo rewizyi i egzekutywy, zupełnie go uśmiercono.

W bardzo wszakże już krótkim czasie doświadczono w całym szeregu młodszych zwłaszcza i słabszych, a więc najwięcej pomocy i opieki potrzebujących spółek, jaką szkodę stanowiło dla nich uszczuplenie kompetencyi Patronatu. To też na najbliższym sejmiku (w Środzie, 1891 r.) zrozumiano wreszcie od dawna przez Wawrzyniaka przedstawiane znaczenie łączności i uchwalono połączenie wszystkich trzech związków w jeden związek, którego Zarząd miał stanowić Patronat, na Patrona zaś wybrano w miejsce zmarłego w tymże roku ks. Szamarzewskiego — ks. Piotra Wawrzyniaka.

Doprowadzenie do skutku tej centralizacyi, która jest podwaliną dalszego tak pomyślnego rozwoju Spółek, to jedna z najważniejszych zasług zmarłego.

Wawrzyniakowi zarazem zawdzięczają spółki wprowadzenie w życie centralnej instytucyi pieniężnej i zachowanie korzystnego stosunku jego do spółek. Przez szereg lat daremnie z rozmaitymi bankami robiono próby, aby pozyskać zakład, któregoby zadaniem było udzielanie spółkom pod jak najkorzystniejszymi warunkami potrzebnego kredytu i przyjmowanie przezeń zbytnich kapitałów na taką stopę procentową, jakaby je chroniła przy przyjmowaniu depozytów od straty — czyli regulowanie przypływu i odpływu pieniędzy po spółkach.

W braku takiego instytutu nie mogły Spółki należycie się rozwijać. Aby uchronić się od strat udzielały bowiem Spółki wtedy dopiero pożyczek, gdy depozyta napłynęły w dostatecznej ilości, i odwrotnie wtedy tylko przyjmowały oszczędności, gdy nadeszły wnioski o pożyczki w odpowiedniej ilości i wysokości Dopiero Wawrzyniak na sejmiku w Chełmnie (r. 1885), jako referent Komisyi, przedłożył i przeprowadził w *plenum* rezolucyę, która zapewniła założenie Banku Związku Spółek. W tymże samym roku powstał taki Bank, którego kuratorem ustanowiono każdorazowego patrona, w tym celu, aby z jednej strony dokonywał kontroli nad bankiem, a z drugiej strony reprezentował interesy Spółek wobec Banku.

Jako kurator Banku nie poprzestał być Wawrzyniak nigdy troskliwym opiekunem Spółek, starając się zachować potrzebny wpływ Spółek na Bank, aby mogły korzystać z koniecznego dla

nich taniego kredytu. Jest to moment niesłychanej wagi, zwłaszcza że Centralna Kasa Spółkowa Pruska w Berlinie, stworzona dla Spółek, przestała służyć Związkowi polskich Spółek kredytem po krótkim czasie pod wpływem kursu antypolskiego.

Jeśli się zważy, że w innych społeczeństwach, znajdujących się w normalnych politycznych stosunkach, bez takiej centralnej instytucyi państwowej o zakładaniu nowych Spółek i wspieraniu ich w razie potrzeby częstokroć mowy niema, to już ten jeden szczegół doniosłość przeprowadzenia Banku Związku i rozwijania go zapomocą emisyi nowych akcyi w miarę potrzeby w właściwem okazuje świetle.

Przez lat dwadzieścia i parę był Wawrzyniak wicepatronem i patronem i w czasie tym stworzył przedewszystkiem szkołę, która ma swe filie w całym kraju po miastach, miasteczkach i wsiach. Szkoła ta powstała z wyboru społeczeństwa. Grono ludzi, pragnących dopomódz sobie i drugim, zaspokoić potrzeby kredytu, przeprowadzić parcelacyę gruntów, ułatwiać nabycie lub zbyt produktów, nakłonić najszersze warstwy, nie mogące same zająć się produkcyą, do oszczędności przez danie im korzystnej sposobności lokacyi kapitałów, zbiera się i wybiera ze swego łona najzacniejszych i najzdolniejszych do kierowania, a przedewszystkiem kontroli przedsiębiorstwa. Wybrani przyjmują ludzi mających się zająć wykonaniem zamiaru spółkowców już nie tyle w charakterze doradców, lecz urzędników powstającego przedsiębiorstwa.

Tę formę postępowania daje pruskie prawo spółkowe, ale nie daje ono jeszcze przedsiębiorstwu żadnej rękojmi rozwoju. Wszystko zależy od ludzi. A jaki materyał posiada na ten cel zabór pruski, z jakich zawodów mogło brać społeczeństwo polskie potrzebny do Rad Nadzorczych i Zarządów materyał aż do ostatnich czasów? W pierwszych dziesiątkach lat istnienia spółek zasiadali w kierownictwie spółek obok rolników, kupców, przemysłowców, lekarzy, organistów, księży — sędziowie i nauczyciele. Niezadługo jednak rząd te najkompetentniejsze siły odebrał naszym Spółkom. Pozostały materyał trzeba ćwiczyć i wyćwiczyć. W tem jedna z największych zasług Wawrzyniaka. On to zapomocą rewizyi długotrwałych, nauk i rad listownych, kursów

specyalnych, pisma — organu Związku — *Poradnika dla Spółek*, sejmików, wskazówek drukowanych dla Zarządów i Rad nadzorczych — przez lat dwadzieścia kilka wykształcił setki spółkowców.

Takie zaś zasady wcielał w ustroju i życiu prowadzonych przez siebie organizacyi, że najcięższe napaści ze strony rządu i swoich, któreby każde mniej oględnie prowadzone przedsiębiorstwo do ruiny doprowadziły niechybnej, bez strat dla nich się zakończyły i tem więcej wzmocniły ich posady.

Dzisiaj członkowie zarządów większych spółek, to już rutynowani w swoim rodzaju specyaliści. Ponieważ zaś wiele spółek kilkunastomilionowy ma obrót i odpowiednie może płacić pensye urzędnikom swoim, więc w ostatnim dziesiątku lat posady w nich dla młodzieży inteligentnej (dla zamknięcia przed nią karyery urzędniczej) stanowią wielką atrakcyę. Coraz też więcej młodzieży tak swoje studya akademickie układa, aby się poświęcić pracy w spółkach (noszących oczywiście w wielu razach nazwę banków). Już też w zarządach wielu spółek mamy zawodowo wykształconych bankierów i prawników na posadach dyrektorów, kasyerów i kontrolerów. W tem zaś dowód, że polskie gospodarstwo pieniężne w Księstwie i Prusach Zachodnich wyrosło już z powijaków i stanąć może w rzędzie rozwoju finansowego innych społeczeństw.

Ta szkoła spółkowa jest jedną z najwalniejszych podstaw społeczeństwa. Towarzystwa robotników, Kółka rolnicze, Związki zawodowe, Czytelnie to także środki wyszkolenia społeczeństwa, ale organizacye te są z natury swojej organizacyami oświatowemi. Spółki to organizacye gospodarcze. W nich każdy biorący udział w zarządach ma zupełnie inną odpowiedzialność, bo on ma w swej mocy grosz publiczny, złożony przez najuboższych. Nieustannie musi myśleć, jaki koniec weźmie jego postępowanie, a świadom jest, że nie w prywatnem pracuje przedsiębiorstwie, ani swoim zarządza groszem, lecz że odpowiedzialny jest za majątek ogółu przed społeczeństwem, które go w razie jego winy pociągnie do odpowiedzialności publicznie i odbierze mu imię dobre, choćby nawet prawo nie karało go więzieniem lub grzywną.

Mimo przywiązania, jakie twórca i wychowawca musi mieć

do swego dzieła, nie był Wawrzyniak zaślepiony w swoich spółkach pożyczkowych, nie widział w nich doskonałości, uznawał ich niedostatki i dążył do poprawy i rozwoju. We wszechstronności swej i widnokręgu szerokim, nie ograniczał się też na spółki pożyczkowe, jako jedyną formę spółkowej kooperatywy. Gdy z biegiem czasu zarysowała się coraz jaśniej potrzeba ujęcia handlu ziemią we właściwe ręce i pośrednictwa w sprzedaży i parcelacyi, począł Wawrzyniak zakładać Spółki parcelacyjne. Zrozumiał on i wykazał, że do obrony ziemi konieczna jest nie dorywcza praca, niepodlegająca żadnej kontroli jednostki, lecz organizacya stała i dążąca do wytkniętego celu, zaopatrzona w większe kapitały, na jakie tylko zbiorowe siły w Księstwie zdobyć się mogą i w specyalną znajomość prawa hipotecznego.

Działalności tej Spółek parcelacyjnych, stosujących swą działalność w miarę przeszkód stawianych przez rząd, wiele włościaństwo polskie zawdzięcza.

Skoro zaś wykształciły się potrzebne siły zawodowe w Spółkach a finansowe instytucye nasze lokalne mogły służyć innym przedsiębiorstwom potrzebnym kredytem, przystąpił Wawrzyniak do zakładania Spółek, któreby drogą ściśle kupiecką zaopatrywały rolników w niefałszowany, rzetelny, niezbyt drogi towar, jak sztuczny nawóz, nasiona, artykuły pastewne, węgiel i t. p., a odbierały od producentów po targowej cenie bez żadnych szykan produkty rolne (Rolniki). W przeciągu lat kilku stały się »Rolniki« potęgą handlową, działającą zwłaszcza dla dobra włościan polskich jako nieustające dobrodziejstwo.

Spółki polskie pod zaborem pruskim to tryumf samopomocy pieniężnej nad lichwą, to strumień złota ożywczy, skierowany na pola ziemian, do warstatów rzemieślników, do składów kupców, do wsparcia upadających pod nawałą wroga we wszystkich stanach — to skarb społeczny, do którego płyną rzekami i strumykami zdroje złota, którym bojaźń, nieufność i niewiadomość, nie pozwoliła dawniej ukazać się na światło dzienne, to najwalniejsza broń wobec pochłaniającego żywiołu, to najrzetelniejsze zdrowia i żywotności społeczeństwa świadectwo, to najskuteczniejszy

środek czynnej miłości bliźniego i kraju, to dokument postępu gospodarczego i kultury, to podstawa nadziei w inną przyszłość.

Stąd zaś znów powstało i ugruntowało się w społeczeństwie zaufanie do samopomocy pieniężnej do własnych zasobów i do umiejętności administracyi, jakiego poprzednio wcale nie było. Instytucye finansowe polskie przestały być synonimem niegospodarstwa i napawać lękiem wierzycieli i opinię publiczną. Skutki tego w gospodarstwie społecznem widnieją na każdym kroku. Lichwa należy do wspomnień. Każdy członek społeczeństwa dający dla swej zdolności umysłowej, fizycznej i moralnej gwarancyę postępu gospodarczego, uzyskuje tani kredyt. Melioracye majątków ziemskich, nabytki nowych dokonywują się z łatwością; przedsiębiorstwa handlowe i przemysłowe rosną w liczbę i siłę; wytwarza się w oczach, mimo ucisku, stan średni.

Zazdroszczą dzisiaj Niemcy polskim spółkom rzetelności i sumienności w personale i ich uczciwość za wzór sobie stawiają. Nie przestają przytem zastanawiać się bezustannie nad przyczynami, które z nieproduktywnych marzycieli i gnuśnych fantastów, zwątpiałych, niezdolnych do systematycznej pracy, wytworzyły legiony wzorowych służbistów, a ogółowi przyswoiły pojęcia słowności, gospodarczości i oszczędności. Ale nad to wszystko podziwiają jedno myślność, gdy chodzi o dobro ogółu i kierowanie się tym względem z uszczerbkiem osobistej materyalnej korzyści. Widzą bowiem, że spółki polskie to nie tak jak u nich, proste przedsiębiorstwa finansowe, obliczone na zysk udziałowców, lecz instytucye wspierające metodycznie tych wszystkich, którzy na poparcie zasługują i zbierające fundusze rezerwowe dla dobra wspólnego, a działające zarazem najściślej w obrębie prawa spółkowego.

Spółki polskie w rozwoju swoim pobiły niemieckie, powstające i istniejące w Księstwie i Prusach Zachodnich z inicyatywy i z pomocą rządu. Setki spółek niemieckich wegetuje i utrzymuje się sztucznie lub na papierze. Tak jak w całem gospodarstwie antypolskiem, tak i tu przedstawia się potemkinowski system. Zależy na tem, aby wykazać centralnemu rządowi w Berlinie, że Księstwo posiada wszędzie po wsiach nawet niemieckie spółki, stanowiące tamy wobec zachłanności Polaków. Więc nauczyciel

w swojej wsi, komisarz w swym obwodzie, radca ziemiański w swoim powiecie, prezes rejencyi w swoim obwodzie, prezes naczelny w swojej prowincyi starają się o nie, by się dobrze zapisać. Potrzeba spółek zachodzi wszędzie, bo wszędzie są Niemcy pragnący pożyczyć pieniędzy, a fundusze zawsze się znajdą, bo na ten cel istnieje od r. 1895 osobna, wyżej już wspomniana, Kasa Centralna Pruska w Berlinie. Tylko każdy chce brać, a nikt prawie nie składa. Tem większa zaś zachodzi potrzeba spółek i kredytu, im więcej polityka rządowa przyzwyczaja Niemców do szukania i znajdywania gotowego poparcia u rządu, a nie liczenia na swoje siły. Kością pacierzową przeciętnego Niemca w Księstwie jest rząd pruski, bez niego on stać ani poruszać się nie może, nie mówiąc już o urzędnikach, których rząd przyciągać musi do Księstwa, dawać wyższe posady i premie im płacić w postaci dodatków kresowych, stypendyów dla dzieci, funduszów gadzinowych i t. d. za sam pobyt — urzędnik emerytowany nigdy prawie nie pozostaje w Księstwie.

Podczas więc gdy rząd pruski wytworzył u urzędników pojęcie, że za pełnienie prostego obowiązku w dzielnicach polskich należy im się awans, pensya wyższa, osobne dokładki i mieszkanie wytworne, a u wszystkich Niemców przekonanie, iż rząd za to, że zostają Niemcami i nie sprzedają swych gruntów i przedsiębiorstw Polakom, osobną daje pomoc na każde zawołanie. — Wawrzyniak, stojący na czele życia społecznego Polaków pod zaborem pruskim, głosił zasady, iż społeczeństwo ma prawo domagać się od tych, którym pomoc dawało przez stypendya do wykształcenia zawodowego, a od tych, którym powierza posady płatne w instytucyach gospodarczych, bezpłatnej pracy społecznej i nie będzie znosiło ich bierności, ich egoizmu i obojętności wobec potrzeb społeczeństwa.

Specyalnością Wawrzyniaka były spółki, ale nie zasłaniały mu one nigdy widoku na całokształt interesów gospodarstwa społecznego. Ogólne są dzisiaj skargi wśród średniego stanu przemysłowców i kupców w Niemczech a zwłaszcza w Księstwie na podkopywanie bytu przez organizacye spółkowe i forytowanie ich przez

rząd dla dobra popieranych przezeń rolników importowanych a na niekorzyść jednostek tubylczych w sferze kupieckiej i przemysłowej.

Wawrzyniak nie miał nigdy ambicyi, aby przez popieranie swojego dzieła psuć równowagę i proporcyę w gospodarstwie społecznem. Nie chciał, aby kooperatywa godziła w siły i dziedziny poszczególnych zawodów i inicyatywę osobistą. Tam, gdzie istniał rzetelny, postępowy i wykształcony zawodowo kupiec Polak, tam nie pozwolił na założenie »Kupca« [1] ani »Rolnika«, aby nie podkopywać bytu polskiemu powstającemu stanowi kupieckiemu. Podobnie zapatrywał się na urządzanie domów towarowych na wsi przez obywateli wiejskich z wykluczeniem zawodowych sił kupieckich.

Wielki jego zmysł logiczny konsekwentnie prowadził go do podziału pracy i traktowania osobno odrębnych od siebie dziedzin. Dzisiaj w Księstwie utarło się wreszcie przekonanie, że mieszanie jednego działu pracy publicznej z drugim jest szkodliwem. Ale gdy Wawrzyniak zaczynał swoją pracę i długo jeszcze potem, brakło zupełnie tego pojęcia. Niebezpieczeństwo zaś skutkiem takiego pomieszania pojęć i wykroczenie przeciw państwowym prawom mogłoby dla społeczeństwa polskiego jak najsmutniejsze było wywołać następstwa. Żądano, aby spółki pożyczkowe oddziaływały na wybory polityczne i nabywały zagrożone komisyą kolonizacyjną wsie, chociażby wbrew ustawom i z widoczną stratą członków swoich!

Głosy takie, wygrane na patryotycznej surmie przez publicystów, nie znających się na rzeczy, i dzisiaj jeszcze słyszeć można — lecz dzisiaj już pozostają bez wpływu. Wawrzyniaka to zasługą, że rząd nigdy nie miał racyi występując przeciw Spółkom polskim, a wystąpiwszy zawsze ulegał i klęskę ponosił i niczem nie mógł rozwoju Spółek z ich winy hamować [2].

---

[1] »Kupcem« nazywa się spółka, która prowadzi handel towarami kolonialnymi, bławatnymi, żelaznymi i t. d.

[2] Związek Spółek — stwierdził Bernhard w *Das polnische Gemeinwesen im preussischen Staat* — dawnoby już był zawikłany w polityczne procesy, gdyby choć tylko odrobinę w politykę się bawił. Od czasu jak Wawrzyniak jest patronem, należy do niezłomnych zasad każdej polskiej spółki, iż nigdy się interesów spółkowych nie miesza z kwestyami politycznemi.

To oględne, rozumne, coraz większą aprobatę zyskujące postępowanie w sprawach gospodarczych sprawiło, że i w innych dziedzinach publicznych do Warzyniaka się uciekano i ster ich mu powierzano.

Wybrano go z czasem prezesem najwyższej władzy politycznej polskiej w całej Rzeszy niemieckiej, której podporządkowują się wszystkie stronnictwa, członkiem Dyrekcyi Towarzystwa Pomocy Naukowej imienia Marcinkowskiego, członkiem Głównego Zarządu Katolickich Towarzystw Robotników Polskich, jednym z wicepatronów Kółek włościańskich, prezesem Towarzystwa Fabrykantów Polskich oraz Towarzystwa Wydawców Polskich, prezesem Wydziału Prawno-ekonomicznego Towarzystwa Przyjaciół Nauk, wybierano go na przewodniczącego sejmików delegatów Czytelni ludowych, Towarzystw przemysłowych i najrozmaitszych innych — jednem słowem, żadne przedsiębiorstwo gospodarcze czy społeczne bez jego współudziału i aprobaty w ostatnich latach się nie obywało. Obecność sama ks. Wawrzyniaka stanowiła legalizacyę ze strony społeczeństwa i zadatek pomyślnego rozwoju nowej instytucyi; aprobata Wawrzyniaka była konieczna bez względu na to, jaki stan zabierał się do dzieła. Autorytet zaś jego był tak ogólnie uznany, że nekrologi całej prasy miały wspólne pochodzenie — jednego na żadne partye nie podzielonego obozu polskiego, który wśród walki stracił wodza. Wielkość jednak Wawrzyniaka objawiła się najwięcej w chwili jego zgonu. Każdy Polak pod zaborem pruskim wiedział, czem dla społeczeństwa polskiego był Wawrzyniak, a jednak nie ogarnął nikogo ani na mgnienie oka lęk o przyszłość. Nim z oczu spłynęły po obliczach pierwsze łzy, usta narodu zawołały z siłą ducha, którego tchnął nieboszczyk w naród, i z niewzruszonym pokojem:

»Pewni jesteśmy, wiemy nawet, że żadnemu z dzieł jego nic w niczem nie zagraża«.

W świetle statystyki był Wawrzyniak jednym z patronów jednego z najmniejszych związków spółek w Niemczech, rozciągającego się tylko na dwie prowincye pruskie, w których inne związki pod względem liczby spółek i członków daleko są silniej-

sze. Ale w świetle historyi gospodarstwa społecznego działalność Wawrzyniaka przedstawia się zupełnie inaczej. W niej stanie on obok wielkich mężów, małych w sobie, ale dominujących w świecie republik ateńskich, rzymskich, weneckich, florenckich. On był kierownikiem gospodarstwa całego, osobnego społeczeństwa i jego wychowawcą w najtrudniejszych warunkach, w jakich kiedykolwiek społeczeństwo jakie istniało — społeczeństwa, które oddzielone od reszty narodu, umiało się skonsolidować i ukształtować, nie posiadając bytu politycznego i formy rządu.

Wawrzyniak przyszedł w czasach (wicepatronem w 1887, patronem w 1891), kiedy Prusy za wszelką cenę postanowiły przeprowadzić asymilacyę Polaków, odebrać im ich charakter narodowy, obyczaje, język i podstawy bytu i rozwoju materyalnego. Przyszedł w czasach, kiedy społeczeństwo polskie pojęć i środków potrzebnych do obrony nie miało i stąd na poddawanie się istniało u ogółu uniewinnienie. Jak Mojżesz począł bić w opokę, wierząc niezłomnie, że z twardych, poniechanych skał ożywcze potoki wytrysną i kierował je na pola pracy społeczeństwa a doglądał, by wszystko szło poprawnie i nic nie ginęło; jak Mojżesz oczy miał skierowane na cały naród i jak on prowadził go niestrudzenie ku przyszłości obiecanej.

Prawda, że na wielu polach już zastał przygotowania, że znalazł dzielnych współpracowników, że przez nowe objawy ogólnej ekonomicznej natury powstawały nieznane źródła zarobkowania dla ludu, a przez politykę rządu pieniądz napływał do kraju w niebywałej dotąd ilości — ale kierującym całem gospodarstwem wodzem, był zawsze Wawrzyniak. I powtórzyła się historya: gdy zbrakło sił do przewodzenia narodowi książętom i wielmożom, kmieciowi oddała widomie Wielkopolska władzę, i po tysiącu lat znów panował nad Gopłem, Wartą i Wisłą — Piast.

(Dok. nast.)

Ks. Kazimierz Zimmermann.

DONKISZOTERYA MASOŃSKA WŚRÓD MŁODZIEŻY KRAKOWSKIEJ.

Z zamiarem pisania o niniejszej sprawie nosiliśmy się już od dawna. Chcieliśmy zwrócić uwagę ogółu na poszlaki, przemawiające za tem, że w pewnem gronie akademickiej młodzieży krakowskiej pojawiać się zaczynają dążności, właściwe tylko lożom masońskim. Poszlak tego rodzaju, które każdemu bacznemu obserwatorowi mogły wpaść w oko, było dość, — nie było jednak pewności, czy należy je odnieść do objawów jednostkowych, czy do zorganizowanej akcyi ogólniejszej. Z tego też powodu odłożyliśmy urzeczywistnienie zamiaru na później.

W ostatnim jednak czasie położenie wyjaśniło się zupełnie; prawdopodobieństwo stało się pewnością. Namnożyło się tyle publicznych odezw hektografowanych i drukowanych, agitacya przy publicznych występach i zgromadzeniach stała się tak jawną, że dziś mamy już do czynienia ze zjawiskiem notorycznem, które każdy stwierdzić może. Doszło do tego, że organizacya, o której mowa, ogłasza publicznie w pewnych dziennikach, nie tylko swoje odezwy, ale nawet i konfidencyonalne akty.

Ażeby sprawa była jasno postawioną, wytłumaczymy od razu, co rozumiemy pod ruchem masońskim.

Czy organizacya, o której będzie mowa, jest formalną lożą masońską, czy nie, o to nam nie chodzi. Czy kilkudziesięciu ludzi rozdzieliło między siebie tajne stopnie hierarchiczne, czy wiążą się wspólnie jakiemś sekretnem hasłem, czy przy ceremonii przyjęcia przykładają sztylet do piersi czy nie — te i tym podobne

dzieciństwa nie ambarasują dzisiaj nikogo. To też od lat kilku spotykamy się w całej Europie z tem zjawiskiem, że obok formalnych lóż powstają pod różnemi nazwami stowarzyszenia, wolne od wszystkich zewnętrznych form masonii, ale o identycznym z nią celu. Ma to być lekka jazda, któraby dotarła tam, dokąd tamuje przystęp ciężka organizacya przestarzałych form. Cel ostateczny ten sam: walka z wszelką religią.

Bardzo pouczający przykład tej taktyki mieliśmy w naszym kraju, gdy przed kilku laty w Warszawie zakładał p. Andrzej Niemojewski swoją ligę wolnej myśli. Jako cel tej ligi ogłasza jawnie walkę z religią, jednocześnie jednak unika troskliwie nazw »masonia« i »wolnomularstwo«, co więcej, nazwę tę publicznie odrzuca i przynależności swojej do masonii zaprzecza. Czuje jednak, że nie jest dokładnym. To też wydaje broszurkę p. t. »O masonii i masonach«, w której wprawdzie ponownie zapewnia, że masonem nie jest, w całej jednak broszurce do niczego innego nie dąży, jak do apoteozy masonii. Co więcej. W jednym ustępie, wyliczywszy cele i idee swojej ligi wolnej myśli, dodaje następujące słowa: »Wszystkie te idee współczesne wolnomularstwo wyznaje na równi z librpenserami i stara się je metodami społecznemi wprowadzić w życie«. I to określenie nie wystarcza jeszcze p. Niemojewskiemu. Wraca raz jeszcze do tej sprawy w pierwszym roczniku »Myśli niepodległej«, w zeszycie siódmym. Czytamy tam w artykule o wolnej gminie czyli lidze wolnej myśli taki ustęp: »Ludzie płytcy nazwą nas masonami. Ale wyniknie to z nieznajomości zasad masoneryi. Trzy są powody, dla których gmina wolna i masonerya stanowią instytucye odrębnych charakterów. Masonerya jest dla wybranych, gmina wolna jest dla wszystkich. Masonerya jest stowarzyszeniem zamkniętem, gmina wolna jest instytucyą jawną, jest właśnie gminą. To jedno. Następnie, masonerya ma swój sekret; wprawdzie ów sekret należy do przeszłości, ale istnieje on dalej w formie dyskrecyi związkowej. Gmina wolna nie ma żadnego sekretu, żadnej dyskrecyi związkowej; wszystko co się dziać będzie, musi być jawne, musi w najdrobniejszych szczegółach podlegać kontroli publicznej i publicznej krytyce. To drugie. A wreszcie trzecie. Maso-

nerya jest zbudowana na podstawie hierarchii, posiadając stopnie ucznia, czeladnika, mistrza. Gmina wolna musi być instytucyą na wskróś demokratyczną«.

Przytoczenia powyższe wskazują dość jasno na istotę i rodzaj nowych tych antyreligijnych stowarzyszeń. Istota rzeczy pozostaje ta sama, co w lożach masońskich, różnice zaś, jakie zachodzą, są czysto formalne i mają na oku łatwiejszy dostęp do dzisiejszego społeczeństwa, które, jako demokratyczne, z natury rzeczy, nie odczuwa sympatyi do kół zamkniętych i uprzywilejowanych. Osiągają te stowarzyszenia jeszcze i tę dogodność, że omijają trudności prawne, jakie dane ustawodawstwo państwowe może stawiać masonii, — a co najważniejsze — uchylają od siebie, przynajmniej do czasu, zarzut ślepego fanatyzmu i tendencyjnej stronniczości, jakie z pojęciem masonii się zrosły. W miejsce niesympatycznej nazwy »masonii« tworzy się nazwy bardzo postępowe i bardzo ponętne, jak »Liga praw człowieka«, »Liga wolnej myśli« lub »Towarzystwo etyczne«, zapewniające powodzenie nowego kursu tak długo, dopóki społeczeństwo się nie spostrzeże, że pod nowym szyldem mieści się stary towar.

Otóż takiemi stowarzyszeniami w łonie polskiego społeczeństwa są »Polska liga wolnej myśli« w Paryżu, wolne gminy Niemojewskiego w Królestwie, akademicka »Liga wolnej myśli« we Lwowie i »Towarzystwo etyczne« w Krakowie. To ostatnie jest oddziałem wiedeńskiego Towarzystwa etycznego, i to tak dalece, że rządzi się statutem, pisanym po niemiecku, a istniało w pewnej łączności z socyalistycznem akademickiem stowarzyszeniem »Spójnia«, jako sekcya tego stowarzyszenia.

I to krakowskie Towarzystwo etyczne jest przedmiotem niniejszego artykułu.

Istnieje ono w Krakowie już od lat kilku, ale aż po ostatnie czasy nie wykazywało zbytniej żywotności. Jeżeli już mowa o ruchu antyreligijnym w Krakowie, to w ostatnich latach reprezentowały go inne koła. Reprezentowali go najpierw socyaliści, którzy wobec niepowodzeń politycznych i idącego za tem zaniku wpływów społecznych, tem jaskrawsze, dla ratowania pozycyi, wywieszać zaczęli barwy antyreligijne. Dość hałaśliwy komunik

skupił się także koło *Krytyki* p. Feldmana i przedstawiał przez czas pewien dość znaczną siłę społeczną. Ostatnie jednak chwile przyniosły spadek kursu. Przyczyniły się do tego częściowo osobiste przygody p. Feldmana, głównie zaś to zoryentowanie się społeczeństwa, że sądami *Krytyki* nie kieruje żadne istotne kryteryum. Pan Feldman tak skwapliwie stosował się do każdego idącego ducha czasu, tak co kilka miesięcy zmieniał widnokręgi miesięcznika, jego idee i argumentacye, że nawet najbardziej oddani stronnicy wkońcu zrozpaczyli, nie wiedząc, co sądzić o rzeczach i za czem podążać mają. Najtragiczniejsze ewolucye przechodził miesięcznik w chwilach przejściowych, gdy nowy duch czasu nadchodził a dawny nie chciał ustąpić. Roiło się wtedy w piśmie od najsprzeczniejszych poglądów; jak ktoś zauważył, w jednym zeszycie mieściły się »orgiazmy płciowo-religijne Walecoskiej i pedagogiczne cnoty Baumfelda, chrześcijańska wiara Słowackiego i antychrześcijańskie wymyślania zakrystyanów wolności«! O ile zaś, na dnie tych wszystkich przemian, zostało jeszcze w osobistych poglądach redaktora to stałe kryteryum, że wszystko, co chrześcijańskie to wsteczne, to stwierdzić trzeba, że tyle razy kryteryum to weszło, pod piórem p. Feldmana, w komiczny konflikt z rzeczywistością i logiką, iż godną tę lepszych losów wytrwałość coraz częściej tłumaczą komentatorzy semickiem pochodzeniem autora. W tych warunkach przedsiębiorstwo coraz mniej ma widoków powodzenia.

Poza temi dwoma ogniskami akcyi antyreligijnej, był Kraków, w ostatnich czasach, widownią przygodnych tylko wydarzeń. Taką dogodną sposobność do antyreligijnych haseł dostarczały wiece abituryentów, na których Młodowska i Sempołowska głoszą, że religia nie powinna być przedmiotem studyów gimnazyalnych. Podobne występy odbywały się w gimnazyum żeńskiem, przy ulicy Wolskiej, gdzie Sempołowska uczyła, że w salach nie powinien wisieć krzyż Chrystusa, a uczennice nie powinny się modlić przed nauką. Z chwilą jednak wystąpienia ogółu przeciw temu gimnazyum, ruch ten przycichł, a nauczycielki tego pokroju opuściły Kraków.

Był jednak ktoś, który był i jest po dziś dzień stałem ogniskiem akcyi antyreligijnej w Krakowie. Jest to rodzina Bujwidów.

Ekscentryczne występy antyreligijne pani Bujwidowej były tak częste, że przestano się już niemi interesować w Krakowie. Jeżeli wspominamy to nazwisko w tem miejscu, to dlatego tylko, że stoi ono w bezpośrednim związku z tem Towarzystwem etycznem, o którem piszemy. Ożywiony ruch w tem Towarzystwie datuje się od chwili, w której Towarzystwo zetknęło się bezpośredniej z rodziną Bujwidów.

Pomostem była córka pani Bujwidowej. Przekonania religijne córki określa najlepiej sama matka w ulotnej broszurce p. t.: »Musisz kłamać moje dziecię«. Czytamy tam następujące zdanie: »Ponieważ oboje rodzice są niewierzący, przeto rzecz zupełnie naturalna, że i dzieci wierzącymi katolikami być nie mogą«. Z dalszego ciągu tegoż pisemka dowiadujemy się, że córka nie została dopuszczoną do matury dlatego, że nie chciała zdawać egzaminu z religii. W tym też roku pojawiła się na uniwersytecie jako nadzwyczajna słuchaczka.

Wszystkie te osobiste szczegóły dotykamy tylko dlatego, że, jak ogłosił *Naprzód*, pierwsze zebranie odnowionego Towarzystwa etycznego odbyło się w lokalu przy ul. Lubicz l. 28, to jest w lokalu Bujwida. Na zebraniu wybrano nowy wydział, którego charakterystyczną cechą było to, że kasyerką została p. Bujwidówna.

Od tej chwili poczęły się odbywać zebrania Towarzystwa etycznego, pojawiać się zaczęły odezwy różnego autoramentu, żywszą stała się agitacya antyreligijna. Wytoczono po prostu sprawę na *forum* publiczne.

Jakżeż przedstawia się Towarzystwo w tej ostatniej swojej fazie.

Statut Towarzystwa, jak wogóle wszystkie statuty analogicznych związków, jest nadzwyczaj elastyczny i każdej akcyi szerokie wrota otwiera. Jako próbkę, przytaczamy dwa pierwsze paragrafy, traktujące o celu i środkach Towarzystwa:

Cel stowarzyszenia

§ 1. Towarzystwo etyczne zamierza: budzić zmysł etyczny t. j. przyczyniać się do większego zainteresowania się tem wszystkiem czego wymaga prawdomowność, sprawiedliwość i miłość ludzi, oraz do okazywania tego czynem, — aby w ten sposób w poczuciu wspólnych etycznych celów zjednoczyć jak najwięcej ludzi dobrej woli, do spełnienia pewnych etycznych zadań.

Środki do osiągnięcia celu.

§ 2. Do osiągnięcia celu Towarzystwa mają posłużyć następujące środki:

a) Urządzanie w Stowarzyszeniu i poza niem odczytów i pogadanek na temat zagadnień i spostrzeżeń dotyczących życia obyczajowego;

b) wydawanie i rozpowszechnianie pism odpowiadających celom Towarzystwa;

c) wspomaganie wszelkiej reformy stosunków społecznych mającej jakieś cele etyczne — a w szczególności popieranie usiłowań skierowanych do polepszenia warunków życia klas niższych;

d) obmyślanie sposobów do osiągnięcia etycznego wychowania młodzieży;

e) otwieranie przybytków sztuki i nauki dla wszystkich warstw społecznych.

Wglądnijmy bliżej, jak te cele statutu były przez jego członków rozumiane.

Otóż pierwszą nutą, odzywającą się na posiedzeniach Towarzystwa, jest niezadowolenie z obecnego statutu, a dążność do statutu, jakim rządzą się ligi wolnej myśli Niemojewskiego. Zaraz na pierwszem posiedzeniu, którego tematem była kwestya: »Potrzeba i zadania ruchu wolnomyślnego u nas«, stwierdzono, że powołanem zostało do życia kółko wolnomyślne, o przekształconej nazwie: »Towarzystwo etyczne«. Przewodniczący zaznaczył, że dwa czynniki stoją na drodze do rozwoju tej instytucyi, a to: 1) policya, która w wolnomyślicielach widzi buntowników pań-

stwowego ustroju i nie chce zezwolić nawet na nazwę Towarzystwa wolnomyślnego, skutkiem czego musi ono przyoblec się w szatę »Towarzystwa etycznego« — 2) bierność społeczeństwa i jego nietolerancya pod tym względem. W dalszym ciągu wywodów zaznaczył przewodniczący, że statut dla Towarzystwa wziął od Ligi wolnomyślnej w Polsce i na podstawie jego skonstruował cztery następujące zadania Towarzystwa etycznego w Krakowie:

1) ochrona praw już nabytych,

2) walka o nowe prawa,

3) walka obronna i zaczepna z Kościołem katolickim,

4) zmuszenie społeczeństwa do liczenia się z Towarzystwem wolnomyślicieli.

Do tej samej kwestyi wrócono na następnem posiedzeniu, które odbyło się na temat: »Założenie ligi wolnej myśli w Krakowie staraniem Towarzystwa etycznego«. Referent wyszedł z faktu, że lwowska młodzież akademicka założyła już ligę wolnej myśli, opracowała jej statut i uzyskała właśnie urzędowe zatwierdzenie namiestnictwa, wobec czego i krakowskiej młodzieży nie byłoby już trudnem utworzenie takiej ligi. Celem takiej ligi, wywodził dalej mowca, jest walka z istniejącym porządkiem sił społecznych, w szczególności z religią chrześcijańską. Wstępujący do tej ligi mają dobrze zbadać siebie, czy nie podlegają jakimś przesądom religijnym. Bezpośredniem zadaniem członków Ligi będzie stworzyć pewien zespół ludzi, uświadomionych dobrze pod tym względem, aby ułatwić mogli zrozumienie tej sprawy innym. Liga taka powinna jednak powstać poza socyalizmem, bo socyalizm uznaje religię, jako rzecz prywatną, a liga wolnej myśli ani tego uznać nie może.

Posiedzenie to zamknięto rezolucyą wzywającą, by komitet zwołujący opracował statut takiej ligi i uzyskał zatwierdzenie namiestnictwa.

Poza tym planem stworzenia Ligi wolnej myśli, posiedzenia Towarzystwa wypełniane były szczelnie przez filipiki przeciw katolicyzmowi i wszelkiej religii wogóle. A więc przepowiednie, że katolicyzm runąć musi; narzekania, że klerykalizm i ducho-

wieństwo wzięło przewagę w każdej dziedzinie społecznej; że katolicyzm gniecie wolnomyślnych w Austryi, bo ludzi niechrzczonych nie przyjmuje się do szkół, nie pozwala się im zdawać matury, a jeśli jakiś nauczyciel wyjawi swoje wolnomyślne zapatrywania, to przeniesiony zostanie w zakątek kraju — i tak dalej.

Z postulatów, stawianych przez członków, wymieńmy trzy. Pierwszy, to rozszerzenie Towarzystwa etycznego na szkoły średnie; drugi projektuje to samo co do sfer robotniczych, a trzeci ma na oku agitacyę antyreligijną między ludem. Ten ostatni postulát wywołał obszerniejszą dyskusyę, co do sposobów i środków, jakimiby można wydrzeć wiarę religijną ludowi. Jeden z mowców podnosił, że »do chłopów trzeba pójść nie z próżnemi szufladkami lecz z warunkami materyalnemi, pracując szczerze wśród nich i dla nich, to jest dla polepszenia ich bytu materyalnego, nie mówiąc im od razu z góry, że Boga niema«. Inny mowca za taki środek uważał szerzenie oświaty a zarazem uświadamianie ludu, że nie czeka go za pozbycie się Boga żadna kara. Ktoś inny znowu zauważył, że agitacya taka miałaby obecnie szanse powodzenia, »gdyż ludowcy ze Stapińskim i narodowa demokracya już zbankrutowali i utracili przez swą sprzedajność wiarę u ludu«.

Bardzo ciekawie zarysowywać się zaczyna stosunek Towarzystwa etycznego do socyalizmu. Jeżeli członkowie Towarzystwa zechcą wyciągnąć konsekwencye ze swoich przekonań, to przyjść musi wkrótce do rozłamu, do czego też już po części przyszło. Raz po raz spotkać się można na tych posiedzeniach z krytyką socyalizmu, i to ostrą. Jeden z mowców zarzuca socyalistom niekonsekwencyę, »iż zabierając się do pracy, zaczynają od strony ideowej i abstrakcyjnej, według swego błędnego programu, zamiast zacząć od stworzenia ludowi lepszych materyalnych środków do życia«. Inny zarzuca socyalistom »aptekarstwo, hipokryzyę i nieszczerość, gdy idzie o kwestyę religii, w imię której bałamucą lud, zamiast go oświecić i prowadzić do walki z religią«. Głównym kamieniem obrazy jest twierdzenie socyalizmu, że religia jest rzeczą prywatną.

Obrady te, w których brało udział zwykle kilkudziesięciu

(od 20 do 50) członków, rzucają światło na obecne stadyum Towarzystwa, jako na stadyum przygotowawcze. W toku jest reorganizacya Towarzystwa i rozszerzenie go na szersze sfery.

Hasłem, które z szczególnym naciskiem padło na jednem z posiedzeń, było wezwanie do energicznego działania na zewnątrz.

Wkrótce też temu wezwaniu stało się zadość.

Pierwszym aktem tej działalności było uczczenie rocznicy Ferrera, uświetnione odezwą do młodzieży. Odezwę tę przytaczamy w całości:

»Rok mija od rozstrzelania Ferrera.

Dnia 13. X. 1909 r. padł za kulturę i wolność na kamienny bruk podworca fortecznego w Montjuich. Został zamordowany przez rząd za poduszczeniem fanatycznego kleru katolickiego, przeciw któremu całe życie w imię swobody czynu i myśli skutecznie walczył.

Krwawa zemsta Chrystusowego Kościoła nie minęła bez echa. Wzmagające się siły rewolucyjne w Hiszpanii, zwycięstwo tych sił w Portugalii przyniosły klęskę katolicyzmowi. Lud za Pirenejami zrozumiał wymowę niewinnie przelanej krwi.

Dziś Rzym rozpoczął walkę przeciwko całej współczesnej kulturze. Do walki tej organizuje Kościół ciemnotę głębokich mas ludowych. Myśli współczesnej rzuca widmo fanatyzmu tyrolskich chłopów, co z widłami pod wodzą księży ciągnęli na uniwersytet insbrucki.

Wojenna postawa Kościoła katolickiego wobec współczesnej wiedzy i filozofii zmusza nas do najenergiczniejszego skupienia wszystkich sił naszych pod sztandarami swobodnej myśli.

Łączmy się!

Przeciwko fanatyzmowi mas — nieśmy w masy kulturę!

Przeciwko pięści wojujmy myślą!

Precz z katolicyzmem: wzywamy was do gromadnego występowania z Kościoła. Wzywamy was do walki!

Aux armes, citoyens!«

Drugim krokiem było zwołanie, w celach agitacyjnych, publicznego zebrania, na którem, jak donosi *Naprzód*, przemawiali dwaj akademicy; jeden z nich mówił o encyklikach papieskich. W notatce tej *Naprzodu* (nr. 237), redagowanej widocznie przez członka Towarzystwa etycznego, zapowiedziana jest tajemniczo dalsza akcya Towarzystwa na uniwersytecie, gdzie — przytaczamy słowa — »udało się już poczynić pierwsze kroki«.

W którą stronę skierowały się te kroki, wskazały następne

fakty. W miesiąc po tej notatce wybuchły na uniwersytecie rozruchy, z okazyi prelekcyi księdza Zimmermanna. Cała sprawa księdza Zimmermanna jest dziełem Towarzystwa etycznego.

W Towarzystwie etycznem padło hasło do tej akcyi — z Towarzystwa etycznego wyszła agitacya, która spędziła pod sztandar wojenny całą rewoltującą młodzież, Towarzystwo to opanowało także dziennik socyalistyczny *Naprzód*, który, sam nie wiedząc jak, wbrew zasadom socyalizmu, poszedł pod rozkazy agitacyi masońskiej i jarzmo to po dziś dzień dźwiga.

Pomijając inne, bardzo konkretne dowody, mamy w ręku wszystkie akademickie odezwy, odnoszące się do tej sprawy — stwierdzić więc bardzo łatwo można, że pierwsze odezwy wyszły od Towarzystwa etycznego. Zresztą rolę tę Towarzystwa etycznego uwidoczniły najlepiej protesty innych związków akademickich, jak Spójni i Promienia, gdy, wobec grozy kar, Towarzystwo etyczne pierwsze z całej afery wycofało się. Zaraz po tym kroku zapadła na poufnem posiedzeniu Spójni uchwała, potępiająca Towarzystwo etyczne, za to, »że ono dało powód do Zimmermaniady a teraz się uchyliło od odpowiedzialności i zwaliło wszystko na barki Promienia i Spójni«. Bardzo charakterystyczną w tej sprawie jest odezwa Promienia, między innymi i z tego względu, że rzuca światło na pewne etyczne przymioty Towarzystwa etycznego. Warto jeden ustęp przytoczyć:

Sekcya akad. Tow. Etycznego wydała odezwę, w której usiłuje wyjaśnić, dlaczego nagle zmieniła swoje stanowisko w sprawie, związanej z wykładami ks. Zimmermanna. Przy tej sposobności posługuje się sekcya etyczna »argumentami«, które dowieść mają, żeśmy obniżyli »powagę i czystość akcyi antyklerykalnej«, żeśmy wzięli odpowiedzialność nie tylko przed senatem i władzami, lecz także »przed skrzywdzoną (sic!) ideą pięknej walki i przed młodzieżą, której słowo stało się dzięki nim (t. j. nam) dla wszystkich (t. j. około dziewięciu członków sekcyi etycznej?) pośmiewiskiem.

Nie będziemy polemizowali z kazaniem autorów odezwy o »treści i metodzie postępu« lub o »wewnętrznej, ciągłej, ideowej pracy«; trudno walczyć z nic nieznaczącym, napuszystym frazesem.

Należy jednak oświetlić działalność sekcyi etycznej w sprawie ostatnich zajść, należy na tej działalności przeprowadzić s e k c y ę e t y c z n ą.

Ci sami, którzy w pierwszej swej odezwie wzywali »c a ł ą m ł o-

dzież, aby gromadnie, w masie zjawiła się we wtorek 15 b. m. o godzinie 6 wieczór koniecznie i punktualnie«, którzy wołali: »musimy jak najenergiczniej zaprotestować przeciwko publicum ks. Zimmermanna«, — mówią nam teraz o »wewnętrznej, ciągłej, ideowej pracy«, chwalą się, że tylko oni (tj. około dziewięciu) zajęli »jasne i zdecydowane stanowisko«. Mogła sekcya etyczna zupełnie nie brać udziału w akcyi; młodzież postępowa z pewnością akcyi przeciw klerykalizmowi uniwersytetu by nie zaniechała. Wiedziała o tem sekcya etyczna i dlatego na pierwszej odezwie, wzywającej do akcyi, podpisała dwa stowarzyszenia postępowe, z których jedno (»Promień«) zupełnie jej do tego nie upoważniło. Jak należy skwalifikować taki czyn? A chyba »szczerość« była w tym czynie, bo »szczerość w czynach« proklamują (w odezwach) członkowie sekcyi etycznej.

Senat akad. oddał sprawę zajść z dnia 15 b. m. prokuratoryi; wówczas »sekcya etyczna« uważała za stosowne nawrócić z obranej drogi, — stwierdziła, że obecnie nadeszła pora »uświadamianie się«, — jednem słowem »szczerze« wycofała się z akcyi. Reprezentanci »sekcyi« popełnili nietakt, przyłączając się mimo to do deputacyi młodzieży postępowej, która kilka razy była u p. rektora. Przedstawiciel »sekcyi« oświadczył rektorowi dnia 28 b. m., a więc na jeden dzień przed zerwaniem ostatniego wykładu ks. Zimmermanna, że odpowiedź senatu dana deputacyi młodzieży postępowej jest »policzkiem dla młodzieży postępowej«. A jednak ta sama sekcya, zaliczająca się do młodzieży postępowej i uważała za stosowne nie reagować na ów »policzek«, — w odpowiedzi na prowokacyę senatu, głosiła tylko hasło »wewnętrznej, ciągłej pracy«.

Inny przedstawiciel tejże sekcyi w sposób niekoleżeński i nietaktowny wyrażał się przed rektorem o kilkuset kolegach, którzy brali udział w wiecu nielegalnym dnia 29 b. m. Tak przedstawiało się »milczenie w imię solidarności«, jak głosi odezwa sekcyi. Nie publikowalibyśmy tego faktu, uważalibyśmy go za dowód nietaktu i niekoleżeństwa jednostki, gdyby nie oświadczenie tego pana, że to jest opinia sekcyi etycznej.

Tyle, co do genezy rozruchów. Jakim zaś był cel rozruchów, to najlepiej świadczy odezwa Towarzystwa etycznego, która wspomniawszy o księdzu Zimmermannie i nawiązując do słów *Głosu Narodu*, ciągnie dalej z młodzieńczą brawurą, jak następuje:

»Nie jest to przemijająca walka partyjna ani społeczne starcie wywołane przez ekonomiczne konflikty, ale: bój na śmierć i życie dwóch światopoglądów, wykluczających się wzajemnie do tego stopnia, że tylko zupełne pokonanie jednego może zapewnić tryumf drugiemu«.

Koledzy! Rzym wypowiedział walkę kulturze współczesnej i w tej walce — poniósł klęskę.

Średniowiecznym intencyom Rzymu sprzeciwiły się Bawarya i Prusy, z Francyą rozdział zupełny, z Hiszpanią i Portugalią, z Włochami stosunki zerwane, w Belgii energiczny protest, pozatem tylko kraje protestanckie i prawosławne.

Jedna Austrya! Ale zamykać się w Austryi, znaczyłoby dla Rzymu upaść ostatecznie wraz z upadkiem rządów klerykalnych nad Dunajem. Nieomylny Pius X się omylił: Rzym się cofnął.

Myśl Wolna odnosi zwycięstwo! Pójdzie ona dalej:

Niech zginie wszelki przymus, nakaz, presya, wszelki dogmat! Niechaj zwycięża Nowy Wolny Człowiek!

Niechaj zwycięża Młoda Wolność!

Komitet Sekcyi Akademickiej Towarzystwa Etycznego.

Nie dziw, że po takiej odezwie, na pierwszą wieść o awanturach, posypały się do Towarzystwa etycznego telegramy z całego świata, od związków masońskich Belgii, Szwajcaryi, Czech i Austryi. Towarzystwo etyczne miało tę czelność, że telegramy te publikowało w *Naprzodzie*.

A więc nie cele naukowe, jakimi mamiono szlachetną część młodzieży akademickiej, były powodem nieopatrznych zaburzeń, ale sekciarski fanatyzm antyreligijny.

Żywioły, przeciwne religii, były i w Spójni i w Promieniu, i z pewnością przygodnie dawałyby upust swojej krewkości, jak to miało miejsce przy wiecu w sprawie Wahrmunda, lub przy wiecach przeciw fakultetom teologicznym. Co innego jednak, przygodna manifestacya, po której wraca się do normalnego stanu, co innego zaś roznamiętnienie trwalsze. To ostatnie jest wyłączną zasługą Towarzystwa etycznego.

Na tem kończy się dotychczasowa działalność masońskiego Związku. Nie chcieliśmy moralizować, chcieliśmy przedstawić ją tylko w prawdziwem świetle. Dla młodzieży, szukającej prawdy tylko, będzie wystarczającą wskazówką, co sądzić ma o tym związku, to, że nie prawda, ale jednostronna tendencyjność w tym związku panuje. Na takie rzeczy wystarczy wskazać.

Guarda e passa.

Ks. J. Pawelski.

NOWY PLAN UNII KOŚCIOŁÓW.

Z POWODU ARTYKUŁU KS. MAKSYMILIANA SASKIEGO.

W zeszycie pierwszym nowo powstałego pisma *Roma e l'Oriente* [1], zeszycie zatem mającym znaczenie jakoby programowe, znajdujemy artykuł znanego badacza rzeczy wschodnich, prof. uniwersytetu we Fryburgu, księcia Maksymiliana Saskiego, noszący napis: *Pensées sur la question de l'union des Églises.*

»Tyle już wieków zajmują się tą kwestyą!« — tak zaczyna swój artykuł ks. Maksymilian. — »Ile to listów wymieniono między papieżami a patryarchami wschodnimi, aby zabliźnić tę ranę, aby zarównać tę przepaść, która się otwarła między dwiema wielkiemi połowami chrześcijaństwa! Ile to dzieł teologicznych poświęcono w ciągu średnich wieków rozbiorowi punktów dogmatycznych, o jakie toczy się spór między Kościołem wschodnim-prawosławnym a rzymsko-katolickim! Ilu to posłów przepływało morza, by traktować o gorąco upragnionem zjednoczeniu! Ile to, niestety! wywołały te kwestye walk nawet i prześladowań i zgorszeń, które pragnęłoby się, gdyby to było możliwem, zetrzeć z kart historyi ludzkości i Kościoła!«

[1] *Roma e l'Oriente*, Rivista Criptoferratense per l'unione delle Chiese, pubblicazione mensile. Pierwszy numer tego miesięcznika wyszedł w listopadzie 1910 r., objętości 4 arkuszy druku. Prenumerata roczna wynosi we Włoszech 10 lirów, poza granicami 12 lirów. Wydają OO. Bazylianie w Grotta-ferrata; artykuły są pisane w różnych językach: w zeszycie pierwszym spotykamy języki włoski, francuski i grecki.

Czy nie próżna to rzecz wywoływać znowu te kwestye, czy można powiedzieć jeszcze coś nowego pod tym względem? — oto pytania, które nasunęły się Dostojnemu Autorowi.

I odpowiada on na te pytania całym swoim artykułem. Wypowiadając swój pogląd na kwestyę zjednoczenia poważnionych Kościołów, podaje nowy sposób rozwiązania tego trudnego problematu, nad którym wieki napróżno się trudziły. Artykuł tak ze względu na osobę autora, jak i ze względu na wypowiedziane w nim myśli zapewne nie przejdzie niepostrzeżenie [1]; głos uczonego, poświęcającego swój cały czas badaniu wschodniego chrześcijaństwa, nie może przebrzmieć bez echa. Nam, jako bezpośrednim sąsiadom tego Wschodu, o który chodzi, nam, którzy, dzięki naszemu położeniu geograficznemu, nie możemy być pominięci w samej akcyi zjednoczenia Kościołów, jeśli takowe ma się dokonać kiedyś, konieczną jest rzeczą zapoznać się z treścią artykułu ks. Maksymiliana i starać się wyrobić sobie o nim sąd.

Książę zwraca się ze swym artykułem nie do odłączonych chrześcijan wschodnich, lecz do swoich, do zachodnich; zwraca się nie w tym celu, by ich wezwać do jakiejś krucyaty, do jakiegoś podboju Wschodu, lecz by zachęcić ich do wyciągnięcia do braci wschodnich przyjaznej dłoni. Stąd zrozumiałą jest rzeczą, że nie polemizuje ze Wschodem, że nie zbija błędów dogmatycznych, panujących na Wschodzie, wreszcie, że prawie nie dotyka historycznych win Wschodu, które rozdział Kościołów spowodowały. Raczej, przeciwnie, podkreśla winy łacińskiego Zachodu, tak owe, które do rozdziału się przyczyniły, jak i te, które wszelkie wysiłki zawarcia unii po większej części udaremniały. Zjednoczenie Kościołów musi być obopólnem, i dlatego, żądając od Wschodu pewnego upokorzenia, z jakiem łączy się zejście z dotychczaso-

[1] Po oddaniu niniejszego artykułu do druku gazety doniosły o artykule opata Bazylianów w Grottaferrata O. Pellegrini w *Osservatore Romano*, polemizującym z poglądami księcia Maksymiliana, a niebawem i o potępieniu artykułu księcia przez Stolicę św. w liście Ojca św. Piusa X papieża z dnia 26 grudnia r. z. i o poddaniu się autora temu wyrokowi.

wego jego względem nas stanowiska, musimy i my uznać nasze winy i część odpowiedzialności za smutne rozdwojenie kościelne wziąć na siebie. I oto czytamy w artykule ks. Maksymiliana takie rzeczy: Listy papieża Mikołaja I »pouczają nas, że ten papież dla swego wyniosłego ducha, swej popędliwości, swej tendencyi do zupełnego opanowania Kościoła Konstantynopolskiego i uczynienia zeń części Kościoła Rzymskiego ponosi odpowiedzialność za rozdwojenie prawie w tym samym stopniu, co Focyusz«. Listy Leona IX mają być przepełnione napaściami (na Cerularyusza) w celu podrażnienia umysłów. Jest mowa o porywczości i gwałtownym charakterze kardynała Humberta, który na ołtarzu u św. Zofii złożył ekskomunikę na Cerularyusza. Czytamy dalej: »Cała polityka i dążność ludów zachodnich, a nawet papiestwa była zawsze[1], przynajmniej w czasach późniejszych, skierowaną przeciwko Wschodowi«. Dowody: koronacya Karola Wielkiego na cesarza Rzymskiego, wojny przeciwko cesarstwu Byzancyum i odbieranie mu posiadłości prawnych we Włoszech, »rzekome« krucyaty, które wywróciły cesarstwo wschodnie, podbiły Grecyę, czyniąc z niej niewolnicę na całe stulecia. Na rozkaz papieża Innocentego III przywłaszczono sobie posiadłości greckiego Kościoła bez najmniejszego skrupułu, zabierano grekom kościoły, by je zamienić na świątynie łacińskie. Wypędzano biskupów nawet sędziwych z ich stolic. To winy Zachodu w dziedzinie historycznej. A w sporach teologicznych? Nie mówiąc już o niedostatecznej znajomości wschodniej nauki na Zachodzie, »łacinnicy posługiwali się fałszywymi dowodami, by greków przekonać o pochodzeniu Ducha św. od Syna«, prawda że w dobrej wierze, w przekonaniu o prawdziwości przytaczanych tekstów; w polemice o prymat papieski teologowie zachodni identyfikują to, co w prymacie jest z rozwoju historycznego, z tem, co pochodzi z ustanowienia Bożego. Podobnież zarzuty czyni ks. Maksymilian i co do innych spornych punktów nauki.

Zarzuty to ciężkie. Zarzuty, których nie omieszkają wykorzystać wschodni polemiści przeciwko nam. Zarzuty te są dużo

[1] Podkreślenie moje.

przesadzone, a przynajmniej zbyt zgeneralizowane. Ale nie zamierzamy ich zbijać, pozostawiając zawodowym historykom pracę szczegółowego ich zbadania, wyświetlenia i sprowadzenia do słusznych rozmiarów. Jeśli chodzi o intencyę i ogólną myśl autora, to nawet poniekąd z nim się zgadzamy, mianowicie o tyle, że przyznanie się do prawdziwych błędów z naszej strony nie byłoby bez pożytku dla dzieła unii Kościołów. Wprawdzie, jakiekolwiek byłyby grzechy naszych przodków, nie usprawiedliwiają one obecnego rozdwojenia Kościoła wbrew woli Boskiego jego Założyciela, tłumaczą atoli trudności, na jakie w dążeniach do zjednoczenia natrafiamy, nas zaś uczą ostrożnościna przyszłość. Nadto przyznanie się do win może zjednać nam pewną dozę zaufania u odłączonych wschodnich braci. Niestety, książę w oskarżeniu Zachodu poszedł, naszem przekonaniem, zbyt daleko.

Przechodzimy do rzeczy bardziej zasadniczej w artykule omawianym, mianowicie do warunków, jakie uważa książę Maksymilian za możliwe do przyjęcia z naszej katolickiej strony, a nawet za niezbędne, jeśli się pragnie zjednoczenia Kościołów.

Przystępując do swojej definicyi zjednoczenia Kościołów, książę Maksymilian zaznacza, jak dotąd unię pojmowano na Zachodzie, a jak na Wschodzie. »W pojęciu Kościoła zachodniego zjednoczenie zawsze tyle znaczyło, co zupełne poddanie się (Wschodu). Kościół wschodni uważano za zbuntowaną córkę Kościoła Rzymskiego. Zachód nic nie miał ani zmieniać u siebie, ani czynić, by zaprowadzić jedność. Wschód przeciwnie miał się poddać zupełnie jurysdykcyi biskupa rzymskiego, a przedewszystkiem uznać za prawdziwe wszystkie dogmaty, jakie wypracowała teologia łacińska późniejszych czasów... Inaczej pojmował zjednoczenie Kościół wschodni. Według niego, unia to przyjaźń, zgoda i braterstwo, lecz nie poddanie się. Tam pojmowano dwie gałęzie chrześcijaństwa, jako dwie siostry równe sobie godnością i prawami. Tam dotąd panuje pogląd, że aby się zjednoczyć, trzeba wrócić do punktu, z którego rozeszły się drogi. Zatem obie wielkie połowy chrześcijaństwa mają wierzyć w te same prawdy, w które wierzono wspólnie przed rozdziałem, wzajemne między niemi stosunki winnyby być te same, jakie istniały w starożytności. Kościół wschodni uważa

nauki łacińskiego średniowiecza, a zwłaszcza nauki, podniesione do godności dogmatów w XIX stuleciu, za zboczenia doktrynalne«. Zdaniem księcia Maksymiliana, Kościół wschodni, jak dotąd opierał się przyjęciu unii w pojęciu łacińskiem, tak »nie ulega żadnej wątpliwości — są słowa księcia — że i w przyszłości nigdy na taką unię się nie zgodzi«. Tylko względy polityczne zmuszały niekiedy Wschód do przyjęcia warunków łacińskich, ale też owe próby zjednoczenia nie odznaczały się trwałością. Pewne tylko części Kościoła wschodniego, n. p. Rusini, zgodzili się na system rzymski, lecz Kościół wschodni w całości nigdy za nimi nie pójdzie.

Na Zachodzie, mówiąc o z j e d n o c z e n i u, zwykło się myśleć o p o d d a n i u się Kościoła wschodniego zachodniemu. Przeciwko takiemu pojmowaniu unii protestuje ks. Maksymilian. »Te dwie gałęzie chrześcijaństwa są absolutnie względem siebie siostrami, równemi pod każdym względem. Kościół łaciński, jako taki, nie ma żadnego przywileju ani prawa legislatywy względem Wschodu. Przeciwnie, ludy Wschodu są dużo starsze od ludów Zachodu. Może być zatem mowa tylko o poddaniu się biskupowi rzymskiemu, o ile ten posiada prawa względem Kościoła powszechnego, nie zaś o upokorzeniu się Wschodu wobec Zachodu... Zatem dobrze trzeba odróżnić stanowisko papieża, jako bliższego naczelnika Kościoła łacińskiego, od stanowiska jego względem całego świata«.

Ale i wtedy, kiedy chodzi o papieża samego, nie należy mówić o p o d d a n i u s i ę mu Kościoła wschodniego w całem znaczeniu tego słowa. Pomimo przywilejów, otrzymanych przez św. Piotra od Chrystusa Pana, Kościół w ciągu wieków *de facto* nie był wcale monarchią. Każdy biskup rządził bez przeszkody swoją dyecezyą, biskup zaś Rzymski mimo to posiadał szczególne prawo zajmowania się sprawami całego Kościoła i urzeczywistniał bardzo wielką władzę. Władza ta jednak była zawsze o wiele większą na Zachodzie, gdzie papież był zarazem patryarchą, niż na Wschodzie. «Względem dyecezyi Wschodu nie wykonywał on jurysdykcyi wprost, wywierając tylko ubocznie wpływ na nie o ile się zajmował sprawami całego Kościoła«. Głównie od dziewiątego stulecia

ustrój Kościoła uległ na Zachodzie radykalnej zmianie. Kościół stał się absolutną monarchią, a biskup Rzymski bezpośrednim zwierzchnikiem wszystkich biskupów. System ten, zawdzięczający swe pochodzenie po części pseudodekretałom Izydora, był pożyteczny dla Zachodu. Lecz chciano zastosować go i do Wschodu i to stało się bezsprzecznie jedną z głównych przyczyn, jakie doprowadziły do rozdziału Kościołów. Dalsze zaś pielęgnowanie tej samej myśli ze strony Rzymu uniemożliwiało unię. I dziś jeszcze, jeśli dokonywa się jakichś partykularnych zjednoczeń, zawsze się je przystosowuje do tego monarchicznego systemu. Zjednoczonym pozostawia się obrządek, lecz zresztą poddaje się ich zupełnie jurysdykcyi papieża, a nawet jednej z kongregacyi rzymskich, zmusza się ich do zachowywania wielu przepisów prawodawstwa wyłącznie łacińskiego i do przyjęcia całej teologii łacińskiej. W rezultacie, owi unici są to zwyczajni łacinnicy, tylko we wschodnim kostyumie, jeśli jeszcze i kostyum im się pozostawi »Są oni żywą kontradykcyą całej historyi starożytnego Kościoła i Wschodu«. Zamiast posunąć naprzód kwestyę zjednoczenia, istnienie takich unitów raczej sprawę tę opaźnia.

Aby rzeczywiście pociągnąć Wschód do zjednoczenia, należy, według księcia Maksymiliana, zastosować system zupełnie różny od dotychczas praktykowanego. »Kościół wschodni winien w samej rzeczy pozostać tem, czem jest. On nie powinien wcale zmieniać swego charakteru«. Oto główna teza, która w dalszym ciągu artykułu już tylko w szczegółach się wyjaśnia.

A zatem, co do zarządu kościelnego »Kościół wschodni winienby pozostać absolutnie niezależnym i rządzić się sam, tak, jak rządzi się obecnie i jak było od początków chrześcijaństwa«. Wtedy, według obietnicy księcia, Kościół wschodni napewno nie zawaha się przyznać papieżowi tych praw, jakie posiadał i jakie urzeczywistniał w owym pierwotnym peryodzie, to jest przyjmować będzie decyzye papieskie w sprawach doniosłych, obchodzących całe chrześcijaństwo. Tym sposobem i zasadę papiestwa ocali się i zjednoczenie stanie się faktem, nie zaś pustym dźwiękiem. Jeśli Rzym zgodzi się kiedyś

na takie pojmowanie zjednoczenia, unia stanie się możliwą, inaczej wszystkie wysiłki i próby spełzną na niczem. Książę rozumie, że to byłoby niemałą ofiarą ze strony Rzymu, mimo to domaga się tej ofiary w imię wielkości sprawy zjednoczenia.

A dogmaty? Czyż zjednoczenie Kościołów da się pomyśleć bez jedności wiary? Między dogmatyką Wschodu a Zachodu książę Maksymilian nie widzi zasadniczej różnicy, wskutek której dogmatyki te wykluczałyby się nawzajem. Ma to być raczej różnica w stopniu rozwoju. Wiele konkluzyi teologicznych, które na Zachodzie stały się już dogmatami, na Wschodzie nie zostały jeszcze określone. Otóż książę wyznaje, że Kościół zachodni nie może się wprawdzie zrzec dogmatycznych określeń, wypracowanych na Zachodzie po rozdziale Kościołów, określeń, które uważa za dalsze rozwinięcie i ściślejsze sprecyzyowanie nauki starożytnej, mimo to uważa, że niesłuszną byłoby rzeczą narzucać je wschodniemu Kościołowi, jak to uczyniono na soborach Lugduńskim i Florenckim. Wschód tych dogmatów nie przyjmie tak łatwo, chyba tylko obłudnie, bo w ich rozwoju udziału nie brał. Należy więc pozostawić Wschód przy tych tylko dogmatach, które są mu wspólne z Kościołem łacińskim — i tylko udowodnić mu, że nasze nowe dogmatyczne określenia są nie czem innem, jak wnioskami, wyprowadzonymi z przesłanek uznawanych w starożytności chrześcijańskiej. »Kościół wschodni uzna ten sposób widzenia za dobry i słuszny, nie poczuwając się do obowiązku głoszenia u siebie tych dogmatów; tym sposobem będzie się żyć w zgodzie wzajemnej bez oskarżania jednej strony przez drugą«. Jeśli zaś kiedyś w przyszłości uda się zwołać sobór powszechny i wolny (?) całego chrześcijaństwa, wtedy i wschodni chrześcijanie, nie zmuszani do tego żadną presyą moralną, może przekonają się o prawdziwości nauk zachodnich i przyjmą je formalnie i poczną głosić je wyraźnie.

O stronie obrzędowej książę nie mówi prawie nic, wiedząc, że pod tym względem i teraz Rzym pozostawia wschodnim unitom ich odrębność.

Żeby zamknąć w jednej formule cały program unii, wyraża się książę tak: »Nie chodzi tu o to, aby przywrócić albo

stworzyć unię, jaka nie istnieje wcale, lecz trzeba dać bardziej żywy wyraz tej jedności, która zawsze istniała i która nigdy zupełnie nie została zburzoną«. W końcowych dłuższych ustępach zwraca się książę Maksymilian do chrześcijan zachodnich, gorąco polecając im kierować się w stosunku do chrześcijańskiego Wschodu prawdą i miłością. Prawdą w sądzeniu nie tyle błędów przeciwników, ile swoich własnych, miłością przebaczającą wiele i nie szukającą swego, lecz dobra tych, których się pragnie pozyskać.

Z powyższego streszczenia artykułu księcia Maksymiliana, streszczenia, w którem staraliśmy się oddać jak najdokładniej myśl autora przeważnie własnemi jego słowami, łatwo się przekonać, że książę nie zadawalnia się staremi formułami unii, że występuje z czemś bardzo nowem i bardzo daleko odbiegającem od tego, cośmy w kwestyi unii słyszeć zwykli. W głosie księcia słyszymy coś więcej, niż echo dotychczasowych głosów wychodzących z Watykanu. Myśli, wypowiedziane przez księcia, nie zmieściłyby się w ramach encyklik nawet tak dalece względnego dla Wschodu papieża, jakim był Leon XIII. Książę Maksymilian zdaje sobie dokładnie sprawę z tego, wciąż bowiem z naciskiem powtarza, że dotychczasowe programy i próby unii nie doprowadzą do pożądanego rezultatu. Nie waha się jednak wystąpić z głosem nowym, chcąc, jak mówi, być szczerym tak względem Wschodu, jak i Zachodu. Obecnem swojem wystąpieniem prostuje nawet swoje własne dawniejsze, bardziej tradycyonalne wypowiedzenia się pod tym względem. »Im bardziej, mówi, studyuje się tę kwestyę, tem bardziej zmienia się zdanie«.

Czy to nowe zdanie, ten nowy plan zjednoczenia Kościołów nadają się do przyjęcia?

Chyląc czoło przed gorącem pragnieniem księcia Maksymiliana, aby spełniło się słowo Zbawiciela: Niech będą wszyscy jedno, musimy z żalem stwierdzić, że naszkicowany plan unii w zasadniczych jego liniach nie da się obronić. Wypowiadając to zdanie, powodujemy się właśnie tymi samymi względami, które książę Maksymilian zaleca: prawdą, miłością i szczerością. Szcze-

r o ś ć względem Wschodu wymaga od nas, abyśmy nie pozwolili mu mniemać, że ze zdaniem księcia zachodni jego współbracia łatwo się zsolidaryzują; m i ł o ś ć żąda, by nie obiecywać komuś tego, czego dać nie będzie można, i nie wprowadzać go tym sposobem w błąd i iluzye; p r a w d a wreszcie musi znaleźć wyraz w trzeźwej ocenie warunków proponowanej zgody.

Zacznijmy od kwestyi d o g m a t y c z n y c h. Co jest dogmatem we wschodnim Kościele, to jest dogmatem i u nas, to zaś, czem się różnimy jedni od drugich, tylko po naszej stronie jest dogmatem, podczas gdy na Wschodzie pozostaje przedmiotem wolnej teologicznej dyskusyi. Żadnego fałszywego »dogmatu« Wschód nie zna. Taki jest punkt wyjścia dla księcia Maksymiliana, żądającego, byśmy Wschód pozostawili w spokoju co do jego wierzeń. Na pierwszy rzut oka rzecz zdaje się być słuszną i możliwą, jak możliwą jest przyjaźń między dwoma uczonymi, z których jeden ma mocne przekonanie, przypuśćmy, o prawdziwości dziesięciu twierdzeń, podczas gdy drugi tylko pięć z nich za pewne, a inne za nie dość jeszcze udowodnione uważa.

Po bliższem rozpatrzeniu się w kwestyi, spostrzegamy jednak, że różnice doktrynalne są najważniejszą przeszkodą do zjednoczenia. Najpierw, wschodni chrześcijanie, łącząc się z nami pod proponowanymi przez księcia warunkami, wiedzieliby przecież, że tych spornych punktów, które u nas już są dogmatami, Zachód nigdy zrzec się nie może, dlatego właśnie, że je za dogmaty uważa. Odczuliby więc, że są traktowani przez nas, jako pewnego rodzaju niedorostkowie intellektualni, względem których okazujemy pobłażliwość w nadziei, że przecież kiedyś dorosną do naszej miary. Czy przy takim stosunku wzajemnym stron możliwą jest prawdziwa zgoda?

Powtóre złudzeniem jest mniemać, że Wschód względem naszych dogmatów stoi na stanowisku »niewiedzącego«, albo wątpiącego. Pomijając tu prosty lud, który wogóle w kwestye dogmatyczne samodzielnie zagłębiać się nie może i który poszedłby za powagą swych przewodników, w którąkolwiek stronę poprowadziliby go, pomijając dalej rzadkie wyjątki takich teologów, jakimi byli w Rosyi Sołowiew, który przyjmował wszystkie do-

gmaty katolickie, lub choćby Bołotow, który uważał za możliwe pozostawić Zachodowi dogmat *filioque* w charakterze *theologumenu*, — ogół teologicznych pisarzy, biskupów i duchowieństwa, szkoły i specyalne w nich katedry polemicznej teologii, zajmują względem nauki katolickiej stanowisko wprost wrogie. Książę spodziewa się, że Wschód w razie unii pod przytoczonymi warunkami, uzna nawzajem tyle, żeśmy w przeszłości mieli formalne przynajmniej prawo wyprowadzania z dawnych wierzeń nowych teologicznych konkluzyi, że uzna to, mówię, wątpiąc o materyalnej ich prawdziwości. Niestety, cała teologia wschodnia naszych czasów odmawia nam tego formalnego nawet prawa, karcąc nas surowo za to, żeśmy sami bez udziału Wschodu kwestye niektóre zdogmatyzowali. Musielibyśmy, by zadośćuczynić ich żądaniom, nawet najskromniejszym, jak np. Bołotowa — zrzec się dogmatycznych określeń, jako takich, i takie nauki, jak np. *filioque*, Niepokalane Poczęcie, prymat i nieomylność papieską sprowadzić do rzędu wolnych opinii, wolnych nie tylko na Wschodzie, ale i u nas samych. Są to żądania jednak, jak powiedziałem, najskromniejsze. Ogromna większość teologów, a za nimi hierarchia, piętnuje nasze dogmaty, jako herezye, i żąda od nas, byśmy je odrzucili bezwzględnie. Odmawiając nam formalnego prawa rozwoju dogmatycznego, uważa i materyalnie za błąd to, co my za prawdę objawioną uznajemy. Weźmy do ręki pismo okólne carogrodzkiego patryarchy Anthymosa z r. 1895 w odpowiedzi na nieśmiertelną encyklikę Leona XIII *Praeclara gratulationis*, pismo podpisane, oprócz patryarchy, przez wszystkich podległych mu metropolitów, akt zatem urzędowy, dobrze chyba odzwierciadlający opinię odłączonego od jedności katolickiej Wschodu. W piśmie tem hierarchia »Wielkiego Kościoła« stawia za warunek zjednoczenia, aby »biskup rzymski raz na zawsze odrzucił wszystkie mnogie i rozmaite, sprzeciwiające się ewangelii nowości, jakie się do Kościoła rzymskiego zakradły«. I wyliczając te »nowości«, obok *filioque* stawia chrzest przez polewanie, chleb przaśny, komunię pod jedną postacią i t. d., nazywając je »różnicami zasadniczemi«. Następnie patryarcha Anthymos wylicza inne przeszkody jedności: naukę o czyścu, Niepokalanem Poczęciu

Matki Bożej, o prymacie, nieomylności i świeckiej władzy *(sic!)* papieża. Podobnież przyjęto encyklikę Leona XIII w innych wschodnich krajach. W królestwie greckiem wystąpił przeciwko niej wrogo metropolita Aten, German, mniej więcej w tonie podobnym do tonu pisma Anthymosa. W Rosyi nie odpowiedziano na nią żadnym oficyalnym aktem, ale za to posypały się odpowiedzi wielu teologów, albo solidaryzujących się z Anthymosem, albo nawet idących dalej w oskarżeniach, rzucanych na Kościół zachodni i papieża. Taki np. profesor akademii teologicznej moskiewskiej, A. Bielajew, wyliczył aż kilkadziesiąt »błędów« Kościoła łacińskiego i nazywa nas wprost i z naciskiem schizmatykami i heretykami[1]. Przeciwko jego poglądom i oskarżeniom nikt z Rosyan, o ile wiemy, nie zaprotestował. Wobec takiego stanowiska teologów i hierarchów Wschodu, na czem, pytamy się, opierają się nadzieje księcia, że w razie unii Wschód uzna, żeśmy mieli prawo »wyprowadzać konkluzye«, t. j. że pozostawi nas w spokojnem posiadaniu naszych dogmatów, byleśmy ich jemu nie narzucali?

Możnaby tu powiedzieć, że ani patryarcha Anthymos, ani metropolita German, ani teologowie i szkoły nie są prawowitymi i autentycznymi wyrazicielami wiary Kościoła wschodniego; można nastawać na tem, że ich poglądy na Kościół zachodni są przekonaniami prywatnemi, przez żaden sobór, któryby był uważany za powszechny na Wschodzie, nie podniesionemi do godności dogmatów. Tak, ale przypomnijmy sobie, że nie chodzi nam o nazwy, ale o rzecz samą. Mniejsza o to, że przekonań swoich patryarcha Anthymos nie może nazwać »dogmatem«, pewna rzecz, że podaje je za prawdziwe (o ile jest człowiekiem dobrej woli), a naszą naukę piętnuje jako fałsz. Na Wschodzie nie mniej, jak i u nas, znaną jest zasada, że prawda religijna wyraża się nie tylko w uroczystych orzeczeniach soborów, ale i w zwyczajnem zgodnem nauczaniu pasterskiem. Tego »zgodnego« nauczania dają nam próbkę patryarcha Anthymos i teolog Bielajew. Możemy powiedzieć, że ich nauka nie jest zgodną z nauką starożytnego

[1] *O sojedinieńji cierkwiej.* Sergiew Posad, 1897.

Kościoła, albo że ich przeczenia nie znajdują się w dekretach soborów i księgach symbolicznych. Tak, lecz musimy pamiętać, że unii nie można zawierać ani z Kościołem starożytnym, ani z księgami, tylko z żywymi, konkretnymi ludźmi, i to nie bezpośrednio z wierzącym ludem, pozostawiającym na boku trudności dogmatyczne, lecz właśnie z tą hierarchią, wychowaną na książkach i przekonaniach wrogich dla nas. Jedna tylko okoliczność pocieszająca, że dopóki »przeczenia« wschodniej teologii nie uzyskają ostatecznej sankcyi dogmatycznej, a nie uzyskają jej chyba nigdy, dotąd dla przedstawicieli Wschodu otwartą jest droga do odwrotu z obecnego bezwzględnie wrogiego nam stanowiska. Obecnie się jednak bynajmniej na to nie zanosi.

Książę Maksymilian obiecuje, że Wschód »nie zawaha się napewno przyznać papieżowi tych praw, które posiadał i urzeczywistniał« w peryodzie poprzedzającym rozdział Kościołów. Z całego toku artykułu księcia wynika, że ma on tu na myśli, jeśli nie jedynie, to przeważnie urząd nauczycielski papieża. Żąda więc i spodziewa się, jeśli nie teoretycznego, to praktycznego uznania nieomylności papieskiej. Czem usprawiedliwić ten optymizm, nie wiadomo, ale jeśliby rzeczywistość odpowiedziała takim oczekiwaniom, to wszystkie inne trudności dogmatyczne upadłyby same przez się. »Między nami a wami jeden tylko jest punkt sporny — papiestwo«, powiedział do mnie pewien teolog rosyjski. I miał słuszność. Kto raz się zgodzi na uznanie najwyższej władzy nauczycielskiej papieża, ten już wszystkie trudności rozwiązał; domyślnie przyjmuje i *filioque* i czyściec i Niepokalane Poczęcie i inne przez sobory zachodnie z udziałem papieży lub przez samych papieży zdefiniowane dogmaty. Wtedy może co najwięcej przenieść dyskusyę w dziedzinę wolnych opinii teologicznych, gdzie to i owo da się wytargować od szkoły zachodniej, a w czem i bez tego taż szkoła w imię prawdy po lepszej u siebie dyskusyi ustępstwo, lub sposób porozumienia znaleźć może.

Pociesza się książę tą myślą, że kiedyś, gdy przyjdzie do wspólnego wschodnio-zachodniego soboru, Wschód może przyjmie nasze dogmaty. Wiemy, że na zaproszenie na sobór Watykański biskupi wschodni odpowiedzieli milczeniem. Coby się stało, gdyby

taki sobór zwołano kiedyś po zawarciu unii w myśl księcia, nie chcemy mówić, nie wierząc w możliwość takiej unii. O *futuribilia'ch* uważamy za niepożyteczne rozprawiać. Ale coby jednak było, gdyby na takim soborze wschodni biskupi przegłosowali zachodnich?

Stwierdzona przez nas niemożliwość planu księcia zwalnia nas od zasadniczego zastanawiania się, czy dopuszczalną ze stanowiska dogmatycznego jest rzeczą pozostawiać komuś, przyłączającemu się do naszego Kościoła, tem bardziej całej wielkiej społeczności, prawo wątpienia o prawdziwości nauki, którą Kościół katolicki za objawioną uważa. Jedno tylko rzucimy pytanie, czy takim sposobem postępowania nie sankcyonowałby Kościół wątpliwości swoich nowych członków, a tem samem, czy nie uprawniałby do przypuszczenia, że on sam wątpi w określone przez siebie dogmatyczne prawdy?

(Dok. nast.)

Ks. Jan Urban.

CZY TEOLOGIA JEST UMIEJĘTNOŚCIĄ?

(Dokończenie).

3. Wolność w teologii.

Teologii odmawia się ze strony pewnych sfer naukowych, jak i tych, które nic do czynienia z nauką nie mają, charakteru prawdziwej umiejętności dlatego jeszcze także, że jej rzekomo brak wolności w badaniach. Teolog katolicki, powiadają, jest skrępowany dogmatami, że i ruszyć się swobodnie w badaniu nie może. Do dogmatycznych założeń musi przykrawać swe badania, inaczej popadnie w konflikt ze sumieniem i z władzą kościelną. A przecież wolność badania jest dogmatem dzisiejszej nauki. Wolność jest jej życiem, warunkiem zdobycia nowych prawd, rękojmią postępu.

Rozpatrzmy bliżej te twierdzenia.

Jakiej wolności domagają się liberalni uczeni dla badacza? Bezwzględnej. Na czem ona ma polegać? Na zupełnej niezależności i emancypacyi od wszelkiego autorytetu, czy to będzie autorytet Boski czy ludzki. Kościół czy chrześcijańska tradycya, czy wreszcie powaga jednostki; nic wogóle, co się znajduje poza badaczem nie może go ograniczać w badaniu, nic nie może być mu normą, na którąby się musiał oglądać. Tylko metoda badania, tylko własne przeświadczenie prawdy, choćby zresztą objektywnie mylne, ma uczonego krępować, wszystko zaś inne nie może

wpływać na wynik jego badań. »Dla profesora uniwersytetu i jego słuchaczów — powiada Paulsen — niema żadnych zakazanych lub nakazanych twierdzeń« [1].

Na co jest dana człowiekowi wolność?

Wolność bowiem nie jest celem człowieka, ale jak wszystkie inne jego przymioty, tak i ona ma mu służyć do osiągnięcia pewnych celów. Jakiż tedy jest cel wolności ludzkiej? Ogólnie mówiąc, jej celem jest wszechstronny rozwój władz człowieka, fizycznych, moralnych i intellektualnych, jest osiągnięcie doskonałości wszechstronnej. Wszystko, co wolność ogranicza w dążeniu do tego celu, jest nieprawnem krępowaniem wolności, jest targnięciem się na prawa człowieka. Ale i przeciwnie, ograniczenie będzie dozwolonem i pożądanem, jeśli pomaga człowiekowi do rozwoju fizycznego i duchowego. Bo nie zawsze bezwzględna wolność prowadzi człowieka do tego celu. Obywatel, wyłamujący się z pod praw państwowych, lekceważący zwyczaje towarzyskie, tradycye narodowe, słowem, hołdujący w teoryi i w praktyce bezwzględnej wolności, nie uchodziłby pewnie za ideał człowieka, ale za mönstrum społeczne, a tę rzekomą jego wolność każdy rozumny nazwałby korygodną swywolą. Człowiek nie oglądający się, pod pozorem wolności, w mówieniu, w pisaniu na gramatykę, ortografię, stylistykę, ignorujący pewniki naukowe byłby uważany powszechnie za niepoczytalnego dziwaka, a nie za pioniera wolności. Wogóle im więcej kto posiada rzetelnej wiedzy, im jest cnotliwszy i dla społeczeństwa pożyteczniejszy, tem bardziej musi swą bezwzględną wolność ograniczyć. Takie atoli ograniczenie nie przynosi jego wolności szkodliwego uszczerbku, a za to prowadzi człowieka do doskonałości, zbliża go do ideału. A więc jest wolność, która, choć niczem nieograniczona, przynosi człowiekowi szkody, jest inna, ograniczona wprawdzie, ale ta, dlatego właśnie, że ograniczona, wiedzie go do doskonałości. Nie każda zatem wolność jest dobra, jak i nie każde ograniczenie wolności jest niedozwolone i złe.

---

[1] *Die deutschen Universitäten* (1902). S. 288. Por. mój artykuł: »Wolność badania i nauczania«, w *Gaz. kościelnej*, 1910. Nr 41 i następne.

A wolność badania, jakiż ona ma cel?

Celem badania jest znalezienie prawdy. Prawda jest doskonałością rozumu ludzkiego, jego pokarmem, jest warunkiem jego rozwoju.

Wolność badania ma za cel usunąć więzy, któreby badacza krępowały w poszukiwaniu i znalezieniu prawdy. Ale tylko takie. Bo gdyby mu, w danym razie, pewne więzy nie przeszkadzały znaleźć prawdę, ale owszem były mu w tem pomocne, chroniąc go np. od wkroczenia na drogę fałszu, byłoby wtedy nierozumem przykrzyć sobie takie więzy i takie ograniczenie wolności, tak jak byłoby nierozumem narzekać na drogowskazy, ograniczające wprawdzie pielgrzyma w wyborze którejkolwiek drogi, ale za to chroniące go od zboczenia z drogi wiodącej do celu. Wszak celem badania jest prawda, więc wszystko, co człowiekowi pomaga znaleźć prawdę, a chroni go od błędu, jest dobrodziejstwem dla niego, a ograniczenie wolności winno być w tym wypadku z wdzięcznością przyjęte. Ktoby inaczej sądził, ten przekładałby wolność badania nad samą prawdę, środek ponad cel. Są wprawdzie i tacy badacze, którzy samo badanie, bez nadziei znalezienia prawdy uważają za cel nauki, ale to jest stanowisko sceptycyzmu i subjektywizmu, dla którego niema objektywnej prawdy, a w każdym razie człowiek jej w tem życiu znaleźć nie może. My mówimy o tych, którzy tej nadziei nie stracili! Nawet choćby prawda dochodziła do badacza drogą autorytetu, nie może jej odrzucać jedynie dlatego tylko, że tą drogą o niej się dowiaduje. Wolno badaczowi, a nawet powinien stwierdzić, czy autorytet jest wiarogodny, ale gdy się o tej wiarogodności przekona, nie może zamknąć ócz na prawdę. Bo że drogą autorytetu może ktoś przyjść w posiadanie prawdy, trudno zaprzeczać. Codzienne doświadczenie to potwierdza. Nie tylko ludzie prości nabywają w ten sposób wielu wiadomości, ale i uczeni. Żaden bowiem uczony wszystkiego nie zbadał, ale wielu prawd się nauczył od innych.

Prawda gdziekolwiek i w jakikolwiek sposób się zjawi człowiekowi, drogą własnego badania czy dobrze zagwarantowanego autorytetu, winna być przez niego przyjęta. Nie przyjąć jej znaczyłoby uciekać od prawdy. Autorytet ogranicza wprawdzie, w opi-

sanym wypadku wolność badacza, ale ogranicza ją w sposób legalny, nie przynosząc mu szkody, ani nie stawiając tamy rozwojowi jego umysłu. Związanym jest wtedy, ale przez prawdę a prawda tylko dla samowoli stanowi nieznośne więzy, nigdy dla prawdziwej wolności. Wtedy tylko narzucałby autorytet nielegalne więzy wolności badacza, gdyby mu narzucał pewne twierdzenia widocznie fałszywe lub niedość uzasadnione, albo gdyby nie wykazał swej wiarogodności. Skoro zaś się okaże, że dany autorytet ani się mylić, ani w błąd nikogo wprowadzić nie może, uznanie za prawdę twierdzeń takiego autorytetu nie jest niewolą ducha, ale tylko schyleniem głowy przed prawdą. Takim autorytem, ze wszech miar zasługującym na wiarę, jest autorytet Boski. Skoro tedy ktoś się przekona, że w danym wypadku Bóg przemawiał, nie ma prawa zasłaniać się wolnością badania i nie przyjąć prawdy Bożej. Pomijając już to, że takie zachowanie się stworzenia względem Boga jest jego karygodną zniewagą, zaznaczam, że jest ono zarazem i sprzeniewierzeniem się prawdzie, zamykaniem ócz na nią, mimo że tą drogą najlegalniejszego, jaki kiedykolwiek może być, autorytetu, przychodzi do człowieka. Wolność, jakąby sobie badacz uzurpował w tym wypadku, zmieniłaby się w rzeczywistą niewolę błędu. Zachowałby wolność, ale nie tę, której ma prawo się domagać, która mu jest potrzebną, by znaleźć prawdę, ale która go od prawdy odwodzi i na manowce błędu kieruje.

Teologia stoi na stanowisku legalnej wolności. Tam, gdzie pewna prawda jest objawiona i fakt objawienia tej prawdy jest gruntownie uzasadniony, tam poddaje się prawdzie bez zastrzeżeń, gdzie zaś takiego objawienia niema, lub niedość jest uzasadnione, tam pozostawia sobie zupełną swobodę badania Tak postępują także i umiejętności świeckie. Historyk, skoro jaki fakt wiarogodnemi świadectwami jest niezbicie stwierdzony, nie rości sobie wolności przyjęcia lub nieprzyjęcia faktu, ale go przyjmuje za prawdę, choćby nawet pewne szczegóły w samym fakcie były mu niedość jasne. Wogóle powszechnie uznane prawdy w umiejętnościach świeckich nie pozostawiają badaczowi wolności poddania

się im lub nie, choć tenże sam badacz, który prawdy powszechnie uznane musi za takie przyjąć, na polu hipotez pozostaje zupełnie wolnym.

Nie brak zatem teologowi należnej mu wolności badania, ale brak mu nieuzasadnionej wolności, wolności bezwzględnej. Uczeni, którzy odsądzają teologię od nazwy umiejętności, rzekomo dla braku w niej wolności badania, źle pojmują wolność badania, zbyt szeroki wyznaczają jej zakres. Taka wolność, jakiej domagają się dla człowieka, należy się tylko Bogu. On jako miara i norma prawdy, jako nieomylny i pod każdym względem najdoskonalszy może i musi sobie przyznawać wolność bezwzględną. Ale człowiek, stworzenie pod każdym względem ograniczone, zależne od Boga, od ludzi, od świata zewnętrznego, od objektywnej prawdy, do tego ze wzrokiem przysłoniętym namiętnościami, potykający się na każdym kroku w ciemnościach błędu — co i sam z własnego doświadczenia musi przyznać i historya mu to zaświadcza — taki, gdy sobie uzurpuje bezwzględną wolność na jakiemkolwiek polu swej działalności, gdy nawet Bogu nie chce pozwolić mieszać się do swych czynności, taki, mówię, naraża się na najboleśniejsze zawody i na niepowetowane szkody, a największą z nich ta, że do prawdy nigdy nie dojdzie.

Sami uczeni liberalnych obozów, mimo patosu i niestarzejącej się nigdy gorliwości, z jaką wygłaszają hasła, jak wolność badania, wyzwolenie od wszelkich powag, emancypacya wiedzy i t. p., mimo to, mówię, ci sami uczeni ani się spostrzegają, jak czerpią ze spuścizny przeszłości pełną garścią swe myśli i rozumowania, jak ci sami, którzy nie chcą w religii uznawać żadnego autorytetu, poddają się na każdym niemal kroku pod autorytet ludzki, czy to będzie jakaś naukowa powaga, czy tak zwany duch czasu, a często źle zrozumiane, a jeszcze gorzej stosowane hasła jak wiedza, wolność, moralna autonomia i t. p. Wyobraża sobie niejeden, że jest wolny od wszelkich dogmatycznych więzów, a nie widzi, że jest tysiącznemi, delikatnemi włóknami przywiązany do cudzych zapatrywań. »Bo też całkiem konsekwentny indywidualizm i subjektywizm jest czemś tak przeciwnem naturze

ludzkiej, że w swej czystej formie znajduje się chyba u ludzi umysłowo chorych« [1].

Gdzie niema wolności powątpiewania, powiadają niechętni teologii, tam też niema i wolności badania. A w teologii niema wolności powątpiewania.

Wolność t. zw. metodycznego powątpiewania jest i teologowi dozwolona. Powątpiewanie metodyczne na tem polega, że teolog przedsiębierze badania w kwestyach już dogmatycznych w taki sposób, jakby one jeszcze przez Kościół nie były za dogmat ogłoszone. Nie ogląda się wtedy badacz na dogmatyczne ogłoszenie, posługuje się w swem badaniu wszystkiemi metodami nauki celem rozwiązania obranej kwestyi, tak jakby ona jeszcze nie była rozstrzygniętą. Nigdy tylko to powątpiewanie nie może się stać rzeczowem, jakoby teolog na seryo powątpiewał o prawdzie katolickiej. Ale i w innych też umiejętnościach powątpiewanie rzeczowe o prawdach gruntownie uzasadnionych nie jest dozwolone. Prawdy teologiczne są tak samo jak i prawdy innych umiejętności gruntownie uzasadnione, a zatem powątpiewanie przedmiotowe o nich byłoby nie na miejscu. O twierdzeniach dobrze uzasadnionych już się nie powątpiewa, ale się je bierze do skarbnicy prawd i na nich się dalsze badania buduje. Można teologowi wykazywać, że pewna prawda nie jest objawiona, bo nie dość dowodów znajduje się na to w źródłach objawienia, można ostatecznie kwestyonować, choć bezpodstawnie, same źródła objawienia, ale nie można wymagać od teologa, by powątpiewał o pewnych prawdach, dopóki się mu wprzód nie wykaże naocznie, że dowody, na których swe twierdzenia opiera, nie są objektywnie dość silne lub że są wprost bezwartościowe. Takiego dowodu oczekuje dotąd teologia napróżno. Bo też można go tylko wtedy dostarczyć, kiedy się przyjmie pewne niczem nieuzasadnione, choć z dogmatyczną pewnością powtarzane przez uczonych założenia, jak np. że Boga niema, lub że jego istnienie nie da się rozumowo udowodnić, że objawienie, cuda są niemożliwe i t. p.

---

[1] Chr. Pesch: *Teologische Zeitfragen*, v. S. 42.

Więc w czemże się ostatecznie wolność badania teologicznego objawia?

Zaznaczyliśmy już wyżej. Tam, gdzie niema dogmatu, tam jest pozostawiona wolność teologom. Całkiem zresztą tak samo, jak i w innych umiejętnościach. I w naukach świeckich wolność stawiania różnych teoryi tam tylko jest dozwolona, gdzie niema pewnika naukowego. Ośmieszyłby się, ktoby np. przeciw systemowi Kopernika stawiał znowu, jako hipotezę, system Ptolomeusza. Że w teologii dopuszczona jest wolność w wyłuszczonym wyżej zakresie, świadczą przeróżne szkoły teologiczne, jakie się tworzyły około wybitnych mistrzów teologii, przedstawicieli rozmaitych teoryi teologicznych w kwestyach przez Kościół kategorycznie jeszcze nie rozstrzygniętych. I po dziś dzień tak jest. Dość przeglądnąć katolicką teologię moralną lub dogmatyczną, by się przekonać, jaka tam wolność zdań panuje, oczywiście w kwestyach nieobjętych dogmatem.

4. Postęp w teologii.

Jeszcze i z tego względu odmawia się teologii tytułu prawdziwej umiejętności, że, jak mniemają jej przeciwnicy, niema w niej postępu, a postęp jest niezaprzeczenie nieodzownym warunkiem wszelkiej prawdziwej umiejętności. Postępowi zaś teologicznemu mają stać na przeszkodzie ustalone już dogmaty katolickie, niedopuszczające dalszego jej rozwoju.

Twierdzenia niniejsze postępowców wynikły z fałszywego pojęcia o »postępie« w nauce. Co bowiem rozumie dziś wielu przez postęp?

Teorya ewolucyonizmu, stosowana pierwotnie tylko do nauk przyrodniczych, znalazła z biegiem czasu wstęp do wszystkich dziedzin wiedzy ludzkiej. Wszędzie — tak dziś się głosi — we wszystkich dziedzinach życia ludzkiego są ustawiczne zmiany, ustawiczne stawanie się, postęp bez przerwy, niema stania, niema nic niezmiennego, bezwzględnego. To prawo panuje przedewszystkiem w czynnościach ducha ludzkiego. Szczególnie w religii — powiadają — niema stałych form, ani niewzruszonych dogmatów,

ale ustawiczny rozwój do coraz nowszych i coraz doskonalszych symbolów i pojęć religijnych. Nauka, któraby w badaniach religijnych tego ewolucyjnego »dogmatu« nie uwzględniała, nie może na nazwę prawdziwej nauki zasługiwać. »Przez teoryę ewolucyonizmu — powiada jeden z nowoczesnych uczonych — zostały określone metody nowoczesnego badania naukowego nie tylko w naukach przyrodniczych, ale także w t. zw. naukach ducha, jak historya, filozofia i religia. Teorya ewolucyonizmu opanowywuje całe nasze myślenie; bez jej uwzględnienia niema postępu na polu naukowego poznania«.

Oprócz ewolucyonizmu wpłynęła na zmianę pojęć o istocie postępu w naukach teorya o »względnej wartości« (relatywności) prawdy. Teorya ta, wylęgła z subjektywizmu, utrzymuje, że zwłaszcza filozoficzno-religijne poglądy nie są odbiciem objektywnych, niezmiennych prawd, ale wytworem osobistych doświadczeń powstałych na tle ducha czasu, stanu kultury danej jednostki, zwłaszcza stanu cywilizacyi pewnej epoki. Każda bowiem epoka ma swe nowe filozoficzno-religijne prądy i poglądy, które ustępują, skoro już więcej duchowi czasu, stanowi cywilizacyi narodów nie odpowiadają. Tak też i teologia katolicka musi stanąć na powyżej określonym stanowisku, jeśli ma być zaliczona do rzędu umiejętności. Zadaniem jej, jeśli chce odpowiedzieć wymogom dzisiejszej nauki, musi być troska o dalszy rozwój religii chrześcijańskiej. W tym celu winna przyswoić religii chrześcijańskiej poglądy, które są poglądami dzisiejszego ducha czasu i zdobyczy »naukowych« dzisiejszych czasów. »Zadaniem teologii ująć przedmiot wiary w takie pojęcia, któreby odpowiadały naukowym poglądom dzisiejszych nauk przyrodniczych i historycznych« [1]. Słowa te, przetłumaczone na język profanów, nic innego nie mogą oznaczać, tylko że trzeba z teologii usunąć traktaty o cudach, o tajemnicach, o objawieniu nadprzyrodzonem, o bóstwie Chrystusa i t. d. Nawet pojęcie osobowego Boga trzeba zmienić na panteistyczne. Powiada bowiem Paulsen: »Nie możemy dzisiaj, po wielkiej zmianie zapatrywań na świat, przedstawiać sobie Boga

[1] Paulsen: *Die deutschen Universitäten*. S. 497.

z Arystotelem i Tomaszem, jako pozaświatową, pierwszą przyczynę ruchu wszechświata« [1].

Każdy już nawet z tego krótkiego szkicu dzisiejszych zapatrywań na postęp religii i teologii zrozumie, że na ich dnie leży nieuzasadniony dogmat, iż religia katolicka jest wytworem ducha ludzkiego, podobnie jak starożytne mity religijne, tylko od nich doskonalszym wytworem, a nie pochodzi z objawienia Boskiego. Dlatego tak samo jak inne dzieła czysto ludzkie może się udoskonalać, ulegać zmianie nawet istotnej, zupełnie nowemi, z postępem czasu, przesiąknąć ideami.

Oczywiście tego rodzaju postępu musi się wyrzec teologia. »Nie można wymagać od teologii, ani od żadnej innej nauki, żeby się stosowała do mody dnia, biorąc sobie za normę nie prawdę, ale zmienne rozkazy i nastroje chwili i chwiejąc się to tu to tam, jak trzcina, według wiatru mody. Umiejętność wiary tem mniej może wstępować na tę drogę, że musi to mieć na pamięci, jak bardzo jej prawdy sprzeciwiają się skłonnościom ludzkiego serca i że to ona właśnie jest powołaną nie dać się tym skłonnościom ściągnąć w kałużę błota, ale ma podnosić ludzkość na wyżyny duchowe, jeśli nie chce być solą zwietrzałą, która na nic się nie przyda człowiekowi«. Tego rodzaju postępu, powtarzamy, musi się wyrzec teologia. Ale bo też to nie jest postęp prawdziwy. Postęp nie może polegać na tem, by stare prawdy zarzucać, a nowe, najczęściej nieuzasadnione, stawiać teorye, li tylko dlatego, że nowe i oryginalne.

Postęp to nie burzenie starych fundamentów, a stawianie nowych na to, by znowu albo same runęły, albo by je inny postępowiec zburzył. To nie postęp, to jest ustawiczne zaczynanie na nowo, to postępowanie kilka kroków naprzód i znów cofanie się wstecz. Postęp, jak już sama nazwa wskazuje, to budowanie na tem, co już jest, to udoskonalanie dawnego, to wynajdywanie także nowych dróg i stwarzanie nowych dzieł, ale nie niszcząc tego, co wieki wypróbowały jako mądre, dobre, pożyteczne a co po dziś dzień takiem samem się okazuje. Tak roślina, tak organizm

[1] Ibid.

zwierzęcy i ludzki postępuje do coraz doskonalszego stanu przez przyrost nowych komórek do dawnych, przyczem jednak bywa zachowany dawny typ, dawny gatunek i rodzaj. Taki postęp a nie inny znajduje się we wszystkich umiejętnościach. Weźmy np. pod uwagę postęp w matematyce. Nikt zapewne nie powie, że matematyka dlatego, iż nie może zmienić tabliczki mnożenia albo geometrycznych zasad Euklidesa, skazana jest na stagnacyę. Taki postęp znajduje się też i w teologii. Widocznem to jest w umiejętnościach teologicznych, jak historya kościelna, studya biblijne, pastoralna i t. p. Wymienione gałęzie teologii mają wielkie pokrewieństwo z odpowiedniemi świeckiemi umiejętnościami, — mają tę samą metodę badania, są tylko pośrednio ograniczone prawdami objawionemi, dlatego postęp tych dziedzin wiedzy teologicznej jest równoległy do nauk świeckich i na tych samych odbywa się zasadach. Ale i dogmatyka i teologia moralna — umiejętności najbardziej ścieśnione objawieniem — nie polegają na samem tylko powtarzaniu tego, co już przed wiekami uczyły, lecz i one wykazują rzetelny postęp. Naturalnie nie może ten postęp polegać na wypowiadaniu twierdzeń przeciwnych dogmatom katolickim, lub na takiej zmianie rzeczowej lub choćby tylko słownej dogmatu, żeby pierwotne swe znaczenie zatracił. Dogmat to prawda przez Boga objawiona, a więc podobnie jak każda inna prawda, jest prawdą bezwzględną, niezależną od ducha pewnej epoki, od kierunku kultury, od modnej opinii ludzkiej — prawdą wieczną, a taka nie może podlegać zmianom. Zmiana dogmatu byłaby nie postępem, ale odstępstwem od prawdy, zboczeniem na manowce błędu.

Postęp we wzmiankowanych dziedzinach wiedzy teologicznej polega na głębszem i wszechstronniejszem zrozumieniu prawd objawionych, na wyprowadzeniu z nich nowych wniosków czyli nowych prawd tak teoretycznych jak i praktycznych, na ułożeniu ich w coraz doskonalszy system, na wykryciu związku między poszczególnemi prawdami objawionemi, na przystosowaniu ich wreszcie do nowych warunków życia ludzkiego. W teologii znajduje się jeszcze wiele ciemnych miejsc, które wyjaśnić jest zadaniem teologa. Odkrycia naukowe dostarczają nowych środków do

lepszego zrozumienia prawd objawionych. Jest rzeczą teologa spożytkować te odkrycia dla objaśnienia i zrozumienia miejsc dotąd ciemnych, dla pogłębienia już zrozumianych. W naukach świeckich powstają ulepszone metody badania. Zadaniem teologa przeszczepić te metody do badań teologicznych, nowe wynaleźć. Nieraz między teologią a naukami świeckiemi powstają konflikty, opierające się na pozornej czy rzeczywistej sprzeczności. Wynaleźć powody nieporozumienia, utorować drogę do zgody, o ile to możliwe, bronić prawd objawionych przeciw zarzutom pozornej nauki — oto pole bardzo szerokie, każdy przyzna, na którem stoją teologowi otworem liczne drogi postępu. Mądre daje przestrogi teologom, dotyczące postępu w teologii, pewien uczony teolog, które są zarazem uzupełnieniem tego, cośmy dotąd powiedzieli, dlatego je tutaj cytujemy: »Wierne trzymanie się — powiada — starych p e w n y c h nauk, otwarte oko na nowe poglądy, bez upierania się przy wszystkiem, co stare, ale i bez pośpiechu za nowością — oto sztuka w badaniach teologicznych, w której oczywiście nie zawsze łatwo znaleźć złoty środek. Trwożliwe trzymanie się oburącz tego, co stare, dlatego tylko, że stare wstrzymuje postęp; gorączkowe gonienie za nowością, dlatego tylko, że nowość, wtrąca w błąd. Naturalnie, że mniejszym i mniej niebezpiecznym błędem jest zbytek pietyzmu dla przeszłości. Żądza nowości rodzi próżność, zarozumiałość i ślepotę duchową. Środkową drogę wskazują słowa Chrystusa: »Każdy doktor nauczony w królestwie niebieskiem podobny jest człowiekowi gospodarzowi, który wyjmuje ze skarbu swego n o w e i s t a r e rzeczy« (Mat. 13. 52)[1].

Z wielką precyzyą określa naturę postępu w teologii już w V w. św. Wincenty z Lerynu. Na postawione sobie pytanie, czy jest postęp w teologii, odpowiada: »Owszem jest i to wielki... ale taki, że jest rozwojem wiary, a nie zmianą jej na inną. Bo do natury postępu należy, by rzecz w sobie niezmieniona doskonaliła się, do natury zaś zmiany, by coś z jednego przemieniło się w drugie. Niech więc rośnie i postępuje umiejętność teologiczna, byle w tym samym niezmienionym dogmacie, w tem samem ro-

[1] Chr. Pesch: *Theologischen Zeitfragen*, I. 65.

zumieniu prawdy (*in eodem scilicet dogmate, eodem sensu, eademque sententia).* Godzi się, by te dawne dogmaty niebieskiej filozofii zostały z biegiem czasu objaśnione, wygładzone, rozświetlone... ale byłoby rzeczą niegodziwą, gdyby zostały zmienione, okrojone lub sfałszowane«.

O faktycznym postępie nauk teologicznych świadczy wymownie rozszczepienie się teologii na liczne działy naukowe. Słowa Chrystusowe zawarte, niby ziarno gorczyczne, w Ewangeliach, wydały wspaniałe drzewo teologiczne z wieloma już dziś konarami i gałązkami. A rozwój ten jeszcze nie jest skończony. Gdyby wszystkie katedry teologiczne, odpowiednio do potrzeb i rozwoju teologii, dały się na uniwersytetach utworzyć, z pewnością liczba dziś istniejących potroiłaby się. Tyle już z głównego pnia teologii, sadzonego jeszcze przez wielkich Ojców Kościoła, wystrzeliło nowych latorośli, że te oddzielone, własnem mogłyby już dziś żyć życiem. Dowodem postępu w teologii są dawniejsze i dzisiejsze szkoły teologiczne z odmiennymi kierunkami i metodami badania, dowodem wielka ilość wybitnych teologów i rosnąca z każdym dniem literatura teologiczna. »Jakie postępy teologia katolicka od czasu Ojców poczyniła, najlepiej może pokazuje *Nomenclator litterarius theologiae catholicae*, wydany przez H. Hurtera. Podane są w nim nazwiska wybitniejszych teologów, tych mianowicie, których naukowa spuścizna miała dla teologii donioślejszą wartość. Otóż liczba tego rodzaju teologów w czasie od r. 1109 do 1894 wynosi 14.600. Żeby tylu teologów nie pozostawiło w swych dziełach żadnych nowych myśli, nic, coby teologię posuwało naprzód, jest rzeczą już *a priori* nieprawdopodobną [1].

Teologia a uniwersytet.

Wykazaliśmy dotąd, że teologia jest prawdziwą umiejętnością. Ma swój przedmiot, ma umiejętną metodę badania, ma wolność w badaniu taką, jakiej się nauka rozsądnie domagać może,

[1] U Donata l. c. str. 465.

nic też nie tamuje jej dobrze pojętego postępu, jakoż w rzeczy samej ustawicznie się rozwija. Tem samem okazuje się nieuzasadnionem i niesprawiedliwem domaganie się kół liberalnych usunięcia teologii z uniwersytetu. Głównym bowiem choć pozornym tylko zarzutem — prawdziwe tendencye leżą głębiej, o których poniżej — pomienionych kół, jest do znudzenia powtarzana piosnka, że teologia, nie będąc prawdziwą umiejętnością, nie powinna mieć swej siedziby w murach uniwersytetu. Ile warte te twierdzenia o nienaukowości teologii, jej nieproduktywności i niewoli w badaniach, widzieliśmy w ciągu naszych rozważań. Zobaczymy jeszcze pokrótce pozytywne racye, dla których teologia ma prawo obywatelstwa na uniwersytecie.

Uniwersytet jest miejscem naukowych badań wybitniejszych objawów życia ludzkiego. Tam te objawy znajdują naukową ocenę uzasadnienie, wyjaśnienie, ewentualną obronę. Najdonioślejszym niezaprzeczenie objawem życia ludzkiego jest religia chrześcijańska. Dwudziestowiekowem istnieniem, ilością wyznawców, bujnością swej historyi, ogromem dokonanych dzieł na różnych polach ludzkiego ducha przewyższa wszystkie inne zjawiska ludzkie. Jeśli tedy bez porównania mniej doniosłe objawy ducha ludzkiego, jak dzieła sztuki, literatury, języki ludów dziś już nieżyjących mają swe katedry na uniwersytecie, to byłoby zapoznaniem zadań uniwersytetu i krzywdą społeczeństwu chrześcijańskiemu wyrządzoną, odmawiać religii chrześcijańskiej miejsca na uniwersytecie na naukowe badanie tej religii. Uniwersytet, jak sama nazwa wskazuje i jak wyżej nadmieniłem, ma obejmować wszystkie zjawiska ducha ludzkiego, byłby tedy czemś niekompletnem, gdyby nie miał nauk teologicznych, bo pomijałby milczeniem najwyższe z tych zjawisk. Dziedzina najwyższych zagadnień ludzkości nie miałaby na uniwersytecie swych przedstawicieli i badaczów. Czy przez to sama nauka nie poniosłaby szkody? W każdym razie zakres jej badań byłby niepomiernie zacieśniony.

Tylko dla oczywistego fałszu niema miejsca na uniwersytecie. Poza tem nawet hipotezy naukowe winny mieć i mają w rzeczy samej tam swe katedry. Religia chrześcijańska jest conajmniej dobrze ugruntowaną hipotezą. A zatem teologia, która.

się naukowem badaniem tej hipotezy zajmuje — ze stanowiska przeciwników mówię — ma prawo obywatelstwa między naukami uniwersytetu. Wprawdzie uczeni-ateiści nie robią istotnej różnicy między mitami pogańskimi a religią chrześcijańską, uważając tamte i tę za wytwór ludzki, to przecież dotąd nie zdołali swych twierdzeń zadowalająco udowodnić ani przekonać o tem społeczeństwa, tak jak ono jest przekonane o mitycznem znaczeniu religii pogańskich.

A dalej. Skoro religia chrześcijańska nie jest fałszem widocznym — bo tylko ten jest wykluczony z uniwersytetu — ale przynajmniej dobrze ugruntowaną hipotezą, to byłoby krzywdą wyrządzoną społeczeństwu chrześcijańskiemu, gdyby brakło dla teologii miejsca na uniwersytecie.

Uniwersytety są dla potrzeb społeczeństwa. Ze stanowiska tedy tych potrzeb należy także osądzać, czy jaka umiejętność ma być na uniwersytecie uprawianą czy nie. Jeśli tedy w jakiem państwie, jak to jest w Austryi, ogromna większość ludów jest chrześcijańską, uważa swe religijne przekonania za prawdziwe i za najważniejszy czynnik w swem życiu, byłoby społeczną niesprawiedliwością, gdyby się z uniwersytetów tego państwa usunęło umiejętność, która właśnie te przekonania naukowo uzasadnia. Społeczeństwo chrześcijańskie utrzymuje swym groszem uniwersytety, może się więc słusznie domagać, by na tych uniwersytetach było miejsce dla naukowego pogłębienia, uzasadnienia, rozwinięcia i obrony najważniejszego czynnika w jego życiu. Społeczeństwo chrześcijańskie ma również prawo domagać się, by słudzy religii, którą społeczeństwo wyznaje, nabywali wykształcenia potrzebnego do swego zawodu, w najwyższych uczelniach państwa. Byłoby obrazą przekonań religijnych społeczeństw chrześcijańskich i ich poniżeniem, gdyby się wzbroniło przyszłym kapłanom religii chrześcijańskiej pobierać zawodowego wykształcenia w najwyższych szkołach tam, gdzie go pobierają przyszli lekarze, sędziowie, nauczyciele i t. d., a więc przedstawiciele zawodów mających na oku zaspokojenie daleko niższych potrzeb społeczeństwa, niż potrzeba religii. Skazywałoby się wtedy religię chrześcijańską bez sądu do roli fałszu, dla którego niema miejsca na uni-

wersytecie, lub do zjawiska tak mało znaczącego w życiu społeczeństw, że nie warto, by niem się uniwersytet zajmował. Wierzących katolików i katolickich kapłanów już z góry osądziłoby się za duchowych paryasów, do których wiedza naukowa nie może się przyznawać. I tego właśnie chcą bezwyznaniowcy. Julian Apostata, chcąc poniżyć wyznawców Chrystusa w opinii publicznej, zamknął chrześcijanom dostęp do najwyższych ówczesnych uczelni. To samo powtarza się i dziś. Nie o to w całej hecy antyteologicznej się rozchodzi, czy teologia jest umiejętnością, czy nie, to przeciwników mało obchodzi, ale o to, żeby religię Chrystusową przez wykluczenie teologii z uniwersytetu już z góry przedstawić jako baśń, a ich sługi i wyznawców poniżyć w opinii publicznej. Wiedza jest dziś bożyszczem, któremu się wszystko kłania. Pozbawić kogo nimbu wiedzy, znaczy skazać go na lekceważenie w opinii publicznej, znaczy zamknąć jego słowom wstęp do umysłów ludzi wykształconych. Sam pobyt teologii na uniwersytecie nadaje jej nimbu naukowości i prawdy. Pozbawić ją tego nimbu w oczach opinii publicznej, znaczy pozbawić religii katolickiej tego wpływu na ludzi, zwłaszcza wykształconych, jakiby w przeciwnym razie wywierać mogła. Mówię, przez sam pobyt na uniwersytecie teologia otoczona jest nimbem naukowości, ale nie tylko przez to samo. Środki naukowe, jakie są tak profesorom jak i słuchaczom na uniwersytecie dostępne, przewyższają niepomiernie środki choćby najlepiej uposażonych i urządzonych seminaryów. Z tego względu praca naukowa na uniwersytecie jest wielce ułatwioną, co znowu korzystnie może się odbić — *caeteris paribus* — na wykształceniu kleru. A kler wykształcony i duchem Chrystusa przejęty jest niezwyciężoną przeszkodą szerzeniu ateistycznych zasad w społeczeństwie. A więc go, przez usunięcie studyów teologicznych z uniwersytetu, duchowo zubożyć, aby mniej był ateistycznej i antyspołecznej robocie niebezpieczny. Czy państwo i społeczeństwo dobrze na tem wyjdzie, kiedy powszechnie zapanują liberalne i antyspołeczne poglądy, którym nie stanie przeciwwagi w chrześcijańskich pojęciach ładu i porządku, wyrugowanych obniżeniem poziomu wykształcenia kleru i poniżeniem go w oczach świata, to

inna rzecz — przeciwnicy teologii chcą przecie społeczeństwo oprzeć na antychrześcijańskich podstawach.

To jest jedna z przyczyn antyteologicznego ruchu uniwersyteckiego. Lecz podkład tego ruchu sięga jeszcze głębiej. Jest nim odchrześcijanienie wielu w społeczeństwie, zwłaszcza między wykształconemi warstwami. Nie Bóg, nie chrześcijańskie cnoty, nie wieczność są celem pragnień dzisiejszego liberalnego człowieka, ale sam człowiek, doczesność i doczesne ideały. Chrystus ze swym krzyżem na ramionach, z nauką pokory, cierpliwości, zamiłowania ubóstwa, Chrystus, którego królestwo nie jest z tego świata, taki Chrystus stał się dla dzisiejszego człowieka zgorszeniem. »Nie chcemy, aby ten nad nami panował«, wołają. Wiedza jest bożyszczem dzisiejszego świata, która ma zastąpić samą religię. Uniwersytety są jej najwyższym wyrazem i jakby uosobieniem. Dlatego teologia na uniwersytecie, jako wiedza o tym Chrystusie i Jego ideałach, tak przeciwnych ideałom wielu dzisiejszych ludzi, musi być dla nich solą w oku, musi się im wydawać ciągłem potępieniem ich zapatrywań, ciągłym wyrzutem sumienia, ciągłem świadectwem i przypomnieniem, że społeczeństwa jeszcze są chrześcijańskie. Stąd nienawiść ku teologii, stąd wołanie: *Tolle, tolle crucifige eam!*

Ks. M. Sieniatycki.

ESTETYKA T. LIPPS'A.

(Ciąg dalszy).

Wczuwanie się estetyczne.

Należy nam jeszcze określić według Lippsa znaczenie wczuwania się w upodobaniu estetycznem.

Wyżej wspomnieliśmy, że według niego wczuwanie się w przedmioty podpadające pod zmysły jest drogą, którą piękno wchodzi do duszy, czy też, co na jedno wychodzi, którą dusza wchodzi w świat piękna, wnika w jego treść i może rozkoszować się jego czarami w upodobaniu estetycznem.

W jaki sposób dziać się to może?

Upodobanie, wywołane przez przedmioty piękne, przychodzi do skutku w ten sposób, że one przedstawiając się zmysłom człowieka, interesują jego duszę kształtami, barwą, zewnętrzną swoją postacią, budzą w niej zajęcie i pociągają ku sobie. Dusza, która dążyła do zajęcia się w odpowiednich czynnościach i wyglądała sposobności do nich, teraz, gdy przedmiot stanął przed jej zmysłami, chętnie chwyta nadarzającą się sposobność, by swe siły i zdolności w obejmowaniu przedmiotu zatrudnić i byle tylko nie natrafiła, nie odkryła w niem czegoś rażącego, niezgodnego ze swym obecnym stanem, usposobieniem, odczuje w swem obejmowaniu przedmiotu upodobanie, przyjemność, rozkosz. Same jego kształty, sama postać zewnętrzna, formy, dźwięk, barwa już ją zajmą przyjemnie, a to tem więcej, im lepiej odpowiedzą formalnym zasadom piękna. Dusza zajęta w ten sposób przedmiotem i jego zewnętrznym wyglądem, cieszy się nim i nazywa go

pięknym. W tym wypadku upodobanie zależne jest od przedmiotu; dusza odczuwa je jako wypływające z przedmiotu. Lipps nazywa je krótko przedmiotowem, w przeciwstawieniu do innej grupy upodobań, którym daje miano podmiotowych. Bo upodobanie estetyczne nie kończy się tylko na upodobaniu płynącem z kształtów przedmiotu. Do upodobania przedmiotowego dołącza się w człowieku upodobanie płynące z jego własnych źródeł — upodobanie podmiotowe. Człowiek sam w sobie nosi też źródło upodobań, a jest niem on sam, własna jego osoba, i to, co do niej należy i o ile do niej należy. Podoba mu się to, w czem się wyraża i zaznacza jego własna, odrębna osobistość, własne jego działanie, dlatego, że jest jego; podobają się własne dążenia, zamysły, projekty, prace i zajęcia. Im więcej przebija się w nich jego osobista dzielność, energia, siła, doświadczenie, tem upodobanie jego większe. Lecz także i bole i cierpienie i przeżyte chwile niepowodzeń są mu przyjemne, o ile już przeszły, o ile odniósł nakoniec nad niemi zwycięstwo. Te wszystkie objawy życiowe podobają się człowiekowi, bo są jego, są złączone z jego osobą i składają się na poczucie wartości osobistej.

Otóż upodobanie estetyczne nie byłoby zupełne, gdyby do przyjemności, płynących z pojmowania przedmiotu, nie dołączyły się upodobania, których źródłem jest poczucie wartości osobistej. Dawałby się w tym razie uczuwać brak tego, co stanowi nawet podstawę upodobań wszystkich, upodobania w sobie. To też brak ten wypełnić się winien upodobaniem z zakresu własnego życia, z dawnych wspomnień przyjemnych, z przeżytych chwil szczęścia, z rzeczywistych, spodziewanych albo tylko możliwych przejść, stanów i wypadków osobistych. I wtedy łączą się razem i kombinują dwa upodobania, podmiotowe i przedmiotowe. Stopnia, w jakim się one łączą, określić niepodobna, bo proporcya, w jakiej obydwa te upodobania wchodzą w upodobanie estetyczne, ulega ciągłym wahaniom i zmianom. Raz przeważać będzie upodobanie przedmiotowe, kiedyindziej weźmie górę upodobanie podmiotowe. W każdym razie upodobanie estetyczne powinno nie tylko stawiać obok siebie obydwa te upodobania, ale jednoczyć je z sobą w ten sposób, żeby upodobanie przedmiotowe

wprowadzało zarazem w człowieka upodobanie z jego własnych źródeł. Przedmiot nie tylko powinien zewnętrzną swą zmysłową postacią zająć mię, dać władzom mej duszy sposobność do pełnego zatrudnienia się, ale nadto powinien w tejże zmysłowej postaci dać mi możność, bym w niej odczuł siebie samego. W jego kształtach powinienem odczuć własne swe dzieje, to, co mnie osobiście cieszy i boli, jakiś rys znamienny własnego życia, choćby bolesny i przykry, byleby tylko dawał świadectwo o sile i pracy i mem zmaganiu się życiowem, a nie o upadku sił i zaniku życia. Przedmiot prócz kształtów przyjemnie działających na zmysły, (oczy zwłaszcza i uszy, bo dotykowi, powonieniu i smakowi odmawia Lipps wartości estetycznej), musi jeszcze posiadać dla człowieka wyraz zdolny wprowadzić go w zaczarowane skarby jego własnego życia i dać mu zakosztować ich słodyczy: »Przez to dopiero daje się określić pojęcie każdego piękna. Każde używanie piękna, to wrażenie życia i jego możliwości bijące z przedmiotu. Każda zaś brzydota w swej istotnej zasadzie jest zaprzeczeniem życia, brakiem życia, zatamowaniem, okaleczeniem, zburzeniem życia, śmiercią« [1].

Droga, która prowadzi do tego, by z dostrzeżonego przedmiotu można było odczuć siebie w jakiemś drgnięciu radosnem życia, to właśnie omawiana wyżej droga wczuwania się. Ona to wiedzie człowieka w krainę piękna, daje mu klucz do ręki, by sobie otworzył leżący przed nim świat zaczarowanych skarbów, a w otwartem jego wnętrzu pozwala zdumionemu wśród rozłożonych skarbów odnaleźć to, co mu jest najbliższe, najdroższe, najpożądańsze — siebie samego i swe wartości osobiste, tylko jakieś większe, bujniejsze, bogatsze niż zwykle, w jakimś spotęgowanym stopniu: więc człowiek rozradowuje się i rozkoszuje w tem odnalezionem własnem, spotęgowanem życiu. Wczuwanie łączy człowieka we wczuciu z całym otaczającym go światem; przez nie, jak to widzieliśmy wyżej, potrafi wżyć się w każdy przedmiot i odczuć w nim jego charakter, usposobienie, nastrój; z kształtów przedmiotu przenosi je w siebie. We wczuwaniu znoszą wszystkie twory

[1] Lipps: *Grundlegung der Aesthetik.* I, 102.

człowiekowi treść swojej istoty, by nią zasilić jego własne życie. We wczuwaniu przyswaja sobie człowiek słoneczne życie cichych traw polnych i dławiącą rozkosz kwitnących łąk, i żylastą wytrzymałość porozrywanych starych dębów. I rozpogadza się on w jasnym, zalotnym uśmiechu kwiatów i zasępia głęboką melancholią ciemnych borów; uczuwa w sobie mocarne siły ogromnych gór i w piersi drga mu nieraz pieszczota szemrzących wód. W piorunnych rykach burz cieszy go jego własny, spotęgowany, żywiołowy gniew, a nocne niebo koi mu duszę szerokim spokojem gwiazd. I tak wszystkie twory, wszystkie zjawiska natury i pracy ludzkiej, wszystkie ruchy u zwierząt i ludzi, u ptaków i ryb w wodzie, u drobnych robaczków, jak i walących się gór, wszystko, co tylko może dostrzedz swymi zmysłami, wszystko to znosić mu będzie we wczuwaniu swoje odrębne życie, by jego życie spotęgować, urozmaicić, ubogacić, rozszerzyć bez końca. A on czuje radość i upodobanie w tem bogactwie, rozmaitości, rozszerzaniu się i spotęgowaniu własnego życia.

Atoli nie każde wczuwanie się ma warunki do wywołania upodobania estetycznego. Wczuwanie się, jak widzieliśmy wyżej, jest zjawiskiem codziennem, powszechnem, towarzyszy nam na każdym kroku, częściej nawet od poznania rozumowego, bo jest od niego pierwotniejsze i głębsze, a przecież rozkosze estetyczne nie zjawiają się znowu tak często. Wczuwanie się jest czemś codziennem, powszedniem a upodobanie estetyczne rzadkiem, odświętnem. Skąd to pochodzi? Przyczyna tego leży w tem, że nie każde wczuwanie jest estetyczne.

Są dwojakiego rodzaju wczuwania. Jedne zmierzają ku celom praktycznym i normują stosunki życiowe człowieka. Inne nie mają żadnych celów praktycznych przed sobą, nie kierują się względami praktycznymi. Wskutek tego, że pewne wczuwania — Lipps nazywa je p r a k t y c z n e m i — normują stosunki życiowe człowieka, muszą się też liczyć z realnymi warunkami, z rzeczywistym stanem rzeczy. Tak gdy w rysach człowieka spostrzegę smutek, zaczyna i we mnie powstawać uczucie smutku. Niechże do tego uczucia dołączy się myśl, pytanie, czy też naprawdę ten człowiek boleje, niechże zacznę zdawać sobie sprawę z rzeczywi-

stości lub udawania smutku u owego człowieka, wówczas liczę się z rzeczywistością i albo zdecyduję się na niesienie pociechy smutnemu, albo doszedłszy do wniosku, że smutek jest udany dla wzbudzenia mej litości, ze wstrętem odwrócę się od oszusta. Wczuwanie w tym wypadku liczyło się z rzeczywistością, interesuje się nią i stosuje się do niej.

Inaczej ma się rzecz z wczuwaniem estetycznem. We wczuwaniu estetycznem człowiek nie troszczy się o swoje życie praktyczne, nie chodzi mu o poznanie rzeczywistego stanu rzeczy, a wcale nie myśli brać wczuwania za normę swego postępowania. Owszem we wczuwaniu się estetycznem chce uciec od powszedniości zwykłego życia, chce o niem zapomnieć, a znaleźć się choć na chwilę w innem życiu odrębnem, jakiemś wyższem, potężniejszem, idealnem. Więc kiedy wczuwanie się estetyczne wyklucza praktyczne cele, człowiek nie podporządkowuje je interesom codziennego życia, ale zadawalnia się niem samem, pozostaje przy niem samem, nie postępuje dalej. Jemu wystarcza to, że wczuwanie się wywiązało i daje mu odczuć się w przedmiotach dostrzeżonych jakimś innym, niż zwykle, jakimś lepszym, podnioślejszym, rozprzestrzenionym tymi wszystkimi zasobami życia, jakie weń wniosły przedmioty jego wczuć estetycznych. To go raduje, uszczęśliwia, cieszy, a o rzeczywistość nie pyta. Nie obchodzi go pytanie, czy ten przedmiot wart coś czy nie wart, czy pożyteczny, czy szkodliwy, skąd się wziął, kto go robił i gdzie i w jakim celu zrobiony i t. p., bo to wszystko sprowadzałoby go z wyżyn tych chwil przyjemnych idealnego życia na szarą grudę pospolitej rzeczywistości. A jak strona finansowa, historyczna, ekonomiczna, techniczna pozostaje poza zakresem wczuwania estetycznego, tak samo nawet strona objektywnej prawdy nie może niepokoić człowieka i ona musi także pozostać wyłączona poza nawias z pośród czynników składających się na proces estetycznego wczuwania. I ona także wnosiłaby zamieszanie w te czynniki i niepokojąc człowieka, rozbijałaby możność wczucia się w przedmiot estetycznie. Czyż np. mógłby się ktoś wczuć w wesołe, radosne usposobienie aktora, gdyby chciał sobie zdać sprawę o prawdziwym wnętrznym jego

stanie psychicznym? Czyż doznałby przyjemnych wrażeń, odczuł się w nim swobodnie, wesoło, gdyby wiedział, że może on przed chwilą odchodził rozpaczający od łoża ciężko chorej matki, by z twardej konieczności w wspaniałym kostyumie wystąpić na scenie i iskrzącymi się dowcipami bawić publiczność? Ale nawet postawienie pytania o przedmiotową prawdę uniemożliwiałoby proces wczucia. Żeby wczuwanie się mogło przyjść do skutku, to objaw życiowy, przebijający się w wyrazie dostrzeganego przedmiotu, musi być dla człowieka pewny ponad wszelką wątpliwość, musi posiadać cechy naocznej pewności. Tymczasem każde pytanie burzy jego pewność, budzi wątpliwości, osłabia i niszczy działanie wrażeń idących z przedmiotu. Kwestyonuje te wrażenia, więc i pytań o rzeczywistość podnosić nie można. Więc wogólności we wczuwaniu estetycznem nie obchodzi człowieka żadna inna rzeczywistość prócz tej, jaką posiada dla niego bezpośredni wyraz przedmiotu. Mniejsza o to, czy ten wyraz jest prawdziwym w znaczeniu prawdy objektywnej, czy odpowiada wewnętrznemu stanowi przedmiotu, byleby był prawdziwym dla mnie, byleby dla mnie posiadał mowę i mię przekonał, wzbudzając we mnie odpowiednie odczucie, któreby mię obdarzyło nowym jakimś przyczynkiem życia.

Tak więc zasadniczym rysem, który, według Lippsa, wyróżnia wczuwanie estetyczne od wczuwań, które się wywiązują codzień wśród naszych zajęć, prac, stosunków z otoczeniem, jest ta ich niepraktyczność, bezinteresowność, to wyłączenie, usunięcie ich z koła interesów powszedniego, realnego życia, to, że się tak wyrazimy, uświątecznienie ich w wydzieleniu z pośród powszedniości. Jest to usamodzielnienie ich. »Leży to w naturze estetycznego uczucia, że zostaje i zupełnie zamyka się tylko w sobie« [1].

Z dotychczasowych wywodów, któreśmy za Lippsem skreślili, przebijają dwa zasadnicze żądania od przedmiotu pięknego: żeby pod względem formy posiadał przy całej rozmaitości swych części pewien rys jedności, oraz żeby pod względem treści przed-

[1] Lipps: *Die aesthetische Betrachtung u. die bildende Kunst.* Str. 47.

stawiał jakiś charakterystyczny wyraz wnętrznego życia. Te dwie cechy stanowiłyby w najogólniejszym zarysie czynniki do określenia piękna przedmiotowego.

Lipps uznaje piękność przedmiotową, jak to mieliśmy sposobność widzieć przy omawianiu znaczenia przyzwyczajeń w pięknie. Tam Lipps podkreślał nawet objektywność piękna. A jednak w ocenie piękna wystrzega się tego objektywnego określenia piękna. Nie myśli na raz znalezionej podstawie objektywnej wykazywać, jak daleko w naturze sięga teren piękna, co jest estetycznie obojętnem, co brzydkiem. Zamiast mówić, co jest pięknem w naturze, on ogranicza się do ogólnego stwierdzenia: »Es gibt ein Naturschönes ebensowohl wie ein Kunstschönes«. »Tak wśród tworów przyrody, jak wśród dzieł sztuki istnieje piękność, i to w tem samem znaczeniu tego słowa« [1]. — To wydaje się za mało, chciałoby się usłyszeć coś więcej pod tym względem, chciałoby się znów cyrklem, miarą i wagą określić tę piękność i apodyktycznie dowiedzieć się, gdzie leży piękność. Tymczasem lakoniczne słowa »Piękno, jest zarówno w przyrodzie, jak w sztuce«, sprawiają zawód i wprost mrożą zbyt gorącego, nieopatrznego poszukiwacza piękna, któryby chciał łatwo i szybko rozsortować całą naturę i sztukę na przedmioty estetycznie piękne i brzydkie i rozkoszować w tych ostatnich. Nie. — Lipps tylko ogólnie znaną prawdę wygłasza: są rzeczy piękne. Ale za to pokazuje, jak się ich szuka. Nie mówi, gdzie ich szukać, tylko jak ich szukać. One leżą dookoła, one są wszędzie, tylko trzeba umieć patrzeć na rzeczy, trzeba umieć ich szukać, a niemal na każdym kroku można je odnaleźć wśród pyłu i kurzu rzeczywistości, można z szarej, pospolitej rudy wydzielić drogocenne złoto piękna. Metoda Lippsa właśnie bada ten sposób, który rozsiane wszędzie piękno potrafi wyłowić, zużytkować w upodobaniu estetycznem. Wyławianie piękna, przetapianie szarej rudy otaczających nas rzeczy na lśniący, drogocenny kruszec dzieje się w tak zwanej przez Lippsa czystej estetycznej kontemplacyi. I w tem znaczeniu należy rozumieć wyrażenie Lippsa, określające piękność i brzydotę.

[1] Tamże, str. 37.

»Pięknem nazywam to, w czem wśród czystej estetycznej kontemplacyi odczuwam i życiowo stwierdzam wartość osobistą własnej jaźni. Brzydkiem zaś mienię to, w czem podczas czystej estetycznej kontemplacyi odczuwam jakieś umniejszenie, skurczanie się, zaprzeczenie własnego życia« [1].

Czem ona jest ta kontemplacya estetyczna?

Jest ona przedewszystkiem wprowadzeniem człowieka do stanu wczuć estetycznych. Jej zadaniem jest przygotować władze psychiczne człowieka do przyjęcia estetycznych wrażeń, idących z przedmiotu. Do niej należy skupić rozpraszającą się uwagę człowieka na jeden wybitny rys, wyraz, charakter dostrzeganego przedmiotu, i przez uważne wpatrywanie się, wsłuchiwanie, wmyślanie się weń, torować drogę wywiązującym się estetycznym wczuciom. Jeżeli wczucie estetyczne odbywa się w warunkach pewnego oderwania od rzeczywistości, to właśnie kontemplacya powołaną jest, aby te warunki sprowadzić. I dlatego, że człowieka stawia w położeniu, w którem praktyczna rzeczywistość przestaje go obchodzić, że niejako odrywa go od niej, a zatapia w bezinteresownem rozważaniu zjawiska, dlatego dostała nazwę czystej, t. j. bezinteresownej kontemplacyi estetycznej. Lipps zdając sobie sprawę z ważności roli, jaką odgrywa »czysta kontemplacya« w estetycznych przeżyciach, szczegółowemu poddaje ją rozbiorowi.

Kiedy człowiek pragnie doznać wrażeń estetycznych, t. j. wywołać w sobie wczucie w jakiś przedmiot, musi niejako wyjść z zakresu swego codziennego życia, zapomnieć o nim, a swe siły duchowe skupić na przedmiocie, który go pociąga. Ale i przedmiot istniejący wśród innych, omotany jest całą siecią stosunków, łączących go z otoczeniem i wiążących go z rzeczywistością. Przeto i sam przedmiot mógłby jakąś swoją stroną na nowo przypominać człowiekowi kłopotliwą rzeczywistość i przeszkadzać wywiązaniu się wczuwań u niego. Aby tego uniknąć, musi człowiek wyłączyć poza zakres swej uwagi wiele stron rzeczywistych, istniejących w przedmiocie, musi się skupić i zająć się tą tylko

[1] Tamże, str. 22.

stroną przedmiotu, która mu się najoczywiściej i bezpośrednio przedstawia, która przekonywująco przemawia do niego swoim wyrazem. To wyłączne myślowe zajęcie się bezpośrednio danem, to wpatrywanie się, wsłuchiwanie, wmyślanie się w samą postać przedmiotu lub zdarzenia, stanowi kontemplacyę piękna i ono to sprawia, że pośród niej znika dla świadomości ludzkiej wszelka rzeczywistość leżąca poza zjawiskową, jedynie interesującą, stroną przedmiotu.

Przedmiot zatem rzeczywisty, tysiącznymi węzły związany z realnym światem i zmieszany z powszedniością zwykłego życia, w kontemplacyi estetycznej ulega zmianom. Mianowicie utraca on mnóstwo ze swych właściwości realnych, które jak wielka, bezkształtna masa ciążyły na nim i przygniatały jego wewnętrzną treść, tamowały jej wrażeniowe działanie na człowieka. Kontemplacya estetyczna uwalnia tę wnętrzną treść, uwidocznioną w wyrazie, z pod niekorzystnej przewagi czynników realnych, wyswobadza i usamodzielnia. Z pola drobnostkowej rzeczywistości przenosi w warunki bytu oderwanego, w »sfery, w których już mowy niema o rzeczywistości lub nierzeczywistości, w sferę idealną o tyle, że z niej kwestya rzeczywistości wykluczona«. Wskutek tego przedmiot dostaje się w sferę estetycznej idealności, *aesthetische Idealität.*

Idealności estetycznej nie trzeba pojmować na modłę owego świata idealnego ogólnych pojęć i myśli oderwanych, mogących istnieć tylko w umyśle. Estetyczna idealność jest zupełnie różna od idealności pojęciowej a różna tem, że wiąże się koniecznie ze zjawiskowym wyglądem przedmiotu. W estetycznem rozważaniu człowiek musi widzieć, słyszeć, wyobrażać sobie, zmysłami pojmować przedmiot t. j. jego stronę zjawiskową, a dopiero z jego zjawiska odczytywać stronę wnętrzną, życie. Przedmiot, wyjęty z realnych warunków istnienia, nie przechodzi w czysto myślowe pojęcie, ale staje się tylko »przedstawieniem«, »obrazem«, zachowującym wygląd zmysłowy, ale tylko wygląd, bez tych wszystkich dodatków, stosunków, które w rzeczywistości są z nim związane. Taki obraz tylko rzeczywistości pobudza do kontemplacyi i kontemplacya nim się jedynie zajmuje.

Tego rodzaju związanie ze zjawiskiem zmysłowem, z obrazem przedmiotu nie istnieje w świecie oderwanych, ogólnych pojęć i dlatego świat estetycznej idealności, różny tak od świata rzeczywistego jak i od świata idei ogólnych, tworzy odrębny świat w sobie zamknięty, w którym każdy przedmiot jest estetycznie wyodrębniony *(aesthetische Isoliertheit)*. Dwie te właściwości, idealność estetyczna i estetyczna odrębność, jakiemi kontemplacya wyposażyła przedmiot realny, pociągają za sobą dalsze następstwa dla przedmiotu wczuwania się nader korzystne. Oto 1) stawiają go w położeniu niedostępnem dla jakichkolwiek kwestyonowań, pytań, wątpień, a więc przedstawiają go wobec duszy w najkorzystniejszem świetle jasnej oczywistości (estetyczna przedmiotowość); 2) przez to dają mu możność i łatwość wejścia w życie człowieka, wtargnięcia w kolej jego przeżyć i wytworzenia sobie w nim nowego bytu uczuciowego (estetyczna realność); 3) wreszcie sprawiają, że uczucia przezeń wywołane nie spływają po wierzchu, musnąwszy zaledwo człowieka, ale wnikają weń głęboko, schodzą aż do dna jego osobowości, poruszają w nim wszystko, co mu miłe i drogie, chwytają za rdzeń jego osobistych wartości (estetyczna głębia).

Praktyczne wczuwanie się, rozerwane względami praktycznej natury, niezdolne było objąć przedmiotu, wniknąć do wnętrza i skazane jest na powierzchowność i płytkość. Przyczyną tego jest brak przy niem tej czystej, bezinteresownej kontemplacyi, która potrafi dostrzedz i wydobyć z przedmiotu tylko pewne charakterystyczne rysy, pewien wyraz znamienny w danej chwili i przezeń pozwala wniknąć do głębi, do życiowej treści przedmiotu. Ledwo człowiek dostrzegł przedmiot jakiś, ledwo zainteresował się nim, już względy praktyczne rozerwały jego uwagę, odwróciły od wyrazu przedmiotu, nie pozwoliły mu oddać się bezinteresownej kontemplacyi, a przeto i wczuwanie się, które już przy dostrzeganiu przedmiotu zaczęło się wytwarzać, nie mogło wniknąć do wnętrza — nie było głębokie. Przeciwnie rzecz się ma w estetycznej kontemplacyi. Ona usuwa z przedmiotu pył i kurz momentów rozpraszających uwagę, usuwa niepokój i pozwala człowiekowi pogrążać się w rozważaniu narzucającego się zjawiska

a przez rozważanie pogrążać się w odczuciu jego wewnętrznej strony. I występuje wtedy we wczuwaniu się takiem pewne charakterystyczne dla estetycznego wczuwania się odczucie głębi. Wydaje się człowiekowi wówczas, jakby się coraz więcej pogrążał we wnętrzu dostrzeganego piękna, którego siły coraz więcej i więcej go obejmują, chłoną, rozpuszczają w sobie, przemieniają na sposób wnętrznego życia piękna. A on się temu uczuciu poddaje, nie broni, bo nie budzą go do rzeczywistości usunięte w kontemplacyi względy praktycznego życia, bo czuje się dobrze w tem pogrążeniu, bo mu życie wzbiera nowymi prądami, jakich w rzeczywistości w szarem, codziennem życiu nie czuł w sobie, a które do skarbu jego godności osobistej wnoszą poczucie nowych wartości. W ten sposób »odczucie wartości estetycznej jest zawsze związane ze świadomością głębi jakiejś w przedmiocie« [1].

Tak więc kontemplacya uważana przez wielu estetyków za właściwy i pierwszorzędny czynnik w przeżyciach estetycznych, znalazła i u Lippsa szerokie uwzględnienie. Wprawdzie nie przyznaje jej tej dominującej roli, którą zachował dla wczuć estetycznych, jednak wyznaje, że wartość piękna wschodzi i rozbłyska w kontemplacyi i przez kontemplacyę tylko prowadzi do tego, co jest uwieńczeniem całego procesu estetycznych przeżyć, t. j. do wczuć i upodobań.

Ale jeszcze jedną wielką usługę oddaje analiza estetycznej kontemplacyi. Oto przygotowuje ona stanowisko, z którego otwiera się widok na różnice dwóch działów piękna: piękna naturalnego i artystycznego. Różnica między tymi działami piękna istnieje bezsprzecznie. Ale jaka?

Otóż przedewszystkiem leży ona w tem, że kiedy piękno w naturze trzeba zdobywać, piękno artystyczne leży już dla nas zdobyte. Jak widzieliśmy, zadaniem kontemplacyi było odosobnić z pośród tysiącznych realnych względów to, co jest zawarte w samej zjawiskowej postaci danego przedmiotu, utworzyć sobie z niej »obraz« i temu obrazowi dopiero się przyglądać i w niego

[1] Lipps: *Grundlegung der Aesthetik,* str. 159. — *Die aesthetische Betrachtung und die bildende Kunst.* Str. 49 i nast.

wmyślać. Wówczas wywiązywać się będą głębokie wczucia estetyczne. Tymczasem to wydobycie »obrazu« z pośród rzeczywistości nie zawsze przychodzi łatwo. Bezsprzecznie jednym z najpiękniejszych przedmiotów natury jest człowiek, a jednak estetyczna kontemplacya jego kształtów jest stosunkowo bardzo rzadka. Dlaczego? Bo zanadto silnie związany z rzeczywistością, aby go módz od niej zupełnie oderwać i przenieść w stan estetycznie idealny. Nie można łatwo wyzbyć się myśli, że to przyjaciel lub nieprzyjaciel, że mię zaletami swemi zawstydza lub zazdrość wznieca, zagraża w jakiś sposób lub coś przypomina, słowem, trudno się zdobyć przy pięknie naturalnem na czysto estetyczną, bezinteresowną kontemplacyę; trudno sobie z przedmiotu dostrzeganego wytworzyć »idealny jego obraz«, bo rzeczywistość zanadto wkracza w proces jego wytwarzania i zakłóca estetyczną kontemplacyę.

Inaczej ma się rzecz z przedmiotem sztuki. Człowiek w marmurze lub na płótnie jest już z rzeczywistości wydobyty, przeniesiony w tę sferę idealną, że posiada tylko zjawiskową postać, jest obrazem, ale już bez tych niepokojących cech rzeczywistości. Może on pędzić, gniewać, rzucać się z całą furyą. W zwykłych warunkach trzebaby mu się było ustąpić z drogi z obawy przed jego napadem. Wyraz w jego ruchach i rysach istniejący, jasno mówi o życiu jego wnętrznem, o gniewie, który jest tego życia wybitnym objawem. I podobałby mi się estetycznie ten wyraz, potrafiłby wywołać estetyczne wczuwanie, gdyby można bezinteresownie weń się wpatrzyć. Tylko właśnie ta czysta kontemplacya tego wyrazu życia jest albo niemożliwa albo bardzo utrudniona. Względy praktyczne ratowania się przed rozgniewanym zanadto silnie działają, aby się można z nimi nie liczyć i bez względu na niebezpieczeństwo pozostać w estetycznej kontemplacyi. I w ten sposób dla przeróżnych względów realnych ginie możność wykorzystania piękna naturalnego, zawartego w ruchach, postawie, wyrazie człowieka. Kiedy zaś człowiek z całą swą zajadłością, zaciętym gniewem przeniesiony został na płótno, wrąbany w marmur, to mimo że z wściekłością zaciska pięści, pręży muszkuły, błyska oczyma, — nie budzi żadnych obaw, nie trzeba

mu się usuwać z drogi, można przed nim spokojnie stać i wpatrywać się swobodnie w tę postać dyszącą gniewem i wskutek tego odczuć przyjemność w tym wybuchowym wylewie potężnej siły życiowej, która z taką energią umie się bronić przed nieprzyjaznem jakiemś najściem.

I taki człowiek, czy zdarzenie jakieś, czas, miejsce, akcya, słowem każda rzecz, przedstawiona w sztuce, czyto w rzeźbie, czy w malarstwie, na scenie lub w poezyi, zawsze już z natury rzeczy, jako dzieła sztuki, wyjęte są z atmosfery realnej rzeczywistości i nie budzą interesu praktycznego. Są postacią i tylko postacią, obrazem, przedstawieniem, względem których śmiesznemby było stawiać jakiekolwiek pytania odnośne do rzeczywistości. One dla rzeczywistości są niczem; istnieją tylko dla estetycznych przeżyć. Kiedy człowiek chciał estetycznie w czystej kontemplacyi przyglądnąć się pięknu naturalnemu, to musiał mniej lub więcej męczyć się, aby je sobie z pośród rzeczywistości wydobyć, żeby je sobie przedstawić czyste i wolne od momentów je mącących. W kontemplacyi dzieł sztuki męczyć się już nie potrzebuje; idzie mu ona bez trudu, łatwo, bo piękno już oswobodzone przedstawia się samo, a pracę oswobodzenia i trud przedstawienia czystego piękna wziął na się artysta, który podjął się je z rzeczywistości wyłączyć i przenieść w świat oderwany od rzeczywistości, — w swoje dzieło. Weźmy np. rzeźbiarza. Jego sztuka zajmuje się przedstawieniem człowieka. Więc stara się wyłączyć go z rzeczywistości i ku temu celowi używa najrozmaitszych sposobów. Ze świata rzeczywistego odrywa jego postać i przenosi w materyał odmienny, w którym w rzeczywistości człowiek nie istnieje, w marmur, bronz, glinę i t. p. Przy tem przenoszeniu umyślnie pomija i opuszcza wiele cech rzeczywistemu człowiekowi właściwych. I musi tak robić. Gdyby bowiem starał się o niewolnicze odtworzenie jakiejś osoby, jak to czasem widać we figurach woskowych, to zacierałby ślady tego oderwania od rzeczywistości i znów uniemożliwiałby kontemplacyę niepewnością, z kim się ma do czynienia: z człowiekiem żywym czy z lalką, albo co gorsza figura taka wywiera jeszcze przykrzejsze wrażenie jakiejś niepojętej potworności — rzeczywistego, żywego człowieka w jakiś niezrozu-

miały sposób unieruchomionego i skostniałego za życia. Więc artysta opuszcza barwę naturalną człowieka, różną w różnych częściach, opuszcza niewolnicze odtwarzanie każdej nierówności jego powierzchni, każdej brodawki, każdego włóska, wogóle opuszcza wszystko, co jest podrzędnem, a wybiera i podkreśla tylko te rysy, strony, momenty, które mu są potrzebne dla uwydatnienia wyrazów, jako pewnych tłumaczów kryjącego się ducha.

Przez tę całą robotę »estetycznej negacyi« urzeczywistnia sztuka wyraźne wysunięcie postaci z rzeczywistego świata, uśmierca w zarodku pytanie, czy to postać żywa czy nieżywa. Opuszczając w przedstawieniu podrzędne rysy przedmiotu, usuwa możność rozzbicia uwagi na nieznaczące szczegóły, zmusza ją do koncentracyi na tem, co jest najważniejsze, na charakterystycznym wyrazie, który decyduje o wrażeniu życia. Wskutek tego wydzielenia wyrazu z podrzędnych momentów potęguje się też znaczenie owego objawu życiowego, który sam jeden tylko ogarnia całą postać. Wtedy każdy wyraz, choć indywidualnie odtworzony, wyrasta do rozmiarów typu życiowego, żywiołowo narzucającego się widzowi w swej istotnej czystości dla odczucia w estetycznej kontemplacyi. Dodajmy do tego cały szereg innych środków wyłączenia postaci z rzeczywistości, z którą ona przecież już jako dzieło sztuki stykać się musi, — owo podniesienie figury na postument, żeby nie stała na płaszczyznie, po której my chodzimy; obrabianie jej powierzchni, żeby usunąć z przed oczu narzucającą się rzeczywistość materyału, w którym została wykonana. Obrobienie samo, a jeszcze więcej patyna na bronzach, barwa, glazura na glinie, pociągnięcie lakierem lub nasycenie bejcem drzewa, usuwa surowiznę t. j. rzeczywistość materyału. I jak rzeźba tak samo malarstwo i teatr i poezya, a nawet architektura i sztuki dekoracyjne, każda w innym stopniu i mierze, stosownie do natury swej, odrywają od rzeczywistości, wytwarzają świat estetycznie idealny, w którym człowiek już łatwo bez trudu może oddać się estetycznej kontemplacyi, który wprost warunkami swymi ją wymusza i narzuca estetyczny proces wczuwania.

(C. d. n.)

Ks. L. Rudnicki.

DZIEJE FILOMATÓW W ZARYSIE.

(Ciąg dalszy).

Rok szósty. 1822—1823.

Naprzód! przed nami świat do zdobycia,
Nadziei tysiąc, zawodów tysiąc!
. . . . . .
My chcemy walki, lecz nie tej krwawej,
Co świat napełnia zwierzęcym wrzaskiem,
Co w liczbie morderstw szuka swej sławy
I krwawym duma poklaskiem!
Nie tej, co pośród dzikiej zamieci
Ogniem i mieczem burzy i straszy;
My chcemy walki, co kraj oświeci
Od piwnic aż do poddaszy!
Co kraj oświeci wiary światłością,
Walki, dla której świat jest miłością,
Zimna rozwaga — nadzieją!
Chcemy los własną kierować dłonią
W walce, wśród której wodzem jest s t a ł o ś ć,
W walce, dla której p r a c a jest bronią
A sprzymierzeńcem — w y t r w a ł o ś ć!

Julian Ochorowicz.

Naprzód! woła dziś myśliciel i poeta, naprzód! na drodze służby społecznej, naprzód! pomimo przeszkód i trudów. Hasło to — to niby żywe echo zasad filomackich, wzywających do walki pracowitej, mężnej, wytrwałej, walki, co nieść winna przed narodem oświaty kaganiec i trafiać z nim wszędzie do najdalszych zakątków, do serc wszystkich warstw społecznych. Wierne swym

hasłom kroczyło grono Filomatów przez pięć lat trudną ścieżką postępu, gdy oto groźba śledztw i prześladowań, połączona z rozłamem wewnętrznym, kazała wstrzymać pochód i wytężyć wszystkie siły, by nie cofnąć się i nie uledz.

Pamiętne zajście między Piaseckim a Mickiewiczem zachwiało jeszcze przed wakacyami jedność związku: Jeżowski, Czeczot i Domejko, którzy krzywdę wyrządzoną przyjacielowi przyjęli za własną, stronią od Kazimierza; inni znów, nie usprawiedliwiając, lecz tłumacząc poniekąd jego gwałtowny postępek, pragną dla dobra ogółu zachować dawne stosunki. W poglądach na dalszy rozwój planów organizacyjnych ujawniają się też zasadnicze różnice. Jeżowski, oceniając może najlepiej warunki chwili, jest za zupełną przerwą w działaniach, zanim uśpią się podejrzenia i czujność władz; Kozakiewicz i Piasecki uważają też poniekąd słusznie, że o ile nowoprzybywająca młodzież nie zostanie ogarnięta zbawczym wpływem filaretyzmu, wniesie ona do uniwersytetu swawolę, opieszałość, naganne obyczaje, a zły przykład zniszczy od razu owoce pięcioletnich trudów. Zdanie to podziela świeżo przybyły z Lublina pełen czynnej energii Pietraszkiewicz, nie sprzeciwia mu się Zan, który, chociaż sam wobec danego Twardowskiemu słowa, nie może stanąć na czele organizacyi, zachęca przecież Kozakiewicza do wznowienia związku prawnego wśród byłych Filaretów. Jeżowski przychyla się, acz niechętnie, ku zdaniu większości, lecz wyjazd jego do Starych Trok, gdzie otrzymał posadę, utrudnia stosunki i każe nieraz odczuwać brak światłych rad głównego kierownika. Mickiewicz, tak niegdyś bogaty w pomysły i projekty, dziś rozżalony, zmęczony, oddany beznadziejnej miłości, nie może i nie chce wziąć udziału w układzie planów organizacyjnych. Kochający go Czeczot myśli tylko jak rozerwać i pocieszyć przyjaciela, usuwając obowiązki Filomaty na plan dalszy. Rukiewicz i Sobolewski, odlegli miejscem, Kowalewski, poświęcony wyłącznie pracy naukowej, nie są w stanie oddziaływać na młodzież uniwersytecką. Budrewicz, pełen najlepszych chęci, lecz za mało samodzielny, oczekuje chwili, gdy przez ścisłe i akuratne pełnienie poruczeń będzie mógł stać się pożytecznym.

W tych warunkach wskrzeszenie filaretyzmu spoczywa nie-

mal wyłącznie na barkach Kozakiewicza, Pietraszkiewicza i Piaseckiego. I tu jednak żywszy rozwój tamują w znacznej mierze obietnice rektora, który, łudząc Zana nadzieją jawnego związku, pragnie powstrzymać młodzież, uśpić w niej ducha łączności i wpływów wzajemnych. Nawet szczerze sprzyjający studentom Lelewel nie może nic dla nich uczynić. Zrazu zdawało się, co prawda, że usiłowania te uwieńczy pomyślny skutek; już komisya, zwołana na jego wniosek i pod jego sterem, rozpoczęła debaty, jak zrzeszać młodzież i wpływać na nią, gdy rozporządzenie wyższych władz uniwersyteckich kazało zaniechać dalszych obrad i posiedzeń. Zrozumieli wreszcie Filomaci, że na pomoc Twardowskiego liczyć niepodobna, że należy zdwoić środki ostrożności i rozpocząć pracę na własną rękę.

Główna uwaga skupia się teraz na związku Filadelfistów, jako klasie pośredniej pomiędzy Filomatami a młodzieżą uniwersytecką. Oba oddziały tego stowarzyszenia, Czerwony i Błękitny, przetrwały dotąd, lecz, straciwszy wraz z rozwiązaniem Filaretów główne pole pracy, pogrążyły się w zupełną apatyę i bezczynność. Zan, który w myśl ogólnej uchwały wyjawił jeszcze na wiosnę rektorowi byt Filaretów i przystał na przerwę w czynnościach, musiał tem samem ustąpić ze stanowiska prezydenta Filadelfistów. Następca jego, Stanisław Kozakiewicz, nie umie zrazu zjednać sobie zaufania i sympatyi członków. Błękitni, zniechęceni, że nie spełniono obietnicy odkrycia im rozleglejszych widoków i celów, pełnią niedbale obowiązki naukowe; Czerwoni nie mogą przyjąć ich do swego grona, nie mając sami oznaczonego przedmiotu zatrudnień. Dopiero w grudniu 1822-go r. zaczyna się otwierać szerszy widnokrąg działań, gdy zachęcony przez Zana Kozakiewicz, stara się obudzić wśród młodzieży ducha związkowości, jednoczyć ją w kółka i przygotowywać do nowej organizacyi, mającej wejść w życie 1-go stycznia 1823-go r.

Na święta Bożego Narodzenia zjeżdżają się rozpierzchli po różnych stronach kraju Filomaci, a uroczyście obchodzone imieniny Zana przenoszą myśl do weselszych, pomyślniejszych czasów, gdy niczem nie zamącona przyjaźń i najlepsza nadzieja napełniały serca związkowych. Wyrazem uczuć chwili obecnej, odzwier-

ciedleniem martwoty działań, którą wszelako ożywia już pierwsza gorętsza iskra, jest wiersz Jana Czeczota na imieniny Zana 2 grudnia 1822-go roku:

Gdyby nie Twoje dziś Tomaszu święto,
Nigdybym iście nie rwał się do wiersza,
Bo jak nam wolę i chęci odjęto,
To dalbóg stygnie odwaga najszczersza!
Trudno zaiste śpiewać i rymować,
Gdy w srogiem każą milczeniu się chować.
Lecz jak gdy w suche wiatry się zakradnie
Iskierka palna, w nią kiedy wiatr dmuchnie,
I w chwili w liczne węgle się rozpadnie
I niestłumiony płomień z nich wybuchnie,
Tak w piersi mojej silne tlały żary,
Dziś już całego chłoną mnie pożary!
. . . . . .
Ale Tomaszu, czegoż Ci winszować?
O jakież dla Cię prosić Nieba dary?
Komuż liczniejsze mogło podarować,
I w kim je równej można widzieć miary?
Tylko Ci szczęścia nie dało tak wiele,
Byś w skutku widział swe najlepsze cele!
Lecz wspólnie z nami wznieś głos do Jehowy,
Niechaj z Twojemi nasze chęci złączy,
Niech troski nasze zakończy!
Dalej chwyćmy się za dłonie,
Bogu winną cześć oddajmy,
Hymn dziękczynny zaśpiewajmy,
Że nasz Tomasz w naszem gronie!

Po kilku posiedzeniach zdecydowano tymczasową organizacyę, która, jako skreślona dość pobieżnie, pozostaje otwarta do wszelkich zmian i uzupełnień, podyktowanych przez warunki chwili lub praktyczne doświadczenie. W danym razie głównym celem jej jest ożywić działalność Filadelfistów i wskrzesić w nieco odmiennej formie dawne związki filareckie. Główne ognisko i kierunek działań skupia się, jak dawniej, w najwyższej klasie Filomatów; stąd delegują się członkowie do Czerwonych, którzy znów naznaczają z pomiędzy siebie naczelnika Błękitnych i rządzą nimi za jego pośrednictwem Błękitni starają się ogarniać wpływem swym dawnych Filaretów, łącząc ich w poszczególne grona; te znów obowiązane są skupiać młodzież akademicką i za-

wiązywać kółka wśród pierwszoletnich uczniów uniwersytetu lub niższe grona wśród dawnych, mniej gorliwych Filaretów. Oba te działy stanowią pierwszą najniższą klasę Towarzystwa i różnią się od siebie tylko tem, że kółka nie wiedzą nic o władzy wyższej, gronom zaś czyni się o niej głucha wzmianka. Zresztą zarówno w jednych jak w drugich członkowie czytają książki naukowe, piszą referaty, a poza tem oddają się wesołej zabawie koleżeńskiej; nie utrzymują ani protokółów, ani żadnych piśmiennych sprawozdań, związani zaś są tylko ustną obietnicą przyjaźni, pomocy wzajemnej i ścisłej tajemnicy przed obcymi. Jedno kółko nie wie nic o egzystencyi innych, a opieka nad niemi stanowi główny obowiązek klasy drugiej gron filareckich kierujących.

Organizacya każdego z tych wyższych gron spoczywa w ręku dwóch Błękitnych Filadelfistów, z których jeden obejmuje stanowisko naczelnika, drugi pomocnika. Wybierają oni z pomiędzy dawnych Filaretów sześć osób znanych już z poświęcenia i gorliwości i formują wraz z niemi grono z ośmiu członków złożone. Jeśliby zaś od razu nie zdołano zebrać pełnego kompletu, naczelnik po kilku posiedzeniach proponuje kandydata z gron niższych, podając ustną wiadomość o jego wieku, usposobieniu i ważniejszych szczegółach życia; o przyjęciu decyduje jednomyślność wotów sekretnych; jeden głos przeciw odracza do lepszego poznania, a tymczasem inna osoba podana być może. Poza pracą naukową i moralną nad własnym umysłem i charakterem, głównym celem grona jest jak najszerszy wpływ na młodzież szkolną i uniwersytecką przez łączenie jej w kółka i grona. Działalnością tą kieruje naczelnik, Błękitny Filadelfista z władzą nieograniczoną, której jednak nadużywać nie ma prawa, w razie bowiem gdyby postępowanie jego nie było zgodne z zasadami związku, grono może ułożyć skargę, i oddać ją opieczętowaną w ręce tegoż naczelnika, żądając na następnem posiedzeniu dowodów, że głównym kierownikom wręczoną została.

Zgodność działania w poszczególnych gronach utrzymują naczelnicy i ich pomocnicy, jednoczący się w związku Błękitnych Filadelfistów, czyli trzeciej klasie zgromadzenia. Tu skupia się

właściwy rząd Filaretów, decyduje się przyjęcie lub odrzucenie osób proponowanych do gron i kółek, czytają się o nich wiadomości, układają pytania, roztrząsają odpowiedzi; stąd wychodzą rozporządzenia we względzie prenumeraty pism peryodycznych, oraz układu i kierunku korepetycyi, udzielanych potrzebującym ich uczniom. Poza tem główny przedmiot posiedzeń stanowi czytanie żywotów republikanów starożytnych i liberalistów teraźniejszych, oraz rozprawy we względzie instrukcyi krajowej, statystyki, polityki i administracyi. Naczelnikiem Błękitnych jest czerwony Filadelfista, który reprezentuje władzę wyższą, wymaga bezwzględnej szczerości i posłuszeństwa, mocen jest wstrzymać każdą dyskusyę i postawić swoje *veto* w każdej decyzyi, nie zdając nawet sprawy z kierujących nim przyczyn. Klasa trzecia widzi już cały ogół działań, stara się skupić je w jedno ognisko i utrzymać we wszystkich poszczególnych cząstkach organizacyi ruch, życie i postęp powolny lecz nieustanny.

Każdy kandydat przed wejściem do związku Filadelfistów podlega ścisłemu badaniu, przyczem delegowany w tym celu członek, stara się skłonić go, by na podstawie ułożonych już pytań, podał na piśmie swój pogląd na zadania młodzieży akademickiej, wskazał sposoby ścisłego jej zjednoczenia, braki, jakie zauważył w dawnej organizacyi Filaretów, potrzebne reformy i całokształt nowego związku; winien wreszcie zwrócić uwagę na odpowiednie osoby i określić swój przyszły współudział.

Po uzyskaniu odpowiedzi i zebraniu potrzebnych wiadomości, członek badający, czyli tak zwany zaletnik, układa według ustanowionych punktów mniej więcej dokładną biografię proponowanego z uwzględnieniem jego usposobienia, upodobań, moralnej i naukowej strony wychowania, stosunków z kolegami, poglądów i praktyk religijnych, zamiarów na przyszłość, zapatrywań na potrzeby kraju i drogi służby społecznej.

O ile ułożona przez członka badającego biografia okaże się za mało wyczerpującą, kandydat już po wejściu do związku obowiązany jest podać drugą, szczegółowszą. Prócz tego co trzy miesiące winien przedstawiać notę o postępie we względzie udoskonalenia moralnego.

Bezpośrednimi kierownikami Błękitnych są Czerwoni Filadelfiści, czyli klasa czwarta, pośrednimi zaś klasa piąta, najwyższa — Filomaci. Z tych jednak pierwsi, z powodu braku ścisłej organizacyi i nieszczęśliwego doboru osób, trwają w tym roku w kompletnej bezczynności, cały zaś kierunek działań Błękitnych spoczywa w rękach Filomatów i mianowanego przez nich naczelnika, też Filomaty — Stanisława Kozakiewicza.

Tak przedstawia się mniej więcej w głównych swych zarysach organizacya towarzystwa od stycznia 1823-go r. Organizacya to wzięta od masonii. Zasadniczą różnicę pomiędzy dawnym a nowym systemem działania stanowi tu despotyczna a nieznana członkom »władza wyższa«, której przedstawicielem i wykonawcą jest naczelnik z naznaczenia, nie zaś jak dawniej z wyboru. Nadana mu moc stanowienia wszelkich uchwał, choćby przeciwnych zdaniu większości, zapobiega odwłoce zbawiennych a nieraz naglących projektów, co częstokroć miewało miejsce wobec sprzecznych usposobień i przekonań członków. Żywsze charaktery, które taka bezwzględna uległość mogłaby dotknąć i zrazić, znajdują wynagrodzenie w zadawalniającej miłość własną, również nieograniczonej władzy nad klasą niższą i pewności, że tajemnice stopni wyższych do czasu tylko są przed nimi zakryte. Z drugiej strony system podziału na drobne, zaledwie z kilku osób złożone związki, choć osłabia ogólną sprężystość i energię, gwarantuje przecież większe bezpieczeństwo zebrań i pewność, że wyśledzenie jednego kółka lub grona nie zdradzi całej organizacyi.

Drugą cechę charakterystyczną stanowią tu ostentacyjne przysięgi, formy i obrzędy, stosowane już w klasie gron kierujących, a rozwinięte w całej pełni w ustawodawstwie Błękitnych Filadelfistów. Jako przykład służyć tu może wyjęta z kodeksu klasy drugiej przysięga, którą wykonywa uroczyście każdy nowowchodzący, w pełnej uszanowania postawie, z lewą ręką opartą na sercu, a prawą w dłoni naczelnika. Brzmi ona jak następuje: »Przysięgam w obliczu Boga, przed sądem władzy wyższej, w obliczu waszem, bracia, że ścisłe praw pełnienie, posłuszeństwo władzom i wieczną o wszystkiem tajemnicę w najcięższych ra-

zach dochowam, a jeślibym przysięgę moją złamał, niech władza wyższa postąpi ze mną, jak jej interes wspólnego dobra poradzi«.

Do członka, któryby naruszył złożoną przysięgę, stosuje się najsurowszy paragraf ustaw: »Ktobykolwiek w przedsięwzięciu pomimo przysięgi zachwiał się, a słabość swoją czynem ustawom przeciwnym okazał, taki, jako zdrajca, podług potrzeby albo z grona usunięty będzie, albo poniesie karę ani w ustawach, ani w myśli członków nie objętą«.

U Błękitnych znajdujemy jeszcze surowsze prawidła, zwłaszcza zaś ceremoniał wprowadzania do związku jest dziwną mieszaniną form to uroczystych i tajemniczych, to znów przesadzonych i dziwacznych. Po przyniesieniu odpowiedzi kandydata i pomyślnym wypadku głosowania, nowowchodzący przybywa wraz z zaletnikiem, lecz pozostaje jeszcze poza drzwiami sali posiedzeń. Zaletnik oznajmia o jego przyjściu, naczelnik zaś zwraca się do zgromadzonych i zaklinając ich na miłość Ojczyzny i świętość zamiarów, zapytuje, czy nic nie mają przeciw poleconej osobie. W razie pomyślnej odpowiedzi oddaje zaletnikowi przygotowane pytania, na które nowowchodzący ma na miejscu piśmiennie odpowiedzieć. Przytaczamy je poniżej:

Co cię skłania do wejścia do związku?

Czy nie słyszałeś czego o nim?

Jakie masz o nim wyobrażenie?

Co z siebie obiecujesz w przyszłości?

Czy żadna siła nie zdoła cię odwieść od przyjętych obowiązków, tak, że do żadnych innych związków samowolnie nie wejdziesz, o każdym co wiesz doniesiesz, a o tym, do którego należysz nikomu nie wspomnisz?

Czy gotów jesteś całe życie dla dobra kraju poświęcić?

Jakie masz wyobrażenie o Bogu i nieśmiertelności duszy?

Jaką maksymę uważasz za najlepszą dla młodzieńca poświęcającego się dobru publicznemu?

Czy byłeś w jakim związku i dziś jesteś?

Po daniu odpowiedzi nowowchodzący podpisuje następującą prośbę:

»Niżej podpisany, znając nieszczęścia ojczyzny mojej, cier-

pienia ludzkości i pragnąc całe życie i zdolności na jej ratunek poświęcić, szukam dobrowolnie i z zapałem osób również temu oddanych, przyrzekam im ufność, szczerość, posłuszeństwo, sekret, milczenie i czynność bez granic i proszę, aby mię do swego grona na zawsze przyłączyli.

N. N.

Wraz z odpowiedziami i prośbą zaletnik odbiera od nowowchodzącego kapelusz, pieniądze i wszelkie kosztowności, jakie ten ma przy sobie i składa wszystko w sali posiedzeń, jako dowód jego wiary, ofiarności i posłuszeństwa; zaręcza, że okazuje chęć niewzruszoną służyć ziomkom i ojczyźnie, a sekretu przed nikim nie zdradzi. Naczelnik raz jeszcze zapytuje członków, czy żadnych wątpliwości względem poleconego nie mają, poczem jeden ze zgromadzonych ofiarowuje się być jego przewodnikiem, na drodze przyszłych obowiązków, drugi zaś zgadza się ręczyć cnotą swą i honorem za jego wszystkie postępki. Zaletnik wychodzi i trzykrotnem uderzeniem w drzwi prosi o ich otwarcie; naczelnik deleguje jeszcze jednego członka dla wybadania kandydata, poczem sam wzywa go w następujących słowach:

»W imię i błogosławieństwo najdoskonalszego Ducha, na cześć i pamięć ojczyzny naszej, poleconego kolegę przyjmuję w najszczerszej nadziei, że jego umysł, charakter i działanie moc naszą, dzielność i pożytek powiększyć mają. Niech mu Bóg ześle natchnienia patryotycznej cnoty, mądrości i siły... Jeśli go niestateczne prowadzą zamiary, słaby umysł, zachwiane serce, niech upadnie, ziemia niech go pochłonie... Jeżeli go przekonanie, miłość ojczyzny i ludzkości i stałość prowadzi — niech wnijdzie«.

Po kilku jeszcze pytaniach, naczelnik wita nowowchodzącego przemową, zaleca mu milczenie, stałość, męstwo, wreszcie pracę obywatelską pilną i wytrwałą w zastosowanym do okoliczności i osobistych warunków zakresie. Wszyscy stoją bez kapeluszy, z lewą ręką opartą na sercu; poręcznik podpisuje porękę, nowy członek przysięgę, poczem wręczają mu wstęgę niebieską, jako symbol stałości i mocy, a zarazem jako znamię Błękitnego Filadelfisty.

Rota przysięgi i poręki brzmi jak następuje:

Przysięga: »W imię Boga, religii, honoru i cnoty przysięgam, że zamiarów i celów towarzystwa nigdy nie odstąpię i nie wyrzeknę się, ale owszem do ich wzrostu i rozszerzenia osobę moją i majątek poświęcę, posłuszeństwo władzy i jej wyrokom zachowam; pomocy i wsparcia towarzyszom w jakiemkolwiek zdarzeniu nie odmówię i nie uchybię; sekretu o bycie, działaniach i osobach tak tego zgromadzenia jako i niższych gron w najcięższych razach i wypadkach nie wydam i żadnym czynem w podejrzenie nie podam. A gdybym w jakimkolwiek punkcie tę moją przysięgę naruszył, niech sprawiedliwość Boga karze mnie mściwie, cały ród mój i potomków, niech ręka braci utkwi żelazo w piersiach moich, mszcząc się zdradzonej sprawy ludzkości«.

Poręka. »Ręczę, że zalecony przeze mnie N. N. dopełni danych przyrzeczeń, odpowie celowi i zamiarom i oczekiwania zgromadzenia nie zawiedzie. A jeśliby czynem jakim zdradził i położoną w nim ufność towarzystwa zawiódł, przysięgam w obliczu Boga, religii, moralności i cnoty, iż pierwszy mściwem żelazem otworzę pierś jego i dopełnię zasłużonej zemsty«.

Według wyżej wskazanej formuły złożone przechowały się przysięgi z podpisami Jana Wysockiego, Wincentego Zawadzkiego, Adolfa Giedrojcia i Ignacego Januszewskiego. Każdy z członków tych, jak świadczą przechowane po nich odpowiedzi, wstępuje do związku z myślą służenia ojczyźnie i społeczeństwu i z pełnem zaufaniem, że wskazane mu zostaną najodpowiedniejsze ku temu celowi drogi. Wszyscy w Boga i nieśmiertelność duszy wierzą, tajemnicy gotowi są dochować i pracę swą dla dobra kraju poświęcić. Przysięgi Wysockiego, Zawadzkiego i Giedrojcia noszą datę 15-go lutego 1823-go r. Januszewski zaś wprowadzony został w czerwcu tegoż roku. Ręczą za nich Kazimierz Piasecki, Jan Heydatel, Napoleon Nowicki i Aleksander Mickiewicz, którzy wraz z Pietraszkiewiczem, Mojszelem, Czeczotem, Krynickim, Wincentym Budrewiczem, Ignacym Domejką i Stanisławem Kozakiewiczem stanowią tegoroczne przedwakacyjne grono Filadelfistów Błękitnych.

Najgorliwszą, pełną poświęcenia i taktu działalność rozwija

tu Aleksander Mickiewicz, założyciel najczynniejszego grona, w którem zajął miejsce jako przewodnik, mając pod swem kierownictwem Cypryana Daszkiewicza, Justyna Pola, Aleksandra Kruszczyńskiego, Konstantego Wierzbickiego i Leopolda Sosnowskiego. Grono to, choć niekompletne, bo tylko z sześciu osób złożone, lecz prowadzone rozumnie i energicznie zawiązało wkrótce w wydziale prawnym trzy niższe kółka a w nich 17 członków. Wchodzą tu, pod przewodnictwem Daszkiewicza i Sosnowskiego: Klukowski, Ciecierski, Piotrowski, Wołkowyski, Iwanowski i Łyszczyński; pod przewodnictwem Pola i Kruszczyńskiego: Walicki, Szczepkowski, Porębski, Krzywicki, Niewiarow i Juchniewicz; nazwiska osób w trzeciem gronie nie zostały wciągnięte do protokółu Błękitnych, a tem samem są nam nieznane.

Przykład Mickiewicza nierychło jednak znalazł naśladowców; członkowie tłumaczyli się egzaminami lub trudnością zbliżenia się do młodzieży, tak, że pomimo nawoływań ze strony władzy wyższej, dopiero w maju Wincenty Budrewicz zawiązuje dwa grona kierujące, jedno w fizycznym, drugie w medycznym wydziale. Skupiają się tu: Ludwik Paprocki, Adam Sobolewski, Ignacy Budrewicz, Otto Ślizień, Kazimierz i Aleksander Domejkowie, w pierwszem gronie; w drugiem zaś: Damazy Koczan, Jan Wirklin, Stanisław Zakrzewski, Franciszek Piotrowski, Paweł Siezieniewski i Jan Miszkiel. Zjednoczone tu osoby rozpoczynają niezwłocznie dalszą pracę organizacyjną, a skład założonych przez nich kółek przedstawia się jak następuje: pod kierownictwem Paprockiego i Sobolewskiego: Jan Moszczyński, Aleksander Jasiński i Jan Porarzycki; pod kierownictwem Ignacego Budrewicza i Kazimierza Domejki: Michał Zdzitowiecki i Aleksander Łoszko; pod kierownictwem Aleksandra Domejki i Śliznia: Ignacy Markiewicz, Aleksander Zaleski, Michał Michalewicz i Dominik Gobiała; pod kierownictwem Miszkiela i Siezieniewicza: Antoni Kwiatkowski i Dominik Charzyński.

Jednocześnie z dwoma gronami Budrewicza powstaje również kierujące grono medyków, założone przez Heydatela i Krynickiego. Wchodzą tu Adam Suzin, Kaszuba, Zarzecki i Pawło-

wicz, żaden z nich jednak nie potrafił rozwinąć owocnej działalności na polu organizacyi kółek.

Nieco wcześniej, bo jeszcze w kwietniu 1823-go r. stwarza Czeczot osobny związek poetycki, złożony z siedmiu Filaretów i dziewięciu obcych studentów. Głównym celem jest tu zbliżenie i bliższe poznanie młodzieży, cały zaś przedmiot zatrudnień stanowi czytanie prac poetyckich. Stąd wyłania się złożone z czterech zdolniejszych osób grono kierujące, które przybiera nazwę Kastali i przyjmuje ścisły systemat związkowy, z dodaniem warunku, że pracować będzie nad poprawą kalendarza i wydaniem Almanachu.

Otwarcie Kastali następuje 8 kwietnia 1823 r. w sposób podobny do form przyjętych w innych gronach. Naczelnik, Jan Czeczot, rozpoczyna czynności z rozkazu władzy wyższej, w imię Boże, a także w imię ojczyzny, nauki i cnoty. W zastosowanej do okoliczności przemowie, przedstawia umysł wykształcony jako słońce, przyświecające wszystkim sprawom ludzkim; cnota — to Apollo, który kieruje tem słońcem; miłość ojczyzny, dobro publiczne, przyjaźń, stałość, zgoda, pomoc braterska, zapał do pracy, nieugięta moc duszy i miłość bliźnich — to dziewięć sióstr, dziewięć muz związku Kastala. One natchną młodych poetów, opiewających dzieje przodków, ich wielkość i sławę, cześć Boga, moralność, a wreszcie uczucie przyjaźni i miłości.

W odpowiedzi na to wezwanie czterej zjednoczeni Filareci, Zachorski, Odyniec, Chodźko i Staniewicz przysięgają stałość w przedsięwzięciach i rozpoczynają właściwe czynności grona, z tą wszelako różnicą, że nie łączą młodzieży w pojedyncze kółka, nie wprowadzają żadnych form i znaków, lecz kierują od razu całą rzeszą poetycką, starając się poznać ją bliżej i wybrać osoby odpowiednie do szerszych działań. Głównie jednak członkowie Kastali zajmują się zebraniem materyałów, potrzebnych do wydania poprawnego kalendarza, według myśli podanej jeszcze niegdyś przez Franciszka Malewskiego. Wszelkie jednak ślady pracy tej zaginęły, prócz krótkiej wzmianki, że materyałów zebrano sporo, lecz wskutek kosztów wydawnictwa i druku wszelkie usiłowania w tym względzie spełzły na niczem.

Z licznej rzeszy poetyckiej przygotowano w przeciągu paru miesięcy kilku członków zdolnych wejść do grona Kastala; wprowadzenie ich jednak odłożono na jesień. Tymczasem na szczególne odznaczenie zasłużyli, według słów Czeczota: Wiernikowski, Malinowski i Kułakowski z Filaretów, z innych zaś Ossowski, Korsak, Dworzecki, Rogalski, Spicnagiel, Jasiewicz, Walentynowicz, Roszkowski i Massalski. Wogóle ilość członków w gronach i u Błękitnych wynosi z górą trzydzieści osób, w kółkach zaś czterdzieści dwie, nie licząc całej rzeszy poetyckiej.

Tak więc, dzięki gorliwości Mickiewicza, Budrewicza, Heydatela i Czeczota, stanęło pięć gron kierujących w czterech dekanatach uniwersytetu, na polu zaś organizacyi ogniw niższych rozwinęła się owocna działalność. Hejdatel tylko, pomimo ufności, jaką cieszył się wśród kolegów, żadnego kółka zebrać nie zdołał.

Z nowo przyjętych członków, Wysocki, chętny, pełen najlepszych zamiarów, zbliżony do duchowieństwa, obiecał pracę swą zwrócić w tę stronę; na Zawadzkiego i Giedrojcia, mających stosunki z zamożniejszą młodzieżą, liczono, że potrafią wpłynąć na nią i pociągnąć do gron i kółek. Pierwszy jednak, zajęty rozprawą magistracką, nie mógł się zrazu towarzystwu poświęcić, drugi zachorował obłożnie, trzeci okazał się niewprawny i nieostrożny w działaniach. Dobre chęci Mojszela, który pracował nad zawiązaniem wyższego grona medyków, spełzły na niczem wobec podejrzeń profesora Bojanusa; niemniej jednak nie opuścił on rąk i wspólnie z kierownikami gron zajął się sposobieniem członków na przyszłych Filadelfistów. Praca ta przyniosła pożądane owoce, przy końcu bowiem roku szkolnego liczymy kilkunastu kandydatów, o których podano już prawem przepisane wiadomości i uzyskano odpowiedzi na przygotowane pytania. Na pierwszem miejscu należy tu umieścić całe grona Aleksandra Mickiewicza, a zatem Pola, Kruszczyńskiego, Wierzbickiego, zwłaszcza zaś Sosnowskiego i Daszkiewicza, na których związek rokuje najpiękniejsze nadzieje. Wincenty Budrewicz przysposobił znów Paprockiego, Aleksandra Domejkę, Zakrzewskiego i Ignacego Budrewicza; Hejdatel Suzina i Zarzeckiego; Czeczot Emeryka Staniewicza, członka Kastali; Mojszel Jana Krechowieckiego i Jana Zahorskiego.

Z wyżej wymienionych osób, jak świadczą przechowane dokumenty, wprowadzeni zostali do związku Błękitnych Cypryan Daszkiewicz, Leopold Sosnowski, Adam Suzin i Stanisław Zakrzewski. Data przyjęcia ich jest niepewna, prawdopodobnie lato lub jesień 1823 r. Czy pozostali zaś kandydaci otrzymali stopień Filadelfistów, nie mamy na to żadnych piśmiennych dowodów.

Wogóle wszystkie podane tu wiadomości zaczerpnięte są głównie ze sprawozdania Stanisława Kozakiewicza oraz krótkich notatek, pozostałych z posiedzeń Błękitnych, które podają nam nazwiska niektórych członków wskrzeszonego filaretyzmu, oraz rzucają nieco światła na charakter jego organizacyi. Poza tem cała działalność gron i kółek zarówno pod względem treści jak formy jest nam bardzo mało znana, surowy bowiem zakaz, dotyczący protokółów i wszelkich zapisek, stosuje się tu w całej rozciągłości. O kółkach, czyli klasie najniższej, możemy tylko powiedzieć, że stanowią one niejako szkołę, gdzie wypróbowuje się usposobienie, zdolności i poglądy tych studentów, na których można rokować na przyszłość nadzieje. Tu członkowie kierujący starają się tak ułożyć zajęcia naukowe, by dać zarazem poznać całą korzyść przyjaźni i wpływów wzajemnych.

Właściwy wątek związkowości rozwija się dopiero w gronach, gdzie poznaje się wyższe stanowisko i cel zgromadzenia i wpajają się stałe zasady życiowe. Grono nie wie co prawda jeszcze nic o egzystencyi innych gron ani kółek oprócz sobie podległych, lecz w ustawach swych ma wzmiankę o władzy wyższej oraz ogólnikowy zarys całokształtu działań. Członek kształci się tu dwojako: we względzie naukowym powtarza i dopełnia pracę stopnia pierwszego, z drugiej zaś strony rozwija zdolności związkowe, pracując nad organizacyą i rozwojem kółek.

(Dok. nast.).

Stanisława Pietraszkiewiczówna.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Z piśmiennictwa polskiego.

Historya literatury rzymskiej za Rzeczypospolitej. *Kazimierz Morawski.* Kraków. Nakładem Akad. Umiej. 1909, str. X+365.

Po monumentalnej Historyi Uniwersytetu Krakowskiego przynosi nam prof. K. Morawski w hojnym darze pierwszy tom upragnionej Historyi literatury rzymskiej, obejmujący czasy Rzeczypospolitej a dalsze zapowiada. Ten tom uzasadnia nadzieję, że całe dzieło będzie w pełnem tego słowa znaczeniu wielkiem. Jakby na fresku przedstawia się tu żywo piśmiennictwo potężnego narodu, występują wyraźnie charaktery i dusze rzymskie, rysują się wizerunki znaczących osób, odtwarzane nawet z fragmentów dziwną intuicyą pisarza. Nieraz każe im do nas przemawiać, przytaczając znamienne wyjątki we własnym kongenialnym przekładzie, np. prolog Laberiusa, urywki z Lukrecyusza, nie mówiąc o misternych wierszach Katulla. Od tylu lat żyje on miłością łacińskiego świata i bada go źródłowo, zawsze baczną myślą wiążąc przeszłość z teraźniejszością. Aż gdy dobiegł kresu wewnętrznego poruszenia, słyszy głos przemożny: Expandas coram tuis prata scripturarum. I ukazuje swoim rozległe łany runiejące kwieciem poezyi i zasobne w rodzajne skiby prozy rzymskiej, przewodniczy im po nich ku rozbudzeniu poczucia piękna i w wysokim stopniu gwoli pożytku moralnego. Bo historya literatury rzymskiej — mówi słusznie autor — tysiączne zawiera wskazówki dla tych, co chcą istnieć, swoje siły krzepić, życie i istotę odrodzić. Śledzić w niej możemy: »jakie czyny i cnoty stworzyły wielkość i potęgę, jakie błędy i przywary ją zburzyły. I możemy prócz tego stwierdzić, jakie słowa szły na zbudo-

wanie, a jakie siały zgorszenie i zgubę«. Odnośniki do naszych czasów są przeto liczne, częste zarazem wskazówki, gdzie pióro historyka wstrząsnęło się gwałtowniejszą odrazą lub większą sympatyą.

Kiedy w początkach I wieku przed Chr. łacińscy retorzy chcieli z nauczania usunąć język grecki i literaturę, mowca Krassus nazwał ich demokratyczną szkołę szkołą bezczelności (ludus impudentiae), bo obniżali wykształcenie, ucząc tylko samych sztuczek wymowy, a nasz glossator dodaje, że było w tem podobieństwo do nowoczesnych zamachów na humanistyczne wychowania podstawy. Z komedyi Terencyusza dochodzą nas głosy o różnych sposobach kierowania młodzieżą:

Wstydem, dobrocią snadniej wstrzymasz dzieci,
Mniemam, niż groźbą, co postrachy nieci. (*Adelphi*).

Ale przesadna surowość i przebaczanie ostatecznie zawodzą, a wiemy, że epikureizm i sceptycyzm pedagogiczny wykrzywiały życie szczególnie w epoce przekwitłej kultury greckiej. Gdzieindziej duma i dusza starorzymska odezwie się czyto w bólu czy w oburzeniu godziwem, rwąc »ze serca prawdziwe kawały«. Starszy Scypio Afrykański tak wyniośle odpiera zarzut oskarżyciela, jakoby się dał przekupić przez króla Syryi: »Pomnę ja dobrze, Kwiryci, że dziś właśnie rocznica dnia, w którym Punijczyka Hannibala, najzawziętszego wroga naszego państwa, wielką na ziemi afrykańskiej pokonałem bitwą i pokój i zwycięstwo niespodziewane wam zgotowałem. Nie bądźmy przeto niewdzięcznymi wobec bogów, lecz, mniemam, porzućmy tego nicwarta, a podążmy stąd prosto, aby Jowiszowi... dzięki nasze wyrazić«. Wielki w swym żalu jest zwycięzca Aemilius Paulus, a kogóż nie przejmą do głębi rozpaczliwe wołania Gaiusa Gracchusa: »Dokądże podążę nieszczęsny? dokądże się zwrócę? czyż na Kapitol? przecież on zbroczony krwią brata. Czyż do domu? bym matkę nieszczęśliwą ujrzał w rozpaczy i opuszczeniu?« Wulkaniczna natura nieszczęśliwego reformatora idzie w parze z czystością jego duszy. Jakże rażąco odbija od nich głowa stronnictwa konserwatywnego, arystokrata Aemilius Scaurus (konsul r. 115), znany hipokryta i spekulant pieniężny, któremu też autor nie szczędzi bynajmniej zarzutów. Ostoją i obrońcą rdzennej rzymskości był stary Kato, typ mądrości domorosłej. Wyjątkowemu człowiekowi poświęcił prof. K. Morawski dłuższy ustęp, drukowany w większej części w zeszycie jubileuszowym *Przeglądu Powszechnego*, ustęp pełen ciepła i głębszego wniknięcia w rolę przełomową, jaką tenże odegrał w życiu i literaturze. Z pism Katona zachowała się w całości jedynie rzecz jego »O rolnictwie«, księga obfi-

tująca w rysy i zdania charakterystyczne dla duszy rzymskiej, ważna jako ilustracya agrarnych stosunków i poglądów, doskonale określonych przez autora i postawionych w świetle zapatrywań Reja i Orzechowskiego. »Ani to żywot poczciwego człowieka, w którym jak u Reja wszystko w rajskiej się nurza pogodzie i cnocie... ani też sielanka, w której pasterze zawodzą na przemian, zapominając o trzodach«. Kato rozumie doniosłość rolnictwa, ale ciągnie z niego zyski, jak kapitalista, nie troszcząc się zbytecznie o chwiejące się podstawy gospodarstwa społecznego. A kiedy potem zdobycze oręża odciągały Rzymian od idealizmu, satyryk Lucilius wielbi cnotę i miłość ojczyzny stawia na pierwszem miejscu:

Cnota, znać miarę w pościgu za mieniem,
Cnota, bogactwa w przystojnej mieć cenie,
Cnota, zasłudze hołd dawać należny,
Wrogiem być ludzi złych i obyczajów,
Obrońcą zasię uczciwych i cnoty,
Tych czcić, tym sprzyjać, przyjaźnić się z tymi,
Dobro ojczyzny na pierwszem kłaść miejscu,
Potem rodziców, własne na ostatku.

W tę samą strunę uderza zdobywca Kartaginy, Scipio Aemilianus. Lecz owa hartowność starego Rzymianina miała smutną odwrotną stronę: srogość dla niższych. Kato zalecał inwalidów niewolników usuwać dla oszczędności, natomiast stoicy brali niewolników stanowczo w obronę, bo w ich etyce centralne miejsce zajmowała idea ludzkości, humanitas. Ten to najcudniejszy kwiat starożytnej cywilizacyi zapanował w towarzystwie Scypiona młodszego i promiennością swoją rozwinął w społeczeństwie poczucie osobistości. Katulus, współpogromca Cymbrów, należał do tego humanitarnego koła i wiewem nowego poglądu łagodził dolę własnych poddanych. Tworzy się równocześnie życie salonowe i uczucie poczyna się wypowiadać zrazu nieśmało i nieudolnie. Epigramatycy biorą motywy i wzory z Grecyi, serce żyje chwilowo »plagiatem«. Jeżeli jednak Gellius donosi, że za jego czasów (w 2-im wieku po Chr.) recytujący te drobne wiersze w gronie biesiadników retor Julianus zasłonił sobie głowę, by ukryć zawstydzenie, to cóż powiedzieć o poważnej starszej generacyi? Jakoż Cycero, słynący z surowości obyczajów, gromił wielkiego liryka Katulla za wielbienie Klodyi »pierwowzoru Messaliny«. Z tego okresu literatury mamy też dwie cząstki listu, pierwszą próbę tego gatunku i pierwszy zarazem utwór kobiety. Kornelia, matka Gracchów, po stracie wielu dzieci, kiedy

jej nadto zabito starszego syna Tyberysza, chce odwieść młodszego Gaiusa od zemsty, uchronić go przed niebezpieczeństwem i radzi wstrzymać się od polityki. Zwraca się zatem do niego takiemi słowy: »Powiesz mi, że pięknem jest mścić się na wrogach. Ani to przedniejszem ani piękniejszem nikomu się wydaje jako mnie, lecz jeśliby można bez szkody rzeczypospolitej tego dokonać. Że zaś to nie jest możebnem... niech żyją raczej nasi wrogowie, niż żeby stąd rzeczpospolita szwank ponieść i zginąć miała... Ubiegajże się o trybunat, skoro mnie śmierć zabierze. Czyń w imię moje, co ci się spodoba, gdy ja niczego czuć już nie będę«. Jak wymowny i śliczny podano nam komentarz do przytoczonego listu: Wyrazy Kornelii, w których splatają się ze sobą chęć zemsty, miłość ojczyzny i lęk o syna, tchną życiem i prawdziwem uczuciem po dziś dzień. »W literaturze greckiej kobieta dochodzi do głosu przez miłosne wynurzenia Safony, w Rzymie przemawia matrona i potrąca nie tylko o miłość macierzyńską, lecz i o miłość ojczyzny«. Wielki szacunek dla kobiet miał Cycero, gorący przedstawiciel i uosobienie humanizmu. Prawdą jest, iż miarą kulturalności mężczyzny jest jego sąd i stanowisko wobec kobiety. W dziejach kultury niewiasta gra rolę opatrznościową, ona bywa kluczem do zrozumienia wielkich ludzi, źródłem zadziwiających nawróceń i natchnień. Walne zwycięstwa myśli chrześcijańskiej były nieraz jej wyłączną zasługą, a my żyjemy przez to krwią serdeczną i troską tych cichych bohaterek, niejednokrotnie nie znając ich nawet z imienia. Nie można wreszcie pominąć zabarwienia, jakie nadał Lukrecyusz swemu filozoficznemu poematowi. Rozwija on w nim system epikurejski, aby duszę wyrwać z pęt obawy i odpowiedzialności wobec wyższych potęg. Lecz u rzymskiego poety poprzez powłokę optymistyczną przegląda silnie pessymizm:

Już życie twoje martwe, choć żyjesz i widzisz. Śmierć, której widmo chce odpędzić, straszy go jednak. Tak smutnem okiem patrzy poeta na świat:

I nie zejdzie noc po dniu, ani świt po nocy,
Który obok kwilenia dziecka nie usłyszy
Łkań, zgonu i pogrzebnych kirów towaszyszy.

Mimo wiary w postęp (zauważa słusznie autor) wyrywa mu się z duszy okrzyk znudzenia i rezygnacyi: Eadem sunt omnia semper, taki sam, jaki brzmi w ustach Ekklezyasty: »Quid est quod fuit? ipsum quod futurum est«. Podobne tony mogłyby powierzchownego czytelnika naprowadzić na myśl, że poeta mimo całego zapału, z jakim

stara się służyć epikureizmowi, nie był do gruntu przekonany o prawdziwości bronionego poglądu. Wahania widać w tym dualizmie pogody i zwątpienia w konstatowaniu rzekomego postępu społeczeństw a równoczesnem zwracaniu uwagi na »starzenie się ludzkości, świata i ziemi«. Pokrewne mniemania o kurczeniu i więdnięciu ludzi i przyrody spotykamy na większe rozmiary w literaturze czasów cesarstwa, jak wykazuje Burckhardt w książce o Konstantynie W.

Powyższy, oczywiście niezupełny jeszcze wykaz momentów natury etyczno-społecznej, podnoszonych przez prof. K. Morawskiego, tłumaczy, dlaczego jego historya literatury rzymskiej ma tak niezwykły urok i wartość. Do tych zalet przystępuje wzorowo obmyślana i przeprowadzona kompozycya, jasne uwydatnienie kolei, jakiemi szła zależność Rzymian od Greków, dokładne przedstawienie ewolucyi gatunków literackich i ewolucyi twórczości artystycznej samych autorów, o ile na wydanie sądu pozwalał materyał. Ponąd tem góruje prócz porywającej miłości przedmiotu subtelność oceny estetycznej i głębokie ujęcie prądów literackich tak, że w tej galeryi piśmiennictwa światła i cienie sprawiedliwie się rozdzielają, a każdy autor i jego płody ducha stoją na swojem właściwem miejscu. Pociąga także czytelnika skromność zasłużonego profesora i umiarkowanie w wypowiadaniu zdania. Nie jest mu miłem, podobnie jak Tacytowi, okazywać mozoły badania, a przecież każdy wyczuje, ile tu włożono pracy krytycznej i rozmyślań. Samodzielność zdania i trzeźwość zachowano tam, gdzie innych nęciła nowość niesprawdzona lub unosiła za daleko samowola domysłu. Przykładem niech będzie objaśnianie trudnych słów Cycerona o Lukrecyuszu (str. 314) lub sąd o autorze retoryki ad Herennium (str. 268: por. teraz Berl. phil. Woch. 1910 Nr. 13). Gdzieindziej milcząco usunięto śmiałe zmiany krytyków, np. u Katulla w końcowych wierszach dedykacyi (str. 354). Rozgłośną swego czasu teoryę o pochodzeniu osobistej (erotycznej) elegii rzymskiej z aleksandryjskiego epigramatu uważa autor za nieprawdopodobną i przyjmuje za wzór takąż elegię aleksandryjską, co dalsze poszukiwania w zupełności potwierdziły (por. Gollnisch, Quaest. eleg., str. 13. nn. i W. Schmid w nowem opracowaniu Christa historyi literatury greckiej II str. 88). Modnem jest zdanie, że prawa XII tablic powstały pod wpływem greckim. Słusznie jednak wyrażono powątpiewanie o takiej zależności, bo Rzymianin »nie potrzebował w tej dziedzinie ani ciągłego przewodnictwa ani wzoru« (str. 20). Charakterystyczna rzecz, że Krassus (u Cycerona, de or. I 43) uważa całe prawo rzym-

skie za najwierniejszy obraz starożytności, a owe tablice lepsze są dla niego od bibliotek filozofów. To samo poczucie oryginalności legislatywnej znalazło wyraz u Horacego, epist. II 1, 24 nn. Jest w tym języku XII tablic wyraźna zwięzłość, imperatoria brevitas, ale nie sądzę, żeby niejasność wyrażenia miała być dowodem zależności od greckich źródeł, jak przypuszcza Skutsch. Opuszczanie podmiotów, które łatwo uzupełnić ze związku czy sytuacyi, jest cechą łaciny prawniczej jeszcze za czasów Cycerona i pojawia się w pismach technicznych we wszystkich epokach łaciny, a nie jest obcem i językowi greckiemu. Por. Lex Ursonensis (r. 44) u Küblera, Caesar. comment. III 2 str. 186; Müller, Nomin. u. Akkus. str. 1; Schmalz, Synt. (1910) § 23 nn. 1 i Rehdantz-Blass do Demost. IX § 42. Zresztą niejasność wysłowienia jest wogóle skutkiem pewnej nieporadności języka archaicznego. Zdanie np. Kalpurniusa Pisona: »hi contemnentes eum assurgere ei nemo voluit« byłoby w łacinie klasycznej wprost niemożebnem.

Z pośród innych zapisek, pomieszczonych na brzegu omawianej książki, przytaczam tu następujące:

O związku Etruryi z Azyą Mniejszą (str. 4) por. uwagi w »Glotta« II, 4 str. 363. O etruskiem pochodzeniu nazwy Roma mówi teraz P. Kretschmer, Glotta I, 2/3 str. 295; Stolz, Lat. Gram. (1010) str. 134 uw. 1 i Soltan, Archiv für Religionsw. 12, 124. Sarkofag Scypiona, konsula r. 298, odkryty r. 1780, znajduje się obecnie w Muzeum Watykańskiem. Sarkofag syna wyszedł na jaw r. 1614, dzisiaj w pałacu Barberinich (str. 13). Wissowa (por. Berl. phil. Woch. 1910 Nr. 39, 1225) sądzi, że wiersz złośliwy o Metellach napisał Caesius Bassus dla użytku szkoły (str. 41). W tragedyi »Paulus« (str. 91) przedstawił Pacuvius prawdopodobnie boleść zwycięzcy z pod Pydny po stracie dwu synów. Gdyby dramat miał być osnuty wyłącznie na wypadkach wojennych, byłby w tym wypadku właściwszy tytuł »Perseus«. Fronto p. 114, 1 N. nazywa Pacuviusa »mediocris«. Schanz nie objaśnia ciekawego epitetu, Bernhardy str. 428 uw. 311 tłumaczy go źle. Znaczy on, zdaje się, tyle, co »modum tenens, modicus«, a więc umiarkowanie patetyczny, nie tak tragiczny, jak Accius. Dla uwydatnienia stanowiska historyka Fabiusa może nie byłaby zbyteczna notatka (str. 98) o polemice, jaką z nim prowadził stronnik Scypionów, Polybius (I 14 i III 8—9), a na str. 117 możnaby dodać uwagę charakterystyczną dla wpływu Katona, że Hadryan powoływał się na jego dziełko de re militari, kiedy w Lambaesis pouczał jazdę, jak się ma ćwiczyć (Caveat temere, M. Cato est auctor, e tecto trans-

currat eques et persequatur cante). Na str. 161 pragnęlibyśmy słówka o Hroswicie z Gandersheimu. Str. 188: jest rzeczą bardzo wątpliwą, czy Scypio w czasie rewolucyi Gracchów padł z ręki demokratów. Por. L. Bloch, Soziale Kämpfe im alten Rom, str. 108. O poczuciu muzykalności Lukrecyusza mówi Hartmann: Philologus 68 (1909) str. 529 (Das Verhältnis des Lucretius Carus zur Musik). Treścią epopei: bellum Sequanicum (str. 322) była bez wątpienia wojna z Ariowistem. Nazwa »Sequanicum« o tyle usprawiedliwiona, że Ariowista wezwali Sekwanowie. Varro Atacinus nie wiedział, jaka jest narodowość tych wrogów, pisał więc powyższy utwór przed ogłoszeniem I-ej księgi Cezara De b. G., skąd dopiero mógł się dowiedzieć, że wojsko Ariowista było niemieckiem. Tak objaśniał tę sprawę E. Woelfflin. W przeglądzie poezyi Katulla zasługuje na uwzględnienie wzruszający utwór 76 (Siqua recordanti), a na str. 349 możnaby uwydatnić jako charakterystykę pieśni 62 strofy z refrenem śpiewane na przemian przez chóry dziewcząt i młodzieńców.

Z przyjemnością podnoszę, że autor wszędzie, gdzie trzeba, określa bardzo dobrze charakter języka i stylu pisarzy. U Plauta po raz pierwszy mowa łacińska »gniewa się, zazdrości, płacze, pieści lub kocha«, a wybornym wzorkiem języka miłości jest dyalog w Asinaria, obok którego stanąć może Pseudol. 62 nn. Na wyższy ton nastroił dykcyę wychowanek salonu Terencyusz, wprowadzając wiele przenośni (np. pascere[1] oculos), przez co uszlachetniał pospolitości Plauta. W języku Terencyusza (np. w słowach starca Demea w Adelphi) szukano śladów ludowej mowy, lecz z małem powodzeniem (zob. Woelfflina uwagę w Archiv XI 603—4). Czytamy dalej o podniesieniu stylu historycznego przez Coeliusa Antipatra, o demokratycznych naleciałościach retoryki ad Herennium, o malowniczości dykcyi Lukrecyusza, o wszystkich pięknościach Katulla, ale i o jego inwektywach lub ironiach. I w Rzymie musieli twórcy literatury iść w zapasy z opornym językiem, naginać go do potrzeb nowych miar wierszowych. W ich liczbie godzi się odszczególnić wielkiego reformatora Enniusa (str. 78). Jeżeli zamiast gaudium pisał tylko gau, to przypomina nam ta dowolność wyrazy Słowackiego urwane dla rymu:

[1] Przenośnia tego rodzaju przypomina frazes Słowackiego: »A każda (wieść) będzie s e r c e ludów p a s ł a« (T. Sinko, Hellenizm Juliusza Słowackiego, str. 49).

ucał, ador (rymy do: rzucał, ambasador). Por. S. Windakiewicz, Badania źrodłowe nad twórczością Słowackiego, str. 65.

Historya literatury rzymskiej, poświęcona przez autora młodzieży polskiej, uczy także starszych i budzi w nich niekłamany zachwyt. Każdy, kto miał ją szczęście czytać, wróci nieraz do niej, by cieszyć się klasycznym pomnikiem

quoius forma virtutei parisuma.

Adam Miodoński.

Miscellanea pastoralne. *Ks. dr. Adam Gerstmann.* Lwów 1910. Str. 101.

Napis nieco za obszerny, gdyż właściwie podaje autor w tej książce ośm luźnych artykułów wyłącznie tylko z dziedziny homiletyki. Zapewne w dalszych tomach przyjdzie kolej na zagadnienia z dziedziny ogólno-pasterskiej, gdyż w przedmowie autor obiecuje dalszy ciąg tego wydawnictwa, a wtedy znajdzie napis w nagłówku pełne usprawiedliwienie.

Artykuły tu zamieszczone są różnej objętości i wartości, na ogół czynią wrażenie wykładu uniwersyteckiego dla kandydatów kaznodziejstwa. Jakoż mają one przeważnie kierunek praktyczny bez podkładu naukowego i bez cytowania dzieł homiletycznych, co autor wprost zamierzył i w przedmowie podkreślił. Zazwyczaj opiera się autor wyłącznie tylko na Jungmannie, w jednem tylko miejscu (str. 81 i nast.) liczy się z podręcznikami ks. Krukowskiego i Krynickiego; zresztą z nikim.

Najobszerniej i zarazem najgruntowniej zajął się autor w 1 artykule przesadą kaznodziejską w duchu Jungmanna. Jest to zresztą przedmiot nieunikniony w podręcznikach wymowy kościelnej, a nawet w czasopismach niekiedy poruszany. (Por. *Przegląd kośc.* 1882/83, str. 11 i n. *Gazeta kośc.* 1900, str. 394; 1901, str. 280 i 286).

Dość dobrze udały się autorowi krótsze artykuły z napisami kategorycznymi: »Bądź naturalny!« (2), »Mów krótko!« (3), jako też w zastosowaniu podobieństw i przykładów (6), a częściowo także o wygłoszeniu kazania (8). Lecz w pierwszym z nich należało zająć się *ex professo* także próżnością kaznodziejską (por. *Przegl. kośc.* 1889, str. 718). Natomiast w artykule p. n. »Nowość w kazaniu« nie powiedziano nic nowego; autor odczuwa wprawdzie pożytek nowości, nie szuka jej jednak w samym przedmiocie homiletycznym, lecz w drobiazgowych szczegółach, coby raczej nazwać należało urozmaiceniem kazania a nie nowością. W tem znaczeniu, jak ten wyraz brzmi w od-

niesieniu do kazań, wypadało raczej napisać o aktualności tematów, a materyału chybaby nie brakło.

Na ogół przyznać trzeba autorowi, że w ogłoszonych 8 artykułach omawia wprawdzie szczegóły dość znane, ale jego zapatrywania w zakresie homiletyki są zwykle trzeźwe, praktyczne, roztropne, nawet oryginalne, tylko niekiedy zbyt ciasne, a co za tem idzie jednostronne i zbyt indywidualne, wbrew przyjętej tradycyi homiletyki i zwyczajom ambony. Tak np. w artykule o wstępie kazania, zajmującym przedostatnie miejsce w »Miscellaneach«, o inwokacyi przy końcu wstępu (uzupełnionej Pozdrowieniem Anielskiem) pisze autor (str. 90 i n.): »Nie wahamy się tego zwyczaju nazwać nie tylko niekoniecznym i niechwalebnym, ale uważamy go wprost za bardzo nieodpowiedny *(sic)* i niepotrzebny«, a za argument służy mu to, co mówi Jungmann (*Theorie der geistl. Beredsamkeit,* ed. IV, n. 372). Tymczasem Pozdrowienie Anielskie przy końcu wstępu jest w homiletyce polskiej prastarą tradycyą, powszechną po dni dzisiejsze a sięgającą początkiem do najstarszych [1] zabytków naszego kaznodziejstwa. Wplatanie Pozdrowienia Anielskiego między wstęp a wykład tematu kaznodziejskiego nie jest wprawdzie potrzebne i konieczne do celów samego utworu homiletycznego, jakoż opuszcza się je zwykle w krótszych przemówieniach, ale to jeszcze nie racya, aby je w czambuł sklasyfikować jako zwyczaj »niechwalebny i nieodpowiedni«. Ani prastara tradycya rodzima, ani zawarty w niej pietyzm dla Matki Bożej, nie mogą przyjąć obojętnie tak kategorycznie sformułowanej klasyfikacyi, a jeszcze mniej uszczypliwej pobudki, podsuniętej przez autora kaznodziejom dodającym u końca wstępu Pozdrowienie Anielskie. Tak samo ma się rzecz z właściwą inwokacyą. Natomiast co do formalnej modlitwy, zamykającej wstęp, zgodzić się można z autorem, ale jednocześnie należy podkreślić, że ta forma retoryczna w tem miejscu t. j. przy końcu wstępu, należy w nowszych produkcyach kaznodziejskich już prawie do rzadkości, więc staje się tem samem bezprzedmiotową.

Niełatwo też będzie można przyjąć bez zastrzeżeń zdanie autora w tymże artykule wypisane, że »powinniśmy naprzód obmyśleć samo kazanie, a później dopiero starać się o dobranie doń odpowiedniego wstępu, a nie *vice versa.* Wstęp powinien być w kompozycyi kaznodziei niejako rezultatem (!!) kazania, a nie jego źródłem, powinien wypływać z kazania a nie odwrotnie. Byłoby więc zupełnie błędnem (??)

[1] Por. Jougan: »Homilie polskie«. Lwów 1902. Str. 28.

komponować wpierw wstęp, a do niego d o r a b i a ć dopiero kazanie, jak to się niestety nierzadko dzieje«. Owoż to kwestya wielka, czy wskazówka autora jako profesora wymowy w stosunku do słuchaczy będzie zupełnie racyonalna i uzasadniona. Czyż bowiem nie znaczy to odwracać prawidłowy porządek, jeśli się chce wstęp uważać za »rezultat« kazania, a nie za jego źródło. Jakież znaczenie homiletyczne i jaki związek logiczny z całym elaboratem kaznodziejskim będzie miał wówczas epilog, jeżeli sam wstęp ma być rezultatem całego kazania? Czy głosić *ex cathedra* takie poglądy, nie znaczy odwracać istotne pojęcia rzeczy i narażać słuchaczy lub czytelników na wypaczenie ustalonych powszechnie terminów technicznych, tak np. różnych, jak różnym być musi wstęp od zakończenia. Możnaby jeszcze zrozumieć tę radę, gdy chodzi o kazanie ściśle tematowe, gdyż w takich kazaniach wykład właściwy zajmuje się wyłącznie tezą w założeniu jasno postawioną i należycie odgraniczoną, zaczem nie trudno będzie »dorobić« do niej wstęp z całością wykładu związany jednolicie i harmonijnie.

Ale wątpić można bardzo, czy rada o dorabianiu wstępu *ex post,* okaże się korzystną np. przy homiliach, egzortach, przemówieniach przygodnych, mowach żałobnych a nawet naukach katechizmowych. Trzeba bowiem przygotować się na to, że albo wątek wstępu pomiesza się wówczas z treścią właściwego tematu a mowca będzie się powtarzał, albo wstęp przestanie być integralną częścią nauki, a całe jego tło będzie logicznie i retorycznie oderwane od przewodniej myśli, która powinna się snuć prawidłowo przez całość utworu kaznodziejskiego. Takie wskazówki o dorabianiu wstępu do kazania mogą być wprawdzie w pewnych wypadkach praktyczne, ale głosić je zasadniczo i w druku, nie uchodzi, bo to równałoby się ostatecznie obniżeniu utworów homiletycznych do rzędu prostej roboty literackiej i ćwiczenia retorycznego, musiałoby utrudnić ciągłość i łączność myśli, krępować polot i natchnienie.

W artykule o dowodach w kazaniu [1], radzi autor czerpać je pierworzędnie z definicyi soborów i dekretów papieskich (str. 53). Tu trzebaby zapytać, dla wieluto prawd dogmatycznych znajdzie je kaznodzieja zupełnie wyczerpujące, a co pocznie z innymi tematami, np. choćby tylko treści moralnej? Po tamtych dopiero dowodach kła-

[1] Por. artykuł o dowodach ks. Markiewicza w *Przeglądzie kościelnym.* 1896, str. 309.

dzie autor dowody z Pisma św., gdyż »ono nie zawiera wszystkich prawd objawionych a nieraz prawdy te zawierają się w niem niedość jasno i wyraźnie« (str. 54). Biedne, zaiste, to Pismo św. w bieżącej dobie! Ruguje się je skrzętnie z podręczników szkolnych, a na dalszy plan schodzi już nawet w artykułach homiletycznych. Dla starych homiletów było ono kopalnią nieprzebraną w każdym względzie, nawet w zakresie czysto retorycznym; dla autora jest ono niewystarczającem dla pełnego t. j. bezpośredniego dowodu. Obawiać się trzeba istotnie, aby to systematyczne usuwanie Pisma św. na plan ostatni nie stało się z czasem metodą w swoim rodzaju szkodliwą.

Naturalnie, że po losie Pisma św. nie tak już dotkliwie daje się odczuwać wyrok autora, że »mniej wartości, jako dowody, mają cytaty z dzieł Ojców Kościoła, że mają one raczej tylko znaczenie ozdoby (!) lub przykładu. Zwyczaj cytowania słów Ojców Kościoła jest zabytkiem dawnej mody »zdobienia« kazań cytatami z przeróżnych dzieł, jako dowodami erudycyi mowcy. Gdyby taki sąd wydał dogmatyk, któremu dla dowodu dogmatycznie ścisłego potrzebny jest *consensus Patrum,* to możnaby go jeszcze usprawiedliwić. Ale co najmniej zdziwić musi, kiedy sąd taki czyta się z pod pióra profesora wymowy kościelnej, który chyba wiedzieć powinien, czem były dzieła Ojców dla rozwoju i rozkwitu kaznodziejstwa i czem być zawsze powinny dla pożądanego dźwignięcia wymowy kościelnej w dalszej dziejów kolei. I podczas kiedy u sąsiadów naukowo pracujących w dziedzinie homiletyki, na całej linii rozbrzmiewa hasło: »Napowrót do pierwszych źródeł!« Kiedy tam rozwija się skrzętna zapobiegliwość o przywrócenie Ojcom Kościoła dawnego znaczenia w zakresie dalszego rozwoju i udoskonalenia kaznodziejstwa spółczesnego (por. artykuły Stingedera i Emmericha w linckim *Kwartalniku* z r. 1910), my dowiadujemy się z katedry profesorskiej dla wymowy kościelnej, że cytowanie Ojców Kościoła jest zabytkiem przestarzałym, nad którym można już obecnie przejść do porządku dziennego! Żadnego chyba znawcy literatury homiletycznej zadziwiać już nadal nie powinno, jeżeli po takich sądach o cytowaniu słów Ojców Kościoła w kazaniach coraz mniej spotka się w naszych wydawnictwach homiletycznych bieżącej doby utworów prawdziwie i trwale wartościowych, jeżeli wyimki z Ojców Kościoła nawet w utworach czysto homilijnych, autorów skądinąd poczytnych, i dalej jeszcze należeć będą do rzadkich wyjątków. Tak ważny dział literatury kościelnej, jak patrologia i patrystyka, poszedł już w uczelniach naszych naukowych w zapomnienie, a jeżeli jeszcze krótkie

bodaj wzmianki czy drobne wyimki z dzieł Ojców wyrugujemy do reszty z ostatniego przybytku, gdzie się do niedawna zdołały schronić, t. j. z utworów homiletycznych, to chyba zwątpić wypadnie o tak koniecznem odrodzeniu kaznodziejstwa nawet w przyszłości.

Od profesora homiletyki miałoby się przecie prawo oczekiwać należytego uwzględnienia nieprzedawnionej chyba wartości dzieł Ojców Kościoła dla celów rodzimej homiletyki, i to nawet w artykułach natury praktycznej, nawet pisanych z wykluczeniem cechy naukowej, jeżeli tylko wychodzą w świat pod egidą naukową i tworzyć mają dowód twórczości literackiej i studyum fachowego, liczącego się z rozwojem spółczesnej homiletyki, jej przejawami i dążnościami. Wolno wprawdzie każdemu być oryginalnym i zachować swą indywidualność, ale to się zawsze dziać winno bez ujmy dla tej kategoryi umiejętności, która ma być jego specyalnością zawodową.

Ks. dr. Jougan.

Italia mercatoria apud Polonos saeculo XV ineunte. *Iohannes Ptaśnik.* Romae 1910. Pag. 108, in 8-vo.

Napływ Włochów do Polski sięga najdawniejszych chrześcijaństwa czasów. Wiadomo bowiem, że pierwsi zakonnicy i biskupi na ziemi polskiej, pochodzili z Włoch. Na stolicy biskupiej krakowskiej pierwszych sześciu biskupów (966 – 1046) należało do narodowości włoskiej [1]. Polska, jako wierna córka Kościoła, składała grosz wdowi, czyli świętopietrze, papieżom rzymskim. Stąd też już w latach 1281 — 1395 widzimy stałych kollektorów świętopietrza w Polsce, z których każdy kolejno uzbierane pieniądze albo wprost do Rzymu odsyłał, albo kupcom włoskim, zwłaszcza weneckim, tę przesyłkę poruczał. Od roku 1306—1336 mieszka stale w Krakowie kupiec genueński, Mikołaj Manente. W tymże prawie czasie przebywa tu Paweł Cavallo, później przełożony żup solnych, oraz Stefan Pexa, Piotr Cavallo, Genueńczycy. Z końcem XIV i na początku XV wieku zjawia się florencka rodzina kupiecka de Medicis, następnie Leonard de Riciis, z braćmi Antonim i Gwidonem, którzy byli także prokuratorami apostolskimi świętopietrza w Polsce. Ale nie sama sprawa świętopietrza wabiła ich do Polski, mieli oni w tem także własne interesa swoje. Z Polski do Włoch wywozili wosk, skóry i czerwiec, *cremesi,* do farbowania sukna. Natomiast stamtąd przywozili ze sobą do nas rozmaite

[1] *Series chronologica antist. crac.*, zob. *Elenchus cleri dioec. cracov.*

sukna, materye jedwabne, klejnoty i drogie kamienie. Nieźle im się też działo w tej nowoprzybranej ojczyznie północnej, a podobno daleko lepiej, niż pod włoskiem niebem, bo dawna Polska, niby wielka gospoda, przyjmowała gościnnie w objęcia swoje wszelkie inne plemiona. Swoją zapobiegliwością i skrzętnością wzbogaciwszy się u nas, wstępowali jakby po szczeblach na wyższe dostojeństwa krajowe: stawali na czele ceł, kopalni ołowiu i srebra w Olkuszu, a salin w Wieliczce i Bochni. W przywileju księcia Leszka Białego, nadanym obcokrajowym górnikom, chlubnie wymienieni są Rzymianie, a względnie Włosi [1]. W XIV wieku przełożonymi żup solnych u nas bywali zawsze kupcy włoscy. W latach 1346—1358 był żupnikiem generalnym Paweł Cavallo z Genui, po nim zaś jego krewniak, Piotr Cavallo. Za panowania Kazimierza Wielkiego, Ludwika Węgierskiego i Władysława Jagiełły, przełożonym nad żupami solnemi był Gotfryd Fattinante, także Genueńczyk, aż do końca życia 1393 r. [2] Następcami jego widzimy kupców weneckich, mianowicie Bonaiunta, wraz z powinowatym Piotrem Bicarani [3]; potem znów kupców florenckich, Leonarda i Antoniego de Riciis. To życie kupieckie nacyi włoskiej na ziemi polskiej, w jego rozmaitych objawach i odcieniach, uprzywilejowane nieraz polecającymi listami papieskimi, *litterae salvi conductus*, przedstawia nam świeżo wydana książka profesora Jana Ptaśnika. Do najważniejszych w niej ustępów przedewszystkiem zaliczyć należy proces między Janem Bankem, kupcem wrocławskim, a braćmi de Riciis; między Antonim Tronem z Wenecyi, żupnikiem krakowskim, a Michałem de Riciis, kupcem weneckim.

Ślad w ślad za kollektorami świętopietrza i kupcami, zdążali do Polski artyści i humaniści włoscy. Sławny humanista, Filip Callimach, dlatego przywędrował do nas, bo miał tu krewnego swego, Aynolfa de Tedaldis, florenckiego kupca, który był przełożonym żup nie tylko w Krakowskiem, lecz także na Rusi. Praca profesora Ptaśnika jest ważnym przyczynkiem do dziejów przemysłu i handlu w średniowiecznej Polsce. Szereg dokumentów (ogółem 89 nr.) z lat 1387—1439, przeważnie łacińskich, włoskich i kilku niemieckich, czerpał jużto

[1] W latach 1221—1222, zob. Piekosiński: *Cod. eccl. cath. cracov.* Tom I, p. 17.

[2] Jego testament, datowany w Krakowie 15 grudnia 1393, zob. Piekosiński: *Cod. eccl. cath. cracov.* Tom II, p. 182—185.

[3] Tenże Bicarani w r. 1409 nabył wieś Sierszę od Pawła de Doluszyce, za 220 grzywien szerokich groszy i za 52 grzywien zwykłej monety.

z dawnych aktów miasta Krakowa, jużto z innych archiwalnych źródeł: we Florencyi, Wenecyi i Rzymie, gdzie po raz drugi przebywał, w celu poszukiwań do wydawnictw Akademii Umiejętności. A dobrze się stało, że owe dokumenta w oryginałach, a do tego w Rzymie ogłosił. Niechże więc cudzoziemcy, a zwłaszcza Włosi, dowiedzą się z nich, że ich ziomkowie już w XIV i XV wieku przebywali u nas, i na naszej ziemi dorabiali się znaczenia i mienia.

Ks. J. Sygański.

Z piśmiennictw obcych.

La théologie de Tertullien. *X. Adhémar D'Alès*. Paris. Str. XVI+535.

Pod kierunkiem redakcyjnym profesorów teologii w paryskim Instytucie katolickim wychodzą od niedawna specyalne studya i monografie, mające w objętości mniej więcej 60 tomów przedstawić historyę teologii. Jako jedna z pierwszych w tej kollekcyi (Bibliothèque de Théologie historique) pojawiła się książka, z której zdajemy sprawę, owoc wszechstronnych, sumiennych i z wybitnym zmysłem krytycznym podjętych badań nad syntezą teologii Tertulliana, co w Afryce chrześcijańskiej zajaśniał twórczą, wybuchową siłą pióra, a był nieustraszonym i gorącym apologetą nie tylko jak długo stał na gruncie katolickim, ale nawet w tych czasach, kiedy się zabłąkał w sieci montanizmu, i to właśnie wtedy gorliwiej prowadził rozpoczętą już przedtem walkę z błędami gnostyków.

Autor wnosi do swej pracy metodę ściśle filologiczną, kiedy stara się przedewszystkiem o możliwe najprawdopodobniejsze ustalenie chronologii pism Tertulliana przy pomocy poszukiwań Noeldechena, Harnacka i Pawła Monceaux. W tym celu daje pożądany wykaz miejsc, gdzie pisarz afrykański sam cytuje własne utwory, przytacza daty lub potrąca o wypadki współczesne; prócz tego szuka u niego śladów i znamion montanistycznego zabarwienia. Słusznie jednak zwraca uwagę, że w tym ostatnim wypadku trzeba być bardzo ostrożnym, bo pisma z pierwszego okresu nie są wolne od rygoryzmu i illuminizmu, a ostatnie reprezentują tu i owdzie poprawną naukę. Odróżnia więc poza katolickimi dwie warstwy traktatów: jedne tchną połowicznym, drugie zaś zdeklarowanym montanizmem. Należało się też spodziewać, że autor nie poprzestanie na formie tekstu, przyjętej w naj-

nowszych umiejętnych wydaniach, ale tam, gdzie są w grze subtelne pojęcia i definicye teologiczne, rozważy rzecz bezstronnie i zbada raz jeszcze tradycyę skalpelem krytycznym.

I to wymaganie spełniono. Za dowód niech posłuży np. Adv. Prax. 7: Exinde eum (= Deum) Patrem sibi faciens (t. j. Sermo = Logos) de quo procedendo Filius factus est. Tutaj zamiast dawnej lekcyi »parem« wprowadził ks. D'Alès wyraz Patrem, niezależnie od wydawcy Kroymanna (str. 90 uw.). Jeszcze dr. K. Kellner, zasłużony tłumacz Tertulliana, opierał się na mylnym waryancie: Darnach machte er es sich g l e i c h! Niemniej trafnie odpowiada autor na szereg trudnych pytań o stosunku Tertulliana do Pisma św. (str. 221—261). A najpierw: czy odmienny przekład łaciński zawsze uprawnia do odpowiedniej zmiany tekstu greckiego, czy też raczej należałoby nieraz przypuszczać, że na te odmiany złożyła się albo niedokładność pamięci albo jakaś inna uboczna racya? Jeżeli Tertullian w Scorp. 7 greckie θύματα (Prov. 9, 2) oddaje przez »filios« (Sophia iugulavit filios suos = Ἡ σοφία... ἔσφαξε τὰ ἑ αυτῆς θύματα), to wolałbym z ks. D'Alèsem (str. 239) szukać przyczyny tej różnicy w intencyi mistycznej apologety, aniżeli zmieniać θύματα na κύματα wbrew takiemu świadectwu typu afrykańskiego, jakiem jest przekład zachowany u św. Cypryana, Testim. II 2: Sapientia... mactavit suam h o s t i a m (lub »suas hostias«). Przyznaję, że rozstrzygnięcie podobnych kwestyi jest często trudne, czasem całkiem niemożliwe przy dotychczasowych środkach pomocniczych. Nawiasowo przypominam, że nie odpowiada to faktycznemu stanowi rzeczy, jeśli mianem I t a l a określa się u nas całą grupę przekładów Pisma św. dokonanych przed św. Hieronimem. Odróżnianie dwu działów: I t a l a i A f r a byłoby więcej do prawdy zbliżonem, ale tylko a potiori. Należałoby rozważyć, czy jednak hipoteza Burkitta nie jest trafną: Św. Augustyn (de doctr. chr. 2, 15 itala caeteris praeferatur) rozumiał przez I t a l a przekład św. Hieronima a więc Wulgatę, i w tym przekładzie przytaczał Ewangelie w późniejszych pismach.

Na ogół pięknemi nazwać muszę uwagi o Tertullianie, jako egzegecie Pisma św., którego sposób objaśniania ma autor za charakterystyczną zapowiedź przyszłej szkoły antyochijskiej (str. 254). Niemałe też zajęcie budzi w nas stanowisko Tertulliana wobec ksiąg kanonicznych. Pod tym względem pouczająca będzie opinia jego o żydowskiej apokalipsie Henocha. Dlaczego? Oto wiadomo, z jakiem przejęciem zachęca Tertullian do czystości obyczajów zarówno płeć męską,

jak i żeńską. Jesteśmy, mówi, świątynią Boga, dlatego stróżem i kapłanką tej świątyni powinna być niewinność. A zwracając się potem wyłącznie do kobiet, gromi ich zbytek i przepych strojów. Szaty mają być wyrazem i obroną godności niewiast. Tylko osoby upadłe i rozpustne występują publicznie w świetnej toalecie, dozorczynie latryn noszą szerokie, jedwabne suknie, naszyjniki na brudnych szyjach, naramienniki i białe lub czarne buciki safianowe. Wy występujcie w białym kolorze prostoty, ozdabiajcie oczy wstydliwością, usta milczeniem, do uszu wpajajcie słowa Boże, bierzcie na szyję jarzmo Chrystusa. Nie dla was jedwabie, ani perły, ani rubiny, to balast dla zasądzonej i duchowo umarłej, to jest jakby pompa pogrzebowa dla tej, która straciła łaskę Bożą. Bo skądże wzięły się te kosztowności? Aniołowie upadli ofiarowali je kobietom za rozkosze doznane na ziemi. Otwarli kopalnie, dostarczając im drogich kamieni na naszyjniki i złota na naramienniki.

Taką rolę przydzieliła aniołom zbuntowanym księga Henocha. Wiem, oświadcza Tertullian *De cultu fem.*, że nie wszędzie uznają to pismo Henocha za kanoniczne, ale on uważa je za inspirowane przez Boga dla jego budującego i wychowawczego podkładu. Co więcej, w tej apokalipsie znalazł upragniony dowód, że kosztowna strojność kobiet jest wyrazem bałwachwalstwa, bo przez nią oddaje się cześć źródłu, z którego pochodzi, mianowicie wrogim Bogu aniołom! Jest to cechą Tertulliana, że w chwili porywu misyjnego mobilizuje całe zastępy argumentów, szuka broni w paradoksach, forsuje porównania, zadziwia zawrotnością dyalektyki i funambulizmu adwokackiego: każdy z tych i tym podobnych środków jest dobry, jeżeli tylko jest mu sojusznikiem w namiętnej a gorąco odczutej walce o obyczaje i cnoty gminy chrześcijańskiej. Bo surowość i purytanizm ascetyzmu jest niejako kręgosłupem całej jego duszy i działalności. Żądania były górne, często prawie niemożliwe do przeprowadzenia. Szermierz ideału, jeden z najtragiczniejszych ludzi starożytności, czuje się i staje się naprawdę coraz bardziej wśród swoich odosobnionym, ale wiara jego w możliwość, jeśli nie konieczność zrealizowania głoszonych zasad jest całą glorya genialnego samotnika. Powoli więc wzmacniały się w nim nici i urastały ramiona, któremi miał uchwycić się pod wieczór życia mrzonek montanistycznych. Był to dla frygijskich majaków łup najświetniejszy. Ale i tutaj indywidualizm Tertulliana szukał sobie po części nowych dróg. Prócz wielu zboczeń jeden kierunek montanistów był bardzo niebezpieczny i kto wie, czy między innemi nie przyczynił się

do ostatecznego rozbicia sekty, mam na myśli szkodę socyalną, jaka z ich wierzeń wypływała. W kołach zwolenników Montana utrzymywała się spotęgowana nadzieja eschatologiczna, że Chrystus wkrótce pojawi się na ziemi i utworzy tu 1000-letnie panowanie. Skutkiem tych chiliastycznych oczekiwań pragnęli montaniści zgromadzić chrześcijan w jednej okolicy, gdzieby oddzieleni od świata mogli oczekiwać przyjścia niebieskiego Jeruzalem. Hippolytus w komentarzu do proroka Daniela 4, 19 donosi, że w pewnej gminie ludzie przerażeni nie uprawiali pól, zaniedbali wszelkiej pracy, a większa ich część sprzedała majątki — i musieli iść na obczyznę o kiju żebraczym. Jakiś syryjski biskup wyprowadził mnóstwo swoich owieczek z dziećmi i żonami na pustynię. Długo błąkali się po górach i drogach, byliby wreszcie wymordowani przez wojsko, jak zwykli rozbójnicy, gdyby nie wstawienie się żony namiestnika, na szczęście chrześcijanki. Por. Neumann, Hippolytus von Rom. I str. 66.

Apologeta, zwalczający pogan, żydów i heretyków, kształtujący życie w różnych jego przejawach, z natury rzeczy wchodzi w zetknięcie z kwestyami filozoficznemi. Tertullian znał i studyował systemy filozofii. Nie podnosi się wprawdzie do wysokości przedstawicieli chrześcijańskiej szkoły aleksandryjskiej, nie ocenia należycie znaczenia Sokratesa, Platona i Arystotelesa — ale lgnie do Stoy, szczególniej do Seneki, pociągnięty urokiem praktycznych roztrząsań i wskazówek moralnych. Na podstawie wyrwanych zdań negatywnych uważano Tertulliana za nieprzyjaciela filozofii. Zupełnie bez podstawy. Niepochlebnych sądów o filozofii nie można uogólniać, ale raczej trzeba przyjąć, że zwracały się one przeciw gnostykom; podobnie ujemna opinia Platona o wymowie sofistów chłostała tylko ich nadużycia, a nie odnosiła się do wielkiej, na studyach filozoficznych opartej retoryki. Pod tym kątem widzenia rozpatrywał całą kwestyę dr. G. Esser (Die Seelenlehre Tertullians), na którego często powołuje się ks. D'Alès. Chrześcijański pogląd na świat, jednolity i zwarty w sobie, służył Tertullianowi za punkt oparcia i oryentacyi. Wobec sprzeczności i sceptycyzmu po stronie przeciwnej on, badacz tajników duszy i pierwszy twórca »chrześcijańskiej psychologii«, wzywa duszę prostego, nieuczonego człowieka, aby złożyła świadectwo żyjącej w niej wierze w jednego Boga i pisze: De testimonio animae, traktacik drgający ciepłem i przepiękny swą prostotą plastyki. Niestety i w tym klejnociku pióra gorączka uniosła autora za daleko. W dowodzeniu i wydobywaniu wniosków z faktu »intuicyi duszy« posuwa się do przesady, jak dobrze

zauważył ks. D'Alès (str. 40). Chciałbym jednak dodać, że tak te aforyzmy popularne, jak i podobne przekazane przez Minuciusa Feliksa (str. 38) można sprowadzić do wspólnego źródła, z którego przejęli je obaj pisarze całkiem od siebie niezależnie.

Na tem kończę. Uwagi powyższe nie dają pojęcia o bogactwie treści omawianego dzieła, nie poruszają oczywiście kwestyi czysto teologicznych. Pisaliśmy o rzeczach, o których łatwiej było nam sądzić. Tyle wszakże możemy stwierdzić, że ks. D'Alès oparł swą pracę na silnej podstawie krytyczno-historycznej i korzystał z rozległej literatury przedmiotu, nie pomijając ważniejszych przyczynków filologicznych. Całość przywiązuje do siebie czytelnika szerokością widnokręgu i wdziękiem formy, a wprowadza go w sam środek problemów, które i dla dzisiejszych ludzi nie przestają być aktualnymi. Ten sam autor wydał w r. 1906 równie gruntowną monografię o teologii św. Hipolita.

Adam Miodoński.

Slovanský Svět. Zeměpisný a statistický obraz současného Slovanstva, napsal *prof. Lubor Niederle.* (Laichteruv vybor nejlepších spisu poučnych. Kniha XXXV). Praha 1910. 8-ka; kt. nlb. 4, str. 197 i 2 nlb., z mapą.

Doba bieżąca jest nader znamienna ze względu na zażarte spory już nie między-szczepowe, ale międzyplemienne, które najsilniej zaogniły się w grupie narodów, zaliczających się do gromady słowiańskiej. Na całej bowiem olbrzymiej przestrzeni, zamieszkałej przez Słowian, od Oceanu Lodowatego północnego aż po Bałkany, niemasz ani jednego narodu, któryby nie rościł sobie pretensyi do sąsiedniego. Stąd też obok sporu: rosyjsko-małoruskiego mamy spór małorusko-polski i polsko-czeski, serbo-chorwacki i serbo-bułgarski, żeby nie wymieniać drobniejszych w rodzaju: kwestyi kaszubskiej lub słowackiej.

Spory te toczyły się przeważnie bezkrytycznie, nie opierając swoich tez na cyfrach wiarygodnych.

To też dobrze stało się, że znakomity uczony czeski prof. Niederle, autor epokowego dzieła o starożytnościach słowiańskich, zadał sobie trud obliczenia dokładnego ilości głów, należących do poszczególnych narodów słowiańskich. Praca zaś była to mrówcza, niewdzięczna ponadto i z tego względu, iż autor zdawał sobie dokładnie sprawę, że nie zdoła zadowolić dążeń ideowych poszczególnych spór toczących plemion. Pomimo wszelako pewnych usterek rzeczowych, o których niżej będzie mowa, należy przyznać, iż teraz dopiero otrzymaliśmy

bardzo blizki prawdy obraz rozsiedlenia Słowian, oparty na danych naukowych.

Początki narodu prasłowiańskiego zasnute są mgłą niemal nieprzeniknioną. Tylko tyle jest pewnego, że już w dobie przedhistorycznej składał się z różnych typów i że nie był nigdy jednolity ani pod względem kulturalnym, ani pod względem językowym. Widzimy bowiem, że na przestrzeni pierwotnych siedzib pra-Słowian poszczególne typy różniły się pomiędzy sobą barwą włosów i oczu przedewszystkiem, co się zaś tyczy kultury, — rozmaitość jej da się zauważyć na grobach, z których jedne mają inwentarz o typie adryatycko-dunajskim, podczas gdy na Wschód za Wisłą przeważają wpływy czarnomorskie. W dobie wreszcie odłączenia się Słowian od reszty Aryów, rozpoczęło się w ich łonie dokonywać różniczkowanie językowe, które zakończyło proces rozpadania się jednego pra-narodu na cały szereg ludów odrębnych, tak że dzisiaj jedność słowiańska może być pojmowana jedynie c z y s t o t e o r e t y c z n i e.

Jak się to stało i z jakich przyczyn dokonała się indywidualizacya plemion poszczególnych, wiele wreszcie liczymy obecnie samodzielnych narodów słowiańskich — wszystkie te kwestye są po większej części ciągle jeszcze nierozstrzygniętymi problemami w nauce słowiańskiej. Najprawdopodobniejszą wydaje się hipoteza, iż pranaród słowiański, który zajmował siedziby pomiędzy Odrą a Dnieprem, już w dobie przeddziejowej posunął się w kierunku Łaby, Sali, nad Dunaj, ku Niemnowi i morzu Bałtyckiemu, oraz rozpadł się na trzy gromady samodźielne, bądź to pod wpływem naturalnych warunków terytoryalnych, bądź też pod wpływem prądów kulturalnych, innych na Wschodzie i innych na Zachodzie, wreszcie z powodu zwiększających się nieustannie różnic językowych.

Pierwsza gromada, zamieszkała na zachód od Wisły, posuwała się stopniowo aż poza dolną Łabę i Salę, dochodząc w dalszym swoim rozwoju do utworzenia grup: Słowian połabskich, pomorskich, polskich i czeskich; druga gromada, której siedziby pierwotne były pomiędzy górną Wisłą, Dniestrem i środkowym biegiem Dunaju, przeszła z biegiem czasu Karpaty, aż wreszcie osiedliła się na półwyspie bałkańskim, rozpadając się na trzy narody: słoweński, serbski i bułgarski; trzecia wreszcie gromada posunęła się ze swoich siedzib pierwotnych nad Dnieprem w kierunku północnym ku zatoce fińskiej, nad Wołgę i Okę, w kierunku wschodnim nad Don, na południe zaś ku morzu

Czarnemu i dolnemu biegowi Dunaju, wytwarzając naród rosyjski — o kilku odmianach.

Nie jest też jednaki stopień, w jakim obecnie różnią się pomiędzy sobą poszczególne narody słowiańskie. Różnica np. pomiędzy Czechem a Polakiem jest większa, aniżeli pomiędzy Czechem a Słowakiem, pomiędzy Rosyaninem zaś a Polakiem nieporównanie większa, aniżeli pomiędzy pierwszym a Małorusinem. Stąd też stykamy się zarówno w życiu codziennem, jak niemniej w literaturze, ze stałymi sporami o to, które plemię ma być uważane za naród samodzielny, zwłaszcza gdy rozstrzygnięcie tych sporów zawisło od różnych punktów widzenia, a zatem: od językowego, etnograficznego, historycznego a nawet politycznego. Zdarza się nawet, że tam, gdzie jeden filolog widzi dwa samodzielne języki słowiańskie, inny widzi tylko narzecze pewnego języka. Dość powiedzieć, że gdy Dobrowsky uznawał w r. 1822 dziewięć różnych języków i narodów słowiańskich, w lat 20 później Szafarzyk zdecydował się na sześć języków z 13 narzeczami, Sreznіewskij w roku 1843 uznawał 9 języków, Schleicher w r. 1865 języków ośm, Miklosich 9, Jagić w r. 1898 języków ośm, a Florinskij w r. 1907 języków 9. Skoro zaś weźmiemy pod uwagę rozmaite tendencye separatystyczne, liczba narodów słowiańskich wzrośnie aż do 14, bez uwzględnienia plemion wymarłych.

Prof. Niederle zaś zajął w sprawie powyższej stanowisko pośrednie.

Podług niego Słowianie rozpadają się na siedm plemion, a mianowicie: 1) na rosyjskie, w którem ujawnia się obecnie silna dążność separatystyczna małoruska, 2) polskie, 3) serbo-łużyckie, 4) czeskie, z którego coraz silniej pragną wyłączyć się Słowacy, 5) serbsko chorwackie, 6) słoweńskie i 7) bułgarskie.

Plemieniu rosyjskiemu, jako najliczniejszemu i najdalej na wschód wysuniętemu, poświęcił autor najwięcej miejsca. Krok taki byłby uzasadniony zupełnie, gdyby prof. Niederle był zajął się rozpatrzeniem kwestyi zasadniczej, czy i w jakiej mierze można, biorąc rzecz ściśle naukowo, zaliczać plemię rosyjskie do szczepu słowiańskiego? Kwestya ta zaś nasuwała się sama, własną siłą, nawet wówczas, gdy prof. Niederle nie widzi w teoryach Duchińskiego i Ruszczyńskiego nic — poza szowinizmem narodowościowym polskim. Otóż takie załatwienie sprawy poważnej jest — co najmniej — opaczne!...

Ile żywiołu mongolskiego trwa po dziś dzień w życiu codziennem Rosyan, tego nie potrzebuję powtarzać, gdyż wykazałem to lat kilka

temu w szkicu p. n. »Dżingis-Chan zmartwychwstały«, drukowanym w *Przeglądzie Polskim,* jak zaś wiele zawiera go najnowsza chociażby literatura rosyjska, w pracy, pomieszczonej w *Bibliotece Warszawskiej.* Zanim jednak obszerniejsze studyum moje w tej kwestyi ukaże się w druku, śmiem z tego miejsca zwrócić uwagę na fakta niezaprzeczalne, w świetle których »słowiańskość« Rosyan okaże się więcej, niż problematyczna.

Wszakże wówczas, gdy narody tworzące dziś plemię rosyjskie, osiadły były na dobre w granicach obecnego ich rozsiedlenia w wieku III i IV po Chr., przeszła przez nie nawała Gotów i Herulów, w r. 376 Hunów, w r. 557 Awarów, a w ciągu IX stulecia przebywali tu czas pewien w przechodzie z nad Wołgi w dolinę Dunajową — uralscy Madiarowie. Przypomnę wreszcie długowiekową niewolę Złotej Ordy, która brała z ziem ruskich haracz *in natura,* w postaci kobiet i dziewcząt ruskich, wyludnienie Rusi po bitwie nad Kałką, na północy zaś krzyżowanie się nagminne z plemionami fińskiemi. Ba, krzyżowanie to nie ustawało nawet przez cały ciąg wieku XIX podczas kolonizowania Syberyi, Mandżuryi, kraju kirgizkiego, Turkestanu (1864), Samarkandy (1868), Chiwy (1873), Kokandy (1876), Aschabadu (1881), Merwy (1884) i Murghaba (1885). Za kolumnami wojsk ciągnęli koloniści rosyjscy, jak kruki na żer... Czyliż wreszcie nic nam nie powiedzą brzmienia nazwisk rodowych?... Toż świadectwo ich jest wiarygodne, a tyle wymowne!...

Czyliż zatem wobec tego nie wyda się o wiele prawdopodobniejszem określenie, iż całe plemię ruskie jest nie tyle słowiańskie, ile przedstawia konglomerat slawizowanych Turańców, Tatarów, Finnów i rozmaitych innych drobniejszych plemion mongolskich, czego zresztą dowód niezaprzeczalny znajdziemy zarówno w pomiarach antropometrycznych, jak niemniej w stosunkach bytowych, w języku, wierzeniach ludowych wreszcie w podziale kastowym narodu i formie absolutystycznej rządu, co wszystko jest niezaprzeczalnie z pochodzenia i typu azyatyckiego — *par excellence.*

Ogólną liczbę ludności, wchodzącej w skład plemienia rosyjskiego, oblicza prof. Niederle na 88.900.000 głów, z których zaledwie 20% umiało czytać i pisać! Cyfra to potwornie przerażająca. Dobra byłaby wśród pół-dzikich mieszkańców Polinezyi...

Co się tyczy sporu małorusko-rosyjskiego, prof. Niederle podkreśla słusznie podkład czysto polityczny jego, sam zaś zajmuje

jedynie wskazane w tym wypadku stanowisko, zasadzające się na tem, że »pomimo wszystkich różnic jest tyle wspólnego w historyi, tradycyi, w religii, języku i kulturze Rosyan i Małorusinów — bo początek jest wspólny — że w oczach stojącego opodal, objektywnego badacza są obydwa szczepy jedynie częściami jednego wielkiego narodu rosyjskiego« (str. 41, podkreślenie prof. Niederlego).

Przechodzimy do rozdziału najciekawszego dla nas, bo traktującego o nas samych.

»O Polakach jedynych można powiedzieć — zaczyna prof. Niederle — że mieszkali od niepamiętnych czasów na jednem i tem samem miejscu między Odrą, Karpatami i morzem i że się najmniej wychylali ze swojej kolebki. Mieli wszakże z punktu geograficznego położenie centralne wśród plemion słowiańskich; a filologowie utrzymują, że i język jest z tem w zgodzie swoją środkowością«, konkluduje autor, idąc za zdaniem nieodżałowanego Karłowicza.

Z czasów starożytnych nie doszły wiadomości pewne o osiedleniu Polaków, gdyż Boulanes Ptolomeusza są bardzo niepewni. Dopiero od wieku IX rozjaśniają się ciemności i jakkolwiek naród polski nie był jeszcze wówczas zjednoczony, to przecież wyróżniał się od sąsiednich szczepów słowiańskich, a nawet — według latopisu kijowskiego, został nazwany Lachami w ustępie, który z tego miejsca powtórzymy: *Słowieny że owi priszedsze siedosza na Wislie i prozwasza sia Ljachowe a ot tiech Ljachow prozwaszasia Poljane, Ljachowe, druzii Ljutyczi, ini Mazowszane, ini Pomorjane.*

Nieustanne boje z Niemcami wytworzyły już wcześnie pełnię świadomości narodowościowej, której brak było w owym czasie u reszty Słowian. Prof. Niederle zachwycony jest tym właśnie rysem charakteru polskiego, który to rys ujawnił się nawet w najcięższych dla narodu chwilach i dał rękojmię tlejącej w Polakach niepożytej »siły życiowej«. »Wielkie tradycye przeszłości — powiada dalej — i wielkie ideały o przyszłości utrzymały ją, a co więcej wzmocniły do tego stopnia, że wrogowie sami częściowo wyrzekli się swoich nadziei«.

Dawszy obraz współczesnego stanu posiadania polskiego, wykreśla autor szczegółowo granice naszego terytoryum etnograficznego. I tutaj niepodobna zgodzić się z nim w wielu punktach, z których zaczepię najważniejsze tylko:

Przedewszystkiem ogólna liczba ludności polskiej, obliczona na 17,664.350 głów, jest stanowczo zbyt nizka, skoro według obliczeń

polskich przekracza 21 milionów. Powtóre, zarówno w tekscie samym, jak też na dołączonej mapie etnograficznej, nie uwzględnił autor ludności polskiej, zamieszkałej na terytoryum dawnych ziem litewsko-ruskich. Wreszcie — co się tyczy Galicyi wschodniej — autor, nie znając prac tak specyalnych, a w danym wypadku jedynie miarodajnych, jak d-ra Kolankowskiego i prof. d-ra Buzka (Wiadomości statystyczne. Lwów 1910. XXI, zeszyt 2), pomija poważną cyfrę ludności polskiej milczeniem, w tekscie i na mapie. Nieuwzględnieniem dat powyższych tłumaczę jedynie mniejszą od istotnej liczbę Polaków w statystyce prof. Niederlego.

Czesi i Słowacy razem tutaj wzięci, jako jeden naród, przedstawiają się w cyfrze 9,500.000 głów, w czem wliczeni są już Czesi, zamieszkali w gub. wołyńskiej, w reszcie Europy i w Ameryce. Słoweńców liczy autor niemal $1^1/_2$ miliona, Serbo-Chorwatów $8^1/_2$ miliona, Bułgarów około 5 milionów, wreszcie Serbów łużyckich prawie 150 tys.

Ogólną tedy ilość Słowian, zamieszkałych w Europie wschodniej i środkowej, oblicza prof. Niederle na 136 milionów, a że podaje przeważnie cyfry z r. 1900, więc przy niewielkim nawet przyroście rocznym w wysokości 1·4%, w roku 1910 ogólna liczba ludności słowiańskiej dosięgnie zapewne o k o ł o 160 m i l i o n ó w.

Pod względem wyznaniowym — z wyjątkiem narodu rosyjskiego, serbskiego i bułgarskiego — inne należą do Kościoła katolickiego.

Głównem zajęciem większości Słowian jest rolnictwo. Największy procent ludności rolniczej mamy wśród Małorusinów, gdyż 93%, w Polsce do stanu rolniczego należy 65% ludności, w Czechach 43%.

Przyrost roczny wynosi u Rosyan i u Polaków 1·4% rocznie, u Małorusinów 0·87%, u Czechów 0·9%.

Analfabetów najmniej mają Czesi, bo tylko 6·23%. Pomiędzy Słoweńcami jest już ich 23%, pomiędzy Polakami 41%, u Chorwatów 54%, u Serbów 74%, u Bułgarów 71%, u Wielkorosyan 77%, a u Małorusinów widzimy *maximum*, bo 78%. W t e j m i e r z e p r z o d u j ą R u s i n i n i e t y l k o S ł o w i a n o m, a l e c a ł e j E u r o p i e w o g ó l e!...

Jak z tego pobieżnego przeglądu każdy łacnie przekonać się może, praca prof. Niederlego przynosi ogrom materyału i faktów, nieodzownych dla każdego człowieka intelligentnego, zwłaszcza w dobie obecnej, kiedy tyle mówi się i pisze o sprawie ogólno-słowiańskiej.

Życzyćby sobie należało, iżby co rychlej została przetłumaczona na język polski (przekład jej rosyjski wyszedł już z druku), i po-

prawiona w tych ustępach, które nas się tyczą, bodaj w przypiskach. Tłumacz zarobiłby sobie na rzetelne uznanie.

Dr. Stanisław Zdziarski.

De hymni Acathisti auctore. *P. F. Krypiakiewicz.* Sonderabdruck aus Byzantinischer Zeitschrift. XVIII, 3 u. 4. B. G. Teubner in Leipzig. 8-o, str. 26.

Prace podobnej treści, ulubiony pokarm umysłów na Wschodzie, uderzają na Zachodzie jak rzadkie zjawisko. Na Zachodzie liturgiczne księgi Kościoła katolickiego przedstawiają zupełnie inną wagę w oczach duchowieństwa, niż na Wschodzie księgi cerkwi prawosławnych i unickich. Łacińskie duchowieństwo ceni swoje mszały i brewiarze o tyle jako przedmiot drogi, iż nimi pomaga sobie do modlitwy, a modlitwę poważa sobie jako środek niezbędny, żeby dostać łaskę do dobrych uczynków i przez nie chwalić Boga. Bizantyńskie duchowieństwo z troską znacznie żywszą dba o modły cerkiewne, aby już samym ich wzniosłym obrzędem chwalić Boga oraz postem i bogomyślnym żywotem nad świętemi księgami. Dla wielu z nich rozbiór pism obrzędowych stanowi najświętszy kres umysłowej pracy: nic u nich niema małego we wszystkiem, co odnosi się do ich pacierzy chórowych. Tak hymn na święto Zwiastowania, zwany akafistem, zajął sobą tylu pisarzy, że spora biblioteczka powstałaby ze samych dzieł, wydanych już w jednym tylko sporze, kto tego hymnu był twórcą. Jedni wymieniają Jerzego Pizydasa, inni Sergiusza patryarchę; Gedeon przypuszcza jakiegoś pisarza z czasów najbliższych po Julianie Apostacie, Ekonomas wymienia Apolinarego, Butyras szuka twórcy w drugiej połowie siódmego wieku, Doziteos w dobie Leona Izauryckiego, Papadopulos uznaje Fotiosa za twórcę, Lauriotes i Amfilochios przypisują ten utwór Romanowi Melodosowi, — i za nimi idzie Wielebny Autor, oparty na dowodach nowych, wykrytych z pracą olbrzymią. Musiał w kilkuset tomach patrologii greckiej wykryć pisarza, któryby językiem i znamiennymi zwrotami przypominał żywcem piętna pisarskie u twórcy hymnu. Do zwrotów znamiennych w akafiście należy nacisk szczególny na naukę katolicką, że Słowo Boże, wcielone w łonie Dziewicy, nie tylko przeniosło się z nieba na ziemię i nie tylko przez zmianę miejsca stało się widzialnem już między ludźmi, wprzód ich oczom niedostępne na wyżynach nadświatowych, ale prócz niezmiennej przyrody Boskiej przybrało całkowitą przyrodę ludzką, prócz niewidzianej istoty Pasterza zaczęło widzialnem być

w istocie Baranka i poniżyło się w łonie Matki do postaci sługi. Nacisk na tę prawdę katolicką wskazuje na dobę, kiedy Kościół bronił się przed błędem przeciwnym, a mianowicie Apolinarystów: ci twierdzili, że Syn Boski nie od świętej Swojej Rodzicielki dostał ciało ludzkie i ożywił je duszą, wprzód nie istną, ale że wprzód istniał w ciele niebieskiem i odkąd urodził się z łona Dziewicy, odtąd przez zmianę miejsca niewidzialnego nad światem na ziemskie wśród ludzi stał się ich oczom dostępnym. Wskazówka tej walki przeciw Apolinarystom w akafiście prowadzi dalej na dzieła Ojców, którzy bronili Wiary Powszechnej przeciw owym innowiercom: między tymi Ojcami św. Efrem odznacza się i w kazaniach i w hymnach swojego układu dowodami żywcem powtarzanymi w owym akafiście. Jednak jako Syryjczyk a nie Grek, nie łatwo mógł św. Efrem sam ułożyć ów akafist, który należy do pereł greckiej poezyi. Miał jednak ten Ojciec następcę, Greka Romana Melodosa, który nie tylko w Syryi przejął się nauką tego Ojca, ale po powrocie do ojczyzny zasłynął jako twórca prześlicznych hymnów. Z jego też utworów wybrał Sz. Autor długi rząd znamiennych zwrotów języka i piętn właściwych, które zestawione z wierszami akafistu okazują tak jaskrawe podobieństwo, że trudno kogo innego znaleźć stosowniejszego, niż owego Romana na twórcę akafistu. Tą odpowiedzią roztrzyga Sz. Autor sprawę, na darmo przez długie lata roztrząsaną przez takie nawet powagi, jak Pitra. Dodać należy, że Sz. Autor napisał tę rozprawę językiem łacińskim klasycznie wzorowym.

Ks. K. Czaykowski.

ZAPISKI BIBLIOGRAFICZNE.

Pisma pośmiertne i listy Juliusza Słowackiego. Zebrał *ks. K. J. Kantak.* Wyd. Karola Miarki w Mikołowie, 1909, tomów 6.

Zasłużona firma wydawnictw ludowych przyniosła i od siebie hołd wielkiemu poecie w setną rocznicę jego urodzin, wydając pisma pośmiertne i listy poety w 6 tomikach, stanowiących tym sposobem z poprzednio wydanymi 4 tomami pism — wydanie prawie zupełne wszystkich znanych utworów Słowackiego. Z utworów niewykończonych podaje to popularne wydawnictwo takie wyjątki, które przedstawiają jakąś całość myślową. Listy stanowią najzupełniejszy dotychczas zbiór korespondencyi poety. Całość obficie ilustrowana portretami osób i widokami miejscowości, mających jakąkolwiek styczność z działalnością poety, opatrzona przypisami, objaśniającymi mniej zrozumiałe ustępy, wydana pięknie, odzna-

cza się taniością, gdyż wraz z gustowną oprawą w 3-ch tomach kosztuje zaledwie 7 k. 20 h. Za mniej szczęśliwy pomysł uważać należy umieszczenie rozprawki ks. Kantaka o religijności poety, raz dlatego, że napisaną była nie dla szerokich kół czytelników (a nawiasowe objaśnienia niezrozumiałych wyrazów obciążają tekst), powtóre, że nie na wielką pochwałę poety-chrześcijanina wychodzi świadectwo, iż jego religia »tuż blizka prawdziwego chrześcijaństwa. tak dalece, że odbiegnięcie — nie większe jak np. u Origena«.

J. U.

Głosy na czasie. Nr. 9—15. Poznań. Drukarnia św. Wojciecha.

Wydawnictwo »Głosów na czasie« zasługuje na szczere uznanie i jak największe poparcie ze strony tych, którzy pracują nad oświatą szerszych warstw w duchu katolickim i narodowym. Literatura nasza pod tym względem jest niebogatą, stąd też słusznie wspomaga się wydawnictwo »Głosów na czasie« przekładami cennych prac obcych, jak np. rozprawy etnologiczno-przyrodniczej dr. Riehma o potopie (Nr. 10), etyczno-społecznej broszury dr. Psennera p. t. Czystość obyczajów a kwestya społeczna (Nr. 12), apologetycznego studyum protestanckiego dr. E. Dennerta, znanego z prac apologetycznych na tle nauk przyrodniczych »Prawo natury, przypadek, opatrzność« (Nr. 14). O aktualnych zagadnieniach społecznych traktują oryginalne prace polskie Tad. Starka »O przyczynach występków i sposobie ich zwalczania« (Nr. 9), ks. Kantaka »o obowiązkach społecznych i narodowych« (Nr. 11), dr. Królikowskiego »o kwestyi rzemieślniczej jako kwestyi społecznej« (Nr. 13) Wszystkie te broszury napisane są gruntownie i przytem zajmująco, oparte na stosunkach polskich, szczególnie pod zaborem pruskim.

Wprawdzie nie wyczerpującą, ale na ogół zadowalającą oryentacyę w dziedzinie hypnotyzmu i spirytyzmu podaje rozprawka ks. Taczaka (Nr. 15). Wobec licznych dziełek i broszur, traktujących o tym przedmiocie w antykatolickim duchu, studyum ks. Taczaka ma znaczenie w wysokim stopniu apologetyczne.

Redacya »Głosów na czasie« rozwija gorliwą działalność nad oświatą we wspomnianym kierunku; dotąd wydano już przeszło 20 numerów.

E. M.

Kronika Bernardynów bydgoskich. *Ks. K. Kantak.* Wyd. przez Tow. Przyj. Nauk. Poznań.

Kronika obejmuje 145 stronic in folio. Większa ich część pochodzi z XVII w. a mniejsza z XVIII w., dzieli się zaś na trzy części: pierwsza sięgająca do 81 str., obejmuje właściwą kronikę. »Topographia Conventus loci Bydgostiensis fratrum Minorum de observantia sancti Francisci anno domini 1604«, druga od 94 do 100 str. »Tabula benefactorum mortuorum et ab eisdem oblata donata legata ac pro funere data«, trzecia część od 140 do 142 str. »Cathalogus patrum ac fratrum omnium, quorum corpora hic requiescunt«.

Pomijając niewiele polskich uwag i dodatków kronika napisaną jest w języku łacińskim. Pierwsza jej część rozpoczęta w 1604 r. obejmuje wiadomości o założeniu klasztoru aż do jego zniesienia. Obecny tekst pochodzi z ostatniego dziesięciolecia XVII wieku. W pierwszych czasach zajmowali się spisywaniem kroniki gwar-

dyanie, w XVIII wieku zaś przeważnie kaznodzieje zwyczajni. Jako źródła do czasu przed 1604 r. służyły: archiwum klasztorne, bydgoskie, akta grodzkie i miejskie, *antiquus liber*, *antiqua scriptura*, poza tem wota i różne darowizny. Najwięcej czerpano z »Memoriale ordinis minorum fratris Ioannis de Komorow«. Po 1604 roku spisywał kronikarz, co sam widział lub słyszał, dodając czasem dokumenta. Druga część »tabula« od 1736—1824 roku opisuje darowizny i zgony. Trzecią część »catalogus« dołączono do kroniki dopiero 1778 r., jest ona jednak dawniejszego pochodzenia, prawdopodobnie z czasów założenia klasztoru.

Oprócz tej kroniki znajdującej się w bydgoskim kościele parafialnym, posiada drugi rękopis kapituła włocławska. Różnice zachodzące między obydwoma tekstami aż do 1761 r. wymienił autor w uwagach, od roku zaś 1761 podał cały tekst za odnośnemi częściami tekstu bydgoskiego.

Ciekawy bardzo jest szkic historyi Bydgoszczy i obraz działalności Bernardynów, który autor dołączył. Wreszcie roztrząsa on przynależność Bernardynów do narodowości oraz ich działalność jako kaznodziejów dla Niemców w Bydgoszczy (1679—1815). Na końcu znajduje się spis gwardyanów bydgoskich oraz indeks.

Kronika ta jest niezbędną dla tego, kto się zajmuje historyą zakonów polskich oraz jest i cenną dla badacza kultury polskiej, daje bowiem poznać sposób myślenia szerokich warstw; wydana staraniem Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Poznaniu, czyni pod każdym względem wrażenie pracy podjętej ze zrozumieniem, pilnością i starannością, ubolewać jedynie należy nad licznemi błędami drukarskimi. *Ks. J. K.*

Synteza rewolucyi w państwie rosyjskiem. *Ignotus*. Kraków 1907. Odbite w drukarni Czasu. Str. 140.

Do napisania tej pracy natchnęły autora pytania, które każdemu pragnącemu szczęścia ojczyzny nasuwały się zwłaszcza w czasie krwawych dni rewolucyi. Mianowicie do czego może Rosyę doprowadzić to niepewne jutro, co może ono i nam zostającym niestety w tak blizkim z Rosyą stosunku przynieść, czy wreszcie przyszły byt zależy też i od nas i to w jakiej mierze. Autor, znając stosunki społeczne i polityczne w Rosyi, znając dążności wolnościowe a zarazem rosyjski system reform, który polega na tem, że reformy w Rosyi przychodzą za późno co do czasu, za wcześnie co do rozmiarów, stara się zadość uczynić zadaniu, którego się podjął i pragnie dać konkretną odpowiedź na szereg pytań, które sobie postawił.

St. B.

Geschichte der Musik von *August Wilhelm Ambros*. Mit zahlreichen Notenbeispielen und Musikbeilagen. Vierter Band. Dritte verbesserte Auflage durchgesehen und erweitert von *Hugo Leichtentritt*. Leipzig. Verlag von F. E. C. Leuckart, 1909. 8-vo, XII + 913.

»Stary« podręcznik Ambrosa zestarzał się tylko w niewielu częściach. Okazały się jednakże liczne luki, spowodowane przez najnowsze badania nad tem właśnie, co Ambros albo opuścił albo szkicowo opracował. Hugo Leichtentritt, autor obszernej i treściwej »Historyi motetu«, o której pisaliśmy już w *Przeglądzie*, opracował wybornie to dzieło, uzupełnił wiele ustępów z dziejów muzyki XVI i XVII wieku, zużytkował wyniki najnowszych badań i sprostował sporo mylnych informacyi lub sądów

Ambrosa, wynikłych z braku obszerniejszych zasobów źródeł. Gdy poprzednie wydanie liczyło 481 stron, obecne zawiera ich 913. Wiele przykładów muzycznych i utworów nigdzie nie opublikowanych uwzględnił wydawca; a to jest właśnie, co wartość książki podniosło znacznie. Zwłaszcza ta (znaczna) część książki, która dotyczy końca XVI i pierwszej połowy XVII wieku jest prawie w całości dziełem d-ra Leichtentritta. Oczytanie autora w całej naukowej literaturze jest zdumiewające. Nie wątpię, że w ustępach dotyczących Monteverdiego, początków opery, kameralnej monodyi, madrygału i t. d. nie wszyscy zgodzą się z autorem i jego sądami, ale obecnie dzieło jego jest doskonałym podręcznikiem oryentującym nas w dziejach muzyki włoskiej od roku 1550—1650. Książkę można tylko gorąco polecić. Bardziej sumiennym jak autor, nie można być. *Dr. A. Ch.*

Sammlung Kirchenmusik herausgegeben von *dr. Karl Wainmann.* I Bändchen. Karl Proske der Restaurator der klassischen Kirchenmusik. Vom Herausgeber. 1909. Regensburg, Rom, New York & Cincinnati. Druck und Verlag von Friedrich Pustet, 8-o min., 135 str.

Publikacya ks. d-ra K. Wainmanna, bibliotekarza słynnej biblioteki Proskego w Ratysbonie zasługuje na najgorętsze uznanie. Dość wymienić współpracowników: a więc wydawcę, prof. d-ra P. Wagnera, ks. Engelharta, prof. d-ra H. Riemana, prof. d-ra Kroyera, ks. d-ra Mathiasa i innych. Pierwszy tomik pochodzi z pióra d-ra Weinmanna i zajmuje się działalnością słynnego ks. K. Proskego, który swemi wydawnictwami przywrócił do nowego życia dawną klasyczną muzykę kościelną i który założył słynną bibliotekę w Ratysbonie, oddaną dzięki dzisiejszemu ks. biskupowi do publicznego użytku. Wydawnictwo ks. Proskego p. t. *Musica divina* jest niewyczerpanem źródłem dla badacza dawnej muzyki kościelnej. W istocie nie jest bynajmniej przesadnym napis na grobowcu ks. Proskego w Ratysbonie: *Musicae divinae Restaurator ingeniosissimus.* Pracę swą napisał ks. dr. Wainmann z entuzyazmem i przywiązaniem dla reform ks. Proskego. Barwny styl i załączone portrety oraz wyjątk z dziennika ks. Proskego dopełniają reszty.

II Bändchen. Elemente des gregorianischen Gesanges. Zur Einführung in die Vatikanische Choralausgabe. Von *dr. Peter Wagner,* o. Prof. a. d. Universität Freiburg (Schweiz), 1909, 8-o min., 178 str.

Podręcznik ten jest wyższy ponad wszelką chwalbę. Opracował go najwybitniejszy znawca tego przedmiotu. Treścią książki jest opisanie pojęcia historyi, wykonywania i teoryi chorału gregoryańskiego. Literaturę przedmiotu traktuje autor bardzo obszernie i bardzo krytycznie. Widzimy wielki wpływ szkoły fryburskiej na współczesną historyczną i teoretyczną stronę badań nad chorałem. Wykład jasny, treściwy i piękny.

Dr. A. Ch.

SPRAWOZDANIE Z RUCHU

religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

Rok 1910 i widoki na przyszłość.

Świadczy to historya, że Kościołowi prześladowanemu w jednych krajach i wytrąconemu ze zajętych pozycyi, otwierają się w innych nowe pola pracy. W czasach, kiedy Wschód odłącza się od Kościoła, cała prawie Słowiańszczyzna przechodzi na jego łono, a gdy reformacya tak bolesne wyrządza szkody na Zachodzie, nowo odkryta Ameryka, Indye, Chiny i Japonia dostatecznie te szkody wyrównywają. Obecne czasy, a zwłaszcza rok ostatni, znaczą się systematyczną walką przeciw Kościołowi w krajach romańskich. Hasło, które wydała wolnomyślna Francya, a za nią Portugalia, znalazło echo w Hiszpanii i Włoszech. Kościołowi nigdy nie było brak prześladowań, ale teraz ma z międzynarodowym nieprzyjacielem do czynienia, który wszędzie umie korzystać ze słabszych pozycyi. I słabsze niezawodnie w ostatnich czasach były pozycye Kościoła w krajach romańskich. Na tę względną słabość katolicyzmu złożyły się różne przyczyny. Najprzód samo duchowieństwo, z wyjątkiem hiszpańskiego, zarażone było poglądami wolniejszymi, najwięcej w jego szeregach zwolenników modernistycznego kierunku i stąd od samego duchowieństwa nie tylko że nie wyszła inicyatywa do wspólnej akcyi

katolickiej i żywszego udziału w życiu religijnem, ale pod niejednym względem przyczyniło się ono do rozkładu i stagnacyi. Była to także jedna z przyczyn, dlaczego w tych krajach do jednolitej organizacyi katolickiej dojść nie mogło, choć nie jedyna. We Francyi przyczyniły się jeszcze do tego różne poglądy polityczne katolików, dzielące ich na rojalistów i republikanów; we Włoszech zaś utrudniało organizacyę i wszelką na szerszą skalę akcyę, wyjątkowe położenie katolików wobec stosunków Stolicy św. do rządu włoskiego, które się w ostatnich czasach jeszcze więcej zaostrzyły. Tak więc przyszło do tego, że rządy wolnomyślne w tych krajach mogły bez wielkiej opozycyi wystąpić zaczepnie przeciw Kościołowi i wydać mu walkę, która we Francyi skończyła się t. zw. eufemistycznie separacyą Kościoła od państwa, w rzeczywistości zaś brutalnem pogwałceniem praw Kościoła, w Portugalii runął z ołtarzem i tron, a Kościół zdany został na łaskę i niełaskę żydów i wolnomularzy; we Włoszech rząd identyfikuje się ze zawziętymi wrogami Kościoła i powoli przeprowadza program masonów francuskich. W Hiszpani sfanatyzowany od śmierci Ferrera republikanizm, zwraca się z równą wściekłością przeciw tronowi i Kościołowi. Rząd przestraszony szuka ratunku w ustępstwach na rzecz wolnomyślnych żywiołów, ale napotkał na silną organizacyę katolicką i znać, jak ciężko przychodzi zwolennikom programu francuskiego urzeczywistnić swe zamiary. Ostatecznie rok zakończył się wygraną ministra Canalejasa, który swoje prawo przeciw zakonom zdołał przeprowadzić, i tem, zdaje się, dał początek dalszym i boleśniejszym jeszcze prawom dla Kościoła hiszpańskiego. Cały świat katolicki śledzi przedewszystkiem z wielką obawą zachowanie się Włoch wobec Stolicy św. Dotychczasowe zjadliwe napaści i demonstracye przeciw Stolicy św., w których rząd odegrał rolę dwuznaczną, tem więcej godne są uwagi, że rok 1911, jako rok jubileuszowy zjednoczonego państwa włoskiego, szczególnie może być groźny i niebezpieczny dla Stolicy św., bo wrogowie przygotowują już wielkie i uroczyste obchody doniosłych wypadków 1871 r. Wprawdzie Włochy zobowiązane są gwarancyą międzynarodową do uszanowania praw niezależności Stolicy św., ale kto w naszych niespokojnych

czasach przewidzieć może jaki obrót wezmą wypadki. Wobec tego smutnego położenia Kościoła w krajach romańskich, mimowoli rozgląda się katolik za pogodniejszem niebem w krajach innych. W Austryi wprawdzie wolnomyślni pod różnemi formami rozwijają gorączkową działalność, zwłaszcza po uniwersytetach i szkołach, które obrali sobie za pole swej przewrotnej agitacyi, ale jest nadzieja, że sprawa katolicka, pomimo bolesnej straty w osobie Luegera, będzie postępować naprzód. Takie przynajmniej budzi nadzieje wniosek generalnego komitetu dla wieców katolickich w Austryi, który na r. 1911 proponuje szereg wieców katolickich w pojedynczych krajach koronnych, a potem ogólny zjazd katolicki z delegatów tychże wieców dla porozumienia się w interesach wspólnej akcyi. W Niemczech, gdzie w ostatnich czasach groziło rozdwojenie w obozie katolickim, ucichło na razie. Podróż kardynała Fischera do Rzymu, pochwały Ojca św. dla akcyi katolickiej w Niemczech i ostatni zjazd biskupów niemieckich w Fuldzie, załagodziły podnoszące się antagonizmy, tak, że widoki dla wyborów do parlamentu na rok przyszły znacznie się poprawiły.

Jeszcze pomyślniej wygląda położenie Kościoła w Anglii. Ten rok przyniósł usunięcie z przysięgi koronacyjnej ustępu obrażającego uczucia katolickie. Nadto daje się zauważyć w ogólności przychylniejsze usposobienie dla katolicyzmu nie tylko w samej Anglii, ale także w koloniach angielskich z coraz wyraźniejszą występuje się sympatyą dla Kościoła katolickiego, a misyonarzom katolickim, zagrożonym przez rewolucyjny rząd portugalski, ofiarowuje się przytułek w swoich posiadłościach. Największą zaś swobodę posiada chyba Kościół w Stanach Zjednoczonych, gdzie prezydent Taft, który teraz święci tryumfy przeciw Rooseveltowi, już niejednokrotnie dał wyraz swego uznania i szacunku dla działalności Kościoła katolickiego.

Większe jeszcze nadzieje kierują wzrok katolików na daleki Wschód, do Japonii i Chin. Japonia w ostatnich latach szczególniejsze okazała względy katolicyzmowi, pozwalając mu nie tylko na swobodną działalność w obrębie Kościoła, ale nawet na otwarcie szkół wyższych, tak, że najbliższa przyszłość rokuje

i w sferach inteligencyi większe zainteresowanie się Kościołem i zrozumienie jego dobrodziejstw. W Chinach zaś zmiana państwa absolutnego na konstytucyjne może tylko wypaść na korzyść Kościoła, gdyż liczba katolików chińskich jest już dość wielka a reprezentacya ludu usunie kapryśną i często tyrańską swawolę rządu i radykalnych elementów, ustawicznie zagrażających bytowi licznych misyi katolickich. Przynajmniej przykład Japonii, tak wpływowy na Chiny, daje nadzieję, że i pod względem religijnym pójdą Chiny w ślady pobratymczego narodu.

Położenie Kościoła w misyach jest z małymi wyjątkami bardzo utrudnione i nie brak głosów ludzi dobrze obeznanych ze stanem misyi, które chwilę obecną uważają wprost za krytyczną, domagającą się wszelkich wysiłków ze strony katolików, aby wzrost a nieraz nawet byt misyi katolickich na przyszłość zabezpieczyć. Tę chwilę krytyczną stworzyła ustawicznie wzrastająca konkurencya misyjna przeważnie ze strony protestantów, także ze strony różnych innych sekt, a nawet islamu. Rządy kolonialne, znajdujące się prawie wyłącznie w rękach protestantów, już wskutek samego systemu więcej dają oparcia misyom protestanckim albo wogóle akatolickim a misye katolickie jeżeli znajdują swobodę, to najczęściej zostawione są własnym tylko siłom. Od tej konkurencyi misyjnej bynajmniej nie są wolne i kraje bałkańskie, Mała Azya i Persya, gdzie oprócz protestanckiej także rosyjska agitacya wielkie sprawia trudności.

Dołącza się do tego ta okoliczność, że misye zwłaszcza różnych sekt protestanckich są finansowo znakomicie zaopatrzone. Tak np. zapisał zmarły w r. 1909 milioner amerykański John S. Kennedy 240 milionów na cele dobroczynne, z których 10 mil. przeznaczono na misye presbyteryańskie. Takie nadzwyczajne zapomogi otrzymują misye protestanckie niemal co rok do swej dyspozycyi. Stąd pochodzi pewna wyższość misyi protestanckich co do szkół, gdyż środki pozwalają im nie tylko na utrzymanie licznych szkół i na dobór sił nauczycielskich, ale także na reklamę i na szeroką antykatolicką agitacyę. Katolicy przeciwnie, w nierzadkich wypadkach zmuszeni byli do opuszczenia zajętych placówek, zwłaszcza w szkole, ponieważ brak było funduszów do dalszego prowadzenia

rozpoczętego dzieła. Jeżeli pomimo rosnących trudności misye katolickie przedstawiają imponujący obraz pracy i ofiar we wszystkich krajach, to zawdzięczać to należy przeważnie świętemu idealizmowi katolickich misyonarzy i misyonarek, którzy często o chłodzie i głodzie i wśród rozlicznych niebezpieczeństw szerzą dzieło Chrystusa, choć także i liczne, nowopowstałe stowarzyszenia misyjne i rozbudzony zwłaszcza w Niemczech interes dla misyi katolickich z wydatną przychodzą im pomocą. Dałby to Bóg, żeby i inne kraje i społeczeństwa katolickie więcej się sprawą misyi zainteresowały i nie skąpiły ofiar z osób i kieszeni na szerzenie dzieła Chrystusowego. W ostatnich latach gorąco zajęły się wszędzie kwestyą misyjną wiece katolickie i zdaje się, że ta kwestya odtąd będzie stałym punktem programowym tych ważnych zjazdów rocznych.

I ten rok stał jeszcze pod znakiem walki z modernizmem. Różne publikacye i rozporządzenia Stolicy św., skierowane były przeciw niemu a na ostatku godziła w niego znana przysięga, nałożona przez Piusa X duchowieństwu różnych kategoryi. Obawy i przewidywania opozycyi w duchowieństwie katolickiem przeciw temu ostatniemu rozporządzeniu, wyrażane często przez prasę antykatolicką, nie spełniają się, choć, co prawda, rozporządzenia papieskie nie tyczą się profesorów teologii w uniwersytetach państwowych, co do których największe zachodziły obawy, po części może i uzasadnione. Ale kto czytał tekst przysięgi, ten od razu widzi, że oczywiście żaden katolik nie może trzymać się zdań w niej napiętnowanych, jeżeli chce nadal jeszcze pozostać na gruncie katolickim i wszystkie plotki, jakoby przysięga antymodernistyczna zawierała w sobie negacyę lub potępienie dzisiejszej kultury, wyszły od tych, którzy przysięgę tylko znają z informacyi żydowskich. W każdym razie przysięga ta nie przeszkadza wolności nauki dobrze zrozumianej, gdyż ponoś nie dogmat, nie prawda objawiona ogranicza umysł, lecz głupota płynąca z lenistwa myślenia.

Silna i energiczna reakcya Piusa X przeciw modernizmowi spowodowała, że uczeni katoliccy ostrożniejsi są w publikacyach. Niezawodnie trzeba dziś Francyi przyznać pierwszeństwo na polu

literatury kościelnej. Wystarczy zaglądnąć do znakomitej *Encyclopédie des sciences ecclésiastiques*, aby przekonać się o olbrzymiej pracy francuskich uczonych, choć nie brak w niej także współpracowników innych narodowości. Częścią prawie skończone, częścią rozpoczęte są już działy: *Dictionnaire de la Bible* pod główną redakcyą znanego egzegety F. Vigouroux; *Dictionnaire de théologie catholique*, *Dictionnaire d'archéologie chrétienne et de liturgie* i *Dictionnaire d'histoire et de géographie ecclésiastiques*, wnet też ukażą się pierwsze zeszyty *Dictionnaire de droit canonique*. Encyklopedya ta odznacza się nie tylko gruntownością i uwzględnieniem najnowszych badań na różnych polach wiedzy teologicznej zarówno uczonych katolickich, jak i niekatolickich, ale także zastosowaniem się do metod nowszych. Są one prawdziwie wiernym obrazem wiedzy dzisiejszej. Nie jest tu miejsce do kreślenia obrazu literatury katolickiej, ale zaznaczyć wypada, że zeszły rok odbijał mocno od lat dawniejszych, tak co do liczby, jako też ważności dzieł wydanych.

W ostatnich dniach bardzo głośnym stał się artykuł księcia Maksymiliana Saskiego, w którym książę przedstawił swoje myśli i zapatrywania na możliwość i sposób unii Kościoła wschodniego z zachodnim. Ks. Maksymilian zajmuje się tą kwestyą od szeregu lat i jest gorliwym krzewicielem idei unii Kościołów, ale w omawianej rozprawie za daleko posunął się w ustępstwach na rzecz Kościoła wschodniego i razi często ostrym tonem, gdy omawia zachowanie się Kościoła zachodniego, zwłaszcza papiestwa, wobec Kościoła wschodniego. Wysokie stanowisko autora sprawiło, że prasa wszelkich odcieni żywo się tą sprawą zajęła, zwłaszcza prasa żydowska i liberalna najchętniej byłaby widziała, gdyby się także polityka była ujęła za księciem Maksymilianem przeciw Rzymowi, który wobec artykułu nie mógł się zachować obojętnie. Tymczasem z góry można było przewidzieć, że książę Maksymilian, jako kapłan bardzo przykładny i pobożny, skoro tylko dowie się o ujemnem wrażeniu artykułu w Rzymie, wszelkich dołoży starań, aby w myśl Stolicy św. cała sprawa została załatwiona. I tak się też stało. Książę Maksymilian osobiście pojechał do Rzymu i zadość uczynił wszelkim wymaganiom Stolicy św., tak, że dla nas kato-

lików rzecz jest zupełnie załatwiona. Cała więc sprawa prócz swojej ujemnej strony ma i tę dodatnią, iż wykazała znowu światu antykatolickiemu, że w świecie katolickim nie rozstrzyga stanowisko pojedynczego katolika, lecz powaga Stolicy św. i że Kościół pomimo gorącego pragnienia unii nie myśli odstąpić od prawdy i zleconych sobie od Chrystusa praw i obowiązków.

Znaczenie pontyfikatu Piusa X, które pełniej i wszechstronniej dopiero przyszłość będzie mogła ocenić, nie ogranicza się na stanowczej walce przeciw modernistycznym prądom obecnej doby. Znane są jego reformy na polu śpiewu i muzyki kościelnej, zarządzenia w sprawie studyów teologicznych po seminaryach duchownych, stworzenie *Institutum biblicum* w Rzymie, znane spotęgowanie prac na polu duszpasterskiem, znana inicyatywa do wielkich prac egzegetycznych nad tekstem Wulgaty, oddanych OO. Benedyktynom; ale najdonioślejsze reformy tego pontyfikatu leżą bez wątpienia w zakresie prawa kanonicznego, którego reformę już w części przeprowadzono. Według oświadczenia Piusa X w dniu Nowego Roku, pierwsza część reformowanego kodeksu okaże się już w pierwszych miesiącach roku bieżącego. Jest to praca olbrzymia, a wobec zmienionych stosunków i różnych wymagań czasu rzecz jak najbardziej pożądana i nawet konieczna, która sama obecnemu pontyfikatowi zdoła zapewnić zaszczytne miejsce w historyi papiestwa.

Na polskich ziemiach rok zeszły zapisał się w historyi niejednem wspomnieniem bardzo bolesnem i zostanie w żywej pamięci wszystkich choćby dla samej sprawy jasnogórskiej. Jednak nie same tylko smutne wypadki ma do zanotowania rok miniony; nie brakło mu także faktów rokujących lepszą przyszłość dla Kościoła w Polsce, aby wspomnieć tylko o otwarciu *Hospitium polonicum* w Rzymie, za gorliwem staraniem polskiego episkopatu. Jest to dzieło zasługujące na ogólne uznanie nie tylko w szeregach kleru, dla którego dobra w pierwszym rzędzie zostało założone, ale także w całem społeczeństwie polskiem, bo daje polskim kapłanom duże ułatwienie do szerokiego i gruntownego wykształcenia i do prac i badań naukowych, z czego korzysta całe społeczeństwo. Wprawdzie w ostatnich latach coraz

więcej znalazło się w szeregach młodego kleru takich, którzy także odbyli przynajmniej część swych studyów za granicą i osiągnęli tam stopnie akademickie, ale wskutek tego tem większa pokazała się potrzeba takiego hospicyum, któreby dawało możność dalszego korzystania z nabytej nauki i tworzyło ognisko dla polskiej nauki teologicznej w samem centrum chrześcijaństwa. Inne narodowości już od dawna cieszą się takiemi instytucyami w Rzymie i czerpią z nich wielkie korzyści, czas też był wielki, żeby i nasz naród dla swojego położenia bardziej niż inne potrzebujący takiego zakładu, przystąpił do jego założenia. Według ostatnich wiadomości już wszystkie pokoje hospicyum zostały zajęte i możemy żywić uzasadnioną nadzieję, że w najbliższej przyszłości pokażą się pierwsze owoce tej chwalebnej instytucyi.

Obraz zeszłorocznych dziejów Kościoła mieści więc w sobie obok głębokich cieni także dużo barw jasnych, rokujących lepszą przyszłość, choć największą nadzieją zostanie zawsze nieśmiertelne słowo Zbawiciela: »Tyś jest opoką a na tej opoce zbuduję Kościół mój a bramy piekielne nie zwyciężą go«. Tem więcej na tej obietnicy polegać musimy w naszych czasach, im mniej pomocy oczekiwać w nich możemy od władzy doczesnej i im więcej wrogowie łączą się w związki międzynarodowe, aby ostatecznie przeprowadzić dzieło zniszczenia Kościoła. Mamy zaś także nadzieję, że rok 1911 dla ziem polskich, jako rok jubileuszowy wielkiego Skargi, przyniesie nam silną organizacyę szerokiej i systematycznej akcyi katolickiej, rozbudzenie życia katolickiego a także w szeregach inteligencyi większe zrozumienie i przywiązanie do Kościoła katolickiego.

Ks. A. Starker.

Nasze biblioteki i muzea w r. 1909.

Kraków. — W krótkim przeciągu czasu od chwili objęcia dyrektury prastarej *Biblioteki Jagiellońskiej* przez znanego historyka d-ra Fryderyka Papéego nastąpiło to, czego można, a nawet na-

leżało spodziewać się po tyle energicznym i zapobiegliwym bibliotekarzu. Przedewszystkiem ruch zwiększył się znacznie, ożywienie zaś jego postępuje z roku na rok w stosunku szybszym, aniżeli wzrost środków do zaspokojenia jego wymagań. Dotacya rządowa wynosiła 20.000 koron, a chociaż taksy uniwersyteckie wzmogły ją przeszło o 14.000 koron, niedostateczność takiego dochodu dawała odczuwać się na każdym kroku, zwłaszcza, gdy prenumerata samych tylko czasopism naukowych pochłaniała już połowę kwoty, przeznaczonej na zakupno książek i gdy potrzeba było uzupełniać braki, powstałe w latach dawniejszych. — Obok zakupna dzieł fundamentalnych, traktujących o inkunabułach, wymienić należy znaczniejsze wydatki, poczynione na uzupełnienie działu nauk matematycznych. Dział germanistyczny pozyskał wydawnictwo fundamentalne w 222-tomowej *National Litteratur* w wyd. Kürschnera. Obfity zbiór czasopism udało się skompletować w wielu kierunkach. Przybyły *periodica*, tak ważne, a niełatwe do nabycia, jak *Trudy warszawskawo statisticzeskawo Komiteta* (34 tomów) i 136-tomowa *Russkija Starina*, cenny zbiór materyałów historycznych do dziejów nowszych Europy wschodniej. — Wobec tak kosztownych uzupełnień zakupno nowości mogło odbywać się w skromnej stosunkowo mierze, a dążyć do kompletu można było tylko w dziale polskim. Darów otrzymano w r. 1909 niewiele, ale wśród nich znajdują się bardzo cenne w dziale rękopiśmiennym, żeby tylko wymienić »Zbiór aktów klasztoru miechowskiego od XIV—XVIII wieku«. Przyrost ogólny zasobów w r. 1909 wynosił 6747 tomów tak, że stan obecny Biblioteki wynosi 403.265 samych tylko druków, oprócz rękopisów, inkunabułów i rycin.

Na długie lata obliczone przesygnowanie całego zasobu bibliotecznego, jako główna robota meliorácyjna, rozpoczęło się. Od pół roku urządzono osobne biuro w tym celu, gdzie pod kierunkiem dwóch urzędników pracuje czterech pisarzy i dwu służących, na których użyczyło ministerstwo oświaty specyalnego kredytu. Postąpiły też znacznie prace nad poprawą katalogu i założeniem inwentarza.

Czytelnia publiczna okazała się już w r. 1909 za szczupłą. Przydano tedy 12 siedzeń, a nadto używano w godzinach popołudniowych lokalu czytelni rękopisów. Pomimo to brakło nieraz miejsca, co łatwo będzie zrozumiałe, skoro się zważy ilość czytelników, która dosięgła cyfry 34.759 osób. Przeciętny ruch dzienny wynosił 160 osób i 559 tomów. Z wypożyczalni korzystało 1.167 osób, którym udzielono 13.555 tomów. Frekwencya ta będzie niezawodnie wzrastać nadal,

a dyrekcya Biblioteki jest w tem przykrem położeniu, że nie może już przydać ani jednego stołu, ani jednego krzesła nawet, a to z braku miejsca.

Należy jednakowoż mieć nadzieję, że dla Biblioteki Jagiellońskiej nastaną lepsze czasy. Potrzeba wydatnego poparcia tej instytucyi odczuwana jest już przez ogół. Dały temu wyraz w roku 1909 młodzież akademicka na wiecu, oraz senat wszechnicy, jak niemniej gmina m. Krakowa. Dzięki temu wezwało ministerstwo oświaty dyrekcyę Biblioteki Jag. po sformułowania żądań, co też uczyniono w czterech głównych punktach, streszczających, co prawda, żądania już kilkakrotnie przez zarząd Biblioteki powtarzane: powiększenie personalu, powiększenie dotacyi z 20 do 30 tysięcy koron, oddanie parteru w »Collegium Nowodworskiem« dla rozszerzenia magazynu i urządzenia drugiej czytelni, wreszcie w starym gmachu odnowienie fasady, znajdującej się już w takim stanie, że może to sprowadzić następstwa przykre dla bezpieczeństwa budowli i życia ludzkiego. Co do tego ostatniego punktu nadeszła wiadomość pomyślna, że ministerstwo przeznaczyło 12000 koron na podjęcie robót wstępnych, które już zostały rozpoczęte.

Największe zarówno pod względem ilości, jak niemniej różnorodności zbiorów ze wszystkich naszych instytucyi *Muzeum Narodowe* miało do walczenia z brakiem miejsca na pomieszczenie zbiorów. To też musiano wnieść memoryał do Wydziału Krajowego z prośbą o zarezerwowanie gmachu szpitala garnizonowego na Wawelu, który ma być w r. b. opróżniony przez wojskowość. Zdaniem Komitetu muzealnego zamienienie części historycznej zamku królewskiego na systematycznie urządzone muzeum byłoby nie odpowiednie. Pałac królewski pełen wspomnień historycznych, powinien pomieścić tylko te przedmioty, które będą podnosić stronę artystyczną i historyczną i nie wprowadzą tam dyssonansu. Wobec tego, że tylko pewną część zabytków Muzeum narodowego będzie można pomieścić w pałacu królewskim, trzeba myśleć o obszernym budynku, w którym dałoby się urządzić systematyczne muzeum podług wymagań nowoczesnych, obejmujące oprócz działów historycznych, także dział przedhistoryczny, etnograficzny, oraz kollekcye, złożone z dzieł sztuki obcej, wreszcie cały szereg przedmiotów, których wprowadzenie do części historycznej byłoby rażącym dyssonansem. Na ten cel nadaje się doskonale wielki gmach poszpitalny. Dopóki część historyczna nie zostanie odnowiona, znalazłyby w tym gmachu pomieszczenie zbiory, które przepełniają

obecnie sale w Sukiennicach oraz w willi hr. Hutten-Czapskich. Wreszcie zważyć wypada, iż bardzo znaczna część zbiorów musi dla braku pomieszczenia być przechowywana w pakach a publiczność z nich zupełnie korzystać nie może. Wobec ciągle napływających zarówno pojedynczych darów, jako też całych kollekcyi, potrzeba znacznych przestrzeni — w przeciwnym razie instytucyi zagrażałaby stagnacya zupełna z powodu braku miejsca. W Sukiennicach pozostałaby galerya obrazów nowożytnych i rzeźb od r. 1850 począwszy, których umieszczenie w pałacu królewskim byłoby anachronizmem.

Muzeum im. Emeryka hr. Czapskiego spotrzebowało najwięcej czasu na dokończenie inwentaryzacyi zbiorów. Największy przybytek darów daje zauważyć się w dziale numizmatycznym, chociaż także drogą wymiany dubletów uzyskano wiele cennych okazów. W mniejszym może stopniu, ale równie cennymi okazami powiększyły się zbiory gabinetu rycin. — Osobno urządzone archiwum składa się ze zbioru dokumentów pergaminowych i papierowych, które były ułożone i skatalogowane, jako autografy królów, hetmanów, biskupów i t. d. Do tego przybyły dwie ogromne kollekcye, ofiarowane przez p. W. Wittyga z Warszawy, a mianowicie kollekcya kwitów i rozmaitych aktów miejskich, jako »pieczęcie miast dawnej Polski« oraz zbiór paru tysięcy autografów królewskich i innych od XV wieku począwszy. Wkońcu trzecia kollekcya p. Wittyga obejmuje kwity i listy mieszczaństwa polskiego z XVI i XVII wieku. Całość ułożono alfabetycznie podług wystawców dokumentów lub autorów listów, tak, że znalezienie materyału nie przedstawia dla badaczy żadnej trudności. — Zbiory hrabiego Stanisława Rusieckiego składają się z obrazów, mebli, porcelany, kollekcyi monet, rycin, tkanin, szkła i rozmaitych zabytków przemysłu artystycznego. Będą one, zgodnie z wolą ofiarodawcy, przeniesione na Wawel. — Na zakupno wydano bardzo skromną kwotę. *Gros* nabytków pochodziło z darów. — Dochody i rozchody dochodziły sumy 100 tysięcy koron, co jest wcale skromne, skoro weźmie się pod uwagę zadania, jakie Muzeum Narodowe ma do spełnienia. Może chwila niezapomnianego zwycięstwa grunwaldzkiego natchnie osoby, odczuwające wagę dalszego rozwoju Muzeum, do obmyślenia jakiegoś specyalnego funduszu, przeznaczonego wyłącznie na pomnażanie zbiorów?...

Lwów: *Biblioteka Uniwersytecka* podniosła się do szczytów rozwoju dopiero od chwili przeniesienia jego do osobnego gmachu w r. 1905. Zasługa to niepożyta zasłużonego historyka prof. d-ra Aleksandra Semkowicza wraz z całym sztabem energicznych funkcyona-

ryuszy, żeby tylko wymienić: prof. d-ra Bol. Mańkowskiego, d-ra W. Rolnego, d-ra E Barwińskiego oraz d-ra Batoskiego i Kotulę. Przywiązani całem sercem do powierzonej ich trosce książnicy, potrafili spowodować rozkwit jej jak najświetniejszy. Obecnie liczy Biblioteka około 200 tysięcy tomów ze wszystkich dziedzin wiedzy. W roku ubiegłym przybyło ogółem 6669 tomów (w tem kupionych 3064). Frekwencya osób dosięgła cyfry 64.920 osób, na których użytek wydano na miejscu 166.309 tomów, do domu zaś wypożyczono 15.282 t.

Wobec dziwnie bałamutnych i często zgoła nieprawdziwych wiadomości o stanie *Biblioteki Poturzyckiej,* jakie spotyka się w prasie codziennej, pozwolę sobie podać krótki wyciąg ze sprawozdania, nieogłoszonego drukiem, za ostatnie dwa lata. W dniu 1 stycznia 1908 r. liczyła Biblioteka: książek 43.510, broszur i pism ulotnych tek 30, rękopisów 312 w 322 tomach, aktów grodzkich i ziemskich tomów 36, dyplomatów pergaminowych oryginalnych 105, dyplomatów papierowych oryginalnych 442, dyplomatów w kopiach 2943, w 15 tekach Gołębiowskiego i z późniejszego zbioru, wreszcie autografów 1761. Poprzednio wydzielono z biblioteki zbiór rycin, albumów oraz 186 dzieł, traktujących o sztuce, do nowo utworzonej galeryi obrazów im. hr. Miączyńskich-Dzieduszyckich. W r. 1908 pracowało w bibliotece osób 192, książek wypożyczono 1822. W r. 1909 pracowało osób 320, wypożyczono dzieł 3212. Nabytki zaś przedstawiają się następująco: z książek 347, rękopisów 10, aktów 26 i autografów 8. Główny dział biblioteczny stanowią stare druki polskie i historya polska, szczególniej źródła. — Z pomiędzy rzadkości bibliograficznych wymienimy: *Ecclesiastes* z r. 1522, *Explanatio in psalterium* (Kraków 1475 i Wenecya 1487), *Dialogus inter rationem et conscienciam* Mateusza z Krakowa oraz pergaminowy Statut Łaskiego.

Bibliotekę utrzymuje z prywatnych swoich funduszów hrabina Włodzimierzowa Dzieduszycka, znana ze swojej nieocenionej ofiarności dla dobra publicznego. Biblioteka stoi na wysokości dzisiejszych wymagań naukowych, nie zaniedbując utrzymywania stosunków z innemi pokrewnemi instytucyami, tak w kraju, jak za granicą.

Założona przy końcu połowy ubiegłego stulecia *Biblioteka Baworowskich* znajduje się jeszcze ciągle w stadyum ostatecznego uporządkowania, którem zajęli się znany literat p. Edmund Naganowski i dr. Rudolf Kotula. Rzadkości bibliograficznych napotkać w niej można sporo, żeby tylko wymienić trzy wydania »Kroniki świata« Bielskiego, kompletny zbiór dziejopisów od Galla do Naruszewicza,

oraz obfitość herbarzy, kazań, mów pogrzebowych i t. d. Znajdujemy tu pierwsze wydania »Zwierzyńca« Reja, dzieł Kochanowskiego, Grochowskiego, Opalińskiego i Twardowskiego, kazań Skargi, Birkowskiego, Wereszczyńskiego i innych, jak niemniej ładny zbiór biblii polskich.

W oddziale rękopiśmiennym może poszczycić się księgozbiór dwoma illuminowanymi z wieku XII, psałterzem, sporządzonym dla Henryka Walezego, tomem *Tomicyanów*, tomem aktów kancelaryi królewskiej z czasów Zygmunta Augusta, rocznikami niektórych miast i klasztorów, w dziale zaś rękopisów treści historycznej: listami i mowami Orzechowskiego, aktami do dziejów reformacyi w Polsce, dyaryuszem z wyprawy przeciwko Turkom pod Chocimem, wreszcie dokumentem oryginalnym błog. Jakuba Strepy, arcybiskupa halickiego z roku 1399. — Zbiór rycin nie jest jeszcze uporządkowany.

Biblioteka Pawlikowskich podzielona jest na pięć części: 1) druki i rękopisy, 2) mapy, 3) ryciny i obrazy, 4) numizmaty, 5) dyplomy, pieczęcie i starożytności. W katalogowaniu zastosowano tu układ chronologiczny oraz podług poszczególnych działów. Ogółem liczy księgozbiór około 20 tysięcy dzieł, w czem *poloniców* 14 tysięcy. Dział rękopisów liczy wszystkiego 300 numerów. Najcenniejsze są w nim autografy poetów naszych. Map mamy tutaj 720 polskich, w czem 53 rysowanych odręcznie. Wszystkie działy jednakowoż przewyższa swoją obfitością oddział rycin oraz »rozmaitości«, liczący z górą 1500 numerów. Mamy tutaj: pieczęcie, rodowody, herby, chorągwie i flagi, dawne zbroje i oręże, monety i medale, banknoty papierowe, dzwony i sprzęty kościelne, wnętrza domów i kościołów, okazy budownictwa, sprzętów starodawnych, strojów, obrazów, rzeźb, a nawet katafalków i kart pogrzebowych, jak niemniej: kalendarzy, powinszowań, tablic astronomicznych, dyplomów stowarzyszeń, bractw, zakonów i cechów, ex-librisów i znaków księgarskich, drukarskich i litograficznych, rycin, poświęconych Polakom, nut do śpiewów narodowych i t. p. Dział widoków przekracza cyfrę 2900 sztuk, w czem zasługuje na uwagę 596 wykonanych ręcznie. Znajdujemy tutaj między innymi 289 widoków Krakowa, 112 Lwowa i 600 widoków różnych miast polskich. W oddziale portretowym znajdujemy 5.800 rycin, uporządkowanych w 20 tekach. O bogactwie materyału portretowego świadczy fakt: 93 portretów Kościuszki oraz 52 króla Jana III. Oddział wizerunków świętych Polaków i obrazów świętych ze wszystkich dzielnic Polski przedstawia się imponująco w liczbie 1500 numerów. Nader ważny jest też oddział strojów polskich w liczbie 2100 rysunków, z czego

850 wykonanych ręcznie. Dział rytowników jest bezwarunkowo najzasobniejszy, liczy bowiem półszosta tysiąca rycin, wśród których napotykamy wszystkie rzeczy Chodowieckiego, 82 rycin Dietricha, 275 Falcka, 74 Jana Filipowicza, sztycharza lwowskiego z XVIII w., 15 Gorczyna, sztycharza krakowskiego z XVII wieku, 14 Groella, komplet Kosielińskiego, 53 Niedbałowicza, Lwowianina z końca XVII w., 9 Ziaruka, Lwowianina z XVII w., 89 Norblina, a poza tem: Loggana, Orłowskiego, Płońskiego i innych — Ilość rycin przekracza cyfrę 20 tysięcy.

O *Muzeum Dzieduszyckich*, które nie raczyło nawet odpowiedzieć na trzykrotną naszą prośbę cyframi szczegółowemi, zmuszeni jesteśmy podać daty ogólne. Liczy ono okazów zwierząt kręgowych z górą 4 tysiące, w dziale botanicznym przeszło 23 tysiące arkuszy, a często na jednym arkuszu po kilka egzemplarzy roślin. W dziale przedhistorycznych okazów wzwyż 7000, w geognostycznym z górą 14 tys., zbiór ślimaków przedstawia się najwspanialej, liczy bowiem przeszło 30 tysięcy okazów. Biblioteka muzealna przekroczyła liczbę 10 tysięcy tomów, specyalnie z zakresu przyrodoznawstwa.

Z pomiędzy archiwów lwowskich na pierwszy plan wybija się *Archiwum krajowe aktów grodzkich i ziemskich*, czyli t. zw. *Archiwum Bernardyńskie*, które pod egidą prof. O. Balzera i tyle zasłużonego historyka d-ra Prochaski może służyć za wzór wielu, wielu innym naszym, stokroć mniejszym archiwom prywatnym, pod względem porządku i systematyczności. Wszystkie akta, ogółem biorąc, a nie wliczając fascykułów i rejestrów nieindykowanych, liczą obecnie ksiąg 6759, fascykułów 1137, indeksów 5840. Liczebnie jest ono jednem z największych archiwów w państwie austryackiem.

Archiwum miejskie lwowskie [1], około uporządkowania którego walną zasługę położyli pp. dr. Al. Czołowski i p. Franc. Jaworski, rozpada się na następujące oddziały: 1) dokumenty i dyplomy od r. 1356— 1796. Najstarszy dyplom Kazimierza Wielkiego znajduje się tylko w odpisie późniejszym, ale natomiast znajdujemy tutaj w oryginale bullę papieża Grzegorza IX z r. 1234, wydaną dla misyi OO. Dominikanów na Rusi; 2) akta, mieszczące inwentarze dóbr, lustracye miasta, akta fundacyjne, dokumenty prawne i t. p. w 1511 fascy-

[1] W sprawie stanu niektórych bibliotek lwowskich służył mi za wskazówkę znakomity »Przewodnik po Lwowie«, wydany przez archiwaryusza miejskiego p Fr. Jaworskiego.

kułach; 3) księgi pisane w liczbie kilkuset tomów; 4) bibliotekę archiwalną w wysokości 5000 tomów, zawierającą dzieła, broszury i czasopisma, odnoszące się treścią do Lwowa; 5) dział listów jest nadzwyczaj bogaty, obejmuje bowiem około półczwarta tysiąca listów różnojęzycznych, w czem samych listów królewskich 113; 6) księgi i akta oddane przez sąd krajowy, obejmują materyał najważniejszy. Mamy tutaj między innemi księgi radzieckie od r. 1461 do 1787 w 132 tomach, a nadto 7 tomów fragmentów, z których najstarsza księga miejska od r. 1382 do 1389, a dalej 36 tomów ksiąg wójtowskich (1577—1586), tomów 66 ksiąg ławniczych (1521—1787), tomów 18 protokołów aktów ławniczych (1577—1699), tomów 11 rezygnacyi z lat 1441—1685, tomów 25 aktów komisyi zaprzysięgłych (1524—1784), tomów 9 testamentów z lat 1641—1659. Z zabytków niepiśmiennych urządzono *Miejskie muzeum historyczne*. Ponadto posiada archiwum przeszło 300 planów Lwowa od XVII w. począwszy. Równie ważny dla historyi i topografii miasta jest zbiór rycin, sztychów, litografii i t. p., liczący około 900 sztuk od XVI wieku począwszy. Zbiory muzealne liczą około tysiąca okazów w postaci: broni, obrazów, portretów, pamiątek cechowych, monet, medali, pieczęci, rycin i t. d. Dział wykopalisk jest dopiero w zaczątkach.

Miejska galerya obrazów ma, pomimo trzyletniego zaledwie istnienia, długą i głośną historyę. Za fundament dla niej posłużyły zakupione od p. Jana Jakowicza z Ukrainy zbiory dzieł sztuki, starożytności i wyrobów przemysłu artystycznego. O wartość tej kolekcyi stoczono boje iście homerowe na szpaltach pism codziennych. I jeżeli nawet trzeba oponentom przyznać wiele słuszności w zarzutach, to jednak poszli oni zbyt daleko. Przeważały w tych zbiorach kopie lub wątpliwej wartości autentyki malarzy trzeciorzędnych, ale było też sporo rzeczy niewątpliwie cennych, pochodzących z galeryi króla Stanisława Augusta, hr. Potockich w Tulczynie, Pieczarze i Sitkowcach oraz hr. Przeździeckich w Czarnym Ostrowie. Mamy tu między innymi kopie: Rubensa, Van-Dycka, Rembrandta, Pawła Veronese, Ribery, Tintoretta, a dalej oryginały przypisywane: Antoniemu Dyckowi, Janowi Peetertowi, J. Backerowi, Andrzejowi del Sarto, Angelice Kauffman i wielu innym. Z pomiędzy oryginałów niewątpliwych wymienić należy: »Madonnę« Rafaela Sancio da Urbino, kupioną ongi przez króla Stanisława Augusta z galeryi Borghese w Rzymie, »Św. Hieronima« Diepenbecka van Abraham, szereg dzieł szkoły holenderskiej i staroniemieckiej, wreszcie malarzy polskich lub w Polsee malują-

cych, a mianowicie: Bacciarellego, Lampiego, Schweikarta, Peszki, Smuglewicza i Suchodolskiego. Z malarzy rosyjskich jest tu tylko Karol Briłow z kilku portretami.

Dział przemysłu artystycznego jest bardzo zasobny. Mamy tutaj: tabakiery, emalie, srebra, rzeźby z kości słoniowej, porcelanę, szkło, figurki fajansowe, starodawne sprzęty, zegary, bronzy, zegarki emaliowane, ornaty, orderowe znaki, pierścienie, wachlarze malowane i haftowane, puhary, dzbanki, szkatułki, rzeźby z kości słoniowej i krucyfiksy z wieku XVII i XVIII, monety złote, srebrne i bronzowe kolonii greckich czarnomorskich, rzymskie i bizantyńskie oraz gablotę z wykopaliskami z Ukrainy i z Krymu. Podstawa zatem już jest. Dalszy rozwój zależeć będzie od dobrej woli społeczeństwa i reprezentacyi m. Lwowa.

Wobec tego, że biblioteki ordynacyi Krasińskich i Zamoyskich, jako prywatne, nie są dostępne warstwom szerszym, rządowa zaś biblioteka uniwersytecka znajduje się w stadyum trwałego upadku, a ponadto ma specyalnie zaostrzony regulamin, dobrze stało się, że przed kilku laty rzucono myśl stworzenia Biblioteki publicznej o charakterze ściśle naukowym. Myśl tę zamieniono w czyn rychłej znacznie, aniżeli tego można było spodziewać się, i w dodatku tak świetnie, że po upływie zaledwie trzech lat Warszawa może poszczycić się wspaniałym księgozbiorem, o jakim zapewne nie marzyli najgorętsi zwolennicy projektu. Ze skromnej czytelni naukowej rozrosła się książnica publiczna zdumiewająco, posiada bowiem obecnie około 60.000 tomów, z których wszelako — zdołano skatalogować dopiero 26.207 tomów, a pracy jest nawał ogromny, skoro biblioteka wzrasta nieustannie przez dary, coraz to liczniejsze i hojniejsze, jak niemniej przez wymianę dubletów i zakupy. W r. 1909 nabyto nowych 1700 tomów a tytułem darowizny otrzymano nie mniej jak 17.000 książek. W miarę wzrastania księgozbioru rośnie też i frekwencya czytelników, o której dać może najlepsze wyobrażenie zestawienie cyfrowe. Bo — podczas gdy w roku 1907 było zgłoszeń po książki 14.209, w roku następnym cyfra ta podskoczyła do 25.970, a w r. 1909 doszła do 28.844. I jeszcze troszkę statystyki: najwięcej osób korzystało z czytania książek na miejscu w osobnej sali za opłatą kop. 5. Liczba takich czytelników dochodzi do 160 dziennie, a wśród niej są także poważni pracownicy na niwie naukowej. Ze względu na szczupłość lokalu dotychczasowego, podniesiono niedawno myśl budowy osobnego domu, któryby pomieścił tułające się po wynajętych siedzibach stowarzyszenia naukowe warszawskie. Na ten cel uzyskano r. 5000

od p. Aug. Popławskiego. Zanim jednak »Biblioteka« uzyska własny gmach, musi na razie zabiegać o pokrycie niedoboru, który wynosi 4500 rb.

Wreszcie nowina wagi pierwszorzędnej. Warszawa otrzyma wkrótce nowe muzeum pamiątek naszej przeszłości. Znany poeta starej Warszawy Artur Oppman (Or-Ot) nabył nieruchomość przy ulicy Kanonii nr. 8. Dom ten był niegdyś własnością ks. St. Staszica, który, przed wzniesieniem specyalnego gmachu na Krakowskiem Przedmieściu, tutaj lokował Tow. Przyj. Nauk. Nowonabywca, przywróciwszy gmachowi pierwotny jego wygląd, postanowił umieścić w nim swoje zbiory, kompletowane z zapałem i ze znajomością rzeczy już od ćwierci wieku. Dotyczą one zarówno historyi Warszawy, jak i nowszych dziejów Polski od chwili upadku Rzeczypospolitej. Są tu obrazy, portrety, miniatury, meble, mundury, pamiątki, ogółem w liczbie blizko tysiąca numerów. Porządkowanie zbiorów jest w toku.

Na widok świetnego rozwoju *Biblioteki publicznej im. Hieronima Łopacińskiego,* założonej przed laty zaledwie trzema w Lublinie, wszyd wprost powinien ogarnąć równe liczbą zaludnienia Lublinowi miasta prowincyonalne galicyjskie, które z dziwną i wprost niewytłumaczoną obojętnością zachowały się wobec tak doniosłej myśli, jaką rzucił prof. Balzer w sprawie tworzenia księgozbiorów prowincyonalnych. Znajdując się w warunkach nieporównanie gorszych od galicyjskich, grono obywateli miasta Lublina potrafiło zwalczyć trudności z legalizacyą Towarzystwa B. P. im. Łopacińskiego. Komu, tak jak podpisanemu znane są szykany biurokracyi rosyjskiej zwłaszcza na punkcie podniesienia poziomu inteligencyi polskiej, ten z pełnym szacunkiem spoglądać będzie na dzieło dokonane. Bez długich korowodów i wahań zakupiono cenny księgozbiór, pozostały po śp. prof. Łopacińskim, za wcale pokaźną sumę, naturalnie na raty, oraz wyszukano możliwe w takiem mieście, jakiem jest Lublin, odpowiednie pomieszczenie dla biblioteki. Z uwagi, iż posterunek tak doniosłego znaczenia, jak biblioteka, nie może liczyć ani na pomoc państwa (chyba na szykany!), ani nawet na zasiłek z kasy miejskiej, poszukano pomocy wśród społeczeństwa, które jej nie odmówiło, zarówno w monecie brzęczącej, jak niemniej w książkach i przedmiotach muzealnych. W r. 1909 członków założycieli liczono 115, członków rzeczywistych 137, nakoniec osób, które złożyły ofiarę jednorazową było 9 (w r. 1908 + 34). Ogółem przeto osób, które poparły pieniężnie tę tyle ważną

instytucyę było 295 (w r. 1908 tylko 246). Natomiast ofiarność instytucyi finansowych i przedsiębiorstw przemysłowych zmniejszyła się w porównaniu z rokiem poprzednim o 550 rb., dając zaledwie w r. 1909 wsparć na sumę ogólną 255 rb. Ofiarność jednakowoż w książkach była wcale wydatna, z niej bowiem uzyskano 4323 tomy, oraz 25 czasopism bieżących. Stan tedy ogólny biblioteki zamyka się cyfrą 11.500 dzieł w 17.191 tomach. Poza tem posiada Biblioteka: przedmiotów archeologicznych 67, medali 48, monet polskich 392, monet obcych 362, wyrobów ceramicznych 14. Wreszcie dział rękopisów, odnoszący się przeważnie do przeszłości Lublina i gub. lubelskiej nie jest jeszcze dotąd uporządkowany. W r. 1909 korzystało z biblioteki 936 osób, zwiedzających było 58. Jakby na potwierdzenie słuszności aforyzmu Krzemińskiego, iż »ciągłość bytu duchowego tylko przez rozum zachować można, bo w rozumie tylko duch świadomy siebie istnieje«, potrafił Lublin dać przykład godny naśladowania przez wszystkie polskie miasta prowincyonalne, iż małymi nawet środkami przy pomocy ludzi dobrej woli i czynu, można zdążać na pewno do celów na pozór przerastających siły...

Koroną usiłowań, zmierzających do rozbudzenia silnego ruchu naukowo-oświatowego w miastach prowincyonalnych Królestwa Polskiego, nazwiemy, bez jakichkolwiek zastrzeżeń, stworzenie całego szeregu muzeów krajoznawczych. Zamiłowanie do zbierania pamiątek historycznych, gromadzenia zabytków kultury, sztuki i etnografii, rozwija się z każdym rokiem statecznie w społeczeństwie naszem. Następstwem tych szlachetnych upodobań jest coraz częstsze powstawanie instytucyi muzealnych.

Dobry początek zrobił przed kilku laty dr. Lasocki, założywszy przy Domu Ludowym w Nałęczowie »Muzeum ziemi lubelskiej« z bogatym działem historycznym i etnograficznym. W ślad za tym przykładem poszły inne miasta w Królestwie Polskiem i w krótkim stosunkowo przeciągu czasu powstały muzea: ziemi dobrzyńskiej we Włocławku, krajoznawczo-etnograficzne w Jędrzejowie (gub. kielecka), hygieniczne, przemysłu ludowego i rolnicze w Częstochowie, ogólne w Pabianicach, starożytności w Płocku, starożytności i pamiątek historycznych w Łowiczu. Wreszcie w tymże Łowiczu odbyło się pod sam schyłek 1909 roku poświęcenie i otwarcie *Muzeum ziemi łowickiej.*

Zadaniem jego jest gromadzenie świetnie zachowanych zabytków kultury ludowej Księstwa Łowickiego, a zarazem dostarczanie ludności

miejscowej wzorów pracy: pedagogicznej, oświatowej, rolniczej i przemysłowej. Potrosze zapoczątkowano wszystkie działy. Są tam: tablice poglądowe, tablice statystyczne, mapy, modele ulepszonych narzędzi rolniczych, próby drobnego przemysłu wiejskiego, prace dzieci z ochronek i szkół ludowych, trochę zbiorów etnograficznych, mapy geograficzne i t. p. W dwu niewielkich pokojach zgromadzono okazy, pozostałe z urządzonej przed dwoma laty wystawy w Łowiczu, dopełniono zebranymi potem darami i stworzono całość, jeszcze nie bogatą, ale ciekawą i pouczającą. Muzeum to zostało, jako własność inicyatorki tego dzieła p. Anieli Chmielińskiej, przekazane do czasowego użytku oddziałowi »Tow. krajoznawczego« w Łowiczu.

A jakże zaniedbaną jest w tym kierunku Galicya, jedyny z krajów koronnych austryackich, pozbawiony muzeum krajoznawczego?... Śp. prof. dr. Kalina długie lata kołatał w instancyach miarodajnych o stworzenie tego rodzaju instytucyi we Lwowie. Wszystkie jednak jego memoryały i przedstawienia w sprawie powyższej rozbijały się systematycznie o brak zrozumienia ważności takiego zamierzenia w kołach, po których wykształceniu i pozycyi społecznej należało się spodziewać poparcia. Tymczasem sfery te dopatrzyły się w usiłowaniach znakomitego uczonego celów... demagogiczno-politycznych!

Pierwsze na Wołyniu *Muzeum krajoznawcze* powstało w mieście powiatowem Równem przy Tow. rolniczem, z ofiar dobrowolnych miejscowych obywateli i włościan, głównym zaś inicyatorem i najgorliwszym zbieraczem tego Muzeum jest p. Edward Okęcki. Jakkolwiek istnieje ono zaledwie dwa lata, zbiory są już obfite. Na pierwszym planie znajduje się bogata kollekcya 92 gatunków pszenicy i 23 odmian owsa, uprawianych w dobrach hr. Jana Dunin-Karwickiego. Wykopalisko kłów mamuta, złożone starannie, mieści się obok kości innych zwierząt przedpotopowych i znalezionych równocześnie z niemi kilka urn. Zbiór monet i medali posiada między innemi: srebrną monetę żydowską z wyobrażeniem rozgałęzionego drzewa, pieniądze z czasów Władysława Jagiełły, Jana Olbrachta, Zygmunta I, Zygmunta Augusta, Sobieskiego, Jana Kazimierza. Do najstarszych należy moneta królowej Ryxy. Bardzo rzadkie, chociaż nie tak stare, są monety dóbr prywatnych, a zatem: 1) monety z herbem »Colonna«, z napisem Dzierbice, 2) z napisem »folwark Równo« i monogramem, 3) z herbem Kołłątaj i t. d. w liczbie ogólnej około 500 sztuk. Z medali wymienić należy: bronzowy posrebrzany, bity za Aleksandra I na przywrócenie Królestwa Kongresowego oraz medal Kopernikowski. Znajdujemy tutaj

dalej wzory marmurów wołyńskich, kryształy, skamieniałe muszle, parę wykopalisk z epoki kamiennej oraz okazów broni wschodniej.

Zbiory archiwalne hr. Benedykta Tyszkiewicza w Czerwonym Dworze na Litwie zostały, jak donosi *Ziemia* warszawska, znakomicie powiększone przez przyłączenie archiwum rodziny Zabiełłów. Nieużytkowane dotychczas przez nikogo, zawierają w sobie prawdziwe skarby do historyi ojczystej, przedewszystkiem XVIII wieku, w bardzo dużej ilości, bo około 20 tysięcy sztuk listów i dokumentów. Dość wymienić własnoręczne notatki dwu znanych pamiętnikarzy z czasów końcowych Rzeczypospolitej: Marcina Zaleskiego i Marcina Matuszewicza. Samych listów z epok: saskiej, stanisławowskiej i pierwszego ćwierćwiecza XIX stulecia jest do 8 tysięcy. Biorąc zaś pod uwagę, że autorami ich byli ludzie stojący często jak najbliżej najważniejszych naszych spraw współczesnych i politycznych, można spodziewać się, że na niejeden z zagmatwanych dotychczas szczegółów naszych dziejów nowoczesnych padnie stamtąd nowy snop światła. Nie mogąc wdawać się w szczegóły, wymieniamy tylko dla zaakcentowania słów powyższych kilka nazwisk, same za siebie mówiących: Kołłątaj, Czartoryscy, Radziwiłłowie, M. Zaleski, J. Kontrym (sekretarz Massalskiego). Archiwum to, przeszedłszy z rąk Zabiełłów do ministra Stan. Grabowskiego, żonatego z Zabiełłówną, później do głośnej rodziny Prozorów, ostatecznie znajdowało się w ręku jednego z niedawno zmarłych lekarzy warszawskich d-ra Sapalskiego, od którego rodziny nabył zbiory obecny ich właściciel. Wspomnieć należy, że zbiory czerwonodworskie pomnożone też niedawno zostały włączeniem do nich wielkiego rozmiarami i wartością archiwum horodelskiego.

Muzeum Narodowe Polskie w Rapperswylu zakończyło 40-ty rok swojej działalności wynikiem pośledniejszym od tego, jaki wykazywały sprawozdania lat ostatnich. W księdze darów zapisano 1310 pozycyi, obejmujących 4096 przedmiotów, podczas gdy w roku 1909 liczby te wynosiły 1707 i 6065. Dział archiwalny powiększył się znakomicie papierami po ś. p. Ludwiku Dygacie. Obfity zbiór ten, mieszczący w sobie między innemi archiwa osobiste Wincentego Mazurkiewicza i jen. Mierosławskiego, zawiera poważne przyczynki do dziejów emigracyi z lat 1831 i 1863. Spisano też i przeprowadzono przez inwentarz ofiarowaną Muzeum bibliotekę Tow. polskiego z Genewy, zamożną w druki emigracyjne i czasopisma. Z pomiędzy darów zasługują na wyszczególnienie — w dziale muzealnym: pamiątki po jenerale Chrzanowskim, odzież Leona Platera, w której był więziony i stra-

cony, sześć akwarel Juliusza Kossaka, przedstawiających wzory umundurowań dla projektowanego w r. 1877 wojska polskiego; — w dziale sfragistyczno-numizmatycznym: medal Dawida na rzeź galicyjską oraz cenny zbiór d-ra B. Demla 243 medalików religijnych; — w dziale bibliotecznym wymienić należy rękopis francuski, zatytułowany: »VIII. Dictature de Langiewicz. Fevrier—Mars 1863« oraz 112 rękopisó obejmujących archiwum »Czytelni Polskiej w Paryżu«. W dziale map i planów pozyskano między innemi — mapę Polski Engelhardta z r. 1831 i p. J. Chrzanowskiego plan bitwy pod Chruślicą i Żyżynem z 1863 r. Ogółem nabytki r. 1909 wynoszą 1310 pozycyi, obejmujących 4090 przedmiotów. Przypada z tego na dział: przedmiotów pamiątkowych 29 (stan ogólny 1199), przedmiotów numizmatycznych 272 (st. og. 6097), rzeźb 2 (st. og. 564), obrazów olejnych 2 (356), akwareli 6 (398) miniatur 109, rysunków 1881 (1), rycin 287 (st. og. 20.516), fotografii 58 (st. og. 8218), nut 1133, map 3 (st. og. 1244), druków 2179 (st. og. 63.177), rękopisów 1308 (st. og. 18.880), rozmaitości 2 (stan og. 385). Ruch muzealno-biblioteczny przedstawiał się w r. 1909 jak następuje: korzystało ze zbiorów osób i instytucyi 239, poza obręb biblioteki wypożyczono druków 742 w 2085 tomach, rękopisów 79, mapę 1, nut 11. Studyowało na miejscu osób 41, które pracowały nad dziejami: emigracyi, Królestwa Kongresowego, zaboru pruskiego, wyprawy na San Domingo, stanu ekonomicznego w Królestwie Polskiem, Uniwersytetu Jagiellońskiego, klasztorów w Polsce, demokracyi narodowej, czasopisma *Trzeci Maj,* pracy tajnej 1863 roku, nad Towiańszczyzną, życiorysami Mickiewicza, Mochnackiego, Zaleskiego, Lenartowicza i Micheleta. Korespondencya biblioteczna objęła: 146 listów odebranych, 107 wysłanych. Na skutek wniosku p. K. Lewakowskiego, podjętego na nowo w r. 1909 przez p. Fr. Rawitę-Gawrońskiego, wybrano osobną komisyę dla nawiązania rokowań z miastam Lwowem i Krakowem co do translokacyi zbiorów.

Dobiegliśmy do kresu naszego przeglądu prac w r. 1909. Luk zostawiliśmy niewiele, jedynie bowiem nie była nam dana możność uwzględnienia paru stowarzyszeń petersburskich i kijowskich. Ale, o ile nam z autopsyi lat dawniejszych wiadomo, dbały one przedewszystkiem o ruch towarzyski, podając strawę literacką dorywczo w czasie wielkopostnym.

Ogółem biorąc — posiadamy na ziemiach polskich różnobarwną mozajkę stowarzyszeń, odpowiadającą mniej więcej układowi naszych

stosunków społecznych. Sił twórczych, torujących nowe drogi, przeciwdziałających skutecznie martwocie duchowej, nie brak nam wcale.

A jednak — uważamy za prosty obowiązek podnieść przeciwko nim jeden zarzut, ale zasadniczy, skoro widzimy na każdym niemal kroku bezproduktywne marnowanie sił twórczych, obracanych na zakładanie organizacyi spółrzędnych. Tymczasem należałoby ruch rozdrobniony ująć w pewne karby, zsolidaryzować siły, idące obecnie w rozsypkę na ochotnika, słowem — idąc za wskazaniem Mickiewicza, »zestrzelić myśli w jedno ognisko i w jedno ognisko duchy«.

Pomimo tych braków i niedostatków oraz postulatów, których urzeczywistnienia należy wyglądać od najbliższej przyszłości, sumując wyniki naszego przeglądu, możemy bez pochlebiania powiedzieć, że są one na ogół wcale dodatnie. Życzyćby tylko należało pomnożenia sił, chętnych do pracy dla dobra powszechnego, iżby nie widziało się ciągle jednych i tych samych ludzi, pracujących w kilku instytucyach równocześnie — dla braku odpowiednich zastępców.

Gdybyż to czemprędzej nastąpiło!

Dr. Stanisław Zdziarski.

Wśród młodocianych katolickich rękodzielników i robotników za granicą.

(Dokończenie).

Zwiedziłem inny typ szkoły także pod pewnym względem terminatorskiej. Jest to szkoła artystyczno-rzeźbiarsko-malarska, św. Łukasza. Bruxelles, rue des Palais 50.

Działy w tej szkole są następujące: budowlany, dekoracyjno-malarski, rzeźbiarsko-ślusarski, rzeźbiarsko-stolarski, modelarnia, pracownia mozajek i parkietów, koronkarstwo. Pracownie dobrze urządzone, dział wystawowy wprost imponujący.

Szkoła dzienna jest płatna, wieczorna za darmo. Do wieczornej uczęszcza około 500.

Wykłady w tej szkole rozłożone są na 8 lat. Trzy pierwsze lata są przygotowawcze, 5 lat następnych jest dopiero właściwem kształceniem się w odpowiednio obranym sobie fachu. Podobne szkoły, jak św. Łukasza, są rozsiane po całym kraju i znowu albo rząd je utrzymuje lub też prywatne osobistości z prywatnej dobroczynności.

Biorąc ogólnie, takich typów szkół u nas niema. Gdybyśmy n. p. wyższą szkołę przemysłową w Krakowie, następnie szkoły zawodowe rozsiane po kraju i nasze szkoły wieczorne terminatorów pomieszali w jedno, dopiero w przybliżeniu możnaby sobie utworzyć pojęcie o szkołach zawodowych belgijskich.

Pozaszkolne życie młodzieży terminatorskiej i czeladniczej koncentruje się w tak zwanych patronażach, które są bardzo gęsto rozsiane po całym kraju.

Patronaże te polegają na tem, że kapłan jest dyrektorem patronażu i jest wszystkiem dla wszystkich bez współudziału ze strony terminatorów i czeladników w rządach. Patronaż taki dzieli się zwykle na trzy lub cztery oddziały. Na najmłodszych, którzy chodzą jeszcze do szkół, po naszemu normalnych i na terminatorów młodszych, na terminatorów starszych i na najstarszych, przeważnie czeladników. Jest także wszędzie Kongregacya Maryańska, założona dla najstarszych. Patronażem zajmuje się komitet miejscowy, złożony z prezesa, którym jest zawsze jakiś adwokat, notaryusz i t. p., z ks. dyrektora patronażu, i z kilkunastu osobistości z pośród panów i pań, którzy starają się i troszczą tak o duchowe jak materyalne potrzeby patronażu i biorą czynny udział, zwłaszcza panowie, w jego zabawach i urządzeniach.

Zwiedziłem niektóre takie patronaże, między innymi najlepiej prowadzony patronaż św. Jana Berchmansa, Bruxelles, rue du Cinquantenaire 14. Założyciem jest [w r. 1890] pan Feliks Hap, notaryusz, mieszka ul. Chausse du Tervueren 110. Jest to największy działacz w Brukseli na tem polu, który nie tylko wiele własnych pieniędzy daje, ale swem poświęceniem i pracą jest duszą nie tylko patronażu św. Jana Berchmansa, ale niemal wszystkich patronaży w mieście.

Członków w patronażu św. Berchmansa jest 710. Mają własny dom bardzo wielki, z obszernym placem do zabaw i ćwiczeń gimnastycznych, salę teatralną, drugą salę teatralną maryonetek dla najmłodszych, salę gimnastyczną, kaplicę, biura i t. p.

W niedzielę i święta muszą wszyscy członkowie być wspólnie na mszy św., po obiedzie też mają wspólne nabożeństwo, osobno młodsi, osobno starsi. Co rok wspólne rekolekcye, niektórych starszych wysyłają jeszcze raz do domów rekolekcyjnych, ale tylko tych, po których się spodziewają, że w przyszłości będą agitatorami katolickiej pracy społecznej. Komunia św. obowiązkowa jest raz na rok, ale chodzą też co miesiąc.

Kasa oszczędności w Belgii jest przeważnie przymusowa. Kasa

wzajemnej pomocy, do której płacą 10 cnt. tygodniowo: 5 cnt. idzie na kasę chorych, a 5 na ubezpieczenie na starość. Prawie wszędzie są zaprowadzone Konferencye św. Wincentego a Paulo. Abstynencyi nie znają, dopiero poczyna świtać.

Mają własną muzykę, złożoną z 70 członków, bibliotekę, czytelnię, klub gimnastyczny i footbalowy w osobnych strojach, rozmaite gry towarzyskie, wycieczki po osobliwościach Belgii i t. p. Każda sekcya i dział pracy ma swój sztandar, stąd każdy niemal patronaż ma kilkanaście sztandarów, przeważnie w formie proporca. Mają też swój miesięcznik *L'echo du patronage*.

Inny rodzaj stowarzyszenia, do którego także należy młodzież rękodzielnicza i robotnicza, to Xaverianum. Jest to stowarzyszenie towarzysko-religijne, do którego przeważnie należą rękodzielnicy i robotnicy i pewien procent inteligencyi. Celem jego jest, by przez apostolstwo świeckie szerzyć życie katolickie wśród mężczyzn. Założycielami Xaverianum w 1856 było 17 majstrów brukselskich i O. Caloen, Jezuita. Stowarzyszenie to dziś jest bardzo rozszerzone po całej Belgii, mając przeszło 70.000 członków i 350 domów własnych. Kolebka w Brukseli, rue du Miroui 26. Mają kościół swój, dom obszerny z placem, salę teatralną, salę zebrań i t. p. Schodzą się w niedzielę po obiedzie. Prócz modlitw wspólnych zajmują się na zewnątrz apostolstwem, jak zwalczanie złych książek i pornografii, katechizacyą opuszczonych dzieci, kojarzeniem rozerwanych lub źle żyjących małżeństw i t. p. Stowarzyszenia prowadzą Jezuici, przeważnie jednak księża świeccy. Istnieją one niemal przy każdej parafii.

Są też żeńskie stowarzyszenia św. Xawera, które pomagają mężczyznom w ich apostolstwie. Zwiedzając kolebkę Xaverianum, zastaliśmy panie, które uczyły katechizmu dzieci, podzielone na małe grupki. Same wyszukują je po norach brukselskich, zwłaszcza zachodzą do rodziców-włóczęgów i zabierając chłopaków i dziewczęta do Xaverianum, uczą ich poznawać Boga, o którym nieraz dopiero po raz pierwszy tam słyszą. Rzewny to był widok.

Skorzystałem ze sposobności powszechnej wystawy i zwiedziłem przeważnie część socyalno-społeczną, na której prace terminatorów belgijskich były bogato reprezentowane. Osobny był dział, w którym przedstawiona była historya wszystkich katolickich patronaży belgijskich. Wiele miast przedstawionych w kształcie drzewa, na którego konarach umieszczone były nazwiska i krótka historya patronaży. Był też sobny dział prac terminatorskich, który się dzielił na kilka-

dziesiąt ubikacyi. W nich wystawione były rysunki zawodowe, modele, prace próbne przy wyzwolinach, prace konkursowe i t. p. Osobny dział, w którym znajdowały się opisy wszystkich godnych widzenia w całej Belgii miast, fabryk, arcydzieł, sztuk pięknych i t. p., które terminatorzy przed wyzwolinami powinni zwiedzić [1].

Antwerpia-Gandawa.

Podobnie jak w Brukseli są patronaże, szkoły zawodowe w Gandawie i Antwerpii i t. p. W samej Antwerpii jest 24 patronaży i około 5000 członków. Zwiedziłem patronaż św. Józefa, założony w 1876 r. Urządzenia te same co w innych patronażach. Prezesi i dyrektorzy patronaży mają od czasu do czasu wspólne narady. Ten zwyczaj zaprowadzony jest i po innych miastach. Raz na rok wszyscy członkowie patronaży schodzą się na polu wojskowem na wspólną zabawę, na której jest zwykle wspólny popis gimnastyczny. Każdy tedy klub gimnastyczny po wszystkich patronażach ma swój odrębny strój i swoją chorągiew.

To samo można powiedzieć o patronażach po innych miastach belgijskich.

Zdając sobie sprawę z całej pracy katolicko-społecznej nad młodzieżą rękodzielniczą i robotniczą w Belgii, nasuwają się niektóre refleksye.

Cała Belgia pokryta jest, jakby gęstą siecią, niezliczonemi katolickiemi instytucyami. Wszystkie one po większej części są bogato uposażone w własne domy, własne szkoły i rozmaite liczne urządzenia, mające na celu przyjście z pomocą czy duchową czy materyalną przeważnie wieśniakom, robotnikom, rękodzielnikom. Pomoc pieniężną mają te instytucye ze strony katolickiego społeczeństwa bardzo wielką, są one bowiem utrzymywane przeważnie tylko z dobroczynności prywatnej. Magnaterya katolicka i bogaci katoliccy przemysłowcy w Belgii uważają za ścisły obowiązek poważnemi sumami pieniężnemi przychodzić z pomocą instytucyom lub tworzyć nowe. Inteligencya: jak adwokaci, notaryusze, inżynierowie, doktorzy i t. p. biorą wielce czynny udział w pracach społecznych. Prawdziwie zastanawiającem było widzieć ludzi poważnych stanowiskiem, wiekiem, biorących udział w za

[1] Na te wycieczki naukowe rząd daje subwencye, a kolej jazdę niemal darmo wszystkim zarządom szkół, patronaży, byle tylko ułatwić młodym zwiedzenie całej Belgii.

bawach chłopców, w roli kierowników gimnastyki, footbalu, teatrów, biur, kas, wzajemnej pomocy i t. p.

A jednak mimo takiej długoletniej pracy, tylu bogactw w urządzeniach, tylu ludzi świeckich i duchownych pracujących w instytucyach, pomimo ogromnych rezultatów zdobytych przez rządy katolickie dla podniesienia i wzbogacenia przemysłu i handlu belgijskiego i świetności narodowej, mimo to katolicy belgijscy nie mogą sobie powiedzieć na pewno, że są zwycięzcami.

Trzeba jednak przyznać, że jak z jednej strony owe liczne katolickie instytucye, katolickie szkoły i t. p. uchroniły Belgię od losu Francyi i zachowały ją do dziś narodem i państwem katolickiem, tak z drugiej strony liczne szkoły liberałów, socyalistów, zdobycie przez nich stanowczych wpływów na rządy prawie wszystkich miast belgiskich, blizkość spoganiałej Francyi, walka Flandryjczyków o równouprawnienie swego języka wpłynęło na utrudnienie pracy społecznej katolików; jednak przedewszystkiem wewnętrzne błędy katolików belgijskich, które przeoczono, sprawiły, że dziś partye masońsko-socyalno-liberalne nie tylko nie straciły na swych wpływach, ale silniej, niż kiedykolwiek, zorganizowane stają niemal na równi z katolikami co do szans zwycięstwa. Rozchodzi się obecnie o kilka głosów w parlamencie, a szala zwycięstwa przeważy się na stronę wrogów katolicyzmu. Cóż tego za przyczyna?

Powiedział niedawno jeden z głębokich myślicieli belgijskich: »Za dobrze katolikom się dzieje«.

I rzeczywiście; z powodu dobrobytu materyalnego i bogactw, gruby materyalizm przykrył sferę ducha katolickich Belgów. Z potęgą bogactw i dobrobytu materyalnego nie szła w parze potęga ducha, stąd wyrodziła się u katolickich wieśniaków, rękodzielników, robotników i t. p. pewna ospałość, brak energii, lenistwo myśli i czynu, poświęcenia się dla drugich. A te błędy są bardzo na rękę socyalistom i liberałom, których pcha do czynu żądza władzy nad Belgią i żądza zdobycia przewagi nad katolikami.

Nie mniejszym błędem są te stosunki zbyt patryarchalne, patronaże i to trzymanie przez inteligencyę i duchowieństwo pod skrzydłami opiekuńczemi nie tylko młodzieży ale całych mas ludu i robotnika. Ten sposób traktowania wychowuje te masy w bezmyślności, oglądaniu się na drugich, nie troszczeniu się o siebie i swoje potrzeby i t. d. A to wszystko zacieśnia horyzont myśli, materyalizuje, osłabia

ducha, pozbawia uświadomienia społecznego, energii społecznej, wyszkolonej czujności w walce z atakami wroga.

To, co 50 lat temu zaprowadzili belgijscy katolicy u siebie, do tego czasu uważają za święte i niezmienne, a nawet nie można z nimi dysputować, gdyż wielu uważa to za doskonałe. Prawdziwie podobni są do starodawnych sikawek, o których gdzieindziej już dawno zapomniano, a któremi w Belgii jeszcze dziś zlewają piękne i bogate ulice Brukseli, lub do starego konia na wielkiej stacyi w Leodium jeszcze dziś przesuwającego wagony na kolejach. Jednem słowem, mało było w Belgii pracy ciągłej, wciąż idącej naprzód, któraby się coraz więcej udoskonalała i dostosowywała do potrzeb i uświadomienia czasów, jak jest n. p. w akcyi katolickiej w Niemczech.

Głębsi myśliciele belgijscy poczynają rozumieć już te błędy. O. Rutten, Dominikanin, słynny z działalności społecznej zwłaszcza wśród robotników i zawodowych stowarzyszeń, zwraca uwagę na te braki. Stworzył już kilka instytucyi na sposób angielski i niemiecki, wyzwalających robotnika i lud z pod rządów patryarchalnych. Takiem dziełem jest w Gandawie centralny Związek ludowy na sposób M. Gladbachu czy Berlina.

Również tego samego nazwiska O. Rutten, Jezuita, w stowarzyszeniach ekonomiczno-politycznych poczyna wprowadzać reformę rządów i uświadomienia społecznego.

W ostatnich czasach przeciw apatyi i ospałości, braku energii i cywilnej odwagi, rozpoczęły walkę rekolekcyjne domy, prowadzone przez Jezuitów, tworząc tak zwane kółka eucharystyczne po wsiach a zwłaszcza po miastach, mające na celu wyprowadzić mężczyzn z dotychczasowej religijnej i społecznej ospałości. A czas już najwyższy, gdyż zbliża się chwila, w której się roztrzygnie, kto nad Belgią zapanuje: katolicy, czy partya masońsko-socyalistyczna.

Przeciwnie w Niemczech, jakkolwiek Niemcy umieją reklamować swą pracę a gdy się zajrzy poza kulisy ich pracy, widzi się, że ona często jest wielce przereklamowaną, to jednak widać tam na całej linii, że prawdziwie dążąc do materyalnego polepszenia bytu upośledzonych stanów, nigdy nie spuszczają z oka postępu ducha, uświadomienia religijnego i społecznego nie tylko u starszego robotnika, ale i młodocianego. Starają się wciąż, by młodzież od zarania myślała o sobie, rządziła się sama i szła ku wyżynom ducha, dobrobytu, o ile możności już o własnych siłach pod kierownictwem i radą starszych, a zwłaszcza doświadczonego duchowieństwa. W Niemczech w niektórych miejsco-

wościach katolickich dobrobyt jest wielki, ale w parze z nim wysoko ugruntowany i uświadomiony jest duch i energia życiowa. Starają się wciąż iść naprzód, udoskonalać, dostosowywać do warunków i potrzeb czasu. Weźmy n. p. takie dzieło Kolpingowskie lat temu 50, a obecnie, jaka różnica, ile w niem poprawek, udoskonaleń nie tylko rzeczowych, ale nawet formalnych. Dziś prawdziwe niemal arcydzieło organizacyjne w akcyi katolickiej...

Zaprawdę sprawdza się coraz bardziej i obecnie *Germania docet.*

Ks. M. Kuznowicz.

Przed pierwszą wystawą polskiej współczesnej sztuki kościelnej.

Nieraz już odzywały się głosy nawołujące do skierowania sztuki kościelnej na właściwe tory. Najwięcej dawał się czuć brak instytucyi, któraby pośredniczyła między duchowieństwem a światem artystycznym i wytworzyła tradycyę zdobienia domów Bożych przez prawdziwych artystów. W obecnym stanie szeroka reklama zagranicy i spryt domorosłych, wszelkiej wyższej idei pozbawionych budowniczych i innej kategoryi wytwórców sprzętów kościelnych napotykał w kraju naszym na grunt podatny. W ten sposób kraj tracił miliony, które szły na zakupno dewocyonaliów zagranicznych, mozolnie zebrany grosz na budowę kościoła przyczyniał się do zeszpecenia kraju a sztuka polska nie niosła w ofierze Bogu należnego Mu datku. Zło spostrzegli Najdostojniejsi Biskupi i ustanowili w swych dyecezyach rady artystyczne, któreby czuwały nad ozdobą domu Bożego. Idea godna poparcia ogółu.

Zaznajomić Duchowieństwo z zastępem polskich artystów, oddanych sztuce religijnej, wskazać na dotychczasowe wyniki ich pracy, to zadanie, którego się podjęło Towarzystwo Przyjaciół Sztuk Pięknych w Krakowie, a które pragnie osiągnąć przez pierwszą wystawę polskiej sztuki kościelnej. Wystawa ta ma być nadto początkiem nawiązania stosunków między obydwoma stronami. Zadanie wielkie i ważne, obowiązek obywatelski, od którego nie można się usunąć. Wiele momentów wskazuje na to, że już nadeszła chwila działania. Sława polskiej sztuki, jej tryumfy za granicą, coraz większe zainteresowanie się ogółu ruchem artystycznym, musi obudzić w nas zaufanie we własne siły. Napawa nas otuchą, przedewszystkiem fakt, że już dotąd

możemy się poszczycić wybitnemi pracami polskich artystów na polu sztuki kościelnej. Liczba jej adeptów rośnie z dnia na dzień. I tak na ogłoszony w roku 1908 konkurs na projekt kościoła w Limanowej nadesłało swe prace 23 architektów, już w lutym 1910 stanęło do konkursu na projekt kościoła w Orłowie 46. Wystawy nasze malarskie dowodzą również jak wielką siłę atrakcyjną mają tematy religijne dla wielu artystów. Towarzystwo Przyjaciół Sztuk Pięknych, urządzając wystawę współczesnej polskiej sztuki kościelnej, pragnie pozyskać dla niej wszystkich najwybitniejszych artystów polskich i przedstawić całokształt urządzenia kościoła i najważniejsze przedmioty kultu. Na służbie kościoła stała dotąd nie tylko architektura, rzeźba i malarstwo, ale nadto cały przemysł artystyczny, nazwany niesłusznie »małą sztuką«.

Fabryka zadała temu ostatniemu cios prawie śmiertelny, ale potrzeba kultu nie pozwoli mu zaginąć. Do kościoła nie powinny mieć wstępu żadne wyroby fabryczne czy to z zakresu stolarstwa i snycerstwa, czy też bronzownictwa i złotnictwa. Jeżeli zaś wolno jest korzystać wszystkim z postępu nowoczesnej techniki, to nie należy przez to zaniedbywać zupełnie słusznych również wymogów estetycznych. Nadto sprzęty kościelne powinny być nie tylko dziełem rąk, ale także umysłu i serca. Tak pojmując swe zadanie Towarzystwo oprócz zaproszeń do architektów i malarzy dla skłonienia ich do obesłania naszej wystawy zamierza ogłosić szereg konkursów na najpotrzebniejsze przedmioty kultu. Pragnęłoby zaś odpowiedzieć potrzebie chwili i zrobić odpowiedni wybór. Uwzględniając więc szeroko rozpowszechnione dziś nabożeństwo do Serca P. Jezusa, rozpisuje konkurs z zakresu malarstwa na obraz ołtarzowy Serca Jezusowego. Drugi konkurs z działu rzeźby ma na celu uzyskanie statuy Matki Boskiej dla nabożeństwa majowego. Nadto dążeniem naszem jest, by sztuka polska dotarła pod strzechę wieśniaczą i by tam na pobielanych ścianach zawisł obraz Matki Boskiej, czy jednego ze świętych Patronów narodu, któryby był dziełem polskiego artysty, oddany w najlepszej reprodukcyi. Ku temu zmierza trzeci konkurs na obraz ścienny religijny. Osobno prowadzi Towarzystwo pertraktacye z cechami i firmami dla pozyskania ich do współudziału w konkursach z działu przemysłu artystycznego.

Praca nasza nie miałaby trwałej wartości, gdybyśmy dla niej nie pozyskali całego Wielebnego Duchowieństwa, w którego dobrze zrozumiałym interesie rozpoczęliśmy powyższą akcyę. Odzywamy się tedy do Czcigodnego Duchowieństwa, by nas poparło w zamierzonem

dziele. Chcielibyśmy, by ta nasza wystawa była dla Duchowieństwa sposobnością do wypowiedzenia swych postulatów, jakie stawia dzisiejsze życie kościelne artyście. Najłatwiej dałoby się osiągnąć przez konkursy, których oczekujemy z upragnieniem ze strony Duchowieństwa. Niejeden z Księży Proboszczów zamierza czy budować kościół, czy stawiać ołtarz, czy też zamawiać coś nowego do kościoła i zebrał na to pewną kwotę, niechże część tego przeznaczy na ogłoszenie konkursu i poda warunki a Towarzystwo najchętniej zajmie się jego ogłoszeniem. Jeżeli jednak droga konkursu dla niejednego wydaje się zbyt długa, możnaby wykorzystać obecnie radę artystyczną, stanowiącą zarazem komisyę rozpoznawczą wystawy kościelnej i w porozumieniu z nią zrobić wprost u artystów zamówienia na potrzebne przedmioty, któreby zarazem mogły być wystawione. Taka akcya Duchowieństwa, wypowiedzenie jasne swych dezyderatów i liczne zamówienia muszą zachęcić artystów do rzetelnej i chętnej pracy dla upragnionych przez nas celów.

Tuszymy sobie, że pierwsza nasza Wystawa kościelna okaże nasze siły, które dotąd w ukryciu pozostawały i staniemy przed nową zdobyczą naszej kultury, której na imię *Ars sacra.*

Do tej pracy zapraszamy Czcigodne Duchowieństwo, którego udział dla tej sprawy rokuje najlepsze nadzieje.

Kraków, w grudniu 1910.

Za Komitet wykonawczy Wystawy kościelnej:

Ks. G. Kowalski. *Feliks Kopera.*

Druk ukończono 12 stycznia 1911.

Do tomu 107, nr. 320, str. 224 (zeszyt sierpniowy r. 1910) po słowach: »Najwcześniejsze z nich to artykuły różne o Słowackim, pisane przez prof. T. Grabowskiego dla *Biblioteki Warszawskiej* od r. 1905. Z pierwszej ich części złożył się już osobny tom p. t. »J. Słowacki...« należy dodać następujący dopisek:

»Tom ten nie jest prostym przedrukiem artykułów z *Biblioteki Warszawskiej*, lecz nowem opracowaniem tamże ogłoszonych materyałów, znacznie w niektórych partyach przerobionych i uzupełnionych, jak to i w przedmowie sam autor zaznacza.

Nadesłano do Redakcyi następujące książki:

Sprawa armii polskiej. M-cki K. Tom II-gi Materyałów i myśli do kwestyi polskiej. Kraków 1910. Nakład autora. Str. 128.

W pięćsetną rocznicę Grunwaldu. Retmański dr. Karol L. Nakł. autora. Kraków 1910. Str. 48,

Studenci wobec katolicyzmu. Foerster dr. F. W. Bibl. »Prądu«. Nr. 2. Warszawa 1910. Str. 48 in 12-o.

Czytanka robotnicza. Nakł. »Życia«. Warszawa 1910. Str. 220 in 16-o.

Jak powstały religie? Bobrowska Bronisława. Nakład »Życia«. Kraków 1910. Str. 136.

Ku czci Chopina. Przemówienie. Prof. Krzymuski. Kraków 1910. Str. 14 in 12-o.

Estetyka ludowa. Lubecki dr. Kazim. Odbitka »Szkiców filozof.« Kraków. Str. 16.

Nauka Kościoła wobec nowożytnej wiedzy. Ks. Lamine J. Trepte. Warszawa 1910. Str. 48 in 12-o.

Z przeszłości (1861—1862). Dubiecki Maryan. Nakład Idzikowskiego. Kijów 1910. Str. 236.

O sztuce i człowieku wiecznym. Wasilewski Zygmunt. Nakład wydawn. Lwów 1910. Str. 186 in 12-o.

Z życia poety romantycznego. Seweryn Goszczyński w Galicyi. Nieznane pamiętniki, utwory i listy z lat 1832—1843. Wasilewski Zygmunt. Lwów 1910. Str. 205.

Zarząd centralny i lokalny w Anglii, Francyi, Prusiech i Stanach Zjednoczonych. Prof. Ashley Percy. Z angielskiego tłumaczył Gościcki J. Tow. Wyd. Lwów 1910. Str. 321.

Atlantyda. Wierzbicki Józef. Tow. Wyd. Lwów 1910. Str. 87.

„Pippa przychodzi". Browning Robert. Przełożył z angielskiego Kasprowicz J. Tow. Wyd. Lwów 1910. Str. 91.

W Roztokach. Powieść. Orkan Władysław. Tomy 2. Tow. Wyd. Lwów 1910. Str. 228 i 242.

Socyalne kazania. Ks. Gryziecki Wład. Tom I, str. 255 u Zienkowicza. Lwów 1910.

Wierzę w Boga w 52 naukach katechizmowych. Ks. Puchalski W. Nakł. autora. Lwów 1910. Str. 421.

Nadesłano do Redakcyi następujące książki:

Egzorty niedzielne, świąteczne i przygodne dla młodz. szkolnej. Ks. dr. Vrana. Nakładem autora. Kraków 1910. Str. 326.

Ochrona dzieci i przymusowe wychowanie zaniedbanej młodzieży. Studyum. Napisał dr. Serkowski J. Tom I, str. 188 u Zienkowicza. Lwów 1911.

Wiosna. Bunikiewicz W. Gebetnher. Warszawa 1911. Str. 59 in 12-o.

Noc i dzień. Lemański J. Gebethner. Warsz. 1911. Str. 288 in 12-o.

Śmierć Felicyana Dulskiego. Opowiadanie G. Zapolskiej. Gebethner. Warszawa 1911. Str. 157 in 12-o.

Św. Kazimierz, królewicz polski, patron młodzieży. Ks. Józefowicz F. L. Wyd. II. Zienkowicz. Lwów 1910. Str. 91 in 12-o. Cena 60 h.

Rachunek sumienia dla duszy dążącej do doskonałości. Permayr Józef T. J. Przekład z włoskiego. Lwów. Zienkowicz. 1910. Str. 112 in 12-o.

Bibl. Uniw. Lud. i Młodz. szk. Nr. 247. Słowacki J. Liryki. — Nr. 149. Fredro: Pan Geldhab. Komedya. — Nr. 155. Naruszewicz: Satyry.

Bibl. Młodz. szk. Nr. 130. Dynowska M. Warszawa. Str. 40, 6 ryc.

Podręcznik do kazań i nauk o Matce Bożej. Ks. Walczyński Fr., kanonik. Tarnów u Jelenia. 1910. Str. 350.

64 Nauk majowych o litanii loretańskiej Ks. Dąbrowski Tomasz. Lwów. Chęciński. 1910. Str. 323.

Kazania o Najśw. Sakramencie. Ks. Gryglewicz Edm. Wyd. 2. Tarnów u Jelenia. 1910. Str. 284.

Przykłady ojczyste. Ks Makłowicz Józef. Tom 2-gi. Lwów. Zienkowicz. 1910. Str. 352. Cena 4 kor.

Kazania na niedziele całego roku. Ks. Adamski J. St. Tow. J. Tom I, str. 473. Nakł. Wyd. Tow. J. Kraków 1910.

Król dziadów. Powieść obyczajowa. Dzierzkowski Józef. Tom I, str. 159, tom II, str. 182. Warszawa. Gebethner. 1910.

Manuela. Opowiadanie starego weterana z kampanii Napoleońskiej w Hiszpanii. Zieliński G. Warszawa. Gebethner. 1910. Str. 190.

Dyplomataryusz dotyczący Żydów w dawnej Polsce. 1388—1782. Bersohn Mathias. Dzieło pośmiertne. Nakł. Rodziny. Warszawa 1911. Str. 266.

Poezye. Zaleska-Saryusz Krystyna. Spółka Wyd. Kraków. Str. 272 n 12-o.

Sztuka rymotwórcza Fr. Ksaw. Dmowskiego. Ks. L. Zalewski. Warszawa 1910. Str. 265.

Nakładem księgarni Gebethnera. Warszawa r. 1910/11.

W szkole przyrody. Opowiadania dla młodego wieku. Gask Lilian. Przełożył S. Barszczewski. Str. 266 in 12-o.

Uczciwa kobieta. Powieść. Marion. Str. 337 in 12-o.

Wiosenne niebo. Poezye. Leszczyński Edward. Str. 132 in 12-o.

Unia. Powieść litewska. Weyssenhof Józef. Str. 446 in 12-o.

PO ANARCHII UNIWERSYTECKIEJ.

Przeczekaliśmy z rozmysłu burzliwą falę wypadków, uderzającą o Uniwersytet Jagielloński, całą fluktuacyę opinii i sądów społeczeństwa, wreszcie niepewność wyroków i enuncyacyi urzędowych. Dziś fale układać się poczynają, burza ma się ku schyłkowi i widnokrąg się wyjaśnia. Cokolwiekby w przyszłości zajść miało, w tej chwili jest oczywistem, że męska stanowczość władzy odniosła w tym okresie zwycięstwo nad rewolucyą, ład społeczny nad anarchią, że zdrowy pierwiastek narodowy tryumfuje nad namiętnością i sofisteryą nienarodowego przewrotu.

W pierwszym rzędzie odniosło świetny sukces przedstawicielstwo Uniwersytetu. Nie chodzi nam o uznanie w parlamencie i w zarządzie ministeryalnym, ale o to jednomyślne zjednoczenie się całego społeczeństwa polskiego z najczcigodniejszą swoją Alma Mater. Rzadko kiedy, w rocznikach innych uniwersytetów, spotkać się można z tym żywym współudziałem całego narodu z losami swojej uczelni, z tą serdeczną sympatyą i z tem moralnem poparciem, jakiem, w ciężkiem przejściu, otoczyło krakowski uniwersytet polskie społeczeństwo. Słowo austryackiego ministra, że to »klejnot polskiego narodu«, oddało wiernie istotę rzeczy.

Ale nie tylko o uniwersytet chodziło tej anarchii, nie tylko o zdeptanie wolności i godności nauki i rozprzężenie akademickiej karności. Zbyt naocznem się stało, że awanturniczym tłumem bezmyślnej młodzieży kierowały z ukrycia inne czynniki, świadome właściwego celu i umiejętnie do tego celu zdążające. Pewne

dalej. Niektóre z tych haseł rzucone były tylko raz, bo ciężarem swego nonsensu utrudniały obieg; inne *mots d'ordre* były przez samych twórców wycofane z kursu; było i tak, że pewnym hasłom, głoszonym z wielką emfazą jednego dnia, na drugi dzień odmawiano wagi i znaczenia, a po kilku dniach wracano do nich ponownie. Wkońcu, gdy wszystko zawiodło, gdy zdrowa logika społeczeństwa wykazała z nieprzepartą siłą bezpodstawność anarchii, ci sami, którzy przed całym światem rozdzierali z patosem szaty, w obronie zagrożonych najwyższych dóbr ludzkości, ci sami wkońcu, z pobożną miną jęli zapewniać, że cała ta burzliwa przeprawa w założeniu swojem nie miała być czem innem, jak tylko niewinnym figlem studenckim, zabawieniem się kosztem profesora. Rzadko kiedy kłamstwo w swojej wiekowej pielgrzymce przez świat, było tak przyparte do muru i rzadko kiedy tak wiło się pod rózgą krytyki.

Powiedzieliśmy, że w cały ten stek sofisteryi nie myślimy wchodzić. Warto jednak zrobić wyjątek i zwrócić choć przelotnie uwagę na jeden moment, moment, który w obozie przewrotowym był uważany za najsilniejszy pocisk a przez społeczeństwo za piętę Achillesową dobrej sprawy. Chodzi o kwalifikacye naukowe ks. Zimmermanna. Rzucono się na tego człowieka z bezwzględnością nieznającą granic. Odmówiono znaczenia całej dotychczasowej jego działalności, zbagatelizowano cały dorobek naukowej jego pracy, a jako cel pocisków wysunięto przygodny utwór literacki, wydany pod pseudonimem. Nikomu na myśl nie przyszło zwrócić uwagę, że zdarzały się po uniwersytetach katedry, obsadzone przez profesorów, którzy ani części tych anneksów naukowych nie mają, jakie ma ks. Zimmermann. Ale mniejsza o to. I tu miało się wkrótce okazać, że kłamstwo ma krótkie nogi. Poważna prasa, jak *Słowo Polskie*, wykazała bardzo przekonywująco, jak doniosłem jest znaczenie pracy ks. Zimmermanna, który, jako uczeń wielkiego Wawrzyniaka, przenieść może na grunt galicyjski to ożywcze ziarno, z którego wykwitła siła Wielkopolski — ludzie zaś zawodowej nauki ocenili bardzo dodatnio plon jego naukowej pracy. Jakby pieczęcią tego uznania były słowa ministra oświaty w parlamencie.

Z haseł, które prowadziły nieopatrzną młodzież do szturmu na uniwersytet przypisujemy pewne znaczenie tylko dwom, nie dla tej racyi, jak gdyby te dwa były w jakikolwiek sposób uzasadnione. lecz li dlatego, że w nich najlepiej przejawia się *signum temporis*. Jako takie wychodziły one w ostatnich czasach niejednokrotnie na arenę i najpewniej nie raz jeszcze będą sztandarem. Roztrząśnięcie treści tych haseł ma to znaczenie, że może na przyszłość wytrącić broń z ręki.

Pierwszem z tych haseł jest klerykalizm.

Nie zatrzymujemy się dłużej nad zastosowaniem tego słowa do obecnej sprawy. W jakikolwiek sposób ktoś zechce to słowo rozumieć, jeżeli nie jest uprzedzony, przyznać musi, że ani uniwersytet krakowski, wogóle, nie wykazuje klerykalnych tendencyi, ani grono profesorów osobiście nie jest klerykalne, ani w obecnej sprawie dopatrzeć się nie można zapędów klerykalizmu. Jak powyżej wskazaliśmy, cała sprawa, tocząca się ściśle podług prawa i uniwersyteckiego regulaminu, obracała się wyłącznie w zakresie fakultetu teologicznego. Chyba, że samo istnienie fakultetu teologicznego jest komuś solą w oku? Z ust strejkujących studentów padło także hasło za usunięciem fakultetu teologicznego z uniwersytetu, i to hasło, pomijając już inne dowody, wskazuje wymownie na pokrewieństwo obecnego ruchu krakowskiego z antyreligijnym ruchem, jaki pewne koła usiłują rozniecić w Austryi. Jest to już jednak ruch i kierunek, który radby zetrzeć z globu ziemskiego wszelki ślad chrystyanizmu, i dla którego istnienie choćby jednego tylko krucyfiksu na świecie byłoby już klerykalizmem.

I tu jesteśmy już przy kwestyi właściwej.

Mamy oczywiście na oku tylko tych, którzy uznają znaczenie katolicyzmu, czy to, jako jego członkowie, czy też jako obserwatorzy, liczący się z faktami i ich istotą, którzy zatem nie daliby nigdy wciągnąć się w walkę z katolicyzmem, a ulegliby może tej pokusie, gdyby chodziło o klerykalizm. Jest coś w tem słowie »klerykalizm«, co ludzi odpycha.

Nie jest łatwo określić granice tego słowa. Słowo to jako hasło, wykluło się dopiero w ostatnich czasach, i jak

każde hasło ogólne, może mieć wiele znaczeń. Analogicznem hasłem przed laty był ultramontanizm, wyraz już prawie wycofany z obiegu, a mimo to nie sprecyzowany w swojem znaczeniu.

Są nieliczni autorowie katoliccy, którzy w dobrej wierze i nie zdając sobie sprawy z konsekwencyi, przyjmują ten wyraz za synonim katolicyzmu; klerykałem, podług nich, jest każdy, kto trzyma z duchowieństwem, a z duchowieństwem trzyma każdy prawy katolik. Można jednak zwrócić uwagę, że klerykalizmów może być tyle, ile jest wyznań religijnych na świecie, że zatem niema wystarczającej racyi, dla którejby katolicyzm tę nazwę sobie przywłaszczał. Główna zaś racya, dla której trudno na powyższe tłumaczenie się zgodzić, jest ta, że wyraz ten ukuty został przez wrogów katolicyzmu w tym celu, by oznaczał coś, co jest złem i błędnem. Socyaliści, którzy głównie do rozpowszechnienia tego wyrazu przyczynili się, twierdzą niejednokrotnie, że katolicyzm, jak każdą inną religię, uważają za rzecz prywatną i nie toczą z nim walki, wypowiadają zaś wojnę klerykalizmowi. Swoją drogą, tak socyaliści, jak i inni przeciwnicy katolicyzmu, robią to zastrzeżenie po to, aby o niem zaraz zapomnieć i podkładają pod wyraz »klerykalizm« wszystko, co jest katolicyzmem. Po większej części jest to zła wola, z którą trudno walczyć; w pewnych jednak razach rzecz może ulegać dyskusyi i dyskusya taka byłaby nieraz bardzo wskazaną.

O ile w tym wyrazie jakiejś idei dopatrzeć się można, ma on oznaczać jakąś władzę i panowanie kleru w nieodpowiedniej mu sferze i w nienależytym kierunku. Najczęściej ten wyraz używany bywa dzisiaj jako synonim dążności kleru do zdobycia politycznej władzy. Ale tem samem prawem rozciągnięty być może na inne zakresy, nad którymi kler, czy to tytułem swej godności duchownej, czy innymi tytułami, usiłowałby zagarnąć panowanie, wykraczając tem samem poza granice właściwej swej misyi.

W ogólnikowem omawianiu tej kwestyi, jak niniejsze, nie miejsce po temu, by wysuwać wszystkie ewentualności i rozstrzygać, czy przekraczają one miedzę graniczną. Taki, na przykład, szereg ewentualności zachodzi zaraz przy wszystkich zakresach, które mają pośredni związek z misyą kapłaństwa. Tam, gdzie

w poszczególnym przypadku wkroczenie w inny zakres jest widoczne, trzeba mieć na oku istotę określenia klerykalizmu, że do jego istoty należy, by kler cały, lub przynajmniej znaczny jego odłam znalazł się na obcym sobie terenie; nie chodzi zaś o jednostkę. Że Talleyrand był ministrem, że ktoś inny był finansowym kierownikiem kraju, to rzecz jednostkowej ambicyi czy zdolności, godna nagany lub pochwały, zależnie od dróg, sposobów, środków i pewnej proporcyi społecznej i obyczajowej, rzecz w każdym jednak razie jednostkowa, nie przesądzająca nic o całym ogóle duchowieństwa. Tam znowu, gdzie o znaczniejszy odłam duchowieństwa chodzićby mogło, należy wziąć pod uwagę pewne dane historyczne lub konwencye społeczne. Zleby, naprzykład, było, gdyby duchowieństwo nie poczuwało się do obowiązków obywatelskich, gdyby nie było patryotycznie usposobionem. Tego domaga się od swego duchowieństwa każde społeczeństwo, a to pociąga już za sobą cały szereg ciężarów i przywilejów, nie wchodzących ściśle w zakres kapłańskiego obowiązku.

Poza temi jednak i podobnemi ewentualnościami, które na istotę rzeczy nie wpływają, klerykalizm, jako taki — jako dążność kleru do zdobycia władzy na terenie wykraczającym za granicę misyi kapłaństwa — jest istocie katolicyzmu nie tylko obcy, ale jest z nią sprzeczny. Istotą kapłańskiego obowiązku w katolicyzmie jest misya, jaką dał mu Chrystus, a więc misya współdziałania w odkupieniu i zbawieniu ludzkości przez szerzenie nauki Chrystusowej i udzielanie Sakramentów. To jest właściwy teren duchowieństwa katolickiego.

Że w historyi były pewne chwile — wtedy szczególniej, kiedy cywilizacyjna misya katolicyzmu, jako jedynego kulturalnego czynnika, była spełnioną — chwile, w których duchowieństwo ten teren w nienależyty sposób przekraczało, wiemy o tem dobrze i piętnujemy to tak samo, jak piętnujemy tyle innych zwyrodnień i wykroczeń obyczajowych. Piętnujemy to dzisiaj zwłaszcza, gdy odczuwamy jak doniosłem jest to, że teraźniejszy widnokrąg katolicyzmu jest pod tym względem czysty i od najlżejszej chmurki klerykalizmu wolny. Rzadko który papież położył tak

silny akcent na zamknięcie się duchowieństwa we właściwym sobie zakresie, jak papież obecny. Dziś zarzut klerykalizmu płynąć może tylko albo z grubego niezrozumienia rzeczy albo ze złej woli.

Płynie najczęściej z błędnego pomieszania pojęcia klerykalizmu z pojęciem katolicyzmu społecznego. Różnica jednak dwu tych pojęć jest bardzo jasna. Gdyby kler, jako kasta, chciał opanować świat, byłoby to karygodnem zboczeniem, gdy jednak katolicyzm, jako idea, chce opanować świat, to spełnia tylko przeznaczenie, jakie tkwi nieprzepartą siłą w każdej słusznej idei społeczno-obyczajowej, spełnia przedewszystkiem misyę, daną mu przez Chrystusa a oddającą mu cały świat aż do skończenia wieków. Ta misya odnosi się nie tylko do jednostkowych sumień, do wpływu na poglądy, zasady i czyny jednostki, ona ma także uszlachetnić i uświęcić stosunki rodzinne, ona również ma wnieść ład w społeczne i to nie tylko jednego społeczeństwa i narodu, ale społeczeństw i narodów wszystkich, każdego z osobna i wszystkich między sobą. Żaden stan, żaden dział pracy ludzkiej, żaden okres cywilizacyi i żaden cywilizacyjny wysiłek nie jest jej obcy — wszystkich i wszystko misya katolicyzmu ma przeniknąć duchem Chrystusowym.

Katolicyzm społeczny, tak pojęty, nabrał żywszego impulsu i wykazał szczególniejszą żywotność w ostatnim okresie, gdy wśród społeczeństw europejskich stanął socyalizm ze swoją materyalistyczną chimerą i zainicyował ruch społeczny, nie tylko sprzeczny z prawem Bożem, ale także z prawem przyrodzonem, grożący nieobliczalnemi klęskami nie tylko dla religii, ale i dla kultury i dla samego nawet dobrobytu powszechnego, w imię którego występował. Przeciwko organizacyom socyalistycznym tworzyć się poczęły organizacye chrześcijańsko-społeczne, natury ekonomicznej, społecznej i cywilizacyjnej, od najdrobniejszych kółek wśród ludu i warstwy robotniczej aż do wielkich kół, obejmujących kraje całe, aż do politycznych organizacyi parlamentarnych. Duchowieństwo wzięło udział w tej pracy, nie powodowane klerykalizmem, ale — pomijając już inne względy — z prostej konieczności, bo w pierwszej chwili brakło wyrobionych w tym

kierunku ludzi. Ten sam był bieg rzeczy, jak w pierwszej części średniowiecza, gdzie katolicyzm, jako jedyny cywilizacyjny czynnik musiał wziąć na siebie całą kulturalną pracę, nawet uprawę roli i trzebienie lasów, lub jak dziś w puszczach Afryki misyonarze kłaść muszą podwaliny społeczne. W miarę wzrostu kwalifikowanych czynników i napływu wyrobionych ludzi, duchowieństwo ustępuje im miejsca, jak to już w ostatnich czasach, co do organizacyi ekonomicznych, rozpoczął przeprowadzać obecny papież.

Jak doniosłą zaś jest ta akcya chrześcijańsko-społeczna także pod względem narodowym, nawet dla doczesnego dobrobytu, najlepszy dowód tego mamy na naszej ziemi w Księstwie Poznańskiem. Dzięki dobrze przeprowadzonej organizacyi chrześcijańsko-społecznej, dzięki udziałowi duchowieństwa w pracy ekonomicznej, na nowożytnych podstawach opartej, podniósł się dobrobyt kraju i powstała silna tama przeciw zalewowi pruskiemu. Ksiądz Wawrzyniak w dziejach naszych porozbiorowych stanowić będzie epokę. Nie najmniejszym zaś plonem tej pracy jest także to, że socyalizm w Wielkopolsce nie zapuścił korzeni i że żydzi opuścili tę dzielnicę. Pod tym ostatnim względem Księstwo Poznańskie dzisiejsze jest najlepszem potwierdzeniem tej prawdy społeczno-ekonomicznej, że »im liczniejszy jest żywioł żydowski, tem niższy jest poziom dobrobytu ludności chrześcijańskiej, i naodwrót, im większy jest postęp gospodarczy, im większą kultura społeczna żywiołu chrześcijańskiego, tem skromniejszą staje się rola mas żydowskich, tem bardziej masy żydowskie cofają się i opuszczają kraj«.

W oświetleniu tej ostatniej prawdy zrozumieć już łatwo, co znaczy zarzut klerykalizmu, zastosowany do sprawy ks. Zimmermanna i do całej afery uniwersyteckiej; zrozumieć też łatwo dlaczego tak wielki udział w tej aferze wzięli socyaliści i żydzi. Obawiano się po prostu, że gdy do tych zawiązków akcyi chrześcijańsko-społecznej, jakie są w Galicyi, przyjdzie z uczniem ks. Wawrzyniaka umiejętny system gospodarki poznańskiej, to łatwo usunąć się może kiedyś grunt z pod nóg. To nie była walka z klerykalizmem, którego ani źdźbła w tej sprawie niema, ale walka z oby-

watelskim duchem księdza Wawrzyniaka i z jego gospodarczym talentem, a raczej z przeniesieniem tych danych na teren galicyjski i co za tem idzie — była to walka ze wzrostem dobrobytu polskiej ludności w kraju.

Oto, gdzie zaprowadził nieopatrzny radykalizm polską młodzież, pozwalającą sobie zawiązać oczy frazesem klerykalizmu.

Klerykalizm podczas anarchii uniwersyteckiej, był zbiorowem hasłem, oznaczającem to, co należy zburzyć. Najgłówniejszem zaś hasłem, w imię którego burzono, była wolność i postęp.

Hasło nie nowe. Już drugie stulecie, jak hasło to jest w obiegu; był więc czas, by je dokładnie poznać i odpowiednie granice słusznemu jego znaczeniu nakreślić. I właściwie nie byłoby potrzeby zwracać na nie uwagi, gdyby nie nowa taktyka, jaka od jakiegoś czasu stale z tem hasłem jest związana. Dotychczas było tak, że cokolwiek nadużywaniu tego hasła zarzucićby można, to jednak przyznać trzeba było, że ci, co się niem posługiwali, czynili to często ze szczerością. Szły za tem pewna tolerancya dla innych przekonań i pewien wzrost szlachetnej humanitarności w ludzkich stosunkach. Nagle od lat kilku sytuacya się zmienia. Zjazdy i pisma tak zwanych »wolnomyślicieli« są jednym stekiem wyzwisk, grubych fałszów, przekręcań cudzych myśli; ani śladu jakiegoś kryteryum, ani szczypty objektywizmu. W życiu politycznem mieliśmy przykład tych wolnościowych usposobień kilkakrotnie we Francyi a ostatnio w Portugalii. Młodzież krakowska, nazywająca sama siebie »postępową«, poszła za tym wzorem. Terror, dziki fanatyzm, deptanie w imię wolności wszelkiego prawa, porządku i wolności drugich, aż do gwałtów publicznych, do rąbania drzwi, oto nowy kurs dzisiejszej wolności.

Nowa ta wolność, którąby nazwać można wolnością pięści i gwałtu, połączyła się w głowie awanturniczej młodzieży z wolnością od wszelkiej odpowiedzialności za przestępstwa. Na jakąkolwiek karę senatu za jedno przestępstwo, odpowiadają drugiem przestępstwem jeszcze większem; wkońcu dochodzi do tego, że odmawiają swego zaufania senatowi i degradują go — szczęściem, w czterech ścianach konwentyklu. Kompletny zamęt pojęć, jakaś

jakobińska nadanarchia! Do tej wolności od odpowiedzialności dołącza się wreszcie wolność od wszelkich uczuć patryotycznych i względów na narodowe dobro. Czy opinia i autonomia polskiego i to Jagiellońskiego Uniwersytetu ucierpi na wzywaniu przeciw niemu wiedeńskiej prasy i wiedeńskich urzędników — czy nie zakrawa na spiskowanie zdrajców owo werbowanie sojuszników przeciw Krakowowi między Niemcami, Czechami i Żydami — te i tym podobne względy nic tę młodzież nie obchodzą.

Pod tym ostatnim względem zdawały się budzić w tej młodzieży jakieś skrupuły, były lękliwe próby uniewinniania się i protestu. Świadczyłoby to, ze ku tej ostatecznej przepaści popchniętą została przez zewnętrzną agitacyę, przedewszystkiem przez agitacyę socyalistyczną, która przez cały ciąg sprawy, w imię tej dzisiejszej wolności, wprost jak szatan kusiła i pchała ekscedentów do najskrajniejszych szaleństw. Nasuwa się tu smutna myśl, jak wyglądałaby ta przyszła Polska pod przewodem socyalizmu? I równocześnie nasuwa się zaraz odpowiedź, jaką dał Sienkiewicz w »Wirach«, w tej właśnie sprawie: »Biada narodom, które kochają więcej wolność, niż ojczyznę!... Co naprawdę zgubiło politycznie Polskę i co gubi obecnie Francyę, która w naszych oczach rozsypuje się, jak beczka bez obręczy? Czy nie ukochanie większe wolności, niż ojczyzny? A drugą myślą, która mi często przychodzi do głowy, jest, że wolność, przechodząca granice zakreślone przez pomyślność i bezpieczeństwo narodu, potrzebna jest tylko dla łajdaków«.

Stwierdziwszy ten nowy, rewolwerowy, rodzaj wolności, stwierdźmy zarazem, że naprzeciw tej, dobrze zorganizowanej, anarchistycznej akcyi, zabrakło organizacyi po przeciwnej stronie. Okazało się dużo dobrej woli, było wielu szeregowców, szukających komendy, ale brakło właśnie wodza i kadrów wojskowych. A jednak moc zła powinna być zrównoważoną przez swoje przeciwieństwo. Nadeszły czasy dziwnego jakiegoś terroru, gdzie radykalizm, ukrywszy pod błyskotliwym płaszczem postępu i wolności sztylet, sam w sobie silnie zorganizowany i skupiony, narzuca gwałtem swoje rządy luźnej i niezszeregowanej większości

społecznej. Czynniki narodowe i katolickie powinny zawczasu przygotować się na idące ruchy z Zachodu i skupić się, celem obrony, w zwartych organizacyach.

II.

Jeszcze rzut oka na czynniki, biorące udział w rozruchach.

Oczywiście, nie może być naszym zamiarem całkowite wyświetlenie sprawy i wszystkich sprężyn w niej działających. Choćby nawet były dane po temu, publicystyka nie zawsze mogłaby się niemi posługiwać.

Tak, jak sprawa na oko się przedstawia, początek rozruchów wyszedł od tej grupy młodzieży, która skupiła się w tak zwanej sekcyi akademickiej Towarzystwa etycznego. Pisaliśmy już o tem obszernie w zeszycie styczniowym *Przeglądu Powszechnego*, gdzie dość również daliśmy dowodów, że duch tego Towarzystwa jest duchem walki z religią i jako taki jest identyczny z masonią. W tem miejscu, w którem omawiamy całą sprawę z ogólniejszego punktu widzenia, szczegół ten ma o tyle znaczenie, że powinien zwrócić uwagę społeczeństwa, iż w życiu jego zaczynają odgrywać rolę nowe czynniki. Występować zaczyna na arenę sekciarski fanatyzm antyreligijny, który ateizm przerafinowanych społeczeństw zachodnich zamierza przeszczepić na grunt polski. Znane są od lat kilku wysiłki Niemojewskiego w Warszawie, który gminy swojej »wolnej myśli« rozsiał już po Królestwie Polskiem, a obecnie zakładać je zaczyna w Galicyi. W ostatniej chwili dochodzi nas pewna wiadomość, że propaganda »wolnej myśli« zaczęła się już także wśród wychodźców polskich w prowincyi nadreńskiej.

Niezależnie od tej agitacyi, zaczęła pojawiać się u nas, w ostatnim czasie, agitacya austryackiej »wolnej szkoły«, instytucyi mającej te same antyreligijne cele Tak więc kilku korytami równocześnie płynąć zaczyna ten kierunek ku nam. Jeżeli zwrócimy uwagę, że kierunek ten znajduje chętnych popleczników w socyalizmie i żydostwie, jeżeli nadto dodamy, że pomienione związki masońskie pozostają w kontakcie z analogicznymi związ-

kami zagranicy, skąd czerpią informacye, impulsy, reklamę prasy i pomoc, to zrozumiemy, że czas ostatni, by ludzie, którym dobro religii jest drogie, rozpoczęli organizować samoobronę. I tu myśl jedna, która może mieć w tej sprawie doniosłe znaczenie. Czy w tej samoobronie przed międzynarodową agitacyą masonii, nie należałoby pomyśleć o pewnym kontakcie z katolikami zagranicy? Czy hasło, rzucone na insbruckim zjeździe: »Katolicy wszystkich krajów jednoczcie się«, nie przyniosłoby nam w niejednym względzie walnej pomocy? Jest pewnem, na przykład, że stanowisko katolickiego dziennika *Reichspost* w sprawie akademickich rozruchów krakowskich, nie pozostało bez wpływu na tok tej sprawy. Myśl, w każdym razie, ważna i warto będzie kiedyś do bliższego jej omówienia powrócić.

Wracając do uniwersyteckich rozruchów, jako drugi czynnik, biorący w nich udział, wymienić należy socyalistów i żydów. Jednoczymy te dwie kategorye w jedno, bo doprawdy, jak sprawa przedstawia się u nas od kilku lat, są one ściśle ze sobą zespolone. Żydzi odgrywali zawsze wielką rolę w socyalizmie, w socyalizmie jednak galicyjskim odgrywają dziś tak decydującą rolę, że socyalizm, jeżeli nie zniknął zupełnie, to przesłonięty jest doszczętnie semickiemi tendencyami. O ruchu społecznym socyalizmu dziś prawie nic się nie słyszy, a w prasie socyalistycznej prawie nigdy spotkać się nie można z jakąś poważniejszą dyskusyą na temat kwestyi socyalnej; natomiast z łamów tej prasy nie schodzą nigdy rozkładowe dążności semickiego ducha.

W sprawie ks. Zimmermanna socyalizm, jako taki, mógł mieć pewien interes, ale interes ten w porównaniu z tym interesem żydostwa, jak go powyżej określiliśmy, był znikająco mały. W każdym razie, socyalizm, a konkretnie mówiąc, poseł Daszyński, biorąc bezpośredni udział w tej sprawie, musiał rozumieć dobrze, że walczy z interesem polskim, i, że w tej walce nawet swój socyalistyczny interes podporządkowuje interesowi żydowskiemu.

Udział żydów w tej sprawie był też nadzwyczajnie intensywny. Istniał najpierw łącznik między żydostwem a masońskiem Towarzystwem etycznem, z którego padło hasło walki, w osobie

d-ra B. Drobnera. *Naprzód* w jednej notatce wzmiankował o propagandzie tego pana, w sprawie »wolnej myśli«. Na jednem z posiedzeń Towarzystwa etycznego podnosił dr Drobner konieczność nawiązania ściślejszych stosunków z analogicznymi związkami zagranicy. Że te stosunki sam utrzymywał, świadczy najlepiej kursujący po Krakowie egzemplarz odezwy berneńskiego związku etycznego, w której na miejscu szwajcarskiego agitatora Forela, figuruje nazwisko d-ra Drobnera, jako tego, do którego należy się zwracać. Wkrótce też potem, mniejsza już o to, jaką drogą, pojawił się widomy znak pewnej komunikacyi Towarzystwa etycznego z zagranicą, bo na pierwszą wieść o rozruchach uniwersyteckich napływać zaczęły telegramy od związków bratnich świata całego. Na koniec tej uwagi o stosunku żydów do Towarzystwa etycznego, wystarczy tylko wspomnieć o przyjacielskiej roli, jaką odegrał *Naprzód.* Decydujące stanowisko *Naprzodu* w sprawie następnych rozruchów zbyt jest znane, żeby o niem wzmiankować trzeba. Zbyteczną jest także wzmianka o walnej pomocy, jakiej udzieliła ekscedentom *Neue freie Presse.*

O bezpośrednim udziale w anarchii żydów-socyalistów pisano już wystarczająco gdzieindziej. Ważniejszym jednak jest udział żydów-syonistów, jako tych, którzy przedstawiają ideę żydowską bez przymieszki. Początkowo odepchnięci przez młodzież postępową, gromadzą się na komersie w hotelu londyńskim i tam, mimo wszystko, postanawiają brać udział w akcyi akademickiej. Rezolucya, jednogłośnie przyjęta, wypowiada zaciętą walkę klerykalizmowi. Walkę tę pojęli też na seryo. Przy rewolucyjnym szturmie na uniwersytet widzieć można było tłumy całe żydostwa, nie tylko akademików, ale i typy z Kazimierza biorące bezpośredni udział w awanturze. Jakby dopełnieniem miary było pojawienie się posła Grossa w sali Kopernika.

Sprawa anarchii uniwersyteckiej, poza całą swoją doniosłością, ma szczególne swoje znaczenie i w tem, że stała się widownią, na której po raz pierwszy wystąpiły pewne zjawiska społeczne. Po raz pierwszy na tej widowni wyszła na światło dzienne masonia, tam też stało się naocznem prowokacyjne stanowisko żydostwa wobec narodu polskiego. Nie po raz pierwszy zaszła

ta prowokacya, bo świadkiem niesłychanej prowokacyi była niejednokrotnie i jest po dziś dzień Warszawa, prowokacyi niejednej dopuścił się syonizm, prowokacya tkwiła w niejednym szczególe ankiety żydowskiej we Lwowie. Ale w prowokacyi krakowskiej tkwi szczególniejszy stopień zniewagi. Uniwersytet krakowski jest klejnotem narodu i jego świętością, jest jednym z nielicznych a widomych symbolów duszy polskiej. Jeżeli dodamy, że podwaliny tego uniwersytetu kładła ta sama ręka, która żydów wpuściła do Polski, to zrozumiemy, że szturm żydów na tę szkołę jest zadeptaniem ostatniego śladu, mogącego im przypominać dobrodziejstwo narodu, wśród którego żyją. Jaskrawy dowód, iż taki moment psychologiczny tkwił w tym kroku jest ten, że zaraz nazajutrz, po szturmie na uniwersytet, ośmielił się syonista Seliger mieć mowę w Krakowie, w której wzywał do wyrzucania z rodzin żydowskich języka polskiego, jako języka umarłych.

Stwierdzamy tylko fakty, które same, swą potężną wymową, muszą mieć wpływ decydujący na dalsze ukonstytuowanie się stosunku społeczeństwa polskiego do żydostwa.

I jeszcze jedno zjawisko społeczne pojawiło się na tej widowni po raz pierwszy w tej dzielnicy...

Nihilizm rosyjski.

Z niezmierną przykrością stawiamy ten wyraz, ale stawiamy dlatego, że tłumaczy on poniekąd wypaczone umysły młodzieży z Królestwa. Wychowana w szkołach rosyjskich, w atmosferze nihilizmu etycznego, wśród zamętu ostatniej rewolucyi, młodzież ta nie zdaje sobie niejednokrotnie sprawy, jak daleko odbiegła od poczucia zmysłu etycznego, społecznego, a przedewszystkiem narodowego.

Żywioł rewolucyjny, żywioł anarchistyczny, żywioł nihilistyczny — oto przekrój duszy znacznej części tej młodzieży. Jako pewnik stawiają niektórzy, że gdyby nie młodzież z Królestwa, rozruchy nie byłyby doszły do skutku; hasło rzucone przez innych ona wprowadziła w czyn.

Młodzież ta, aż po ostatnie czasy, z entuzyazmem była witaną w naszej dzielnicy. Ale entuzyazm począł powoli chłodnąć

wobec protekcyonalnego tonu, z jakim młodzi ci ludzie jęli traktować Galicyan; chłód zaś ten był tem bardziej zrozumiały, że dziś, niestety, Warszawa nie ma czem imponować Krakowowi. Cóż dopiero, gdy wyszły na światło przekonania i usposobienia przybyszów! Dziś już niejednokrotnie słyszeć się dają projekty, jeżeli nie izolacyi Królestwa, to przynajmniej jakiejś ideowej kwarantanny dla zakordonowych gości.

Nie byłoby to dobrze. Pomijając już naukowe znaczenie polskiego uniwersytetu dla umysłów, wychowanych w szkole rosyjskiej, stwierdzić trzeba, że sam pobyt w krakowskiej atmosferze działa zbawiennie na przybyszów. Po kilku latach pobytu w Krakowie znaczny procent tej młodzieży przychodzi do pewnego otrzeźwienia; otwierają się okna duszy na nowe widnokręgi, nawet obyczajowe i religijne.

Gościnność jednak i serdeczność, z jaką wita się tę młodzież, nie powinna — jak podniesiono to już gdzieindziej — zamienić się w sentymentalizm, posunięty aż do zapomnienia o obowiązku narodowym i społecznym. Nie rządzić przychodzi tu ta młodzież — tem mniej uprawiać terror i rewolucyę — ale kształcić się i uczyć.

Oto, najogólniejsze refleksye, jakie nasuwają się myśli po anarchii uniwersyteckiej. Klęska żywiołów przewrotowych wskazuje, że znaczna siła i czerstwe zdrowie ożywia jeszcze społeczeństwo. Niemniej jednak potrzebną jest czujność.

Ks. J. Pawelski.

ZANIK WPŁYWU RASY ŁACIŃSKIEJ.

Przez dziesiątki lat ostatnich zostawaliśmy niemal wyłącznie pod wpływem kultury niemieckiej. Nawet dziś jeszcze, mimo że coraz silniej przejawia się dążność do otrząśnięcia się z jej więzów, nacisk umysłowości niemieckiej jest u nas bardzo silny. Właśnie dlatego mimowolnie zakorzeniło się pewne zobojętnienie a może nawet i zlekceważenie cywilizacyi zachodnio-europejskiej. A jednak całą nowożytną kulturę literacką i społeczną zawdzięczamy w najznaczniejszej mierze narodom łacińskim. Włochy najpierw, potem Hiszpania i Francya były temi ogniskami, z których nowe myśli promieniowały na inne kraje. Nawet gdy Anglia w dziedzinie intellektualnej dorównała, a częściowo nawet wyprzedziła ludy łacińskie, nie można było mówić o współdziałaniu kultury germańskiej, bo cywilizacya anglo-saksońska zachowała bardzo niewiele pierwiastków germańskich, zlanych z rodzimymi brytańskimi i normandzkimi. Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że śmiałość myśli, zdolność ujęcia całokształtu jakiegokolwiek zagadnienia z ogólnego, nie gubiącego się w szczegółach stanowiska, wreszcie bogactwo inwencyi jest z pomiędzy starszych cywilizacyą narodów, przedewszystkiem własnością rasy łacińskiej i angielskiej. Zanik czy nawet zmniejszenie jej wpływu na innych, pozbawia cywilizacyę najważniejszego czynnika postępu — nowej myśli. W miejsce jej wchodzi gruntowne i do ostatnich szczegółów i konsekwencyi doprowadzone opracowanie rzeczy już znanych, zadanie niewątpliwie użyteczne i potrzebne, ale drugorzędne,

nie zastępujące ani w części tej akcyi, która duchowi ludzkiemu nowe otwiera dziedziny. Niemcy, już wskutek swoich rasowych właściwości, uzdolnieni przedewszystkiem do tej skromniejszej roli, wycisnęli bardzo wyraźne jej piętno na wszystkich działach wiedzy, w których w ostatnich czasach objęli przodownictwo. Stało się to przedewszystkiem w naukach społecznych. Od pół wieku postąpiły one nader nieznacznie naprzód, bo brak im pierwiastka ożywczego, którego od rasy germańskiej uzyskać nie mogą. A łacińska straciła swe stanowisko i dzisiaj rzadko tylko, chyba przebłyskiem jakiejś wyjątkowo uzdolnionej jednostki, wpływa na kształtowanie się myśli ludzkiej.

Szkody stąd dla cywilizacyi bardzo znaczne, a jeszcze większa dla rozwoju ducha ludzkiego wogóle. Narody łacińskie, w swem życiu codziennem przeważnie bardzo praktyczne i wyrachowane, w sferę myśli wprowadzały zawsze pierwiastek idealistyczny. Wszak wszyscy znamy doktrynerstwo Francuzów w dziedzinie kulturalnej, społecznej czy politycznej. Każdą ideę doprowadza się tam do ostateczności; hołduje się jej z prawdziwym fanatyzmem, nie oglądając się na żadne inne względy. Ma to niewątpliwie swoje złe strony, sprowadza nieraz nieznośną ciasnotę, wiedzie do ucisku i teroryzmu — lecz o ile jest wypływem dobrej wiary, jest z pewnością wyraźnym przejawem idealizmu. Fanatyk i doktryner tylko dlatego nie widzą — a może nawet niekiedy nie chcą widzieć — błędów swojej tezy, że jest ona dla nich tym w danej chwili najważniejszym i najlepszym postulatem, którego przeprowadzenie zapewni dobro ogólne. Jeżeli ich myśl jest zupełnie poroniona, ludzkość przekonywa się, że nie powinno się kroczyć po tej nowej drodze, że niema tam tego ideału, o którym się marzy. Częściej wypadnie ją tylko umiarkować, uwolnić od przesady, ażeby uzyskać zdrowe ziarno. Wtedy bogacimy się o coś nowego, dotąd nieznanego, postępujemy naprzód w naszym rozwoju. Ten fanatyzm i doktrynerstwo stają się w każdym razie użyteczne, czy to w sposób negatywny, czy pozytywny, stwierdzeniem błędu, lub prawdy.

O Niemcach mówiono w swoim czasie, że są narodem ideałów i marzeń. To mniemanie, wywołane ich poezyą a po części

i filozofią, okazuje się zupełnie mylnem, gdy się przypatruje choćby powierzchownie wpływowi niemieckiemu w dziedzinie cywilizacyjnej. W nauce i w polityce wybija się u Niemców z ogromną siłą zmysł praktyczny, który nakazuje myśleć o zaspokojeniu najbliższej, dzisiejszej potrzeby, a pominąć wszystko to, coby mogło wstrząsnąć obecnymi warunkami codziennego życia, albo też coby stanowiło jakiś program w wielkim stylu, zbytnio odbiegający od istniejących stosunków i poglądów. Występuje to bardzo wyraźnie na każdem polu. W nauce Niemcy opracowują najczęściej problematy rzucone przez innych, wypełniają ramy, w których zagadnienie im przedstawiono, wyjaśniają, uzasadniają i tłumaczą, co inni wynaleźli, odkryli lub przeczuli. Romantyzm początku ubiegłego wieku idzie za przewodem Anglii, w końcu tego samego stulecia nadaje piętno literaturze niemieckiej naturalizm francuski. Polityka cesarstwa idzie śladem Anglii i Francyi, gdy państwa te staczały długoletnie boje, widząc swą przyszłość w opanowaniu oceanów i w rozroście swych kolonii; wewnątrz państwa stosuje się zasadę centralizacyi i unifikacyi narodowej, a o ile możności i religijnej — system zastosowany zręczniej i mniej brutalnie we Francyi już za Richelieugo i Ludwika XIV. Nawet dwie kreacye, pozornie czysto-niemieckie, militaryzm pruski i socyalna demokracya, opierają się na ideach francusko-angielskich. Powszechna służba wojskowa wraz z obroną krajową, którym Prusy zawdzięczają fenomenalny wzrost swej potęgi, są w gruncie rzeczy niczem innem, jak zastosowaniem i udoskonaleniem konskrypcyi napoleońskiej i gwardyi narodowej francuskiej z czasów rewolucyi; Marx rozprowadził tylko i uzupełnił myśli całego szeregu komunistów angielskich i francuskich, począwszy od Godwina, Owena i Fouriera — nadając ich systemom cechy bardziej praktyczne. Wkońcu w nauce nie mogą się Niemcy poszczycić prawie żadną osobistością, któraby ludzkości otworzyła nowe widnokręgi. W filozofii i matematyce, w naukach przyrodniczych i społecznych, musimy prawdziwie wielkich gieniuszów szukać poza Niemcami — głównie we Włoszech, Anglii i Francyi, niekiedy w skandynawskiej północy lub Słowiańszczyznie.

Niemcy wydoskonalają i opracowują wszystko, tak, że nieraz

dopiero po ich pracy, myśl dawniej rzucona staje się prawdziwie użyteczną i twórczą. Jest to więc robota nader konieczna, przynosząca niespożyte korzyści ludzkości, ale jej zakres i rozmiar nie może sam przez się wystarczyć dla ducha. Po pewnym czasie, gdy się już wszystko stwierdziło, uzasadniło i pogłębiło, gdy rzecz całą przedstawiono już metodycznie i systematycznie — okazuje się brak nowej myśli, t. zn. właściwego terenu dla pracy umysłowej. Rozpoczyna się więc, że tak powiem, przeżuwanie dawniejszych myśli, silenie się na wyszukanie czegokolwiek, o czemby tam jeszcze zapomniano, gubienie się w balaście niepotrzebnej erudycyi i szczegółów, jednem słowem rozpoczynają się opracowania, które nazywamy typowo-niemieckiemi. To już nie praca dla szukania prawdy, lecz jedynie dla napisania większych i mniejszych, lepszych lub gorszych dzieł i artykułów: to okres dla rozwoju nauki i cywilizacyi niemal zupełnie stracony.

A jednak mimo tych wszystkich braków wpływ umysłowości germańskiej jest dziś niewątpliwie silniejszy, od oddziaływania rasy łacińskiej. Czemu to przypisać, oto jest pytanie z pewnością doniosłe, gdyż, jak zaznaczyłem już poprzednio, wraz z usunięciem przyczyn, które ścieśniły ekspanzyę duchową południowozachodniej Europy, usuwa się zarazem jedną z poważniejszych przeszkód postępu.

We Francyi rozumieją i skarżą się już od dłuższego czasu na zmianę stanowiska zagranicy wobec literatury francuskiej. Dawniej zajmowała ona wszędzie pierwsze miejsce po literaturze własnej, w wielu krajach szła nawet przed nią, obecnie rola jej jest już znacznie skromniejsza. Język francuski do niedawna jeszcze posiadał charakter międzynarodowego języka, pośredniczącego w cywilizowanym świecie, tak jak niegdyś grecki, łaciński, a potem włoski; teraz zajmuje jego miejsce angielski, a w pewnej mierze nawet i niemiecki. Kilkadziesiąt lat temu polityk czy uczony, chcąc zapoznać szerszy ogół ze swemi myślami, pisał po francusku, bez względu na swą narodowość, akademii paryskiej komunikował przedewszystkiem swe odkrycia, w francuskich pismach ogłaszał swe artykuły — teraz skończyło się to prawie zupełnie.

Różne przytacza się powody tej zmiany. Szukają ich w wzmo-

żeniu się poczucia narodowego i wykształceniu literatury i języka innych narodów, wskutek czego przewaga rodzimego języka staje się coraz większa; w ogromnym rozwoju handlu i przemysłu, który sprawia, że narody bardziej od Francyi ruchliwe i uprzemysłowione — jak Anglia, Niemcy, Stany Zjednoczone — propagują u innych swój język, a w ślad za tem i literaturę; w zmianie polityki z europejskiej w wszechświatową, dzięki czemu język angielski, panujący poza Europą, zyskuje uprzywilejowane stanowisko. Wszystkie te czynniki oddziałały z pewnością z wielką siłą, lecz nie są one główną przyczyną zjawiska, o którem tu chodzi. Zmniejszenie się znajomości języka i literatury francuskiej poza granicami ich ojczyzny nie jest bowiem objawem samodzielnym, lecz tylko konsekwencyą innej, dużo ważniejszej zmiany, mianowicie zmniejszenia się wogóle cywilizacyjnego wpływu Francyi.

Jest to rzeczą na pierwszy rzut oka dziwną, lecz niemniej historycznie stwierdzoną, że wpływ cywilizacyjny jakiegokolwiek narodu, zależy nie tyle od jego działalności intellektualnej, ile raczej od jego cnót polityczno-społecznych. Można twierdzić z wielką słusznością, że promieniowanie duchowe narodu stoi prawie w prostym stosunku do jego publicznego ducha. Nie chodzi tu bynajmniej o potęgę państwową, lecz o zrozumienie i stosowanie się do wszystkich obowiązków narodowych i socyalnych całego ogółu, choćby politycznie rozbitego lub słabego. Naodwrót znowu, nawet potężny organizm państwowy nie oddziaływa na umysły zagranicy, jeżeli ta siła jest tworem państwa, jego organów lub pewnej ilości wyjątkowo uzdolnionych jednostek, a nie współdziałania całego społeczeństwa. W starożytności Grecya i Rzym wycisnęły piętno na kulturze ówczesnego świata głównie w tym czasie, gdy kwitnęły tam cnoty obywatelskie, jakkolwiek Grecya była podzielona na drobne państewka, a Rzym nie doszedł jeszcze do swej wszechwładzy. Arabowie na Wschodzie a Włosi na zachodzie zajęli pierwsze miejsce pomiędzy ludami, jakkolwiek dawny jednolity kalifat ustąpił miejsca licznym mniejszym państwom, a Włochy składały się z wielu małych księstw i republik. Ale podział polityczny, nie naruszył jedności społeczno-

narodowej i w niej tkwiła ta siła, której poddawali się mimowolnie inni.

Podobnie rozwijały się także stosunki we Francyi. Objęła ona spadek cywilizacyjny po Włochach i Hiszpanii w ciągu szesnastego stulecia i przez trzy wieki z Francyi wychodziło wszystko, co było nowem — złe czy dobre — Francyę naśladował świat cały. Przełomem stała się tu wielka rewolucya. Dawny ustrój królestwa utrzymać się nie mógł, zbyt był szkodliwym dla ogółu, zbyt mało liczył się z potrzebami i dążeniami narodu. Rewolucya francuska była więc naturalną konsekwencyą poprzednich rządów i prędzej lub później nastąpić musiała. Lecz gdy raz wybuchła przeszła daleko poza granice tego, co dla społeczeństwa było użytecznem. Obojętną jest rzeczą, dlaczego to się stało, wystarczy stwierdzić, że rewolucya nie ograniczyła się — jak to było sto lat wcześniej w Anglii do usunięcia nadużyć i wprowadzenia nowej formy rządu, lecz doprowadziła kraj do zupełnej dezorganizacyi tak wewnętrznej jak i zewnętrznej, do obalenia wszystkiego, co pochodziło z dawniejszych czasów, tak w dziedzinie materyalnej, jak i duchowej.

Rewolucya francuska zmierzała do zapewnienia panowania zupełnie słusznym a szczytnym zasadom — wolności, równouprawnienia i braterstwa. Lecz tak dotychczasowy rozwój Francyi, jak indywidualne namiętności i okoliczności przypadkowe sprawiły, że do przeprowadzenia tego programu użyto środków, które pociągnęły za sobą bardzo daleko idące, a nader szkodliwe następstwa. Feudalny ustrój francuski, ze wszystkiemi swemi nadużyciami, nagromadził u upośledzonych i pokrzywdzonych bardzo wiele goryczy i nienawiści a zarazem instynktowne przeświadczenie o ogromie siły po stronie uprzywilejowanych. Reformy rewolucyi nie ograniczyły się przeto do zmiany stosunków prawnopolitycznych, lecz stanowiły zarazem i odwet za winy dawniejsze i zabezpieczenie przed powrotem stosunków, które obaliły na razie. Sprowadza się więc niwelacyę społeczną i majątkową, stosuje się represyę i terroryzm do przeciwników lub podejrzanych. Co więcej, tak obawa powrotu tamtych do władzy, jak i pragnienie zemsty sprawia, że zasadą polityczną staje się złamanie

wszelkiego dawniejszego prawa i wszystkich od dawna istniejących instytucyi. Nie zmienia się, nie reformuje, lecz burzy się wszystko, ażeby dopiero na gruzach postawić nowy gmach, który z dawnym nie miałby absolutnie nic wspólnego. Prąd ten niszczenia prowadzi do niekulturalnych a nawet wprost szalonych czynów; niszczy się zabytki sztuki i archiwa, burzy się gmachy, które stały od wieków, a obok tego zmienia się nazwy miejscowości i kalendarz — wprowadza nową religię.

Jak wiadomo, rewolucya francuska nie osiągnęła pod tym względem zamierzonego celu. Mimo wszystko, wiekowy ustrój ukazał się silniejszym od woli kierujących jednostek, tak że po bardzo krótkim czasie, po kilku zaledwie latach, stosunki zaczęły się układać tak, jak się kształtowały dawniej, oczywiście z wyjątkiem kwestyi ściśle politycznych. To też już konsulat i cesarstwo, a później restauracya i lipcowa monarchia, opierają się na zasadach, które pod względem społeczno-kulturalnym niewiele tylko się różnią od ustroju dawnego królestwa.

Pomijając akcyę drugorzędną, która była tylko wynikiem zasadniczego programu taktyki rewolucyjnej, można powiedzieć, że twórcy i przywódcy rewolucyi francuskiej, zdążali do wykorzenienia wszystkich tych zasad i zapatrywań, które, ich zdaniem, stanowiły trwałe podwaliny obalonego królestwa. Z tego powodu zwalczano wszelkimi sposobami ideę legitymizmu monarchicznego, gdyż groziła ona ułatwieniem powrotu usuniętej dynastyi, ustrój religijny kraju, bo Kościół uważano za sprzymierzeńca monarchii wreszcie wszelkie zróżniczkowanie klas społecznych, jako ułatwiające wytworzenie się warstwy panującej, która we własnym interesie zdążałaby do odnowienia monarchicznej formy rządów.

Na razie skutki tego programu, konsekwentnie i bezwzględnie przeprowadzonego nie wydawały się szkodliwe. Ogromna większość narodu, uszczęśliwiona zniesieniem dawnego ucisku, stanęła po stronie rzeczypospolitej; wojna, którą Francyi wypowiedziała cała niemal Europa, wzbudziła gorące uczucie patryotyzmu; wreszcie żelazne rządy komitetu dobra publicznego i konwentu, nie dopuszczały do rozluźnienia węzłów polityczno-narodowych.

Wkrótce jednak okazało się, że to, co miało zająć miejsce zniszczonych zasad organizacyi społecznej, wystarczającem nie jest. Szybko przeszło pierwsze oszołomienie wolnością, której nie było, bo każdego przeciwnika panującego systemu politycznego posyłano na szafot — i równością, która również, wobec despotyzmu rządu i ogólnego upadku materyalnego, była czysto iluzoryczna. Zapał patryotyczny przeminął również prędko; wojska rzeczypospolitej, która w pierwszych dwóch latach miała więcej ochotników, niż ich mogła użyć, topniejąc w ciągłych walkach doszły w trzecim roku do tego, że musiano wprowadzić przymusowy pobór, ażeby kadry doprowadzić do odpowiedniej siły. Żądanie pokoju i spokoju stało się powszechnem; ubodzy domagali się pomocy w swym niedostatku, zbogaceni pragnęli używać zdobytych bogactw. W kilka lat po upadku królestwa kraj cały znajduje się w stanie zupełnej dezorganizacyi i anarchii, w licznych okolicach tworzą się formalne bandy zbójeckie; na czele rządów, które zresztą zmieniają się bezustannie, stają ludzie, którzy władzę swą wyzyskują niemal wyłącznie w celach egoistycznych — hasło bogacenia się i używania za każdą cenę staje się powszechnem.

I rozwój ten był zupełnie naturalny. Obalono ideały, prawa czy zasady, z któremi ludność zżyła się przez wieki — wprowadzono zamiast tego nowe. Te jednak nie miały dostatecznej trwałości; działały na razie, gdy entuzyastycznie przyjęte, nie spotykały się z żadną krytyką, stały się bezsilne, skoro raz zaczęto się im przypatrywać krytycznie. Wolność i równouprawnienie przyjęło społeczeństwo jako podwaliny ustroju, który miał zapewnić szczęście wszystkim; gdy okazało się, że mimo zmiany politycznej szerokie sfery cierpią nadal niedostatek, że są jak dawniej pod władzą potężniejszych i bogatszych, a cała różnica polega tylko na zmianie panujących osób — wtedy dążenie do poprawy materyalnego bytu, jako jedyny cel każdego, musiało się stać powszechnem. Okazało się, że ani forma rządu, ani zasady prawa nie dają szczęścia; zwrócono się więc ku rzeczom, które w codziennem życiu decydowały o losie człowieka, przynajmniej zewnętrznie: ku materyalnym środkom.

To zmaterya lizowanie społeczeństwa — u góry i u dołu —

sprowadziło te ciągłe walki i spory wewnętrzne, tę dezorganizacyę, w którą popadła Francya w latach 1795—1799. Walka o byt, była wówczas identyczną z walką o władzę, bo kto miał władzę, ten mógł się wzbogacić — i rzeczywiście bogacił się prawie każdy.

Anarchia wewnętrzna obala rzeczpospolitą i wprowadza na tron Napoleona. Rozumie on doskonale, że trwałość jego rządów, a nawet i byt kraju zależy od ponownego zbudowania podstaw społecznych, które rzeczpospolita zburzyła. W czasie jego panowania widzimy też powrót we wszystkich zasadniczych kwestyach do dawnego ustroju. Po krótkim okresie form republikańskich przechodzi Francya do systemu monarchicznego; konkordat uchyla walkę z Kościołem, wielkie donacye i wysokie tytuły przyznane najwybitniejszym osobistościom republikańskim, tworzą nową arystokracyę, a tem samem i zróżniczkowanie klas społecznych; zupełna reforma administracyi buduje silne scentralizowane państwo.

W pierwszych trzydziestu latach XIX stulecia wpływ Francyi zdawał się raczej wzrastać, niż maleć, wbrew temu, co nadmieniłem poprzednio. Jednakże w tym czasie działały przyczyny specyalne, które sprawiły, że na pozór przynajmniej skutki gwałtownej przemiany pojęć we Francyi nie odbiły się na jej stosunku do zagranicy. Przez cały czas pierwszego cesarstwa sława wojenna, a przedewszystkiem polityczna hegemonia Francyi zapewniała jej wyjątkowe stanowisko; za czasów restauracyi walka przeciw królestwu, które coraz dalej szło w ograniczaniu i znoszeniu zdobyczy politycznych wielkiej rewolucyi — walka o wolność stawała się wzorem dla innych krajów, rządzonych jeszcze absolutnie. Lecz jest to wpływ wyłącznie polityczny, bo przed ideowym zagranica broni się coraz silniej. Emancypacya z pod intellektualnej hegemonii Francyi, która w Niemczech budzi się już w początkach ubiegłego stulecia, robi i w innych krajach coraz większe postępy. Zawsze jeszcze z Francyi idą wolnościowe i liberalne prądy do reszty Europy; poddaje się im, przyjmuje się je niemal bez zastrzeżeń, naśladuje się ślepo francuskie metody walk i sporów politycznych — ale ten wpływ, jaki mieli na ukształtowanie się myśli ludzkiej encyklopedyści, to bezwzględne poddanie się doktrynom Diderota, Voltairea a przedewszystkiem Rousseaua, to

niewolnicze naśladowanie literatury francuskiej już powoli ginie. Taktykę i programy polityczne przywozi się jeszcze z Paryża, bo tam są najbardziej wyszkoleni i doświadczeni na tem polu działacze, lecz bierze się to nie tak jak dawniej dlatego, że francuskie, lecz dzięki temu, iż rozwój stosunków we Francyi dostarczył jej możności szerszej i lepszej akcyi parlamentarnej.

Z chwilą, gdy lipcowa monarchia bierze spadek po restauracyi i ten wpływ powoli zanika. Prawda, że jeszcze w r. 1848 rewolucya z Paryża rozszerza się niemal na cały europejski kontynent, lecz to już nie wpływ Francyi, tylko rezultat sukcesu. Wszystkie niezadowolone żywioły, w zwycięstwie rewolucyi w Paryżu czerpią nadzieję, że i im również się powiedzie; rządy kontynentalne, oszołomione nagłym upadkiem Ludwika Filipa, obawiając się podobnego losu, wchodzą na drogę ustępstw.

Dwudziestolecie drugiego cesarstwa zapewnia znowu Francyi przeważający wpływ polityczny, nie oddaje jej jednak utraconego przodownictwa cywilizacyjnego. Coraz wyraźniej widać w Europie najpierw wpływ niemiecki — dość wspomnieć o bałwochwalczem niemal wielbieniu przez pewien czas Hegla, Schoppenhauera, Nietzschego, o sile atrakcyjnej niemieckich uniwersytetów, o wpływie niemieckiego dziejopisarstwa, kierunków prawa i ekonomii, nawet socyalizmu — a potem angielski.

Najwyraźniej występuje to w czasach trzeciej rzeczypospolitej, w ostatnich latach kilkudziesięciu. Francya pobita przez Prusy traci na dłuższy przeciąg czasu swe mocarstwowe znaczenie, stąd też stosunki polityczne nie zaciemniają obrazu społeczno-cywilizacyjnego. Widocznem już jest przeto, że Paryż przestał być stolicą cywilizowanego świata, widocznem do tego stopnia, że sami Francuzi to dostrzegli — i skarżąc się na zanik — powolny może, ale stały — swego wpływu, zaczęli szukać przyczyn tego zjawiska.

Przyczyną są tu ostateczne konsekwencye tych czynników rozkładowych, które od wieku przeszło, bo od czasu rewolucyi działają we Francyi, a które drastycznie dałyby się zamknąć w twierdzeniu, że życiowem hasłem stała się tam zasada: precz z ideałami, należy używać życia.

Guizot — jak wiadomo głowa partyi doktrynerów francuskich,

za najważniejszy postulat każdego narodu uznał tendencyę bogacenia się. Dążność ta, jak widzieliśmy, była naturalnym wynikiem przewrotów rewolucyi, Guizot sformułował jedynie teoretycznie to, co już stało się przewodnią ideą generacyi, do której należał. Nieszczególnie przedstawiają się już tam stosunki, gdzie dążność do bogactwa jest najwyższym ideałem każdego, gdzie troska o dobrobyt przoduje przed wszystkiemi innemi. Lecz nawet takie, czysto materyalne tendencye jeszcze w rozmaity mogą się przejawiać sposób, mogą działać lepiej lub gorzej na społeczeństwo. Pragnienie bogactwa może człowieka skłonić do wytężenie energii, może go zachęcić do wysiłku pracy, zrobić go ruchliwym i przedsiębiorczym. Z pewnością takie skupienie całej swej istoty w tej jednej dążności nie jest bynajmniej wskazane, lecz dążenie do majątku może się stać ideałem, nizkim wprawdzie, lecz posiadającym bądź co bądź potężną siłę, która stanowi olbrzymi bodziec dla pracy ludzkiej.

Tak pojmują hasło bogacenia się społeczeństwa anglo-saksońskie, przedewszystkiem Stany Zjednoczone. Tendencya do gromadzenia bogactw nie występuje tam dla używania życia, lecz jest celem sama w sobie; do końca życia nie ustaje się tam w pracy i pogoni za złotem, nikt nie powiada, że ma już dosyć i przyszedł czas na spoczynek. Walkę o złoto prowadzi się tam z całą bezwzględnością, nie przebierając bynajmniej w środkach, ale wraz z nią hartują się charaktery, jednostki zdobywają się na nieprzebrane wysiłki energii, duch przedsiębiorczy przenika całe społeczeństwo.

Zupełnie inaczej jest we Francyi. Podczas gdy Anglik czy Amerykanin ma ciągle cel przed sobą, ciągle zbiera i gromadzi, bo w samem gromadzeniu, w tej potędze, jaką daje wielki majątek, widzi główny cel swych wysiłków, Francuz bogactwo traktuje jako zabezpieczenie swej przyszłości i niezbędny środek używania życia. Im szybciej zbierze tyle, ażeby mógł żyć wygodnie i szczęśliwie według swej myśli, tem lepiej; im łatwiej, z mniejszym mu to przyjdzie wysiłkiem, tem bardziej jest zadowolony. Pragnienie złota sprowadza i w Anglii czy w Ameryce stosunki nader niezdrowe, lecz obok tego przyczynia się do rozwoju do-

datnich sił w społeczeństwie, nie dopuszcza do rozpaczy tych, którzy cierpią niedostatek, bo przyświeca im nadzieja polepszenia swego bytu; nie pozwala żyć w gnuśnej rezygnacyi, nie prowadzi do bezczynności. We Francyi w miarę tego, czy pożądania czyjeś są kosztowniejsze czy skromniejsze, jeden będzie dłużej drugi krócej pracował, każdy jednak pragnie jak najprędzej przejść do klasy bezczynnej, a używającej. A jeżeli warunki polityczne, wpływy, na które może liczyć, stosunki osobiste i t. p. umożliwiają mu osiągnięcie zamierzonego celu bez pracy, jeżeli tę kwotę, którą dla swego życia uważa za potrzebną, uda mu się zdobyć bez żadnego wysiłku, natenczas korzysta przedewszystkiem z tej drogi, bo ona uwalnia go od pracy.

Tem właśnie tłumaczy się to dziwne na pozór zjawisko, że Francya, jeden z najbogatszych na świecie krajów, to społeczeństwo, dla którego dobrobyt materyalny stał się niemal wszystkiem, zostaje w tyle poza innemi na wszystkich niemal polach ekonomicznej działalności. Francuski przemysł i handel, marynarka handlowa i górnictwo, koleje, drogi, kanały, nawet rolnictwo — słowem całe gospodarstwo narodowe francuskie niezbyt dawno jeszcze po angielskiem najwięcej rozwinięte, w niektórych kierunkach nawet przewyższające swego zamorskiego rywala, dziś zeszło gospodarstwo francuskie na czwarte miejsce po Niemcach i Stanach Zjednoczonych, a wkrótce prześcignąją je prawdopodobnie także tak małe kraje, jak Belgia i Holandya.

Równocześnie na innych polach występują objawy zupełnie analogiczne. Ludność rdzennie francuska maleje pod naciskiem znanego systemu dwojga dzieci. Jeżeli statystyka wykazuje w każdem pięcioleciu jeszcze nader szczupły wzrost, to dzieje się to tylko wskutek napływu obcych, głównie Włochów, Niemców i Belgów, którzy, dzięki specyalnemu ustawodawstwu, uzyskują obywatelstwo francuskie i stąd formalnie zaliczeni są do Francuzów. Mimo to Francya jest dzisiaj krajem w całej zachodniej i środkowej Europie najsłabiej zaludnionym, tak, że jej siły populacyjne nie mogą dostarczyć dostatecznej ilości pracowników w dziedzinie ekonomicznej. Jest to również konsekwencya tendencyi ku używaniu, o ile możności bez wysiłku, rozchodzi się

bowiem o to, ażeby uzbieranego majątku nie dzielić pomiędzy większą ilość dzieci. Ta mała jednak stosunkowo ludność sprawia, że i politycznie rola Francyi musi się obniżać, a tem samem, że znikają i pozory jej wpływu, które w ciągu większej części XIX stulecia zakrywały jeszcze upadek znaczenia kultury francuskiej dla innych narodów. Jasną bowiem jest rzeczą, że liczba ludności jest czynnikiem decydującym w każdem państwie, które prowadzi politykę mocarstwową lub kolonialną. To też zamorskie posiadłości Francyi kolonizują w rzeczywistości inne ludy, a w sferach wojskowych zastanawiają się bardzo poważnie nad sprawą poboru do wojska Arabów z Algieru i krajowców z Senegalu, bo kraj macierzysty nie ma dość młodych ludzi, ażeby utrzymać armię na prawem przepisanej wysokości. Ekspansya polityczna, która niegdyś była tak znaczna, głównie dzięki Francuzom, szukającym za granicą szczęścia, dziś stała się wobec tego wprost niemożliwą. A przecież błędem byłoby twierdzić, że ta wyjątkowo słaba płodność jest znamieniem rasowem francuskiej ludności. Jest ona wynikiem jedynie stosunków, panujących we Francyi, bo w Szwajcaryi Francuzi wzrastają szybciej od Niemców, a francuska część Belgii i Kanady wykazuje również znaczny, więcej niż przeciętny, wzrost ludności.

Syndykaty i związki zawodowe, które w ostatnich latach tak bardzo we Francyi się namnożyły i do znacznej doszły potęgi, należą również do tej samej kategoryi zjawisk społecznych. Społeczeństwo podzielone na grupy, silnie zorganizowane, przestaje w gruncie rzeczy istnieć jako całość. Z natury rzeczy każdy związek widzi tylko swoje własne potrzeby i stara się je zaspokoić za każdą cenę, bez względu na to, jakie pociągnie to skutki dla ogółu. Egoizm jednostki, który przecież staramy się etyką i prawem zamknąć w takich granicach, ażeby nie był zbyt szkodliwym, staje się w organizacyi, której celem jest właśnie ukształtowanie stosunków odpowiednio do egoistycznych dążeń stowarzyszonych, tak potężnym, że walka z nim jest bardzo trudna, jeżeli nie beznadziejna. Potępiamy zawsze wszelką stronniczość, czy to w stosunku osoby do osoby, czy stosunku państwa do

jednostki. Cóż powiedzieć o społeczeństwie, gdy taka stronniczość staje się naczelną zasadą ustroju, bo cała ludność grupuje się w związki, które nawzajem muszą się zwalczać wobec sprzeczności swych interesów. Francya szybkim krokiem idzie po tej drodze i wobec rozwoju tamtejszych stosunków należy stwierdzić, że nawet ta część ludności, która dotąd jeszcze nie utworzyła swych syndykatów, wkrótce będzie musiała to uczynić, jeżeli nie zechce narazić się na systematyczne poświęcanie jej potrzeb i interesów na rzecz innych, swą organizacyą potężniejszych.

(Dok. nast.)

Dr. Włodzimierz Czerkawski.

MIĘDZY JAURES'EM A MARC SANGNIER'EM.

Znamieniem jest pojęć silnych, że zbiorową duszę społeczeństw przenikają wkońcu tak skutecznie, iż wszyscy je przyjmują, nie pomnąc ich pochodzenia.

To zdanie Alberta de Mun [1] wraca często na myśl podczas czytania książki, której treść zasługuje na uwagę może najwięcej dlatego, że, choć pisana przez człowieka, dziś jeszcze stojącego w odległym Kościoła cieniu, przecież stanowi potężną apologię podstawowego chrześcijaństwa dogmatu.

Autorem jest Paweł Mérac, publicysta i socyolog mało znany poza pewnem kołem młodych fronderów parlamentarnej organizacyi francuskich kollektywistów — jeden z tych pisarzy, których bezpowrotnie utraciła *L'Humanité* Jaurèsa, a dotąd nie zdołała pozyskać *La Démocratie* Sangniera. Świeża jego praca — która, mimo swego tytułu, roztrząsa problemat społeczny całego rodzaju ludzkiego, a nie tylko »Ludu« — zapowiada może ważny krok naprzód w kierunku ostatnim [2].

W założeniu autora, rozwój ludzkości podlega trzem fundamentalnym prawom. Przychodząc na świat, człowiek jest samotny i bezsilny, jest nieokrzesany i ciemny, jest w mocy nieznanego sobie *Fatum*. A przeto — tłumaczy Mérac — jednostka ludzka zwraca się ciałem do Władzy, umysłem do Opinii, sercem do Re-

[1] W przedmowie do odczytów Jakóba Piou, zebranych p. t. *Questions religieuses et sociales*. Paris. Plon. 1910.

[2] Paul Mérac: *Du Peuple, étude sociale*. Tamże, 1910.

ligii. Przyrodzenie powołuje go i przystosowuje do zespołu. Każda społeczność ma jakiś cel; władzy jest zadaniem do niego ją prowadzić. Staje się atoli, że władza swej siły nadużywa i cofa człowieka wstecz do stanu gorszego, niż był poprzedni. Jeśli człowiek mimo to usiłuje w swym rozwoju postąpić naprzód, musi przedewszystkiem szukać światła — oświaty. W miarę trwałości usiłowań, nabiera mądrości; jego sądy ustalają się w pewnych kształtach, tworzą opinię. Opinia wyprowadza człowieka z nieświadomości, upomina się o jego i swoje prawa wobec społecznej władzy. Nakoniec, kiedy człowiek widzi sił swych ograniczenie, a potrzeb nieskończoność, wtedy wszystko, co przechodzi zakres jego doświadczenia i sił, przypisuje »fatalności«. Owóż z tą tajemniczą potęgą wiąże się religia, która ma prowadzić człowieka do niechybnego i ściśle oznaczonego celu.

W ten sposób, w porządku naturalnym stawione założenia wiodą autora do określenia podstaw autorytetu i władzy. Stwierdza więc zasadniczo, że »wszelka władza *(autorité)* wychodzi z przypuszczonej mocy tworzenia«. Rozkazywać można tylko tym istotom, które się do życia powołało, »bo nikt inny, prócz tylko Twórcy istoty, nie zna celu jej i jej pożyteczności; nikt nie może godziwie sprawiać jakiejkolwiek władzy, kto jej nie sprawia w widokach poprowadzenia podwładnego porządnie do wyznaczonego celu. Z tej idei tworzycielskiej wynika władza Boga nad wszechświatem, ojca nad rodziną, zwierząt nad ich płodem«.

Również konsekwentnie rozumuje autor z następnej przesłanki: »Rodzaj ludzki, obdarzony umysłowością, niema innego stworzyciela, jak tylko prawdę absolutną«. Więc w genetycznym tym pewniku tkwi zarazem pierwiastek wyzwolenia i zbawienia człowieka. Więc ludzkość ciągnie do prawdy, jest bezustannie świadoma przyrodzonego sobie prawa doskonałości. Nie ziści doskonałości jednostka — może ją ziścić jednostek społeczność: dlatego człowiek, pragnący stan swój ulepszyć, szuka pomocy bliźnich. Gdy zaś nie może być ulepszenia, gdzie prawda pozostaje niezdobytą, przeto człowiek, społeczeństwo o tyle tylko stan i byt swój ulepszają, doskonalą, o ile nabywają wiedzy i światła.

Na początku, powszechną jest ciemnota. Człowiek widzi do-

koła siebie same tylko siły ślepe, fatalne; w nich upatruje jakąś potęgę nieświadomą, bezwzględną, która na byt jego wtłacza moc brutalną naturalnych zjawisk. Dalej, jego namiętności, które go wypychają do władania innymi ludźmi, nie nastręczają mu ku temu innego środka prócz opanowania, ujarzmienia. W ten sposób władza staje się pierwiastkiem panowania, społeczeństwo organizacyą niewolności. To pojęcie jest wręcz przeciwne pojęciu porządku, wstającego z prawdy — porządku, który stanowi podstawę autorytetu i władzy.

Jest atoli siła, właściwa z przyrodzenia wszystkim ludziom, zarówno zespołom jak jednostkom; siła, która wolności nie tylko nie ujarzmia, ale ją rozwija i wyzwala; która porządek w świecie utrwala, sobie przywłaszcza prawa natury; która, dając człowiekowi moc tworzenia, wznosi go coraz bliżej jego własnego Stwórcy. Z nią człowiek zdobywa sobie prawo rozkazywania i prawo słuchania rozkazów bez wstydu i bez gniewu — na swoją korzyść i dla pożytku innych ludzi. Gwoli niej społeczność poddaje się prawdzie i ziszcza prawo wyzwolenia, któremu podlega. Ażeby wybić się z pod jarzma jakiejkolwiek tyranii, ludzkość innego środka nie ma — prócz tej siły. Użyć jej też nie może inaczej, jak przez postawienie w miejsce ciemięstwa — prawa, sprawiedliwości i obowiązku.

Tą siłą naturalną i dobroczynną jest praca.

»Praca, jak jest dla ludzkości podstawowo prawidłową, tak jest jedyną twórczynią społeczeństw. Tworząc je, powołując je do życia, ona jedna ma prawo niemi rządzić« — orzeka autor.

Zdawałoby się, że Mérac prowadzi czytelnika na znane uroczyska, skąd mu pokaże wielki rozdział wód — nowożytnych potęg społecznych. Wyższy on ma cel, wznioślejsze dostrzega przełęcze: granitowe szczyty niezmiennej Prawdy.

Praca jest życia prawidłem, każdego człowieka obowiązkiem, tak bogatego, jak ubogiego. Skoro jest niezbędną, więc bezpośrednio nakazujące ją ubóstwo jest w świecie koniecznem. Ubóstwo zaprowadza ponadto idee sprawiedliwości. »Pewną jest rzeczą — pisze autor — że nigdy przyszłość nie położy końca cierpieniu. Jego korzenie są przecież niezawisłe od społecznych ulepszeń,

a nazbyt głęboko zapuszczone, by się dały wyplenić. Jest ono dla człowieka pierwiastkiem koniecznym, bo przez nie i z jego pomocą poznajemy tajemnicze głębie życia — życia uroczystość i wartość«. Nie wynika stąd, że ubóstwa i cierpienia nie należy usuwać, gdy pochodzą ze zła społecznego. Jednakże, jak często powstają z przyczyn, leżących w samym człowieku! Rzadki to człowiek, który cierpi niesłusznie.

»Życie — pisze Mérac — nie polega na zadośćczynieniu niższym potrzebom człowieka. Gdyby polegało na niem, to człowiek byłby tylko zwierzęciem. Ma on przecież potrzeby wyższe i bardziej naglące: potrzebę sprawiedliwości, potrzebę pojmowania celu życia i potrzebę sprawowania swych ziemskich przeznaczeń«. Pierwiastkiem, który tym potrzebom czyni zadość, jest społeczna Opinia — z którą więc autor utożsamia wszystką pracę oświatową, gospodarczą i kulturalną. Lecz pierwiastkiem żywiołowym, który »powinien człowiekowi ułatwiać wyjście ze stanu nieświadomości, ciemnoty i ujarzmienia«, jest Religia. Więc autor kończy tę część swej pracy zdaniem: »Zobaczymy, czy religia przedstawia te znamiona w chrystyanizmie«.

Ewangelia nazywa Chrystusa »Słowem Boga«, czyli wyrazem absolutnej Prawdy. Sam Chrystus powiedział o sobie, iż jest Drogą, Prawdą i Żywotem — a człowiek »nie ma innego Stworzyciela, jak tylko absolutną Prawdę«. Kojarząc ewangeliczne objawienie z tezą psychologiczną i szukając odpowiedzi na pytanie, czy chrystyanizm jest religią, która może wyzwolić człowieka z nieświadomości, ciemnoty i niewoli, Mérac rozumuje w ten sposób: »Jeżeli Chrystus jest Słowem Boga, czyli wyrazem Prawdy, to jego życie powinno świadczyć Prawdzie, a nauka dowodzić swej skuteczności. W życiu Chrystusa powinniśmy znaleźć zachowanie się *(la conduite)* Absolutu względem zagadnień ludzkiego życia, w Chrystusowej nauce, najwyżej upoważnione i bezstronne stwierdzenie praw i prerogatyw człowieka odnośnie do Absolutu. Otóż, jeżeli taka społeczność, jaką zapoczął człowiek, wkłada na ludzi niewolę, nieprawość i cierpienie — to Prawda, jaką przynosi Słowo

Boga, powinna dać im wolność, sprawiedliwość i prawdziwą życia radość«.

Czy Chrystus Pan przyniósł te rzeczy światu? Zanim nam autor odpowie, docieka wprzód, czy człowiek mógł, czy może sam je sobie sprowadzić i zapewnić? W dalszym więc ciągu wywodzi, iż wolność jest nieodłączną od światła, stanowi jego niezbędny pierwiastek. Do wolności ten tylko człowiek jest uzdolnionym i uprawnionym, który posiada wiedzę, rzeczy znajomość. Wolność płynie z sądu, z wiedzy, z prawdy. Autorytet i władza nie jest niczem innem, jeśli nie wspieraniem przez człowieka ujawnionej prawdy. Autorytet, mający do świata przemówić, musiał wyjawić się dostosowanym do ludzkiej mowy wyrazem — więc słowem. Skoro zaś człowiek sam przez się innego nie posiada światła moralnego, prócz tego, które sam w sobie upatruje, przeto człowiek nie ma prawa to światło rozlewać na innych ludzi. Wolał Sokrates umrzeć, niż się z pod prawa i władzy swego kraju wyłamać. »Ze społecznego punktu widzenia — pisze Mérac — prawda wymagała wyrazu ludzkiego, wymagała słowa — nazwy, danej Chrystusowi«. Chrystus, przez swoją śmierć, wyzwolił siebie i wyzwolił rodzaj ludzki z pod władzy zła i błędu, stwierdził autorytet dobra i prawdy.

I to stanowi znamię wybitne chrystyanizmu: ma on dać prawdzie niezbędny autorytet ten i taki, aby się stał prawem — razem z wszystkiemi odeń nierozdzielnemi dobrodziejstwami — prawem dla społeczeństw, dla jednostek najsłabszych zarówno jak dla najmożniejszych, dla całego ludzkiego rodzaju. A skoro stwierdzenie praw dobroczynnych wymagało świadectwa przez ofiarę życia, rzeczą jest oczywistą, że ludzkość, mająca według tych praw żyć i niemi się kierować, sama ich sobie nałożyć nie mogła. Ciemnota nie dała jej ich poznania, a jej śmierć, zamiast być świadectwem, byłaby tylko zbiorową ofiarą bezużyteczną.

Ażeby odzyskać swą wolność przyrodzoną, musiała ludzkość być wyzwoloną z ucisku, z nieprawości i z cierpienia. Jeśli więc było posłannictwem Słowa wyzwolić ludzką naturę, to Jego misya musiała oddziaływać w tych trzech kierunkach. Autorytet, idący

z absolutnej prawdy, z którym Słowo zstąpiło, musiał uczynić tę działalność możliwą i skuteczną w przywróceniu wolności, sprawiedliwości i dobroczynności. Musiał więc Chrystus życiem swem i nauką wskazać zasady przeciwne tym, jakie w rodzaju ludzkim zaszczepiły niszczące go i upadlające nieprawości. Pierwsza z nich, to nadużywanie, lub, jak się autor wyraża, »odprzyrodnienie«, *dénaturation*, władzy, które z autorytetu sprawiało narzędzie niewoli. Bezmierne stąd szły cierpienia ludzkości, smutki, które z życia czyniły byt nieszczęsny; stąd przedewszystkiem przeszkody, które duchowi zapierały wzlot do światła i społecznych ulepszeń. Ażeby zmódz to zło, koniecznem było przywrócić władzy właściwy jej charakter i prawdziwy cel — którym jest, pisze autor, »bronić w społeczności i mądrze używać praw słabszego, praw pospólstwa, praw ludzkości«. W tym celu, trzeba było wykazać prawdziwą władzy naturę; aby zaś tego dokonać, trzeba było stawić władzom ustanowionym opór, a nowe zasady natchnąć siłą, autorytetem i ich prawdziwości dowodem.

Lecz w jaki sposób stawić władzom skuteczny opór? Siłą fizyczną niczego się nie zmieni, skoro, w razie zwycięstwa, nastąpi jedynie tylko przesunięcie władzy rządczej od jednych do drugich, zachowanie jej mocą fizyczną. Bunt niczego nie buduje. Uległość równa się uznaniu niewolącej władzy i przemocy.

A przeto pozostawał tylko jeden środek: *celui de se faire peuple* — pisze autor: »uczynienie siebie ludem«, ludzkością — »wcielając w siebie wszystko rozumienie rzeczy stworzonych dla ludzkiego ducha; wszystką świadomość praw, godności, wielkości, jakie się człowiekowi należą; wszystko poczucie tego, co serce jego może poruszyć, niepokoić, pociągać; jednem słowem, wcielając w siebie wszystką życia wiedzę: jego pochodzenie, cel, racyę bytu i (dla uprzystępnienia maluczkim) wyraźne, jasne, sprawiedliwe rozwiązanie wszystkich zagadnień, jakie podnosi ziemia w niemej nieskończoności Stworzenia«.

Takie »uczynienie siebie ludem«, ludzkością przedstawia się autorowi jako akt, który, w całej swej pełni i w ogromie swej potencyalności, miał dać człowiekowi świadomość życia, to znaczy: »światło, którego pożąda jego umysł, ufność i miłość, których

pragnie jego serce, znajomość przynależnych mu sprawiedliwie praw«. Miał akt taki wskazać człowiekowi jego stosunek do prawdy piękna i dobra — które nie są niczem innem, jak różnemi formami Absolutu, objawiającemi się naszej słabości, i do których dążymy ciągłem i nieprzepartem usiłowaniem. Dać człowiekowi poznanie jego samego, to było to samo, co dać mu sposoby ziszczenia jego przeznaczenia i uświęcić jego usiłowania moralną sankcyą. Praca jest, jak widzieliśmy, koniecznością biednego, i »ona też jest jego wyzwoleniem, bo skierowana do celu, jaki jej jest naznaczony w nieskończonej przestrzeni, którą niezbadane życie przedstawia ludzkiemu dociekaniu, z każdym wysiłkiem znajduje niechybną zdobycz«. W ten sposób, człowiek, świadomy racyi swego bytu, mógł zmuszać siłę ciemięską do szanowania jego potrzeb, do niestawiania zapór, jeśli nie do dodawania bodźca jego wysileniom ku wolności. Stąd i odtąd życie nabierało nowej wartości, rozszerzało się; człowiek mógł szukać jego tajemnic i w ciągu czasów wchodzić na drogę, jaką społeczności powinny iść dla ludzkości rozwoju.

Prawda, w ten sposób uprzystępniona ludzkiemu rodzajowi, wystarczała, by mu wskazać jego cel, oświecić go o bytu wartości, dać mu zrozumieć doniosłość i wzniosłość człowieczej godności, lecz nie wystarczała, by człowiek uznał ją samą, do niej byt swój zastosował i mógł używać dóbr wszystkich, jakie mu przynosiła. Tak dalece bowiem człowiek wiedział tylko, iż byt jego ziemski utożsamia z pracą pewne korzyści i słodkie owoce; ale nie wiedział, w jaki sposób te korzyści i owoce spożytkować, wniknąć do głębi rzeczy, umysł swój otworzyć dla tych idei wyższych, które się mu objawiały, nie wiedział, w jaki sposób przybrać Absolut kształtem konkretnym i racyonalnym.

Czegóż mu brakło? Pisze Mérac: »Nie miał człowiek sposobu dojścia w swej słabości do zdobycia wskazanych mu obietnic, dotarcia do objawionych mu widnokręgów. Daleka dzieliła go od nich odległość, a ani siłą, ani buntem, ani uległością przebyć jej nie mógł. Jeżeli nie miał przechodzić przez i wśród nieprzerwanych mrowisk trupów, poza któremi, strącony napowrót

do stanu społeczności pierwotnego, obaczyłby cel swój znikający, jak marzenie, a życie przybierające znowu swą formę okrucieństwa i boleści...«

Słuszną było rzeczą, ażeby ta droga była dla człowieka łatwiejszą i krótszą, a zdobycie prawdy pokojowem. Bo prawda jest rękojmią i zadatkiem pokoju. Skoro ludziom objawiła wszystko, czego mają prawo po niej się spodziewać w tym porządku jestestw, w jakim się znajdują, toć słusznem było, aby im dała możność jej otrzymania. »A na to — pisze autor — jakiż mógł inny być sposób, jeśli nie ten, iż z objawieniem człowiekowi wielkości jego przeznaczenia, nastąpiło wzięcie na siebie jego słabości i okazanie mu, że ona nie stanowi żadnej przeszkody w jego przeznaczenia ziszczeniu?«

I to właśnie uczynił Zbawiciel. *Telle a été l'oeuvre du Christ.*

Jest, jak widzimy, w pracy Méraca wyraźna wiara w Boży porządek świata. Jeżeli w całym ciągu książki czytelnik katolicki ma do czynienia z terminologią raczej, że tak powiem, literacką, niż filozoficzną — i raczej poetycką, niż katolicką; jeżeli wywody autora zdają się wysuwać naprzód nieświadomość, ciemnotę i ucisk *du Peuple* — ludu w przeciwieństwie do potęg świata, które władzy nadużywają; i jeżeli wreszcie sama misya Chrystusa Pana jest przedstawiona z pewnem niedosięganiem historycznej syntezy — to wszystko to można z szczerą pobłażliwością przypisać o tyle politycznym autora skłonnościom, o ile widocznej trosce o zyskanie posłuchu w najszerszych kołach francuskiego intellektu. Dlatego też czytelnikowi katolickiemu, a i każdemu zresztą sumiennemu myślicielowi, łatwo przychodzi dać wywodom zakres szerszy i znaczenie głębsze, niż autor w swej stylistycznej formie i w swych niedopowiedzeniach pozostawił. Nie miałby on zapewne nic przeciw takiemu czytaniu jego dzieła »między liniami«. Nie sprzeciwiłby się n. p., sądzę, rozszerzeniu pojęcia Pracy do sfer umysłowych i moralnych, nie tylko zbiorowych, lecz i jednostkowych; zaś pojmowaniu Władzy, w tem psychologicznem znaczeniu, które każdej duszy ludzkiej objawia moc, jakiej ona

w danej chwili sama się moralnie poddaje, lub jakiej stawia moralny opór.

Bądź co bądź, autor niedwuznacznie, jasno i w danych warunkach odważnie wyznał swoją wiarę w rządy Boga nad światem i ludźmi: na tajemnicę Wcielenia Słowa Bożego wskazał, jako na logiczne absolutnej prawdy następstwo.

»Słowo Boże, Chrystus, zstępując na świat z wszystką, Bóstwu właściwą świadomością moralną, zaczął od tego, iż żył życiem człowieka ubogiego; poddając się wszystkim tego życia warunkom, drogą swą szedł bez zrzekania się któregokolwiek charakteru — wolności, czci i godności — jakim prawda obowiązuje człowieka. W ten sposób dowiódł, iż to samo każdemu jest możliwem człowiekowi; nadał życiu jego właściwe znaczenie; sprawił, że najpiękniejsze przymioty oświeconego przez Absolut umysłu stały się ludzkiego bytu p r a w e m; zapowiedział przyszłą przemianę, mającą doprowadzić ludzkość do jej stanu przyrodzonego — i dla tego sam oświadczył, że wypełnił prawo aż do końca i że nic nie przeminie, dopóki prawda, czyli prawo nie spełni się w całym świecie«.

Boska zapowiedź Zbawiciela otworzyła w ten sposób dla działalności człowieka pole bezmierne. Człowiek każdy w swoim własnym trudzie materyalnym i moralnym żywota — ludzkość cała w ciągu ciernistej i krzemiennej drogi swej z cielesności ku duchowości miała zrozumieć, że, byle nie zabrakło odwagi w zmaganiu się z nędzą i boleścią pielgrzymki, jest u końca wyzwolenie. Na drodze, przez życie i naukę Chrystusową wytkniętej, »niema, pisze Mérac, ani buntu, ani ustępstw, ani poniżenia — jest zdobywanie własnej godności i wolności przez samoświadczenie prawdy i słuszności«. Ludzkość w przykładzie Zbawiciela znajduje siłę do zwyciężenia cierpieniem i cierpliwością ciemiężącej nieprawości, która chce człowieka zmusić do wyrzeczenia się praw jego. »I tu śmierć Boga-Człowieka, który oddał życie za wszystko, czego świat nie ziszcza, sprawiła dla ludzkiego rodzaju, co Sokrates sprawił dla samego siebie«. Nadto, śmierć ta uświęciła najwyższą powagą skuteczność walki, stwierdziła, że

w cierpieniu i cierpliwości jest człowieka najsłabszego siła, niezawodna wskazówka i przed złem obrona.

»Odtąd — kończy autor — Chrystus, godząc Absolut z ludzkością, według niego kształci jej potrzeby. Religia, wznosząc się ponad głębią smutków, do której spadają nagromadzone zwaliska wszystkich cierpień człowieczych, objawia się, jako schronienie przed nieszczęściem, sprawczyni słuszności i praw, jako węzeł wiążący przejściowe życia pragnienia z Pierwiastkiem Absotnym, który pozostaje zawsze i nigdy nie przeminie«.

W piśmiennictwie socyalnej demokracyi — do której Paweł Mérac bądź co bądź się zalicza — książka, której treść tak dalece poznaliśmy, stanowi uderzający wyjątek i dlatego wywołała we Francyi roznamiętnioną do skrajności polemikę. Biorą w niej udział, prócz burzycieli chrystyanizmu — którzy chcą domyślać się w autorze mniej lub więcej szczerego »narzędzia wstecznictwa« — także rozmaici pisarze i publicyści katoliccy. Ci wskazują po największej części na doniosłą wartość dzieła, jako znamiennego objawu — dlatego tem mocniej ubolewają, że autor nazbyt pospiesznie i z rażącą lekkomyślnością dodał do ostatniej części starannej pracy parę rozdziałów, których treść stoi w jaskrawej z resztą sprzeczności. Bo ten sam Mérac, który do historyozofii ludzkości tak wymownie i przekonywująco wprowadził zasadę bezpośrednich rządów Bożych, a z nią, jako nieodłączne następstwo skojarzył chrześcijański dogmat Wcielenia — rozpoetyzowany i porwany prądem skrajnego liberalizmu, pisze pod koniec, jak gdyby poza pierwszym wierszem św. Jana już nie było żadnej Ewangelii! Jego chrystyanizm jest więc nie tylko bez-kościelny, lecz jest faktycznie bez-Chrystusowy, skoro nie opiera się na Opoce Tego, który, prócz życia, przykładu i nauki pozostawił nam Łaskę — do końca czasów.

E. S. Naganowski.

MONOLOG[1].

W poniedziałek 6 czerwca 1846.

† Modlitwy idą i wracają — niema niewysłuchanej.
Dlatego wszystkie wysłuchane, że każda wraca się napowrót.
A dlatego powraca każda z modlitw, że wszystkie są z miłości.

Kto pracował na miłość, ten z miłością pracować potem będzie: To jest szczęściem prawdziwem.
Tutaj innego szczęścia niemasz.
Wszelką rozkosz przyjaźń tem jest.
Wszelkie zadowolenie i pełność siebie tem jest.
I wszelki spokój tem jest.

— A kto pracował tak na miłość — jako Ty, gdy raczyłeś stać się człowiekiem dla tej pracy?
Co byłeś smutny aż do śmierci a miłujący zawsze? Co nie miałeś gdzie głowy świętej złożyć, Królu świata całego?
Zdradzony przez naturę, i przez Boga samego opuszczony, a nie obalon przecież — Bóg.

---

[1] Wyjątek z modlitewnika, ofiarowanego przez Norwida Włodz. hr. Łubieńskiemu. Rękopis jest obecnie własnością d-ra Fr. Chłapowskiego. Ani modlitewnik, ani niniejszy »Monolog« nie publikowane nigdzie.
Redakcya.

On zwycięstwem miłości!
Święty, Święty! — śpiewanie takie w niebiosach i na ziemi!
Święty, Święty! w przestworze, gdzie samoistna tylko jedność!
Święty w śpiewie anielskim wszystkich chórów.

I gdzie anieli stróże odbierają to »Święty« od człowieka — i gdzie łkanie boleści nie ułożonej na modlitwę i gdzie tylko sam smutek — świętość ciszy

I tam Święty i wszędzie!

Cypryan Norwid.

NOWY PLAN UNII KOŚCIOŁÓW.

Z POWODU ARTYKUŁU KS. MAKSYMILIANA SASKIEGO.

(Dokończenie).

Przejdźmy teraz do kwestyi jurysdykcyi papieskiej i prawnego stosunku Wschodu do Rzymu. Książę Maksymilian żąda dla Wschodu kompletnej autonomii, a raczej absolutnej niezależności. My jesteśmy przekonani, że takie żądanie przy jednoczesnem uznaniu przez Wschód boskiego ustanowienia prymatu Piotra jest logiczną niemożliwością. Chciejmy się porozumieć. Chętnie uznajemy słuszność rozróżnienia, jakie czyni książę między Kościołem łacińskim wogóle, a biskupem Rzymskim, jako posiadaczem pewnych praw względem całego Kościoła, lecz zdaje nam się, że rozróżnienie to dla naszej kwestyi jest zupełnie bezcelowem, albowiem, o ile znam historyę Kościoła, nikt nigdy nie żądał od Wschodu poddania się Kościołowi łacińskiemu, jako takiemu, t. j. jego biskupom i synodom partykularnym, lecz tylko poddania się biskupowi Rzymskiemu, jako najwyższemu pasterzowi całego Kościoła. Jeśli mówiono o prawach Kościoła Rzymskiego, to bynajmniej nie chciano obejmować tą nazwą całości łacińskiego chrześcijaństwa, lecz tylko katedrę św. Piotra, zajmowaną przez jego prawowitych następców. Twierdzenia naszego nie osłabiają fakty poddania Greków pod jurysdykcyę biskupów łacińskich w południowych Włoszech i w niektórych innych krajach zachodnich, w tych bowiem faktach znalazła swój wyraz nie teorya jakiejś prawnej wyższości i zwierzchności zachodniego episkopatu nad

obrządkiem wschodnim, lecz starożytna zasada koncentracyi jurysdykcyi w jednych rękach na jednem terytoryum, zasada, dzięki której również łacinnicy, mieszkający na Wschodzie, podlegali przed rozdwojeniem Kościołów greckim biskupom. Dzisiejsza praktyka, że istnieją na jednem terytoryum niezależni jeden od drugiego biskupi rozlicznych obrządków, to tylko dziedzictwo smutnego rozdziału, dziedzictwo, które oczywiście musiało być po zawarciu unii podniesionem niemal do godności zasady. Gdyby jednak nie schizma XI stulecia, prawdopodobnie nie widzielibyśmy ani łacińskich biskupów w krajach greckich, ani greckich na terytoryum Zachodu, chociażby byli tam łacinnicy, a tu grecy. Faktem schizmy tłumaczy się również i ustanowienie patryarchatów łacińskich na Wschodzie w epoce wojen krzyżowych. Jeżeli owi patryarchowie otrzymywali niekiedy władzę i nad episkopatem greckim to występowali oni w takich razach nie we własnem imieniu, dzięki jakiejś nieistniejącej wyższości łacinników nad grekami, lecz w imieniu papieży, jako jego delegaci, urzeczywistniający te prawa, które papieże sobie przypisywali. Co najwięcej możnaby spierać się o to, czy taka delegacya była zawsze potrzebną i roztropną i czy przedstawiciele papiescy kierowali się należną miłością i sprawiedliwością względem Greków. Wiemy, jak ciężkimi zarzutami obarcza książę ówczesnych łacińskich przedstawicieli papieża, uchylamy się jednak od traktowania tych pobocznych kwestyi.

O poddawaniu się zatem Wschodu Zachodowi niema i nie było mowy. Lecz książę żąda i niezależności Wschodu od papieża, o ile chodzi o zwyczajne rządy Kościoła. W tym celu wprowadza znowu odróżnienie prerogatyw papieża, jako patryarchy i prymasa Zachodu, od praw przysługujących mu względem całego Kościoła. Rozróżnienie to nie nowe. Spotykamy je w ostatnich czasach u Włodzimierza Sołowiewa w podanym przezeń biskupowi Strossmayerowi memoryale o warunkach zjednoczenia Kościołów [1], jak również w godnej uwagi broszurze prof. A. Ehrharda o kwestyi

[1] Zob. nasz artykuł: »Włodzimierz Sołowiew i biskup Strossmayer«, w *Przeglądzie Powszechnym* t. 101, str. 159.

wschodniej [1]. Rozróżnienie to, jakkolwiek posiada pewną historyczną podstawę i praktycznie może służyć niekiedy za wskaźnik właściwości takiego lub innego uregulowania kwestyi jurysdykcyi, w charakterze jednak tytułu prawnego do określania rozciągłości władzy patryarchów wschodnich służyć nie może. Trudność mianowicie polega na tem, że patryarchat jest produktem czysto historycznym i, w przeciwieństwie do władzy biskupiej, nie może się powołać na żadne prawa boskiego pochodzenia; jeżeli więc patryarchom przyznano jakąś władzę nad biskupami, władzę, jakiej się domagały dla dobra Kościoła geograficzne i kulturalne warunki pewnych stolic, a jeszcze bardziej przez wzgląd na uświęcenie pewnych miast, jak Antyochii i Aleksandryi, przez św. Piotra i wysłanego przezeń Marka [2], to źródła tej władzy należy szukać w zbiorowej woli całego episkopatu, czyli całego rządzącego Kościoła z papieżem na czele. Ta więc nadwyżka władzy, jaką patryarchowie różnili się od zwyczajnych biskupów, jest nie czem innem, jak udziałem w najwyższej władzy Kościoła, urzeczywistnianej w wypadkach wyjątkowych przez Sobory powszechne, a w zwykłym porządku przez najwyższych zwierzchników Kościoła — papieży. Innemi słowy, jurysdykcya patryarsza (*mutatis mutandis* to samo można powiedzieć i o metropolitach) jest częścią jurysdykcyi najwyższego pasterza, w ten lub inny sposób, przez sobory lub przez samych papieży, wyraźnie lub milcząco delegowaną. Przynajmniej z katolickiej dogmatyki i kanoniki innej konkluzyi wyprowadzić nie można. Jeśli zaś tak jest, to nie można przeprowadzić i żadnej pewnej linii demarkacyjnej między władzą patryarszą, a władzą papieską, ani oznaczyć zakresu władzy patryarchów. Będzie ona większą lub mniejszą, stosownie do owej woli, która ją patryarsze powierzyła. Z samej więc idei patryarchatu nie da się ustanowić zakresu jego władzy.

Jeszcze mniej można mówić o określeniu zakresu tej władzy z konkretnych faktów. Łatwo powiedzieć wogóle, by papież za-

[1] *Die orientalische Kirchenfrage und Oesterreichs Beruf in ihrer Lösung.* Wien und Stuttgart. 1899.

[2] Cfr. List Gelazego papieża z r. 495. Denzinger: *Enchiridion,* wyd. nowe, nr. 163.

trzymał względem Wschodu tę władzę, czy też, jak wyraża się książę Maksymilian, unikając wyrazu »władza« — te prawa, które wykonywał i wykonuje na Zachodzie, jako głowa Kościoła, zrzekł się zaś tej, jaką urzeczywistnia u siebie na Zachodzie w charakterze patryarchy. Ale konkretnie nie można powiedzieć, gdzie się kończy władza patryarchy a zaczyna — papieża. Jakkolwiek bowiem nie ulega wątpliwości, że na Zachodzie władza papieży przejawiała się bez porównania częściej, bardziej bezpośrednio i w bardziej szczegółowych sprawach, niż na Wschodzie, to jednak papieże w poczuciu tej zasady, że patryarsza władza jest wypływem najwyższej władzy w Kościele, u siebie linii między jedną a drugą władzą nie przeprowadzali. Aby się o tem przekonać, dość przeglądnąć dyplomaty papieskie tak dawnych, jak i późniejszych czasów. Z nich się można dowiedzieć, że chociaż wydawali zarządzenia, dotyczące samego tylko Zachodu, albo tylko samych Włoch, lub mniejszej jeszcze prowincyi rzymskiej, choć niekiedy wyznawali, że pieczołowitość ich przedewszystkiem na te bliższe ziemie jest skierowaną [1], jednak w zarządzeniach swych nawet względem Zachodu nie powoływali się na swe patryarsze prawa, jakoby różne od praw najwyższego pasterza, lecz na prawa stolicy Piotrowej, której opiece wszystkie Kościoły zostały powierzone [2].

A na Wschodzie, czyż władza patryarsza przedstawiała zawsze i wszędzie tę samą sumę prerogatyw? Czyż nie było czasu, kiedy patryarchów w Kościele nie znano? Czyż zawsze potem władza ta i stosunki patryarchów między sobą były te same? Dlaczego mielibyśmy brać obecny *status quo* za normę przyszłości, jeśli teraźniejszość w wielu punktach stoi w sprzeczności z przeszłością?

Nie można wątpić, że w razie zawarcia unii z całym Wschodem, papieże pozostawiliby szeroką autonomię miejscowym patryarchom i innym przodującym w poszczególnych Kościołach biskupom. Dowodzą tego owe partykularne zjednoczenia niektórych

---

[1] Por. konstytucyę Benedykta XIV: *Etsi pastoralis.*

[2] Por. H. Grisar: *Geschichte Roms und der Päpste im Mittelalter.* I, pag. 267.

poszczególnych Kościołów, które wprawdzie księcia Maksymiliana nie zadawalniają, z których jednak dostatecznie pokazuje się, że papieże nie postępowali znowu tak szablonowo i bynajmniej nie podciągali wszystkich pod jeden strychulec. Zawsze pozostawiano Wschodowi prawie całą jego dyscyplinę kościelną, posty, zwyczaje, prawo kanoniczne dotyczące wewnętrznego zarządu. Jeśli potem wychodziły nowe prawa ogólne w Rzymie, to nie myślano niemi obejmować wschodnich unitów. Z ostatniej doby mamy do zanotowania przykłady konstytucyi papieskiej o reformie prawa małżeńskiego i sposobie usuwania proboszczów. W Kościołach zjednoczonych dyscyplinę i prawodawstwo rozwijano zwykle na synodach prowincyonalnych, zatwierdzonych tylko przez papieży, rzadziej zaś przez akty papieskie, skierowane wprost do poszczególnych Kościołów wschodnich. Pewna więc i to niemała autonomia Kościołów zjednoczonych z Rzymem istnieje i dzisiaj, nie tylko w sprawach czysto obrządkowych, ale i w sferze prawodawstwa i dyscypliny. Może być więc mowa tylko o rozszerzeniu owej autonomii, lub jej zwężeniu według istotnych potrzeb Kościoła.

Na taki jednak zakres autonomii, jaki proponuje książę Maksymilian, zgodzić się trudno. Żąda on właściwie nie autonomii, lecz zupełnej niezależności Wschodu od papieża, któremu pozostawia prawo przemawiania tylko »w wielkich sprawach, obchodzących całe chrześcijaństwo«. Wprawdzie nie określa on pozytywnie, co pod mianem tych »wielkich spraw« rozumie, i to utrudnia nam nieco dyskusyę, wszakże z toku myśli wnioskujemy, że papieżowi zastrzega tylko prawo przemawiania w kwestyach dogmatycznych, a i to chyba jedynie na soborach wspólnych, złożonych z łacinników i greków, skoro zwalnia tych ostatnich od obowiązkowego przyjęcia tych dogmatycznych określeń, jakie papieże już ogłosili w ciągu wieków bez udziału Wschodu. Negatywnie zaś określa ową żądaną dla Wschodu niezależność paru charakterystycznymi, choć nie wyczerpującymi rysami. Mianowicie natrąca o zależności unickich biskupów nie tylko od papieża, ale i od kongregacyi rzymskich, wspomina o apelacyach do Rzymu, o dyspensach, o prekonizacyi przez Rzym wschodnich biskupów, przy-

czem ci ostatni płacić muszą tysiące franków za bulle prekonizacyjne. Tym porządkom przeciwstawia *l'état ancien des choses*, do którego powrócić radzi.

Możnaby ustąpić księciu w kwestyi kongregacyi rzymskich, choć nie trudno zrozumieć, że papież, mając tyle spraw swego urzędu, musi posługiwać się pewnymi powołanymi przez się organami w stosunkach tak z wschodnimi, jak i zachodnimi biskupami. Możnaby zgodzić się i na to, że unia możliwą jest bez częstego odnoszenia się biskupów Wschodu do Rzymu w sprawie dyspens i bez opłacania kosztów bull prekonizacyjnych; zresztą musi być i księciu wiadomem, jak wielkie wschodni patryarchowie pod tym względem posiadają przywileje, jak również znanymi muszą mu być fakta nominacyi biskupów przez patryarchów bez prekonizacyi rzymskiej, a prekonizacyi wielu prałatów bez opłaty jakichkolwiek kosztów. Unia jednak, któraby wykluczała wszelki udział papieża nawet w obsadzaniu głównych katedr Wschodu i zamykała drogę najwyższemu pasterzowi Kościoła do interwencyi w sprawach wewnętrznych Kościołów wschodnich, w cóżby się obróciła? Jaki byłby z niej pożytek? Wiemy, że największa niemoc odłączonych Kościołów pochodzi z podporządkowania ich hierarchii władzy państwowej, której interesom Kościoły nacyonalne wysługiwać się muszą. I na tę niemoc, którą pewien rosyjski pisarz nazwał paraliżem [1], jest tylko jedno lekarstwo: oprzeć się silnie o skałę Piotrową, oprzeć się nie abstrakcyjnie, ideowo, lecz konkretnie, praktycznie. Czy to jednak możliwem jest w systemie księcia Maksymiliana, w którym wszystko ma zostać po dawnemu, w którym papież nie ma mieć nawet głosu w sprawie obsadzania najwyższych dygnitarstw w Kościele wschodnim? W systemie tym jedyny tylko jest postęp — postęp paraliżu. Kościół narodowy, nie związany z centrum chrześcijaństwa dyscyplinarnie, będzie otrzymywał pasterzy tylko takich, jakich mu rząd danego kraju narzuci. Koroną zaś tego systemu będzie teorya, która i dziś w kanonice rosyjskiej ma wybitnych przedstawicieli, a według której panujący świecki jest źródłem

[1] T. Dostojewski wyraził się: »Kościół nasz w paraliżu od Piotra W.«

jurysdykcyi kościelnej, teorya znana od dawna pod mianem cezaropapizmu. Albo »papizm«, albo cezaropapizm: *tertium non datur.*

Łatwo powiedzieć: niech papież nie wtrąca się w wewnętrzne życie wschodnich unitów. Ale cóż począć z takimi na przykład sprawami, jak stosunek jednych patryarchów do drugich, jednego obrządku do drugiego na tem samem terytoryum? W aktach Benedykta XIV znajdujemy konstytucyę *Demandatam*, normującą stosunki wzajemne między Grekami-Melchitami, a Maronitami. Jaka władza zatargi te miałaby łagodzić w razie przyjęcia zasady, że papież przemawiać ma tylko w sprawach cały Kościół obchodzących? Daję tylko przykłady na chybił-trafił, możnaby je mnożyć jeszcze, by wykazać, że formuła księcia Maksymiliana jest niewystarczającą.

Od unii Kościołów spodziewamy się ożywienia zamarłego w odłączonych społecznościach życia religijnego i kościelnego, jakiejś większej twórczości religijnej, wpływu większego wiary na wszystkie dziedziny prywatnego i społecznego życia. Te pobudki, obok innych, zwykliśmy wystawiać, kiedy zachęcamy braci odłączonych do zjednoczenia się z nami. Lecz czy się to da osiągnąć przez sam formalny akt papieża, ogłaszający, że Wschód uznaje za katolicki, nie żądając odeń żadnej zmiany i nie chcąc się wtrącać do żadnych wewnętrznych jego spraw? Czyż nie potrzeba będzie raczej wielu reform w dziedzinie dyscypliny, wychowania kleru i na innych polach, a to czyż się dokona bez czynnej interwencyi i doświadczonego kierownictwa najwyższego Pasterza?

Książę Maksymilian powołuje się na *l'état ancien des choses.* Ośmielamy się zwrócić uwagę, że niezależność Wschodu od Stolicy Piotrowej w takim zakresie, jakiego książę żąda, nigdy nie istniała. Papieżom przysługiwało prawo przyjmowania apelacyi ze Wschodu i papieże bardzo często z tego prawa korzystali. Przykłady są nam znane z każdego podręcznika historyi kościelnej. Papieże nie tylko wtedy wtrącali się do rzeczy Wschodu, kiedy tego interes całego Kościoła wymagał i tylko ubocznie, o ile ten ogólny interes mieli na względzie, ale wprost, bezpośrednio i w sprawach czysto dyscyplinarnych, nie dotyczących dogmatu, jurysdykcyę swą na Wschodzie urzeczywistniali. Wspo-

mnę tu jeden tylko, ale wymowny przykład — stanowiska, zajętego przez papieża Innocentego I w sprawie św. Jana Chryzostoma i przeciwnika jego Teofila Aleksandryjskiego.

Przypuśćmy jednak, że starożytność nie dostarcza nam dowodów na to, że papieże wykonywali na Wschodzie akty jurysdykcyi bezpośredniej, czyż stąd można wyprowadzać zasadę, że taka władza im nie przysługuje i że obecnie jej wykonywać nie powinni? Książę Maksymilian przypomina stosunek św. Pawła Apostoła do św. Piotra, stosunek »absolutnie równego braterstwa«. Choćby się to, co twierdzi książę, przynajmniej o ile chodzi o fakt i praktykę, nie o prawo[1], dało się udowodnić z analizy pism Pawłowych, nie uprawniałoby to jednak katolickiego teologa do wniosku, że i stosunek późniejszych biskupów do następcy Piotrowego ma w praktyce pozostać ten sam, szczególne bowiem przywileje urzędu apostolskiego, jako takiego, skończyły się ze śmiercią Apostołów i wszedł w moc porządek uorganizowanego zwyczajnego pasterstwa. Gdybyśmy za normę stosunków prawnokościelnych chcieli przyjąć kryteryum starożytności i stosować je bezwzględnie, musielibyśmy logicznie cofnąć się do samej kolebki chrześcijaństwa, kiedy ani patryarchów, ani metropolitów nie było. I tak teza księcia o pozostawieniu Wschodu *in statu quo* nie wieleby na tem zyskała. Lecz ma się rzecz inaczej. Jak inne strony życia Kościoła, jak jego dogmatyka, liturgika, tak i ustrój prawny podlegał naturalnemu, a przewidzianemu chyba przez Boskiego Założyciela rozwojowi, powoli ale coraz pełniej realizując ideę jedności Kościoła i rolę wyznaczoną przez Zbawiciela Piotrowi. Juści w pierwszych początkach egzystencyi Kościoła trudno było wymagać od Piotra i bliższych spadkobierców jego władzy, by tę władzę aktualnie sprawowali w szerokim zakresie. Trudność kominikacyi, coraz to nowe powstające gminy chrześcijańskie, zakładane przez misyonarzy wyszłych z rozmaitych centrów, wreszcie niewielka złożoność, lecz raczej prostota tak

[1] Zdanie o zupełnej równości św. Pawła ze św. Piotrem nawet w najwyższym zarządzie całego Kościoła potępił, jako heretyckie, papież Innocenty X r. 1647. Cf. Denzinger: *Enchiridion*, wyd. nowe, n. 1091.

chrześcijańskiego *credo*, otrzymanego niedawno od apostołów i nie mającego jeszcze czasu stworzyć skomplikowanej dogmatyki, jak i społeczno-kościelnego życia, ograniczającego się nieledwie do uorganizowanej dobroczynności, oto warunki, które interwencyę częstą papieży czyniły zbyteczną, i to nie tylko na Wschodzie, ale i w samych nawet Włoszech. Powoli jednak, w miarę jak życie kościelne coraz bardziej się ustalało, a zarazem komplikowało, jak powstawały coraz nowe wątpliwości co do wykładu *credo* i zamachy herezyarchów na czystość wiary, jak oddalano się coraz bardziej od bezpośredniości apostolskich tradycyi, a rozliczne miejscowe warunki i czynniki zagrażały utrzymaniu jedności Kościoła, musiała się ujawnić i wejść w urzeczywistnienie coraz częstsze i ta władza, która, jak drzewo w nasieniu, tkwiła w słowach Chrystusa: Na tej skale zbuduję Kościół mój, utwierdzaj bracię twoją, i której świadomość utrzymywała się jak w samym Rzymie, tak i wśród wybitnych przedstawicieli wschodniego chrześcijaństwa [1]. Zacieśnia się coraz bardziej jedność Kościoła, wzrasta swego rodzaju centralizacya, Kościół coraz bardziej występuje w historyi, jako społeczność dobrze uorganizowana. Jednocześnie rośnie, wydoskonala się i zatacza coraz szersze kręgi teoretyczna świadomość prymatu papieskiego. W epoce koncylium chalcedońskiego więcej i ściślej mówiono i pisano w kwestyi prerogatyw Rzymskiego biskupa, niż w czasach Ignacego i Ireneusza.

Pytamy teraz, dlaczego ten rozpęd do zacieśniania jedności Kościoła, jak również ta doktrynalna praca nad kwestyą prymatu papieskiego, miały utknąć na jakiemś trzeciem lub czwartem stuleciu chrześcijańskiej historyi i na pewnym tylko stopniu jasności w zdeterminowaniu kwestyi? Czyż takie powstrzymanie życia nie świadczy o tem, że w organizmie coś psuje się? Dlatego musimy się raczej zgodzić na to, że jak Kościoły partykularne, z biegiem czasu organizując się, skupiały się około pewnych ośrodków, wydając tym sposobem okręgi metropolitalne i patryarchaty, tak

[1] Por. P. Batiffol: *L'Église naissante et le Catholicisme*, zwłaszcza str. 167 i nast., 249 i nast., 271 i nast.

i cały Kościół musiał i musi coraz bardziej skupiać się około jednego centrum, zacieśniać coraz bardziej węzły zależności peryferyi owego centrum, a nie wracać do młodzieńczych swych kształtów, jak dorosły człowiek nie może wrócić do kolebki.

Książę Maksymilian mówi, że papieże pierwszych stuleci nie wykonywali swej jurysdykcyi na Wschodzie wprost, ograniczając się do pewnego ubocznego wpływu. Nie przypuszczamy ani na chwilę, by z tego faktu (faktu, którego bezwzględności historya nie potwierdza), książę chciał czynić zasadę dogmatyczną. Stanąłby bowiem w sprzeczności z orzeczeniem soboru Watykańskiego, który w konstytucyi dogmatycznej *Pater aeternus*, r. 3. określił, że biskupowi Rzymskiemu przysługuje »nie tylko obowiązek nadzoru lub dyrektywy, lecz pełna i najwyższa władza jurysdykcyi nad całym Kościołem, nie tylko w rzeczach wiary i obyczajów, ale i do karności i rządu Kościoła po całym świecie rozsianego dotyczących, nadto, że przysługuje mu nie tylko jakaś przedniejsza cząstka tej najwyższej władzy, lecz cała jej pełnia i to w ten sposób, że jest ona władzą zwyczajną i bezpośrednią tak nad wszystkimi wogóle i pojedynczo Kościołami, jak nad wszystkimi wogóle i pojedynczo pasterzami i wiernymi« [1]. Oczywiście, książę żąda tylko tego, by papieże względem Wschodu tej pełni swojej władzy *de facto* nie stosowali. Pragnęlibyśmy zaznaczenia tego szczegółu wyraźnie dlatego, by się okazać szczerymi względem odłączonych braci wschodnich. Książę żąda od nich, by uznali prawność naszych dogmatów, przynajmniej jako konkluzyi teologicznych; musieliby więc i na to się zgodzić, żeśmy u siebie w domu mieli prawo wyprowadzić tę konkluzyę, która wystąpiła w formie przytoczonego dekretu watykańskiego. Odjęcia sobie wszelkiej autonomii przez papieży Wschód nie potrzebuje się obawiać, ale ma prawo przynajmniej wiedzieć, że autonomia, jaką papieże pozostawiają patryarchom wschodnim, nie wypływa z dogmatycznych podstaw katolicyzmu.

Choć o obrządku wschodnim książę nie mówi obszerniej, suponując, jako rzecz pewną, utrzymanie takowego w Zjednoczo-

[1] Denzinger: *Enchiridion*, wyd. 10, n. 1831.

nym Kościele wschodnim, mimo to nie możemy pominąć sposobności poświęcenia kilku słów i tej kwestyi.

Obrządek wschodni ma pozostać nietykalnym — oto zasada, o której pamiętano zawsze przy przyjmowaniu do jedności Rzymskiej wschodnich Kościołów. Mimo to niechętni mu znajdują jeszcze pozory do oskarżania Rzymu o latynizatorskie zamiary i zamachy. Czy można mieć nadzieję, że w przyszłości uniknąć się da wszelkich pod tym względem zarzutów? Sądzimy, że nie a to dlatego, że odłączony od jedności Wschód pośiada takie pojęcie o niezmienności obrządku, jakie nie odpowiada duchowi powszechnego Kościoła. Widzieliśmy wyżej, jak tacy poważni przedstawiciele Wschodu, jak patryarcha Anthymos, nie zgadzają się z nami nawet co do tego, co należy do kwestyi obrządkowych tylko, a co do dogmatycznych, przytaczając, jako błędy przeciwko wierze, łacińskie obrzędy chrztu, eucharystyi i t. p. Ale nie wdając się w szczegóły, spojrzyjmy na kwestyę obrządkową wogóle. Jak wiadomo, w pierwszych czasach chrześcijaństwa nie istniała ściśle określona różnica między obrządkami Wschodu i Zachodu. Szkic mszy świętej był ten sam prawie tu i tam; szczegóły zaś pozostawiano twórczości miejscowych Kościołów; sakramentów udzielano jednakowo, o ile chodzi o ceremonie, choć formuły modlitw różniczkowały się. Powoli różnice zaczęły się powiększać, a zarazem ustalać w każdym Kościele te typy obrządkowe, jakie się w nim powoli wyrobiły. Pomniejsze Kościoły coraz bardziej pozbywały się swoich osobliwości i szły za Kościołami większymi. Tym sposobem obrządki zredukowały się do kilku zasadniczych i dość już wyodrębnionych typów. Mimo to jeszcze w V—VIII stuleciach widzimy przykłady wzajemnego oddziaływania jednego obrządku na drugi. Benedykt XIV w konstytucyi swej *Allatae sunt* wylicza rozliczne obrzędy, przeniesione na Zachód z liturgii greckiej. Sama liturgia grecka znowu nie przestawała w ciągu wieków rozwijać się i wzbogacać w coraz to nowe obrzędy. Wspomnimy tu tylko proskomidyę dość późnego pochodzenia.

Otóż zachodzi pytanie, czy z tem prawem rozwoju i wzajemnego oddziaływania Kościołów w rzeczach liturgicznych da się

pogodzić zasada absolutnej skostniałości i izolacyi obrządku greckiego od wszelkich wpływów Zachodu, skostniałości i izolacyi, jakiej pragną niektórzy wielbiciele tego obrządku nawet z pomiędzy katolików? Rozumiemy zasadę zachowania nieskażonymi tych obrzędów, które się już skrystalizowały i są łącznikiem wiążącym teraźniejszość z przeszłością, zasadę, która i w Kościele łacińskim przyjętą została co do mszy i innych ściśle liturgicznych czynności, lecz czyż takie zachowanie tego, co nam starożytność przekazała, wyklucza wszelką twórczość w przyszłości? Myślimy, że nie. Kościoły, połączone z Rzymem, poczynają żyć życiem katolickiem, i wstępują na tę drogę twórczą, jaką kroczyły zgodnie oba Kościoły przed rozdziałem. Ponieważ Kościół Wschodni przez swą izolacyę opóźnił swój pochód dziejowy o dziesięć wieków, nic dziwnego, że po zawarciu unii zwykle przyspiesza kroku, by zachodnich braci dogonić, nic dziwnego, że zapożycza od nich niejedną formę, niejedną ideę, która dla ich życia religijnego okazała się pożyteczną. Dlatego potępianie, w imię czystości obrządku wschodniego, wszelkich, czy to zapożyczonych z Zachodu form nabożeństw, jak np. majowe lub czerwcowe, czy też samodzielnie u siebie tworzonych, uważamy za niezgodne z duchem katolickim.

Rozumieli to dobrze unici, którzy na swych soborach niejednokrotnie zajmowali się kwestyami liturgicznemi i wprowadzali pewne nowości lub drobne zmiany bez żadnego parcia ze strony Rzymu. Inna rzecz, że zapożyczanie się u łacinników nie powinno być niewolniczem naśladownictwem. Sama architektoniczna estetyka, że tak powiemy, wymaga dbać o czystość obrzędowego stylu, skoro on już się ustalił i dlatego wszelkie nowe nabożeństwa winny przyoblekać się w formy temu stylowi właściwe. Na tem stanowisku stanął w r. 1909 zjazd teologiczny w Velehradzie, który po długiej dyskusyi uchwalił następującą zasadę: »Niema przeciwieństwa między nowymi pobożności katolickiej objawami a obrządkiem wschodnim, byleby objawy te do formy wschodniej były przystosowane« [1]. Zapewne znajdzie się

[1] *Acta II Conventus Velehradensis.* Praga 1910, str. 13.

wielu takich, co nazwą tę zasadę latynizacyą, my odpowiemy im, że jest to tylko duch wiecznie żywego Kościoła powszechnego.

Rozpatrzyliśmy trzy dziedziny życia kościelnego: dogmatyczną, prawną i liturgiczną. W każdej z tych trzech dziedzin książę Maksymilian żąda dla Wschodu nietykalności i niezmienności *status quo*. Zamykając w paru słowach nasze uwagi, odróżniamy niezmienność wewnętrznego żywotnego p r a w a, od czystej matematycznej niezmienności k s z t a ł t ó w. »Z dwóch gałęzi jednego drzewa jedna, dajmy na to, uschła rok temu i została przy tej samej grubości i kształcie, jaki miała wtedy, druga znacznie zgrubiała i nowe wypuściła gałązki — któraż z tych dwóch gałęzi istotnej uległa zmianie?« [1]. Od zrozumienia tego pytania i dania na nie trafnej odpowiedzi, zależy nasz prawidłowy stosunek do kwestyi wschodniej we wszystkich jej dziedzinach.

Chcemy jeszcze dotknąć pewnej niekonsekwencyi księcia Maksymiliana, dzięki której plan jego wprawdzie traci nieco na swym radykalizmie, ale która nie ujdzie chyba uwagi wschodnich teologów. Oni nie omieszkają wyciągnąć z założeń księcia logicznych wniosków, których on, zdaje się, nie miał odwagi wypowiedzieć. »Dzisiejsi unici to łacinnicy w kostyumie wschodnim. Istnienie ich raczej przeszkadza, niż pomaga kwestyi zjednoczenia Kościołów«. Tak pisze książę na jednej karcie swego artykułu. I oto najniespodziewaniej na następnej stronie mówi: »Unici, którycheśmy już pozyskali, powinni oczywiście być zachowani«. Dlaczego? Na to pytanie nie znajdujemy żadnej odpowiedzi. Wobec tego z poprzedzających twierdzeń księcia łatwo będzie wschodnim teologom wyciągnąć takie wnioski. Ponieważ istnienie wschodnich unitów, Koptów, Melchitów, Maronitów, Bułgarów, Rusinów, ze stanowiska Wschodu jest schizmą, wprowadzoną przez Rzym do łona Kościołów wschodnich, jest stawianiem katedry przeciw katedrze, a z drugiej strony, ci unici i według zdania księcia są przeszkodą do zawarcia powszechniejszej unii, należy zatem skasować dotychczasowe cząstkowe zjednoczenia w nadziei przyszłej powszechnej unii. A zatem dlaczegoż nie radz

[1] Ks. M. Morawski: »Wieczory nad Lemanem«. Wieczór 7-my.

książę papieżowi poświęcić tych unitów, zrzekając się nad nimi jurysdykcyi, kasując wschodnie unickie patryarchaty i metropolie i poddając ich pod władzę patryarchów dyzunickich, uważających siebie za jedynie prawnych spadkobierców dawnych na tych katedrach biskupów? Tem bardziej, po co utrzymywać na Wschodzie misye katolickie, kiedy dla Wschodu dosyć pozostać takim, jakim jest obecnie; po co dotować w Rzymie kolegia dla wschodnich kleryków i uczyć ich łacińskiej teologii, skoro ta teologia również ma nie odpowiadać duchowi wschodniemu? Wycofania misyi katolickich wciąż domagają się wschodni, niezłączeni z Rzymem biskupi, na nic tak nie narzekając, jak na propagandę katolickich misyonarzy, zwłaszcza jeśli ci misyonarze, choć łacinnicy z pochodzenia, przyjmują obrządek wschodni i poczynają stosować się do wszystkich zwyczajów Kościoła wschodniego. Tak, jeśli się pójdzie konsekwentnie drogą wytkniętą przez księcia, to trzeba będzie przekreślić zupełnie całą 1000-letnią historyę usiłowań Rzymu pozyskania Wschodu dla jedności kościelnej. Słowem kapitulacya na całej linii.

Czy nie bierzemy odpowiedzialności na siebie za przeszkadzanie świętej sprawie zjednoczenia? Takie pytanie zadawali sobie przed kilkunastu laty niektórzy łacińscy teologowie, kiedy roztrząsano kwestyę ważności święceń anglikańskich. Łudzono się nadzieją, że przez uznanie ważności hierarchii anglikańskiej rzuci się ponad przepaścią most, na którym z czasem spotkają się oba Kościoły. Była to illuzya i tej illuzyi nie zawahał się zburzyć w imię prawdy historycznej i dogmatycznej Leon XIII bullą *Apostolicae curae*. Tuszymy sobie, że i my, atakując plan księcia Maksymiliana, nie psujemy dzieła unii, tylko burzymy illuzye, a czynimy to również w imię prawdy. Książę uważa unię, podług jego planu zawartą, za doskonalszą *plus parfaite*, widzieliśmy jednak, że byłoby to raczej złudzenie unii, polegające na jakimś formalnym akcie, bez rzeczywistego połączenia umysłów i serc. Wobec tego przekładamy unię w rozumieniu Leona XIII. »Nie powodowani żadną ludzką pobudką, — tak odzywa się do Wschodu ten wielki papież — lecz miłością Boga i pragnieniem wspólnego naszego zbawienia, radzimy pojednać się i połączyć z Kościołem

Rzymskim. Mamy zaś na myśli zjednoczenie zupełne i doskonałe, jakiem w żaden sposób być nie może zjednoczenie, któreby się ograniczało na pewnej zgodzie w wierze w pewne dogmaty i na wzajemnej miłości braterskiej. Prawdziwą jednością chrześcijan jest ta, którą Założyciel Kościoła Jezus Chrystus ustanowił i której pragnął, a która polega na jedności wiary i zarządu«[1].

Stanowcza postawa Leona XIII względem anglikańskiej hierarchii nie przeszkodziła nawróceniom, owszem przyspieszyła wejście do Kościoła tych, którzy się z tem ociągali, licząc na prawowitość swojej hierarchii. Mamy nadzieję, że słowa tegoż Leona XIII, skierowane do Wschodu, nie przeszkodzą połączeniu się z nami tych ludzi dobrej woli, którzy szczerze, bez żadnych uprzedzeń prawdy szukają. Całą duszą przyłączam się do przestróg księcia Maksymiliana, by nasi teologowie i misyonarze unikali wszelkiego błędu i nietaktu względem Wschodu i nie opóźniali tym sposobem wielkiego dzieła, by sumiennie i bez przesady traktowali sporne kwestye dogmatyczne i szukali tam porozumienia, gdzie ono jest możliwem, ale dodaję pragnienie, abyśmy również nic z pewnej prawdy katolickiej nie poświęcali dla łatwiejszego przyciągnięcia odłączonych braci.

Kamieniem węgielnym unii Kościołów jest uznanie zupełnej władzy najwyższego widzialnego rządcy Kościoła, biskupa Rzymskiego. Na wieki splotły się ze sobą w jedną całość dwa wyznania, zapisane na jednej karcie ewangelii św. Mateusza. Tyś jest Chrystus, syn Boga żywego, wyznał Piotr; Tyś jest opoka, a na tej opoce zbuduję Kościół mój[2], odpowiedział mu Zbawiciel. Jak wiecznie prawdziwem pozostanie wyznanie Piotra, włożone mu do serca przez Ojca Niebieskiego, tak wieczną prawdą pozostaną słowa, które wyszły z ust samej Wiekuistej Prawdy. Piotr, dotąd żyjąc w swoich następcach, broni donośnym głosem wiary w bóstwo Jezusowe przeciwko racyonalistycznej niewierze, lecz kto chce zachować

---

[1] Encyklika *Praeclara gratulationis.*

[2] Mat. XVI. 16—18.

nieskażoność swej wiary, musi z pokorą, miłością i posłuszeństwem wysłuchać głosu Chrystusa: Tyś jest opoka, i z ufnością na tej opoce się oprzeć. Kto tę jedną prawdę uzna, dla tego upadają wszelkie trudności do połączenia się z Kościołem katolickim, dla kogo zaś prawda ta nie jest jasną, z tym trudno mówić o jedności w wierze, dla takiego zjednoczenie Kościołów przy jakichkolwiekbądź kombinacyach będzie zawsze dziełem raczej politycznych rachunków, niż aktem religijnym.

Ks. Jan Urban.

KS. PATRON WAWRZYNIAK.

(Ciąg dalszy).

Bo Piastem był z pochodzenia i z przymiotów.

Było w nim wszystko z tych, co się nie dali Otonom ni Henrykom, co trzebili puszcze i szli z oszczepem na wroga czy zwierza, co przetrwali wszystkie dole ojczyzny i własną pańszczyźnianą niedolę, aż znów do wolności wrócili — ale już pod obce berło. Wtedy znów dla ojczyzny, jak ongi, wolni pracować poczęli — i po raz drugi Teutonom stawili opór; i jak o polskiej szlachty pancerze rozbiły się szable Krzyżaków, tak pięćset lat później przed zagrodą chłopa wielkopolskiego stanęły bezsilne pruskie ustawy — Ulrykowi von Jungingen odpowiedziała szlachta, Otonowi von Bismarck więcej niespodzianie jeszcze chłop polski.

Była w Wawrzyniaku ogromna siła, wprost potęga cielesna, duch mocny nie do znękania, umysł otwarty, jasny, świadomy celu i środków, rozum praktyczny, w żadnej okoliczności nie zawodzący, hart woli niezłomny i energia opanowująca wrażliwość i stawiająca ponad wzruszeniem każdem jaśń wewnętrzną, radość życia, zapalność, co jak magnes ciągnęły go do wszystkiego, co dobre i wzniosłe.

A ten wzrost i zdrowie i siły niespożyte i pogodę umysłu wziął z zagrody kmiecej, tak jak z niej wyniósł jasną i prostą, a rozumem wspartą i pogłębioną i wszystko przemagającą wiarę w Boga i bogobojność i uczynność do poświęcenia gotową dla bliźniego i dla sprawy.

Tradycya rodów chłopskich niedaleko sięga. Ale w Kościańskiem i Śremskiem wśród najprzedniejszych gospodarzy dziad i ojciec Wawrzyniaka odznaczali się zacnością, oświatą, siłą i zamożnością, które dziedzicznie przechodziły w tym rodzie z ojca na syna. Więc z tej chaty kmiecej wyniósł i zabrał Wawrzyniak, czem potem zdumiewał swoich i obcych.

Więc postawę miał wysoką nad zwykłą miarę. Czołem przenosił zebranych. Z wiekiem stawał się ogromniejszy, kolosalny, a zarazem w ruchach więcej poważny, powolny, ociężały. Wszystko u niego było wielkie: tułów, nogi, ręce, lecz w odpowiedniej proporcyi.

Wielka twarz, o grubych rysach, nabierała z latami coraz większego uduchowienia i patryarchalności, a zarazem i energii.

Wysokie, silnie zbudowane, niezmęczone, niezasępione czoło, skroń Jowiszowa, w rodzaju swym najwięcej podobna do skroni Goethego w późniejszym wieku, choć szczegóły odpowiednio do rasy i indywidualności były odmienne.

Organizm miał tak mocny, że dopiero lekarze w razie gwałtownego niedomagania mogli wypowiedzieć, co mu służy, a co szkodzi. On znosił wszystko. Posilić się mógł rano na zapas, skoro wiedział, że nie starczy czasu wśród całodziennych obrad i przygotowań na posiłek. Mógł także wyspać się naprzód, jak wogóle spać mógł o każdej porze, wtedy kiedy sobie postanowił.

W sutannie, w której występował zwykle na zebraniach a zawsze w swojej parafii, wyglądał imponująco i niepowszednio — nie było nic konwencyonalności, nic typu, oryginalność w sobie i w swoim stanie.

Podczas podróży dalszych, które odbywał w ubraniu świeckiem, mieć go było można za dyrektora wielkiej instytucyi finansowej amerykańskiej — z odmianą rasy słowiańskiej w rysach twarzy. Odpowiednio do tego wyglądu, spokój nie opuszczał go nigdy. Opowiadający gorączkował się lub ambarasował, a on słuchał, by jak najlepiej rzecz rozumieć i rozwinąć swój plan.

Na zebraniach siedział nieruchomie prawie, patrzał na uczestników, raz po raz krząkał, rzadko kiedy, mając wielką pamięć i wprawę, coś sobie zapisywał. Twarz jego nie zdradzała nigdy

wrażeń odniesionych ze słów mowcy. Gdy przyszła nań kolej, dźwigał się w górę i spokojnie rozpoczynał swoje wywody.

Dyskusyę ułatwiał mu wyższy poziom patrzenia na kwestye, szerokość i wszechstronność widnokręgu, życzliwość dla sprawy, objektywność wobec przeciwników i humor. Tem rozbrajał przeciwników, przychylny wyrabiał sentyment swoim wywodom i zyskiwał im większość. W dowcipie się nie lubował i nigdy się z swoich uwag humorystycznych ani przedtem ani potem nie śmiał, lecz używał go w miarę, jako środka dobrego do celu, dla sprawy.

Tak jak wydawał się ociężały w ruchach, jak nie lubił zmian, będąc już przy pracy lub podczas wypoczynku, tak niepojęcie ruchliwy był, działał szybko i wiele i przenosił się z miejsca na miejsce w tak krótkim czasie, jak nikt inny — uprzedzał zwykle drugich. Myślano: zanim powstanie, wyruszy, stanie na miejscu, to można jeszcze co innego rozpocząć — i stąd ci, co tak sądzili, zwykle się się spaźniali, Wawrzyniak był przed nimi u celu.

Lecz i na dalsze odległości ruchliwość jego była czemś zupełnie bezprzykładnem, fenomenalnem, co zastanawiało wszystkich i na co tylko w siłach olbrzymich Wawrzyniaka znaleźć można wytłumaczenie.

Ale działanie to nie było spontaniczne, wybuchowe.

W Wawrzyniaku uderzała ogromna jednolitość w tem, co działał, co mówił, jak pisał, jak mieszkał: siła, prostota, celowość niezmieniona, nie do strącenia z toru raz obranego.

To był człowiek czynu w najintensywniejszem i najogólniejszem znaczeniu tego pojęcia. Sam mówił częstokroć, że on nie jest od pisania ani od mówienia, tylko od działania.

Nic w nim nie było ani z literata ani oratora. Gdy mówił publicznie lub odpowiadał w liście na zapytania, wydawało się, że to są rzeczy tak proste i tak znane, że potrzeba naiwności lub niezwykłej wielkości, by je głosić, bo były to zawsze prawdy głębokie i obliczone na wszystkie strony, bezwzględne, żywiołowe jak ziemia, jak chleb powszedni — do wszystkiego się sto-

sujące, nie tracące przez czas ni okoliczności znaczenia — i stąd niesłychanie proste.

Uznawał potrzebę i wartość mówienia i pisania, ale upodobania nie miał w formie uwydatnienia; dla formy samej nieby nie był uczynił.

Starał się, by styl był poprawny a język czysty, bo to wymagał jego zmysł porządku, ale staranności literackiej, tak jak krasomówstwa, śladu nie było.

Nie był też Wawrzyniak mówcą, mianowicie w pojęciu tych, którzy wielkim mówcą nazywają człowieka o dźwięcznym organie, wypowiadającego płynnie, głośno, z patosem, pewną ilość słów przyjemnie brzmiących, zrozumiałych ogółowi i podziwianych zawsze na nowo, a obliczonych na efekt.

W Wawrzyniaku nie było nic z wirtuoza-mówcy.

Słowa wydobywały się u niego na powierzchnię jako produkt ciężkiej, mozolnej wewnętrznej pracy, więcej fizycznej, niż umysłowej — powoli, jakoby urywane. W chwilach uniesienia nawet nie mówił nigdy szybko.

Twarde były jego zdania, a słowa rąbane prostem narzędziem, nie przystrojone niczem, żadną ozdobą, nie harmonizowane w tonie. Zapas słów i dobór miał bardzo niewielki, nie cieniował pojęć, nie używał synonimów, nie miał żadnego upodobania w frazesowaniu. Słowa, których najczęściej używał były: sprawa, rzecz jest w porządku, z racyi tej, poważnie, traktować, przeprowadzać dyskusyę lub korespondencyę, skonstatować, to się pokaże, ma się rozumieć, jeszczeby też...

Gdy mówił dłużej i żywiej wpadał w patos przypominający kaznodziejski ton, nie przeczulony, ale zwykły.

Głos jego nie był giętki i nie obejmował wielkiej skali, nie był drewniany, ale też nie brzmiał jak metal, nikomu niespodzianki nie gotował ni stawał się przykry.

Cała siła tkwiła w przedmiocie, w argumentacyi, w logice, w przedmiotowości, w prostocie, w szczerości, rzetelności, w powadze; nic nie było sztuki, wszystko było przyrodą. W tem była tajemnica jego zwycięstw. Zawsze odnosiło się to wrażenie, że

Wawrzyniakowi nie zależy na tem, żeby coś napisać lub coś powiedzieć, lecz coś zrobić, i to rzetelnie, na długą metę.

Pismo jego było niezwykle drobne; przytem przedstawiało się tak, jakoby pióro stalowe, którem pisał, było bez przedziału, było rylcem. Z każdego pióra równo wychodziło, każąc się domyślać szczegółów głosek i sylab, samodzielnych skróceń i indywidualnie ukształtowanej całości słów. Nie suche jednak było ani nudne. Zdania były krótkie, lapidarne, lakoniczne; treść nigdy prawie bez humoru, a całość pełna projektów i otuchy — mimo trudów, trosk i cierpień fizycznych. Mimo to miało się wrażenie, że najważniejszej rzeczy nie napisał, a zwykle, że mógłby był daleko więcej powiedzieć.

W informacyach był nadzwyczaj skąpy. Do rozpaczy mógł doprowadzić ludzi zajmujących się naukową jakąś kwestyą, choćby z najbliższej mu dziedziny. Wydawało się, że całej ankiety chce się pozbyć kilku obojętnemi, niewyraźnemi słowami odpowiedzi. Więcej już można było ustnie z niego wydobyć.

Jak dalece nie czuł potrzeby wypowiedzenia się w formie literackiej i uwydatnienia się w dziedzinie literatury, mimo najbujniejszych a oryginalnych pomysłów w najrozmaitszych dziedzinach, mimo setek wykładów i tysięcy konferencyi, jakie miewał, mimo planów, jakie pragnął wcielić w życie, świadczy fakt, że nie wydał nic, krom wskazówek dla członków rady nadzorczej w Spółkach. Sprawozdania z jego przemówień były zwykle bardzo niedostateczne, bodaj czy kilka razy je stenografowano. Dla charakterystyki jego, dla dziejów gospodarstwa społecznego w Księstwie, a szczególnie dla psychologii ze względu na wybitność niezwykłą Wawrzyniaka, jest brak ten niepowetowaną stratą, choć dopełnia on jego indywidualności.

A jak pismo i mowę uważał za środek do celu, tak i oprawę najbliższą swego życia.

Mieszkanie nie znaczyło u niego nic w tym rodzaju, co u ludzi, którzy z niego sobie nie tylko ramy życia czynią, lecz atmosferę życiową i do niej się stosują, studyują, stwarzają nastroje i nawzajem na siebie im pozwalają oddziaływać.

Celem mieszkania Wawrzyniaka była sposobność do pokrze-

pienia sił i do pracy. W Mogilnie zastał typową, małą, ciasną, niewygodną plebanię i zmienił ją do tyla tylko, że dobudował werandę wielką i część gospodarczą. W paru pokoikach, jakie zamieszkiwał, nie było żadnego przedmiotu upodobania lub umiłowania, nie miał żadnego obrazu, będącego dziełem artysty, nie posiadał dosłownie ani jednego przedmiotu sztuki. Było wszystko odpowiadające celowi ogólnemu życia mieszkańca: stół wielki na środku pracowni, dla niego i współpracowników, książki na półkach, drugi stół w jadalnym pokoju do spożywania posiłku, w sypialni łóżko, na werandzie szezląg, wszędzie potrzebna ilość krzeseł. Istniały też wszystkie inne przedmioty: szafy, obrazy, serwisy, był nawet salonik, ale to wszystko nie wchodziło w rachubę, nie mówiło się o tem, nie zastanawiało w pożyciu. Patrząc na przebywanie Wawrzyniaka w własnym domu, ani na myśl nie przyszło, żeby mogli istnieć ludzie, którzy się do pewnych przedmiotów przyzwyczajają, i dla których one są czemś ważnem w życiu, od których są zależni, nad któremi się zastanawiają, o nich mówią, w nich się rozkoszują.

Ciągle i we wszystkiem czuło się dążność, skierowaną poza najbliższe okoliczności, ciągle miało się wrażenie, że w dalszym ciągu tego, na co Wawrzyniak patrzy, o czem mówi i pisze, po co jedzie, co czyni, jest cel dalszy, wyższy, właściwy — a to są przygotowania, środki do osiągnięcia tego, co chwilowo jest abstrakcyjne, ale jedynie prawdą i dobrem.

Pragnął, by był we wszystkiem cel, a wszystko przez pojedyncze cele do najwyższego w swoim rodzaju zmierzało celu, i aby zapomocą środków najodpowiedniejszych, najstosowniejszych, najracyonalniejszych i najłatwiejszych jak najwięcej osiągnąć.

W każdej rzeczy chciał być w zgodzie z Bogiem i z dobrem społeczeństwa, swojem zadaniem i ze sobą. Zasadnicza i decydująca tendencya była u niego zdziałać coś pożytecznego, posunąć naprzód »sprawę«, nie dążyć do czegoś, coby sprawiało satysfakcyę i stanowiło chwilowy sukces a przytem było destruktywnem i ujemnem a przynajmniej niedodatniem. O rzecz samą mu chodziło. Do niej zmierzał śmiało, wytrwale a mądrze.

Nie należał do żadnej partyi politycznej, ale wszystkich sku-

piał dla sprawy. I gdzie widział dobre chęci, cel zacny i środki uczciwe i prawidłowe, tam pomagał, popierał, służył. Stąd wszystkie partye mogły się powoływać, że to, co w ich programie jest dobrego, Wawrzyniak uznaje i ceni. I rzeczywiście tak było. Chcąc zyskiwać wszystkie stronnictwa dla spraw dobra ogółu, żadnemu nie był wrogiem.

Osobiści zaś jego przeciwnicy tak dobrze wiedzieli, że nie pójdzie za niechęcią ku nim i nie da się powodować chęcią wymierzenia odwetu za wyrządzoną mu osobiście przykrość lub krzywdę, lecz ze względu na sprawę przedmiotowo rzecz uchwyci i poprowadzi, że gdy opinia powołała ich na sąd publiczny, starali się, by przewodnictwo objął Wawrzyniak a nie ich zwolennik. Wiedzieli, że na tem wyjdą lepiej, niż gdyby sprawę ich prowadzili ich przyjaciele.

A do takiego syntetycznego działania miał fenomenalne wprost przymioty.

Posiadał niezwykłą zdolność pojmowania i przenikania istoty rzeczy, którą stałą czynnością umysłową rozszerzał i pogłębiał. W każdej dziedzinie życia oryentował się natychmiast. Mówił, że nad tem trzeba mu się będzie zastanowić, ale siedzącego i zamyślonego nie widywano go nigdy. Zdawało się, że gdy mówił, rozważał, ale słowa jego już były rezultatami poprzedniego przetrawienia przedmiotu. Fakt jedyny był ten, że równocześnie słuchając i czytając, pojmował, trafiał w jądro kwestyi.

Od razu oceniał przedmiot, człowieka, stosunki, sytuacyę — i zająwszy się kierował niemi częstokroć bez świadomości interesowanych, skoro »sprawa« nie mogła mu być obojętną.

Świetnym był psychologiem i ogółu i jednostek.

Wstawiał się w położenie i sposób myślenia najrozmaitszych ludzi. Nie widział ich takimi, jakimiby był ich chciał mieć, lecz, jakimi byli, a wiedział od nich lepiej nie tylko do czego dążyli, lecz do czego chcieli zmierzać, jak ta dążność objawiać się może w przyszłości i jakie przyniesie objawy. Gdy chciał przeciwników na zebraniach zwalczać, rzekomo przychylnie się do nich odnosił, wtedy wywoływał tem większą opozycyę.

Nie narzucał nigdy z góry swojej woli. Przygotowywał za

to starannie ludzi i stosunki, aby rezultat ich pojęć, dążności i czynów zmierzał i spotkał się z jego życzeniem. Tak kierował, aby mu zrobiono propozycyę, jakiej on sam pragnął i jeszcze proszono go usilnie, aby dokonał tego, do czego sam zmierzał w głębi duszy [1].

Gdy nie mógł pokierować sprawy od razu tak, jak wedle jego pojęcia jej dobro wymagało, nie stawiał rzeczy na ostrzu noża, nie piętnował, nie potępiał, nie wycofywał się, lecz pracował dalej, czekał, wychowywał ludzi, zyskiwał dla swoich pojęć, zwolenników swoich idei wprowadzał w instytucye — nie mogąc powozić, nie dał się zepchnąć z wozu. Aż wyrobiwszy sobie większość odbierał cugle na prośbę większości lub ze zbiegu okoliczności, gdy nikt inny odpowiedni się nie trafił lub sprawa podupadła, a on ją potem ratował i nadawał jej kurs.

Zdumienie zawsze ogarniało obecnych, jak zręcznie obrady prowadził.

Najostrzejszym krytykom i opozycyonistom prac społeczuych, polecał zawsze, skoro tylko wielkiej szkody nie mogli zrobić, oddawać do poprawy i dalszego prowadzenia dzieła przez nich surowo krytykowane lub potępiane. Wtedy nie tylko byli mniej szkodliwi, ale musieli się nawet wykazać, że umieją się lepiej wziąć do dzieła.

Długo mówiono w kołach mniej głęboko się zastanawiających, że Wawrzyniak jest przebiegły, z czasem począł się jednak objawiać podziw dla jego rozumu, a wreszcie uznanie dla jego poczucia obywatelskiego i poszanowanie dla służby publicznej stało się ogólnem.

Bo Wawrzyniak dla teoryi, doktryny, zdania raz powziętego »sprawy« nie poświęcał. Jeśli dobro społeczne wymagało

---

[1] Uznał np. potrzebę zawodowego stowarzyszenia, lecz przewidywał opozycye z pewnej strony; wtedy wyrażał obawy, że może taka organizacya powstać w łonie ludzi niepoważnych i dostać się w ręce niepowołane, które jej nadadzą kierunek nieodpowiedni, może nawet charakter polityczny i t. d. Przez to powodował, że strona przeciwna takiej organizacyi sama się doń zwróciła i błagała go, by wziął sprawę w ręce i bronił przed wartogłowami i warchołami.

innego postępowania, jeśli przez gwałtowne przepieranie słuszniejszej idei nastąpić mogło rozognienie umysłów i rozpadnięcie się społeczeństwa na wrogie obozy, jeśli namiętność partyjna groziła pochłonąć interes ogółu i roztrwonić siły potrzebne do walki ze wspólnym wrogiem i do pracy pozytywnej, wtedy nie wahał się z swej zasady zrobić ofiarę, skoro wyższe względy tego wymagały.

Temi samemi prawidłami kierował się i w innych dziedzinach.

Niemcy, jako naród doktrynerów i filistrzy wśród Polaków, naśladujący ich bezmyślnie, zarzucali mu, że nie stworzył nowej formy kooperatywy, lecz był naśladowcą form, jakie już zastał. Tej ambicyi on nie miał, aby widząc, że coś jest podatne, porzucać dlatego, że jest cudze i używane.

On miał ten zdrowy zmysł utylitaryzmu, aby wziąć z wszystkiego, co najlepsze i najodpowiedniejsze, i wyzyskać na swoją korzyść. To też typ spółek poznańskich zawiera w sobie to, co na stosunki wielkopolskie okazało się najlepszego w systemie Schulzego z Delitzscha i Raiffeisena, ale posiada też i ważne instytucye, jakich niema ani w jednych ani w drugich (jak niezmiernie ważna dla Spółek pozycya Patrona wobec Banku ich Związku), a jakie są pomysłem Wawrzyniaka.

Z tym zmysłem logiki łączył się ściśle zmysł słuszności. Nie dał się powodować nigdy do żadnej niesprawiedliwości.

Nikt tak nie przyczynił się do zaspokojenia potrzeb kredytu ludności polskiej pod zaborem pruskim, jak Wawrzyniak. Wiadoma zaś rzecz, że przez załatwienie kwestyi kredytu usunięto żydów, którzy się gospodarstwem pieniężnem prawie wyłącznie w polskich dzielnicach zajmowali, i spowodowano ich do opuszczenia kraju.

Jeśli dzisiaj żyd na wsi w Wielkopolsce jest anomalią, jeśli w całym szeregu miasteczek sprzedano bóżnice, bo ostatni żyd się wyprowadził, jeśli w samym Berlinie za to 4 razy więcej mieszka żydów, niż w całem Wielkiem Księstwie Poznańskiem, to skutek pracy Wawrzyniaka.

Ale mimo to Wawrzyniak nie był antysemitą, przeciwnie, dziwił się każdemu chrześcijaninowi, a zwłaszcza księdzu kato-

lickiemu, jak nim być może. On pracował dla swoich, dla swego ludu biednego, uciemiężonego, opuszczonego ludu i dla całej ojczyzny.

Że ta praca jego wychodziła bezpośrednio na korzyść najbliższych mu rodaków a na niekorzyść innoplemieńców (jak wiadomo wszyscy żydzi w Wielkopolsce stali się Niemcami i mówią w rodzinach tylko po niemiecku) — to rzecz inna.

On przeciw żydom nie występował nigdy; gdzie było można i potrzeba, pracował z nimi wspólnie dla dobra publicznego, dla »sprawy«.

Jeszcze trudniej przychodziło mu traktować bezstronnie problemat szlachty polskiej pod zaborem pruskim.

Nie tylko że z innego pochodził stanu i to stanu, który był podległy tamtemu stanowi i odeń zależny...

Oczywiście już z tego powodu nie miał uczucia, jakie się ma w obrębie tego samego stanu ściśle ze sobą spojonego. Tradycya szlachecka — rodzinna, towarzyska czy społeczna — nie była jego tradycyą, kultura dworów nie była jego kulturą, zapatrywania, dążności, nawyknienia, słabości szlachty jego światu były w najważniejszej części obce — nie patrzył na nią jak ktoś, kto z niej pochodzi, kto o niej mówi — »my«. Odwieczny kontrast, jaki istnieje pomiędzy szlachcicem a chłopem, był w Wawrzyniaku zawsze żywy. Swej przynależności i poczucia pochodzenia do chłopów Wawrzyniak nie tylko nigdy się nie zapierał, ale w chwili potrzeby szczerych wynurzeń, najprawdziwiej go odsłaniających, Wawrzyniak do nich powracał i je uwydatniał. Więc jego dusza pragnęła przedewszystkiem podniesienia się stanu włościańskiego, cieszyła z wzrostu wszelakiego kmieci, z zamożności, z oświaty, z wcielania w organizm społeczny i narodowy — a tem jaśniej widziała błędy szlachty, dla których nie miała tej zrozumiałej, a jednak zwykle niesprawiedliwej pobłażliwości, jaką mają swoi.

Ale poza tą odrębnością stanową, poza kontrastem, oddziaływały jeszcze inne czynniki na Wawrzyniaka, które wyrabiały i utrzymywały w nim pewną animozyę ku szlachcie.

To było to, co zniósł osobiście.

Patrzył na pokolenie, które rościło i uwydatniało wszelkie pretensye praw, znaczenia i wpływu w narodzie, a które nie dopełniało swego obowiązku względem tego narodu, lecz doprowadzało go do brzegu, nieomal do dna przepaści. A z drugiej strony widział upośledzonego, nie bez winy szlachty, chłopa, który ginął dla swej ciemnoty albo szedł przebojem, walcząc o byt, przymierając z głodu, do krwi ścierając ręce przy pracy, aby się ostać i nie dać Niemcom. I liczył Wawrzyniak, ile to jego samego trudu i znoju kosztowało, zanim zdołał, na miejsce osiadłych Niemców-kolonistów, polskich gospodarzy poosadzać i wieś odniemczyć — i porównywał te lata długie pracy i starań z jedną chwilą, w której szlachcic polski, co słynął z patryotycznych mówek, urągania Niemcom i tradycyi narodowej, nagle bez potrzeby wieś o kilku tysiącach mórg sprzedał komisyi kolonizacyjnej. I on potem patrzeć musiał na powstające na ziemi polskiej siedziby kolonistów i słuchać propozycyi, aby ze wsi sprotestantyzowanej zabrał figurę Matki Boskiej, co ją ongi polski stawiał dziedzic, a potem zostawił na urągowisko Niemcom...

Więc miał dosyć antagonizmu i goryczy w sercu wobec tego stanu, co tak wiele strat wyrządził ojczyznie — a jednak nigdy nie odmawiał uznania ani jednostkom ani rodzinom dzielnym, biorącym się do dzieła, kochającym szczerze ojczyznę, podnosił ich zdolności i prace, a tym, którzy rzetelnie imali się pracy i zaczynali na nowo, pomagał w równej mierze, jak braciom włościanom, tak jak instytucye obywateli ziemskich popierał w tej samej mierze, co swoje włościańskie i mieszczańskie Spółki.

Ten rys jego pojęć, uczuć i odpowiedniej do nich działalności tak mało podpadający w jego życiu, tak rzadko na jaw występujący, a jeszcze rzadziej spostrzegany, a tak głęboko sięgający, nie najmniej dosadnie ilustruje jego charakter.

Ten sam zmysł logiczności i słuszności objawiał się w innym jeszcze kierunku: jako zmysł legalności.

To było jego dążnością, jego ambicyą i jego potrzebą, aby zawsze legalnie postępować. Skoro coś stało się prawem obowiązującem i dopóki było jeszcze prawem, tak długo też decydowało o jego postępowaniu. Tem wychowywał swoje społeczeństwo i tem

bił władze. Ominął prawo lub wykorzystał i wyzyskał je tak, iż im to było aż nieprzyjemnie, ale nie zboczył w niczem z drogi legalności.

To poczucie legalności objawiało się w nim w stosunku do władzy duchownej. Nie przyjmował bezkrytycznie zdań i zarządzeń władzy, ale tylko w gronie najbliższych swych współpracowników temat ten poruszał, rozbierał i sąd swój wydawał, wypowiadał swoje uczucia, objawiał plany na przyszłość. Gdy w jakiej dyecezyi duchowieństwo swoje grawamina wytaczało w gazetach publicznych przeciw ordynaryatowi (np. w sprawie upośledzenia językowego) i najpoważniejsi kapłani zajęli w nich stanowisko, mawiał: widocznie nie mieli już innego sposobu, skoro się do tego uciekli środka.

Opozycyi i jej uwydatnienia nie ganił, jeśli to dla »sprawy« było potrzebne, ale środków pragnął odpowiednich, licujących z godnością oponentów i władzy.

Najchętniej jednak pragnął żyć w najlepszej zgodzie z władzą i o to się starał. Nie tylko, że to było dla niego wygodnie lub korzystnie dla »sprawy«, jaką reprezentował, lecz że tak było »w porządku«, że tak być powinno. Poszanowanie osób, przedstawicieli władzy, w jego wewnętrznem pojęciu i uczuciu zależnem było od ich zapatrywań, dążności, charakteru — ale władza była władzą.

Pojęcie o sile i rozległości umysłu w innym kierunku Wawrzyniaka daje fakt, iż był on samoukiem w dziedzinie, w której najwięcej się odznaczył i najwięcej przyniósł pożytku krajowi. Na akademii nie słuchał skarbowości ani ekonomii politycznej — wzorów w kraju nie zastał. Jego działalność początkowa składała się z odkryć, znanych od wieków ludzkości, ale nieznanych tam, gdzie działać począł. Sam wspominał wielokrotnie, ile trudów potrzeba było i mozołów, zanim się domyślił, które pozycye bilansu należy umieścić w *Credit*, a które w *Debet*[1]. Ale zdolność i praca

[1] A jeszcze dłużej trwało zanim przekonał współpracowników, że kwoty otrzymanych oszczędności i udzielonych pożyczek trzeba zapisywać, a zapisków ani cudzych weksli nie nosić przy sobie.

wytrwała sprawiły, że Spółka śremska, będąca pod jego kierownictwem, rozwinęła się i wysunęła na sam szczyt, a przez to i on na czoło zarządu wszystkich Spółek — i że potem nie było równego mu finansisty, jeśli nie w Polsce całej, to pod zaborem pruskim. Znany był też ze swoich wiadomości w prawie i wyciąganiu wniosków; powaga jego, jakiej zażywał u sędziów pruskich, była ogólną. Lepiej od nich znał dziedziny prawa, wkraczające w jego działalność, tak, iż nieraz gotował im klęskę, dawał naukę lub potrzebne objaśnienie.

Życie publiczne i zmienne jego objawy znał, pojmował, oceniał. Żadna jego dziedzina nie była mu nie tylko obcą, ale nawet szczególnie jakoby znajomą, gdy począł o niej dyskusyę. Tylko wytłumaczyć sobie było niepodobna, gdzie i kiedy to wszystko zdobywał. Te książki, które składały jego bibliotekę, należały do ścisłych dziedzin teologii, a wogóle nie było ich wiele; rzadko kiedy jakie dzieło nabył, nie abonował żadnego pisma naukowego, nie miał żadnej wielkiej a specyalnej dziedziny nauki, którąby się z predylekcyą zajmował, zawodową jego literaturą były wydawnictwa dotyczące Spółek i bankowości, rzadko nawet na stacyi kupował gazety, czytał tylko w języku polskim i niemieckim, a jednak wszystko to do niego trafiało, co mu było potrzebne i czem ludzi w podziw wprawiał.

Przez patrzenie, rozważanie i stosunki z ludźmi zyskiwał tę wiedzę. Podróżował bowiem wiele, nie tylko po Polsce, ale znał prawie wszystkie kraje europejskie i znaczną część Stanów Zjednoczonych Ameryki. Nie tylko zaś z podróży tych, ale i z pobytu każdego u wód korzystał, aby się w kierunku pracy gospodarczej zapoznać z stosunkami różnorodnymi, postępem, rozwojem najnowszych urządzeń; utrzymywał, że w ten sposób zupełnie zastąpić można studya systematyczne na uniwersytecie.

Dla wrażeń samych nie podróżował, łączył zwykle z podróżą pozyskanie nauki i zaspokojenie swego zmysłu ładu i porządku. Jeżeli oglądał jakieś miasto, to wstępował do rozmaitych instytucyi, obejrzał i przekonał się — jak mawiał — czy wszystko w porządku; zaproszono go, by zwiedził zakład pracy domowej dla dziewcząt: obchodził wszystkie sale, strychy, piwnice, chlewy,

aby nabrać przekonania, czy wszystko jest w porządku; zmienił któryś z przyjaciół jego mieszkanie, wtedy przyjechał i zbadał, żali wszystko jest w porządku; pod tym punktem widzenia oglądał pracownię rzeźbiarza, fabrykę machin, bank, park...

Jak rozmaite sprawy zajmowały Wawrzyniaka, świadczy w braku innej statystyki najlepiej jubileuszowe sprawozdanie z czynności 25-letniej Towarzystwa Przemysłowego w Śremie, którego Wawrzyniak od r. 1873—96 był prezesem, a które prawie wyłącznie stało nim (w czasie jego choroby kilkumiesięcznej żadne się zebranie nie odbyło). Niema tam dosłownie żadnej dziedziny, z którejby nie był miał wykładu [1].

Mimo zaś tych różnorodności przedmiotów go zajmujących, Wawrzyniak nie był w niczem dyletantem. Bo jeśli miał wykład popularny, to go wypowiedział z świadomością, że w tych warun-

---

[1] Biorąc na wyrywki jeden z roczników (1887), znaleźliśmy tam następujące tematy, które przedstawił zebranym: O projekcie przeprowadzenia przez Śrem kolei żelaznej, O jubileuszu papieża, O zebraniu delegatów Towarzystw przemysłowych w Pleszewie, Jacy rzemieślnicy potrzebni dla Śremu?, O biurze informacyjnem, Co tamuje rozwój Towarzystw przemysłowych?, Na co są Towarzystwa przemysłowe?, O sprawie patronatu dla Towarzystw przemysłowych, O fałszowaniu artykułów żywności, Historya pieniędzy, O czeladzi śremskiej, O dręczeniu zwierząt, O wolności procederowej (na 4 posiedzeniach), O wartości i potrzebie stałych cen i punktualności u rzemieślnika, O potrzebie robienia inwentury, Uwagi historyczne o Śremie, Sprawozdanie z wystawy gwiazdkowej w Śremie, O skutkach kulturkampfu pod względem ekonomicznym, O reorganizacyi sądowej (na 2 posiedzeniach), Czy rzemieślnik ma podjąć się roboty, której na czas umówiony dostarczyć nie może?, O ostrożności przy braniu pożyczek, Stosunek Ojca św. do Polski, Kiedy mamy obowiązek kupowania u swoich?, Jakimi środkami należy dążyć w Towarzystwach przemysłowych do celu?, O skutkach kredytu dla rzemieślników (na 2 posiedzeniach), O telefonie (wykład i próby).

Łatwo zrozumieć, jaką wartość dla członków Towarzystwa miały tego rodzaju wykłady.

Zanim wstąpił Wawrzyniak do Towarzystwa i objął przewodnictwo, »dotychczasowa działalność jego ograniczała się w znacznej części na przyjmowaniu członków i występowaniu ich z powodu częstokroć błahych zajść« (str. 17), które rozgrywały się na zebraniach. Stąd pod wpływem Wawrzyniaka Towarzystwo stało się szkołą, która wytworzyła w Śremie doskonałych, postępowych, rzetelnych przemysłowców, jakichby każde inne miasteczko polskie pozazdrościć mogło. W kilka lat później r. 1883 już cały szereg członków wygłasza odczyty.

kach taki jest odpowiedni i że wobec tej publiczności tak trzeba traktować szerzenie oświaty, i z umiejętnością potrzebną. W niczem, do czego się zabierał, co mówił i co działał, nie było śladu dyletantyzmu. Jeśli się czemś specyalnie nie zajmował, to traktował rzecz ze stanowiska jej znaczenia społecznego, a w dziedzinie społecznej był znawcą i praktykiem.

Braku zdecydowania, stawiania wielkich a niepochwytnych programów, skoków, zaczynania a nie prowadzenia nadal podjętej sprawy nie znał, o fantastach, ideologach, doktrynerach, ludziach dobrych chęci, ale niejasnych pojęć, jakich niestety wielu u nas we wszystkich stanach, mawiał, że to »chory człowiek« albo »lepszy waryat«.

Tak jak we wszystkiem, co rozpoczynał, przyświecał mu cel, jak świadom był tego, do czego zmierza i jak cel osiągnie, tak w tem, co działał, był porządek.

A więc to, co jest najważniejsze we wszelkiem działaniu, podział pracy, przeprowadzał we wszystkiem — w całości gospodarstwa społecznego. Nieugięty był w przekonaniu, że każda organizacya winna mieć swój specyalny, ściśle nakreślony cel i oznaczoną statutami dziedzinę działania, poza której obręb wychodzić jej nie wolno. Uznawał zatem i uwydatniał i popierał potrzebę istnienia stowarzyszeń i instytucyi religijnych, charytatywnych, naukowych, oświatowych, społecznych, gospodarczych, ale nie znosił i w zakresie swojej władzy nie tolerował wkraczania sobie wzajemnego w przynależne terytorya. Wyznawał i żądał, aby iść w tym samym ostatecznym kierunku i zachować styczność wśród głównych kierowników, ale oddzielnie maszerować i pracować, mając cel własny najbliższy nieustannie na oku i ten cel obracać w czyn.

Skutkiem tego nie tylko Spółki nie zajmują się polityką i wyborami, ale o tych sprawach niema mowy ani w Kółkach włościańskich, ani w Towarzystwach robotników, ani w Czytelniach ludowych, ani w Bractwach różańcowych dla mężczyzn, chociaż te stowarzyszenia się spotyka w każdej parafii. Od polityki i agitacyi jest cały system organizacyi wyborczej, reprezentuje interesy polityczne ludności polskiej w Rzeszy niemieckiej,

który zadanie odnośne wziął na siebie i przez to pozwala, że inne organizacye tem zupełniej odrębnym swoim mogą poświęcić się celom i tem lepiej wypełniać swoje właściwe zadanie, jakie sobie obrały i wyszczególniły w nazwie. W ten sposób nie powstaje zamieszanie w życiu publicznem, każda organizacya tem lepiej prosperuje i tem lepiej cel osiąga, członkowie wychowują się w prawidłach organicznej pracy, a społeczeństwo miarowo, tem szybciej i zdrowiej rozwija.

Tak samo przeprowadzał wewnątrz organizacyi poszczególnych podział pracy, mianowicie wśród ich kierowników, tak samo od jednostek prywatnych wymagał, aby każdy miał swoją specyalność, jej się całkiem oddawał i »sprawę« w ten sposób posuwał naprzód. Nie należeć w kilku lub wszystkich stowarzyszeniach do zarządów a skutkiem tego być tylko figurą od dekoracyi, lub czynnikiem tamowania rozwoju.

Pod takim wpływem społeczeństwo coraz liczniej przychodziło do przekonania, że trzeba wszystkie instytucye popierać przez przynależność do nich i płacenie wkładek, ale pozwalać się wybrać do zarządu jednego z nich wolno tylko wtedy, gdy ma się odpowiednie kwalifikacye umysłowe i czas do pełnienia zadań, jakie urząd przyjęty nakłada.

Oczywiście cała ta jego działalność możliwa była tylko na podstawie wyrobienia niezwykłego woli. I tę wolę miał Wawrzyniak, jak nikt inny. Zdumienie ogarniało każdego, jak on umiał przez ćwiczenia jej przemódz się i pracować z bólem zębów, z febrą, z źdźbłem wpadłem w oko, bez pożywienia od rana do wieczora, podróżować przez lato z nogą, w której nie miał czucia, jak mógł oddawać się swoim zajęciom w zmartwieniu, po zawodzie doznanym, wśród trosk i kłopotów najróżnorodniejszych.

Spokój i cisza była mu do pracy pożądaną, tak jak był świadom sobie, że powodzenie dodaje sił i ułatwia życie i pracę, ale nie był zależny zupełnie od tych okoliczności. Nie potrzebował czekać ani dni, ani tygodni, jak inni, na spokój, nastrój i chęć do pracy, ani też wszystko inne odsunąć, aby się skupić przy jednym tylko przedmiocie.

Wyzyskać umiał każdą chwilę i pracować o każdej porze

dnia i nocy, równo w domu, jak w obcym pokoju, w wagonie czy w restauracyi.

Odpowiednio do swego usposobienia i zajęcia miał wielką potrzebę wypoczynku i rozrywki, życia towarzyskiego, zabawy w gronie przyjaciół, a nie zdarzyło się, by ze względu na osobistą przyjemność zaniechał jakiego przedsięwzięcia lub nie dotrzymał obietnicy. Sumienność i punktualność uczynił on niezłomnemi prawidłami dla siebie. Znając zaś wartość tych dwóch przymiotów, wymagał ich stale od drugich.

Swój własny podział pracy miał bardzo szczegółowy i porządku najściślej się trzymał. Ułożył sobie i spamiętał program pracy na tygodnie i miesiące naprzód i wyliczał z góry zajęcia swoje dzień po dniu. Z najdrobniejszymi szczegółami wiedział np. w jakiej miejscowości za dwa, trzy miesiące, w których godzinach, odbywać będzie zebranie z poszczególnemi instytucyami, dokąd pojedzie w ten dzień na noc, kto nazajutrz po niego przybędzie i dokąd go zawiezie na rewizyę Spółki, o której minucie wsiędzie do pociągu, kto na stacyi na niego z interesem swoim będzie czekał i z nim pojedzie, aby mu w drodze »sprawę« przedstawić i tak dalej całymi dniami i tygodniami.

Podobnie nie odstąpił nigdy od rozpoczętej sprawy dlatego, że mu w jego działalności stawiano tamy, nie uznawano jego dobrych chęci lub słuszności postępowania, potępiano jego sposób pracy, wyrządzano przykrości lub krzywdy. Tak jak wielu słabnie w miarę napotykania przeciwieństw, jak inni zwalniają się sami ze swoich zadań i obowiązków podjętych, skoro miasto uznania napotkają na opór, lekceważenie, niewdzięczność, a tem więcej oszczerstwo, wycofują się z podjętej akcyi lub nawet życia publicznego, mając się za zupełnie wytłumaczonych — tak Wawrzyniak nie znał wcale tego pojęcia: »czuć się zrażonym« ani wytłumaczenia, aby dla osobistej przykrości lub obrazy porzucić sprawę. Każdą wyrządzoną sobie przykrość odczuwał, ale zarazem pracował, działał dalej i poświęcał się, skoro tego wymagała sprawa — tak jakby miast przeszkód i niegodziwości, spotkał się z uznaniem.

(Dok. nast.)

Ks. Kazimierz Zimmermann.

ESTETYKA T. LIPPS'A.

(Ciąg dalszy).

W ten sposób piękno artystyczne przedstawia się w teoryi Lippsa, jako treściowo identyczne z pięknem naturalnem, a tylko odmienne w sposobie istnienia i sposobie działania na człowieka. Treścią piękna tak naturalnego, jak artystycznego jest zawsze życie, jakaś pozytywna jego strona we wczuwaniu objawiająca się człowiekowi, jako jego własna. Tylko, że to życie, stanowiące treść piękna, inaczej istnieje w naturze, inaczej w sztuce. W naturze istnieje zanurzone w pospolitości praktycznych interesów, a wskutek tego w przeważnej części jest dla człowieka zgubione. Istnieje życie w naturze, ale wyraz jego jest tak zamącony, że go niełatwo odczuwamy. Piękno w naturze jest, według Lippsa, że się tak wyrazimy, w stanie dalekiej potencyalności, która najczęściej pozostaje potencyalnością, a nie realizuje się w estetycznych wczuwaniach.

Piękno artystyczne przedstawia i wyraża życie w warunkach o wiele korzystniejszych dla odczucia. Sztuka z natury swej wyłącza jakiś jego objaw z niekorzystnych psychologicznie warunków rzeczywistości i stawia w bliższej możności jego zrealizowania. Artysta rozporządza wieloma środkami w celu oczyszczenia objawów życiowych z mącących i niepokojących domieszek objawów pokrewnych lub obcych. Oczyszczenie to jest zarazem podwyższeniem i spotęgowaniem wartości estetycznych przedmiotu.

Piękno odosobnione w sztuce nie tylko może być odczute, ale wprost narzuca się do głębokiego odczucia, istnieje tylko dla odczucia.

Od czasu Platona i Arystotelesa utarł się zwyczaj łączenia sztuk pięknych z naśladownictwem natury. Dało to sposobność do wielu niejasności, nieporozumień, a nawet sporów pomiędzy estetykami. Wyraz ten bądź co bądź nie jest dość ścisłym i poprawnym, by mógł dobrze określić stosunek, jaki istnieje między dziełem sztuki a podobnem zjawiskiem przyrody. Zapewne istnieje zależność dzieła sztuki od tworów przyrody, objawy natury wyprzedzić musiały dzieło sztuki, które musi się do pewnego stopnia dostosować do wzoru naturalnego — i stąd łatwo wytłumaczalna sposobność do nazwania tego stosunku naśladownictwem. Nawet wytworzyła się teorya upatrująca cel sztuki w naśladownictwie. Lipps zwalcza teoryę naśladownictwa. Ideałem sztuki nie jest naśladownictwo, ani nawet nie może ona na niem poprzestać, jeżeli naprawdę chce tworzyć dzieła piękne. Gdyby jej ideałem było naśladownictwo natury, największe możliwie zbliżenie się do natury, skopiowanie, fotografowanie jej, wówczas najpiękniejszym byłby np. człowiek, utworzony najwierniej z wosku, ze szklanemi oczyma, ubrany w rzeczywiste swoje ubranie, zupełnie taki sam, jak żywy jego wzór. Tymczasem takie dzieło sztuki jest wprost estetycznie potworne, wrażenie z niego idące jest wstrętne, mieści w sobie niemożliwe i nigdzie nie spotykane połączenie pulsującego życia z niemą martwotą i okropnem skostnieniem ruchu. Dusza w tę potworność wczuć się nie może, nie może znaleźć w niej upodobania. Dlatego żadnej sztuki pięknej nie należy łączyć z naśladownictwem. Zadaniem jej przedstawić coś z natury, zdarzenie jakieś, a przedstawić tak, by tem przedstawieniem treść jego przemówiła do duszy człowieka, by do niej weszła, objęła rozkosznie i zlała się, zjednoczyła się z nią we wzajemnem odczuciu się. Do tego właśnie potrzeba odrzeczywistnienia natury, potrzeba ją wyjąć z pola rzeczywistości, na którem rosła przygłuszona różnem zielskiem praktycznych względów, przesadzić osobno, a nawet z niej samej usunąć pewne szczegóły narosłe wskutek ścisłego złączenia z dotychczasowem otoczeniem.

Wtedy stanie przed oczyma w czystości swego charakteru, nabierze właściwego sobie rozkosznego powabu piękna.

A cóż w takim razie będzie z prawdą w sztuce?

Przed laty dziesięciu toczył się u nas bardzo gorący spór na ten temat. Artysta pendzla z zawodu, a słowa z natury, walczył o prawdę w sztuce. Za wszelką cenę usiłował prawdę wynieść ponad wszystkie skomplikowane czynniki sztuki i ją jedynie postawić za normę oceny dzieł sztuki. Prawdę tę pojmował właśnie jako najdokładniejsze zbliżenie się do natury, fotograficzne zdjęcia doradzał, jako jeden z najlepszych środków zbliżenia się do natury: »bo najwięksi geniusze zawsze i wszędzie uważali ją za swego mistrza — mistrza jedynego i o tyle tylko przyznawali dziełom sztuki wyższość nad sobą, o ile bliżej stały prawdy życiowej« [1].

I Lipps prawdy nie wyklucza całkiem z pośród czynników piękna, owszem czasami żąda jej i wymaga, jako niezbędnego warunku do wywołania upodobania estetycznego. Tylko ta prawda posiada u niego, zgodnie zresztą z faktycznym stanem istniejących dzieł sztuki, pewne ograniczenia, zastrzeżenia, cały szereg rozmaitych odcieni zbliżenia się do natury.

Prawda w sztuce, rozumiana jako możliwie największe podobieństwo do dzieł natury, jest rzeczą podrzędną. Nie o nią chodzi w sztuce. Sztuka piękna nie ma za zadanie szerzyć wiedzę z dziedziny geografii, historyi, anatomii, zoologii i t. d. i pokazywać, jak wygląda natura i zjawiska w niej się zdarzające. Gdyby ten cel miały sztuki piękne, wówczas miarą do oceny mogłoby być ścisłe naśladowanie natury. Ale cel sztuk pięknych jest inny, — widokiem i kontemplacyą piękna dać czyste, bezinteresowne upodobanie, a ten cel stanowczo więcej domaga się, aniżeli dać może prawda. Domaga się treści piękna, domaga się tego, żeby w przedmiotach sztuk widniało to, co człowiekowi jest drogie, co on lubi, wielce sobie ceni — a takiem jest przedewszystkiem życie w jakiejś dodatniej jego stronie, i to, co ze życiem ma związek, w czem się życie objawia. Oczywiście objawy życiowe

[1] Stanisław Witkiewicz: »Sztuka i krytyka u nas«. Wyd. 3, str. 67.

są cząstką natury i żeby je przedstawić, potrzeba, żeby dzieło sztuki podobne było do natury, ale nie w tem znaczeniu, żeby dzieło sztuki było tem cenniejsze, im bardziej jest zbliżone do natury. Sztuka może nawet naturę »ulepszyć«. Ulepszenie to — tak ośmieszane przez zwolenników prawdy w sztuce — nie polega na czem innem, jak na owem wyłożonem wyżej wyodrębnieniu od rzeczywistości, oczyszczeniu z podrzędnych, przypadkowych szczegółów rzeczywistych, mących i zagłuszających główny charakter życiowego objawu. Ale to oczyszczanie jest już pewnem oddalaniem się od rzeczywistości, jest faktycznem zepchnięciem prawdy naturalnej na plan drugi. Prawda tylko o tyle jest konieczną, o ile w dziełach sztuki niezbędną jest estetyczna objektywność, t. j. o ile konieczne jest wykluczenie wszelkich łączników sprowadzających uwagę widza z dzieła sztuki do sfer interesów rzeczywistych.

Lipps uwidocznia to na portrecie. Portret ma dwa zadania przed sobą: ma być podobizną danej osoby i ma sprawiać upodobanie estetyczne, t. j. wywoływać estetyczne wczucie w patrzących. To drugie zadanie jest właściwe sztukom pięknym pierwsze samo przez się leży poza obrębem zadań estetycznych. Otóż gdyby ten sam obraz nie figurował wśród dzieł sztuki, jako portret pewnej osoby, to mógłby odpowiedzieć swemu zadaniu estetycznemu, choćby ów pan nie był dobrze »trafiony«, choćby nawet nie przypominał danego pana. Nie objawiając pretensyi do wyrażania podobizny, nie nasuwałby chęci widzowi do porównywania obrazu z rzeczywistością, nie wprowadzał działania, które wyważa widza z estetycznej kontemplacyi. Widz zadowolniłby się samym wyrazem życia, wrażeniem bijącem z obrazu. Ale obraz, według umowy, miał do spełnienia inne zadanie, samo przez się nie estetyczne, mianowicie miał dać podobiznę owej osoby. Przeto żeby mimo nieestetycznego czynnika pozostać dziełem sztuki pięknej, musi usunąć ten moment nasuwających się pytań i interesowania się rzeczywistością — zadanie więcej skomplikowane i wskutek tego utrudnione, którego rozwiązać niepodobna inaczej, jak przez połączenie wiernego oddania rzeczywistości, t. j. ścisłej prawdy z uwydatnieniem jakiegoś charakteru

życiowego. Wówczas właśnie piękno artystyczne domaga się, żeby już z samego założenia istniejącą w dziele chęć wyjścia z niego i zwrócenia się w porównywaniu do rzeczywistego przedmiotu uśmiercić w zarodku przez tak przekonywującą prawdę odtworzenia, żeby nawet nie powstawała myśl jakichś kroków, pytań, spostrzegań, uwag i porównywań nieestetycznych. Rzeczą artysty jest portretowaną osobę i oddać wiernie i podnieść nadto jakiś jej rys życiowy do potęgi typu narzucającego się odczuciu estetycznemu. I w tem rozumieniu, dla specyalnych powodów poza obrębem działalności estetycznej będących, ale w założeniu z dziełem sztuki związanych, musi być wyrażona w obrazie prawda naturalna, historyczna i t. d. W każdym razie pamiętać trzeba, że »zgoda dzieła sztuki z rzeczywistością nie jest czynnikiem sztuki«, ani świadomość tej zgody nie jest czynnikiem estetycznej kontemplacyi dzieła sztuki [1].

Tak więc widzimy u Lippsa słuszne odróżnienie dwóch elementów, które są przyczyną wielkich nieporozumień, elementu wierności oddania od elementu piękna. Nie wyłącza on prawdy oddania piękna w sztuce w tem znaczeniu, żeby artysta mógł prawdą zupełnie pomiatać i o nią zupełnie nie dbać, ale w tem dodatniem dla sztuki znaczeniu, że za małe wymagania stawiałby sobie artysta np. malarz, gdyby tylko dbał o odtworzenie prawdy według prawideł perspektywy linijnej i powietrznej i według logiki światłocienia. Dzieło sztuki ma wzbudzać upodobanie, a upodobania nie dostarczy prawda, o ile jest prawdą tylko. Ona najwyżej dać może zadowolenie intelektualne ze zrozumienia czegoś, co było przedtem niezrozumiałe i nieznane bez względu na to, czy ono się podoba lub nie podoba, czy jest obojętne, np. ze zrozumienia jakiegoś problemu matematycznego. Upodobanie intellektualne nie jest estetycznem [2] i aby to ostatnie miało miejsce, powinny harmonijnie zadrgać w człowieku wszystkie struny jego duszy, powinna w proces upodobania wejść wnętrzna treść i oso-

[1] Lipps: *Die aesthetische Betrachtung und die bildende Kunst,* str. 82.

[2] Zwracamy uwagę, że Lipps wpadł w przesadę, ogólnikowo odsądzając upodobanie intellektualne od upodobań estetycznych. Zresztą szerzej wytkniemy to przy omawianiu treści myślowej w obrazach.

bista wartość człowieka. Tego nie dokona tylko prawda, która jest zimna, która »tylko znać winna pytanie, co i jak — a najusilniej przestrzega przed zmieszaniem wartości osobistych, a przedewszystkiem zmieszania wartości estetycznych przedmiotu z jego wartością poznawczą« [1]. Tego dokonać może tylko sztuka, dbająca o to, aby jej dzieła drgały życiem, t. j. posiadały i okazywały spotęgowany wyraz życia, zdrowia, siły i wogóle tych pozytywnych wartości, które człowiek nauczył się znać i cenić sobie, z których cieszy się i czuje się dumnym. Tylko artysta, który potrafi wznieść się ponad odtwarzanie rzeczywistości, który potrafi odróżnić i ocenić istotę danego objawu życiowego od mnóstwa przypadkowych szczegółów, mących jego wyrazistość i zrobić stosowny wybór między różnorodnymi składnikami, by wiele z nich opuścić w odtwarzaniu a zatrzymać tylko najważniejsze, ten dopiero zdolny jest dać światu piękne dzieło sztuki. »Artysta pokazuje się w tem, co daje, ale jeszcze może bardziej w tem, czego nie daje, wtedy bowiem dopiero daje zupełnie to, co daje« [2]. »Dzieło sztuki jest kompromisem, w którym się zrzeka wiele szczegółów rzeczywistości, ale zrzeka się dlatego, by na tem zrzeczeniu się zyskać, by stać się dziełem sztuki« [3]. Odbiega od rzeczywistości, by zbliżyć się do człowieka, rezygnuje ze ścisłości prawdy, aby zyskać na wartości estetycznej — wartości dla duszy człowieka, która tem chętniej, tem przyjemniej niem się zajmie w kontemplacyi i odczuciu, im jaśniej i wyraźniej dostrzeże w niem swe własne strony, to co sama może mniej dobrze, mniej wyraźnie w sobie czuła, wydobyte na jaw, i przez to jakieś większe, lepsze, potężniejsze.

Sztuka rozporządza barwą, tonem, rytmem, dźwiękiem, słowem, linią, powierzchnią, bryłą, której powierzchnie ukształca. Wszystek ten materyał już z natury swej nosi w sobie cechy, które go uzdalniają do wywołania pewnych wczuć w człowieku. Lipps przeprowadza szczegółowe badania nad wczuciową treścią

[1] Lipps: *Grundlegung der Aesthetik,* str. 23 i nast. oraz *Die aesthetische Betrachtung,* str. 11 i nast.

[2] Tamże, str. 221.

[3] Tamże, str. 121

tch najprostszych elementów, jakimi posługuje się sztuka. Wykazują one, że te proste czynniki nie są tylko *rudis indigestaque moles,* niemą i głuchą masą dla człowieka, ale że mu niosą w zetknięciu się z nim jakieś znaczenie, że posiadają jakąś stronę psychiczną, przeznaczoną dla niego, że one są dla niego jakimś wyrazem, który może doń przemawiać — wyrazem, symbolem, zamykającym i niosącym dlań życiowe zawartości.

Weźmy choćby jeden przykład[1]: mówimy o jakichś barwach, o tonach »głębokich«. Biorąc rzecz przedmiotowo, fizycznie ani barwa, ani ton żadnych »głębi« nie zna. Są to tylko drgania, odmiennych ośrodków o odmiennym charakterze. Ale wzięte w znaczeniu subjektywnem, są one wyrazem procesu psychicznego, wywołanego działaniem owych drgań z zewnątrz. Te procesy subjektywne, które przedmiotowo nazywamy barwą i tonem, mogą posiadać i rzeczywiście posiadają głębię. Mianowicie człowiek wsłuchując się, wpatrując się w nie, odczuwa się nimi przejęty, czuje, że wchodzą w niego, zajmują coraz bardziej jego uwagę, jego duszę, zdaje się, że cała dusza, wszystkie jej władze są nimi objęte. Jest to głębia jego psychicznego wydarzenia. Ale człowiek tę swoją głębię odnosi do przedmiotu, do barwy, do tonu, bo ją odczuwa zależnie od nich. Pewne barwy i pewne tony przynoszą mu głębię, są też wyrazem i symbolem życiowej głębi. Podobnież rzecz się ma ze »siłą« tonów i barw, która właściwie jest »siłą« podmiotowych wrażeń, odnoszoną jednak do przedmiotowych objawów — barw i tonów[2]. I wogóle mówiąc, ton, barwa i rytm jakikolwiek jest dla człowieka wyrazem jakiegoś nastroju, symbolem jakiegoś ogólnego stanu duszy, jakiegoś ogólnego przebiegu życiowego, który mu przy dostrzeganiu narzucają.

Podstawą tego symbolizmu nastrojowego barw, tonów, rytmu jest psychologiczne prawo, że każde wydarzenie w sferze psychicznej ma pewien sobie właściwy sposób przebiegu, który nie zostaje izolowany od całości psychologicznego tła, ale stara się przenieść się na nie i całemu psychicznemu życiu człowieka udzie-

[1] *Grundlegung der Aesthetik,* str. 426.
[2] Tamże str. 441.

lić. Wskutek tego prawa owa rytmika, jaką posiada pojedyncze wydarzenie psychiczne, jak np. słuchanie dźwięków, rozszerza się na całą duszę, budzi w niej takie przeżycia, wspomnienia, wyobrażenia, myśli, których naturalny przebieg w podobny odbywał się sposób, posiada równą rytmiczność; »dotknięcie jednej struny duszy« wprawia w podobne drganie wszystkie struny tak, jak dźwięk jednej struny fortepianowej budzi oddźwięk we wszystkich strunach, podobnie nastrojonych« [1]. I wytwarza się ogólna harmonia, ogólny jednakowy charakter, usposobienie, ogólny nastrój w całej duszy.

Myśli, wspomnienia, wyobrażenia, wzbudzone w duszy jako oddźwięk i echa wydarzenia, które się aktualnie odbywa, mogą się odnosić do rozmaitych władz duszy, mogą się treściowo różnić między sobą. Mniejsza o to. Nie chodzi bowiem o ich treść, ale o s p o s ó b ich naturalnego przebiegu, o to, by rytm ich przebiegu zgadzał się z rytmiką obecnego wydarzenia i stosował się do niej, żeby był lekki lub ciężki, prędki lub wolny, jednostajny lub zmienny, przyspieszony lub opóźniający się — lub wyrażając się inaczej — wesoły lub smutny, żywy lub opieszały, leniwy, gwałtowny lub łagodny, spokojny i t. d. »Owszem im bardziej treść pojedynczych wyobrażeń, które składają się na dany nastrój, podporządkowuje się pod ten ogólny nastrój, tem mniej mogą one wkraczać do naszej świadomości, tem więcej jest ten nastrój w treści nieokreślony i nie do określenia [2]. I powołuje się Lipps na znany powszechnie objaw, że pewne wydarzenia tak silnie związane są z jakimś nastrojem radosnym lub smutnym i t. p., że nie tylko wydarzenia sprowadzają ten nastrój, ale i naodwrót pewien nastrój np. melancholijny wywołuje wyobrażenia, myśli, obrazy, przypomnienia przedmiotów i wypadków, treściowo zupełnie odmiennych, ale zgodnych w sposobie przebiegu uczuciowego t. j. mających ten sam nastrój. Tą zgodą nastroju tłumaczy się, że tony mogą podobnie nastrajać człowieka jak barwy, i powszechnie przyjętym jest zwyczaj łączenia wyrazów przyję-

[1] Tamże, str. 421.
[2] Tamże, str. 422.

tych w muzyce z wyrazami używanemi w malarstwie, np. mówi o głębokich tonach barw albo o kolorycie tonów. Jakkolwiek tony i barwy są wartościami przedmiotowo różnemi, to przecież mieszczą w sobie pewne czynniki subjektywne, jednakowe. I ten jednakowy nastrój, który wywołują w człowieku pewne tony i pewne barwy, pozwala dla dobitnego określenia wartości nastrojowych jednego gatunku używać wyrazów zapożyczonych z drugiego i odwrotnie.

Nastrój jest tylko jakością przebiegu procesów psychicznych, jest pewnym rodzajem świadomości własnej i osobistego poczucia, jak się człowiek czuje. Ale człowiek czuje się nastrojonym zależnie od rytmu, który gdzieś odczuwa, od barwy, którą widzi, od dźwięków, które słyszy, dlatego też te dane objektywne są wartościami psychicznemi, symbolami, wyrazami życia, radości, smutku, tęsknoty, spokoju, swobody, wzburzenia, skargi i innych uczuć i nastrojów.

W podobny sposób wykazuje Lipps znaczenie estetyczne a zatem i symboliczne najprostszych elementów tworów przestrzennych, jakimi są różne rodzaje linii. Owszem w tym kierunku stworzył Lipps osobny dział estetyki, nader ciekawą »mechanikę estetyczną«. Uzasadnia on w niej psychologicznie ośmieszaną czasem przez malarzy »symbolikę linii«. W jego przedstawieniu każda linia o tyle ma estetyczne znaczenie, o ile niesie dla naszego odczucia jakąś treść, o ile jest wyrazem, symbolem, przedstawicielem jakiegoś ruchu, przynajmniej mechanicznego, który jest, że się tak wyrazimy, życiem przyrody martwej. Upodobanie wzbudzają tylko te linie, w których naturalne poczucie praw mechaniki rozpoznaje rezultat jakiegoś ruchu mechanicznego. »Mechaniczne działanie przedewszystkiem określa istotę wnętrzną linii. Następnie stwarza charakterystyczne różnice kierunków. I tak linia pionowa i pozioma nie różnią się między sobą geometrycznie, ale mechanicznie. Pionowa ma kierunek działania ciężkości i przeciwdziałania jej — pozioma jest dla tych przeciwnych działań neutralną[1]. I do

[1] Tamże, str. 228.

tego stopnia »interpretacya mechaniczna linii« jest decydującą w ocenie wartości estetycznych, że linie podobają nam się wtedy nawet, gdy wypadkowa praw mechanicznych nie jest geometrycznie prawidłową, owszem znosi prawidłowość geometryczną. I przeciwnie prawidłowość geometryczna nie podoba się nam, jeżeli się sprzeciwia prawidłowości mechanicznej. Podobać się może, o ile jest wyrazem prawidłowości mechanicznej [1]. Linia falista nie będzie się podobać, jeśli się ją utworzy z ściśle geometrycznych łuków półkolistych, z których naprzemian jeden tworzyć będzie górę, drugi dół fali. Taka linia mechanicznie nie możliwa, dlatego też poczucie praw mechaniki nie może się w niej znaleźć ani wczuć. Za to podobać się będzie każda linia falista, choćby gemetrycznie nieprawidłowa, byleby tylko odpowiadała naszemu poczuciu mechanicznemu, które nie zawsze, ale przeważnie zdumiewająco pewnie osądza mechaniczną prawidłowość.

Poczucie mechanicznego ruchu w linii jest u człowieka tak silne, że wpływa na tak zwane złudzenia optyczne, które tylko na tej drodze dadzą się wytłumaczyć. Że np. koło, na którego obwodzie są porobione kreski i kropki wydaje się inne od drugiego, położonego obok, geometrycznie zupełnie identycznego, że wydaje się wydłużone, pogięte lub połamane odpowiednio do kropek lub kresek na nim się znajdujących — to inaczej zrozumieć się nie da, jak tylko w ten sposób, że w ocenie tych utworów nawet nad oczywistością góruje poczucie praw ruchu mechanicznego i mimo i wbrew bezpośredniej intuicyi narzuca człowiekowi przekonanie, że linia obwodowa jest pogięta, koło spłaszczone, stosownie do tego, jak wymagałyby prawa ruchu w podobnie zmienionych warunkach mechanicznych.

Jednakowoż i w tych razach nie podoba się ruch jako ruch, ale jako wyraz życia, które człowiek w te najprostsze kształty wczuwa. Przez wczucie linia dla człowieka powstaje, podnosi się w górę (ukośna), prostuje się (pionowa), spoczywa w równowadze (pozioma), gnie się (krzywa), wije się (falista), rozwija swe siły, jest swobodna, gdy jej kształt przedstawia się jako rezultat,

[1] Tamże, str. 230.

do którego doszła własnemi siłami wnętrznemi, bez nacisku i przymusu z zewnątrz, rozgałęzia się pod wpływem bujnego życia, rozpierającego wezbraniem prądów w niem krążących. Linia modernistyczna np. tak bogato rozgałęziona, elastyczna, nieraz gwałtownie wygięta a potem powracająca zwolna do pierwotnego kierunku, zawdzięcza swą wartość estetyczną temu szczegółowi, że dla wczucia przedstawia pulsujące życie, które chwilami bardzo się zmaga prądami, ale nie gwałtownie, nie powoduje łamań, tylko w elastycznych zgięciach koncentruje się, by potem tem silniej wystrzelić nowym i smuklejszym pędem, bujnemi rozgałęzieniami, spotęgowanym jakimś objawem.

Jak linia, tak i twory, którym ona służy za granicę, posiadają swój wyraz. Formy architektoniczne, wszelakie podstawy, trzony, głowice, wazy o przeróżnych profilach, łuki okien i t. p. mogą mieć swój wyraz i o tyle są estetycznie cenniejsze, im jaśniej przegląda z nich własne ich wnętrzne życie. Lipps przechodzi z osobna mnóstwo rozmaitych kształtów takich linii krzywych, profilów, wolut, łuków i t. p., tłumaczy z osobna każdy szczegół ich zgięcia. Od artysty żąda, żeby stosując się do natury materyału, którym rozporządza, wydobył z niego to, co on może dać najlepszego, żeby posługując się wszystkiemi zaletami a nawet i ujemnemi stronami materyału, wybrał z niego najoczywistsze i uwydatnił je i przy ich pomocy wyraził życie duchowe czy fizyczne, uczuciowe czy życie działań mechanicznych z całą jego oczywistością. Uczynić to może artysta, który wybiera między materyałem, ocenia jego charakter, wyraz, odrzuca lub pomija cechy obojętne a wybiera, zatrzymuje i podkreśla w nim to, co do wyrażenia życia zdatniejsze. Rzemiosło nie wybiera, nie umie korzystać z danych przedmiotowych do wyrażenia życia, ono warunkuje fizyczną egzystencyę dzieła — sztuka, artyzm ponad fizyczną egzystencyę wlewa w dzieło życie[1]; i właśnie zadanie artysty polega na tem, żeby przy zachowaniu cech materyału, podkreśleniu ich w nadanej formie, zagubić ich rzeczywistość

[1] *Die aesthetische Betrachtung und die bildende Kunst.* 493.

fizyczną jako materyału i jako formy, wykluczyć zajmowanie się niemi jako takiemi, podporządkować pod ogólny obraz życia, który z nich i przez nie jedynie ma przebijać.

Widzimy z tego, że wogóle Lipps nie zna sztuki, jak tylko o ile ona jest symboliczna, symbolizm należy do istoty sztuki każdej i nic nie może być piękne, coby nie wykazywało w sobie treści życiowej. »Istota sztuki polega na tem, że materyałowi podpadającemu pod zmysły nadaje taki sposób istnienia, iż wskutek niego staje się symbolem estetycznym, to zaś, co symbol wyraża — to jest życie« [1].

W następstwie tej teoryi wyklucza z wartości estetycznych wszelką treść myślową dzieła, to co artysta chciał wypowiedzieć, a czego dzieło samo przez się nie wyraża. Tak treść allegoryczna, historyczna, mitologiczna, religijna, wogóle każda myśl, którą człowiek wkłada w dzieło sztuki na podstawie podpisu lub wyjaśnień katalogowych, została wyłączona poza obręb wartości estetycznych. Nawet wierność portretu nie jest estetycznie cenną, bo »estetyka nie pyta, czy to ten człowiek, ale czy człowiek wiernie oddany został«, t. j. czy oddany został charakter i stan życiowy człowieka.

Ale Lipps jakby odczuwał, że napotka tu na opór i protesty, więc mimo śmiałego twierdzenia, cofa się nieco i przyznaje, że »tematowi nie można odmówić wszelkiego znaczenia estetycznego«, że wpływa on zarówno na artystę, tworzącego dzieło, jak i na widza, czerpiącego z niego upodobanie estetyczne. W równych zresztą warunkach tem cenniejszego estetycznie należy się spodziewać dzieła od artysty, im większa idea, wznioślejszy pomysł rozbłysnął w jego duszy i kierował jego pracą, a i widz tem większe znajdzie w dziele upodobanie, im lepiej ono zgadza się z całością jego zapatrywań. Bądź co bądź jednak Lipps stoi na tem stanowisku, że treść nie jest współczynnikiem estetycznym w dziele sztuki, tylko przygotowaniem jakiemś, wprowadzeniem, pomostem, aby bezpośrednio dostrzeżony wyraz mógł rozwinąć w człowieku wczucie. »Jeśli kiedyś jest inaczej, jeśli to,

[1] Tamże, str. 90.

czego się człowiek z dzieła d o m y ś l a (t. j. treść) przychodzi do głosu w kontemplacyi i staje się objektywnym współczynnikiem kontemplacyi i upodobania, wtedy człowiek sam siebie oszukuje. Myśli, że upodobanie znajduje w dziele sztuki, a tymczasem własnemi myślami się cieszy. Wartość dzieła sztuki polega na tem, co w niem pozostanie dla widza, jeśli tenże ze świadomości swej wyłączy jego podpis, uwagi katalogu, reminiscencye mitologiczne, historyczne, religijne. »Biada dziełu, które potrzebuje treści myślowej, i na niej zasadza swą wartość«. »Nie można bowiem filozofii, ani jakichkolwiek myśli malować ani rzeźbić, nie można ich wygrać ani w poezyi wyśpiewać. Tylko odczuwalne życie można widzieć i uwięzić w kształtach zmysłowych — i na tem właśnie polega sztuka, by to wykonać« [1].

IV. Znaczenie estetyki wczuwania się.

Z tego pobieżnego zestawienia kwestyi i sposobu rozwiązywania ich dostatecznie widać, że ostatecznie osią całej estetyki, około której obracają się i lub wykazują tendencyę do obracania się poruszone przez Lippsa kwestye, jest wczuwanie się jako strona subjektywna, jest symbol, wyraz życia leżący w przedmiotach jako strona objektywna relatywnego pojęcia piękności. I w tem też leży doniosłość i znaczenie, a zarazem i ujemna strona jego estetyki.

Najpierw doniosłość i znaczenie. Upatrujemy je w tem, że Lipps stanąwszy na stanowisku teoryi wczuwania i wziąwszy ją za podstawę całej swej estetyki, nałożył na siebie pewien przymus jak najszerszego, wszechstronnego uwzględnienia tego objawu przeżyć estetycznych. Istnienie wczuć uznawano niemal ogólnie, były pewne usiłowania do ich analizy, ale dopiero Lipps przez swe skrajne stanowisko w kwestyi wczuwania zniewolony był wejść głębiej w naturę tego objawu, rozpatrzeć ją w rozmaitych kierunkach, znane fakty estetyczne dostosować do swego punktu widzenia i próbować wytłumaczyć na podstawie swojej teoryi.

[1] Tamże, str. 98 i nast.

Wynikiem tego było rozszerzenie i pogłębienie badań nad wczuciami wogóle i estetycznemi w szczególności.

Wprowadzić podział w chaotyczny przedmiot badań, rozklasyfikować pokrewne a o odmiennych cechach objawy, to znaczy poczynić najpotrzebniejsze kroki do opanowania przedmiotu. Lipps właśnie wprowadza zróżniczkowanie materyału, podzielenie go na klasy. Mieliśmy wyżej sposobność rozpatrzenia się w tych rozmaitych działach wczuć, wytwarzających się w człowieku, w zetknięciu się z rozmaitymi przedmiotami, podpadającymi mu pod zmysły, z tworami przyrody martwej, oraz z istotami żywemi, przedewszystkiem człowiekiem, widzieliśmy różnice u samych podstaw ich powstawania. Jedne z nich powstawały wskutek postępowego poznawania przedmiotu, inne opierały się na instynkcie naśladowczym, inne wreszcie miały charakter nastrojowy, wprawiający działalność dusz w pewien rytm, w pewne falowanie, prężenie się i sukcesywne rozprężanie psychiczne, które raz wywołane w jednym kierunku, stara się rozejść we wszystkich innych kierunkach i całą działalność duszy na jeden sposób nastroić. Różnice te już dają lepszą oryentacyę wśród chaotycznego lasu wczuć, wśród którego niepewne tylko i bojaźliwe stawiał kroki badacz-estetyk.

Również za zasługę poczytać należy Lippsowi, że badania nad wczuciami sprowadził do możliwie najprostszych objawów. Kiedy wczucia wywołane na podstawie skomplikowanych objektywnie wrażeń, przedstawiają się jak nierozwiązalny gordyjski węzeł, jak jakiś pogmatwany, przedzierzgany na chybił trafił splot przedmiotowych i podmiotowych czynników, niemożliwy do rozwikłania, to Lipps, przenosząc teren badań do wrażeń jak najmniej skomplikowanych, do pojedynczych wrażeń barwnych, przestrzennych, rytmowych, do linii, tonów, taktu, słowa — badanie uprościł, umożliwił, wskazał na jakieś prawa psychicznych działań, które warunkują powstawanie wczuć, pokazał, że nie tylko zbyt samowolna, kapryśna assocyacya wyobrażeń miota i kołysze niemi dowolnie, ale kierują niemi pewne bliżej dające się określić i zbadać warunki psychicznego podłoża.

Wreszcie uznać należy wszechstronność tych badań, że nie

ograniczył się do badania piękna w jednym dziale sztuki, ale choć w różnym stopniu i mierze uwzględniał też i piękno na najrozmaitszych polach i w najrozmaitszych gałęziach i wszędzie starał się wykazać rolę pierwiastka wczuciowego. Piękno natury jak sztuki, estetyczne wrażenia przestrzenne i czasowe, a nawet odmiany piękna, które pojmuje jako jakości wczuć estetycznych jednolitych lub zróżniczkowanych — wzniosłość i jej rodzaje, tragiczność, komizm, humor i przeciwną piękności brzydotę — stara się z punktu widzenia wczuciowego omówić i uzasadnić.

I dlatego słusznie należy się mu uznanie, jakie oddaje mu Meumann, który w przeglądzie kierunków estetycznych doby obecnej, tak się o nim wyraża: »W żadnej estetyce dotychczas nie występuje doniosłość i znaczenie wczuwania się w takiej mierze, jak u Lipps'a« [1].

To rzetelna zasługa Lippsa, że tak dalece uwzględnił tę stronę przeżyć estetycznych, stronę wczuciową, która często się w nich znajduje, która stanowi jeden z najbardziej w oczy na rzucających się współczynników, a zawsze jakaś nieuchwytna, tajemnicza i czarująca. Mówimy jeden ze współczynników, bo to, że czucie i wczucie w przeżyciach estetycznych jest, że się narzuca najbardziej każdemu, najmilej głaszcze i pieści i oczarowuje serce człowieka, nie może dać podstawy do twierdzenia, że ono jedno jest, a innych czynników w przeżyciach estetycznych niema, że być ich tam nie może. Takie właśnie zapatrywanie przedstawia Lipps w swej estetyce. I z tem przychodzimy do zaznaczenia ujemnej strony zasadniczej jego estetyki.

(C. d. n.)

Ks. L. Rudnicki.

[1] *Aesthetik der Gegenwart*, str. 59.

„CIVITAS DEI“ W EPOCE KAROLA WIELKIEGO.

(Ciąg dalszy).

Teorye kościelno-państwowe pisarzy wczesnego średniowiecza i społeczne formacye kościelne.

Wierne odbicie polityki kościelno-państwowej w epoce Karola znajdujemy w poglądach Seduliusza, wyrażonych w rozprawce z połowy IX wieku p. t. *De rectoribus christianis*, o chrześcijańskich władcach, dedykowanej młodemu »panu i władcy«, prawdopodonie królowi Lotarowi II. Rozprawkę tę napisał wędrowny poeta i uczony irlandzki, który zwyczajem ówczesnym, jak pisze, wraz z dwoma uczonymi gramatykami i pobożnymi kapłanami wśród mroźnej zawiei śnieżnej zabłąkał się do Leodyum i tam w szkole katedralnej św. Lamberta znalazł gościnność i zajęcie. W jednej z udatnych pieśni swojej opisuje on z wesołym humorem nowe swoje mieszkanie profesorskie, które zadymione, bez okien i zamków odbija jaskrawo od wspaniałego pałacu biskupa. Mieszkanie to dobre dla kretów i wron nocnych, szydzi poeta, a nie dla uczonego filozofa *(sophistae)*, który kocha dary promiennego światła. Św. Lambercie, urządź w niem zebranie wszystkich ślepców swoich, których jesteś patronem, tak kończy błagalnie swoją pieśń [1].

[1] Ebert: *Literatur des Mittelalters* t. II. str. 191 i dalej. Manitius w świeżo wydanej historyi literatury średniowiecza utrzymuje, że Seduliusz zapoczątkował i stworzył w Leodyum uczoną kolonię irlandzką, która nie-

Otóż uczony poeta ten w swojem zwierciadle dobrego króla takie roztacza poglądy kościelno-państwowe: król powinien — rozpoczyna on charakterystycznie rozprawę swoją — przedewszystkiem pamiętać o chwale Boga i królestwie Jego. Gdy bogobojny władca będzie dbał o chwałę Bożą i uposaży hojnie Kościół święty (c. 1), państwo całe zakwitnie dobrobytem. Król bowiem nie powinien ograniczać działalności swojej na sprawach wyłącznie tylko świeckich. Obok doczesnego dobrobytu on ma nadto popierać rozwój spraw religijnych. Król, który nie zaciągnie się w służbę Bożą utraci królestwo swoje (c. 3).

Umiejętność rządzenia należy do najtrudniejszych rzeczy. Ażeby sprostać zadaniu, winien panujący następujących trzymać się reguł:

Najprzód rzeczy Boże należy przenosić zawsze nad sprawy ludzkie.

Powtóre nie ufać swemu rozumowi i raczej polegać na zdaniu najroztropniejszych swoich doradców.

Potrzecie wystrzegać się, jak smoka straszliwego, fałszywych i przewrotnych doradców (c. 3).

Królem wielkim jest ten, co miłuje pokój, *Rex pacificus*, co w blasku panowania i chwały w auli królewskiej rozdaje dary i beneficya. Zdaniem jego, w szeregu wielkich panujących jaśnieli dobrocią i sprawiedliwością, a więc cnotami, które przedewszystkiem zdobić powinny panujących, Augustus, Antoniusze, Konstantyn Wielki, dwaj Teodozyusze, Karol Wielki i Ludwik Pobożny (c. 9).

»Bogu miły władca, streszcza on swój pogląd, który z woli i zrządzenia Bożego jako namiestnik Boży rządzi w Kościele i któremu Bóg w dwu nad prałatami i poddanymi porządkach powierzył władzę, winien dbać o to, aby pod jego rządami każdy znalazł sprawiedliwość i kler odznaczał się zbożnem posłuszeństwem i wiernem poddaństwem«.

Król ma być nie tylko obrońcą Kościoła wobec możnych lecz dbać również o dobrych biskupów i kapłanów, którzyby, wolni

---

bawem przeobraziła się w jasne ognisko, rzucające wokoło przez długie wieki promienie kultury. *Geschichte der latainischen Literatur des Mittelalters*. München 1911, str. 315.

od chciwości i rozpusty, wiernie służyli Bogu. Ażeby zaś zadanie to im ułatwić, należy ich materyalnie uposażyć, ponieważ święte ich prace i modlitwy chronią państwo od nieszczęść i ruiny (c. 14).

Z drugiej jednak strony — i tu zdeklarowany ten jakby imperialista religijny przedzierzga się niepotrzeżenie w gorliwego i czujnego rzecznika praw Kościoła. I tak, król ma dobro Kościoła wyżej stawiać, niż własną korzyść osobistą i troskliwie dbać o tych, którzy pracują w służbie Bożej. Dalej, ponieważ w czasach zwłaszcza niedołężnej komunikacyi i konsolidacyi społeczeństwa żywotnym i prawie niezbędnym organem Kościoła były synody, Seduliusz domaga się kilkakrotnie i to z naciskiem podkreśla, żeby za przyczyną króla kilka razy do roku odbywały się synody (c. 11). Król, dodaje, nie powinien się nieoględnie mieszać do spraw Kościoła, »ma być ostrożnym, pokornym i bardzo rozważnym: niech też nic zgoła nie rozstrzyga w sprawach Kościoła, zanim rozpatrzy się w uchwałach synodów«. Przed zezwoleniem i autorytatywnem poparciem pobożny władca winien dobrze rozważyć, czy sprawa słuszna i legalna i zgodna z kanoniczną sankcyą świętych biskupów. Sam też żadną miarą nie ma przesądzać sprawy, aby nie zbłądzić i w obliczu Boga strasznej na siebie nie ściągnąć kary. Gdy Walentyniana imperatora proszono, żeby wziął udział w zebraniu, na którem roztrząsano dogmaty, odpowiedział: »jestem jednym z maluczkich z pośród ludu, nie wolno mi więc roztrząsać rzeczy świętych, ale biskupi, którzy mają dbać o to, niech zbiorą się, gdzie im się podoba«. W słowach tych naszego autora mieści się zapewne krytyka ingerencyi Karola Wielkiego w dziedzinę dogmatów, który w tej mierze mniej był przezorny, niż syn jego Ludwik Pobożny, *piissimus*, jak go autor wśród szeregu wzorowych władców nazywa. Władca wkońcu ma się odznaczać pokorą i posłuszeństwem i przyjmować napomnienia od kapłanów, idąc za przykładem cesarza Teodozego, który po krwawej rzezi w Tessalonice poddał się pokucie kościelnej (c. 12).[1]

[1] Sedulius, de Rectoribus Christianis 1, 3, 11, 19: »Oportet enim Deo amabilem regnatorem, quem divina ordinatio tanquam vicarium suum in regimine Ecclesiae suae esse voluit, et potestatem ei super utrumque ordi-

Podobnie jak Seduliusz tylko z większym jeszcze naciskiem, jakby schlebiając królowi, przypomina nieznany bliżej biskup Cathulfus w liście do Karola Wielkiego, iż król w obu porządkach nad klerem i laikami namiestniczą sprawuje władzę Boga samego. Król jest zastępcą Boga *(in vice illius)*, mówi on, biskup natomiast na drugiem dopiero miejscu zastępcą Chrystusa *(in vice Christi tantum)*. Dlatego też król winien pilnie czuwać nad tem, by prawo Boże panowało wśród ludu Bożego. Bóg bowiem, którego zastępcą jesteś, *cuius vicem tenes*, powiedział: Teraz królowie zrozumiejcież... Król ma razem z biskupami rozciągnąć swoje rządy nad mnichami i klerem i zakonami żeńskimi i nie za pomocą laików, co byłoby zbrodnią... lecz pasterzy duchownych reformy przeprowadzać [1].

W rozumieniu więc Seduliusza i Cathulfa, cesarz nie tylko w państwie, ale i w Kościele namiestniczą sprawuje władzę Boga

---

nem praelatorum et subditorum tribuit, ut singulis personis et quae iusta sunt decernat, et sub sua dispensatione prior ordo devote obediendo fideliter subditus fiat«.

»Unde cantum et humilem et valde circumspectum oportet esse regem: nec quidquam de negotiis ecclesiasticis iudicare praesumat, antequam synodalia statuta cognoscat... Pius itaque rector tanquam luminosa pupilla primo quod iustum et legitimum est secundum canonicas sanctorum episcoporum sanctiones perspicaciter attendat: dehinc consensum atque auctoritatis adminiculum his quae sunt vera et iusta adhibeat. Per se vero nullatenus de talibus praeiudicium faciat, ne forte errando ante conspectum domini culpam aliquam detestabilem incurrat« (11).

[1] M. G. Ep. IV. »Epistolae Variorum Carolo Magno Regnante Scriptae«, 7: »Cathuulfus Carolo I. Francorum Regi prosperitatem gratulatur eumque ad virtutem sequendam admonet«. »Memor esto ergo semper, rex mi, Dei regis tui cum timore et amore, quod tu es in vice illius super omnia membra eius custodie et regere, et rationem reddere in die iudicii, etiam per te. Et episcopus est in secundo loco, in vice Christi tantum est. Ergo considerate inter vos diligenter legem Dei constituere super populum Dei, quod Deus tuus dixit tibi, cuius vicem tenes, in psalmo: »Et nunc reges intelligite«, et reliqua; item: »Servite Domino in timore« et reliqua; item: »Adprehendite disciplinam ne quando irascatur Dominus« et reliqua... »Sponsam Christi vestire cum ornamentis super omnia, id est ecclesiarum privilegia constituere maxima. Monachorum vitam et canonicorum cum episcopis tuis simul virginum monastariorum regere. Non per laicos, quod scelus... sed per spiritales pastores emendare, super omnia Deum timentes, sicut scriptum (est) in lege«.

samego i ma ścisły obowiązek dbać o dobro duchowe swoich poddanych i stać na straży ducha Chrystusowego.

Te same też zasady i poglądy znachodzimy w ascetycznej dla młodego króla (prawdopodobnie akwitańskiego) przeznaczonej rozprawce p. t. *Via Regia*, opata Smaragda, nadwornego teologa Karola Wielkiego. Do cnót i obowiązków króla zalicza on przedewszystkiem sprawiedliwość, opiekę nad sierotami, wdowami, ubogimi, płacenie dziesięciny i gorliwość o chwałę domu Bożego czyli Kościoła. Gdy coś przewrotnego może spostrzeżesz w Kościele, przynaglić naprawę. Gdy ujrzysz krzewiącą się rozpustę, pijaństwo, nadymającą się dumę, dziki gniew w domu Bożym przestrzegaj, powściągaj groźbą i surowością, dopóki złego nie wyplenisz. To obowiązek chrześcijanina, którego imię nosisz i królewskiego urzędu i namiestniczej władzy Chrystusa, którą sprawujesz [1].

Że zaś Karol Wielki i następcy jego podzielali poglądy te w zupełności, znać to, jak to już wzwyż nadmieniliśmy, z całej ich ówczesnej polityki państwowo-kościelnej. Dla ilustracyi, jak Karol Wielki pojmował swój obowiązek duszpasterski, warto tu przytoczyć jego pożegnalną mowę tronową, wygłoszoną na sejmie akwisgrańskim roku 802 do biskupów i magnatów państwa całego:

»Słuchajcie bracia najmilsi! mówi on, powołaniem naszem jest dbać o zbawienie wasze i was napominać, abyście żyli po bożemu, sprawiedliwie i uczciwie, abyście się nawrócili i w pożyciu ze światem pamiętali na sprawiedliwość i miłosierdzie«. Poczem przytacza w krótkiem i jasnem streszczeniu główne artykuły wiary i co czynić należy, ażeby osiągnąć zbawienie, i wylicza główne obowiązki ubogich i bogatych, biskupów i opatów, komesów i książąt. Przemowa kończy się słowy: »krótkie jest

[1] Smaragdus Abbas, Via Regia, 8: »Si quid forte perversum in Ecclesia videris Christi, satage corripere, et emendare non cesses. Si videris aliquem in domo Dei, quae est Ecclesia, currere ad luxuriam, ad ebrietatem, prohibe, veta, terre, si zelus domus Dei comedit te. Si videris superbia inflatum, aut iracundia saevum, ... reprime omnes, minare omnibus, et refrena severissime omnes. Fac quidquid potes pro persona quam gestas, pro ministerio regali quod portas, pro nomine Christiani quod habes, pro vice Christi qua fungeris«.

życie nasze i chwila śmierci niepewna. Cóż innego czynić nam wypada, jak być zawsze gotowymi na śmierć. Pamiętajmy jak straszną jest rzeczą wpaść w ręce Boga. Spowiedzią i pokutą i jałmużną zdobędziemy sobie litość i miłosierdzie jego. On skoro tylko spostrzeże, że z całego serca się nawróciliśmy, ulituje się nad nami i okaże nam miłosierdzie swoje. Spraw Boże, żeby życie nasze tu na ziemi zakwitło pomyślnością, a w niebie zajaśniało z świętymi Twoimi na wieki. Niech was Bóg ma w swojej opiece, bracia najmilsi« [1].

* * *

W roku 742 odbył się w krajach germańskich Karlomana »z pomocą Bożą i pod wpływem Bonifacego, jak mówi Willibald, synod kościelny, w sprawie wyszukania środków zaradczych i przywrócenia prawa Bożego i religii Kościoła, które za panowania dawnych książąt poszły w poniewierkę«. Był to po kilkudziesięcioletniej przerwie pierwszy synod, który wśród muzułmańskiej wichury dziejowej i niemilknącej prawie wrzawy wojennej zapoczątkował wielki ruch reformatorski i rzucił główne podwaliny pod organizacyę Kościoła. Na synodzie tym przewodniczył Bonifacy w charakterze delegata Stolicy św., *missus sancti Petri*, jak się akta synodu wyrażają. Podobny synod odbył się i w państwie Pepina w Soissons i w innych miejscowościach a w trzy lata później w Leptinnes, zdaje się w prowincyi Hainant, na który zjechali się przedstawiciele duchowni i świeccy całej monarchii frankońskiej.

Oto najgłówniejsze dekreta tych synodów:

Uchwalono najprzód przeprowadzić hierarchiczną reorganizacyę Kościoła w całem państwie frankońskiem. W krajach germańskich na pierwszym synodzie utworzono nową metropolię, obejmującą wszystkie biskupstwa całej Germanii i poruczono ją samemu Bonifacemu. Na synodzie w Soissons wznowiono dawne metropolie w Rheims, Sens i Rouen i uchwalono, żeby corocznie odbywały się synody prowincyonalne.

---

[1] Migne t. 97, str. 239—242.

Powtóre, przeprowadzono stabilizacyę duchowieństwa po wsiach i poddano go władzy biskupów, hierarchicznie zawisłych od metropolity, który na znak łączności ze Stolicą św. otrzymywał wraz z jurysdykcyą pallium od papieża. I odtąd cecha charakterystyczna władzy biskupiej na Wschodzie stała się na Zachodzie symbolem jurysdykcyi, pochodzącej od papieża. Kanon tyczący się zawisłości i łączności proboszczów z biskupem brzmi: »Postanawiamy, by, stosownie do św. Kanonów, każdy kapłan podlegał biskupowi w dyecezyi, w obrębie której zamieszkał, i zawsze w czasie wielkiego postu zdawał rachunek i sprawę biskupowi ze swojej działalności kapłańskiej co do chrztu i wykształcenia swego teologicznego, co do porządku modlitw i mszy św.... Nadto w wielki czwartek każdego roku ma się stawić przed biskupem, ażeby zaopatrzyć się w chryzmę, i tak biskup mógł czuwać nad czystością jego życia i wiary i nauki«.

Inne dekrety występują przeciwko wędrownym biskupom i księżom, zajmują się sprawą obyczajów kleru i surowe w tym kierunku postanawiają kary. »Opaci i mnisi mają trzymać się reguły św. Benedykta i według tej normy zreformować życie zakonne«. Surową wydano też walkę krzewiącym się wśród ludu zwyczajom pogańskim. Każdy biskup ma przy pomocy komesa, który jest obrońcą Kościoła, czuwać nad tem, aby w obrębie dyecezyi lud nie oddawał się praktykom pogańskim i czarom i nie składał ofiar umarłym.

Wkońcu dwa wielkiej doniosłości postanowienia synodów tyczą się dóbr Kościoła i zmierzają do wyzwolenia kleru z zależności ekonomicznej możnych panów i niezawisłości Kościoła wobec państwa. Pierwsze tyczy się konsolidacyi parafii wiejskich na rzecz których wprowadzono, acz bezskutecznie, czy rozszerzono obowiązek płacenia dziesięciny gruntowej.

Drugie postanowienie tyczy się udziału kleru w ponoszeniu ciężarów państwowych w czasie wojny lub naglącej potrzeby, ażeby Kościół uchronić przed ewentualną konfiskatą dóbr, jak to miało miejsce za Karola Martela. Według uchwały tej państwo ma prawo w razie naglącej potrzeby zagarnąć część dóbr kościelnych, ale do czasu tylko, z obowiązkiem zwrotu przy śmierci

beneficyaryusza i płacenia renty pewnej od każdej zagrody. Kościołom zaś i klasztorom, króre z powodu uszczuplenia dochodów nie mogłyby egzystować, postanowiono zwrócić cały majątek zabrany. Był to pierwszy konkordat, zawarty pomiędzy państwem a Kościołem w sprawie dóbr kościelnych. Ugoda ta zapadła na sejmie państwowym, złożonym z biskupów i dostojników świeckich i uzyskała aprobatę Strolicy św.

Uchwały te stały się programem reorganizacyi Kościoła i odnowienia ducha religijnego na lat dziesiątki w państwie frankońskiem. Nad jego urzeczywistnieniem pracowali mądrze i wytrwale razem z Kościołem Pepin i Karol Wielki i Ludwik Pobożny, aż do rozstroju społecznego i upadku władzy państwowej. »Bez opieki księcia frankońskiego, pisze św. Bonifacy do Daniela, biskupa w Winchester, nie zdołałbym ani rządzić rzeszą wiernych, ani zreformować kleru świeckiego ani mnichów ani mniszek; bez instrukcyi jego nie zdołałbym ani zwalczyć zwyczajów pogańskich w Germanii ani świętokradztw bożysk«. Odtąd też zwyczajnie sejmy polityczne odbywały się równocześnie z synodami kościelnymi, acz obrady, z wyjątkiem spraw mieszanych, toczyły się oddzielnie. Na obu zebraniach przewodniczył zwyczajnie książę i w swojem imieniu też ogłaszał ustawy kościelne i świeckie pod formą kapitularzy. »Ktobykolwiek, mówi synod w Soissons, nie zachował tego dekretu, uchwalonego przez 23 biskupów i innych kapłanów i sług Bożych razem z księciem Pepinem i dostojników frankońskich, ma być sądzony przez księcia samego albo przez biskupów albo przez komesów« (can. 10). Koroną pracy reformatorskiej św. Bonifacego był synod w roku 747, na którym biskupi z krajów germańskich i galickich składają przysięgę wierności i uległości Stolicy św. i przyrzekają zachowywać wiernie wszystkie jej przykazy [1].

Przypatrzmy się teraz bliżej, jak uchwały te synodów w życie wprowadzano w epoce Karola. Wpierw jednak, ażeby lepiej ocenić doniosłość tych reform, słów kilka o stanie moral-

[1] Hefele-Leclercqu: *Histoire des conciles*, t. III, 2, str. 895.

nym duchowieństwa tej epoki, tak, jak go przedstawia św. Bonifacy w listach swoich.

Gdy Carloman i Pepin wezwali wielkiego apostoła Niemiec, Kościół w krajach germańskich i galickich był w zupełnym upadku i poniżeniu, »zdeptany i w ruinach«, *calcata fuit et dissipata*, jak się św. Bonifacy wyraża. Władza metropolitalna, która ongi łączyła prowincye w żywotne ogniska ruchu religijnego i kulturalnego, od dawna przestała istnieć, biskupstwa w upadku. Jedne osierocone, inne przeważnie w rękach biskupów chciwych złota albo wylanych na rozpustę. Niektórzy intruzi zagarnęli kilka biskupstw i bogatych opactw, jak Hugues, krewny Karola Martela, który był panem 3 dyecezyi: Paryża, Rouen Bayeux; inny, stary wojak, Milon, był biskupem w Rheims i Trewirze. Inni, splamieni krwią, pijaństwem lub rozpustą cisnęli się bez przeszkód do najwyższych godności kościelnych. Cała administracya dóbr kościelnych spoczywała zawsze w ręku biskupa, który też utrzymywał kler rozrzucony po dyecezyi. Kościoły po wsiach rozsiane na chybił trafił były własnością możnych panów albo instytucyi kościelnych, którzy je częstokroć uważali za przedsiębiorstwa rentowne. Niższy kler był bez kultury i kierownictwa i należał zwyczajnie do służby dworskiej. W szeregach jego spotykano nieraz zbiegłych niewolnych, którzy świecili tonzurą, aby ujść gniewu panów swoich. Nie rzadko pod sutanną duchowną krył się niebezpieczny sekciarz lub awanturnik, który bez żadnych święceń wałęsał się po kraju i schlebiając namiętnościom tłumu, bałamucił i wyzyskiwał wiarę ciemnego ludu (Aldebert i Clement). W dodatku mnóstwo wędrownych księży szkockich i bretońskich bez kontroli żadnej i wyraźnego zajęcia wałęsało się po kraju, błądząc z dyecezyi do dyecezyi i powiększało nieporządki.

Taki był stan Kościoła w państwie frankońskiem w czasie przejściowym, gdy wśród krwawych zamieszek wewnętrznych i muzułmańskiej wichury dziejowej z niedołężnej dłoni Merowingów ujmuje ster rządów potężny wódz Karol Martel i wielki syn jego Pepin, który nowe rzuca fundamenta pod budowę gmachu państwowego i we wszystkich prawie dziedzinach życia ko-

ścielnego i państwowego wielkie początkuje reformy. Karol Wielki przeważnie tylko wytrwale i energicznie kontynuuje prace reformatorskie wielkiego swego ojca.

W dziedzinie tedy życia kościelnego głównem staraniem Karola było skonsolidować w duchu Bonifacego hierarchię i rwącą się w strzępy organizacyę Kościoła. Ta też jest treść kapitularza z roku 779, który potwierdza władzę metropolitalną, czyni zarządzenia w razie wakujących biskupstw, poddaje kapłanów, dyakonów i kleryków władzy biskupiej i reformuje klasztory. W dziesięć lat później kapitularz z roku 789 potwierdza te zarządzenia i prowadzi dalej dzieło reformy organizacyi kościelnych. Potrzeba było przedewszystkiem dzielnych i wzorowych biskupów. Za Merowingów, wbrew przepisom św. kanonów, biskupów mianował król. Od tej praktyki nie odstąpił Karol Wielki, trzymając się w tem tradycyi swoich poprzedników, choć zawsze co do wyboru kandydata w przyjacielskiem działał porozumieniu z Kościołem. Wprawdzie kapitularz z roku 803 mówi: »ażeby św. Kościół w imię Boże swobodnie korzystał z swoich przywilejów, zezwalamy, by stosownie do przepisów kanonicznych, biskupów wybierał kler i lud w swojej dyecezyi bez jakiegokolwiek względu na osoby i dary, jedynie bacząc na zasługi ich życia i roztropność. Oni bowiem przykładem swoim i słowem mają w pełnej mierze przewodzić tym, którzy im są podlegli« [1]. Elekcya jednak, przynajmniej w państwie frankońskiem, odbywała się zwyczajnie wobec delegata cesarza, który częstokroć mianował kandydata w imieniu jego. Po wyborze elekt otrzymywał święcenia biskupie i dyecezyę z rąk cesarza przez symboliczne wręczenie pastorału (inwestytura). Z urzędu usuwał biskupa synod za przyzwoleniem cesarza.

Co więcej, za pośrednictwem swoich delegatów pełni Karol czujny nadzór nad urzędowaniem biskupów i w razie sporów cywilnych lub politycznych powołuje ich przed swój sąd. »Nasi delegaci, mówi on, mają baczyć na to, czy lud nie skarży się na biskupa, opata, ksienię, komesa albo innych urzędników i nas o tem

[1] Bor. 1, 276.

powiadomić«. A kapitularz z roku 812 dodaje: »Biskupi, opaci, komesi i magnaci, gdy prowadzą spory pomiędzy sobą i nie mogą się pogodzić, mają stawić się przed cesarza« [1]. Ingerencya ta cesarza w sprawy administracyi Kościoła bez protestu ze strony jego, w pierwotnych stosunkach społecznych może konieczna, stała się w ciągu wieków precedensem, brzemiennym w następstwa najsmutniejsze. Na przykład Karola Wielkiego powoływać się odtąd będzie każdy imperyalizm religijny aż do nowszych czasów [2].

Organizacya arcybiskupstw, do których Kościół i Karol w myśl św. Bonifacego tak wielką przywiązywali wagę, została powoli, ale konsekwentnie w życie wprowadzona. Częstokroć Karol sam prosił o pallium w Rzymie w imieniu nowego elekta, którego chciał mieć arcybiskupem i stworzył dla niego nową metropolię. Siecią atoli metropolii pokrył się kraj cały dopiero odkąd synod frankoński (794, c. 28) polecił, aby apelacye od wyroku biskupa szły przed *forum* metropolity i dopiero w 3 instancyi przed sąd królewski.

Tak pod koniec życia Karola liczono w państwie frankońskiem 21 metropolii, które powstały głównie w granicach dawnych prowincyi kościelnych i przez synody prowincyonalne stały się tu i ówdzie żywotnemi ogniskami życia religijnego i kulturalnego całych prowincyi. Najżywotniejszem jednak ogniskiem, z którego rozchodziły się inicyatywa i ruch religijny na kraj cały, był dwór cesarski.

Za Merowingów przeważnie cała praca duszpasterska była w ręku biskupa i skupiała się głównie w kościele katedralnym. Stąd też każde miasto, każda rezydencya biskupa była podówczas nie tylko żywotnem ogniskiem ruchu religijnego, ale i ruchu handlowego i kulturalnego wogóle. Tam administrowano wszystkie sakramenta i udzielano publicznej absolucyi, tam moc cudotwórcza relikwii przemożnych świętych ściągała we święta znaczniejsze i dni odpustowe liczne pielgrzymki, które dały początek ożywionemu ruchowi handlowemu prowincyi z miastem i zgiełk-

[1] Bor. I, 176.

[2] Imbart de la Tour: *Les élections épiscopales dans l'Eglise de France.* l. I.

liwym, egzotycznym targom średniowiecza. Po wsiach były rzadko rozsiane rozległe terytorya, obejmujące kościoły parafialne z całym szeregiem kościołów, kaplic i oratoryów, które z biegiem czasu możni panowie jużto dla wygody ludu, jużto z nabożeństwa byli zbudowali. Po kościołach tych i kaplicach, które były własnością prywatną, odbywały się niektóre nabożeństwa, w kościołach zaś parafialnych udzielano starym zwyczajem 3 razy w roku w święta uroczyste chrztu św.[1], głoszono słowo Boże i przystępowano do sakramentów św.[2].

W kościołach parafialnych też składano podatek kościelny t. z. dziesięcinę. Z biegiem czasu liczba dusz wzrosła ogromnie ale z pomnożeniem parafii nie spieszono się wcale. Hincmar, biskup z Rheims r. 814, surowo zabrania dzielić albo łączyć parafie wiejskie[3]. Synod w Toulasse r. 844 zaznacza, że choćby ludność od kościoła parafialnego wielkie oddzielały lasy, dzikie wody i inne zawady, nie należy nowej zakładać parafii, lecz co najwyżej zbudować ołtarz albo kaplicę, w której odprawiałby mszę św. przyjezdny ksiądz[4]. Według postanowienia zaś synodu

---

[1] Pierwszą wzmiankę o kościołach parafialnych w dzisiejszej Francyi napotykamy dopiero w połowie 8 wieku, choć niewątpliwie sięgają one czasów dawniejszych. W sąsiedniej Hiszpanii bowiem już od 6 wieku a we Włoszech co najmniej od 7 wieku dyecezye dzieliły się na okręgi z kościołami chrzcącymi. »Ut publicum baptisterium in nulla parochia esse debeat, nisi ubi episcopus constituerit, cuius parochia est; nisi tantum necessitas venerit pro infirmitate aut pro aliqua necessitate illi presbyteri, quos episcopus in sua parochia constituerit, licentiam habeant baptisandi». C. 7. Vernens. a. 755. Hard. 3, 1996. W epoce frankońskiej też powstały parafie po miastach, a nie dopiero w 12 lub 13 wieku. Patrz: *Röm. Quartalschrift.* 1905, z. 1, 2.

[2] »In sacris canonibus praefixum est, ut decimae iuxta episcopi dispositionem distribuantur. Quidam autem laici, qui vel in propriis vel in beneficiis suas habent basilicas contempta episcopi dispositione, non ad ecclesias, ubi baptismum et praedicationem, manus impositionem (odpuszczenie grzechów) et alia Christi sacramenta percipiunt, decimas suas dant, sed vel propriis basilicis vel suis clericis tribuunt. Quod omnimodis divina elegi et sacris canonibus constat esse contrarium«. C. 11, Ticin. a. 855. Hard. 5, 99. Cf. Migne 116, 75.

[3] Hincmar z Reims, cap. a. 814, c. 5: »Expresse vobis in nomine Christi praecipio ut rusticanas parochias non praesumatis confundere aut dividere«.

[4] Cap. Tolos. a. 844. cap. 7. Hard 4, 1459.

tribursk iego (895 r.) nowe probostwo tylko wówczas i tam utworzone być mogło, gdzie dana miejscowość przeszło 4 mile od kościoła parafialnego była odległa [1].

Główną trudnością i przyczyną oporu synodów przy zakładaniu nowych parafii było niewątpliwie ich wyposażenie materyalne, łączące się z uszczupleniem dochodów macierzystego kościoła i nieporządki wśród podatkujących a przedewszystkiem pożądliwe oko kolatorów, którzy kościoły parafialne zamieniali w przedsiębiorstwa rentowne. W ciągu jednak tegoż stulecia właśnie i po części już poprzedniego, mimo oporu synodów, mnóstwo nowych parafii wyrosło z kaplic i kościołów prywatnych i oratoryów klasztornych tak, że macierzyste kościoły otoczyły się niebawem wieńcem nowych parafii, zwyczajnie w hierarchicznej zależności od pierwotnego kościoła będących. I parafia macierzysta zamieniła się na dekanat (decania albo christianitas), proboszcz (archipresbyter) przedzierzgnął się w dziekana, a podwładne ongi duchowieństwo, zatrudnione po oratoryach i kaplicach dawnej parafii, zajęło miejsce proboszczów. Tak z początkiem 10 stulecia już całe państwo frankońskie pokryte było siecią parafii i każdy wiedział, do którego należy kościoła i gdzie składać trzeba dziesięcinę Dziesięcina bowiem główną stanowiła ekonomiczną podstawę parafii.

Pierwotnie wszystkie dobra kościelne w obrębie dyecezyi należały do kościoła katedralnego i były w zarządzie biskupa, który miał staranie o utrzymanie kultu Bożego, rozrzuconego po dyecezyi kleru i ubogich. Tak było jeszcze za Merowingów. Później, w miarę rosnącej liczby kleru i kościołów na prowincyi, biskup wyposaża coraz częściej z powodu trudności administracyjnych kościoły parafialne w ziemię, pochodzącą z ofiar ludu, która ogólnem prawem dziejowem drogą nadań lennych przechodzi do rąk kleru, jako beneficyum. »Tak zwolna wyrobiła się zasada, że z każdym urzędem proboszcza łączą się stałe dochody, które w postaci darów, dziesięcin i płodów ziemi, danej w używanie, stanowią wynagrodzenie za funkcye urzędowe [2]. Z majątku

[1] C. 14. Tribur. a. 895, Hard. 6. P. 1, pg. 443.
[2] Phillips 7, 258.

więc wspólnego dyecezyi, w zarządzie biskupa będącego, wyrasta zwolna i wyodrębnia się majątek parafialny pod zarządem proboszcza. Był to postęp niemały w organizacyi społecznej Kościoła. Teraz bowiem dopiero, po wyzwoleniu z zależności ekonomicznej biskupów, parafie, jako główne ogniska duszpasterstwa, żywotniejszą i bogatszą mogły rozwinąć działalność.

Obok ziemi głównem źródłem dochodów proboszcza była dziesięcina. Był to podatek, nałożony ongi na wiernych przez władzę kościelną, gdy dobrowolne dary i datki na rosnące potrzeby kościołów nie wystarczały. W połowie 8 w. pisze papież Zacharyasz w sprawie dziesięciny do króla Pepina: »Jak rozdzielić należy dziesięcinę, złożoną przez wiernych po kościołach, nie decydują ci, którzy ją złożyli. Według postanowienia bowiem Ojców Kościoła biskup ma ją podzielić na 4 części« [1].

Wprowadzone atoli w życie na mocy prawa państwowego zostało prawo dziesięciny dopiero przez Karola Wielkiego, który kapitularzem z r. 779 pod surowemi karami rozciąga obowiązek płacenia podatku tego na wszystkich wiernych. Celem prawa tego było wyposażenie ekonomiczne parafii i wyzwolenie ich z pod zależności ekonomicznej kolatorów. Do tego też celu zmierzało prawo, uwalniające część ziemi parafialnej od podatku państwowego [2] i zakazy i ograniczenia nabożeństw po oratoryach prywatnych i kościołach niekonsekrowanych, współzawodniczących z kościołami parfialnymi. Ażeby zaś dochody kościołów obracane były w myśl św. kanonów, postanawia synod akwisgrański (802), aby proboszcz dokładną prowadził książkę dziesięcinną i całą sumę podatkową wobec świadków corocznie na 3 części podzielił, z których jedna przypadła w udziale proboszczowi, dwie zaś inne szły na utrzymanie kościoła i na ubogich [3]. Później na synodzie w Meaux (845 r.) cały dochód dziesięcinny przyznano probosz-

[1] Jaffé, Reg. Pont. Rom. n. 2268. Bonif. ep. 68.

[2] Kapit. z roku 779 i 785, Migne t. 97, c. 127 i 146.

[3] Cap. Aquisgr. a. 802, c. 7; »Ut ipsi sacerdotes populi suscipiant decimas et nomina eorum et quicumque dederint scripta habeant, et secundum auctoritatem canonicam coram testibus dividant, et ad ornamentum ecclesiae primam elegant partem, secundam autem ad usum pauperum atque peregri-

czowi z obowiązkiem roztoczenia opieki nad ubogimi i pielgrzymami i utrzymania kościoła w dobrym stanie [1].

Po śmierci jednak Karola Wielkiego coraz częściej możni panowie i w razie potrzeby niekiedy biskupi pożądliwą wyciągają rękę po dobra kościelne i dochody dziesięcinne. Od 9 stulecia począwszy mnożą się znowu skargi i żale synodów na grabieże dóbr kościelnych i dziesięcin, na kościoły prywatne, które dla dziesięciny mienią się kościołami parafialnymi. I organizacya parafii z trudem zbudowana znowu rozpada się, i rwie się w strzępy władza biskupia a duchowieństwo idzie w służbę i niewolę symonii i duchownych i świeckich panów feudalnych. Tu też rozpoczyna się już wiekowa walka Kościoła o niezawisłość ekonomiczną i osobistą duchowieństwa, o swobodny rozwój życia wewnętrznego, walka, którą zrazu podjęła władza państwowa razem z Kościołem z panami feudalnymi, a która w ciągu wieków przedzierzgnęła się w światowładny zatarg papiestwa z cesarstwem. Walka ta rozpoczęła się już za Karola Martela, który w czasach ciągłych napadów wojennych Saracenów i naglących a koniecznych potrzeb państwowych w celu stworzenia stałej armii feudalnej, począł rozdawać wojskowym dobra kościelne, głównie kościoły parafialne wraz z dochodami do nich przywiązanymi. Pepin i Karloman usiłowali wówczas zagrabione dobra zwrócić i zawarli w tym względzie z Kościołem ugodę, jak zwyż wspomnieliśmy, na synodzie w Leptinnes r. 742. I to była pierwsza faza tej walki, która skończyła się ugodą władzy państwowej z Kościołem i przesunięciem, jeżeli nie prawnem to w każdym razie faktycznem, stosunków własnościowych w całem państwie.

Druga jej faza ciągnie się aż do czasów reformy 12 w. i ma za główną przyczynę germańskie prawo zwyczajowe, *gewere* i *mundium*. Na mocy pierwszego prawa wszystkie zabudowania, a więc kościoły i kaplice i klasztory, na gruntach pańskich zbudowane, wraz z dziesięcinami i dochodami t. z. *dos*, należały do właściciela ziemi i były przedmiotem różnych transakcyi majątko-

norum... dispensent, tertiam vero partem semetipsis sacerdotes reservent«. Bor. 1, 106.

[1] Hard. 4, 1499.

wych i spadkowych, jak każda inna własność. Na mocy zaś *mundium* wszyscy ludzie, mieszkający na danem terytoryum, byli pod opieką i jurysdykcyą pana gruntów *(advocatia)*. A więc i duchowny, *proprius* albo *domesticus sacerdos*, był według prawa tego w zależności społecznej od swego *seniora*, który rościł sobie pretensye do bezpośredniego rozporządzania jego osobą. Jedno i drugie prawo wrzynało się głęboko w najżywotniejsze życie wewnętrzne Kościoła i ukracało i uniemożliwiało wprost wykonywanie władzy biskupiej. A kościołów takich, które wyrastały na gruntach prywatnych i częstokroć przywłaszczały sobie prawa parafialne, było dużo. Dodajmy do tego i kościoły w dobrach koronnych położone, które w ciężkich dla rzeczypospolitej chwilach, *ob rei publicae necessitates et tuitionem*, w ciągu wieków, od 6 stulecia począwszy, przeszły w ręce panów możnych, którzy je albo drogą nadań lennych rozdawali albo raz po raz własnymi duchownymi samowolnie obsadzali, a zrozumiemy dlaczego synody i biskupi tak oporne zawsze zajmowali stanowisko wobec świeżo powstających parafii.

Teraz jak Kościół reaguje na te stosunki, godzące w jego byt i rozwój i krępujące jego swobodną działalność?

Otóż Kościół uznaje zrazu razem z władzą państwową, z którą podówczas jakby jeden tworzył organizm, wszystkie prawa zwyczajowe i nabyte własności i przynależności kościołów i prawo prezenty na probostwo, o ile to bez uszczuplenia władzy biskupa co do administracyi dóbr kościelnych i hierarchicznej zależności proboszcza możliwem było. Tak synod frankfurcki [1] z r. 794 przyznaje fundatorom prawo własności do swoich kościołów i wszelkich transakcyi, z temże prawem związanych. Synod zaś rzymski [2] z roku 826 za papieża Eugeniusza II-go uchwala, iż nie wolno pozbawiać fundatora wbrew woli jego prawa własności do klasztoru albo oratoryum, zbudowanego zgodnie z prawem kanonicznem.

[1] Mon. Germ. leg. I, 71 c. 54: »De ecclesiis, quae ab hominibus ingenuis construuntur licet eas tradere, vendere«...

[2] »Monasterium vel Oratorium canonice extructum a dominio constructoris eo invito non auferatur«.

Z drugiej jednak strony kapitularze z roku 801 i 802[1] Karola Wielkiego a uprzednio w 6 i 7 wieku synody w Orleans i Chalons postanawiają, że z chwilą konsekracyi i kościół i dochody *dos* z nim związane, przechodzą pod zarząd biskupa bez naruszenia samego prawa własności co do substancyi i wszystkich transakcyi z niego wypływających. A więc kościół drogą sprzedaży, donacyi lub spadku mógł przechodzić z rąk do rąk z tem zastrzeżeniem, że zawsze w nim rozbrzmiewać będzie chwała Boża pod kierunkiem biskupa, jak się wyraża synod frankfurcki: *tantum modo ut ecclesia non destruatur, sed serventur cotidie honores*[2]. Gdy przy podziale spadkowym o posiadanie kościoła toczą się spory pomiędzy stronami, biskup ma prawo usunąć z ołtarzy św. relikwie, zakazać nabożeństw i zamknąć kościół[3].

Ażeby zaś zapewnić zupełną niezależność ekonomiczną proboszczom, którzy różnymi częstokroć obciążeni byli obowiązkami, postanawia kapitularz z roku 816, aby każdy kościół wyposażony był w jeden przynajmniej *mansus* ziemi, nie obciążonej żadnemi służebnościami[4].

Z sprawą kościołów łączyło się, jak wzwyż nadmieniliśmy, prawo opieki, *mundium*, pana włości nad duchownymi i rzekome prawo inwestytury t. j. obsadzania i usuwania z beneficyów duchownych. I pod tym względem uroszczenia kolatorów, obracające w niwecz władzę biskupów, mimo ustawicznych protestów i za-

---

[1] C. 21. Pertz LL. I, 86; c. XV. »... et omnes ecclesiae atque basilicae in ecclesiastica defensione et potestate permaneant« ... Hartzheim, Conc. I, 367.

[2] Zwierzchniczą władzę biskupów we wszystkiem, co tyczy się kościołów, potwierdzają raz po raz z wielkim naciskiem synody i kapitularze w Moguncyi, Wormacyi, Akwisgranie i Tribur. Conc. Mog. a 813 c. 8: »... ut episcopi potestatem habeant, res ecclesiasticas providere, regere, gubernare atque dispensare secundum canonicam auctoritatem« ... Hartzheim l. c. I, 407. Podobnie Conc. Mog. z r. 847, c. VII. Hartzheim II, 156; Conc. Aquisgr. a. 836, c. III, 8. Hartzheim l. c. II, 87; Conc. Tribur. a. 897 c. VII. Hartzheim II, 347. Cap. Aquisgr. a. 817 c. 1. Pertz I, 206; Conc. Wormat. a. 868, c. 6, 45. Hartzheim l. c. II, 307; Conc. Mogunt. a 888. Hartzheim II, 368.

[3] Conc. Cabil. a. 813, c. 26; Cap. Wormat. a. 829, c. 2.

[4] Cap. Lud. Pii a. 816, c. 10; »Statutum est, ut unicuique ecclesiae unus mansus integer absque ullo servitio attribuatur...« Baluz I, 565.

kazów władzy świeckiej i kościelnej, ciągną się przez wieki całe od św. Bonifacego począwszy, i kapitularze przez przeciąg 3 wieków zajmują się szeroko tą sprawą [1]. Że zaś Kościół w tej mierze od najdawniejszych czasów kolatorom przyznawał tylko prawo prezenty w rozumieniu dzisiejszem t. j. przedstawienia duchownego biskupowi na beneficyum, wynika to wyraźnie z określenia synodu Augsburskiego w r. 952, który powołując się na słowa dawnego synodu w Arles mówi: »podobnie jak (kapłani) z rąk biskupa otrzymują święcenia, tak konieczna też, aby od biskupów otrzymywali kościoły do obsługi duchownej, jak to na synodzie w Arles w rozdziale 4 uchwalono« [2].

Z prawem prezenty łączyła się zwyczajnie symonia. Ażeby uzyskać tłuste beneficyum, duchowieństwo płaciło złotem, składało dary, zobowiązywało się do różnych usług i służebności i płacenia różnych danin. Tak działo się częstokroć przy obsadzaniu probostw i kapelanii, tak później przy rozdawaniu opactw i biskupstw. Jak zielsko jadowite, zło krzewiło się pasorzytnie w Kościele na gruncie stosunków feudalnych. To też wszystkie kapitularze i uchwały synodów wzwyż przytoczone, zwrócone przeciw uroszczeniom fundatorów co do prawa własności i przedewszystkiem inwestytury tem samem tępiły i symonię. »Niech nikt nie przyjmuje kościoła bez przyzwolenia biskupa swego ani z jednego nie przechodzi do drugiego kościoła«, postanawia już Karol

[1] Stat. St. Bonifacii: »Ut laici presbyteros non eiiciant de ecclesiis nec mittere praesumant sine consensu episcoporum suorum«. Hartzheim I, 73, c. 6.

Reg. Chrodegangs c. 78: »Statutum est, ut sine auctoritate et consensu episcoporum presbyteri in quibuslibet ecclesiis non constituantur nec inde expelluntur«. Hartzheim I, 119.

Z edyktu Karola Wielkiego do komesów: »Resonuit in auribus nostris quorundam praesumtis non modica... ita ut presbyteros... presentari episcopis denegetis et absque consensu episcopi in vestras ecclesias mittere audeatis«... Pertz, leg. I, 81. Cap. Aquisgr. (802) c. 13. Pertz I, 106; Synod w Chalon (803) c. 42; Synod w Moguncyi (813) c. 29; w Arles (818) c. 4; w Moguncyi (847) c. XII i t. d.

[2] »... ut laici presbyteros sine conscientia et consensu proprii episcopi ab ecclesiis eis canonice commendatis non eiicere praesumant, nec alios locum eorum subire faciant, quia ut ab episcopis ordinantur, ita necesse est, ab ipsis ecclesias procurandas accipiant, sicut in Concilio habetur Arelatensi«. C. 4. Hartzheim II, 622, c. IX.

Wielki w kapitularzu z roku 769 [1]. »Niech laicy żadną miarą nie ważą się domagać się darów od duchownych z powodu oddania im kościołów«, mówi synod w Arles (813 c. 5). I walka Kościoła ta z symonią i uroszczeniami fundatorów ciągnie się przez wieki całe. Przyszły czasy upadku i rozkładu państwa frankońskiego, czasy krwawych walk domowych, ustawicznych najazdów Maurów i Normanów, wichrzeń i grabieży, wyłamujących się z karności państwowej panów feudalnych, ale i wówczas, gdy prawa państwowe i kościelne były w poniewierce, Kościół trwa nieodmiennie przy swoich żądaniach i dąży konsekwentnie w ciągu wieków do uszczuplenia i zniesienia wszystkich wogóle praw transakcyjnych, wiążących się z prawem patronackiem, aż do rozegrania wielkich zatargów cesartwa z papiestwem, gdzie prawo patronackie w krajach germańskich znowu schodzi do rzędu koncesyi kościelnych, *gratiae*, t. j. do formy właściwej ongi krajom romańskim i czasom obecnym [2].

Ks. Leonard Lipke.

[1] Caroli M. cap. gen. a 769—771, Pertz. leg. I. 32, c. 9.

[2] Patrz: *Die Entwicklung des Parochialsystems bis zum Ende der Karolingerzeit* von Stephan Zorrel. *Archiv für kath. Kirchenrecht.* Mainz 1902. Nadto Schindlera: *Zur gesch. Entwicklung des Laienpatronats und des geistl. Patronats nach germ. und kanon. Rechte.* Rok 1905.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Z piśmiennictwa polskiego.

Swięty Stanisław w świetle Galla-Kadłubka i Wojciechowskiego. *Ks. Antoni Siuda.* Kraków 1910, str. 94. Nakładem autora.

Po wstępnych uwagach, odnoszących się do pracy prof. T. Wojciechowskiego p. t. »Katedra na Wawelu«, przechodzi ks. Antoni Siuda do określenia stanowiska i charakteru Galla, głównie zaś zajmuje się szczegółowem objaśnieniem znanego tekstu kronikarza (I, 27 i 28). Komentarz ten zawiera zaledwo kilka interpretacyi, na które zgodzić się można (np. multum str. 51, nocuit str. 54), zresztą w zasadniczych kwestyach jest częścią błędny lub zanadto subjektywny, częścią przypomina obce tłumaczenia.

Słowa corporaliter vindicare mają znaczyć tylko »mścić się, wymierzając karę cielesną« (str. 32), a przecież in aliquem vindicare w całej łacinie służy wogóle do wyrażenia myśli »wymierzać komuś karę«. O jakości kary mówi sama sytuacya lub osobny dodatek (np. severe, vehementer, turpiter). Któż w wyrażeniu Grzegorza W. »corporaliter in eundem sceleratum festinet vindicare Iudaeum« będzie dopatrywał się niesprawiedliwej kary czyli zemsty? Por. Dyskusya (osobna odbitka), str. 40. Albo czy św. Benedykt popełniał »gwałt«, kiedy niepoprawnych zakonników karał »vindicta corporali«? W przykładach z Galla, na które powołuje się autor (str. 31), można vindicare aliquid oddać słowami: poszukiwać, domagać się zadośćuczynienia za coś. Prawdą jest, że w tych wypadkach nie było formalnego procesu ani wyroku sądowego, ale niepodobna przypuszczać, aby vindicta, vindicare dlatego, że mowa jest o karze pozasądowej, zawsze

miało oznaczać (jak chce autor): »gwałt, bezprawie, zemstę, zbrodnię« (str. 31 i 32). Wiemy, że książęta mogli nakładać kary wprost od siebie bez uprzedniego przewodu sądowego, a któż powie, że wszystkie tego rodzaju »wyroki« urągały sprawiedliwości według ówczesnych zapatrywań, lub nie liczyły się z rodzajami kar przez zwyczaj ustalonemi. Ponieważ między innemi wyprawę Bolesława Chrobrego na Ruś nazywa Gall (I 7) zemstą chlubną i wspaniałą (inserendum est seriei, quam gloriose et magnifice suam iniuriam de rege Ruthenorum vindicavit, qui sibi sororem dare suam in matrimonium denegavit), najwidoczniej terminu vindicare nie określa aktu zbrodniczego, bezprawnego, ale przeciwnie, tak zwana zemsta wyraża tu w pojęciu kronikarza karę jakby konieczną i represyę zupełnie naturalną (por. Handelsman, Historya polskiego prawa karnego; Warszawa 1909, I str. 235). Podobnie rozumieć należy następujące zdania tegoż pisarza: 3, 15 iustus Iudex... iniuriam in Suatopolc... vindicavit; 3, 23 hodie Deo iuvante Poloni suas iniurias vindicabunt. Zwracam też uwagę, że Sallustius, którego pisma Gall pilnie czytał, używa słowa vindicare w znaczeniu punire, castigare. O ile chodzi o funkcyę słowa vindicare u Galla, co dopiero przytoczone przykłady są bardzo wymownym protestem przeciw teoryi ks. A. Siudy. Zapytam jeszcze czy byłoby słuszną rzeczą, gdybyśmy w myśl tej zasady w zdaniu: »gloriosus Justinus... Dei distulit iniuriam vindicare« (u Grzegorza W., epist. 3, 37 (38)) rozumieli przez vindicare karanie pod wpływem zemsty, karanie bezprawne, zbrodnicze? Co więcej, autor zdobywa się (str. 31) na takie twierdzenie: »vindex a iudex — powszechnie (?) wiadomo — to całkiem co innego; jeden stoi na straży moralności, drugi (t. j. vindex) ją znieważa... drugi (tenże vindex) jako zbrodniarz jest w poniewierce, w pogardzie« (!). Cóż wobec tego werdyktu zrobić z wyrażeniem św. Pawła: I Tes. 4, 6 quoniam vindex est Dominus de his omnibus.

Jeżeli więc ks. A. Siuda mniema, że jego nie powierzchowne semazyologiczne oświetlenie słów corporaliter vindicare trafia w sedno całego Faktum biskupa Stanisława i rozstrzyga spór między christum a christianum na rzecz chrześcijanina, bo król nie powinien »mścić się« nie tylko na pomazańcu, ale wogóle na żadnym poddanym, to wniosek ten nie ma językowego uzasadnienia ani w dykcyi Galla, ani w wysłowieniu innych pisarzy.

Co prawda, przeciw lekcyi christus in christum (w rękopisach xpc in xm) podnosi ks. A. Siuda także wątpliwości paleograficznej,

natury, jakkolwiek z wzorów przez siebie zebranych (str. 43) mógł się przekonać, że różne przypadki wyrazu christianus występują w rękopisach z wypisaną końcówką anam, anorum i t. p., podczas gdy zasadnicza część christi ma postać albo pełną albo skróconą, że zatem ten fakt nie poleca u Galla rozwiązania xpc na christianus. Lektura wybornej książki L. Traubego (Nomina sacra) usunęłaby sceptycyzm autora. Długo zmagano się z trudnościami słów illud enim multum sibi nocuit, aż przekonano się nareszcie, że to zdanie jest głównem i zawiera myśl nową, podaje drugą przyczynę wyrzucenia króla (str. 41). Ależ zasadniczo taką samą możebność przypuszczał dawniej referujący (Dysk., str. 39), gdy pisał: »enim ma tu znaczenie partykuły autem, δέ, dodaje więc do poprzedniego zdania nowy moment, wskazuje, że prócz wspomnianego już przewinienia (non debuit... vindicare) obciąża króla nowy występek«. Nie uszła też naszej uwagi moralna zasada Galla, że Bolesław nie powinien był wogóle pod żadnym warunkiem popełniać pewnych czynów (str. 38 n.). Gdybyśmy illud enim sq. pojęli jako uzasadnienie poprzedniego zdania quia non debuit... vindicare (= non debuisse vindicare, zależne od dicere), wprowadzilibyśmy myśl przeciwną co dopiero przywiedzionej tezie. Słowy illud enim i t. d. tłumaczy Gall, dlaczego z pośród przyczyn, składających się na katastrofę króla, przytacza tylko jego zachowanie się wobec biskupa. Przytacza je, bo ono właśnie było zgubą Bolesława, tak więc enim uzasadnia powyższe hoc dicere licet. Illud w związku z osłabieniem funkcyi tego zaimka, właściwem łacinie późniejszej, położono tu dla odmiany po poprzedniem hoc, a tę samą rolę mogłoby spełniać także id. Mylnem niemniej jest twierdzenie autora, że enim u Galla (o ile mógł stwierdzić) powtarza się 13 razy, ale ani raz »i to znów literalnie ani raz niema tego znaczenia, jakie mu nadaje Wojciechowski« (str. 49 n.), to jest nie znaczy bowiem, tylko równa się et, vero i jest »często takie zewnętrzne (?), odruchowe (?)«. I ja podzielam w tym razie zapatrywanie Wojciechowskiego, dlatego muszę najpierw zauważyć, że tych enim jest u Galla znacznie więcej, a co ważniejsza, na wielu miejscach musimy brać enim w znaczeniu eksplikatywnej lub uzasadniającej partykuły (mianowicie, bo): por. II, 16 scimus enim et certi sumus; II, 43 quicumque enim paganorum; III, 14 malo enim; III, 12 vox enim populi; III, 25 (p. 108, 2 Finkel) vidimus enim; tamże p. 105 iam enim. By uchylić dalsze nieporozumienie co do pojmowania tradycyi jako grzechu (str. 39), proszę autora o odczytanie mojej odpowiedzi na Plemię Kadłubka w *Przegl. Pow.* 1910

(maj) str. 135. Traditio, fundamentalny wyraz omawianego tekstu, przyjęto w znaczeniu upomnienie (str. 66, 78), za czem sam przemawiałem, niesłusznie jednak na str. 69 zeznaje autor, że traditio to także klątwa św. biskupa. Tej funkcyi wyrazu bronił ks. Namysłowski, niestety bez podstawy, a i ks. A. Siuda pozostaje pod jego wpływem i wierzy nawet, że traditio ma aż 16 znaczeń (str. 59). Nie chce on przedstawiać sprawy jednostronnie, zamierza przeto przytoczyć wszystkie miejsca, gdzie występuje traditio, traditor, traditorie i tradere, żeby dać, jak mówi, czytelnikowi jasne pojęcie o rzeczy. Cóż się jednak pokazało? Oto w wykazie (str. 61) brak pięciu ważnych przykładów: II, 44; II, 16; I, 17; II, 36 i 6, a nadto np. II, 4 patriam... tradidisse, wobec czego pytamy, po czyjej stronie widać jednostronność czyli raczej pobieżność? Przykro mi, że słowo deferre wystawiłem na mękę, ale moje se efferre miało zastępować nie samo deferre, lecz sed deferre. Autorowi nie podoba się konjektura, ale wie może, że ja sam ją zaraz odrzuciłem (Dysk. str. 46), a na to miejsce przyjąłem tekst z takim sensem: »Boleje nad tem, że Bolesław przybywa doń wskutek wrogiego czynu« (tamże 47). Otóż nie inne zapatrywanie (z drobną odmianą) wygłasza ks. A. Siuda: »ubolewa, że... przychodzi do niego z powodu prawdziwie wrogiego zajścia« (str. 79 i 82), ale tutaj właśnie o naszem tłumaczeniu całkiem nie wspomina. Cieszę się, że zwrot Kadłubka »inter infulas« interpretuje autor odmiennie od prof. T. Wojciechowskiego, lecz w gruncie rzeczy jego pojmowanie (str. 88 n.) jest wiernem echem mojej skromnej a również przemilczanej uwagi (Dysk. str. 26 uw. 3), jakkolwiek przyznam, że nowością filologiczną było dla mnie stawianię owego inter infulas na tym samym poziomie znaczeniowym, co inter cenam, inter noctem (str. 89). Przecież infulae nie oznaczają mszy św., a analogiczne do tamtych wyrażeń tłumaczenie (wśród, podczas szat kapłańskich) byłoby niemożliwem. Wiadomo, że słowa Galla: »partim gaudet ex amico, partim restat locus irae« przełożył Komarnicki w ślad za Pertzem w ten sposób: »częścią się cieszy (Władysław) z oglądania przyjaciela, częścią daje mimowolny powód temuż do gniewu«. Ks. A. Siuda (str. 81) odmawia temu rozumieniu podstawy psychicznej i zapytuje: na czemże ma polegać to danie powodu do gniewu? Rzecz wyjaśni się, jeśli autor zechce dokładnie przeczytać ładny wywód prof. St. Smolki (Dyskusya str. 93 uw. 1). Z mojej strony dodam, że partim-partim i podobne partykuły mogą wprowadzać pojęcia albo kontrastujące, albo wogóle różne, odmienne, a więc np. metus obok fraus, navigatio obok sermo, nobilitas

gentis obok corporis magnitudo. Nie dziwi mię dlatego grupa pojęć: częścią cieszyć się, częścią dawać powód do gniewu; zastrzegam się wszakże przeciw konkluzyi ks. A. Siudy: »takie partim się cieszyć, a partim dawać powód do gniewu, to tak, jak powiedzieć, że ten człowiek jest dziś bardzo ubogi, bo wczoraj się... zirytował«. Zastrzegam się nie ze względu na siebie, ale ze względu na samego autora i na powagę tematu, któremu nie odpowiada posługiwanie się podobną dyalektyką. Ks. A. Siuda takiej złośliwej ironii rozsiał dużo po swej broszurze, że wymienię jednę jeszcze: »ponieważ jakiś prof. Uniwersytetu napisał Szkice, Tadeusz Wojciechowski otrzymał nagrodę za naukową rozprawę« (str. 45).

Nikt też nie zgodzi się na sąd autora, jakoby Kronika Galla była pisana wierszem i »zakrawała« na małą Iliadę, na »Wojnę chocimską«, na »Śpiewy historyczne«! (str. 71). Jest ona w całości (pomijając kilka wyjątków) prozą bardzo często rymowaną (Dysk. str. 26), znaną z roczników i innych literackich zabytków średniowiecznych (zwłaszcza w w. 10—11), a nawet z dyplomów. Przyznaję, że ma swego rodzaju piękności, ale nie można powoływać się na rzekomą muzykę wiersza tam, gdzie zgoła innych wymagamy argumentów. Ks. A. Siuda posuwa się do tego, że także muzyką wiersza popiera lekcyę christianus (str. 45) — »bo nacisk na »a« dodaje szczególniejszej siły tej okoliczności, że tak wyznawca religii chrześcijańskiej nie powinien postępować względem drugiego wyznawcy tej samej religii« (tak!).

Dr. A. Miodoński.

Śląsk cieszyński. *Mieczysław Jarosz.* Kraków 1910, 8-ka, str. 172.

Stosunki współczesne na Śląsku cieszyńskim zasługują nie z jednego tylko względu na baczną uwagę całej czytającej naszej inteligencyi, obfitują bowiem w takie szczegóły czysto miejscowe, jakich gdzieindziej napróżno szukalibyśmy, a i na naszem terytoryum etnograficznem nie zobaczymy nigdzie drugiej dzielnicy, której stosunki byłyby do tego stopnia skomplikowane, co tutaj właśnie.

Komplikacyę tę nie trudno ująć w parę punktów, które same przez się wprawiają w zdumienie, zwłaszcza, że ma ona miejsce na stosunkowo niewielkiej przestrzeni. Mieszka bowiem tutaj aż cztery narodowości: Niemcy, Polacy, Czesi i Żydzi, przynależące do trzech wyznań: katolickiego, ewangelickiego i mojżeszowego. Poza tą zaś rdzenną i stale osiadłą ludnością widzimy stosunkowo duży procent ludności napływowej z krajów sąsiednich, a zatem: z Galicyi, Moraw, Czech, Wę-

gier i Prus. A ludność ta obraca się pośród wszystkich możliwych do pomyślenia form własności ziemskiej, skoro obok latifundyów, obejmujących dziesiątki tysięcy hektarów, mamy drobne gospodarstwa rolne, nie przenoszące obszarem jednego hektara. Tak samo mają się rzeczy z przemysłem i handlem: obok bowiem wielkiego przemysłu fabrycznego widzimy drobne rękodzielnictwo oraz przemysł domowy wiejski, obok handlu wszeświatowego — pospolite kramarstwo. W życiu politycznem wreszcie stronictw tyle, ile ich jest w państwie austryackiem!

Wobec tak dalece skomplikowanych stosunków, w całej pełni wre tutaj walka: narodowościowa, polityczna i ekonomiczna, na śmierć i życie, a wśród tych różnych rodzajów walki najbardziej wytężone zmagania się ludności polskiej o wywalczenie dla siebie szkoły narodowej oraz ruch emancypacyjny naszego ludu pracującego.

Wszystkie powyższe kwestye znalazły mniej lub więcej dokładne oświetlenie w książce p. Jarosza, która jest na razie najdokładniejszym z istniejących broszur informatorem o stosunkach na Śląsku cieszyńskim, jakkolwiek dla rozmaitych przyczyn zawiera ona wiadomości mylne, niedokładne lub wreszcie tendencyjne, zwłaszcza na punkcie stosunków wyznaniowych.

Książkę rozpoczynają daty statystyczne, wyjęte z wydawnictw urzędowych, a zatem dowiadujemy się najprzód o położeniu i warunkach fizycznych Księstwa Cieszyńskiego, otrzymujemy przegląd cyfrowy przemysłu i handlu, własności ziemskiej, zawodów, wyznań i narodowości. Niepodobna nie powtórzyć na tem miejscu kilku szczegółów najważniejszych.

Na miejscu naczelnem postawić należy kopalnie węgla kamiennego, które stanowiły główną gałąź przemysłu śląskiego, przerastającą niepomiernie wszystkie inne. Zważyć bowiem tylko należy, że w r. 1908 zagłębie ostrawsko-karwińskie wydało 74,320.850 ctn. metr., co stanowi 52·7% produkcyi ogólno-austryackiej węgla. Produkcya dalej wzrasta stale z roku na rok w miarę eksploatacyi nowych terenów węglowych. Obok węgla kamiennego rozwinął się tutaj — naturalną rzeczy koleją — bardzo wydatnie przemysł hutniczy i metalowy, rafinerski, drzewny i tkacki. Wystarczy powiedzieć, że w roku 1902 istniało na Śląsku 1465 przedsiębiorstw przemysłowych, pędzonych motorami o sile 94.108 HP, zatrudniających 77.383 sił robotniczych. I podczas gdy w r. 1900 w Galicyi udział ludności w przemyśle wszelkiego rodzaju przedstawiał się cyfrą 9·01%, to na Śląsku cieszyńskim doszedł do cyfry 49·13% i na odwrót — podczas gdy

w Galicyi rolnictwu z ogrodnictwem i leśnictwem oddawało się 76·82% ludności, to na Śląsku tylko 34·98%. Jednakowoż w latach ostatnich ilość gospodarstw maleje stale z roku na rok, przy równoczesnym wzroście proletaryzacyi i zwiększaniu się zastępów robotniczych. Wraz z zanikaniem gospodarstw drobnych rośnie własność wielka, pochłaniając drobne działki ziemi.

Typowem gospodarstwem małorolnem w Księstwie Cieszyńskiem jest gospodarstwo 2—5 hektarowe, zważyć wszelako należy, iż niemal połowa Śląska cieszyńskiego znajduje się w posiadaniu magnatów oraz arcyksięcia Fryderyka.

I to jest jeszcze typowe, że proletaryat robotniczy i rolniczy jest z nielicznymi wyjątkami polski, gdy tymczasem fabrykanci, wielcy przemysłowcy, właściciele większej własności ziemskiej i kapitaliści są Niemcami lub w mniejszej części, Żydami; stan wreszcie średni, złożony z urzędników, inżynierów, dyrektorów i administratorów, rekrutuje się z Niemców, Żydów i Czechów.

Dokładnej i wiarygodnej statystyki ludnościowej nie był w stanie autor podać, a to z tej prostej przyczyny, że na spis ludności, przeprowadzony w r. 1900 trudno liczyć pod tym względem, podług dat tego spisu ma być Niemców 15·2%, Czechów 23·7%, Polaków zaś 60·9%.

Co się tyczy ludności górniczej, to w roku 1900 było zajętych w zagłębiu karwińsko-ostrawskiem 33.621 górników, z czego aż 20.860 przyznało się do narodowości polskiej. Ale oprócz nich mamy tu jeszcze parę tysięcy mówiących wprawdzie po polsku, ale uważających się za Czechów. Stosunki życiowe ludności górniczej nie należą wcale do znośnych chociażby! Zarobki nie są wcale wysokie, drożyzna zaś wielka. Stąd też w rodzinach, obdarzonych liczniejszem potomstwem panuje niedostatek. Mieszkania — to po większej części wstrętne nory, warunki sanitarne wprost niemożliwe. A gdy do tego dodamy ciężką i niehygieniczną pracę w kopalniach, nie trudno będzie zrozumieć, skąd panuje tutaj wielka śmiertelność?

Co się tyczy strony intellektualnej ludności górniczej, to trzeba podkreślić stały wzrost wśród niej uświadomienia narodowego, czytelnictwa i dążenia do oświaty szkolnej, którego wypływem walka nieustanna o zdobycie dla siebie szkół polskich.

Zanim wszelako przejdziemy do spraw szkolnych, niepodobna nie podkreślić nader ożywionego ruchu współdzielczego, jaki coraz to szersze zatacza kręgi na Śląsku cieszyńskim. I tak: w roku 1907 było,

w zagłębiu karwińsko-ostrawskiem ogółem 18 spółek spożywczych, liczących 4193 członków. Obrót ich roczny wynosił 1,458.950 kor. czysty zysk zaś 43.142 koron. Co zaś najważniejsze, to, że wszystkie spółki spożywcze robotnicze z wyjątkiem jednej były polskie! Poza spółkami zrzeszają się górnicy w innych przedsiębiorstwach, a mianowicie zakładają piekarnie, rzeźnie, stawiają tanie domy robotnicze. Z drobnemi siłami, ze szczupłym kapitałem, zabierają się do pracy i osiągają znakomite rezultaty.

Sprawie szkolnictwa polskiego poświęcono w tej książce sporo miejsca. Z tych długich szeregów cyfr suchych, dat statystycznych widnieje pokrzywdzenie ludności polskiej, której Niemcy z Czechami stawiają trudności, ilekroć chodzi o najdrobniejszą bodaj koncesyę na rzecz szkolnictwa polskiego. Skutkiem tego szkolnictwo polskie na Śląsku — zdaniem autora — nie postępuje naprzód, a natomiast należałoby raczej mówić o jego cofaniu się. Szkoły t. zw. polskie t. j. mające jeszcze język wykładowy polski, są licho zorganizowane, nie mają odpowiednich budynków, a co najgorsze, zaczyna się już okazywać brak odpowiednio ukwalifikowanych dla nich sił nauczycielskich! Rozdział ten kończy się omówieniem działalności Macierzy szkolnej Księstwa Cieszyńskiego.

Walce czesko-polskiej, roznamiętniającej się z każdym dniem coraz to więcej, poświęcono w tej książce rozdział osobny. Nie trudno wytłumaczyć i uzasadnić jej powody. Czesi, którzy na polu oświaty ludowej, mają nieporównanie większe doświadczenie praktyczne od nas, zdają sobie aż nadto dobrze sprawę z tego, że razem z wzrostem klasowego i narodowego uświadomienia naszej ludności, ich sztuczny stan posiadania zacznie się kurczyć i rozpadać. To też celem przeciwdziałania nam robią wszelkie możliwe wysiłki, a zatem najrozmaitszymi sposobami narzucają naszej dziatwie czeskie szkoły publiczne i prywatne, importują na Śląsk wytrwale czeską inteligencyę, kupców, restauratorów, rzemieślników, ale z tym planem wyraźnym, iżby kolonizować nimi gminy polskie. Kolonizacyą tą kieruje czeski sekretaryat narodowy w Polskiej Ostrawie.

O krzywdach, zadanych nam przez Niemców, mówi autor w rozdziale przedostatnim równie wyczerpująco. Na Śląsku cieszyńskim żywioł urzędniczy jest czysto niemiecki. Nie inaczej mają się rzeczy w urzędach autonomicznych. Budżet krajowy zaś nie uwzględnia wcale potrzeb kulturalnych polskich, wspiera natomiast hojnie te instytucye niemieckie, które otwarcie wypowiadają wojnę żywiołowi

polskiemu. Te zaś subwencye, które wydatkuje na cele gospodarcze, są w porównaniu z sumami, wydatkowanemi dla Niemców i Czechów wprost humorystycznie nędzne.

Jak przedstawia się obecnie »Sprawa polska na Śląsku cieszyńskim«, o tem dowiadujemy się z rozdziału końcowego. Przedewszystkiem należy porzucić bezwarunkowo wszelki optymizm w tym względzie z powodów łatwo zrozumiałych. Ludność śląska bowiem, odłączona od tylu wieków od Polski, straciła wiele z tej świadomości, że jest cząstką narodu polskiego. Jedyną w tej mierze radą jest trwałe podsycanie świadomości narodowej ludu śląskiego.

Od błędów wszelako książka p. Jarosza nie jest bynajmniej wolna i bodaj czy błędy te nie są wynikiem bezpośrednim sympatyi i antypatyi autora wobec pewnych stronnictw politycznych? To też niepodobna nie powtórzyć z tego miejsca niektórych zarzutów, uczynionych w nrze 38 *Gwiazdki Cieszyńskiej* z r. z.

— »Na str. 168 pisze (p. Jarosz): »Ludności wyznania ewangelickiego łatwiej trafiają do przekonania hasła polityczne i narodowe, ludność ewangelicka narodowo jest więcej uświadomiona. Wprost przeciwnie ludność rzym.-kat. wyznania«. Zaraz na następnej stronicy czytamy: »W powiecie bielskim, wyłącznie rolniczym i polskim, graniczącym z Galicyą, jest szkół utrakwistycznych stosunkowo najwięcej, ludność narodowo tak mało uświadomiona, że zutrakwizowanie reszty szkół i wprowadzenie języka niemieckiego do wydziałów gminnych spotkałoby się z minimalnym oporem, a bodaj nawet życzliwością ze strony śląskiej ludności rolnej«. Otóż prawdą jest, o czem p. Jarosz sam się przekonać może, że właśnie słowa jego odnoszą się prawie wyłącznie do ludności ewangelickiej w powiecie bielskim. Przecież *Ślązak* najwięcej poparcia doznaje od tamtejszej ludności ewangelickiej, podczas gdy ludność katolicka wcale go nie abonuje, ani czyta. W Mazańcowicach posyłają dzieci do niemieckiej szkoły *Schulvereinu* tylko ewangelicy. A nienawiść protestantów w powiecie bielskim do języka polskiego i Polaków sięga nawet tak daleko, że np. w Jasienicy tamtejsi robotnicy i rolnicy wyznania ewangelickiego nie chcą słuchać referatów »Polaka« p. Regera, lecz milszy im żyd galicyjski Arbeitel, bo to Niemiec. Zresztą powołać się można na wyniki wyborów sejmowych w r. 1890, 1896, 1902, przy których ewangelik dr. Michejda otrzymał prawie wszystkie polskie głosy katolickie, podczas gdy ewangelickie padły przeważnie na kandydatów niemieckich lub renegatów. I w powiecie cieszyńskim ludność katolicka jest więcej

przystępna dla haseł ludowych, aniżeli ewangelicka, co ostatnie wybory sejmowe dostatecznie wykazały. Nie chcemy przeczyć, że w powiecie cieszyńskim niema uświadomionych Polaków-ewangelików, zaznaczamy tylko, że ludność katolicka jest stanowczo więcej polska, niż ludność ewangelicka, co także Stalmach niejednokrotnie podnosił. Zresztą nawet niemieckie dzienniki podnoszą, że polska ludność katolicka nie chce nic słyszeć o renegactwie *Ślązaka*.

Autor wywodzi na str. 44: »ze stosunku, jaki zachodzi i między wyznaniami rzymsko-katolickiem i ewangelickiem, a poczuwaniem się do narodowości polskiej, stwierdzić należy, iż ludność ewangelickiego wyznania bardziej czuje po polsku i przeważnie do polskiej zalicza się narodowości«. Cytuje następnie ustęp z broszury »Ewangelicy i sprawa narodowa na Śląsku«: »Odkąd ewangelikom wolno było stawiać kościoły i szkoły, odprawiały się u nich nabożeństwa, odbywała się nauka w szkole po polsku, kiedy w szkołach katolickich uczono jedynie po czesku, a nauczyciele katoliccy pisali jedynie po czesku«. Otóż twierdzenie to nie jest w zupełności prawdziwe, bo stosunki w kościołach katolickich i ewangelickich były mniej więcej te same, bo śpiewniki były w obu czeskie (w śpiewnikach katolickich był dodatek z pieśniami polskiemi), a kazania odbywały się zazwyczaj w dyalekcie śląsko-polskim. W szkołach zaś i katolickich i ewangelickich uczono czytać na tak zwanych »ślabikarzach« czeskich; jedyna różnica polegała na tem, że w szkołach katolickich była czeska książka do czytania, podczas gdy w szkołach ewangelickich książkę tę zastępował polski Nowy Testament. Nie była to jednak żadna zasługa szkół ewangelickich, bo władze szkolne tylko dlatego zgodziły się na polski Nowy Testament, ponieważ czeska książka do czytania napisana była zupełnie w duchu katolickim, i ewangelickim szkołom narzuconą być nie mogła. Wspomnieć i to nie zawadzi, że ewangelicy posiadali szkoły prywatne, które sobie sami utrzymywali, posiadali więc też większą autonomię szkolną. Zresztą naddozorcy szkół ludowych począwszy od Szersznika aż do Potiorka (1800—1848) domagali się energicznie i polskich elementarzy i polskich książek do czytania, ale władze szkolne stanowczo się temu oparły, nie chcąc łożyć pieniędzy na druk polskich książek szkolnych.

Autor twierdzi dalej, że w powiatach cieszyńskim i frydeckim, w gminach z większością czeską, katolicy uważają się za Czechów, ewangelicy za Polaków, co więcej, liczba katolików nakrywa się nieraz liczbą Czechów. Na dowód tego wyrwano ze spisu ludności 11 miej-

scowości, w których liczba ewangelików zbliża się do liczby Polaków. Niechże nam będzie wolno to samo uczynić na udowodnienie, że w innych gminach powiatu frydeckiego ma się rzecz zupełnie inaczej. Według spisu ludności z 1900 roku liczyły:

	ewangelików	Polaków
Stare Hamry	298	15
Bartowice	134	44
Górne Datynie	115	14
Dobra	48	10
Janowice	84	4
Wiekie Kuńczyce	64	210
Leskowiec	123	367
Lubno	54	0
Malenowice	54	0
Racimów	35	152
Rzepiszcze	20	0
Skalica	77	3

Ludność ewangelicka w powiecie frydeckim jest napływową. Przyszła ona za chlebem z powiatów cieszyńskiego i bielskiego, które są polskie, a różniąc się od tamtejszej ludności religią i językiem, łatwiej mogła zachować jedno i drugie. Było więc w interesie ludności ewangelickiej zachować swą odrębność narodową i dopomagało jej do tego należenie do parafii polskich, leżących na pograniczu w gminach polskich. Według szematyzmu, wydanego w 1828 r. przez ks. Schippa, było w parafii frydeckiej tylko 4 ewangelików, obecnie jest ich 450. Prawie wszyscy przybyli z polskich okolic Śląska.

Nie ulega wątpliwości, że istnieją na Śląsku gminy, w których ludność mówi po polsku, a w kościele i szkole jest wszystko po czesku, ale jest to wynik dawnych stosunków, niekorzystnych dla rozwoju polskiej sprawy. Ś. p. ks. biskup Śniegoń twierdził niejednokrotnie, że brak duchowieństwa swojskiego w pierwszej połowie XIX stulecia jest przyczyną owego smutnego objawu. Natomiast w zamian podnieść należy, że księża katoliccy, pochodzący z Frydeckiego, jak Pawełek, Dominik i Alojzy Orłowie, Kuńczycki i inni nie tylko zaliczali się do Polaków, ale bronili nadto bardzo dzielnie praw języka polskiego! O tem jednak p. Jarosz nie chce widocznie wiedzieć, bo na to nie pozwala mu jego stanowisko partyjne!... Inną jednostronnością książki, podyktowaną również przez partyjność, jest pokładanie nadziei lepszej przyszłości jedynie na ludzie roboczym, z usunięciem w głąb innych klas społecznych. *Nie-Ślązak.*

Z piśmiennictw obcych.

Jan Jakób Rousseau. *Juliusz Lemaitre.* Przekład St. Turowskiego. Kraków i Warszawa 1910. Str. 252.

Tak samo jak *libelli — habent sua fata* i geniusze. Jan Jakób był swojego czasu równie silnie nienawidzony, jak i uwielbiany. Nienawidzony przez Genewczyków i Szwajcarów, których wyznanie religijne przyjął, wzgardziwszy katolicyzmem; uwielbiany przez arystokracyę, której straszliwy pogrom przygotował dziełami. We francuskiej literaturze znalazł sobie potomstwo literackie w Chateaubriandzie, de Staël, Senancour'cie, Hugo'nie, Mussecie, Sandzie, Michelecie; w obcych literaturach w Goethe'm, Szyllerze, Byron'ie, Kancie, Fichtem, Jacobim, Schleiermacherze, a co najciekawsze w Tołstoju.

»Przeczytałem Rousseau'a całego — powiedział Tołstoj do pewnego Francuza — przeczytałem jego dwadzieścia tomów włącznie z muzycznym dykcyonarzem. Podziwiałem go więcej, niż entuzyastycznie; miałem dla niego kult. W piętnastym roku życia nosiłem na szyi, w miejsce zwykłego krzyża, medalion z jego portretem. Są u niego kartki tak mi znane, że mi się wydaje, jakbym je sam napisał«. Co za pietyzm! Wszystko inne — zdawałoby się, żeby tak rzec z Krasińskim — złudą złud i zbawienie tylko — tam!

A jednak!

W roku 1907 sławny krytyk francuski i działacz narodowy Lemaitre, wziąwszy za podstawę: *a)* ogromną korespodencyę Jana Jakóba, *b)* jego dzieła, w pierwszym zaś rzędzie »Wyznania« — zapomocą subtelnej i niepospolicie bystrej a głębokiej analizy dokonywa dyssekcyi duchowej człowieka, filozofa i pisarza.

Wypadła ona dla człowieka i dla filozofa — fatalnie.

Młodość zaciemnia historya wstążki.

Po śmierci pani de Vercellis, której Jan Jakób był lokajem-sekretarzem, kradnie w zamieszaniu małą wstążkę koloru różowego ze srebrnym, a gdy ją u niego rodzina znajduje i bada, kłamie, że kucharka Marion dała ją. Wydalają oboje. »Nie wiem — powiada Rousseau — co stało się z ofiarą mojej kalumnii; ale niema prawdopodobieństwa, żeby potem z łatwością znalazła miejsce« ... W dwudziestym drugim roku zostaje kochankiem pani de Warens i t. d. Jako dziecko i młodzieniec występny, leniwy, słaby i kapryśny, kłamca i łotrzyk,

ostatni raz kradnący wino w 28 roku u p. de Mabby, protestant udający katolika, — idzie szukać szczęścia w Paryżu.

W Paryżu żyje na wiarę z Teresą, ma z nią pięcioro dzieci — i wszystkie oddaje do domu podrzutków, jakkolwiek dochody ma takie, że mógłby dzieci wychować. Równocześnie atoli uznaje swe błędy: »Popełniliśmy — pisze do Teresy — błędy, które trzeba opłakiwać i odpokutować«; równocześnie pisze rozprawę o zepsuciu obyczajów przez nauki i sztuki...

W swej »Rozprawie o nierówności« propaguje powrót do stanu natury, jako najwyższe szczęście. Lemaitre mówi o niej: »To niemożliwe, aby ta głupia adoracya równości była szczera u człowieka, który odczuwa swoją wyższość umysłową i który się nią rozkoszuje z przesadną dumą. Chyba, żeby był w usposobieniu ducha tego socyalisty, który na zebraniu politycznem odpowiedział jednemu z moich przyjaciół: »Ależ my nie chcemy, aby wszyscy byli szczęśliwi, lecz aby wszyscy byli tak nieszczęśliwi, jak my« (84). W kwietnia 1756 ten apostoł równości osiedla się z Teresą w Ermitażu pani d'Epinay i tam już poczyna się — podług Lemaitre'a — niepokojąco rozwijać w nim mania prześladowcza. Czuje atoli on — apostoł równości — sprzeczność między tem, co głosi a tem, co czyni — i jak Tołstoj niedawno, po dwóch latach ucieka. »Powinien był spostrzedz się wcześniej« — dodaje Lemaitre.

W »Montmorency« pisze »List o widowiskach« przeciw teatrowi. »Ten człowiek — reasumuje Lemaitre — który potępia teacr, pisze komedye i właśnie sztuczne i filuterne, co tak silnie gani; pozostaje faktem, że napisał »Czarodzieja« z muzyką i tańcami; pozostaje faktem, że napisał »Rozprawę« przeciw sztukom w chwili, kiedy pisał dla teatru; »List do d'Alamberta«, jak tylko sztukę dla teatru napisał; »Rozprawę o nierówności« w chwili, gdy był protegowany przez możnych; a swój traktat o »Wychowaniu« w kilka lat po pozbyciu się piątego dziecka« (113). »Nową Heloizę« wydaje w r. 1761, »Emila« w 1762. W pierwszej ma dwa cele: pokazać zepsutemu wiekowi, że można podnieść się z upadku, a drugi, że można wierzyć w Boga, nie będąc hipokrytą i że można być niewierzącym nie będąc łajdakiem. Powieść miała wielki wpływ: rozpowszechniła upodobanie w naturze, kult dla czułości, wyparła powieści jawnie rozwiązłe.

Traktat o wychowaniu napisał Rousseau, pragnąc przez nie reformować społeczeństwo. Zasadą jest nic dziecku nie poddawać, lecz pozostawić wychowanie samotnemu człowiekowi i naturze. Nazywa to

»edukacyą negatywną«. Nie należy też nigdy karać, lecz kara powinna dla dzieci wypływać, jako naturalny wynik złego postępku. Tu idą najlepsze karty książki Lemaitre'a. Doprowadza on sprytnie i gruntownie do absurdu taką metodę wychowawczą, udowadniając, że to, co jest w tej książce dobre, nie należy do Jana Jakóba, a to, co doń należy, wydaje się zuchwałą niedorzecznością (172).

Następuje rozbiór »Umowy społecznej«, jako »najbardziej miernej« książki Rousseau'a. Jan Jakób, cenzor obyczajów w swych pierwszych książkach, nauczyciel miłości w »Nowej Heloizie«, wyrocznia wychowania w »Emilu«, uczuł potrzebę zostać prawodawcą, aby zakończyć misyę dobroczyńcy ludzkości.

Głosi w tem dziele zupełną równość obywateli, głosi komunizm społeczny, władztwo ludu nie tylko w kwestyach materyalnych, lecz w kwestyach filozoficznych i teologicznych. A jednak w tejże »Umowie« nazywa lud »ślepym tłumem, który często nie wie, czego chce, ponieważ wie rzadko, co dlań jest dobre«.

A jednak zaleca dogmaty, choć w »Nowej Heloizie« podziwiał ateusza Wolmera. Wydalony z Francyi, wydalony z Genewy, osiada w Motiers. Tam dochodzi go list arcybiskupa paryskiego, Krzysztofa de Beaumont. List zawiera genialną, spółczesną charakterystykę Rousseau'a. »Z łona błędu podniósł się człowiek, pełny języka filozoficznego a nie będący naprawdę filozofem; umysł uposażony mnóstwem wiadomości, które go nie oświeciły i które rozsnuły ciemności w innych umysłach; charakter, wydany na łup sprzeczności opinii i życia; łączący prostotę obyczajów z przepychem myśli; żarliwość starożytnych maksym z namiętnością nowości; ciemność ustronia z pragnieniem, by go cały świat znał; widziano, jak się miotał przeciw naukom, które uprawiał; jak głosił doskonałość ewangelii, której dogmaty burzył; jak malował piękność cnót, które gasił w duszy swych czytelników...«

Cała książka Lemaitre'a jest właściwie illustrowanym, barwnym, świetnie napisanym dowodem tego listu. A gdy od biskupa biegł ku filozofowi ten grom prawdy, filozof stał u szczytu sławy.

Nie może nastarczyć korespondencyi: Korsyka żąda od niego konstytucyi, dla Polski pisze *Considérations sur le Gouvernement de Pologne,* książęta, wielcy panowie i panie radzą się w sprawach wychowania, religii, sumienia...

Wtedy rozpoczęły się jawne początki obłąkania. Kończy książkę Lemaitre syntezą wad i zalet pisarza, ale z powyższego łatwo wysnuć wniosek, co przeważa.

Myślę, że p. Turowski dobrze się literaturze naszej przysłużył przekładem dzieła o filozofie, który i na naszą kulturę i na dzieła naszych pisarzy nie pozostał bez wpływu. Czyta się książka jednym tchem, jak powieść, dzięki pełnej jasności i prostoty, ale i subtelnego wdzięku, analizie duszy, uczynków, charakteru i dzieł wielkiego pisarza; ale także dzięki doskonałemu przekładowi, który jest znakomitą transpozycyą myśli i obrazowej formy francuskiego akademika na naszą mowę rodzimą.

Antoni Mazanowski.

Initiatives féminines par *Max Turmann,* Docteur ès sciences politiques et économiques, Professeur au Collège libre des sciences sociales. Paris. Libraire Victor Lecoffre. Rue Bonaparte 90. Troisième mille, in 12-o.

Nie głośny, hałaśliwy ruch feministyczny, ale spokojną, owocną i coraz szersze kręgi zataczającą działalność społeczną kobiet francuskich przedstawia nam dr. M. Turmann w książce swojej, zatytułowanej *Initiatives féminines.*

Dla określenia ducha tej działalności, znamienne są słowa jednej z kobiet, o których mówi nam książka Turmana, p. Łucyi Goyau-Faure. »Jeżeli chcemy wypełnić prawo Boże, dawajmy odzież tym, którym jest zimno a chleb tym, którzy cierpią głód, ale nie zapominajmy przytem tak działać na dusze tych braci naszych, aby po ciężkim znoju pracy codziennej spływała w nie słodycz, pokój i piękno nauki Chrystusowej«.

Nie chodzi im tylko o niesienie doraźnej pomocy tym, którzy jej potrzebują, ale o zetknięcie się z duszą ludu, o zdrowszy wpływ na nią. W tym celu organizują się liczne stowarzyszenia, których zadaniem wejść w lud, poznać jego potrzeby i zaspokajać je w duchu prawdziwego chrześcijańskiego braterstwa. Powstaje *Union familiale,* zajmująca się dziećmi rodziców, oddanych cały dzień zawodowej pracy poza domem, młodzieżą rękodzielniczą, której ułatwia samokształcenie się książkowe. Zbiera w niedzielę tę młodzież i daje jej zdrową, wesołą a uczciwą rozrywkę. Zgromadza matki i ojców w *Cercle d'éducation familiale* i daje rady, jak pielęgnować ciała i dusze dziecięce.

Gdy robotnik posiada prawdziwe ognisko rodzinne, nie będzie zeń tak łatwo uciekać tam, gdzie trują go wywrotowemi zasadami. Duszą rodziny jest kobieta — trzeba ją więc wychować tak, aby zadanie swe spełnić umiała. Niech posiada tę radość pracy, która jest błogosławieństwem wszystkich pracowników; niech umie obrócić ciężko

zarobionym groszem, dać zdrowy posiłek rodzinie. Powstają zatem liczne *Ecoles ménagères*, gdzie, obok nauki gospodarstwa, podają dziewczętom z ludu uszlachetnieniające ich umysł wiadomości we właściwym dla nich zakresie. W tym samym kierunku pracują t. zw. *Résidences* lub *Maison sociales*, gdzie kobiety z warstw wykształconych oddają się całe na usługi ubogim; mieszkają w ich dzielnicach i pomagają wszechstronnie, jak dobre, uczynne sąsiadki, do których biegnie się śmiało i z ufnością. Rząd francuski pozamykał klasztory — może *Résidences sociales* są tylko świecką ich formą — ducha ofiary żadna siła znieść z powierzchni ziemi nie zdoła, pierwiastek jego jest wiekuisty.

Stosunki społeczne wyprowadzają kobietę z domu, każąc jej wraz z mężem pracować na utrzymanie rodziny. Należy jednak pracę tę o ile można ograniczać, czuwać nad sprawiedliwem jej wynagrodzeniem i odpowiednimi dla niej warunkami.

Z inicyatywy kobiet ze sfer zamożnych powstają Syndykaty kobiece, które zrzeszają robotnice w towarzystwa wzajemnej pomocy i wzmacniają tym sposobem ich stanowisko. Rodzą się liczne stowarzyszenia, które dają robotnicy chorej możność dłuższego wypoczynku, jak np. *Assistance maternelle*, *Oeuvre des mères de famille*, *La goutte de lait* i wiele innych, w których chroni się matkę a dzieciom daje możność zdrowego rozwoju, zmniejszając tym sposobem przerażającą wprost śmiertelność wśród niemowląt z ludu.

Powstaje taka *Ligue sociale des acheteurs*, czuwająca nad sprawiedliwością stosunków w sklepach i pracowniach. Zacne opiekunki zajmują się także dolą małych chłopców terminatorów, wykrywając w tym świecie całą przepaść niedoli dziecięcej. Czuwają nad dziewczętami z ludu, rzuconemi bezbronnie na bruk miejski, wśród mrowisk fabrycznych; dzieło *La Protection de la jeune fille* bierze je w opiekę. Dają im pracę, o ile możności uczciwe mieszkanie, godziwą rozrywkę, zakładają kasy posagowe.

Inne znów stowarzyszenia myślą o tych biednych młodych istotach, które wśród dymów, kurzu i przepełnionego niezdrowymi wyziewami powietrza miast więdną, nie mając sposobności nawet w lecie odetchnąć świeżem, wiejskiem powietrzem. *L'oeuvre du plein air* wywozi je na parę tygodni w góry, do lasu, dając szerszy oddech nie tylko płucom, ale i duszom.

Ale niepodobna całych rodzin wysyłać na wieś, więc w sercu zacnej a energicznej kobiety rodzi się myśl Ogrodów robotniczych

za miastem; dla tych zaś biedaków, którzy i tego mieć nie mogą, istnieje dzieło owiane dziwną poezyą, *l'Oeuvre des fenêtres fleurie.* Kwiaty dał Bóg dla wszystkich, więc ci, którym życie dużo ich ściele pod stopy, niosą je do poddaszy, do piwnic, aby umiliły tam swoim wonnym uśmiechem smutną dolę kaleki lub dogasającego starca.

Akcya kobiet katolickich o gorącem, ofiarnem sercu a silnej woli oplotła wszystkie niedole społeczne siecią starań i zabiegów, które i doraźną niosą pomoc i niecą światło tam, gdzie mrok zalega — i grzeją serca, gdzie je zwarzyły niedola i krzywda, leczą choroby duszy i ciała i wśród pracowitej teraźniejszości przygotowują zasiew pod lepszą przyszłość. — Może zapyta kto, jakim sposobem dopatrzą, poznają tyle różnorodnych bied i potrzeb? — Oto nie chcą one iść obojętnie przez życie, ale chcą je przejść, dobrze czyniąc, i dlatego umieją patrzeć dokoła siebie. Aby więcej i lepiej dojrzeć, zrzeszają się w zbiorową akcyę, tworząc liczne ankiety, sięgające w głąb potrzeb społeczeństwa. Wykryte braki i nędze biorą w serce, ujmują w dłonie, a siłą pracy i ofiary własnej przerabiają w dzieła sprawiedliwości.

Książka *Initiatives féminines*, wprowadzając nas w ten ruchliwy świat pracy społecznej katolickich kobiet francuskich, któremu przewodniczy chrześcijańska myśl i uczucie, działa jak podniosłe *Sursum corda.* Zasłużyłby się naszej literaturze i pracy społecznej, ktoby ją na polski język przełożył i zapoznał z nią szersze koła ludzi zacnej myśli i dobrej woli.

X. X.

ZAPISKI BIBLIOGRAFICZNE.

Mankietnicy i mankietnictwo. *Ks. K. J. Kantak.* (Głosy na czasie, nr. 21). Poznań 1910.

Jakkolwiek ruch maryawicki jest i pozostanie plamą w dziejach Kościoła polskiego, nie godzi się go zbywać milczeniem, lecz przeciwnie, należy się zbadać przynajmniej pierwszy okres jego dziejów, ponieważ całość niestety jeszcze nie należy do przeszłości. Będzie w tem zarazem i przyczynek do poznania współczesnych stosunków politycznych w Królestwie. To też z wielkiem zadowoleniem można powitać dziełko ks. Kantaka, który, jak sam powiada, podjął się »próby« opisania początków dziejów mankietników.

Próba ta, zdaniem naszem, wypadła bardzo pomyślnie. Opierając się na różnych materyałach źródłowych tak katolickich jak i maryawickich, oraz

i ustnych informacyach, uwzględniając przytem i nieliczną literaturę w tej kwestyi, podał autor najpierw krótko a treściwie historyę rozwoju mankietnictwa, szkoda tylko, że przytaczając niepochlebną charakterystykę »mateczki« oraz i niektórych księżymaryawitów z dziełka Dr. Barmarcina, nie objaśnia on, na jakiej podstawie Dr. B. oparł swój sąd. Chodzi bowiem o to, że w ten sposób postąpiwszy, ks. K. może się łatwo ze strony niektórych czytelników narazić na zarzut uprzedzenia do maryawitów i brak powagi w traktowaniu tak poważnej sprawy.

Następnie przedstawia autor opinię publiczną wobec mankietników i omawia przychylność rządu rosyjskiego dla tej sekty z racyi tej, że mankietnicy kładąc szczególnie nacisk na Boski charakter władzy państwowej, w czasie dążeń wolnościowych swą biernością wobec państwa dla niego pod każdym względem musieli się okazać pożytecznymi.

Ciekawy jest rozdział o ich nauce, ich stosunku do hierarchii Kościoła oraz stanowisku na polu dogmatycznem. Badając wreszcie genezę maryawityzmu, wskazuje autor na jego źródła: ogólne warunki polityczno-kulturalne, sposób wychowania duchowieństwa w Królestwie i wykolejenie się ascezy i mistycyzmu. Na pierwszy plan występuje, zdaniem ks. K., »mateczka«, która swym wpływem niezwykłym zasuggestyonowała swych zwolenników. Na zakończenie są podane dokumenty, tyczące się sprawy maryawickiej. *Ks. J. K.*

Dla przyszłości. Czytania dla młodzieży i dorosłych. *Sempołowska* i *Unszlicht-Bernszteinowa.*

Powyższe czytania ukazały się w 3 częściach, z których każda osobną całość stanowi, a przecież wszystkie trzy razem w harmonijną jedność zlewać się mają... Pierwsza więc dotyczy nas ludzi i przyrody, druga zapoznaje nas z religiami w życiu ludzkości, trzecia część rzuca szereg myśli odnośnie do wzajemnego stosunku ludzi między sobą. Myśl i plan dzieła są bardzo dobre, każdy bowiem człowiek pewien zasób wiadomości mieć powinien, takie więc »Czytania« podając wyimki zaczerpnięte z dzieł przeróżnych pisarzy i myślicieli a do najróżnorodniejszych gałęzi wiedzy i życia odnoszące się, wiele dobrego zrobić mogą, ułatwiając w sposób przyjemny zapoznanie się z wielu pojęciami. Jeżeli jednak z miłości dla drugiego ktoś tak żmudnej pracy podejmuje się, jak zestawienie podobnych »czytań«, to niech też będzie konsekwentnym, niech nie wszczepia jadu i goryczy, niech nie zatruwa myśli i szlachetnych porywów w serca trucizną zazdrości, gniewu, nienawiści... Trzeba by dzieło było szlachetnem na wskroś, a nie osłaniało płaszczykiem humanitarnego współczucia i litości — agitacyi socyalistycznej... Czytania bowiem powyższe są właściwie popularnym niejako wykładem teoryi socyalistycznej, apoteozą zbankrutowanej już dziś w kołach inteligencyi teoryi wolności ducha, ewolucyjnej etyki przyszłości i t. p. Dostaje się przytem naturalnie i wierze i Kościołowi i tym wszystkim czynnikom, które z wiarą i Kościołem harmonizują. Nie tu miejsce zwalczać teorye podawane, gdyż upadły one już dawno pod światłem prawdziwej, a więc rozumnej krytyki, żal mi tylko, że ta garstka ogarniętych szałem wielkości niedobitków ma sumienie dążyć do zatrucia jadem niewinnych dusz, a dla pokrywki wciąga w swe błoto urywki dzieł wielkich myślicieli.

Wszak Mickiewicz, Słowacki, Sienkiewicz nie zasługują chyba na to, by stanowić dekoracyę kreciej roboty nieuczciwych pisarków...

J. R.

O wychowaniu. Odczyty wygłoszone w r. 1908 w »Stowarzyszeniu Matek Chrześcijańskich« w Krakowie. Spółka Wyd. Polska w Krakowie. 1908.

Powyższa książka jest zebraniem kilku odczytów. Już tytuły pobieżnie przejrzane świadczą, że autorkom przyświęcała myśl zbożna, myśl uczciwej sanacyi stosunków, które na pozór świetne, rzadko bywają takiemi w istocie. »Odpowiedzialność matki pod względem religijnym«, »Odpowiedzialność matki pod względem obyczajowym«, »Odpowiedzialność matki wobec zdrowia w rodzinie«, »Praca jako czynnik uszlachetniający« i t. p., oto tytuły dowodzące, że weszło się na tor właściwy. Zamiast rozpraw długich na temat, co jest złe, czego nam brak, weszło się od razu *in medias res:* to czyń, to jest twoim obowiązkiem.

Szczupłe ramy sprawozdania nie pozwalają nam szeroko omawiać tego pięknego dzieła, nie można uczynić także i z tego powodu, że są one raczej migawkowem odbiciem jednej z chwil działania, a nie dziełem naukowem na głębokich studyach opartem. Pisane są jednak te referaty na podstawie przekonania, więc podają prawdę, a prawda to potężna, warta tego, by szerszy ogół czytelniczek z nią się zapoznał. Jak każda prawda jest ona prostą: »Macierzyństwo to urząd i służba Boża. A każdy urząd i służba nakładają obowiązki«. »Odpowiedzialność a obowiązek, są to nierozdzielne pojęcia...« »Kochanie kochaniu nierówne«. W macierzyństwie nie wolno kochać dziecka dla siebie, trzeba kochać dziecko dla dziecka«. »Tylko wierność i dokładność w wypełnianiu obowiązków uszlachetnia i podnosi«. Oto tło, na którem rozwijają autorki szereg wzniosłych i zdrowych myśli. Ta dążność ich podniesienia i uszlachetnienia ogniska domowego, starania się, by ognisko to było naprawdę szczerą i świętą ostoją ducha i stało się filarem odrodzenia się narodu, ta usilność w wyplenieniu wszelkich fałszywych poglądów, które, na pozór nieznaczne, niszczą krew i żywotność społeczeństwa, jednem słowem, ten zdrowy i rozsądny pogląd na świętość i ważną doniosłość wychowania domowego, rodzinnego, pogląd wsparty wcale wielką znajomością środków, każe z jednej strony uznać pełną szlachetności pracę tych pań i wyrazić nadzieję, że nie spoczną na laurach, lecz że przeświadczone o słuszności sprawy, w obronie której walczą, pracować będą dalej, by jak najrychlej urzeczywistnić chwilę, w której cnoty i zalety naszych dawnych matron polskich, przestaną być czemś rzadkiem, niezwykłem... Wtedy zaś i odrodzenia się naszego chwila blizką będzie.

J. R.

SPRAWOZDANIE Z RUCHU

religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

Katolicyzm a rząd rosyjski.

Wolność sumienia.

Zdawało się, że już przeszedł na świecie bezpowrotnie do historyi przymus religijny, kiedy Rosya, ostatnia z państw chrześcijańskich, ogłosiła u siebie lat temu sześć wolność wyznaniową. Ukaz cesarza Mikołaja II z dnia 17 kwietnia 1905 r. dawał możność obywatelowi państwa rosyjskiego, przynajmniej w zakresie wyznań chrześcijańskich, przyłączyć się do tego wyznania, do którego ciągnęły go przekonania i serce. Dla wielu katolików akt ten znaczył tyle, co edykt medyolański dla niedobitków Dyoklecyanowego prześladowania: dwieście tysięcy ludu czekało dziesiątki lat na ten akt, znosząc tymczasem srogie prześladowania za to, że sobie wiary ojców wydrzeć nie pozwalali. Spodziewano się i na przyszłość, że wolność wyboru wyznania będzie obywatelowi pozostawioną. Zasada ta znalazła swój wyraz i w konstytucyjnym manifeście z 17 października.

Jeśli jednak porównamy żywione wówczas nadzieje z rzeczywistością, na jaką dziś patrzymy, musimy przyznać, żeśmy się zawiedli. Wkrótce po tolerancyjnym ukazie zaczęto ze zdziwieniem patrzeć na sposób stosowania go w praktyce. Ciała prawodawcze miały przystąpić do szczegółowego wprowadzenia w ży-

cie »zasad tolerancyi«. Sześć lat mija i nic z tego nie widzimy. Projekty prawodawstwa wyznaniowego, nie odpowiadające zresztą nawet skromnym pojęciom wolności religijnej, przeszły przez Dumę, ale utknęły w Izbie wyższej. I sześć lat kierują praktyką tymczasowe przepisy i cyrkularze ministeryalne. Dziś można powiedzieć, że dzięki tym przepisom i cyrkularzom z »wielkiej karty« wolności religijnej pozostały strzępy.

Rozrywano ją stopniowo. Cesarz, pozwalając »prawosławnym« przechodzić na inne wyznania chrześcijańskie, nie wyjmował nikogo, tymczasem już w kilka miesięcy po ukazie jego synod prawosławny orzekł, że pozwolenie cesarskie nie może stosować się do wojskowych, gdyż odpadnięcie od prawosławia bezcześci chorągiew, pod którą służą. Ukaz tolerancyjny wymagał pełnoletności od porzucających wyznanie panujące, nie określając, jaką pełnoletność ma na względzie. Z początku interpretowano ten warunek w znaczeniu pełnoletności, wymaganej do zawarcia małżeństwa (18 i 16 lat), wkrótce jednak wyjaśniono, że należy rozumieć pełnoletność cywilną, t. j. wiek 21 lat dla obojga płci. Młodzieniec, czy dziewica, mogąca wybrać dozgonnego towarzysza życia, nie posiada prawa obrać dla siebie tego wyznania, w którego prawdę wierzy. Ukaz przewidywał, że przyjmujący inne wyznanie prawosławni rodzice mają prawo przyłączyć do obranego przez się wyznania i dzieci swoje do 14 lat wieku; dodano tylko: »jeśli o b o j e porzucają prawosławie«. Ten wyraz »oboje« dostarczył podstawy do wyjaśnienia, że ta licencya nie dotyczy wypadków, jeśli jedno z rodziców już dawniej należało do katolicyzmu, a drugie go przyjmuje, bo w takim wypadku nie »oboje« porzucają prawosławie. Następnie przejście z prawosławia na inne wyznanie obstawiono całym szeregiem formalności. Osoby, chcące wyjść z Kościoła urzędowego, muszą prosić o pozwolenie władzę administracyjną. Władza ta, otrzymawszy petycyę, zawiadamia o zamiarze proszącego władzę duchowną panującego wyznania, a ta ostatnia pociąga »delinkwenta« do tłumaczenia się z pobudek takiego kroku i czyni wysiłki, by go przy dawnej wierze utrzymać. W ciągu miesiąca mają być załatwione formalności i proszący ma dostać odnośny dokument,

w praktyce jednak dzieje się inaczej: władze najczęściej wcale na podane prośby nie odpowiadają, a biskupi katoliccy w takim razie są bezsilni. Nie potrzeba dodawać, ile moralnych katuszy musi przejść biedny petent, zmuszony słuchać morałów duchownego tego wyznania, od którego sercem już się oddalił. W okolicach, gdzie się odbywa zaciekła walka przeciw katolicyzmowi, duchowieństwo prawosławne używa w takich razach obietnic i terroru, by odwieść petenta od zamiaru. Niekiedy z pomocą policyi osiąga to, że petent cofa wniesione podanie. Przytem, jeśli się okaże, że na proszącego wpływał kapłan katolicki, lub pomagał w sporządzeniu prośby, wystarcza to, by takiego kapłana ścigać drogą sądową za »sowraszczenie«, przestępstwo, które nie posiada nawet nazwy w innych językach. Trzeba bowiem wiedzieć, że pomimo ukazu tolerancyjnego, prozelityzm jest wyłącznym przywilejem wyznania panującego. Katolicy nie tylko nie mają prawa apostołowania wśród innych wyznań, a zwłaszcza prawosławnego, lecz nie mogą przyjmować do swego Kościoła nawet dobrowolnie zgłaszających się żydów, bez uzyskania osobnego na każdy raz zezwolenia ministra spraw wewnętrznych. Aby uniknąć tych wszystkich trudności, niektóre majętniejsze osoby udawały się za granicę dla przyjęcia katolicyzmu. Wkrótce jednak konsulaty rosyjskie (przynajmniej lwowski) zaczęły odmawiać legalizacyi aktów zmiany wyznania, dopatrując się obrazy prawosławia w wyrazie »schizma«, a obecnie wogóle takie akty odrzucają, chociażby one owego obraźliwego wyrazu nie mieściły w sobie. Widzimy więc nowe ograniczenie w możności wyboru wyznania nawet poza granicami państwa. Tolerancyjny ukaz wyraźnie obiecywał, że zmiana prawosławnego wyznania na inne nie pociąga za sobą żadnych ograniczeń w osobistych i cywilnych prawach, w rzeczywistości jednak osoby, pozostające na rządowej służbie lub w jakikolwiek sposób od rządu zależne, pozbawionemi zostały możności porzucenia prawosławia, żeby nie utracić kawałka chleba; pretekst do szykan łatwo się znajdzie. Wiemy o wypadkach, że żandarmerya poufnie ostrzegała zamierzających zmienić wyznanie, iż źle na tem wyjdą i celu dopięła. Dzieci z mieszanych małżeństw po dawnemu muszą być chrzczone w cerkwi urzędowej i do niej należeć, choćby przeciwną

temu była wola obojga rodziców. Do tego zobowiązać się muszą oblubieńcy na piśmie w przeddzień ślubu, który również odbyć się musi w cerkwi prawosławnej. Wobec takich warunków Kościół katolicki nie może udzielić dyspensy stronie katolickiej, ani małżeństwa pobłogosławić, co znowu w myśl dekretu *Ne temere* pociąga za sobą nieważność małżeństwa wobec prawa katolickiego. Liczba takich małżeństw nieważnych rośnie z dnia na dzień.

Wobec obstawienia konwersyi na katolicyzm tylu formalnościami i trudnościami, musiały być próby obejścia lub przekroczenia tego przepisu. Z tego powodu wytoczono setki procesów sądowych kapłanom katolickim, winnym jużto przyjęcia na łono Kościoła prawosławnych przed osiągnięciem pełnoletności lub przed upływem miesięcznego terminu od dnia podania prośby, lub po upływie ale bez pozwolenia władzy, jużto udzielenia chrztu niemowlętom z małżeństw mieszanych lub dania ślubu mieszanego. W dużej liczbie tych spraw zapadły już wyroki, w innych są oczekiwane: kapłani winni wyliczonych przestępstw okładani są grzywnami, dochodzącemi do 300 rubli i zawieszeniem w urzędzie na czas od trzech do sześciu miesięcy. Parafie w takich razach pozostają bez pasterzy. Rodzice, z których jedno jest prawosławnem, za ochrzczenie dziecka w kościele skazywani są na więzienie w twierdzy. Tak wygląda wolność sumienia w Rosyi w szóstym roku po wydaniu tolerancyjnego ukazu.

Zewnętrzny kult.

W dziedzinie zewnętrznych objawów kultu katolickiego trzeba zanotować rozliczne utrudnienia w urządzaniu religijnych procesyi, pielgrzymek zbiorowych do miejsc świętych, wogóle nabożeństw na zewnątrz Kościoła. Stosuje się to przedewszystkiem do tych części państwa, gdzie katolicy mieszkają pomieszani z prawosławnymi. Takie objawy, jak orkiestry na procesyach, jak używanie chorągwi nie już patryotycznych ale cechowych, a nawet kolorów papieskich, uważane są za przekroczenia i administracyjnie karane. Ważniejszą jest sprawa tworzenia nowych parafii i budowy kościołów. Sprawiedliwość trzeba oddać rządowi, że pod tym względem nie robi tylu trudności, co dawniej, atoli i obecnie daleko do zupełnej wolności. Do roz-

poczęcia budowy Kościoła rząd wymaga, żeby połowa funduszu była już złożoną. Niekiedy inne dodaje ograniczenia. Oto np. pozwala na zbieranie ofiar na budowę kościoła w Opolu na Podlasiu, lecz zastrzega, że wolno je zbierać tylko w obrębie parafii, a poza nią dopiero w innych guberniach, nie zaś w gubernii siedleckiej i lubelskiej, t. j. wyjmuje właśnie kraj, w którym Opole się znajduje. W latach prześladowania Kościoła zabrano katolikom setki świątyń, z których jedne zburzono albo obrócono do świeckiego użytku, inne oddano na cele kultu cerkwi urzędowej. Po tolerancyjnym ukazie postawiono zasadę możności zwrócenia tych świątyń za zgodą ciał prawodawczych. Niestety cerkiew panująca pospieszyła zaraz zająć i poświęcić dla swego użytku kościoły dotąd przez nią nie zużytkowane, by uniemożliwić zwrot ich katolikom; panuje bowiem zasada, że budynki raz obrócone na świątynię prawosławną oddane być nie mogą; poczytywanoby to za profanacyę świętości prawosławnej. Takie wypadki były w Uszaczu na Białejrusi i w Opolu na Podlasiu. Gdzieindziej burzono pospiesznie stare gmachy, by się katolikom nie dostały. Objazdom dyecezyi przez biskupów rząd nie czyni zasadniczych trudności, jak dawniej. Lecz w rzeczy samej wizytacye te, zwłaszcza w okolicach o ludności mieszanej, połączone są z wielu niebezpieczeństwami. Lud wierny, który w wielu miejscowościach od kilku dziesiątek lat nie widział pasterza, pragnie dać wyraz swemu entuzyazmowi i swojej wierze przez uroczyste przyjęcie biskupa. Tymczasem takie manifestacye, jak spotykanie biskupa przez konne banderye, jak ozdabianie gmachów chorągwiami o barwach papieskich i t. p. są brane przez administracyę za objawy polskiego patryotyzmu i surowo karane. Dziwna rzecz, że rząd za podobne manifestacye czyni odpowiedzialnym i biskupa. W jesieni 1910 r. padł ofiarą surowości rządu biskup Cieplak, objeżdżający skasowaną dyecezyę mińską. Pozbawiono go niektórych godności i większej części utrzymania.

Zakony i bractwa.

Po 1864 roku w całem państwie pozostało zaledwie kilkanaście klasztorów katolickich, skazanych jeśli nie *de iure*, to *de facto* na zupełną zagładę. Zamykano też je w miarę

jak wymierali ich mieszkańcy. Po ukazie tolerancyjnym zadecydowano nie zamykać pozostałych jeszcze kilku klasztorów, przyjmowanie jednak nowicyuszów tylu utrudniono wymaganiami, że faktycznie trudno liczyć na odrodzenie życia zakonnego. Kandydat ma mieć wieku lat 24, być wolnym od wojskowości i być prawomyślnym politycznie. Zezwolenie na każdorazowe wstąpienie do nowicyatu zależy od centralnych władz rządowych. Nauki teologiczne klerycy zakonni muszą pobierać w seminaryach dyecezyalnych na równi z klerykami świeckimi. Wszelki związek klasztorów między sobą lub z władzami zakonnemi zupełnie zerwany, poddane są one jurysdykcyi biskupiej, a jeszcze więcej nadzorowi rządu. W chwilach względnej wolności pozwolono paru zgromadzeniom zakonnym zagranicznym, męskim i żeńskim, osiedlić się w Królestwie Polskiem, obecnie cofa rząd i te pozwolenia. W maju 1910 r. musieli opuścić Warszawę OO. Redemptoryści, a w jesieni OO. Franciszkanie usunąć się z Łagiewnik pod Łodzią, pomimo usilnych próśb ze strony społeczeństwa, a nawet Rzymu. Obcy zakonnicy po upływie 3-letniego pobytu, muszą opuścić państwo, bo są obcymi poddanymi, o rosyjskie zaś poddaństwo starać się nie mogą, bo jeszcze nie mieszkali w Rosyi 5 lat! Tegoż losu oczekują nieliczne zakonnice, przybyłe z zagranicy. Cofnięto również pozwolenia na przyjazd zagranicznych zakonników na misye ludowe, co się praktykowało w latach 1906—1907. O Jezuitach niema co mówić. Od r. 1820 nie mają oni prawa wjazdu do Rosyi choćby pojedynczo i na czas krótki. Prawdopodobnie nie czem innem, jak obawą, by się nie przekradli do Rosyi zakonnicy, a zwłaszcza Jezuici, tłumaczyć można fakty odmowy przez rząd zezwolenia na sprowadzenie obcych księży dla obsługi katolików obcych narodowości. Taki fakt miał miejsce przed 2 laty, kiedy chodziło o sprowadzenie księdza Niemca dla kolonistów niemieckich w kraju Turgajskim na Syberyi, pozbawionych obsługi duchownej przez długie lata. Fakt ten nie jest odosobniony. Wogóle wjazd do Rosyi obcym księżom, choćby na czas krótki, bywa utrudniany. O pozwolenie musi się starać taki ksiądz aż w Petersburgu. Zdaje się w całym świecie Rosya jest dzisiaj jedynym krajem, gdzie obcy obywatele, jeśli są kapłanami,

pozbawieni są zwykłego, wszystkim przysługującego prawa gościnności. OO. Dominikanom, starającym się o założenie klasztoru w Petersburgu, kategorycznie odmówiono zezwolenia, choć za nimi wstawiał się książę Maksymilian Saski. Zamknięcie klasztorów wywołało powstawanie pewnych zrzeszeń, zwłaszcza kobiecych, na podstawie III reguły św. Franciszka, oddających się pracy wspólnej i modlitwie, atoli bez koniecznych elementów właściwych zakonów i bez jakichkolwiek zewnętrznych oznak zakonnych. Co z punktu widzenia prawa świeckiego można było mieć przeciwko temu? Jakiż powód można było znaleźć do zabronienia np. kilku szwaczkom mieszkać razem, pracować wspólnie i modlić się więcej, niż to czynią inni katolicy? Atoli w ostatnich czasach gazety przynoszą wieści o obławach, urządzanych na te »ukryte klasztory«. Domowy ołtarzyk, czy inny przedmiot liturgicznego kultu wystarcza do przekonania policyi, że natrafiła na »klasztor«. Rewizyi dokonywano w Kamieńcu, Żytomierzu, Kijowie, może i gdzieindziej. Pomagają w odkrywaniu owych »klasztorów« swemi denuncyacyami duchowni prawosławni, nie wyłączając biskupów (Antoniusz Wołyński). Życie pobożne na wzór zakonnego, ale bez bliższej kontroli ze strony władz kościelnych musiało prowadzić do wielu niepożądanych objawów i nadużyć. Wiadomo, że stąd zrodziła się sekta Maryawitów. Nic dziwnego, że władza duchowna chciała wglądnąć w tę sprawę i unormować stosunki, korzystała wszak ze swego prawa normowania form pobożności katolickiej. Jeden z biskupów wydał w tym względzie swoje rozporządzenie do podwładnego duchowieństwa. Ministeryum spraw wewnętrznych jednak uznało ten akt za nieprawny ze względu na to, że same kółka tercyarskie nielegalnie istnieją. Do wszytkich biskupów rozesłany został cyrkularz przestrzegający ich przed wydawaniem podobnych aktów. Dodać należy, że jeśli się wcale nie starano o legalizacyę podobnych związków i wogóle bractw kościelnych, to tylko dlatego, że nie miano żadnej nadziei, by ministeryum przychyliło się do podobnych próśb.

Karność kościelna.

Siłą Kościoła katolickiego jest karność w szeregach duchowieństwa, spoistość niższego kleru z biskupami. Rząd rosyjski nie pominął bez uwagi tej karności. Przed dwoma niespełna laty wyszło rozporządzenie ministerstwa spraw wewnętrznych, wyjaśniające, że rząd ma prawo zwracać się z żądaniami i poleceniami wprost do kleru parafialnego, a ten na przyszłość nie będzie mógł zasłaniać się przed spełnieniem żądań rządowych brakiem instrukcyi od władzy dyecezyalnej. Łatwo domyśleć się, jakie niebezpieczeństwo grozi Kościołowi, gdyby rząd z orzeczenia swojego zrobił system i chciał je zastosować w jakiejś ważniejszej na niekorzyść Kościoła sprawie. Interwencya rządu w sprawie obsadzania probostw, mianowania i przenoszenia księży idzie bardzo daleko. Wyjąwszy tranzlokaty niższego kleru, wszelkie inne zmiany dokonywane być mogą tylko po uprzedniem zezwoleniu władz rządowych. Najdotkliwiej czuć się daje pewien punkt »tymczasowych« przepisów o zmianach duchowieństwa katolickiego, wydanych już po ukazie tolerancyjnym. Oto powiedziano tam, że w razie jeśli jakiś ksiądz nie odpowiada widokom rządu, ministerstwo proponuje biskupowi usunąć go od obowiązków lub przenieść gdzieindziej. Jeśli biskup nie spełni propozycyi rządu, ministerstwo samo użyje swoich środków ku usunięciu niepożądanego księdza. Ten punkt jest ustawicznie stosowany. Obok pociągania kapłanów do odpowiedzialności sądowej za wiele czynności, wypływających z ich kapłańskiego sumienia, administracya ucieka się do usuwania księży z parafii przez biskupów. Ci ostatni są często w niezmiernie drażliwem położeniu. Oto na przykład otrzymują żądanie ministra o usunięcie księdza »za szerzenie zasad katolickich wśród ludności prawosławnej«, lub »za przyjęcie nielegalne na łono Kościoła« i t. d., i zwykle tym żądaniom czynią zadość, by nie wywoływać użycia siły — i by tak ukaranemu księdzu módz zapewnić inne, choćby gorsze miejsce. Oczywista, że ta rola choćby poniewolnych wykonawców życzeń rządowych, spełniana przez biskupów, działa deprymująco na słabsze jednostki z pośród kleru i na lud, widzący spadające na księży gorliwych biskupie kary. Po zniesieniu przez rząd prawa patronatu, beneficya parafialne w Rosyi tylko bardzo rzadko są obsadzane kanonicznie.

Prawie zawsze probostwa dostają tylko administratorów, których biskupi przenoszą choćby bez ich zgody, ilekroć uważają to dla dobra Kościoła za pożyteczne. Stąd nieznana w innych krajach coroczna liczba tranzlokat rządców parafii. W takich rozległych dyecezyach, jak mohylewska lub tyraspolska, tranzlokaty te stają się tem uciążliwsze dla kleru. Wyobraźmy sobie tranzlokatę księdza z gubernii nadbałtyckich nad Ocean Spokojny! Dekret Ojca św. Piusa X, *Maxima cura,* z dnia 20 sierpnia 1910 r., obowiązujący cały Kościół, o ile w innych krajach ułatwiał biskupom administracyjne usuwanie proboszczów, o tyle w Rosyi, przeciwnie, mógłby zapobiedz zbyt częstym przenoszeniom rządców parafii. Tenże dekret stoi na przeszkodzie i usuwaniu księży przez biskupów na żądanie rządu bez żadnych powodów kanonicznych. Niżej powiemy o niedopuszczeniu tego dekretu przez rząd. Zaznaczamy jeszcze jeden szczegół z zarządu kościelnego. Oto korespondencya władz duchownych nie tylko z władzami świeckiemi, ale i pomiędzy sobą, np. między biskupem i podwładnym mu klerem, o ile nie dotyczy rzeczy ściśle duchownych, jak dyspens, musi być prowadzoną w języku rosyjskim nawet w czysto polskich dyecezyach Królestwa Polskiego. Senatorska rewizya Neudhardta, obok nadużyć w intendanturze wojskowej, zwróciła uwagę i na ten szczegół. Rewidowano konsystorze, by się przekonać, w jakim języku prowadzi się ich biurowość. Zresztą nic dziwnego, jeśli się to zestawi z dochodzeniem senatora Neudhardta, w jakim języku prowadzą w Warszawie obrady, nieliczne zresztą, kościelne, np. różańcowe, bractwa.

Placetum regium.

Jednym z najdrażliwszych punktów przy układach Stolicy św. z rządem rosyjskim był zawsze stosunek tegoż rządu do dekretów papieskich. W prawie państwowem rosyjskiem istnieje paragraf, mocą którego tylko te akty papieskie uzyskują w Rosyi znaczenie, które ogłoszonemi zostały za zezwoleniem cesarskiem po uprzedniem przekonaniu się, że nie stoją w sprzeczności z żadnym paragrafem prawa świeckiego. Na *placetum regium* Stolica św. oczywiście zgodzić się nie mogła i w układach ten punkt pomijano milczeniem. W praktyce jednak *placetum*

istniało. Dekrety, bulle, encykliki papieskie otrzymywał w Rzymie, rzekomo dla przesłania biskupom katolickim, minister-rezydent rosyjski, doręczane zaś były po uprzedniej rewizyi i zezwoleniu cesarskiem. Kiedy dekretem Ojca św. Piusa X, *Promulgandi*, z dnia 3 października 1908 r., ustanowiony został nowy sposób promulgacyi dekretów Stolicy świętej przez samo umieszczanie ich w zbiorze *Acta Apostolicae Sedis*, zaprzestano w Rzymie doręczać akty papieskie, obowiązujące cały Kościół, agentowi rosyjskiemu, a biskupi poczęli stosować nowe dekrety po odczytaniu ich w *Acta Ap. Sedis*. Ta zmiana wywołała konflikt. Przed kilku tygodniami minister Stołypin rozesłał do biskupów cyrkularz, w którym oznajmia, że promulgowane w ten sposób akty papieskie powinny być uznawane w Imperyum za nieistniejące i że osoby duchowne wyznania katolickiego, któreby wprowadzały w praktykę nie usankcyonowane według porządku przez rząd ustanowionego akty, niechybnie podlegną surowej odpowiedzialności, jako gwałciciele prawa. W szczególności wymienionemi zostały ostatnie dekrety Stolicy św. przeciwko modernistom i dekret *Maxima cura* o usuwaniu proboszczów. Z tego powodu czytaliśmy już depesze o zabronieniu przez rząd przysięgi antymodernistycznej w dyecezyi lubelskiej. Dodać trzeba, że i *placetum regium* nie zawsze może służyć za gwarancyę, że w wykonaniu dekretu papieskiego nie napotka się na przeszkodę ze strony rządu. Dekret *Ne temere* o małżeństwie uzyskał *placet* cesarskie i przez ministerstwo był bez zastrzeżeń rozesłany biskupom, a mimo to, kiedy na podstawie jego poczęto mówić o nieważności małżeństw mieszanych, zawartych tylko w cerkwi urzędowej, to toż samo ministerstwo okólnikiem z dnia 29 kwietnia 1910 r. obwieściło, że dekret ów może być stosowanym tylko w tych punktach, w których nie sprzeciwia się prawu świeckiemu.

Z powyższego pobieżnego szkicu stosunku rządu rosyjskiego do katolicyzmu, widzimy, jak daleko w Rosyi do prawdziwej wolności wyznaniowej. W postępowaniu rządu znać pewien system, system wypływający z odwiecznych tradycyi. Sprawy Kościoła katolickiego, zaliczonego do »wyznań zagranicznych«, skupione są

w ministeryum spraw wewnętrznych, a właściwie w jego wydziale dla zagranicznych wyznań. Zależą zatem od p. Stołypina i jego pomocnika, dyrektora departamentu. Osobiście p. Stołypinowi może i nie można zarzucić braku wszelkiego poczucia wolności religijnej, lecz ulega on parciu z prawej strony, która pod pretekstem obrony religii panującej dąży do swoich celów partyjnych. Dla niej p. Stołypin robi ofiarę z resztek swego liberalizmu, byleby się utrzymać przy władzy i dłużej »zbawiać ojczyznę«. System, stosowany względem Kościoła katolickiego, dąży widocznie do uczynienia z tegoż Kościoła niewolniczego narzędzia machiny państwowej. Oporu żadnego nie znosi. Biskup wileński, baron Ropp, który w kilku szczegółach sprzeciwiał się mu, czwarty rok spędza na wygnaniu, a katedra pozostaje bez pasterza. System ten stawia i przeprowadza zasadę zupełnej supremacyi prawa świeckiego nad kościelnem, zasadę dyametralnie sprzeczną z dogmatyczną nauką o istocie i prawach Kościoła. Słowem jest to ciągłe ujarzmianie Kościoła, ustawiczny choć cichy »kulturkampf«. Z tej cichej, ale zaciętej walki poprowadzi ku zwycięstwu Kościoła jedynie ścisła solidarność duchowieństwa z biskupami, a biskupów między sobą w obronie niewzruszonych zasad katolickich.

X. T. J.

Notatki astronomiczne.

Widzieliśmy, że badanie ciał niebieskich naszego systemu planetarnego, jak na przykład Marsa [1], niejeden jeszcze nowy szczegół przynieść może, i nie możemy uważać tej części astronomii za naukę już ukończoną, mimo dokładne badania i coraz dokładniejsze przyrządy, które rozum ludzki wynajduje do rozszerzenia zakresu poznania, jakie mu dają zmysły.

Gdy chodzi zaś o astronomię gwiazd, musimy przyznać, że nauka ta znajduje się dopiero w swych pierwszych początkach. I tu ostatnie dziesiątki lat przyniosły wiele nowych zdobyczy lub hipotez, ale

[1] Pr. *Przegląd Powszechny*, październik 1910.

wszystkie jeszcze albo bardzo problematyczne, albo nie oparte na dość długich obserwacyach, by mogły się cieszyć względną przynajmniej pewnością. Oczywiście materyał zbyt obszerny, by badania jednostek lub lat kilku mogły przynieść znaczne rezultaty. Niemniej jednak i katalogowanie gwiazd, przedsiębrane systematycznie już od dość dawna i metody statystyczne, oparte na zasadach rachunku prawdopodobieństwa, niejedną już korzyść przyniosły.

Zaglądając z blizka w te prace i hipotezy, możemy z pewnem niedowierzaniem potrząsać głową pytając się, czy wyniki tych kombinacyi mogą nam względną przynajmniej dać pewność. Warto jednak choć okiem rzucić na te prace, by poznać obecny stan wiedzy w tym względzie, mając zawsze przed oczyma fakt, że tu chodzi tylko o hipotezy i wiedzę zapoczątkowaną, nie roszczącą sobie bynajmniej pretensyi do pewności.

Musimy sobie naprzód przypomnieć dawniejsze zdobycze na tem polu. Wiadomo dobrze, że gwiazdy, zwane już od starożytności stałemi, nie zasługują bynajmniej, przynajmniej w znaczniejszej swej części, na to miano. Prócz ruchu pozornego skutkiem precesyi [1], mają jeszcze gwiazdy ruchy swoje własne, bo dla różnych gwiazd różne i najrozmaiciej skierowane. Ruchy te są przeważnie bardzo małe, bo liczące zaledwie rocznie kilka sekund łukowych lub nawet tylko część sekundy dla gwiazd, których ruchy zaliczają się do większych. Wobec drobnych ruchów tych nie dziw, że starożytni, którzy nie mieli takich środków do dokładnego oznaczenia miejsca gwiazd, jakie my posiadamy, nie podejrzywali nawet tego ruchu gwiazd i nazwali je stałemi.

Dopiero Halley, porównawszy 1718 r. obserwacye współczesne z katalogiem gwiazd, podanym przez Ptolomeusza w swym Almageście, a pochodzącym prawdopodobnie jeszcze od Hipparcha, gdzie tysiąc przeszło gwiazd skatalogowanych według wielkości i położenia swego na niebie, doszedł do wniosku, że miejsce kilku gwiazd znacznie się zmieniło. Tak na przykład spostrzegł, że Aldebaran (α Tauri) przeprzesunął się o $^1/_5$ średnicy księżyca, Syryusz nawet o $1\,^1/_2$ tej średnicy, a jeszcze nieco więcej Arkturus. Spostrzeżenie tego zasłużonego astronoma, którego imię tyle razy w roku ubiegłym obijało się o nasze uszy, pobudziło innych do dokładniejszych badań. Nie są to

[1] Precesyą zowiemy ruch wsteczny punktu wiosennego po ekliptyce spowodowany powolną zmianą kierunku osi ziemskiej, która wykonywa jeden obrót w dwudziestu kilku tysiącach lat.

badania bynajmniej łatwe, bo jakeśmy wspomnieli ruch gwiazd nadzwyczaj jest powolny, co oczywiście jest skutkiem znacznej ich odległości. Dość wspomnieć, że ruch najszybszy ma gwiazdeczka na południowem sklepieniu niebios, za mała, by ją można gołem okiem zobaczyć, a i ta przebiega zaledwie w dwustu latach drogę pozorną mniej więcej równą średnicy tarczy księżyca. A jest to już ruch nadzwyczaj wielki w porównaniu z innymi.

Dziś znamy jednak z dość wielką dokładnością ruchy wielu gwiazd. Tak podaje Kobold w swem ostatniem dziele[1] katalog 300 gwiazd, których ruchy wynoszą więcej niż $^1/_2$ sekundy na rok czyli od 1 do 15 minut łukowych na stulecie, a takie przesunięcia za pomocą dzisiejszych środków dadzą się już stwierdzić i z dostateczną dokładnością wymierzyć.

Katalog ruchu kilkuset gwiazd lub nawet kilku tysięcy wobec pół miliona lub więcej jeszcze gwiazd dostrzegalnych przez średniej siły teleskop to bardzo mało jeszcze. Oczywiście, że astronomowie późniejszych czasów o wiele większy materyał mieć będą. Dziś bowiem rozdzieliły znaczniejsze obserwatorya katalogowanie gwiazd między siebie i każde poświęca przynajmniej jeden teleskop na to, by badać część nieba, jaka mu w udziale przypadła, i z dokładnością, na jaką tylko dziś stać, oznaczyć miejsce wszystkich gwiazd dostrzegalnych przez teleskop. Powtarzając te obserwacye na przykład za jakie pół wieku będą mogli astronomowie znacznie rozszerzyć katalog ruchów gwiazdowych i może wtedy zmienią się zapatrywania dziś istniejące. Niemniej już tych kilkaset gwiazd wystarczy, by na podstawie pewnych hipotez dojść do prawdopodobnych przynajmniej wniosków. Skoro gwiazdy, które uważano za stałe, także się ruszają, oczywiście zaraz nasunąć się musiało pytanie, jakie są te ruchy, czy nie dadzą się całkowicie lub częściowo wytłumaczyć ruchem całego naszego systemu czyli słońca wraz z wszystkiemi planetami względem gwiazd.

Pytanie zdaje się dość proste, a jednak nie tak łatwo na nie znaleźć odpowiedź. Wchodzi tu przedewszystkiem w grę kwestya względności tego ruchu, jak się wyrażają astronomowie. Oczywiście bowiem, czy słońce porusza się wraz z planetami w jednym kierunku, czy gwiazdy wszystkie w przeciwnym a słońce jest nieruchome, kwestyi tej z samych ruchów gwiazd rozstrzygnąć nie można, nie mamy bowiem żadnego punktu oparcia, którybyśmy mogli uważać za nie-

[1] *Der Bau des Fixsternenhimmels.* Braunschweig 1906.

ruchomy. Jedynie ze względu na tak drobne rozmiary naszego systemu całego wobec olbrzymiego świata gwiazdowego mówi się zwyczajnie o ruchu słońca w stosunku do średniego położenia wszystkich gwiazd.

By odpowiedzieć na to pytanie, czy istnieje i jaki jest ten ruch słońca, nie można było się obejść bez pewnych założeń po części dowolnych, jak się później okazało. Pierwszy zajął się tą kwestyą niemiecki astronom Herschel na początku zeszłego wieku, a do rozwiązania tego problemu opierał się na zasadzie, że kierunek ruchu gwiazd musi być najrozmaitszy wobec przypadkowości tych ruchów.

Wyobraźmy sobie rój muszek, krążących koło głowy naszej w pogodny wieczór letni, gdy się przechadzamy, by użyć chłodu wieczornego. Muszki latają w najrozmaitszych kierunkach, ich ruchy są bezładne i chaotyczne, a jednak gdybyśmy sobie zadali trud, co w praktyce byłoby prawie niemożliwe, wziąć średnią z tych wszystkich ruchów bezładnych, musiałby ten ruch średni wypaść w kierunku naszego chodu, skoro cały rój za nami się posuwa. To samo zastosował Herschel do ruchu gwiazd.

Kierunek uprzywilejowany niejako wśród bezładnego ruchu gwiazd dać nam może wskazówkę co do ruchu całego naszego systemu. Jeżeli się posuwamy wraz z słońcem i z innemi planetami w jednym kierunku, zdawać się nam będzie, że gwiazdy w przeciwnym kierunku od nas uciekają. Tak znalazł Herschel drogą rysunku, bo matematyka za jego czasów nie mogła jeszcze sprostać takim zadaniom, kierunek, zmierzający do konstelacyi Herkulesa, jako kierunek ruchu słońca.

Późniejsze badania i obliczenia, zależnie od materyału, jakim się posługiwano i od podstawowych hipotez, na których się opierano, doprowadziły innych do różnych nieco wyników. Kobold podaje we wzmiankowanem dziele mapkę wskazującą na wyniki obliczeń różnych autorów. Ostatnie wszystkie prawie niewiele się różnią od siebie, bo wskazują na różne punkty około konstelacyi lutni, blizkiej gwiazdozbioru Herkulesa. Uważają dziś tę kwestyę za załatwioną w głównym przynajmniej zarysie, choć jej rozstrzygnięcie zależy i od drugiego pytania, które się w ostatnich latach wyłoniło.

Dalsze badania doprowadziły bowiem do zaprzeczenia samego podstawowego założenia Herschla, że ruchy gwiazd są przypadkowe i nie wykazują żadnego uprzywilejowanego kierunku. Wydaje się nam dziś nawet dziwnem, dlaczego od samego początku nie starano się zbadać, czy hipoteza zgadza się z rzeczywistością. Początkowo jednak wobec niewielu danych co do ruchów gwiazd badania takie nie byłyby

dały pozytywnego rezultatu, zwłaszcza że się nie spodziewano w zawiłych ruchach tylu gwiazd prostej prawidłowości, którąby się stosunkowo łatwo dała wykryć.

Dziś wiemy przedewszystkiem, co już Besslowi wpadło w oczy, że istnieją całe gromady gwiazd, zazwyczaj blizkie siebie, które mają jednaki ruch. Tak na przykład cała grupa plejad, a nawet pięć gwiazd konstelacyi wielkiej niedźwiedzicy razem z Syryuszem mają ruch jednakowy, coby się dziwnem wydawać mogło wobec stosunkowo znacznej odległości tych gwiazd od siebie na sklepieniu niebieskiem.

Biorąc jednak pod uwagę większą ilość gwiazd, prądy takie z kilku gwiazd złożone nie mają wielkiego wpływu na wykrycie ogólniejszych prawidłowości. Prawidłowość tę wykryli astronomowie w ostatnich latach, rozróżniając dwa główne prądy gwiazd, których prędkości są do siebie w stosunku 2:3, a tworzą ze sobą kąt nieco rozwarty, około 110^0, co oczywiście niema znaczenia bezwzględnego, bo zależy tylko od naszego punktu widzenia, od położenia systemu słonecznego. W połowie mniej więcej obserwowane dotąd gwiazdy należą do jednego i do drugiego prądu, które wzajemnie się przenikają, bo nie spostrzeżono żadnej różnicy w odległości gwiazd jednego i drugiego prądu.

Jak można było dojść do takiego wniosku, świadczącego o pewnej prawidłowości w domniemanym chaosie ruchów gwiazdowych?

Przypuszczając, jak to dawniej czyniono, że gwiazdowe ruchy są wszystkie przypadkowe i najrozmaiciej skierowane, że nadto nasz system słoneczny porusza się w pewnym kierunku, powiedzmy ku północy, musielibyśmy w ruchach gwiazd dostrzedz predylekcyę dla ruchów przeciwnych ku południowi. Oznaczając więc sumę ruchów wszystkich gwiazd w pewnym kierunku przez odcinki odpowiedniej długości, otrzymalibyśmy największy odcinek skierowany ku południowi, najmniejszy zaś skierowany ku północy, bo ruchy północne znosić się muszą w większej części przynajmniej z ruchem naszego systemu. Otrzymalibyśmy więc, mówiąc językiem matematycznym, jedno *maximum* ruchów w kierunku południowym, *minimum* w kierunku północnym, a między nimi mniej więcej równomiernie rozmieszczone ruchy coraz mniejsze idąc od południa do północy w jedną i w drugą stronę. Takby być powinno, gdyby gwiazdy miały rzeczywiście ruchy przypadkowe, bez żadnej prawidłowości.

Tymczasem znaleziono inne zupełnie warunki. *Minimum* ruchu gwiazd nie jest bynajmniej w kierunku dyametralnie przeciwnym do

kierunku najliczniejszych i największych ruchów. Nadto maleją ruchy gwiazd w różnych kierunkach nie tak równomiernie, jakby tego wymagała pierwotna hipoteza, owszem okazuje się wyraźnie drugorzędne jeszcze *maximum* w innym kierunku. Skutkiem takiego ukształtowania ruchów i tych dwu *maximów* widzimy, że gwiazdy mają predylekcyę do ruchów w dwu kierunkach, stąd dojść można do wniosku o dwu prądach wypowiedzianego wyżej.

W każdym razie wynika choćby z tego pobieżnego przedstawienia rzeczy, że pierwotna hipoteza o zupełnej przypadkowości ruchów gwiazdowych nie zgadza się z obserwacyą. Tymczasem zakładając dwa prądy takie, o jakich mówiliśmy wyżej, można było dojść do wniosków, z wielkiem przybliżeniem odpowiadających rzeczywistości, a które w pierwszym rzędzie zawdzięczamy holenderskiemu astromowi Kapteynowi.

Gdy postaramy się usunąć względność naszych spostrzerzeń, spowodowaną naszym punktem widzenia z systemu słonecznego, zostanie jedna oś jako droga, po której poruszają się gwiazdy w jednym lub drugim kierunku. Profesor z Getyngi Schwarzschild wykazał nawet, że cały ten system ruchów dałby się przedstawić jako »rozmieszczenie sferoidalne prędkości«, nad czem zastanawiać się bliżej nie będziemy. Ciekawym jednak jest ten fakt, że oś przedstawiająca kierunek ruchu przypada dokładnie w płaszczyźnie drogi mlecznej, co okazuje, że gwiazdy mają pewną dążność do skupiania się w tym pierścieniu.

W blizkim związku z tym faktem stoi inna kwestya, która zajmowała fachowych od niejakiego czasu, mianowicie rozmieszczenie gwiazd w przestrzeni. Oczywiście najłatwiejby było dojść do pewnych rezultatów, gdyby wiadomą była odległość gwiazd od nas. Tymczasem mimo szczegółowe badania udało się tylko dla bardzo niewielu gwiazd oznaczyć paralaksę [1]. Kobold podaję w wyżej przytoczonem dziele zaledwie 56 gwiazd, których paralaksę z dostatecznem przybliżeniem oznaczono, żadna z nich nie dosięga nawet całej sekundy kątowej.

Wobec tego, że paralaksy gwiazd tak małe, zrozumieć można, jak trudne a raczej niemożliwe jest bezpośrednie ich wymierzenie.

---

[1] Wiadomo, że paralaksą gwiazdy zowiemy kąt, pod którym widaćby było średnicę orbity ziemskiej z owej gwiazdy; znając paralaksę można prostym rachunkiem trygonometrycznym wyliczyć jej odległość.

Trzebaby bowiem oznaczyć z dokładnością do dziesiątej lub nawet setnej części sekundy jej położenie na niebie w dwu punktach drogi ziemskiej dyametralnie przeciwnych. Tymczasem już ze względu na zmiany pór roku mogą błędy refrakcyi atmosferycznej lub peryodycznej zmiany przyrządów przekroczyć wartość paralaksy, tak, iż o bezpośredniem, dokładnem jej wymierzeniu mowy być nie może. Już Bessel w pierwszej połowie zeszłego stulecia starał się innej metody próbować. Biorąc gwiazdę, która zdawała się być bliższą, wpośród kilku dalszych, obserwował różnicę jej położenia w różnych porach roku, a przypuszczając, że tamte dalsze gwiazdy wobec swej odległości nie zmieniły swego położenia, dochodził do oceny paralaksy bliższej gwiazdy. Tej metody przeważnie używano do oznaczenia znanych nam paralaks. Inną była metoda fotograficzna, która jednak przypuszcza, że gwiazdy są tej samej jasności, a ze znanych paralaks innych gwiazd dochodzi do oznaczenia odległości nieznanych. Oczywiście, że tu sama supozycya jest niepewna a nawet w wielu przypadkach wprost błędna. Dla gwiazd podwójnych można było ocenić paralaksę z wielkości ich orbit, ale suponując znajomość ich masy, którą przyjmowano, znów zupełnie dowolnie, za równą np. masie słońca.

Inna znów metoda nieco pewniejsza może być stosowana jedynie do tych gwiazd, które razem poruszają się w pewnym kierunku i których znamy prędkość radyalną, czyli prędkość posuwania się w kierunku ku nam, względnie oddalania się od nas. Do oznaczenia prędkości radyalnej służy metoda spektroskopiczna, badająca przesuwanie się linii widmowych[1]. Gdy jakaś grupa gwiazd porusza się w pewnym kierunku, którego cel poznać można z konwergencyi ruchów pojedyńczych gwiazd, znamy stąd kierunek a z obserwacyi ruchu wielkość (w mierze łukowej) jednego boku trójkąta; drugi bok dany nam jest z prędkości radyalnej. Stąd obliczyć można prędkość rzeczywistą tych gwiazd, a porównawszy ją z szybkością ruchu pozornego obliczyć można ich odległość. Tej metody użył na przykład Lewis Boss[2] do oznaczenia paralaksy hyad i znalazł jej wielkość 0·03″,

[1] Jeżeli poruszamy się szybko ku jakiejś gwieździe, fale świetlne krótsze dla nas stać się muszą, bo samym ruchem naszym je skracamy, tak jak woda w rzece prędzej płynie dla tych, którzy jadą łódką przeciw prądowi, niż dla tych, którzy stoją na brzegu. Stąd też charakterystyczne linie widma przesuną się nieco w widmie takich gwiazd, a to przesunięcie będzie miarą ich prędkości radyalnej.

[2] *Astronomical Journal*, vol. 26, 1908.

odpowiadającą odledgłości 109 lat świetlnych, czyli takiej, którą światło przebywa w 109 latach. By wyrazić tę odległość w kilometrach, potrzebowalibyśmy aż 15 cyfr. Rozumiemy więc, że tu o dokładności mowy być nie może, chodzi tylko raczej o wyrobienie sobie pojęcia o rzędzie wielkości, mianowicie czy mamy do czynienia z kilkoma, czy też z setkami lub tysiącami lat świetlnych.

Wobec tak szczupłych jeszcze i niedokładnych danych co do paralaks gwiazd, starano się raczej zwrócić do metody statystycznej dla wyrobienia sobie pewnego pojęcia o rozmieszczeniu gwiazd w przestrzeni i o tak zwanej gęstości gwiazdowej, czyli o ilości gwiazd, zawartych w pewnej objętości obranej za jednostkę. Kwestyą tej statystyki gwiazdowej, która już dawniej w różnych formach zaciekawiała astronomów, zajął się szczególnie w ostatnich latach wspomniany wyżej Kapteyn [1].

Wychodzi on z podwójnego założenia, że gwiazdy im mniejsze nam się przedstawiają, tem będą, wogóle mówiąc, odleglejsze, nadto, że im mniejszy ruch, tem jej odległość od nas musi też być wogóle większa. Możnaby słuszność takiego przypuszczenia uwidocznić na obrazie, jaki się przesuwa przed oczyma naszemi, gdy jedziemy szybkim pociągiem na przykład przez płaską okolicę gęsto zasianą krzakami. Im krzak przedstawi się nam pozornie mniejszy, tem wogóle będzie od nas odleglejszy, choć oczywiście mogą być i krzaki większe, które dalej leżąc będą jednak i pozornie większe, niż inne bliższe, ale mniejsze. Nadto im krzak od nas odleglejszy, tem wolniej przed oczyma naszemi się przesuwa, podczas gdy bliższe ze znaczną szybkością przelecą przed nami. Oczywiście przy tem porównaniu pamiętać należy, że w ocenie odległości na ziemi perspektywa odgrywa wielką rolę, czego do gwiazd oczywiście stosować nie możemy, że nadto nasze krzaki same są nieruchome, podczas gdy gwiazdy ruchy własne mieć mogą. Stosując zatem takie założenie do małej ilości gwiazd, wyniki wypaśćby mogły zupełnie błędne, ale gdy chodzi o tysiące i setki tysięcy, błędy coraz mniej odczuwać się dadzą. Przypomina się tu próba o wzroście żołnierzy: biorąc za podstawę stosunkową wielkość ludności w kraju wogóle obliczono, ilu powinno być w pewnym pułku żołnierzy różnych wzrostów; liczby okazały się prawie zgodne z rzeczywistością.

---

[1] *On the number of stars of determined magnitude and determined galactic latitude.* Groningen, 1908.

Stosując tę metodę statystyczną, dochodzi Kapteyn do pewnych wniosków co do wielkości i rozmieszczenia gwiazd w przestrzeni, a że te wnioski nie tak dalekie są od prawdy, jakby na pierwszy rzut oka zdawać się mogło, świadczy zestawienie ich z gwiazdami o znanej wielkości, paralaksie i prędkości, które okazuje wprawdzie błędy w szczegółach, w ogólności jednak zgadza się ze znalezionym wynikiem.

Co do wielkości gwiazd dochodzi Kapteyn do następujących wniosków: biorąc słońce za jedność otrzymujemy gwiazd o blasku 1000 do 10000 razy silniejszym 46, 100 do 1000 razy 1300, 10 do 100 razy 22 tysiące, raz do 10 razy 140 tysięcy, 0·1 do 1 razu czyli słabszych od słońca 430 tysięcy, 0·01 do 0·1 razy 650 tysięcy. Wogóle więc liczba gwiazd o blasku słabszym od naszego słońca przewyższa o wiele liczbę gwiazd silniejszych.

Dzieląc gwiazdy na warstwy stosownie do odległości od nas dochodzi do rozmieszczenia stosunkowego mniej więcej jednakowego, tak, iż w każdej warstwie te same mniej więcej są ilości gwiazd silniejszych i coraz słabszych. Ale gdy bada gęstość gwiazd, czyli ich ilość w pewnej jednostce objętości, dochodzi do wniosku, że im dalej od nas, tem gęstość gwiazd staje się mniejsza, co jednak zależy także od tak zwanej szerokości galaktycznej czyli od odległości od drogi mlecznej.

Wnioski te, choć z powodu obfitości materyału niemałą mają wartość, nie są jednak zupełnie nowe. Tak na przykład, po dawniejszych pracach Argelandera i innych, Seeliger [1], badając tylko gęstość gwiazd na sklepieniu niebieskiem odpowiednio do ich wielkości, dochodzi do wniosku, że nie odpowiada ona rozmieszczeniu równomiernemu gwiazd w przestrzeni. Nadto podobne badania prowadzą go do następujących, oczywiście przybliżonych praw: im mniejsze gwiazdy bierzemy pod uwagę, tem gęściej są rozmieszczone w okolicy drogi mlecznej, a odwrotnie im dalej jesteśmy od drogi mlecznej, tem stosunkowo słabiej wzrasta gęstość gwiazd w stosunku do ich wielkości. Są zatem wnioski Kapteyna potwierdzeniem i uzupełnieniem dawniejszych zdobyczy.

Jakieby z tych badań wynikały wnioski co do budowy wszechświata? Czy to ubywanie gwiazd w dalszych od nas odległościach jest rzeczywiste, czy tylko pozorne, czy nie jest ono tylko skutkiem tak

[1] *Über die räumliche Vertheilung der Fixsterne.* München, 1898.

zwanej ekstynkcyi światła w przestworzach, jak suponował Struve[1] w swych badaniach? Ekstynkcyę pewną czyli znikanie światła w przestworzach przyjąć trzeba, bo musi być wynikiem istnienia pyłu kosmicznego, który przynajmniej w naszem bliższem otoczeniu poznajemy choćby w czasie zaćmień słońca, gdy tak zwaną koronę widzimy. Nie możemy również odrzucać hipotezy istnienia ciemnych ciał, któreby światła niektórych gwiazd nie dopuszczały do nas. Ale czy ekstynkcya ten dość znaczny ubytek w gęstości gwiazdowej wytłumaczyć może? Dziś skłaniają się raczej do zaprzeczenia takiej supozycyi.

Patrząc na sklepienie niebieskie, zasiane bezładnie gwiazdami, zdawaćby się mogło, że porządek jakiś i ład w ukształtowaniu tego ogromnego zbiorowiska, jeżeli istnieje, musi być tak skomplikowany, że nigdy umysł ludzki nie potrafi go opanować. A jednak cóż prostszego na przykład jak budowa naszego świata planetarnego z planetami krążącymi prawie w jednej płaszczyźnie po orbitach omal że kołowych naokoło słońca. A przecież nie przypatrywanie się ruchom tych wędrujących ciał, znanym dokładnie chaldejskim i asyryjskim astronomom, lecz gruntowne nad niemi studyum dozwoliło umysłowi Kopernika wyśledzić w tych zawiłych ruchach tak prosty ustrój.

Dodaje to otuchy astronomom, którzy mimo tak niewielu danych o gwiazdach, ich ruchach i odległościach, usiłują na podstawie dotychczasowych badań odgadywać już dzisiaj porządek wszechświata.

Myślą przewodnią w tych badaniach zawsze jest ta, że droga mleczna grać tu musi jakąś wybitną rolę, co potwierdzają badania Seeligera i Kapteyna.

Ale czy z tych pojedynczych kamieni możemy dziś już zbudować cały gmach wszechświata? Dalecy jeszcze jesteśmy od tego i każdej próbie, każdej hipotezie brak często niejednego szczegółu, któryby stanowił najgłówniejszy moment i podstawę budowy.

Już Herschel na podstawie swych obserwacyi przedstawiał sobie wszechświat gwiazdowy kształtu soczewkowatego, najrozleglejszy w kierunku drogi mlecznej, a nasz system słoneczny umieszczał blizko środka tego soczewkowego zbiorowiska gwiazd. Dziś jedni, jak na przykład Kobold, chcą widzieć w drodze mlecznej wraz z słońcem i gwiazdami, które rozróżnić się dadzą, jeden wielki system spiralny, jakby dalsze stadyum rozwoju jakiejś olbrzymiej spiralnej mgławicy, których niejedną odkryły na niebie tak dziś wydoskonalone przyrządy astro-

[1] Struve W.: *Exstinktionskoefficient.*

nomiczne. Inni nieco odmiennych dróg szukają, czego już bliżej rozpatrywać nie będziemy.

Są to wszystko jeszcze początki, zwłaszcza gdy chodzi o ogólniejsze teorye. W ostatnich czasach jednak postąpiły badania już znacznie, jak poznać można było choćby z tych ogólnikowych uwag. Gdy dokładne skatalogowanie gwiazd, ich ruchów a zwłaszcza ich odległości od nas da obfitszy statystyczny materyał, spodziewać się można, że z niego wyjawią się umysłowi ludzkiemu prawa rządzące tym olbrzymim światem gwiazdowym.

Ks. Józef Sawicki.

Christliche Kunst.

20 grudzień 1910. Monachium.

Przypatrując się dziełom sztuki lub słuchając świetnej muzyki spostrzegamy, że rozkosz estetyczna, której doznajemy, polega na chwilowem podnieceniu czynności mózgowej, wywołanej przez przyspieszoną wibracyę nici nerwowych oka lub ucha. Wrażenia słuchowe i wzrokowe wlewają się w centra, wytwarzające myśli i uczucia, tak, że istnieje pewna ilość uczuć i idei, które zależne są od własności obu organów — oka lub ucha i którym możnaby dać nazwę uczuć i idei estetycznych.

Pojęcie porządku, harmonii, proporcyi, zgodności, rozmaitości, jedności, życia rodzą się samoistnie z uczuć, jakie zawdzięczamy zmysłom wzroku i słuchu.

Te pojęcia, mniej lub więcej nieświadome, przetwarzają się w idee, które z kolei stają się regułami twórczości artystycznej.

To są właśnie pierwiastki, stanowiące charakter wrażenia estetycznego, i właśnie dlatego, że one w nim się znajdują, tworzą naszą rozkosz. Gdy ich brak, przeciwnie — zamiast rozkoszy doznajemy cierpienia.

Każde więc dzieło, w którem te pierwiastki się odnajdują, wydaje się nam pięknem i to w takim stosunku, w jakim one w niem współistnieją.

Uczucie jednak rozkoszy, patrząc na piękne dzieło, podwaja się jeszcze innem uczuciem, mianowicie uczuciem sympatycznego podziwu dla wyższości uzdolnień, które artyście pozwoliły dzieło takie stwo-

rzyć. Ten podziw, ta sympatya wypływa ze świadomości, mniej lub więcej jasnej, o trudnościach, jakie zwalczać musiał twórca i o warunkach, jakie umiał i musiał wypełniać.

Napróżno niektórzy twierdzą, że sympatya nie ma nic do roboty w malarstwie, że prawdziwi znawcy nie rozstrzygają na podstawie przyczyn tego rodzaju. A jednak nawet ci, którym się zdaje, że są zupełnie od niej wyzwoleni, mimo to jednak, w pewnej mierze, ulegają jej nawet bezwiednie. Z pośród dwóch płócien, jednakiej zresztą wartości, przenoszą oni to, które, prócz podziwu dla talentu artysty, daje jeszcze wypoczynek duszy i odświeża ją odbiciem iście ludzkiego wrażenia. Ponieważ zaś osobowość artysty jest jednym z żywiołów wartości dzieła, zaznaczą oni w ten sposób, że wolą tego, którego wyższość w uczuciach moralnych specyalnie odpowiada ich sympatyi.

Z tego też powodu moralność przedmiotu ma również swoje znaczenie. Nizkość uczucia i myśli naturalnie nas odpycha, podczas gdy przeciwnie, szlachetność serca i wielkość duszy pociągają nas i przywiązują.

Od dwóch tygodni »Christliche Kunst« wystawiło w swych salach parę prac Józefa Huber-Feldkircha.

Szerszej publiczności mało znany ten artysta, gdyż go nie spotykano między tymi, którzy swą sztukę ubierają w jaskrawe kolory taniego efektu.

Dopiero gdy Huber-Feldkirch został przeszłego roku profesorem akademii w Düsseldorfie, zaczęto się nim więcej interesować.

Huber-Feldkirch przedstawia artystyczną indywidualność pełnej siły i właściwości, potężnych idei i prawie nieograniczoną wielostronność swego talentu.

Dzieła jego ducha i jego ręki, pomimo różnorodnego materyału, na którym swe pomysły uwieczniał, łączą się harmonijnie w całość. Czy patrzymy na wspaniały witraż, czy na fresk, czy na płótno, nigdzie na włos nie odstąpił od swego stylu, od swego pojęcia sztuki.

Wzrok nasz przyciąga tym razem Huber-Feldkirch dość dużem płótnem »Hołd trzech królów« *(Anbetung der hl. drei Könige)*.

Zmrok wieczorny. Gwiazda betleemska spełniła swe posłannictwo, gdyż aż z kraju Balaama sprowadziła Trzech Królów, trzech mędrców do żłóbka Chrystusa.

Teraz, gdy królowie padli na kolana, stoi nieruchoma i oświeca Matkę i Dzieciątko, wpuszczając swe promienie przez szczeliny napół rozwalonej stajenki.

Magowie podają swe dary: królowi — złoto, Bogu — kadzidło, człowiekowi, mającemu umrzeć — mirrę.

Najświętsza nie zapomniała tej pierwszej, cudnej chwili, gdy Jezus narodzony, po raz pierwszy ludzkiemi oczyma patrzał w Jej oczy... w błogim spokoju wpatrzona w Dzieciątko swe... Józef zaś święty, olśniony blaskiem władców, składających hołd Jezusowi, przysłania ręką oczy i gdzieś gorzko pewnie żałuje chwil wątpliwości, które go były opanowały na wiadomość przyszłego macierzyństwa Maryi.

Dzieciątko Jezus, z rączkami wyciągniętemi do królów, leży na kolanach Najświętszej, jak marzenie... *et si tendrement blond, que se cheveux — comme une aurore, et ses yeux — comme des étoiles à l'aurore* — jak powiedział gdzieś Wiktor Hugo.

Cała ta grupa tak jest świetnie w kompozycyi związana i tak świetnie, po Rembrandtowsku, promieniem gwiazdy oświecona, że chyba nic ani dodać, ani ująć nie można.

A jaki jest przepyszny w swoich kolorach, jak Huber-Feldkirch umie podnosić wrażenie różnych barw i tonów, podkreślając umyślnie gdzieniegdzie niektóre kolory (np. żółty w złocie zielonkawo-fioletowym, różowy błękitnawo-zielonym). A jak on umie łączyć pełne akordy tonów w najpoetyczniejszą poezyę kolorów i najsubtelniejszą harmonię barw!

Już nie mówię o rysunku, który z rzadką wytwornością i delikatnością w głowach Najświętszej i Dzieciątka, z szalonym rozmachem i brawurą w postaciach królów występuje, powiem tylko o całym jego obrazie z Mussetem: *que c'est un régal non seulement pour les yeux, mais en même temps — pour l'âme,* — bo czuje się w artyście *la flamme secrète.*

René Ruder chciał nas zachwycić swojemi akwarelami i — dopiął swego celu do pewnego stopnia.

Czuć w nim wprawdzie wzór jego — Cézanne'a, w lekkich pociągnięciach pendzla i iskrzących się farbach, ale też w tej seryi obrazków czujemy i jego własny temperament.

W pierwszym z nich *Jesus und die Ehebrecherin,* stoi wspaniały, idealny Chrystus przy oknie, oświecony malowniczo księżycowem światłem. U stóp Jego, nie mogąc znieść wzroku Chrystusowego, wije się ze wstydu, żalu i skruchy postać kobieca, z głową schyloną, opartą na nizki, maurytański taburet, przysłaniając twarz rękoma. Postać ta we wspaniałej, balowej, dzisiejszej toalecie, to typ *d'une femme belle — trainant tous les coeurs après soi* — jak mówi Prévost.

Chrystus łagodnie wyciągnął nad jej głową swe litościwe ręce. Z boskich Jego ust słyszymy szept: »Idź w pokoju. Wiara twoja zbawiła cię. Nie grzesz więcej«.

Chrystus, będąc ideałem dobroci i litości, w ten sposób przerabiał swemi rękoma i krwią swoją — błoto ludzkości...

Przy tej akwareli wystawiono dwie inne: »Jezus uzdrawiający chorą dziewczynkę« i »Naigrawanie się z Chrystusa« *(Verspotung Christi)*.

Wzruszony niedolą dziewczęcia, Chrystus, pomimo wrogich, zazdrosnych i ironicznych twarzy otaczających go faryzeuszów, nie może przejść obojętnie przy tej ubogiej, lecz pełnej wiary, klęczącej u stóp Jego postaci. Schylił się więc nad jej głową, błogosławiąc i każąc jej wstać i iść...

Przepyszne są twarze tych faryzeuszów, ogromnie charakterystyczne i ogromnie mówiące. Jeden z nich ze wzgardą i wyższością patrzący na Chrystusa, drugi — z oczów się jego to czyta — obmyślający jakieś podstępne pytanie Chrystusowi, a trzeci, widocznie sprzecza się z innym, czyby Jezusa nie można już wydać, za cuda tworzone w sabbat.

A w tym obrazku *Verspotung Christi*, jaka świetna charakterystyka twarzy i ciała.

Jak Jezus się poddał naigrawaniom bezczelności stworzenia swego! Jak strasznie smutna dusza Jego, jaki straszny ból, nie fizyczny już, ale moralny, czyta się w załzawionej twarzy tego biednego Chrystusa!

A to znękane, zmiażdżone, biedne ciało Jego... *meurtri dans sa pâleur d'ivoire!*...

Ten obraz pociąga nas bólem, tragedyą Boga-Człowieka, malowany całą duszą, całem odczuwającem sercem katolickiego artysty, któremu w czasie pracy nad tym Chrystusem, niejedna może łza z oka spadła. Rzeczywiście można powiedzieć z E. Cartier'em, że ten obraz *en vous charmant les yeux — vous navre le coeur*...

A z jaką świetną techniką te obrazki malowane, jak każde pociągnięcie pendzla jest lekkie i pewne. Jak dobrze robi, gdzieniegdzie zostawiony, rysunek ołówkiem. A ile to razy te obrazki kąpane, by pozlewać delikatnie tony, pozacierać kontury i więcej malowniczości i miękkości nadać!

René Ruder należy do tych Epigonów paryskich impresyonistów, którzy się nie zadowolili ślepem naśladownictwem i przesadą ich ma-

niery, tylko do tych, którzy dalej udoskonalają się na solidnej podstawie nabytych wiadomości i pracy.

Z tego też powodu Rudera świetne akwarele robią rzeczywiście *une surprise inoubliable pour les yeux,* a swoją moralną treścią podwajają rozkosz estetyczną patrzącego na jego prace.

Maryan Strzembosz,

Z kultury Krakowa.

Wystawy sklepowe. — Restauracya starych domów.

Kto pamięta Kraków z przed lat piętnastu, albo choćby dziesięciu i porówna go z dzisiejszym, ten zadziwi się zmianą, jaka zaszła w jego zewnętrznym wyglądzie, bardzo niekorzystną; miasto z dniem każdym zmienia i zaciera coraz więcej swój dawny charakter. Rozmyślnie i bezmyślnie niszczy się na każdym kroku odwieczną jego kulturę, najchlubniejsze i najcenniejsze świadectwo naszej przeszłości. Nad tem trzeba się raz wreszcie zastanowić poważnie i złemu koniecznie zaradzić. Ogół mieszkańców powinien zrozumieć, że tu chodzi o rzecz bardzo ważną, że niszczenie kultury miasta, tego żywego świadectwa wysokiej cywilizacyi dawnych wieków, jest zbrodnią w ścisłem słowa znaczeniu, tem cięższą, bo w przeważnej mierze wypadków nie dającą się naprawić.

Jednym z takich wrzodów, toczących stary Kraków, jest mania urządzania wystaw sklepowych »na wielką skalę«, która w ostatnich paru latach przybrała wprost przerażające rozmiary. Proszę się przejść i zobaczyć, jak wygląda ulica Grodzka i Floryańska, Szewska i Rynek — nic tylko jeden nieprzerwany szereg wystaw sklepowych, aż pod pierwsze piętro wysokich, jednych od drugich w niczem się absolutnie nie różniących — chyba w gatunku wystawionych towarów, a przez to aż do obrzydzenia nudnych.

Przeciwko samym wystawom sklepowym, w ścisłem słowa znaczeniu, nie można występować — one były i będą, są dla handlu konieczne — ale przeciw ich urządzaniu. Wystawa sklepowa jest reklamą i jako taka powinna mieć w sobie coś oryginalnego, powinna czemś indywidualnem, odrębnem przemawiać do przechodnia. Musi się od razu rzucać w oko, przyciągać i zmuszać niejako do wstąpienia do środka. Za urządzanie takich wystaw Amerykanie płacą bajońskie sumy, do-

chodzące istotnie do 50.000 dolarów rocznie, doskonale oceniając to kolosalne ich znaczenie. Przytem stwierdzonem zostało, że każda suma wydana na racyonalną, celową reklamę, wraca się potrójnie.

Przypatrzmy się teraz krakowskim wystawom. Z przykrością trzeba powiedzieć, że niema tu ani jednej, którąby naprawdę spełniała swój cel. Smutny to fakt, ale oglądając tutejsze wystawy, odnosi się wrażenie, że marzeniem kupieckiego świata w Krakowie jest jak największe okno wystawowe, bo czem większe od sąsiada, tem efektowniejsze na pozór czyli ładniejsze. Na osiągnięciu takiego okna kończy się zwykle ambicya pana pryncypała, gdyż o urządzenie wystawy w przeważnej części już się nie troszczy, zostawia to panom subjektom, którym niewiele na tem zależy, albo chłopcom sklepowym, którzy dopiero są w tem niekompetentni.

I wskutek tego widzi się w Krakowie dwa typy wystaw: naturalnie zawsze kolosalnej wielkości okno — małe wystawy należą dziś do nielicznych wyjątków — jest albo puste, bo nie wiadomo czem go zapełnić, gdyż często rodzaj towarów nie nadaje się nieraz do zapełnienia wystawy, np. sklepy masarskie, bankowe, albo znowu wystawa jest tak bezładnie zapchana najprzeróżniejszymi towarami, nieraz warstwami wprost na sobie układanemi, że przypomina bardzo stół przekupki z warzywami. Oczywiście, że takie wystawy nie spełniają swego zadania. W pierwszym wypadku nic nie widzimy, bo nic niema. W drugim, panuje w tych wystawach taki chaos, że nie wiemy po prostu, co tam jest, czyli także nic nie widzimy. I przytem charakterystyczna rzecz, to utarty szablon tych wystaw. Mamy tu zawsze jedne i te same, olbrzymie, drewniane futryny z żelaznemi roletami, w najwyższym stopniu niegustowne, niesmaczne, na włos absolutnie się w niczem od siebie nie różniące, chyba tyle tylko, że jedna od drugiej jest nieco wyższa lub niższa.

I wskutek tego cóż się dzieje? Przez to miasto zmienia zwolna swój odwieczny charakter. Tą drogą znikają szybko piękne portale kamienne, charakterystyczne obramienia okienne, co pociąga za sobą dalsze konsekwencye. Zmienia się i przerabia dawne sienie domów — olbrzymie, wyniosłe, wspaniałe sienie, tak nadające się na większe sklepy — przez wyrzucanie, nieraz bardzo pięknych sklepień, jako rażących oko swą starzyzną. I przytem nikt nie pomyśli, nikt nie zastanowi się nad tem, jaką niesłychaną krzywdę wyrządza się miastu, że istotnie jest zbrodnią niszczenie tych rzeczy, których podobnych my dziś nie potrafimy zrobić, że to jest wprost wiwisekcyą na żywym

jeszcze kadłubie starego miasta. To są pomniki i świadectwa wysokiej niegdyś kultury miasta, do których nie dorośli obecni nasi rzemieślnicy, bo dawniej rzemieślnik był zarazem doskonałym, skończonym artystą, podczas gdy dzisiejszy — wskutek zmienionych niezależnie od niego warunków — jest tylko rzemieślnikiem.

To jest właśnie ta kwestya, która powinna wszystkich żywo zająć, gdyż nie chodzi tu o jakiś tam gdzieś wyrzucony portal czy dawne obramienie okna, nie o drobnostkę, przemijający grymas, bo takich rzeczy pada co roku systematycznie po kilka ofiarą i parę lat jeszcze upłynie a znikną one zupełnie z powierzchni dawnego Krakowa.

Zaiste, jest to smutną ironią losu, gdy się widzi potem w lapidaryum Muzeum Czapskich — w tem cmentarzysku starego Krakowa — dawne portale, tam przeniesione, które — za to, że nikomu nie zawadzały, ale przeciwnie tym, co je wyrzucili, mogły oddać wielkie usługi i korzyści — zostały brutalnie ze swej, nieraz pięciowiekowej, siedziby wyrwane. Bo przytem trzeba sobie uzmysłowić i to, że portal taki raz usunięty z domu, jakkolwiek potem przeniesiony do Muzeum, nie jest już tem, czem był. Tu był on niejako odźwiernym, starym sługą domu, z powagą i majestatem pełnił swój urząd, nadawał ton i charakter całemu domowi; przeniesiony tam, pozbawiony otoczenia, wyrzucony po prostu ze swego stanowiska, staje się zimnym, nic nie mówiącym głazem.

Smutny ten fakt pogorszył się jeszcze w ostatnich czasach. Nie wyjmuje się i przenosi całych portali, tylko ich części. Ponieważ dawne wieki — to nie dzisiejsza tandeta — więc rozebranie takiego portalu nie jest rzeczą łatwą. Dlatego te części jego, rzekomo najwięcej zawadzające, usuwa się, resztę zaś, w barbarzyński sposób ściosaną, przykrywa się futryną wystawową. Taki zaszedł wypadek przeszło rok temu, przy urządzaniu wystawy pewnego sklepu masarskiego w ulicy Grodzkiej. Nad rozebraniem przepysznego barokowego portalu, wzniesionego z kolosalnych bloków, pracowało przeszło miesiąc sześciu ludzi i po wielkich wysiłkach zdołali go rozebrać do połowy. Reszta zaś, haniebnie ściosany kikut, sterczy w murze, przykryty futryną wystawy. Takich wypadków możnaby jeszcze więcej naliczyć.

Niszczeniu tych rzeczy trzeba raz położyć tamę stanowczą, raz ze względu na ich bardzo wielką wartość artystyczną i znaczenie, po drugie, że te portale i dawne obramienia okienne są jakby umyślnie planowane na wystawy sklepowe. Wystawa sklepowa — jak już wiemy — musi mieć w sobie na zewnątrz coś odrębnego, musi się czemś orygi-

nalnem rzucać w oko z daleka. Tego jej nie dadzą dzisiejsze szyldy i futryny, gdyż te są — jak widzimy — absolutnie jednakowe, w niczem się od siebie ani na włos nie różniące. To można w starych domach osiągnąć jedynie przez zastosowanie do wystaw portali i obramień okiennych. W krajach zachodnich, gdzie do niedawna także panował ten bezmyślny wandalizm, ludzie już się opamiętali i nauczyli cenić te rzeczy z ich praktycznego znaczenia. Dziś dlatego już ich nikt nie niszczy, ale przeciwnie sklep z dawnym portalem, obróconym na wystawę, przedstawia daleko większą wartość pod względem czynszowym. Odnośne warstwy mieszkańców naszego miasta muszą to zrozumieć nareszcie, że dawne portale domów krakowskich, z których każdy tak inny, każdy swym indywidualnym wyrazem tak rzuca się w oko już z daleka — są jakby umyślnie stworzone na wystawy sklepowe.

Trzeba sobie raz wkońcu wytłumaczyć — co już dawno na Zachodzie wszędzie zrozumiano — że pierwszym i nieodzownym warunkiem dobrej wystawy nie jest bynajmniej jej wielkość, ale jej odrębny wyraz. Drugim, głównym warunkiem jest jej pełne smaku, artystyczne urządzenie, które nie można byle czem zbyć. Tu trzeba zasięgać rady ludzi kompetentnych w tym kierunku, a zatem artystów-malarzy, którzy zapewne nie odmówią swego udziału. Kupcy krakowscy powinni to nareszcie odczuć, że mania urządzania olbrzymich wystaw, w tak barbarzyński sposób niszczących stare miasto, zupełnie chybia celu i rozpocząć na tem polu reakcyę.

Z tą kwestyą łączy się także sprawa szyldów, owych niemożliwych tablic, zakrywających już nie same portale, ale, w niejednym wypadku, dosłownie, całe piękne fasady. To tak samo nie jest drobnostką. Szyld powinien swym oryginalnym pomysłem uderzać oko z daleka. I tu przedewszystkiem konieczną jest rola artysty, którego współudział w życiu praktycznem jest — jak widzimy — niezbędnym.

Ostatnie czasy dwóch czy trzech lat zaznaczyły się w Krakowie, jakby pewnym zwrotem ku lepszemu na polu ochrony dawnych zabytków i pomników sztuki. Mieszkańcy Krakowa zdają się powoli nabierać przekonania, że te rzeczy należy ochraniać od zagłady i że na nas ciąży obowiązek utrzymania ich, nawet kosztem niekiedy ofiary materyalnej. One właśnie tworzą malowniczy charakter starego Krakowa i dlatego nie wolno ich lekkomyślnie usuwać z powierzchni miasta. Dotąd panuje jeszcze powszechnie błędne mniemanie, że utrzy-

mywanie tych rzeczy jest nieproduktywnym ciężarem, gdyż te stare »rudery« nie odpowiadają nowoczesnym wymogom życia. Zapewne kto patrzy na nie pod ciasnym kątem taniej i nizkiej spekulacyi, dla tego nie przedstawiają żadnej wartości. Zasługują tylko na zburzenie, a już zupełnie nie mogą się równać z nowszymi domami.

Tymczasem, gdy się nad tem zastanowimy, z łatwością dostrzeżemy wielkie zalety starych domów.

Najpierw budowane są trwalej i lepiej, co chyba potwierdza ich kilkowiekowe istnienie. To zaś, że wnętrze wielu z nich robi wrażenie niechlujnej i opuszczonej rudery, jest po większej części winą ich właścicieli. Dom przez ciągłe używanie, podobnie jak każdy przedmiot, mniej lub więcej się niszczy i co pewien czas wymaga naprawek i odnowienia. Ale u nas wśród ogółu tkwi przekonanie, że w stary dom nie warto łożyć pieniędzy. I dlatego zwykle, zamiast gruntownej restauracyi, wszystkie konieczne naprawki uskutecznia się tandetnym materyałem i najlichszą robotą. Naturalnie wobec takiej gospodarki najlepszy dom w stosunkowo krótkim czasie stanie się ruderą. Doskonałym dowodem prawdziwości tych słów jest kamienica przy ulicy św. Jana l. 12. Dwa lata przedtem przedstawiała obraz zupełnej rudery. Obecnie, poddana gruntownej restauracyi, odzyskała dawną stylową okazałość i jest zabezpieczoną na cały wiek przynajmniej. Naturalnie, że taka restauracya więcej kosztuje. Ale gdy zliczymy koszta wszystkich takich naprawek, powtarzanych co dwa lub trzy lata, otrzymamy sumę znacznie większą. Czyli sprawdza się istotnie przysłowie, że »skąpy dwa razy traci«.

Następnie ogromną zaletą starych domów jest przestronność ubikacyi i wygoda. Ktokolwiek mieszkał w dawnych domach mieszczańskich, położonych w obrębie Plantacyi, umiał to niezawodnie ocenić. Pokoje wielkie, przestrone i widne, o grubych ścianach, zaciszne, w zimie ciepłe, w lecie chłodne, ozdobione pięknymi kominkami, o ile ich już nie usunięto, przykryte często wspaniałymi stropami z belek rzeźbionych układanymi, wprost zapraszają do mieszkania i nieopuszczania ich więcej. Przecież jest duża różnica między tymi domami, a nowszymi, budowanymi w celach spekulacyi, o ubikacyach maleńkich, często ciemnych albo wilgotnych, zwykle trudnych do opalenia, a przeważnie z bardzo niepraktycznym rozkładem pokoi. Być może, że w starych domach nie wszędzie spotykamy łazienkę przy mieszkaniu, ale ostatecznie nie jest to przeszkoda nie do pokonania. Jeżeli zatem w ten sposób zastanowimy się i porównamy stare domy z no-

wszymi, to musimy uznać bezstronnie wyższość pierwszych, gdyż tam przedewszystkiem chodziło o wygodę, a nie o wyzysk, jak jest obecnie.

W ostatnich paru latach można było zauważyć wiele domów restaurowanych. Na czele tego szeregu stanie t. zw. »Bursa akademicka« na Małym Rynku. Jest to ogromny i bardzo charakterystyczny budynek, sąsiadujący z kościołem św. Barbary. Obecnie po stu przeszło latach wrócił on do swych pierwotnych właścicieli, Zakonu OO. Jezuitów, do których należał od szesnastego wieku, aż po koniec ośmnastego. W ubiegłem stuleciu zakupił go uniwersytet i pomieścił w nim bursę akademicką. Od uniwersytetu nabyli go właśnie OO. Jezuici i zaraz przystąpili do restauracyi. Nie było to zadanie łatwe, gdyż budynek ten, nie odnawiany całkiem przez kilkadziesiąt lat, popadł w zupełne zaniedbanie i opuszczenie. Restauracyę rozpoczęto od wewnętrznego skrzydła, posuwając się zwolna dokoła. Po dwóch latach pracy, gdy usunięto rusztowania, ukazały się poważne mury z pięknemi obramieniami kamiennemi okien.

Mimo obaw, jakie podnoszono przy rozpoczęciu robót, budynek bynajmniej nie ucierpiał. Przeciwnie, odnowiony z doskonałem zrozumieniem i odczuciem istoty dawnego budownictwa, może posłużyć za przykład racyonalnej restauracyi. W ostatnim roku przystąpiono do odnowienia drugiej połowy gmachu, nakrywając go przytem nową dachówką i naprawiając wnętrza sal mieszkalnych. Na sam koniec odłożono fasadę. W ten sposób zabezpieczony został na długie lata jeden z najtypowszych, starych domów, tworzących właśnie malowniczy urok Małego Rynku. Niewielki ten prostokątny placyk zamknięty jest domami, które pod względem stylowym małą przedstawiają wartość. Ale mimo to jest to jeden z najciekawszych placów, jeden z najbardziej charakterystycznych punktów starego Krakowa. Zachodni jego bok zamyka właśnie monumentalny gmach Bursy o pochyłych ścianach, z głęboko osadzonemi oknami parteru, nakryty wielkim, spadzistym dachem czerwonym z silnie wystającym gzymsem. Tę fizyognomię budynku zachowano nienaruszoną. Pewne zmiany zaszły od strony dziedzińca. Tu mianowicie powiększono okna trzeciego piętra, zatrzymując ich formy. Nadto zniesiono starą klatkę schodową, przez co tylko zyskała fasada podwórzowa. Na pierwszem piętrze odkryły się w murze prześliczne portale kamienne z okresu gotyku. Jeden zwłaszcza o bardzo bogatych splotach roślinnych, okręcanych około linii architektury, uderza swą niepospolitą misternością wykonania. Jest to dzieło znakomitego jakiegoś dłuta kamieniarskiego i wskazuje na żywe pokre-

wieństwo z przepysznym portalem sali Obiedzińskiego w Bibliotece Jagiellońskiej.

Jakby za przykładem OO. Jezuitów poszli księża mansyonarze kościoła P. Maryi. Do nich bowiem należy przeciwległy narożnik dawnej Bursy akademickiej. Jest to jeden z najstarszych, istniejących domów Krakowa. Napis łaciński nad bramą wchodową poucza nas, że dom ten był zbudowany w r. 1300, a w drugiej połowie XVII wieku odnowiony. Wtedy także powstały prześliczne ganki w podwórzu, wsparte na kolumnach z drzewa, a także kamienne schody o wspaniałej balustradzie i główny portal wchodowy. Drugi raz zaszła potrzeba restauracyi domu w końcu XVIII wieku i z tego czasu pochodzi skromna, ale ładna fasada. Tu mamy przykład, na jak długi okres czasu gruntowna i solidna restauracya zabezpiecza dom przed niszczeniem. Obecną odnowę cechuje ogromna staranność i poszanowanie dla odwiecznego charakteru domu. To samo można powiedzieć o drugim budynku, będącym w posiadaniu księży mansyonarzy przy placu Maryackim l. 2. Tu zaszła mała zmiana, mianowicie przesunięcie sieni i portalu wchodowego na miejsce dotychczasowego sklepu.

W ostatnim roku rozpoczęto restauracyę jednego z największych domów w Krakowie, t. zw. Szarej Kamienicy. Ogranicza się ona do skrzydła od ulicy Siennej i dotyczy głównie wnętrza. Fasada bowiem od ulicy Siennej została całkiem nie tknięta w surowej cegle i oczyszczono tylko kamienne obramienia okien. Natomiast mury działowe okazały się tak zepsute, że je musiano przeważnie zastąpić nowymi. Także stare ganki, biegnące dokoła podwórza, ustąpiły miejsca nowym. Jak zwykle przy większych restauracyach natrafiono i tutaj na cały szereg starych portali, obramień gotyckich i stropów belkowych, które wszystkie, po odczyszczeniu, zostawiono na dawnych miejscach. Tą drogą po wytężającej pracy przeszło dwóch lat, budynek ten został doprowadzony do stanu używalności. Jest on doskonałym przykładem dla innych, w jaki sposób można stary dom zamienić na zupełnie nowoczesny, nie zmieniając przytem jego charakteru. Restauracya ta jest i pozostanie niezaprzeczoną zasługą obecnego właściciela p. Szarskiego. Uznanie przytem należy się architektom pp. Wyczyńskiemu i Wojtyczce, którzy umieli właśnie rozwiązać w doskonały sposób to trudne zadanie.

Każdego z Krakowian i obcych uderza i zachwyca malowniczy charakter i niewypowiedziany urok ulicy Kanoniczej. Jest to jedna z nielicznych już ulic, które zachowały swą dawną fizyognomię. Cała



SOBOTA.

PSALM XXXI.

Błogosławieni, którym odpuszczone są nieprawości, i których zakryte są grzechy.

Błogosławiony to mąż, któremu Pan grzechu nie poczytał, a niemasz w duchu jego zdrady.

Ale iżem milczał, zastarzały się kości moje gdym wołał cały dzień.

Bo we dnie i w nocy ociężała nade mną ręka Twoja, nawróciłem się w ucisku moim, gdy tkwiło we mnie ciernie.

Przetoż grzech mój oznajmiłem Tobie: a niesprawiedliwości mojej nie taiłem.

Rzekłem: wyznam przeciwko sobie niesprawiedliwość moją Panu: a tyś odpuścił nieprawości grzechu mego.

Dlatego będzie się modlić do Ciebie wszelki Święty czasu pogodnego.

Wszakże w potopie wód mnogich do Ciebie się nie przybliżą.

Tyś jest ucieczka moja od utrapienia, które mię ogarnęło, o Boże, radości moja! wyrwij mię od tych, którzy mię otoczyli.

Dam ci rozum i nauczę cię na drodze tej, którą pójdziesz: umocnię nad tobą oczy moje.

Nie bądźcie jako koń i muł, którzy nie mają rozumu.

Wędzidłem i uzdą ściśnij szczęki tych, którzy się nie przybliżają, Panie, do Ciebie.

Wiele jest biczów na grzesznika, ale ufającego w Panu miłosierdzie ogarnie.

Weselcie się w Panu i radujcie się ludzie sprawiedliwi: a chwałę odnoście wszyscy prawego serca.

Chwała Ojcu i Synowi i Duchowi św. i t. d.



IEDZIELA.

PSALM XXXVII.

Panie, nie w zapalczywości Twojej strofuj mię, ani w gniewie Twoim karz mnie. — Albowiem strzały Twoje utknęły we mnie, zmocniłeś nade mną rękę Twoją.

Niemasz zdrowia w ciele mojem dla oblicznośći gniewu Twego: niemasz pokoju kościom moim dla przytomności grzechów moich. — Albowiem nieprawości moje przewyższyły głowę moją, a jako brzemię ciężkie obciążyły mnie. — Pogniły i popsowały się blizny moje przez głupstwo moje.

Znędzniałem i skurczyłem się aż do końca: cały dzień chodziłem zasmucony. — Albowiem biodra moje pełne są naigrawania: niemasz zdrowia w ciele mojem.

Jestem strapiony i bardzo uniżony; ryczałem od wzdychania serca mego.

Panie, przed Tobą jest wszelka chuć moja i wzdychanie moje przed Tobą nie jest skryte.

Serce moje strwożone jest we mnie, opuściła mnie siła moja, a jasności oczu moich i tej niemasz przy mnie.

Przyjaciele moi i blizcy moi naprzeciwko mnie przybliżyli się i stanęli. — A ci, którzy przy mnie byli, z daleka stali: a gwałt mi czynili, którzy szukali duszy mojej. — A którzy mi szukali złego mówili marności, a zdrady cały dzień wymyślali. — A ja jako głuchy nie słyszałem: a jako niemy nie otwierający ust swoich.

I stałem się jako człowiek niesłyszący: i niemający odporów w ustach swoich. — Albowiem w Tobiem, Panie, ufał. Ty mnie wysłuchaj, Panie Boże mój.

Cypryan Norwid.

MODLITEWNIK

Manuskrypt Modlitewnika z siedmiu psalmami, winietami, przekładem ustępu z pieśni VIII »Czyśca« Dantego i z oryginalnym wierszem i Monologiem wraz z dedykacyą u końca, ofiarował w roku 1846 w lipcu Cypryan Norwid Włodzimierzowi hr. Łubieńskiemu. Skomponował rzecz tę Norwid w Berlinie w więzieniu, w niepewności, czy go nie wydadzą Rosyi. Na każdy dzień tygodnia jest przepisany jeden z psalmów, z winietą odpowiednią przedmiotowi wiary, któremu ten dzień w tygodniu przeznaczony. Zaczyna się od piątku 10 czerwca 1846 roku, kończy się 16 czerwca we czwartek.

Załączony poniżej tekst jest początkiem Modlitewnika i mieści w sobie trzy dni tygodnia.

Rękopis, nie publikowany nigdzie, jest własnością p. Fr. Chłapowskiego, któremu za łaskawe pozwolenie na druk niniejszem serdecznie dziękujemy.

Modlitewnik cały, z kolorowemi reprodukcyami wyjdzie wkrótce w Poznaniu, nakładem Fiedlera.

Tłumaczenie psalmów wziął Norwid z przekładu Wujka, dodał jednak od siebie znaczną modernizacyę języka Wujkowego.

Redakcya Przeglądu Powszechnego.

Przegląd Powszechny 1911. T. 109.

ANTYFONA.

Nie racz pamiętać, Panie, na występki nasze albo rodziców naszych i nie racz nas karać za grzechy nasze.

10 CZERWCA 1846.



IĄTEK.

PSALM IV.

Panie w zapalczywości Twojej nie karz mię: i w rozgniewaniu Twojem nie bierz pomsty ze mnie.

Zmiłuj się nade mną, Panie, bom chory jest, uzdrów mnie, Panie, boć udręczone są kości moje.

I dusza moja strwożona bardzo; ale Ty, Panie, pókiż mnie tak trzymać będziesz?

Obróć się, Panie, a wyrwij duszę moją: wybaw mnie dla miłosierdzia Twego.

Albowiem w śmierci nie masz ktoby na Cię pamiętał, a w piekle któż Cię chwalić będzie?

Pracowałem w wzdychaniu mojem, będę umywał na każdą noc łóżko moje: łzami mojemi będę polewał pościel moją.

Zatrwożyło się od zapalczywości oko moje, zestarzałem się między wszystkimi nieprzyjaciółmi mymi.

Odstąpcie ode mnie wszyscy, którzy czynicie nieprawość; albowiem wysłuchał Pan głos płaczu mego.

Wysłuchał Pan prośbę moją: Pan modlitwę moją przyjął.

Niech będą pohańbieni i wielce zatrwożeni wszyscy nieprzyjaciele moi: niech się nawrócą i zawstydzą bardzo prędko.

Chwała Ojcu i Synowi i Duchowi św. i t. d.

DWA ŚWIATY „KRYTYKI“ I DWA INNE ŚWIATY.

Stosunek żydów do społeczeństwa polskiego wszedł obecnie w to zaognione stadyum, że niejeden objaw, który dawniej mijał bez wrażenia, dziś poruszać zaczyna szerokie warstwy. Dziś kropla każda grozić zaczyna przelaniem za brzegi.

Pismo, które nie zwracało na siebie uwagi, autor, do którego słów żadnej wagi dotychczas nie przywiązywało się i w zwykłych warunkach nie przywiązywałoby się i nadal, — dziś podpadają pod inny strychulec. Czy tem pismem jest *Haszachar*, *Krytyka* czy *Nowy Wiek*, czy autorem jest p. Wieliczkier, p. Feldman czy p. Jajteles — o to mniejsza. Mniejsza o to, kto kamieniem rzucił z za płota, dość, że nowy kamień padł. Tych kamieni padło już tyle, że każdy nowy kamień jest atakiem wojennym.

I niema w tem naszem powiedzeniu najmniejszej przesady! Lat temu kilka jaskrawe nawet słowa bardzo wybitnych żydów mijały bez donioślejszego odgłosu - dziś, przygodny frazes jednostek zupełnie nieznanych, takich Sęligerów lub Grosnerów, roznosi się echem po Polsce całej.

Takim atakiem wojennym, takiem rzuceniem rękawicy całej Polsce katolickiej, jest artykuł p. Feldmana w marcowej *Krytyce*, pod tytułem: »Dwa światy«. Podobnych rękawic, poza opłotki *Krytyki* zwykł był p. Feldman rzucać corocznie po par kilkanaście; nikogo to dotychczas nie intrygowało ani wprawiało w ambaras. Dzisiaj inaczej!

Swoją drogą temu ostatniemu atakowi właściwe są takie

szczególne znamiona, jakie nawet w najspokojniejszym czasie musiałyby wywołać niepokój...

Artykuł spowodowany był, jak oświadcza autor, dwoma faktami. Pierwszy fakt to zajścia na uniwersytecie krakowskim, które w oryentalnej wyobraźni p. Feldmana przedstawiają się tak, że »zebrało się morze goryczy i niezadowolenia, a gdy przepełniło się z powodu nowego zamachu klerykałów — wylało za brzegi«.

Drugim faktem jest pojawienie się nowej powieści Weyssenhoffa, pod tytułem »Hetmani«, której główną cechą ideową jest to, że jest antysemicką. Odruch społeczeństwa polskiego przeciw nieustannej a coraz zuchwalszej prowokacyi żydostwa poszedł już tak daleko, że odbija się już nawet w literaturze, i to w twórczości tak pokojowo i tolerancyjnie usposobionego autora, jak Weyssenhoff. Szczególniejszy nacisk kładzie powieściopisarz na tym fakcie, że rewolucyę w Królestwie robili żydzi za pieniądze pruskie; niemniej jednak wyprowadza go z bierności całe na ogół stanowisko żydostwa w chwili obecnej. Najistotniejszy sens powieści mieści się w następujących słowach, skierowanych pod adresem żydów: »Chwila jest, że prawdę ogłosić trzeba o tobie i o was, bo przebrała się miara nieprawości waszej. Dopóki władaliście złotem tylko, byliście znośni, gdy sięgacie do innych potęg, gdy oplatacie dusze, czas z wami walczyć i otrząsnąć się«. Te słowa Weyssenhoffa podpisałoby w tej chwili, pominąwszy bardzo nieliczne wyjątki, całe społeczeństwo polskie.

Otóż dwa te fakty, rozruchy na uniwersytecie i pojawienie się tej powieści, zestawia p. Feldman w jednej linii — jeden świat, jeden obóz: polska młodzież »postępowa« i żydzi, został zaatakowany przez świat drugi, przez klerykałów i feudałów.

Czy polska młodzież, choćby najpostępowsza, będzie z tego sojuszu, narzuconego jej przez p. Feldmana, zadowoloną, to już jej rzecz.

Na tle dwu tych faktów rozsnuwa p. Feldman następujący pogląd: Polska już od czasów saskich rozpadać się zaczyna na dwa światy, na dwa narody. »Z jednej strony naród reformatorów. Ludzie, którzy wchłonęli w siebie cały ból i upokorzenie upadku,

i gnani gorączką, zrywają pęta ciemnoty, przemocy wewnętrznej i zewnętrznej, hierarchii pasożytniczej i służalstwa wobec możnowładców swoich i obcych. Tym przeciwstawia się naród ładu i porządku. Od pierwszej chwili pojawienia się, pierwsi piętnowani są jako żywioły obce, bezbożnicy, anarchiści, pracujący na zgubę kraju, drudzy to naród patryotów, oparty o filary tradycyi, Kościoła i legalności«.

W innem miejscu uwypukla p. Feldman charakterystykę powyższą w tej formie: »Dwa stanowimy narody: naród przeszłości, który z obawy przed obcemi ideami i jakobinizmem, w gruncie rzeczy z obawy o swe przywileje, doszedł do Targowicy — i przyszłości naród, reformatorów, bojowników, zwiastunów i piastunów nowej Polski«.

Pan Feldman piastunem nowej Polski! Tableau!

W dalszym toku wywodów oratorska ta charakterystyka nabiera nowych barw i patosu, raz się rozszerza, raz zwęża, kurczy się nawet w jednowyrazowem określeniu dwu tych światów w dwu słowach:

jezuityzm i wolna myśl.

Podstawiwszy pod »jezuityzm« właściwe słowo, z kontekstu artykułu aż nazbyt widoczne: »katolicyzm«, zobaczymy, że żydzi w Polsce poczuli się już na tyle silnymi, że publicznie rzucają Polsce katolickiej wojenne wyzwanie, hasło walki masońskiej z katolicyzmem.

Ostateczny cel artykułu zawiera się w tych słowach: »Nie zatajajmy sobie, że my i oni — to dwa światy i prawem naszem: walka. Wszelka niejasność i oportunizm osłabia tylko i zabagnia. Jeżeli Francya pozbyła się jezuitów i feudałów swoich, i mimo wszystko, co mówią wrogowie, jest krajem najwyższej kultury (!) i zamożności — to nie połowicznością«.

W tych przytoczeniach tkwi istota artykułu. Wywody pośrednie autora pomijamy, bo spieszno nam do roztrząśnięcia narzuconej przez niego kwestyi; mimochodem tylko wspomnijmy, że takim rumieńcem wstydu nie okryło się już dawno słowo drukowane. Nieprzebrana kopalnia fałszów i najgrubszej ignorancyi. Na przykład. Przy prowadzeniu linii demarkacyjnej dwu światów,

począwszy od czasów saskich, przeciwstawia p. Feldman Jezuitom Komisyę Edukacyjną, jak przeciwstawia się »nocy« »światłość«. Tymczasem rzeczywistość historyczna wskazuje, że przeciwstawienia takiego już choćby z tego względu nie można brać poważnie, bo wielką część Komisyi Edukacyjnej stanowili właśnie Jezuici po kasacie. Lub co powiedzieć o rozdziale czasów rozbiorowych na Kościół i na masonię, jako na dwa walczące światy, gdy wiadomo, że Kościół był wówczas w upadku i wielka część episkopatu polskiego należała właśnie do loży masońskiej. Nie były to dwa światy, ale jeden świat, świat ogólnego upadku obyczajów i gnicia. Masonia nie zjawiła się wówczas, jako nowy świat, ale, tak jak i dziś, jako grzyb, wyrastający ze zgnilizny.

Albo takie nadobne kłamstewko p. Feldmana już nie o czasach saskich, ale o tem, co się działo przed miesiącem w Krakowie, o tem, na co p. Feldman własnemi oczyma patrzył. Reakcyę przeciw rozruchom uniwersyteckim opisuje p. Feldman tak: »Jezuita, powołując się na naukę prawdziwą i wolność prawdziwą, pospieszył z klątwą, za nim — austryacki policyant«. Możnaby najpierw odpowiedzieć, że ten Jezuita żadnej klątwy nie rzucał, nazwał tylko rzeczy po imieniu — lecz o to mniejsza. Ale pośpiech policyanta? Przecież p. Feldman wie, że policya przy rozruchach uniwersyteckich tak dalece była bierną, iż obecnie podobno ma o to wytoczone śledztwo. Fakt drobny, ale rzucający bardzo charakterystyczne światło na dokładność rzeczową p. Feldmana wogóle.

Dość tej kontemplacyi drobiazgów — wejdźmy w syntezę autora.

* * *

Rysować się zaczynają w Europie naprawdę dwa walczące światy. Światem, któremu walkę wypowiedziano, jest katolicyzm — a drugi świat?

Pisaliśmy już o tem kilkakrotnie, raz nawet obszerniej w osobnej broszurze[1], możemy zatem w krótkich słowach wywody nasze powtórzyć.

---

[1] »Fałszowanie kierunku doby obecnej«. Kraków 1907.

Panujące jeszcze niedawno, wrogie katolicyzmowi, kierunki ideowe, naturalni rodzice dzisiejszej opinii, już albo zniknęły z widowni, jak pozytywizm, albo gonią już resztkami życia i istnieją już tylko jako martwa formuła bez treści, jak liberalizm. Razem oczywiście z zasadą upadają i jej konkluzye; cały zatem arsenał rynsztunku wojennego, jaki dwa te kierunki stworzyły przeciw katolicyzmowi, może mieć już tylko czysto historyczne znaczenie. Rdzewiejąca ta broń jest jeszcze wprawdzie w niejednych rękach w użyciu — nie zapominajny jednak, że o wyniku tej walki decyduje to, że żaden rzetelny umysł nie bierze już dzisiaj tej broni do ręki.

Na miejsce dwu tych kierunków przyszedł socyalizm, który, przez dziwne pomieszanie pojęć, przejął w spadku po swoich poprzednikach stanowisko wrogie katolicyzmowi. Były jednak od początku pewne momenty, które sprawiały, że socyalizm był bardzo dogodnym dla katolicyzmu przeciwnikiem. Już to najpierw, że po epoce nieuchwytnego agnostycyzmu, ignorującego z pobłażliwym uśmiechem zagadnienia religijne, przyszła epoka stanowczej walki, już to samo było dla katolicyzmu, któremu walka zawsze służyła, dodatnim objawem. W poprzedniej epoce nie było nieraz wiadomo, gdzie, z kim, jaką bronią walczyć należy; samo pojęcie walki o idee religijne trąciło starzyzną. Właściwie można było tylko wypowiadać opinie, które, w najlepszym razie, z innemi opiniami, wprost sprzecznemi, w równej linii rejestrowano. Socyalizm stworzył sytuacyę jasną i zdecydowaną. Najważniejszym jednak był ten moment, że w pewnych postulatach schodził się socyalizm z postulatami idei chrześcijańsko-społecznej, czem do jej zwycięstwa mógł się przyczynić — tam zaś, gdzie poza granice tej idei wychodził, gdzie był właściwym socyalizmem, był tak jednostronny i nieetyczny, że dla wielu, zwłaszcza dla umysłów głębszych, mógł być tylko drogowskazem do przeciwnego obozu. To też obserwować można było to zjawisko, że ze wzrostem socyalizmu, katolicyzm, po pewnej epoce uśpienia, wrócił z młodzieńczą siłą na widownię i wraz z socyalizmem zaczął dzielić świat na dwie połowy. Kwestya społeczna stała się kwestyą

panującą nad całym światem, a do rozwiązania jej stanęły naprzeciw siebie tylko te dwa obozy.

Tak było jeszcze temu lat kilka i tak powinnoby być i po dziś dzień, gdyby socyalizm był wiernym sobie. Niestety, zaszła nieoczekiwana zmiana. Nie tylko że stępiło się ostrze akcyi i dążności socyalizmu, ale i socyalizm cały stał się tępym pachołkiem innych żywiołów.

Nie jest celem tego miejsca wchodzić w rozwój tej metamorfozy; zastanawialiśmy się nad tą sprawą gdzieindziej. Wystarczy stwierdzić, że liberalna burżoazya i kapitalizm, którym socyalizm, z założenia swego, wypowiedział walkę, okazały się zręczniejszymi od swego przeciwnika. Przez sojusze polityczne, także wskutek opanowania socyalizmu przez żydów, wreszcie przez umiejętne wysuwanie na pierwszy plan drugorzędnych haseł socyalizmu, antyreligijnych, w miejsce pierwszorzędnych haseł społeczno-ekonomicznych — stało się, że socyalizm z dniem każdym coraz bardziej zdaje się zapominać o swoim właściwym celu. Jak dziś sprawy przedstawiają się, socyalizm istnieje tylko po to, ażeby do rozruchów antykatolickich dostarczać motłochu.

A znalazł się właśnie ktoś, kto te hasła rzuca, kto te rozruchy organizuje, kto wszystkie żywioły pod ten sztandar skupia.

Na pierwszy plan wysunęła się dziś masonia. Ta mityczna, podziemna, masonia, której istnienie wielu dotychczas kładło między bajki, dziś zrzuciła przyłbicę i w niejednem państwie, zwłaszcza w krajach rasy łacińskiej, rządzi się zupełnie otwarcie. Oplątawszy siecią tajnych organizacyi społeczeństwa, rozrzuciwszy po świecie drugie tyle publicznych związków pod hasłami wolnej myśli, etyki i praw człowieka, organizuje stałą kampanię przeciw katolicyzmowi.

Jest w całej tej dzisiejszej akcyi masonii wiele sztuczności i reklamy. Taką sztuczką była przed kilku laty próba wmówienia w Europę, że walka z katolicyzmem jest najwyższą ideą, panującą nad całym dzisiejszym światem, że jest duchem czasu. Sztuczka bardzo pomysłowa i bardzo zgrabna. Duch czasu jest tą potęgą, przed którą cały świat się chyli, przed którą otwierają się gościnnie wszystkie dziedziny życia. Pod wpływem też tej na-

rzuconej idei, przy pomocy prasy i reklamy, święciła masonia w ostatnich czasach dość znaczne i liczne tryumfy. Ale już próba owładnięcia Niemiec chybiła zupełnie, a klęskę wprost kompromitującą przyniósł atak na Austryę. Niemniej stwierdzić trzeba, że w ostatnim roku, w Austryi, krecia robota wolnomularskich związków niepomiernie się wzmogła i kiedyś mogłaby się dać dotkliwie odczuć.

Jak wytłumaczyć ten wzrost masońskiego ruchu? Najpierw, niechybnie, przypisać to trzeba sprężystemu i silnemu kierownictwu obecnego Wielkiego Wschodu, a więc osobistej zręczności. Główna jednak przyczyna leży głębiej. Dotknął jej mimowoli i po omacku p. Feldman, kiedy genealogię dzisiejszych dwu światów wyprowadził z czasów porozbiorowych Polski.

Analogia dni dzisiejszych z dniami tamtymi jest, pod tym względem, uderzająca. Tu i tam rozwój masonii ogromny — tu i tam rozwój ten masonii dokonywa się na gruncie skrajnego racyonalizmu i całkowitego rozluźnienia obyczajów.

Ze zgnilizny wyrasta ten grzyb i na bagnie tylko osiada ta pleśń!

Bo jakaż idea przyświeca tej dzisiejszej walce z katolicyzmem? Gdy w ubiegłem stuleciu jeden kierunek po drugim wytaczał walkę katolicyzmowi, to w walce tej, raz po razu, padały hasła, złudne wprawdzie, jako całość, ale w szczegółach ważne i doniosłe. I ewolucyonizm i pozytywizm i liberalizm i socyalizm, każdy z tych kierunków przynosił z sobą pewną ideę życiową i żywotną, przerośniętą lub niedorośniętą, ale żywą. Chodziło o takie czy inne zastosowanie wolności do urządzeń państwowych, o rozwój tej czy tamtej nauki, o stosunek Kościoła do państwa, o kwestye społeczne. A dziś? Zniszczenie religii, dla zniszczenia, odrzucenie wszelkich więzów, które namiętność w karbach trzymają. Wolność od węzłów małżeńskich i wolność szkoły od nauki religii, to jeszcze dwa najskromniejsze i najlepiej określone żądania masonii. O wyrzucenie Boga ze świata jej idzie i o zatarcie wszelkich Jego śladów, o unicestwienie religii i wszystkich płynących z niej obowiązków. Czyż może być celem dążeń ludzkich bardziej chorobliwa chimera i czyż w skutkach może być

bardziej zbrodnicze przedsięwzięcie? Jedyny surrogat za religię, propagowana przez masonię, zlaicyzowana etyka, już chyba stwierdziła dość wymownie ubóstwo wpływów praktycznych na życie, choćby tylko w tak zwanych Towarzystwach kultury etycznej. A wobec tego, jakie następstwa? Już samo zastraszające wyludnienie Francyi przekonać może, dokąd ten drogowskaz prowadzi.

Przytoczmy w tej sprawie zdanie bardzo postępowego autora: »Każdy naród, choćby najbogatszy w bagnety, jest słabym, skoro w duszach jednostek brak siły moralnej. A siłę tę u nielicznych, wysoce umysłowo wyszkolonych wyrabia wola, u milionów zaś wiara w sprawiedliwego Boga i życie po śmierci, której konsekwencyą jest odpowiedzialność za swe czyny. Można być zawziętym ateistą, a trzeba jednak przyznać, że niema lepszej szkoły karności, obowiązku i woli — tych kardynalnych podstaw zdrowego życia społecznego — jak religia chrześcijańska. Kto ją podkopuje w naszym narodzie, nie pomyślawszy o tem, by ją zastąpić czemś lepszem, ten postępuje już nie lekkomyślnie, ale wprost zbrodniczo«.

Nie dążność do postępu jest źródłem tego ruchu, ale cofnięcie się obyczajowe w pogaństwo i nie idea ludzka temu ruchowi przewodzi, tylko ludzkie zwierzę.

Tyle co do podwalin tego świata, którego p. Feldman chce być piastunem.

Przechodząc do naszych stosunków, zaznaczmy najpierw, że gdyby p. Feldman znał był lepiej sprawy polskie, albo jeżeli je zna, gdyby chciał być prawdomownym, byłby tak łatwo świata wolnej myśli polskiej nie zbudował. Działalność masonii w Polsce za Stanisława Augusta i za Księstwa Warszawskiego nie pozostawiła po sobie głębszych śladów, a działalność polskiej masonii dzisiejsza jest dopiero w kolebce. Działalność innych obozów o tendencyi antykatolickiej była tylko działalnością grup, bez wpływu na szersze warstwy, jak działalność pozytywizmu warszawskiego — albo, jeżeli dotarła do pewnej warstwy, jak liberalizm do warstwy inteligentnej, to nie w tym stopniu, by ją odłączyła całkowicie od obozu katolickiego lub zszeregowała w obóz antykatolicki. Zresztą po tych kierunkach, jeżeli o ścisłą

treść ideową chodzi, niema dziś prawie ani śladu. Jedyny materyał, którymby w budowie swojego świata mogła zdolność architektoniczna p. Feldmana operować, byliby dzisiaj tylko socyaliści, żydzi i grupa postępowców warszawskich. Te grupy są antykatolickie, ale na ogół nie są polskie, bo albo nie mogą mieć pretensyi do polskości, albo, jak większość polskich socyalistów i postępowców, z niej zrezygnowały. Bezwyznaniowy kosmopolityzm tak przeżarł mózgi tych doktrynerów, że nie tylko teoretycznie walczyli z »nacyonalizmem polskim«, z najelementarniejszemi podstawami każdej narodowości, ale i w życiu niejednokrotnie działali przeciw swemu społeczeństwu.

Jeżeli ilością mas nie imponuje świat p. Feldmana, to może wykazać się zdoła ilością wpływów i dzieł dokonanych? Otóż tu przeciwstawimy p. Feldmanowi takie twierdzenia: Niema ani jednego donioślejszego czynu społecznego w Polsce, w którymby nie brał udziału świat katolicki, i niema ani jednego takiego czynu, któryby stworzył świat antykatolicki. To, że p. Feldman anektuje dla swego świata sejm czteroletni, Konstytucyę trzeciego maja i Kościuszkę, to jest takim absurdem historycznym, iż wytłumaczyć psychologicznie można go tylko przysłowiem: tonący brzytwy się chwyta.

Niech p. Feldman zada sobie raz trochę trudu i rozglądnie się dokładniej w dziejach Polski, a może pojmie, że znajduje się w świecie zupełnie sobie obcym. Może pojmie, że jak z pnia katolicyzmu wyszły dzieje Polski, tak z nim ustawicznie zespolone były, że ten katolicyzm stał się istotnym czynnikiem tak ewolucyi historycznej kraju jak i duszy polskiej, i to tak dalece, że razem ze słabnięciem katolicyzmu i wiary w duszach i Polska upadała. Czasy rozbiorowe Polski, będące dla p. Feldmana ideałem, najlepiej tego dowodzą.

Przeciwnie, ruch antykatolicki był zawsze w Polsce albo zjawiskiem krótkotrwałem, przelotnym kaprysem — albo pozostawał poza społeczeństwem. Tak było zawsze i dziś nie jest inaczej. Oto, kilka dni temu, pojawiło się w warszawskim *Przełomie* Confiteor postępowców polskich, w którem z niezwykłą siłą i z niezwyklejszą jeszcze szczerością stwierdzoną jest ta prawda, że

dzisiejszy tak zwany postęp polski, powiedzmy raczej antykatolicyzm polski, nie tylko nie jest popularny w społeczeństwie, ale jest przez nie odtrącony i »wyrzucony poza burt nawy narodowej«.

»Fatalna taktyka — czytamy tam — skompromitowała postęp w szerokich warstwach polskiego społeczeństwa. Niepodobna było żyć samym krytycyzmem. Niepodobna besztać wszystkich, a samemu nie sięgać nawet po wawrzyn czynu i zasługi. Niepodobna stale postponować wszystkiego, co wyrastało z pnia narodowej tradycyi, nie dając w zamian nic szczerze chociażby swojskiego; naukowo-kosmopolityczne przesłanki nie wystarczą, jeżeli się nie udowodni, nie przekona, iż są one ewolucyą narodowej kultury, ewolucyą, co wszystko wyradza, przeradza i doskonali. Tymczasem polski postęp kazał się domyślać, w najlepszym razie, wierzyć na słowo, że jest narodowym. Gryzł naokoło, szarpał zębami nieraz co najczulsze, a wmawiał, iż sercem gryzie... Nie wierzono mu«.

Warto przytoczyć z tej odezwy kilka jeszcze interesujących ustępów:

»Stosunki poznańskie, na ogół, mniej interesowały postęp warszawski, bo choć szła tam robota szeroka i głęboka w ludzie, robota zgoła demokratyczna, to jednak była ona w ręku duchowieństwa katolickiego, a więc...

A na bliższym terenie: zachciało się np. Polakom dać ujście zebranym, długo hamowanym uczuciom, w patryotycznym obchodzie chlubnej rocznicy Konstytucyi 3 maja, konstytucyi, którą współczesny »postępowy« Jan Jakób Russeau nazwał najpostępowszą. A nasi postępowcy do pochodu — nie bardzo; skrajni zaś — za nic: ci znów chcieli »polskiego« 1 maja urządzić.

Pragnął cały kraj — jak kania wody, solidarnej, zgodnej roboty posłów polskich w rosyjskiej Dumie. A postępowcy: za nic. Opinia publiczna domagała się centralnego, wspólnego, powszechnego komitetu wyborczego, a postępowcy poszli z żydami przeciw komitetowi.

Zabłysnęły po całem Królestwie światełka Macierzy polskiej, a postępowcy przeciw niej frondę głosili.

Zażądano, aby posłowie energiczniej występowali w Dumie, a postępowcy — wydają odezwy, aby złożyli mandaty.

W zacietrzewieniu walki partyjnej z narodową grupą polskich postępowców, szli aż do szukania genezy sprawy chełmskiej w duchowieństwie polskiem! I doczekali się, iż cała Polska z mownicy dumskiej słyszała, jak prawicowcy zwalczali posłów polskich cytatami i argumentami »postępowców« warszawskich.

Zaślepienie w nienawiści stronniczej, brak wyczucia — płata im raz po raz figle, godne pożałowania. Weźmy, dla przykładu, sprawę

maryawicką. Z punktu widzenia postępowego, co radosnego lub dobrego w powstaniu nowej sekty religijnej, z zacięciem ascetyczno-mistyczno-cudownem? Czy można na to inaczej zapatrywać się, jak na jakiś odruch atawistyczny z czasów obskurantyzmu, który w naszym wieku XX chce wzbudzić przebrzmiałe walki religijne na tle nowych »objawień«? Ale dla naszych pism postępowych był to żer pożądany. Walka z katolicyzmem, ze znienawidzonym polskim klerem. I dochwalili się maryawitów, aż do wspólnej »solidarnej« roboty z *Nowem Wremieniem*, które, kubek w kubek, jest tegoż samego, co nasza postępowa prasa, zdania«.

Konkluzya tego manifestu brzmi dla »postępu polskiego« bardzo smutno i beznadziejnie: »czujemy się wyrzuceni za burt nawy narodowej, my co ster jej dzierżyć powinniśmy«.

Chyba aż nadto umotywowanem jest nasze powyższe twierdzenie.

A teraz na koniec tej dyskusyi o dwóch światach *Krytyki* jedno pytanie do p. Feldmana. Jakiem czołem p. Feldman przemawia w imieniu polskiej »wolnej myśli« i polskiego »postępu«, gdy przedstawiciele tych kierunków nie chcą mieć nic z żydostwem do czynienia? W powyżej przytoczonym manifeście postępowców jest ustęp jeden, omawiający udział żydów w uniwersyteckiej anarchii krakowskiej. Daje to autorowi manifestu okazyę do następującego oświadczenia o żydach wogóle:

»Co te żywioły mają wspólnego z postępem wogóle, nie wiem, ale z polskim w każdym razie nic... Co chwila dziś stwierdza się, iż wystarczy u nas byle kto i byle ilu, aby ogółowi nakazywać, aby narzucać skołatanemu społeczeństwu najszkodliwsze następstwa swych czynów. Zahypnotyzowali nas, aż do niemocy, frazesami o humanizmie i tolerancyi ci sami, co wśród i względem nas szerzą właśnie barbaryzm i nietolerancyę«.

Dużo silniej i bardziej stanowczo zerwał wszelkie stosunki z żydami inny odłam postępowców, stanowiący obóz wolnej myśli. Długi czas obóz ten opierał się na żydostwie, aż dnia jednego dokonał pewnego odkrycia. »Fakty ostatnich lat dowiodły — pisze p. Niemojewski — że postępowcy żydowscy oparli się wszelkim próbom szczepienia wolnej myśli wśród żydów i chcieli zawsze zredukować kampanię wolnej myśli w Polsce do atakowania katolicyzmu, z całkowitem pominięciem judaizmu«. Odkrycie to otwo-

rzyło p. Niemojewskiemu i towarzyszom oczy na inny fakt, ten mianowicie, że »ci pachciarze ideowi stanowią zakałę różnych grup naszych i wszędzie dali się we znaki — dali się we znaki postępowi, wolnej myśli, socyalizmowi«. Stąd wyciągnął p. Niemojewski wniosek: »należy rozbić w puch przesąd, że żydzi i postęp to jedno«.

Na podstawie tych rewelacyi powróćmy do roli postępowej p. Feldmana w stosunku do krakowskiej młodzieży uniwersyteckiej. Bardzo szczęśliwie się składa, że możemy wyręczyć się słowami pewnego autora, które do tej sprawy się stosują: »Żyd robi interes na zrujnowanym chłopie, więc go rozpija i rozleniwia, żyd czerpie zyski z rozpusty, więc dba o to, by jej nie brakło materyału, żyd zarabia na pornografii, więc stara się o nią w literaturze przez wszechwładną prasę i krytykę, żyd bierze lichwę, więc pcha do rozrzutności, żyda nic nie wiąże z naszą przeszłością, więc woła: precz z tradycyami! Żyd nienawidzi chrześcijaństwa, więc wpaja w młodzież niewiarę i popiera skwapliwie jej propagatorów! A cóż łatwiejszego, jak rwącej się do życia młodzieży odjąć wszelkie szranki moralne, wyzuć ją z wszelkiej karności wewnętrznej i ogólnej i nazwać to »postępem«! Cóż go jako międzynarodowego obchodzi upadek narodu, w którym żyje, jeśli jego interes materyalny, jego wpływ na tem zyska! Że zaś należy u ś p i ć c z u j n o ś ć patrzących dalej i głębiej, przeto według potrzeby ubiera się w togę to patryotyzmu, to wolności, to nauki, to kultury i t. d.«

Określenie zawarte w tem ostatniem zdaniu nazywa p. Feldman, w swym artykule, jezuityzmem. Zwracamy p. Feldmanowi, co do niego należy.

Że, pomimo tych gorzkich doświadczeń, p. Feldman niejednokrotnie jeszcze sięgać będzie po buławę hetmańską wolnej myśli, wiemy o tem dobrze. Wiemy też o tem, że *les esprits forts se rencontrent*, że zatem znajdzie p. Feldman w budowaniu swojego świata chętnych towarzyszy i pomocników. Mamy też pełną samowiedzę tego, że niejeden moment w Polsce katolickiej nie przedstawia się dzisiaj świetnie, że zatem moment taki stać się może łatwo nowym materyałem budulcowym w ręku

p. Feldmana i towarzyszy. I ten szczegół trzeba brać w rachubę, że kompania p. Feldmana raz po raz otrzymywać będzie komendę i sukkurs od austryackich swoich rasowych kolegów z nad błękitnego Dunaju, którzy nie na żarty zabrali się do roboty. Ale też to jest pewnem, że takie narzucone z Wiednia akcye, że takie artykuły, jak »Dwa światy«, budzą czujność i zagrzewają stronę przeciwną do pracy i samoobrony.

* * *

»Dwa światy« nie przedstawiają się zatem w Polsce tak, jak wydawały się swemu autorowi. Natomiast stwierdzić trzeba, że w tej chwili, w Polsce, rysować się zaczynają bardzo wyraziście dwa inne światy, a tym na imię:

polskość i żydostwo.

Zestawić tylko chwilę z przed kilku lat z chwilą obecną pod względem usposobień społeczeństwa polskiego do kwestyi żydowskiej, a ujrzy się, że między temi chwilami powstała czeluść. Społeczeństwo, które przedtem o tej sprawie nie mówiło wcale, a jeżeli zabierało głos, to głos ten gubił się w teoretycznych poglądach na kwestyę asymilacyi i antysemityzmu czy asemityzmu, poglądach sprawiających raczej wrażenie akademickich wywodów, niż społecznej dyskusyi — społeczeństwo to przyjmować zaczyna dzisiaj stanowczą postawę. Nie toczą się już rozwlekłe dyskusye, padać natomiast zaczynają krótkie słowa. Jest jakieś tajemne wrzenie w tem społeczeństwie, jakie było w niem zawsze w chwilach decydujących.

Jakżeż drażniącą być musiała postawa i działalność żydostwa, że tak pokojowo i lojalnie usposobione społeczeństwo, tak zahukane hasłami liberalnemi o tolerancyi, z powodu tylu względów natury politycznej i ekonomicznej z żydostwem liczące się — wyjść wreszcie musiało z bierności i równowagi?

Dziś jedynie w Księstwie Poznańskiem kwestya żydowska nie burzy krwi dlatego tylko, że żydów tam prawie niema; umiejętna gospodarka żywiołu chrześcijańskiego, jedyny sposób rozwiązania kwestyi żydowskiej, zmusiła żydów do opuszczenia nierentownego terenu. W Królestwie wre walka na wszystkich punk-

tach; najwierniejsi dotąd sprzymierzeńcy żydów, postępowcy, stali się dziś najzagorzalszymi ich przeciwnikami. W Galicyi mnożą się ciągle oznaki zbliżającej się burzy; żywioły wszechpolskie i katolickie już nie raz jeden przestrzegały żydostwo przed dalszemi prowokacyami. Zbytnie zaufanie w obecną sytuacyę polityczną kraju, nie jest dobrym rachunkiem; tyle ewentualności stanąć może do wyboru przed polityką!

Sytuacya obecna w Polsce jest taka, że słowo »antysemityzm« stało się anachronizmem. Antysemityzm wypowiada wojnę żydom, społeczeństwo polskie ma dziś wojnę przez żydów wypowiedzianą. Chce czy nie chce, w obronie swojej walczyć musi.

I to wojna na niejednem polu. Do dawnej walki ekonomicznej, do odwiecznej walki obyczajowej, toczonej przez korupcyę, przydają dziś żydzi, pod hasłami syonizmu i litwactwa, walkę narodową, a obecnie i walkę religijną. Tę ostatnią prowadzili już od dawna pod przyłbicą socyalizmu i wolnej myśli, dziś wypowiadają ją od siebie otwarcie.

Quem Deus perdere vult, dementat.

Ks. J. Pawelski.

Nadesłano do Redakcyi następujące książki:

Golgota niesławna. Anheli Konrad. Nakł. Spółki Wyd. Kraków 1910. Str. 145.

Bajki. Sieroszewski W. Z 50 rycinami. Kraków 1910. Str. 252.

Paweł Stalmach, jego życie i działalność. Grim E. Cieszyn 1910. Str. 310 in 12-o.

Problemat dziedziczności w patologii. Prof. dr. Klecki. Nakł. »Przeglądu lekarskiego«. Kraków 1910. Str. 79.

Nakładem Herdera we Fryburgu w Bryzgowii 1910—1911:

Der Monismus und seine philosoph. Grundlagen. Beiträge zu einer Kritik moderner Geistesströmungen. Friedrich Klimke S. J. Str. XXIII+620.

Zeremonienbüchlein für Priester und Kandidaten des Priestertums. Müller Joh. P. S. J. Dritte verbesserte Auflage. Str. XII+248 in 12-o.

Auswahl empfehlenswerter Bücher und Schriften für kath. Lehrerinen. Kaesen Wilhelm S. J. Wyd. drugie. 8-o. Str. XII+92.

Jacinto Vedaguer Atlantis. Deutsch von Clara Commer. Wyd. 2 i 3. 8-vo. Str. XXXII+156.

Enchiridion fontium historiae eccles. antiquae. Kirch Conradus S. J. 8-o. Str. XXX+636.

Lehrbuch der Moraltheologie. Koch Anton, Prof. Dr. der Theol. Wyd. 3. Str. XIV+688.

Lehrbuch der Kirchengeschichte. Knöpfler Alois, Prof. Dr. der Theol. u. der Philos. Wyd. 5. Str. 850.

Patrologie. Bardenhewer Otto Dr. Wyd. 3. 8-oduże. Str. XII+588.

Der zweite Brief des Apostels Paulus an die Korinther. Übersetzt u. erklärt von Dr. Joh. Belser, o. Prof. der Theol. 8-ka duża. Str. VIII3+82.

Die Staats- und Soziallehre des hl. Augustinus. Schilling Otto Dr. sc. pol. 8-a duża. Str. X+280.

Kirchliche Reformbestrebungen im ehemaligen Erzstift Mainz (1647—1673). Veit Andreas L. Dr. (Studien u. Darstellungen aus dem Gebiete der Geschichte. VII B. 3 H.) 8-ka duża. Str. XX+20.

Der Logos als Heiland im ersten Jahrhundert. Mit einem Anhang: Poimandres und Iohannes. Krebs Engelbert Dr. Theol. et Philos. 8-ka duża. Str. XX+184.

Die kirchlichen Zustände in Deutschland vor dem Dreissigjährigen Kriege. (Erläuterungen und Ergänzungen zu Janssens Geschichte des deutschen Volkes. VII B. 5 u. 6 H.) 8-ka duża. Str. VIII+254.

Nakładem Jadwigi z Łobzowa. Kraków 1910:

Biedna matka. Str. 31. — **Do młyna.** Str. 31. — **Jeszcze bajki.** Str. 54. — **Mnie.** Str. 48. — **Paciorek.** Str. 20. — **Pod kościołek.** Str. 36. — **Pod lipą.** Str. 55. — **Polne kwiaty.** Str. 57. — **Przeczytam.** Str. 49. — **Straszna wojna.** Str. 32. — **Z mojej chaty.** Str. 42.

BYZANTYNISTYKA I KRUMBACHER.

Studya nad średniowiecznem Byzancyum należały do niedawna do najbardziej zaniedbanych dziedzin naukowych. Prawie do połowy XIX wieku ta dziedzina średniowiecznej oświaty była dla nas niemal równie nieznaną i daleką, jak dynastye egipskie. Wprawdzie pojawiali się od czasu do czasu uczeni, którzy na tę lub ową stronę kultury byzantyńskiej zwracali uwagę, ale to były rzadkie wyjątki i nieśmiałe, drobne próby; ogół uczonych, zapatrzony w starożytną Helladę i Romę, upojony estetyczną kontemplacyą klasycznej kultury, dla tego »nizkiego i brzydkiego przedmiotu« — dla tysiącletniej oświaty średniowiecznej greckiej — nie miał ani interesu, ani zrozumienia. Nic więc dziwnego, że studyom nad tą epoką odmawiano prawa publiczności a nawet prawa istnienia. Dopiero w ostatnich lat dziesiątkach przyznano im to prawo i, dzięki usilnym i wytrwałym staraniom prof. Krumbachera († 1909 r.), przyjęto je do programu publicznych wykładów uniwersyteckich.

Żeby lepiej ocenić zasługi Krumbachera na tem polu, rzućmy najpierw choć pobieżnie okiem na historyczny rozwój byzantynistyki aż do wystąpienia Krumbachera.

I.

Początki studyów nad średniowieczną kulturą grecką sięgają aż XV wieku. Wywołali je poniekąd sami Grecy, którzy po zdo-

byciu Konstantynopola, osiedliwszy się w krajach zachodniej Europy, przynieśli ze sobą liczne rękopisy autorów byzantyńskich, wzbogacając nimi główniejsze biblioteki Zachodu. Zachodni uczeni mogli zatem bez wielkich trudności zapoznać się bezpośrednio z dziełami, w których życie prywatne i publiczne, polityczne i religijne imperyum rzymsko-wschodniego dokładnie i, wogóle mówiąc, bezstronnie jest odmalowane. Zaraz też pojawiają się we Włoszech i w Niemczech liczne tłumaczenia historyków byzantyńskich. W ślad za tłumaczeniami ukazują się publikacye samych tekstów greckich. Niemieccy uczeni pracują pierwsi na tem polu. Hieronim Wolf, humanista i profesor w Oettingen, jest tu głównym przedstawicielem. W latach 1557—62 ogłosił on tekst grecki z tłumaczeniem łacińskiem dzieł historycznych Zonarasa, Niketasa Akominatosa i Gregorasa. Dołączywszy zaś do tych wydań treść historyi Pochymeresa oraz łaciński przekład Laonikosa Chalkondylesa, stworzył Wolf pierwsze *Corpus Historiae Byzantinae,* które obejmowało tysiącletnie dzieje imperyum rzymsko-wschodniego i przez sto przeszło lat służyło za główne źródło do poznania tych dziejów.

Obok Wolfa pracowali inni. W ślad za Niemcami idą uczeni Niderlandów. Jan Meursius zasługuje tu na szczególniejszą uwagę. Zajmując się publikacyą tekstów byzantyńskich, widział Meursius jak wielka odrębność w języku i stylu wytworzyła się w przeciągu wieków między pisarzami greckimi średniowiecznymi i pisarzami epoki klasycznej. Żeby zatem ułatwić zrozumienie historyków byzantyńskich, wydał w r. 1617 swoje *Glossarium Graeco-Barbarum,* dzieło z wielu brakami wprawdzie i wkrótce przez lepsze zastąpione, jednak na owe czasy wybitne i uwagi godne, tem więcej, że było ono pierwszem w tym kierunku i podstawą *Glossarium* Du Cange'a. Prócz Meursiusa pracują na polu publikacyi historyków byzantyńskich znani filolodzy, Bonawentura de Smet (Vulcanius) i Teodor Dousa.

Trzeba jednak przyznać, że nie sam tylko czysto naukowy interes pobudzał uczonych zachodnich do zajmowania się literaturą byzantyńską. Hieronim Wolf podaje nam w przedmowie do

jednej ze swoich publikacyi[1] prawdziwą przyczynę zajęcia się tą dziedziną. Przed bramami stolicy Rzeszy niemieckiej stał sułtan Soliman II. Wschód tego państwa był już zdeptany przez Turków, a całe Niemcy drżały przed barbarzyńskim zwycięzcą. Chciano poznać przeszłość tego wroga, a tę znaleziono w dziełach pisarzy byzantyńskich. Tem się też tłumaczy, że Wolf i jego szkoła zajmowała się wyłącznie dziełami historycznemi, że dalej publikując i tłumacząc te teksty, nie zamierzali stworzyć systematycznego studyum nad literaturą byzantyńską, ale tylko dać w ręce publiczności źródła, do poznania historyi tego państwa.

W XVII wieku widzimy we Francyi ogólny wzrost nauk, zwłaszcza historycznych. Dzięki temu osiągają tu i studya byzantyńskie stosunkowo wysoki stopień rozwoju. W gronie uczonych, gromadzących się koło Ludwika XIV, powstaje myśl, by wszystkich dostępnych historyków byzantyńskich wydać w jednem *Corpus*. Uczony humanista i profesor Labbe (Labbaeus) S. J. jest ojcem tej myśli. W roku 1648 wydał Labbe pierwszy tom tego *Corpus*. W uroczystej przedmowie zwraca uwagę z jednej strony na wielką wartość i doniosłość literatury byzantyńskiej, z drugiej strony na jej dotychczasowe zaniedbanie; przedstawia światu swój zamiar, oraz rozwija program pracy; w jednolitym formacie ma ta publikacya objąć wszystkie dzieła historyków byzantyńskich, o ile je będzie można znaleźć w rękopisach główniejszych bibliotek Europy. Kończąc tę przedmowę, wzywa Labbe uczonych całego świata cywilizowanego do współpracy w tem wzniosłem dziele, obiecując w zamian, za każdą choćby drobną cegiełkę, nieśmiertelną sławę i wdzięczność przyszłych pokoleń[2].

---

[1] Niketas Akominatos.

[2] »Cette histoire byzantine — pisze Labbe — admirable par la multitude de ses événements, agréable par leur variété, remarquable par leur durée, est assez comparable à celle de l'ancienne tome, pour que tous les savants l'aiment et la cultivent, pour que tous les livres qui la renferment, soient ovidement recherchés«.

Kończąc woła: »Courage donc, savants de tout l'Univers, amis des lettres et de la gloire! Produisez toutes les richesses qui se cachent chez vous, eseplorez les rayons des bibliothèques, fouillez les moindres recoins, parcourez les musées, avertissez vos amis... deployer toute votre ardeur...

Te wspaniałe obietnice zostały dotrzymane. Od 1648 do 1688 r. wyszło pod protektoratem króla, z jego drukarni i jego kosztem 40 tomów *in folio*. Według programu O. Labbe i poniekąd pod jego kierunkiem pracowali zakonnicy i świeccy, francuscy i obcy uczeni, wszyscy wspólnemi siłami nad budową tego nowego *Corpus Historiae Byzantinae*. A chociaż ta publikacya zawiera w sobie wiele błędów i nie odpowiada dzisiejszym wymaganiom naukowym, to jednak w adnotacyach nagromadzony jest tak obfity materyał filologiczny, historyczny, archeologiczny, topograficzny, oparty przeważnie na bezpośredniem studyowaniu rękopisów, że dziś jeszcze te folianty mogą oddać wielkie usługi każdemu, kto kulturę byzantyńską bada.

Ale na tem się nie kończyła praca byzantynistów XVII w. Zajmując się historyą państwa rzymsko-wschodniego, zetknęli się oni z natury rzeczy z innemi także stronami kultury tego państwa i nie mogli ich pominąć milczeniem. Leo Allatius ogłasza swoje studya literackie: *Diatribae de Psellis, de Georgiis, de Theodoris, de Simeonibus*. W tych monografiach zbiera Allatius pisma, które jakikolwiek Psellos, Georgios lub Simeon napisał, sortuje je i rozdziela na pojedynczych autorów tego nazwiska, oraz omawia ich treść i wartość literacką. Są to pierwsze próby historyi literatury byzantyńskiej.

Du Cange, równie znakomity jako filolog, historyk, archeolog, numizmatyk i topograf, podniósł studya byzantyńskie do wysokiego stopnia rozwoju. Oprócz wielu innych jego prac, znane są w świecie uczonym dwa główne dzieła: *Historia byzantina duplici commentario illustrata* i *Glossarium ad Scriptores mediae et infimae graecitatis*. W pierwszem dziele daje nam on dokładną i obszerną genealogię i historyę panujących i arystokratycznych rodzin byzantyńskich, oraz dokładną na owe czasy topografię Konstantynopola. *Glossarium* opracowane na podstawie wyżej wspomnianego *Glossarium Graeco-Barbarum* Meursiusza

---

Nous pouvons vous promettre, en retour, de publier les services que vous nous aurez rendus: leur souvenir conservé par les caractères royaux sera repandu sur la surface de la terre et conservé dans la posterité par un monument plus durable que le marbre ou l'oirain« ...

jest kluczem do zrozumienia pisarzy byzantyńskich. Obydwa dzieła Du Cange'a nie są wolne od licznych i nieraz bardzo dokuczliwych błędów i braków, mimo to są one dziś jeszcze niczem niezastąpionym środkiem pomocniczym w studyach byzantyńskich.

Młodszy od Du Cange'a Bernard de Montfaucon, wychowany w szkole Du Cange'a i Mabillona, był w swoim czasie jednym z najlepszych znawców literatury byzantyńskiej. Montfaucon zajmował się przedewszystkiem wydawaniem Ojców greckich. Zwiedzając ważniejsze biblioteki Europy, przedewszystkiem włoskie, i szukając po rękopisach tekstów Ojców greckich, nabył Montfaucon gruntownych znajomości paleograficznych. W dziele *Palaeographia Graeca,* rozwija przed nami po raz pierwszy zasady paleografii greckiej i staje się przez to twórcą tej dziś tak ważnej gałęzi wiedzy. Jego teorye paleograficzne jeszcze dziś mają naukową wartość. Na uwagę zasługuje tu również Benedyktyn Anzelm Bandurius, którego *Imperium Orientale* jest jednem z głównych źródeł do geografii i topografii państwa rzymsko-wschodniego.

Obok historyi politycznej zajmowano się w XVII w. żywo historyą Kościoła byzantyńskiego. Nie tylko że wydawano Ojców greckich, ale ogłaszano własne studya nad Kościołem wschodnim. Le Quien wydaje na wzór *Gallia Christiana* swój *Oriens Christianus.* W 3 tomach *in folio* daje nam spis biskupów, metropolitów, patryarchów oraz krótką historyę pojedynczych biskupstw całego Kościoła wschodniego. Dzieło to na każdym kroku wykazuje wielkie, dokuczliwe braki, ale dziś jeszcze nie jest zastąpionem przez lepsze. Znany nam już O. Labbe publikuje w 18 tomach akta koncyliów; Dominikanin Goar przebywa 8 lat na Wschodzie, a owocem tych studyów to jego *Eucologium sive Rituale Graecorum.* Są to bardzo ważne dokumenty, odnoszące się do Kościoła i liturgii wschodniej. Wyżej wspomniany Leon Allatius zajmuje się głównie sprawą unii. Obok wielu innych znanem jest jego dzieło *De Ecclesiae Orientalis atque occidentalis perpetua consensione.* Allatius podaje nam w tem dziele krótki szkic walk między Kościołem zachodnim a wschodnim, stara się wykazać, że w rzeczach istotnych obydwa Kościoły zawsze się

zgadzały. W swoich sądach o prawosławnych patryarchach i uczonych jest Allatius tendencyjny, często niesprawiedliwy, mimo to jego dzieło służyło przez cały wiek XVIII i do połowy XIX jako główne źródło do historyi wschodniego Kościoła; a i dziś jeszcze są historycy, dla których Allatius jest pierwszą powagą.

Tak więc widzimy, że studya nad historyą byzantyńską osiągnęły w XVII wieku we Francyi wysoki stopień rozwoju. Ale ze śmiercią głównych przedstawicieli tych studyów malał i zapał dla nich. W wieku XVIII panuje we Francyi zupełnie inny duch. Filozofowie i uczeni XVIII wieku studyowali i pisali historyę różnych narodów; ale czynili to tylko w tym celu, żeby z tej historyi czerpać dowody na swoje teorye, przez nią szerzyć w społeczeństwie swoje idee; historya miała zatem w XVIII w. to samo zadanie, co filozofia, powieść, poezya, teatr. Natomiast w dziejach Byzancyum z jego Basileusem i patryarchą na czele, z jego charakterem konserwatywno-chrześcijańskim, z jego naiwną wiarą w cuda, nie znajdowali ci uczeni żadnego poparcia i dowodu na swoje teorye, więc z niechęcią odwracali się od tego imperyum. Voltaire, Montesquien i inni nie mogą znaleźć dosyć słów i epitetów, żeby wyrazić swój wstręt do tego średniowiecznego państwa. Według nich znajduje się to imperyum w ciągłym upadku; to olbrzymi organizm bez ducha i życia, który począwszy od VI wieku powoli się rozkłada i kostnieje. Na jedną trudność nie mogą sobie jednak ci uczeni odpowiedzieć: jak ten umierający organizm mógł przez tak długie wieki istnieć, a nie tylko istnieć, ale krwawe, bohaterskie staczać walki, podbijać sobie narody lub bronić siebie i całą zachodnią Europę przed pogańskim wrogiem. Wyrazy: »byzantyński«, »byzantynizm« otrzymały od tych uczonych swoje charakterystyczne znaczenie; całe imperyum zaś nazywano: *le Bas — Empire.* Lebeau we Francyi i Gibbon w Anglii piszą wprawdzie obszerne historye *du Bas — Empire.* Ale i oni widzą to tysiącletnie imperyum w ciągłym upadku. Przy pomocy dowcipnych anegdotek, bajek, genialnych antytez starają się obydwaj historycy jak najdobitniej scharakteryzować to państwo, zaznaczyć i wykazać jego przeżycie się i ciągłe kostnienie. Tak więc dzieła Lebaue'a i Gibbon'a są jakby jednem

wielkiem oskarżeniem i potępieniem Byzancyum. Jak zatem w XVII wieku najwięksi uczeni francuscy zajmowali się historyą byzantyńską, tak w XVIII wieku tylko ze wstrętem i pogardą o niej wspominano.

W innych państwach Europy nie było lepiej. Wprawdzie w r. 1730 wydaje polyhistor Albert Fabrycius swoją *Bibliotheca Graeca*, zawierającą w 12 tomach katalog wszystkich na owe czasy dostępnych pisarzy bizantyńskich, z uwzględnieniem ich dzieł. Fabrycius czerpie obficie z paryskiego *Corpus Historiae Byzantinae;* jego dzieło ma wiele błędów i braków, ale jeszcze dziś, choć bardzo przestarzałe, niczem nie jest zastąpione. Każdy, kto się dziś zajmuje literaturą byzantyńską, znajdzie w dziele Fabryciusza stosunkowo dobrego — choć niezupełnie pewnego — przewodnika. Prócz Fabryciusza zajmują się inni historyą i literaturą byzantyńską; ale te wszystkie prace były zbyt nieznaczne, zostały bez ogólnego wpływu.

We Francyi trwał ten stan do połowy XIX wieku; w Niemczech rozpoczyna się prędzej odrodzenie. Uczeni niemieccy stykali się na każdym kroku z historyą byzantyńską i byli zmuszeni ją uwzględniać; było zatem potrzeba odpowiednich źródeł. Paryskie *Corpus Historiae Byzantinae* było niezupełne, przytem niełatwo przystępne, tak z powodu swej rzadkości, jako też z powodu formatu. Żeby temu brakowi zapobiedz, powzięła berlińska Akademia Nauk pod przewodnictwem B. Jerzego Niebuhra, prof. historyi rzymskiej, myśl stworzenia nowego *Corpus Historiae Byzantinae,* któreby w przystępnym formacie wszystkich historyków byzantyńskich obejmowało. Według myśli Niebuhra, miało to przedsięwzięcie stać się: »für die Philologie und Geschichte höchst erhebliches, für unsere Nation rumvolles Unternehmen«. Nie było to winą Niebuhra, że się zupełnie inaczej stało. Wydania sporządzone przez samego Niebuhra lub pod jego kierunkiem zasługują na uznanie. Ale po śmierci Niebuhra zajął się tem wydawnictwem filolog klasyczny, Em. Bekker, który historyi byzantyńskiej ani nie rozumiał, ani się nią żywo nie interesował. Bez samodzielnych głębszych studyów, bez nowych rękopisów przedrukowano po większej części paryskie *Corpus* wraz z jego błę-

dami i dodano wiele nowych błędów. Nie brak odpowiednich uczonych był tego przyczyną, ale tamujący wpływ Bekkera. Trudno pojąć jak berlińska Akademia mogła pozwolić na podobną pracę. Aczkolwiek jednak publikacye w *Bonner Corpus* nie wytrzymują żadnej krytyki i Akademii berlińskiej wcale sławy nie przynoszą, to jednak zostały po większej części oddrukowane w Patrologii Migne'a; i kto się dziś zajmuje literaturą i cywilizacyą byzantyńską, chcąc nie chcąc musi się opierać na tekstach greckich, publikowanych w *Bonner Corpus.*

W połowie XIX wieku następuje ogólny wzrost nauk. Filologia, historya świecka i kościelna, archeologia i inne gałęzie wiedzy budzą do siebie zamiłowanie. Uczeni i artyści udają się na daleki Wschód, żeby tam się kształcić, szukają nowych źródeł i motywów, grzebią w ziemi i w bibliotekach, badają literaturę i sztukę bizantyńską i przekonywują się, że kultura ta wywierała wielki wpływ na cywilizacyę zachodniej Europy, że nie tylko w czasie wojen krzyżowych, ale przez cały czas istnienia tego imperyum rzymsko-wschodniego było niewidzialne wzajemne oddziaływanie. Tak więc siłą rzeczy zachodni uczeni byli zmuszeni zająć się cywilizacyą wschodnią. To jeden czynnik, który wpłynął na wzrost studyów byzantyńskich w XIX wieku. Drugi czynnik upatruję we filhellenizmie, który w tym czasie do chorobliwej przesady dochodził. Oczy całej Europy zwrócone były na tę małą Grecyę, która od 1821 r. w bohaterski iście sposób walczyła z pogańskim wrogiem, którego jarzmo przez 4 wieki dźwigała. W r. 1827 wmieszały się w tę nierówną walkę państwa zachodniej Europy, zmusiły Turcyę do zawarcia pokoju; w r. 1830 kongres w Londynie uchwalił niepodległość Grecyi; książę bawarski Otto powołany został na pierwszego króla tej nowej Hellady. Z entuzyazmem badano język, literaturę, przeszłość tego nowego królestwa. Podczas gdy jedni, na ich czele największy filhellenista, król bawarski Ludwik I, w nowożytnych Grekach widzieli bezpośrednich potomków Peryklesa i ich historyę wprost o epokę wojen perskich zaczepiali, to drudzy, ludzie trzeźwiejszego umysłu, wskazywali na to tysiącletnie imperyum byzantyńskie, które starą Helladę od nowej odgradza. Tak więc to zaj-

mowanie się nowożytną Grecyą koniecznością rzeczy prowadziło do studyowania cywilizacyi i historyi byzantyńskiej. A zatem podniesienie się oświaty wogóle i filhellenizm: to główne czynniki, które ten wielki wzrost studyów nad cywilizacyą bizantyńską w drugiej połowie XIX wieku wywołały. Oprócz tego działały nieraz wpływy narodowe, jak we Francyi i Rosyi, lokalne a często indywidualne. Karol Hopf, Miller, Miklosich badają dokumenta odnoszące się do historyi byzantyńskiej; w Anglii pisze Finlay obszerną historyę tego państwa [1], we Francyi A. Rambaud ogłasza swoją znakomitą monografię nad Konstantynem Porphyrogenetą. Rambaud daje nam w tem dziele doskonały obraz cywilizacyi byzantyńskiej w X wieku; wykazuje doniosłość i znaczenie byzantyńskich literatów i encyklopedystów, którzy w swoich pracach przechowali nam kulturę klasyczną i stali się przez to: *les bibliothècairs du genre humains.* Dalej zwraca Rambaud uwagę na ten wielki wpływ Byzancyum na etnografię i cywilizacyę przedewszystkiem słowiańskich ludów. Karol de Boor i Bury zajmują się krytycznem wydaniem historyków byzantyńskich; Hergenröther wydaje swoje obszerne i dziś miarodajne studyum nad Focyuszem i wogóle nad powolnem powstaniem rozdwojenia kościelnego. Prawo byzantyńskie badają Zach. von Lingenthal, Heimbach, Mommsen, Kroll, Montreuil i inni. Kardynał Pitra stał się nieśmiertelnym przez odkrycie poezyi byzantyńskiej. Jeszcze przed kilku dziesiątkami lat było w świecie uczonym dogmatem, że Byzantyńczycy nie znali poezyi. Kardynał Pitra pierwszy wykrył zasady byzantyńskiej poezyi i rozbudził dla tych pieśni wielkie zainteresowanie się. Didron wykrywa w r. 1845, w czasie swojego pobytu na Athos, rękopis, w którym się znajdują zasady ikonografii i wogóle przedstawiania scen religijnych. Jest tam wszystko dokładnie określone: jak trzeba ikony w kościele ustawiać, jak malować należy pojedyncze osoby np. w scenie Narodzenia Chrystusa Pana. Do tych przepisów stosowało się religijne malarstwo byzantyńskie. Labarte, studyując

[1] *A history of Greece from its conquest by the Romans to the present time.*

zabytki byzantyńskiej sztuki, dochodzi do wniosku, że cała sztuka średniowieczna zachodnia pochodzi z Byzancyum. Twierdzenie to bez wątpienia przesadne, ale w każdym razie wywołało wielkie zainteresowanie się tymi zabytkami byzantyńskiej sztuki. Na polu archeologii liczne ekspedycye naukowe prowadzą dalej prace rozpoczęte przez Du Cange'a i Banduriusza. Znane są znakomite studya Karola Diehl'a i jego szkoły, Schlumberger zajmuje się szczególnie numizmatyką byzantyńską i tworzy nową gałąź wiedzy, »Sigillografię«, przy pomocy której można bliżej określić niektóre fakta historyczne i oznaczyć ich datę. Z bibliotek na Athosie wyciągają uczeni liczne rękopisy, zawierające jeszcze niewydane i nieznane teksty, odnoszące się do historyi i literatury byzańskiej. Sp. Lambros, Psichari, Wagner, Legrand zbierają pieśni, podania ludowe i bajki nowogreckie. Badając je i rozbierając filologicznie i folklorystycznie, dochodzą do wniosku, że w tych nowożytnych pieśniach greckich znajduje się bardzo wiele zabytków i motywów średniowiecznych, i tak dochodzą do literatury ludowej byzantyńskiej.

Tak więc widzimy, że w drugiej połowie XIX wieku cywilizacya byzantyńska jest na całej linii studyowana: historya kościelna i polityczna, prawo cywilne i kościelne, poezya kościelna i świecka, filologia, archeologia, folklor. Studya i prace uczonych francuskich obracały się przeważnie na polu historyi i archeologii. Uczucie i duma narodowa są tu głównymi motywami. Zajmowali się oni przeważnie epoką wojen krzyżowych, w której się głównie pokazuje wielkość i panowanie Francyi na Wschodzie. W tym czasie rycerze francuscy osiedlają się na Bałkanie, wznoszą budowle (kościoły i zamki), wskutek tego powstaje w sztuce i literaturze mieszanina motywów romańskich z byzantyńskimi. Rosya zaś uważa się za potomka w prostej linii po Byzancyum i za jego spadkobierczynię polityczną i kościelną; więc i rosyjscy uczeni zajmują się cywilizacyą byzantyńską, uważając ją niejako za swoją przeszłość.

Atoli te wszystkie usiłowania nad wyświetleniem cywilizacyi byzantyńskiej, nie były oficyalne, ale zostawione prywatnej pracy. Tej tysiącletniej epoki byzantyńskiej nie studyowano dla

niej samej, jako samodzielnego ogniwa w historyi ludzkości, ale tylko ze względu na inną, oficyalnie uznaną, gałąź wiedzy; każdy uczony zajmował się ubocznie, i jakby przypadkowo, niektórymi objawami kultury byzantyńskiej, o ile mu ich znajomość była potrzebną lub pożyteczną do jego własnych prac, przeważnie do studyów klasycznych. Tak więc, chociaż te studya byzantyńskie z latami się wzmagały, to jednak były one rozbieżne, bez wspólnej łączącej je idei, bez wspólnego planu. Każdy pracował na własną rękę. Tłumaczy się to po części tem, że Byzantyńczycy i od nich kulturalnie i historycznie zależne narody tak długo i tak dalece byli oderwani od zachodniej Europy, że ich potomkowie i dziedziczni następcy jeszcze dziś nie zaliczają się do Europy. Ten prawosławny Wschód tworzy dla siebie świat, który jako napół cywilizowany, napół dziki kompleks państw i narodów, leży między cywilizowaną Europą a dziką Azyą. To wielokształtne zbiorowisko narodów, które w przeszłości było ochronnym murem Europy przeciw azyatyckiej dziczy, a na przyszłość zdaje się stać mostem dla cywilizacyi Europy na daleki Wschód, było aż do najnowszych czasów mało uwzględnianem i znanem. To było po części przyczyną, że te studya byzantyńskie nie były uważane za równouprawnione i jako takie prowadzone. W każdym razie mur, otaczający starożytną Grecyę i Romę, był już zburzony, filolodzy klasyczni przekroczyli nieświadomie granice swego badania, przekonali się, że w rozwoju cywilizacyi narodów niema wyraźnych granic, spostrzegli, że starożytna kultura, której estetyczną kontemplacyą się dotychczas bawili, przedzierzgnęła się w ciągu wieków w nową, byzantyńską.

Pole zatem było przygotowane, potrzeba było tylko odpowiedniego umysłu, któryby zrozumiał doniosłość tej nowej gałęzi wiedzy, zorganizował ją, ujął w koryto i nadał jej pewny, jednolity kierunek.

Wtedy wystąpił na widownię prof. Karol Krumbacher.

(Dok. nast.).

Ks. Karol Ranoszek.

SPOŁECZNA DZIAŁALNOŚĆ
KÓŁEK ABSTYNENCKICH WŚRÓD MŁODZIEŻY.

Każdy, kto się poważnie zastanawia nad społeczną odpowiedzialnością i nad dobrem własnej pomyślnej przyszłości, nie może być obojętnym wobec działalności i żądań, z jakiemi występuje, ruch abstynencki. Mówi M. Heleniusz w swem dziele »Kwestya alkoholizmu«, że »sprawę alkoholu trzeba rozwiązać a rozwiązanie jej jest jednem z najważniejszych współczesnych zadań społeczych«.

Wszędzie i na każdem polu akcyi społecznej trzeba się zajmować kwestyą alkoholizmu, ale na pierwszem miejscu wśród młodzieży, której ciało i duch nie są zatrute alkoholem.

Potrzeba pracy abstynenckiej wśród młodego pokolenia opiera się na dwóch głównych zasadach. Jedną, jak uważa Heleniusz, wyraża znane przysłowie, »łatwiej chorobie zapobiedz, niż ją wyleczyć«. Oświecając młodzież o szkodliwości napojów alkoholowych, ucząc ją powstrzymywać się, zanim zacznie używać, usiłuje się wychować pokolenie trzeźwiejsze od dzisiejszego.

Druga zasada jest jeszcze ważniejsza. Znana amerykańska Mrs. Hunt wypowiedziała ją przed amerykańską komisyą senatu w słowach następujących: »jeżeli dziś uratujemy dzieci, uratujemy jutro cały naród«. Według tej zasady, nie chodzi już o wyrwanie młodzieży z objęć alkoholu, lecz o wychowanie z tej młodzieży nowego pokolenia, któreby było uposażone wiadomościami

i siłą tak, że udałoby mu się wyrwać z korzeniem nędzę alkoholizmu i przełamać potęgę przemysłu alkoholowego.

Nie potrzeba udowadniać, że młodzież wszystkich stanów, a zwłaszcza rękodzielnicza i robotnicza zatruwa się alkoholem, bo tego doświadczenie codzienne uczy.

Ankiety przeprowadzone w szkołach zachodnio-europejskich amerykańskich, rosyjskich stwierdzają, że nie tylko wśród młodocianych rękodzielników i robotników, uczniów szkół średnich i t. p., ale nawet wśród dzieci poniżej lat 12, znajduje się znaczna liczba oddających się piciu nałogowo.

Badania rządowe, przeprowadzone niedawno temu w szkołach Dolnej Austryi, a obejmujące 88.895 chłopców z Wiednia i 102.824 chłopców ze wsi, jako też 92.153 dziewcząt z Wiednia i 104.283 dziewcząt ze wsi dały wynik następujący:

Regularnie piło

	Chłopców		Dziewcząt	
	W Wiedniu	Na wsi	W Wiedniu	Na wsi
Piwo	32%	12%	33%	12%
Wino	11%	20%	12%	20%
Wódkę	4%	4%	3%	2%

Przygodnie piło

	Chłopców		Dziewcząt	
	W Wiedniu	Na wsi	W Wiedniu	Na wsi
Piwo	92%	89%	91%	86%
Wino	82%	91%	81%	90%
Wódkę	49%	51%	41%	41%

Podobne badania przeprowadzone w r. 1901 przez towarzystwo wstrzemięźliwych nauczycieli w Holandyi, a obejmujące 4.380 dzieci, dały wynik następujący:

Codziennie piło

Piwo	4.00%
Wino	0.38%
Wódkę	0.28%

Przygodnie piło

Piwo	66.8%
Wino	29.6%
Wódkę	44.0%

W Rosyi stwierdził Grygorjew, że z pomiędzy 42 chłopców szkolnych w Petersburgu, w wieku od 8—11 lat, alkoholu używało 37.

Według zaś ostatnich obliczeń berlińskich lekarzy szkolnych, z ogólnej liczby uczniów, nie pije nigdy 16·6 proc., 38·3 pije raz na tydzień piwo, 10·9 proc. pije wódkę.

Procent uczniów nie mogących obejść się bez piwa lub wódki wynosi 33·7 proc. Tak więc z ogólnej liczby uczniów cztery piąte oddaje się w mniejszym lub większym stopniu piciu, wyrabiając w sobie jego nałóg ze wszystkimi jego skutkami.

W Monachium na 4.572 młodych było tylko 13·1 procent abstynentów. Z reszty 53·3 proc. piło »przy okazyi«, 10 proc. było nałogowych pijaków ze wszystkiemi, im właściwemi, zmianami patologicznemi.

Statystyka zachodnio-europejska rozporządza danemi bardziej jeszcze zdumiewającemi. Tak n. p. w jednej ze szkół ludowych w Nordhausen było 49 uczniów w wieku 7 lat, z tej liczby 40 piło wódkę z przyzwyczajenia. Na 28 dziewcząt, uczennic IV klasy, w wieku 10 lat, 24 piło wódkę.

U nas niestety nie mamy pod ręką żadnej dokładniejszej statystyki używania alkoholu wśród młodzieży. Doświadczenie tylko stwierdza, że używanie alkoholu jest nie mniejsze u naszej młodzieży, niż za granicą, a w wielu okolicznościach nawet znacznie większe. Jednak dwie statystyki niedawno przeprowadzone przez prywatne osoby odsłaniają dobitnie, jak zastraszająco rozwinął się wśród młodzieży zwyczaj używania trunków alkoholowych.

Statystyka uczniów VII kl. jednego z gimnazyów Krakowa [1].

Ogólna liczba uczniów 36
Katolików 32
Żydów 4

	Katolicy	Żydzi		
Abstynenci	3	—	Razem	3= 8·3%
Używających alkoholu okolicznościowo . . .	26	4	Razem	30=83·3%
Stale (codziennie lub nad miarę)	3	—	Razem	3= 8·3%
Razem	29	4	Na	33=91·6%

[1] *Młodzież*. Grudzień 1910.

Jeszcze gorzej wśród młodzieży rękodzielniczej i robotniczej. Tąk n. p. w r. 1908, zakładając pierwsze w naszym kraju Kółko abstynentów katolickiej młodzieży rękodzielniczej i robotniczej w Krakowie, na przeszło 170 młodocianych, należących do Polskiego Związku katolickich uczniów rękodzielniczych, nie było można znaleźć a n i j e d n e g o terminatora, któryby przynajmniej »przy okazyi« nie używał alkoholu, a kilkunastu było co stale, a k i l k u, którzy przed wstąpieniem do Związku byli pijakami, lub których trzeba było dla notorycznego pijaństwa ze Związku wydalić. Przytem trzeba zauważyć, że do Związku zwykle wstępują terminatorzy, którzy względnie odznaczają się wstrzemięźliwością w piciu.

A więc, biorąc ogólnie, w przybliżeniu można śmiało powiedzieć, że młodocianych rękodzielników i robotników, używających alkoholu, w r. 1908 w Krakowie było od 97%—99%.

Badano też przyczyny zalkoholizowania tejże młodzieży. Wynik jest następujący: Trzy są główne przyczyny: 1. Przykład starszych po pracowniach. 2. Towarzystwo pijących starszych kolegów. 3. Posyłanie ucznia przez majstra, a zwłaszcza czeladników po piwo, wódkę, wino i t. p.

Jak rozpija się młodzież rękodzielnicza i robotnicza można się też przekonać z soboty na niedzielę i wieczorami z niedzieli na poniedziałek w takim n. p. Krakowie. Niemal co krok, zwłaszcza na przedmieściach Krowodrzy, Kazimierza, Grzegórzek, Ludwinowa, Czarnej wsi i t. d. można widzieć młodocianych pijanych, a zwłaszcza murarczyków.

Również wielkie nadużycia alkoholu dały się zauważyć w ostatnich czasach wśród młodzieży szkół średnich, handlowych i t. p. Byliśmy świadkami zastraszających wypadków na wycieczkach, balach, majówkach, przy uroczystościach domowych, rodzinnych, koleżeńskich, a zwłaszcza po tak zwanych nocnych towarzyskich zebraniach.

A więc i u nas złe jest. Stąd trzeba się zabrać do walki z alkoholem, bo z powodu tego zaniedbania młodzież polska na tem dużo cierpi fizycznie, duchowo i moralnie. Trzeba przystąpić do pracy w kwestyi alkoholizmu bez zwłoki!

Wiele państw w Europie i w Ameryce rozpoczęło na seryo walkę z alkoholem. Tak n. p. propaganda antyalkoholowa w szkołach amerykańskich jest zdumiewająca. W r. 1902 wprowadzono we wszystkich szkołach amerykańskich i zakładach szkolnych naukę fizyologii i hygieny, przyczem pewna liczba wykładów obowiązkowo poświęcona być musi dokładnemu omówieniu alkoholizmu i wpływu jego na organizm. W chwili obecnej, według statystyki, 22 miliony dzieci i młodzieży wychowuje się w Stanach Zjednoczonych w surowej wstrzemięźliwości od napojów spirytusowych.

W Anglii zaś poprzestano po największej części na działalności prywatnej. *Bond of Hope Union* jest w Anglii najznakomitszym pionierem działalności abstynenckiej wśród dzieci i młodzieży. W r. 1901 liczyło to towarzystwo razem z innemi abstynenckiemi organizacyami dzieci i młodzieży 3,504.544 członków. Obok tej wspaniałej działalności poza szkołą, zajmowało się towarzystwo od r. 1888 także pracą w murach szkolnych. Początkowo utrzymywało towarzystwo 7, a potem 17 prelegentów, odwiedzających szkoły. Do r. 1901 mieli ci nauczyciele 34.000 wykładów w szkołach, którym przysłuchiwało się 3,800.000 uczniów i 117.000 nauczycieli. 55% czyli 1,700.000 słuchaczy młodocianych nadesłało piśmienne sprawozdanie z wykładu usłyszanego, a z wypracowań tych 40—50% nagrodzono.

Za Ameryką i Anglią poszły inne kraje i mniej więcej od roku 1894 zaprowadziły u siebie po szkołach wykłady o alkoholizmie. I tak: w Szwajcaryi w r. 1896, Holandyi 1900, Danii 1894, Szwecyi 1892, Norwegii i Finlandyi 1898, we Francyi i Belgii stosunkowo niewiele, w Niemczech w ostatnich czasach zabrano się po szkołach do pracy. W Austryi już poczynione są energiczne kroki w sprawie szkolnych wykładów.

W ostatnich czasach, coraz natarczywiej żądają, ażeby i uniwersytety objęły programami swymi alkohologię (naukę o alkoholu), bądź ustanawiając katedry tego przedmiotu, bądź też włączając ją do jakiego wykładu medycznego, co urzeczywistnił prof. Kroepelin w Heidelbergu. Na uniwersytecie londyńskim wygłaszano już wykłady o prawodawstwie alkoholowem i jest za-

miar utworzenia osobnej katedry tego przedmiotu. W r. 1908 w kilku uniwersytetach niemieckich, jak w Getyndze i innych, odbywały się wykłady o alkoholizmie.

Niema dwóch zdań, że w walce z alkoholizmem pożytecznem jest ustawodawstwo państwowe, zakazujące nieletnim sprzedawania alkoholu, pożyteczne jest zamykanie szynków w niedziele i święta i pomniejszenie tychże, bo przez to usuwają się okazye do złego. Pożyteczne jest i konieczne uświadomienie naukowe już od samego zarania życia młodocianego po szkołach.

Ale czy to wystarczy? Sądzę, że nie. Tak uczy doświadczenie codzienne, po prostu dlatego, że samo usunięcie okazyi do złego, same prawa państwowe, choćby najenergiczniejsze, nie potrafią stworzyć ducha wstrzemięźliwości.

Kilkakrotnie robiono próby z temi prawami i dawniej i w ostatnich czasach i powszechnie przyznano, że same tylko prawa, sama propaganda i usuwanie okazyi bez osobistego przekonania i osobistej pracy nie wystarcza. Stwierdzono jednomyślnie to samo na XII Międzynarodowym kongresie antyalkoholowym w Londynie. To samo przyznali Holendrzy, Szwajcarzy, urzędy rosyjskie, że prawa, jak opodatkowanie, monopol wódczany, ograniczenie ilości szynków i t. p., nie dały oczekiwanych wyników, w większości zaś wypadków przeważnie »myśl całą spaczono?«

Dlaczego?

Bo jeśli fałszywe przekonanie o używaniu alkoholu i upadek moralny jest taki, iż niemal powszechna zniewieściałość zapanuje w duszach, gdy żądze używania już od młodości ogarną całe życie, wówczas z braku siły moralnej, któraby mogła powstrzymać to zło, społeczeństwo mogłoby się chyba uciec do siły powagi publicznej czy praw państwowych. Ale tu są trudności nie do pokonania. Czemu?

Boć jak tu określić granice, że tyle wolno pić, a tej miary nie wolno przekroczyć? Jak sprawdzić wykroczenia przeciwko prawu w rzeczach tyczących się życia nieraz li tylko prywatnego lub rodzinnego? Jakim sposobem unormować używanie alkoholu klas robotniczych również niebezpieczne jak klas bogaczy, daleko mniej zwracających na nią uwagi i daleko więcej mających środ-

ków używania alkoholu tylko w wykwintniejszej formie? Czy prawo choćby najenergiczniejsze może mieć taką potęgę? Może dotrzeć do wszystkich tajników sumienia ludzkiego? Możeż się wcisnąć do wszystkich szynków, karczem, nor i spelunek, nieraz najzdolniejszej policyi nieznanych, by udaremnić rozpijanie tak starszych, a zwłaszcza młodych? Możeż dotrzeć do owych nocnych pohulanek po prywatnych lokalach, stancyach studenckich, pracowniach rękodzielniczych i robotniczych, nawet po ogniskach rodzinnych? Jak uchwycić tego Proteusza, który zwyciężany pod jedną formą, zjawia się gdzieindziej w innej postaci?...

To też wszystkie próby robione w tym kierunku posłużyły jedynie do wykazania, jak dalece niemożliwą jest rzeczą zastąpić prawami obyczajów i wyrobienia wnętrza duszy ludzkiej.

Kwestya wstrzemięźliwości od napojów alkoholowych, jak wogóle podobne kwestye, jest przedewszystkiem, choć nie jedynie, kwestyą porządku moralnego, uświadomienia i zasad. Ażeby je rozwiązać potrzeba przeniknąć do sumień ludzkich, oświecić umysł, naprawić i wzmocnić wolę.

Stąd największą potęgą, od której można oczekiwać pomocy w poskromieniu używania alkoholu, jest potęga gruntownych przekonań religijnych, ponieważ one przedewszystkiem mają dar przekonania rozumu i zahartowania woli w celu zaparcia się siebie samego w używaniu alkoholu.

A siła zaparcia się chrześcijańskiego w powściągnięciu używania alkoholu jest oczywistą tak w faktach, jak i w zasadzie. Prawda, że całkowite nadużywanie alkoholu nie zniknie nigdy zupełnie z tego świata, ponieważ zmysłowość, której pijaństwo jest następstwem, zawsze będzie miało udział w życiu ludzkiem z powodu skłonności natury ludzkiej do złego. Zresztą nie chodzi tu o zupełne wyniszczenie używania alkoholu ze świata, bo to jest wprost niemożliwem, ale o ograniczenie tej strasznej namiętności pustoszącej całą ludzkość, możliwie jak największe.

Ale pytanie jest, kto tego zaparcia się chrześcijańskiego przedewszystkiem w umyśle i woli młodych potrafi dokonać?

Same prawa państwowe i usuwanie okazyi do picia, jak wyżej powiedziano, są niewystarczające. Kapłan katolicki? Kiedy dziś jego wpływ u wielu młodych jest częstokroć minimalny. Rodzice? Kiedy po większej części sami piją i dają młodym zły przykład. Odczyty i wykłady po szkołach? Ależ bez silnej woli, to głos wołającego na puszczy, rozbijający się o osobiste samolubstwo, lekkomyślność i wpływ starszych kolegów.

Do wyrobienia w młodzieży chrześcijańskiego zaparcia siebie samego, należałoby w kwestyi alkoholizmu 1) decydująco oświecić umysły wszystkich młodych każdego stanu, 2) sprostować ich fałszywe i mylne w tym względzie pojęcia, 3) a zwłaszcza wzmocnić i zahartować wolę młodych, potrzeba, prócz siły nadprzyrodzonej, pracy codziennej, ustawicznej, systematycznej, szarej, mozolnej nie bojącej się trudności, pracy opartej na wzajemnem i osobistem uświadomieniu, wzajemnym i osobistym przykładzie, obopólnym wpływie i ustawicznej zachęcie. Słusznie też zauważył M. Heleniusz: »Działalność praktyczna na polu wstrzemięźliwości wykazała, że ten tylko może stać się podporą dla alkoholika w walce z jego namiętnością, kto sam jest wstrzemięźliwy, albowiem żywy przykład więcej przecież znaczy, niż wszystkie napomnienia«.

Tę pracę w potrójnym tym kierunku najdzielniej i najskuteczniej poprowadzić mogą dobrowolne zrzeszenia się abstynenckie czyli towarzystwa, koła, kluby abstynenckie umiejętnie zaprowadzone wśród młodzieży.

Kółka abstynenckie najpierw prawdziwie i skutecznie uświadomią rozum i umysł młodych w kwestyi alkoholizmu.

Spróbujmy to pokazać na przykładzie.

Jeden z nowszych fizyologów badał spustoszenie, jakie poczynił alkohol w jednej rodzinie, której smutną historyę szczegółowo śledził przy pomocy władzy. W roku 1740 urodziła Ada Jurke; zakończyła ona swój pijacki, złodziejski i włóczęgowski żywot na początku zeszłego stulecia, pozostawiając potomstwo, którego liczba wzrosła z czasem do 834 osób. Bieg życia 709 z nich był

urzędownie śledzony. Było wśród nich 105 nieślubnie urodzonych, 142 żebraków, 64 żyjących li tylko z jałmużny, 181 kobiet oddało się prostytucyi, 76 osób z tej rodziny zostało skazanych za różne przestępstwa, 7 między niemi za morderstwo. Na tę jedną rodzinę państwo w przeciągu 75 lat, wedle statystycznych obrachunków, wydało sumę 5 milonów marek na zapomogi, koszta sądowe, więzienia i t. d.

Przykład ten, cytowany na wiecu lub w szkole, wyczytany w książce, słyszany z ust starszych, przechodzi zwykle bez głębszego znaczenia, wywierającego skuteczne uświadomienie młodego umysłu.

Na to trzeba przedewszystkiem osobistego zastanowienia się, zastosowania do siebie, do swego otoczenia zapomocą obopólnej dyskusyi i osobistej refleksyi. Musi sobie młody umysł sam odpowiedzieć przy pomocy blizkiego i jego samego dotykającego otoczenia na pytanie, rodzące się w jego umyśle: »Cóż mię to obchodzi? Matka moja nie nazywa się Ada Jurke. Czyż mam się wyrzec niewinnej przyjemności wypicia jednego kieliszka lub szklanki piwa dla tego, że inni miary zachować nie umieli? Cóż ma wspólnego straszliwa nędza pijaków z naszem używaniem wina lub wódki w domu? czy nasze umiarkowane picie moich dziadków i rodziców, krewnych, znajomych i kolegów przyczyniło się do zwyrodnienia całych pokoleń? czyż jestem nałogowym pijakiem?

Takie pytanie w młodej głowie ucznia czy terminatora może się nasuwać. Prawa państwowe, nauczyciel w szkole, przewodniczący wiecu na to nie odpowie z tej prostej przyczyny, że nie wiedzą, co za proces myślenia odbywa się w głowie każdego z osobna młodego słuchacza.

On potrzebuje wiedzieć i rozumieć, że całe otoczenie tak kolegów, jak i starszych jest dla niego przeznaczonem, dla jego uświadomienia. On musi mieć sposobność wygadania się, udzielenia swych myśli blizkiemu otoczeniu, on powinien być swobodnym i nie bać się nikogo, on musi czuć, że cała atmosfera oddycha tem samem powietrzem, wtedy dopiero jego rozum i umysł niemal bezwiednie poczyna czynić się przystępnym

na wszelką prawdę, na wszelkie gruntowne, praktyczne i zastosowane do życia uświadomienie.

Doświadczenie uczy, że tak jest. Wiec, odczyt, wykład w szkole i t. p. może rozjaśnić kwestyę, może cały snop światła rzucić na rozumowanie młodego umysłu, ale szarugi życiowe, nieokiełznane namiętności, pijące otoczenie szybko przygaszą rozżarzającą się iskrę uświadomienia. I jak było przedtem, tak to samo i potem będzie.

By w umyśle młodego uświadomienie się utrwaliło, potrzeba codziennej i powolnej pracy bez przerwy, któraby dała w wysokim stopniu ustawiczny kontakt jego umysłu z atmosferą abstynencką. Stąd Förster radzi: »rozwijajmy z ich współudziałem znaczenie i istotę owego związku ducha z życiem... tego przeniknięcia każdego czynu i słowa przez najlepsze myśli nasze, oraz przez najwyższą miłość człowieka, wykazujmy tragizm nierozwagi w życiu. W takich pogadankach szczepi się powoli wstręt do alkoholu, który właśnie dlatego jest największym wrogiem ludzkości, że nasze uczynki i mowę oswobadza z pod kontroli wewnętrznego ja i rzuca na pastwę chwili. A jednak panowanie nad chwilą jest panowaniem nad życiem całem«.

Przed dwoma laty w krakowskim Polskim Związku katolickich uczniów rękodzielniczych rozpoczęto wszelkimi sposobami agitować wśród tejże młodzieży za abstynencyą, ale naukowe odczyty, najgorętsze zachęty, ogniste nawoływania niewielkie wydały owoce. Prawda, że pod pierwszem wrażeniem wielu zgodziło się na zachowanie abstynencyi, ale jeszcze prędzej zapomniało o tem. Dopiero zaprowadzona systematyczna praca w Kółku abstynenckiem wydała rezultaty wprost zdumiewające, wprawdzie powolne i niewielkie w liczbę, ale za to praca ta wydała jednostki głęboko uświadomione, niedające się żadnemi trudnościami z raz powziętego stanowiska sprowadzić.

Również Kółka abstynenckie przyczyniają się do gruntownego uświadomienia przez to, że członkowie muszą sami pracować nad swem uświadomieniem przez czytanie książek, broszur, pism abstynenckich. Zrzeszeni w takie kółka z natury rzeczy

prowadzą też propagandę abstynencką. A do tego potrzeba im wielkiej dozy osobistego i opartego na własnej pracy uświadomienia, przygotowania argumentów, energii w przekonywaniu, gorącego zapału w działalności, celem pozyskania i pociągnięcia jak największej liczby kolegów do ideałów abstynenckich.

Doświadczenie się potwierdza, że ani wymowny prelegent, ani książka, ani najuczeńszy wykład nie potrafią tyle zdziałać, ile jeden głęboko uświadomiony młody względem swych kolegów.

Kółka abstynentów skutecznie przyczyniają się do obalenia fałszywych pojęć o używaniu alkoholu: zupełnego przekonania młodzieży, że jej nie potrzeba całkiem alkoholu.

Jakkolwiek całkowita abstynencya wszystkich ludzi na świecie, sądzę, jest mrzonką i utopią, to jednak są kategorye ludzi, którzy zupełnie mogą, a nawet powinni całkowicie powstrzymać się od używania alkoholu. Takimi są: nałogowi pijacy, chorzy z powodu systematycznego picia, matki karmiące, agitatorzy w walce z alkoholem, a przedewszystkiem młodzież do lat 20 i t. p.

Pod tym względem jednak dziś jest jeszcze wiele przestarzałych i mylnych pojęć tak wśród młodych i ich wychowawców, jak i całego otoczenia. Uważają, że są okoliczności i okazye, w których nie tylko można, ale powinno się dać młodym choćby po kieliszku wina, po jednej lub po dwie szklanki piwa. Do tych zaliczają: imieniny, uroczystości kościelne, narodowe, święta domowe, rodzinne, majówki, wycieczki i t. p. Są to zwyczaje szkodliwe, przyczyniające się wysoce do rozpowszechnienia picia wśród młodzieży. Młody bowiem nie roztrząsa głęboko i wszechstronnie powodów dlaczego on w ostateczności może pić raz, drugi i czwarty na rok, a czemu nie może pić setny lub tyle razy, ile się nadarzą okazye, a nawet codziennie.

Zapatrywania te i zwyczaje trzeba koniecznie wyrugować z rodzin, zakładów wychowawczych, pracowni i szkół. W tym kierunku trzeba uświadamiać młodych, że starsi jakkolwiek z powodów oportunistycznych mogą zachować ten zwyczaj umiarkowanego picia w pewnych a rzadkich okolicznościach, to nigdy

podobny zwyczaj nie powinien mieć miejsca, a tem bardziej obowiązku wśród młodych.

Bo alkohol, przeciwnie jak dziś powszechnie sądzą, prawie zawsze niszczy zdrową wesołość i mrozi zachwycający uśmiech młodzieży w przerażający sposób. »Alkohol, potwierdza to samo Wagner, mąci i zabija radość świętą, psuje starania wychowania fizycznego, osłabia dobre skutki zgromadzeń towarzyskich, w których szukają rozrywki«.

Tak jest w istocie. Dziś prawie każda zabawa, każdy matche footbalowy, każda wycieczka wspólna, podjęta w jakimkolwiek celu, kończy się zwykle i po większej części z powodu używania alkoholu jakiemiś zajściami, awanturami, a nawet rozpustą. I tak z powodu tego sport, wycieczki, zabawy, co powinny służyć ku zdrowiu fizycznemu i moralnemu młodzieży, obracają się na tem większe wyniszczenie organizmu i zatrucie duszy młodzieńczej.

Dlatego też prof. Aleksander Jaworski żąda usunięcia alkoholu z wycieczek młodzieży. »Alkohol musi być, pisze on w swych »Wycieczkach szkolnych po kraju«, stanowczo wykluczony z wycieczek szkolnych, zasadniczo i bez zastrzeżenia nie wyłączając piwa. Ależ jedna szklanka piwa na upał i pragnienie nie zaszkodzi, powiedzą wszyscy! Ba, gdy się pozwoli na jedną, to trudniej będzie nie pozwolić na drugą, niż zakazać zupełnie; wiedzą zresztą wszyscy prawdziwi turyści, że alkohol, to największy wróg wytrwałości i jędrności turystycznej, chwilowe podniecenie nerwów i ochłodzenie żołądka, a potem zdwojone, suche pragnienie i ociężałość«.

Przeciwnie rzecz się ma, kiedy alkohol nie jest w użyciu. Sami wycieczkowcy twierdzą, że są silniejsi, wytrwalsi, weselsi od tych, co używają alkoholu.

To samo może potwierdzić wyżej wspomniany Związek młodzieży rękodzielniczej. Przed kilku laty kiedy krakowski Polski Związek katolickich terminatorów jeszcze był patronażem, idąc za powszechnym zwyczajem, na wycieczkach, majówkach i t. p. dawano młodym po jednej lub po dwie szklanki piwa. Z doświadczenia wiadomem jest, że oko kierowników lub nauczycieli i profesorów

nigdy tak upilnować nie potrafi, by nie było nadużycia. W ślad za tem szły niemiłe następstwa, jak napomnienia, rozgoryczenie, kwasy i t. p.

Dopiero założone w Związku Kółko abstynentów w krótkim czasie tyle dokazało, że cały Związek katolickich terminatorów na żadnych uroczystościach i wycieczkach nie używa alkoholu, tylko wody czystej lub z cukrem i kwaskiem, herbaty i mleka. Od tej chwili, można śmiało powiedzieć, w ostatnich latach wszystkie uroczystości związkowe, wycieczki, majówki i t. d., nie tylko obeszły się bez jakichkolwiek przykrych zajść, ale wprost były pełne swobody i dobrego humoru i poprawnego zachowania się. A nadto przekonali się wszyscy, że »niema, jak mówi M. Heleniusz, lepszego napoju nad wodę«.

Takiego przeobrażenia pojęć i zwyczajów trudno dokonać bez dobroczynnego i spokojnie oddziaływującego wpływu Kółek abstynenckich czyto w stowarzyszeniach, czyto w zakładach wychowawczych, czyto po szkołach.

W Niemczech też w ostatnich czasach po stowarzyszeniach młodocianych powoli piwo zastępują limoniadą, której cena nie jest większa od piwa. A w innych krajach, jak w Anglii, Ameryce i Szwajcaryi, usuwa się wprost radykalnie wszelkie napoje alkoholowe z lokalów i zebrań towarzyskich młodzieży, snać opierając się na uwadze Förstera, że »największa pokusa do alkoholizmu leży w tak zwanych zwyczajach picia i w niewytrzymałości charakteru, która nie dozwala jednostce wyemancypować się z pod tyranii zbiorowej głupoty«.

Tego wyemancypowania się młodzieży z pod tyranii picia znowu mogą dokonać w lwiej części Kółka abstynenckie, które młodzieży nie narzucając z góry swych zapatrywań, swoim przenikającym na wskroś istotę młodego wpływem spokojnie, obopólnie, podstawowo dokonywują tego wyzwolenia.

Alkohol jest i dlatego groźnym wrogiem młodzieży, że od zarania usypia lepsze ja duszy młodzieńczej, ubezwładnia jej lepsze uczucia, a zwłaszcza podgryza energię życiową i rozmiękcza hart woli.

I rzeczywiście używanie alkoholu nawet w mniejszej ilości, choć może niewiele szkodzi zdrowiu młodzieży, to zawsze wpływa na charakter, jak mówi Foerster w »Drogowskazie życia«, i bezwiednie oddziaływa na każdego młodzieńca, kto go używa. Potrochu, nieznacznie znieczulają się wszystkie delikatniejsze władze duszy, usypia się wszelka czujność i spycha się na drugie stanowisko to wszystko, co mogło być w nas pierwszorzędnem«. A tem bardziej, że obecnie tak trudna jest walka z tem ustawicznem osłabianiem woli młodego, bo dziś całe otoczenie młodzieńca, czy on jest w pracowni i fabryce, czy w szkołach, czy na zgromadzeniach towarzyskich, wszystko temu osłabieniu woli sprzyja.

Dzisiejszy młodzieniec żyje niemal wszędzie, jak gdyby w atmosferze upajającej. Zdaje się, że wszystko sprzysięga się dokoła niego, aby zmącić jego sąd, rozedrzeć jego duszę, poszarpać w kawałki jego wolę. Nawet wszelkie zgromadzenia towarzyskie często są to proste sposoby osłabienia jego woli, które się przykrywa rozmaitymi pozorami, jak muzyką, zbyt częstemi przedstawieniami amatorskiemi, ustawicznemi tańcami po nocach, przesadnymi sportami i t. p. W całem dzisiejszem wychowaniu i kształceniu młodzieńczem prawie nic nie uzbraja młodego przeciwko wszelkim wrogom i niebezpieczeństwom czyhającym na jego życie duchowe.

A do tego dołącza się jeszcze i ten błąd, że dzisiejsza większość rodziców, wychowawców, kierowników z wychowaniem młodzieży często najfałszywiej postępuje. W walce bowiem i tak już trudnej, młodzieniec spotyka się li tylko z wezwaniem, by był takim, by tak postępował, by tego nie robił i t. d., a nie tworzy się dlań takiego otoczenia, któreby go wspierało i dodawało otuchy do pracy nad sobą. Dlatego prawdziwie się skarży Foerster na obecną pedagogikę w sprawie abstynencyi: »Zanadto ona wyrywa się wciąż ze swoim materyałem dowodowym, zebranym tendencyjnie, zamiast, opierając się na nędzy i tragizmie życia i na własnem doświadczeniu, jasno wykazać, jak wielkiem jest znaczenie czuwania nad sobą i w ten sposób obudzić skłonność ku niemu, opierając powstrzymywanie się od alkoholu na podstawie wychowania samego siebie i pa-

nowania nad sobą. Czyni się pod tym względem te same błędy, jak przy uświadomieniu płciowem; wierzy się w całkiem oderwane nawoływanie do wstrzemięźliwości, przypuszczając, że ono z łatwością znajdzie oddźwięk w dzisiejszej szkole, chociaż grunt do niego nie jest wcale przygotowany«.

Stąd dla zahartowania woli młodzieńczej trzeba, koniecznie stworzenia takiej atmosfery, któraby go wszędzie otaczała, ustawicznie mu była światłem, bodźcem, zachętą do spotęgowania energii woli.

Otóż do tego znakomicie nadają się Kółka abstynentów, w których wszyscy wstrzemięźliwi koledzy tak samo myślą, mówią, nawzajem się wspierają przykładem i zachętą. To samo stwierdza M. Heleniusz: »w towarzystwach łatwiej mogą oddziaływać nawzajem na siebie i że nie tylko budzi się przez to poczucie obowiązku i świadomość odpowiedzialności, lecz także ochotę do współdziałania osobistego z ruchem wstrzemięźliwości«.

To też gdy zwyczaj każe naśmiewać się ze wstrzemięźliwości osiemnasto- lub dwudziestoletniego młodzieńca, gdy w piciu widzi się dowód męskości, gdy w pohulankach nocnych uważa się energię młodzieńczą i niepospolitość charakteru, wysławianą przez podobnych towarzyszów, to przeciwnie abstynenci w Towarzystwach abstynenckich siłą sił własnych, energią najczystszą, wolą wyzwoloną i zwycięską w walce z alkoholem pokazują dobitnie, że prawdziwa męskość, silna wola, energia życiowa, cudny i silny charakter młodego tkwi w panowaniu nad sobą, trzymaniu na wodzy swych zwierzęcych instynktów, w oswobodzeniu się od przyzwyczajeń alkoholowych, nikotynowych i t. p. »Wychować, mówi Foerster, w młodzieży silną wolę, oraz uszlachetnić ambicyę a wówczas wstrzemięźliwość stanie się jedną z oznak wysokiej kultury moralnej«.

Do takiej energii woli i dzielności charakteru nie pomogą wiele prawa państwowe, zakazy starszych, usuwanie okazyi, nawoływania po szkołach, ale, można powiedzieć, jedynie własne i osobiste uświadomienie, osobista praca, osobista walka, osobiste zwy-

cięstwo. Bo tak, słusznie twierdzi Foerster: »na nic się zdadzą wszelkie karania przeciw alkoholizmowi bez wychowania samego siebie, bez silnej woli, a silną wolę młodzieńca przeciw piciu nie wytworzą przepisy i kary, ale zaprowadzenie szkolnych kółek abstynenckich«.

Doświadczenie też stwierdza, że abstynencya bezsprzecznie i stanowczo przyczynia się do wyrobienia dzielnych charakterów i silnej woli. Może też potwierdzić pierwsze w kraju naszym Kółko abstynentów katolickiej młodzieży rękodzielniczej i robotniczej, założone przy Polskim Związku katolickich uczniów rękodzielniczych w Krakowie. Najlepsi członkowie Związku, biorąc ogólnie, są abstynentami. Odznaczają się gorliwą pracą zawodową, dobrym postępem w szkole wieczorowej i większem poświęceniem wśród pożycia koleżeńskiego.

Kółko to abstynentów powstało przy końcu roku 1908[1]. Na początku zapisało się zaledwie kilku. Rok 1909 nie bardzo zaznaczył się rozwojem z powodu rozmaitych trudności, a zwłaszcza z powodu drwin i naśmiewisk z abstynencyi po pracowniach i fabrykach. Dopiero 1910 rok sprawę abstynencyi nie tylko posunął naprzód liczbowo prawie do 100 członków, ale usposobił młodzież przychylnie do tego ruchu, a po pracowniach i szkołach przemysłowych poczęto się liczyć z ruchem abstynenckim tejże młodzieży (patrz sprawozdanie z działalności Związku za rok 1910).

Dowodem tego był pierwszy wiec abstynencki katolickiej młodzieży rękodzielniczej i robotniczej w Krakowie d. 18 grudnia 1910 r., na którym sala była przepełnioną młodzieżą nie tylko należącą do Związku, ale i z poza Związku. W dyskusyi nie tylko brali udział goście, ale i młodociani, a przemówienie 15-letniego terminatora w sprawie abstynencyi wprawiło w podziw publiczność. Rezolucye tego wiecu są następujące: 1. Zakładanie kółek abstynenckich po stowarzyszeniach młodzieży rękodzielniczej i robotniczej, gdzie zaś niema stowarzyszeń terminatorskich, to po szkołach przemysłowych. 2. Wysłać podanie do Rady szkolnej krajowej domagając się, by po przemysłowych wieczornych szkołach przynaj-

[1] Na końcu podany jest regulamin tegoż Kółka abstynentów.

mniej raz na miesiąc były wykłady o skutkach alkoholu. 3. Żądać od Izb rękodzielniczych, by wydały przepisy zakazujące majstrom i czeladnikom posyłania uczniów po wódkę, wino, piwo i t. p. Uchwalono też rezolucye o zamykaniu szynków w niedzielę i pomniejszenie liczby szynków w Krakowie.

Celem dobitniejszego przekonania o skutecznej działalności Kółek abstynenckich, podajemy statystykę dokonaną na początku roku 1911 w Polskim Związku katolickich uczniów rękodzielniczych w Krakowie. Przesłuchano i zbadano sumiennie i dokładnie przeszło 200 młodocianych rękodzielników i robotników. Wynik jest następujący:

Młodzież rękodzielnicza i robotnicza

Od lat 14—18 161
Od lat 18—20 43

Wyszczególnienie	Liczebnie	Procentowo
Nieużywających napojów alkoholowych	13[1]	6·37
Członków Kółka abstynentów	63	30·88
Używających okolicznościowo	94	46·08
Używających stale	34	16·67
Razem	204	

Z tej statystyki widać stosunkowo wielki procent, przeszło 36% nie używających alkoholu. Jeżeli porównamy statystykę z r. 1908 przed założeniem Kółka abstynentów w Polskim Związku katolickich uczniów rękodzielniczych (porównaj str. 315), to przekonamy się, że przed dwoma laty na 170 piło okolicznościowo lub stale 97%—99%, a obecnie po założeniu Kółka abstynentów na 204 młodocianych pije tylko 62%.

Opad więc picia a podniesienie się wstrzemięźliwości od napojów alkoholowych można niemal wyłącznie przypisać ustawicznej i systematycznej pracy Kółka abstynentów. Gdy jeszcze zwa-

[1] Przy badaniu wielu czy z bojaźni czy wstydu nie chciało przyznać się do picia. Dopiero zapewnienie, że szczerość odpowiedzi w niczem nie zaszkodzi, spowodowało wypowiedzenie szczerej prawdy, istotnego stanu rzeczy. Dlatego liczba 13 w pierwszej rubryce nie jest pewną. Być może, że kilku z tej liczby do końca zostało konsekwentnymi. Zaprzeczywszy raz picie, do końca w zaprzeczeniu wytrwali.

żymy, że badania przy ostatnim sporządzeniu statystyki pokazały, że wszyscy obecni abstynenci przed przystąpieniem do Kółka abstynentów okolicznościowo lub stale pili i że liczba 13 niepijących poza Kółkiem abstynentów podaną jest w wątpliwość, to oczywisty jest dowód, że wpływ zorganizowanej pracy Kółek abstynenckich w rozwiązaniu kwestyi alkoholizmu jest stanowczy.

Niechże więc tych kilka myśli w sprawie Kółek abstynenckich wśród młodzieży, skieruje uwagę odpowiednich czynników w celu zakładania Kółek abstynenckich, w którychby młodzież polska skuteczniej i głębiej poznała kwestyę alkoholizmu i wprowadziła w życie »tę kwestyę, naokoło której, jak mówi Leon de Bruyn, minister rolnictwa i robót publicznych w Belgii, grupują się po dziś dzień prawie wszystkie kwestye społeczne[1].

Ks. M. Kuznowicz.

---

[1] **Regulamin Kółka abstynentów.**

1. Celem Kółka jest wstrzymanie się od wódki, wina, piwa, krupniku, rumu, koniaku, likierów, rozmaitych mieszanin z alkoholem i wszelkich innych napojów alkoholowych (wolno jednak pić piwo i wino, jak ceres i t. p., które nie mają w sobie alkoholu).

2. Kółko ma swój zarząd i własną autonomię, zależną od Wydziału Związku.

3. Przewodniczącego Kółka zatwierdza Wydział Główny Związku, a resztę urzędników wybierają członkowie Zarządu.

4. Kółko składa się z dziesiątek. Każda dziesiątka ma swego dziesiętnika, który tem samem należy do Zarządu Kółka.

5. Zgłaszającego się do Kółka zapisuje sekretarz względnie jego zastępca, a po odbyciu czterotygodniowej próby, przewodniczący względnie Zarząd przyjmuje na członka Kółka.

6. Każdy przyjęty do Kółka jest obowiązany publicznie złożyć uroczyste przyrzeczenie powstrzymania się od wszelkiego alkoholu. Poczem otrzymuje odznakę abstynencką.

7. Przyrzeczenie obowiązuje członka na czas praktyki (pobytu w gimnazyum i t. p.) a w razie ukończenia praktyki na czas przez siebie oznaczony.

8. Od obowiązku zachowania wstrzemięźliwości od napojów alkoholowych nie uwalniają członka Kółka żadne uroczystości ani rodzinne ani narodowe ani towarzyskie, ani święta ani wycieczki. Wyjątek stanowi ordynacya lekarska w razie prawdziwej choroby.

9. Kto nie chce już należeć do Kółka abstynentów powinien o tem zawiadomić zarząd.

10. Członka przekraczającego regulamin lub działającego na szkodę Kółka abstynentów, przewodniczący względnie zarząd może z Kółka wykreślić.

11. Każdy członek ma obowiązek nosić odznakę abstynencką.

12. Spis wszystkich członków Kółka powinien być wywieszonym publicznie na sali Związku. Również spis tych, którzy z Kółka zostali wykreśleni lub sami dobrowolnie wystąpili.

Formuła przyrzeczenia.

Ja . . . . . .

w obecności całego Związku i wszystkich obecnych przyrzekam całkowicie wstrzymać się od napojów alkoholowych według regulaminu Kółka abstynentów na przeciąg czasu . . . . . .

Tak mi dopomóż Wszechmogący Boże, Najświętsza Maryo Panno, bym wiernie zachował to przyrzeczenie.

Kraków . . . . . .

Członek Kółka: Przewodniczący Kółka:

. . . . . .

URYWEK Z AKTU DRUGIEGO.

Z komedyi historycznej, osnutej na tle czasów Zygmuntowskich.

ZYGMUNT AUGUST 25-letni. — KS. SAMUEL MACIEJOWSKI, kanclerz i biskup płocki.

Komnata na Wawelu.

ZYGMUNT AUGUST

(zatrzymuje Maciejowskiego, który wychodził na krużganek arkadowy za Zygmuntem I, Boną i Panami Koronnymi)

ZYGMUNT AUGUST

Waszą Biskupią Mość, Księdza Kanclerza
O radę proszę w poufnej rozmowie.

KS. MACIEJOWSKI

Jaką mi kolwiek sprawę swą powierza
Pan Miłościwy — łaska-ć to nielada.

ZYGMUNT AUGUST

O tem, co rzekę, niech się nikt nie dowie.

(po chwili)

Długo myślałem, u kogo na dworze
Najlepsza pomoc najdzie się i rada;
Kto ma być, komu sercem się otworzę.

(po chwili)

Do Was jednego szczerze mówić warto.

KS. MACIEJOWSKI

Iżbych się godzien okazał — daj Boże!

ZYGMUNT AUGUST

(siada i Maciejowskiemu wskazuje miejsce)

Odpowiedź tedy szczerą i otwartą,
Księże Kanclerzu, raczcie mi dać, proszę.
Zali nie pora, iżbych się w urzędzie
Królewskim zaczął zaprawiać potrosze?
— Król Ociec mało rządami się para
I z każdym rokiem słabszy coraz będzie;
Zali tak Miłość Jej Królowa Stara
Ma sama władać we wszystkiem i wszędzie?
A ja mam niczem być?

(czeka na odpowiedź — po chwili)

Z Królową Matką
W ogrodzie-m o tem rzekł kiedyś pół słowa —
Zbyła mię niczem układnie i gładko...
Całą snać władzę sama dla się chowa,
A do Rodzica Króla Mego zasię
Mówić mi o tem jakoś nie przystało...

(po chwili)

Wasza to Miłość wziąćby mogła na się,
Jego Królewskiej Mości rzecz tę całą
Poszepnąć mądrze i w sposobnym czasie.

(dobywa z zanadrza papier złożony)

Jeśli raczycie, przyjmijcie tę kartę.
— Co sam Królowi rzecbym chciał w tej mierze,
W niej explicite najdziecie zawarte.

(daje papier Maciejowskiemu)

KS. MACIEJOWSKI

(z namysłem)

Żądał Królewska Wasza Mość bych szczerze
Mówił, co myślę... Niechże więc łaskawie
Król Miłościwy moje przyjmie zdanie.
Pytany — także zapytanie stawię:
Jakoż drugimi, Najjaśniejszy Panie,

Rządzić, gdy sami sobą nie rządzicie?
Ani umiecie pod swą poddać wolę
Krewkości zmysłów? — Z małżonką pożycie...

ZYGMUNT AUGUST
(nie dając mu dokończyć, zrywa się)

Dość! W tych się rzeczach nie radzę nikogo!

KS. MACIEJOWSKI
(powstawszy także)

Wybaczcie prawdę, chocia w oczy kole...

ZYGMUNT AUGUST
(cierpko)

Zrazić mnie jeno takie prawdy mogą.

KS. MACIEJOWSKI

Zaczem Królewskiej Waszej Mości łaska
Snać przeznaczona była dla dworaka,
Który pochlebstwem pańskie ucho głaska;
Ja Was miłuję, Królu mój — więc taka
Jest moja mowa, jako serce moje.

ZYGMUNT AUGUST
(wzruszony, wyciąga ku niemu rękę)

Księże Kanclerzu! — oto moja ręka
I przyjaźń moja...

KS. MACIEJOWSKI
(pochyla się głęboko biorąc rękę króla)

Wiernie ja dostoję
Przy Waszym boku, mój Królu i Władco.

ZYGMUNT AUGUST

Niech Miłość Wasza nadal się nie lęka
Stawać przede mną z taką śmiałą mową
I być mojego sumienia doradcą...
(po chwili)
Jeno nie sądźcie mnie nazbyt surowo,
Bo mnie wewnętrzna rozdziera zamieszka,
Której nie widzę końca... — We mnie mieszka
Dwu zmagających się ze sobą ludzi;
Jeden drugiego naprzemian zwycięża

A we mnie serce waha się i łudzi,
Dręczy się, tęskni...

KS. MACIEJOWSKI

Wszak wielkiego męża,
Wielkiego króla żywy przykład macie,
Panie Miłościw. Co cnem jest i prawem,
Odeń się uczcie, bo na majestacie
Po nim siądziecie może już niebawem.

ZYGMUNT AUGUST

Dziś już koronę tę czuję na głowie
I wiem, że komu dana z łaski Bożej,
Ten za nią kiedyś przed Bogiem odpowie
I za swe rządy porachunek złoży.
— Nie, ja z korony nie czynię błyskotki!
Nosić ją będę jako święte brzemię,
Jak przodki moje — godniej niźli przodki!
(po chwili)
Przecz jednak dziś już ma wrastać mi w ciemię
Ten ciężar? Zali życia nektar słodki
Nie dla mnie? Zali drugi raz na ziemię
Zrodzę się kiedy w niekrólewskim stanie
Na drugi żywot, na ludzką swobodę,
Na szczęście, rozkosz, radość i kochanie?!
Azali zwiędnąć ma to czoło młode,
Skowane w obręcz twardej, złotej blachy!?
Nie dla mnież wieńce bluszczowych gałązek,
Nie dla mnież pąków różanych zapachy!
Wciąż ta niewola? Wciąż ten obowiązek,
Co na mój każdy krok nakłada pęta?!
(z gorętszym wybuchem)
Ja chcę żyć życiem wolnego człowieka!...

KS. MACIEJOWSKI

Niech Wasza Miłość Królewska pamięta,
Że każdy człowiek, zawżdy, od wiek wieka
Ma i mieć musi swoje obowiązki;

Jeno za naszych dni jakaś przeklęta,
Jakaś pogańska chuć to prawo łamie
I serca nasze na manowiec grzązki
Śpiewem syrenim kusi ta ponęta,
Która nam wolność i szczęśliwość kłamie.
— Wasza Królewska Miłość u rozdroża
Stanął, jak ongi syn Amfitryona;
Ale sumienia głos wewnętrzny powie
Gdzie prawa droga i gdzie prawda Boża.
(po chwili — łagodnie z uśmiechem)
Pan Miłościwy sam się wnet przekona,
Iż obowiązek daje duszne zdrowie,
I dojść do szczęścia można drogą prostą:
Gdy — co daj Boże — z małżeńskiego łoża
Piękne i krzepkie dziateczki wyrostą.

ZYGMUNT AUGUST
(z lekceważącem skinieniem)
K'temu czas jeszcze!... Będzie na to pora!
(po chwili z głuchym żalem — poufnie)
Księże Kanclerzu! Wy tego nie wiecie:
Mnie od małżonki mojej coś odpycha...

KS. MACIEJOWSKI
(dobrodusznie)
To przejdzie — minie...

ZYGMUNT AUGUST
(ze smutkiem)
Nigdy — nigdy w świecie...

KS. MACIEJOWSKI
Szkoda — bo wdzięk jest, anielska pokora
I dziwna słodycz w królowej Lizbecie;
Szkoda — bo... cierpi widno i usycha...

ZYGMUNT AUGUST
(obojętnie)
Jest może trochę tymi czasy chora...

KS. MACIEJOWSKI
A może w sercu żałość ją żre cicha?

ZYGMUNT AUGUST
(gorzko)
Przysłano k'temu z Wiednia delatora!

KS. MACIEJOWSKI
Król Ferdinandus przysłał sekretarza...

ZYGMUNT AUGUST
By zbierał od niej przeciwko mnie skargi!
Szpieg jest!

KS. MACIEJOWSKI
Czy za to Jej Miłość Królową
Można winować?

ZYGMUNT AUGUST
To mnie gorzej zraża!
Jużby mi teraz nie przeszło przez wargi
Żadne przyjazne, żadne dobre słowo...
. . . . . .
(Rozmowę przerywa wejście królowej Bony).

Lucyan Rydel.

KS. PATRON WAWRZYNIAK.

(Ciąg dalszy).

Wawrzyniak przedstawiał się pojęciom ogółu, jako człowiek rozdający nieustannie posady dyrektorów banków, kasyerów, urzędników biurowych — jako posiadający takie wpływy, iż przez samo wyrażenie jego życzenia wszystkie inne kandydatury upadają — jako rozporządzający niezliczonymi a tajemniczymi funduszami, — jako właściciel wielkiego majątku i ogromnych dochodów — jednem słowem, jako człowiek, który każdemu każde życzenie może spełnić, byleby tylko chciał, a który z tych wszystkich tytułów powinien to uczynić.

Więc jedni wymagali posady, wsparcia, pożyczki w imię znajomości osobistej lub pośredniej (z racyi krewnych, przyjaciół, znajomych), drudzy w imię patryotyzmu, trzeci ponieważ dawno już nie mieli posady, czwarci ze względu na swój stan podupadły, nie licujący z każdem zajęciem, inni ponieważ nigdy jeszcze Wawrzyniaka o nic nie prosili i nic od niego nie otrzymali, a drudzy, skutkiem jego protekcyi, uzyskali urząd i t. p.

O to, czy posada wakuje, czy oni mają potrzebne kwalifikacye, czy nie są wyczerpane fundusze, stojące do dyspozycyi Wawrzyniaka, ogół petentów się nie pytał. A że Wawrzyniaka obowiązkiem było urzędy obsadzać ludźmi z potrzebnymi przymiotami, że nie wolno mu było kierować się sympatyą osobistą, sentymentalnością ani fantazyą, że pożyczek mógł udzielać tylko wobec dostatecznego pokrycia instytucyi, a nawet rozdawać nie

mógł nigdy własnych pieniędzy bez wyboru, bo mu na to jego zmysł słuszności nie pozwalał — więc rok rocznie setki odchodziły z niczem. I te wyrabiały Wawrzyniakowi opinię człowieka nieużytego.

To samo czyniła także druga kategorya ludzi — ci, których życzenia Wawrzyniak uwzględniał. Wdzięczności doznał Wawrzyniak bardzo mało od tych, którym dobrze czynił. Jedni bowiem otrzymali mniej, niż się spodziewali i stąd czuli się pokrzywdzeni i zwolnieni od wszelkiej wdzięczności, a spowodowani do bardzo ujemnej krytyki charakteru i działalności Wawrzyniaka. Drugim samo poczucie pewnej winności wobec niego, było niemiłe. Wdzięczności nie czuli, więc chętnie mówili o jego wadach, a zrobiwszy mu krzywdę, nienawidzili go skutkiem tego i posuwali się coraz dalej w oczernianiu i wszelkiego rodzaju niegodziwości. Dosłownie, ci co najwięcej od niego otrzymali dobrodziejstw, nie tylko nie postępowali wedle jego zasad i wskazówek, ale wyrobili sobie w swojem pojęciu prawo do nieustannych, coraz większych ofiar z jego strony — i najserdeczniej go niecierpieli.

Tymczasem Wawrzyniak odczuwał ludzką niedolę zawsze i głęboko i nigdy nawet wobec zasłużonego nieszczęścia nie był obojętnym. Tylko ktoś, kto lata w jego otoczeniu spędzał, może mieć przybliżone do rzeczywistości pojęcie o jego dobrem, tkliwem sercu i jego uczynności, jego potrzebie służenia, jego odmawianiu sobie przyjemności, rozrywki, wypoczynku najpotrzebniejszego celem niesienia drugim pomocy, o ilości ofiar osobistych, trudów, prac, konferencyi, wyjazdów. Kto patrzył tylko na jego życie publiczne, ten nigdyby nie uwierzył, ile osób codziennie przesuwało się przez jego biuro: właścicieli ziemskich, wdów, księży, kupców, przemysłowców, młodzieży! Zdawało się, że on jest tylko prawnym doradcą j e d n o s t e k, a nie zajmuje się organizacyami i pracami społecznemi, bo na to czasu nie starczy.

Tak samo było z ofiarnością jego wobec funduszów, jakimi rozporządzał. Nieraz na człowieka szczodrobliwego używa się wyrażenia: co ma, to rozda. U Wawrzyniaka tak było dosłownie. A czynił on to z zupełną świadomością, nie przez słabość — czynił z potrzeby i wyrozumowania.

Hojny na cele publiczne — i jednostki niezdolne do zarobkowania i rodziny i młodzież potrzebującą pomocy do nauk zaopatrywał tak, iż jak pragnął zawsze, aby nic po nim nie zostało, tak też objawiło się w rzeczywistości — ku wielkiemu zdziwieniu tych, którzy Wawrzyniaka majątek na setki tysięcy obliczali.

Dawał on nieraz, skoro wiedział, że ktoś pomocy potrzebuje i zasługuje na pomoc, choć był przekonany, że zwrotu nie otrzyma pieniędzy — ale dawał we formie pożyczki, aby mieć wpływ na dłużnika i powstrzymać go od łatwego brania pieniędzy.

Dziwił się też każdemu księdzu, który za życia nie dysponuje swojemi oszczędnościami, nie kieruje niemi, nie przypatruje się rezultatom swej pracy i lokacyi kapitału, tylko składa grosz do grosza, by testamentem je przekazać na upatrzone cele. Uważał, że posiadanie większych dochodów pociąga tę głównie za sobą przyjemność, iż wiele można dobrego zrobić i posuwać »sprawę« naprzód.

Na swoje codzienne potrzeby nader był oszczędny, więc też wiele mógł zrobić dobrego, choć fundusze, jakimi mógł dysponować, nigdy nie były tak znaczne, jak sądzono [1].

Jeśli się rzeczywiście przedstawiał twardy, to czynił to z wyrozumowanej potrzeby.

Wiedział nasamprzód, że nieraz w interesie jednostki potrzeba z jej strony obudzenia, naprężenia i uwydatnienia energii. I z tego samego względu lub dla sprawy ogółu brał w rachubę niezadowolenie czyjeś, przykrość, nawet gniew, nawet ból: Zły będzie na to, ale co ma robić! — mawiał wobec refleksyi, że ktoś niechętnie przyjmie nałożone mu zadanie. Więc z tego punktu widzenia wymagał wiele, mianowicie jednak od tych, którzy mu byli blizcy, z całą świadomością, że żąda wiele, że staje się trudnym

[1] Ogół obliczał dochody Wawrzyniaka zupełnie fałszywie. Mianowicie wprowadzał wielu w błąd automobil. Niejeden obliczał, że zapomocą tego środka komunikacyjnego Wawrzyniak zrewidować może dziennie 2—3 spółki, a więc rocznie ma z rewizyi dochodu jakie 50.000 marek. Nie uprzytomniano sobie, że spółkę każdą rewiduje się wedle prawa raz na 2 lata, że wszystkich razem dopiero po r. 1905 było 150, a rewizyą zajmuje się obok Patrona jeszcze 6 członków patronatu.

i ciężkim, lub też nie uwzględniał życzeń i próśb. Ale »tak było w porządku«, chociaż jemu samemu trudno przychodziło zdobyć się na wysiłek, z którym walczyło uczucie.

Z drugiej strony świadom był swych własnych obowiązków wobec siebie i dobra ogółu, na mocy swych rzeczywistych sił i ich wartości.

Patrzył na życie i jego walki, jako wódz, który nie może myśleć ustawicznie o dolegliwościach pojedyńczego żołnierza i dla położenia jednostki zmieniać plany kampanii, ani ekspensować i trwonić swoich sił w rzeczach drugorzędnych, częstokroć nikłych, błahych, chwilowych, czysto sentymentalnych, ani też rozdrabniać funduszów i zabiegów wobec pozycyi zaprzepaszczonej i niemożliwej do uratowania.

Był ekonomistą. Więc nie mógł brać na siebie rzeczy pomniejszych, które wielu innych mogło było dokonać; musiał, obliczając swoje siły, oszczędzać się, składać brzemiona lżejsze na drugich, zaprzęgać ich do partykularnych zajęć, a siebie rezerwować do tego, czego inni nie mogli dokonać.

Z biegiem czasu, z rozwojem stosunków, które wytworzył, stawało się postępowanie takie nie uzurpacyą, nie prawem, lecz obowiązkiem Wawrzyniaka. Wartość, znaczenie, władza, powaga, jakie z czasem zyskał, dały mu świadomość, że mu na mocy tych przymiotów uchodzi wiele, co drugim nie wypada.

Więc postępowanie jego przy prowadzeniu obrad, odezwanie się wobec uczestnika zebrania, w dyskusyi, w odpowiedzi na interpelacyę miało nieraz pozory pewnej bezwzględności czy brutalności, jak mawiali niektórzy.

Z tej słusznej oceny swej wartości ze względu na cel, do którego osiągnięcia dążył, wynikały i inne niesłuszne sądy.

Wydawało się, że Wawrzyniak lekceważy sobie ludzi niezamożnych a tem więcej nieposiadających żadnego majątku. Mianowicie zarzut mu z tego czynili niektórzy redaktorzy gazet ludowych, z powodu wyrażania się o nich, iż »mają płótno w kieszeni«. Tymczasem Wawrzyniak zawsze więcej cenił moralne zalety, niż posiadanie materyalnych funduszów u ludzi. Było to jego zasadą wyszukiwać ludzi zdolnych i tęgich i popierać ich, aby

mogli rozwijać się i służyć społeczeństwu. Tak było z młodzieżą, tak z każdym przedsiębiorczym i rzetelnym rolnikiem, kupcem czy rzemieślnikiem.

Że nie tylko lekceważyć musiał, ale wręcz piętnować takich publicystów, co nic nie mają do stracenia, nie tylko pieniędzy ale rozumu, wiedzy, uczciwości ani honoru, bo ich nigdy nie mieli ani nie nabyli — to nic dziwnego. Szkodliwość tej plagi społeczeństwa ocenić umiał lepiej, niż ktokolwiek inny, Wawrzyniak »z racyi« organizacyi, jakie prowadził. Przekonywał on się nie tylko o nieuctwie i zarozumiałości w decydowaniu, ale o złej woli raz w szczuciu jednych warstw przeciw drugim, to znów w prowadzeniu kampanii przeciw osobistościom, nie chcącym uznać autorytetu arbitralnego pisemka prowincyonalnego, a przedewszystkiem w szkodzeniu jednostkom, instytucyom i sprawie całej społecznej i narodowej przez rzucanie oszczerstw i umyślne niezasięganie poprzednio u kompetentnych instancyi czy osób informacyi, któreby zapobiegły niesprawiedliwym sądom i zaczepkom.

Dość też ogólnie spotykało się zdanie, że Wawrzyniak jest nieprzystępny, to znów, że pozbywa jednem słowem, że nie słucha lub nie wysłucha do końca, powie frazes niezobowiązujący, a jeśli nie wysunie się z pokoju rzekomo na jakieś zebranie, to kpinami traktuje »naglącą potrzebę«, »ważną sprawę« lub »doniosły projekt«.

Zaprzeczyć nie można, iż podobne objawy zachodziły. Wawrzyniak ze swoją organizacyą umysłową, ani ze światem myśli i dążności, jaki go zajmował, nie mógł ani mieć upodobania w rozmowie z tymi wszystkimi, którzy jej pożądali, ani tracić czasu na młócenie słomy lub wysłuchiwanie zaprzepaszczonych interesów lub próżnych żalów.

Im więcej ważnych spraw miał do załatwienia, od których dobro całego społeczeństwa zależało nieraz, tem więcej musiał stawać się bezwzględnym, tem więcej oszczędzać czas i siebie.

Nieraz słyszało się skargi, że obiecywał, a nie postąpił sobie odpowiednio do danej obietnicy.

Bywało to tak. Wawrzyniak załatwia korespondencyę, spieszy się, aby uporać się z nią do najbliższego posiedzenia, a tu wpada jakiś obywatel z prowincyi. Powitania głośne i długie. Po

wielu wstępach gość wyciąga swoją sprawę. Gada rozwlekle, dodaje drobnostki, robi wycieczki od tematu. W opowiadaniu czyni nieustannie apostrofy do Wawrzyniaka. Wawrzyniak przeniknąwszy, o co chodzi, odpowiada konwencyonalnie: No, ma się rozumieć — jeszczeby też! — ja mówię zawsze, tylko się nie dać! — Gość gada i gada. Po pół godzinie, czasem po godzinie, Wawrzyniak wstaje i powiada: No, jak widzę, to się niejedno da zrobić, tylko teraz nie mam czasu, bo jest zebranie, ale niech Pan napisze mi to wszystko obszernie, ja odpowiem, albo jak będę w okolicy, to tam wstąpię, a wszystko się pokaże. — Gość wychodzi zadowolony i każdemu opowiada, co to jednak za człowiek z tego Wawrzyniaka, jak on to każdą rzecz pojmie, a jego sprawą to zajął się, jak swoją!

Wawrzyniak zaś zamknąwszy drzwi za gościem, wpada drugiemi do sąsiedniego pokoju i do współpracowników woła: Ratunku, co mię ten człowiek wymordował! Nie wie Ksiądz co to był za jeden, bo mi tego nie powiedział, myśląc, że go znam dobrze?!

Podobnie bywało z ludźmi spotykającymi go na zebraniach lub na ulicy. Ogromnie wielkiej części nie poznawał wcale, gdyż bardzo miał złą pamięć fizyognomii. Rozmawiający zaś był przekonany, że Wawrzyniak osobną przegrodę ma dla niego w sercu i pamięci, więc tego nie odczuł, ale towarzyszący Wawrzyniakowi przyjaciele bliżsi wiedzieli, że Wawrzyniak znów nie wie, z kim mówi.

Prawda, że ani siedząc przy stole prezydującym na zebraniu, ani jadąc koleją, ani idąc ulicą, ani przebywając w hotelu u wód, Wawrzyniak nie robił zachęcającego do rozpoczęcia z nim rozmowy wrażenia.

Siedział z owisłą wargą, patrząc jakoby obojętnie lub ze zniechęceniem na zebranych, w wagonie ani w hotelu człowieka obcego nigdy nie zagadał, znajomości pierwszy nie zawierał, na ulicy zwłaszcza idąc z drugim i rozmawiając nie dostrzegał nikogo i stąd nie kłaniał się nikomu. Trzeba było zwrócić uwagę: Ten pan lub ta pani kłania się ks. Patronowi — wtedy Wawrzyniak spojrzał, a uprzytomniwszy sobie kogo widzi, zmieniał do-

piero zupełnie wyraz twarzy, rozjaśniał oblicze i witał się serdecznie i szczerze ze znajomym lub obcym, o którym słyszał rzeczy dobre i zajmujące. Gdy mu zwrócił ktoś uwagę na skargi na jego nieprzystępność, wtedy, jeśli było warto, poświęcał po pracy towarzystwu wieczór, a obecni nie mogli wyjść ze zdumienia, jaki to miły, dowcipny towarzysz i na wskroś zacny i dobry człowiek z Wawrzyniaka!

W stosunkach bowiem z ludźmi, w całej zależności od świata i w życiu jego wewnętrznem zawsze żyła i drgała silnie struna uczuciowa. Kto go znał tylko z zebrań i załatwiania finansowych spraw, ten musiał sądzić, że wrażliwość na objawy zewnętrzne jest mu rzeczą obcą, że na wpływy uczuciowe nie reaguje wcale.

W rzeczywistości zupełnie było inaczej.

Będąc wrażliwym z usposobienia, mimo całej energii i całej wprawy w odpieraniu wpływów rozumowo niepożądanych, Wawrzyniak nigdy zdolności do reakcyi uczuciowej nie utracił, nie stępiał; silniejszym się stał i mniej zależnym, ale nigdy obojętnym.

Za każde bezinteresowne objawienie życzliwości i sympatyi był wdzięczny i nie zapomniał nigdy o niem. Wszystkie osoby, które rzeczywiście go bliżej znały, zgodne są co do niezmiernie tkliwej jego wrażliwości i uczuciowości. Dobrocią serca mógł go każdy pozyskać, tak jak brakiem jego zrazić. Do jednego z głośnych publicystów niemieckich np. napisał zrywając z nim stosunki: Nie może mi imponować niczem ten, kto dla uciśnionych nie ma zrozumienia i współczucia.

Stąd p r z y j a ź ń w życiu Wawrzyniaka stanowiła tak wielką i ważną dziedzinę.

Pomiędzy rewizyą spółki, zebraniem zarządu jakiegoś towarzystwa, konferencyą w sprawie założenia nowej instytucyi przypadały bardzo często jubileusze, śluby, chrzciny w rodzinach, z któremi Wawrzyniaka łączyły ścisłe węzły przyjaźni. Węzły te zadzierzgnięte były po części przed dawnemi laty, a po części były daty nowszej, przybywało ich bowiem z rokiem każdym. Tylko objawy przyjaźni się zmieniły. Dawniej, zwłaszcza w Śremie, bywał Wawrzyniak stałym, częstym gościem w wielu rodzinach, które — jak opowiadał — zastępowały mu własną rodzinę. — U nas chłopów

to tam Ksiądz wie, pożycia takiego rodzinnego niema — mawiał, myśląc widocznie przytem o stanach ze starszą towarzyską kulturą, które pielęgnują i rozwijają pożycie domowe i rodzinne i czynią z niego osobny, ważny żywioł w życiu jednostki. Później i mniej potrzebował ciepła domowego i czasu mniej miał do poświęcenia. Ale wspomnienia po starszej generacyi były dla niego zawsze przedmiotem częstych rozważań i budzenia uczuć serdecznych, a z dziećmi swych przyjaciół stałe utrzymywał węzły.

Stosunek jego do przyjaciół miał coś wzruszającego. Przywiązanie jego było silne, głębokie, gorące. Czuł potrzebę o niem mówić i pisać. Nie wzdragał się napisać przy dłuższem niewidzeniu, że stęsknił się, i dążył do spotkania się lub sam nawet dłuższą podróż czynił, by się zobaczyć.

Osobną stroną jego charakteru była wdzięczność — wdzięczność tego rodzaju, co się nie zmienia w miarę zajść drobnych lub usposobienia, ani nie mija z czasem.

Nieustannie czuł potrzebę tłumaczenia zasług zmarłych i żyjących swych współpracowników, nie oglądając się przytem na ich popularność ani na usposobienie słuchających wobec nich. Skoro ktoś umieszczenia w jego panteonie zasłużonych stał się godzien, to on go tam wstawiał, tłumaczył tego faktu przyczyny i wierny został kultowi jego do śmierci. Tak był głosicielem wymownym zasług ś. p. Kusztelana, pierwszego dyrektora Banku Związku.

Tak postępował z żyjącymi, którzy go wyręczali w pracy; często przypominał, że bez nich nie byłby nigdy mógł tego zdziałać, co zdziałał, i żądał od publicystów, aby o tem pamiętali — jak o najbezpośredniejszym i najużyteczniejszym współpracowniku swoim, ks. Brodowskim, który mu służbą podczas ostatnich najważniejszych trzynastu lat jego życia umożliwił swobodne oddanie się pracy publicznej poza parafią, bo w parafii był najlepszym zastępcą.

Z drugiej strony wszystkie napaści, zarzuty, zaczepki dotykały go i bolały — i tylko wolą tłumił objawy uczucia i zmuszał się do spokojnego traktowania sprawy. Nie unosił się też mówiąc

o ludziach, którzy jemu lub sprawie wyrządzili krzywdę, w charakterystyce ich zachowywał sprawiedliwość, zemsty nie znał [1].

Ale reakcya bywała u niego bardzo silna.

Po większych walkach i burzach, po kampaniach szczęśliwie odbytych, organizm jego domagał się niezwykłego wypoczynku. Ostatnią siłą pary dobijał jeszcze do naznaczonego terminu, a potem tej samej godziny wyjeżdżał i ginął dla świata.

Wtedy przez parę tygodni zrywał wszelkie stosunki z ojczyzną, przyjaciółmi i sprawami wszelkiemi, żył zupełnie sam, przestawał tylko ze sobą, nie rozmawiał z nikim. Przyroda, góry i morze mówiły tylko wtenczas do niego, a on im odpowiadał.

Było to czasem na Korfu, czasem wśród skał południowej Słowiańszczyzny, to znów na Korsyce, a zawsze tam, dokąd go nie dochodziły odgłosy tego, co przeżył w ojczyznie.

Aż po tygodniach ocknął się i wracał do świata.

Bywało, nad morzem Adryatyckiem począł roztaczać się wieczór, spokój coraz większy ogarniał świat, nastrój zachodził na wody, niebo i ziemię, a on wysoko na skale nad zatoką siedział i patrzył na świat bez czucia jeszcze, jak przed powrotem duszy. Aż gdzieś z wieżyczki dalekiego klasztoru z drugiej strony zatoki odezwała się sygnaturka na Anioł Pański i przez fale morza i wieczornej ciszy posłała doń swój głos. Wtedy drgnęła w nim dusza, odpowiedziało serce, przyszły po doznanych bólach pierwsze łzy przebaczenia, pierwsze myśli o kraju... wracał do życia i ludzi. Tak opowiadał.

Podobnie wrażliwy był na regularnie powtarzające się nastroje.

---

[1] Ale jak nieraz ataki przez ludzi nieoględnych lub niechcących znać prawdy dla osobistych lub partyjnych względów, kierowane przeciw niemu lub instytucyom, któremi zarządzał i za które ponosił odpowiedzialność, działały na jego umysł, niech za wiele innych świadczy fakt, słyszany z ust jego, że gdy podczas kampanii na Bank Związku, chciał wracać do domu, nie mógł sobie przypomnieć na stacyi w Poznaniu, gdzie mieszka i dokąd ma bilet kupić. Na zapytanie urzędnika powiedział: »Poznań«, potem wydobył ze siebie »Gniezno« i wziąwszy bilet pojechał. W Gnieznie dopiero uprzytomnił sobie, że mieszka gdzieindziej i kazał sobie przynieść bilet do Mogilna. Ale podczas kampanii wszyscy podziwiali jego przytomność umysłu i krew zimna.

Ulegając przemożnemu urokowi wigilijnego wieczoru, a nie chcąc go spędzać samotnie ani też w towarzystwie ludzkiem, broniąc się rozrzewnieniu, nie ulegając liryzmowi, spędzał wigilijny wieczór w wagonie, wracając z dalekiej okolicy z rewizyi spółki, umyślnie na ten dzień naznaczonej, na noc samą do domu.

Wśród prac zaś i walk powszednich, które również dni i tygodnie nieraz trwały, krzepił się już samą myślą o wypoczynku. Tą oazą, do której się chronił, było Mogilno — jego tusculum. Bez tego schroniska nie mógł sobie wystawić życia. Tam odżywał. Tam chwalił sobie wolność od napaści interesów i od przymusu konwenansów, cieszył się swobodą, podziwiał przyrodę, leżał godziny długie z lekturą w ręku w hamaku w ogrodzie i rozkoszował, że ciszę dni i wieczorów i spokój nocy przerywał tylko od czasu do czasu huczący w oddali pociąg, przypominając, że gdzieś daleko jest świat, zgiełk rynków, brzęk kas i hałas namiętności ludzkich...

Tam w Mogilnie po pracy, wieczorem pod zachód słońca, siadał do łódki i wyjeżdżał na jezioro; to znów powolnym krokiem ciągnął do swego lasu i tam rozkoszował się szumem sosen; tam chodził po ogrodzie, przypatrywał się kwiatom, warzywom i drzewom i radował wonią, barwą i bujnością. (Najmilszym jego kwiatem była niezapominajka. Na wiosnę wszystkie ganki w szerokich rabatach były niemi obsadzone). Do młodych drzewek, które znał dokładnie, dochodził gdy kwitły, spamiętywał sobie, ile miały kwiatów, aby wiedzieć, ile później winny były przynieść owocu, do nich znajomych prowadził i opowiadał im ich historyę. Wycieczka do lasu rzadko odbyła się bez kontroli, czy sadzonki nie wyschły i nie wymagają uzupełnienia [1].

Tu w Mogilnie był u siebie w domu; tu dotąd zwoził prace zaległe, odkładał do pobytu większe, załatwiał w spokoju, świadom, że mimo stacyi kolei żelaznej, poczty, telegrafu i telefonu nikt mu w tym stopniu nie przeszkodzi w rozpoczętej a pilnej pracy, jak w drugiej jego siedzibie, Poznaniu.

[1] Nie lubił też gdy zrywano kwiaty. — Trzeba się cieszyć — mawiał wtedy z wyrzutem — choćby najmniejszem życiem, nie wolno go marnować i niszczyć. Jedynie dla chorego trzeba zerwać kwiatek i zanieść mu do łóżka.

Tu żył, jak chciał. Więc prosto, skromnie i regularnie. Posiłek jego z najzwyklejszych składał się potraw. Znał zalety wykwintnych potraw, kolej należną ich następstwa, stosunek ich do rozmaitych napojów, ale na codzień, mawiał, że właściwie obojętnie mu, co je. Tak też się przedstawiał przy stole.

Inaczej było od święta.

Tu do Mogilna spraszał przyjaciół na wczasy dłuższe lub na biesiady. Dobrawszy ich, lubił w zaufanem gronie, by żaden ton nie raził harmonii. Dobór i wystawność przyjęcia, gra świateł i kolorów, wesołość z dowcipem, a we wszystkiem swoboda i harmonia była zupełna i we wspomnieniach została, gdyż miara przygotowana była poprzednio we wszystkiem.

Bo Wawrzyniak, który miał rzekomo tylko zrozumienie dla rzeczy praktycznych, posiadał i wrażliwość na sztukę, nie tak, iżby ona mu była wszystkiem w życiu, ale pojmował ją i odczuwał. W malarstwie miał on naturalne, proste lecz trafne zrozumienie wyrazu. Wiedział, co się powinno malować na twarzy postaci, którą się stawia na ołtarzu, i brak uduchowienia i skupienia religijnego odczuwał i wyciągał stąd praktyczne konsekwencye. Ale nie był to żywioł, któryby był coś znaczył w jego życiu. On go nie potrzebował ani na codzień, ani na uroczystości życia — a jak się nim nie otaczał, tak go nie szukał również. — Widziałem — mawiał — naraz (w Paryżu) 3000 obrazów, tak sobie powiedziałem: dosyć! — i odtąd muzeów ani wystaw nie oglądał.

Sam też na żadnym instrumencie nie grał, ani form muzyki nie znał. Ale tony i melodye mówiły mu do duszy. Raz w Wiedniu na »Opowieściach Hofmana«, to znów w Berlinie na »Rycerskości wieśniaczej«, gdy wysłuchawszy ze skupieniem opery wychodził, czuł, przejęty jeszcze cały usłyszaną muzyką, potrzebę wyznania, iż »coraz lepiej jednak muzykę rozumie« tych utworów.

Kiedyindziej późnym wieczorem w Mogilnie, w małym jego saloniku, odzywała się Schäfera »Trąbka pocztyliona w lesie«, mówiąc do duszy, jak wspomnienia młodości, marzenia niespełnione, tęsknoty obudzone i zgasłe, jak postacie dawno od nas odeszłe...

W drugim pokoju siedział Wawrzyniak przy swoim stole

i pisał. Gdy piosenka ucichła, Wawrzyniak siedział nieruchomy we fotelu, bez pióra w ręku, zagłębiony w sobie, i płakał łzami, które mu przyszły po dawno minionych latach i stanęły w teraźniejszości i spadały wielkiemi kroplami po twarzy...

Wogóle na tle Mogilna odczuć można było najlepiej całe właściwe Wawrzyniakowi zamiłowanie do przyrody, do ziemi, wody, pól, lasów — do tego, co naszą stanowi ojczyznę — choć zawsze pod nieodstępującym go kątem patrzenia i działania: porządku.

Ongi nad długą, wązką wstęgą mogileńskiego jeziora, naprzeciw dźwigniętego przez Bolesława Śmiałego opactwa Benedyktynów, na piaskach żółtych, na wzgórzu, pod kościółkiem drewnianym św. Klemensa i krzyżem wysokim a pochyłym, rosły wśród mogił brzozy i sosny tak, jak się zasiały tu i owdzie, a niżej ku jeziorowi spuszczały się olchy i buki. Każdy grzebał tam swoich nieomal jak chciał, i każdy wchodził na cmentarz z której chciał strony, a bieda wiejska z boków jego wybierała piasek, a trzoda chlewna przechodząc ryła po brzegach cmentarza. Wawrzyniak przyszedł, wytknąć kazał granice, postawić bramy i płoty, wyciągnąć wewnątrz wedle planu ganki, założyć szkółkę, posadzić w szpalery drzewa. I dzisiaj poezya cała została i melancholia słowiańskich mogiłek, brzóz, sosen i krzyżów i drewnianego kościółka. Z daleka przyciąga wyobraźnię i zatrzymuje ją długo. Tylko zginęła gdzieś szata zaniedbania i nieokrzesania. Cmentarz polski swój charakter zachował, ale ma postać cywilizacyi, jaka przystoi naszemu narodowi.

Podobnie było z literaturą.

Czytywał wprawdzie wszystko. Oprócz czasopism, które brał zewsząd i przeglądał niesłychanie szybko, z Czytelni Ludowej w Mogilnie pożyczał książki dla ludu i młodzieży a po pewnym czasie, w braku innej lektury, czytywał po raz drugi, trzeci, czwarty. Ale zazwyczaj z Księgarni św. Wojciecha zabierał lub kazał sobie przysyłać najnowsze utwory beletrystyczne [1].

[1] Zawsze na noc miał w stoliku po kilka najnowszych powieści. Gdy jeździł po fjordach norweskich, zaopatrzył się towarzysz jego podróży w Molde w utwory Björnsona, Ibsena i Liego, aby je na właściwem tle kraju i ludzi

Takie to strony, nie tylko ogółowi nieznane, ale sentymentem i konsensem znajomych i ogółu z charakteru jego i usposobienia wręcz wykluczone posiadał Wawrzyniak.

Fantazya, śmiałość w rzucaniu się na przeciwności i zapory, junactwo w zdobywaniu trudności, pragnienie ujrzenia tych przymiotów u drugich a zwłaszcza w młodzieży, wrażliwość i uczuciowość, swoboda, radość życia, to była ta druga strona, co świat jego stanowiła, choć nie wychodziła na jaw, jeśli rozum i wola na to się nie godziły — a już nigdy wobec wszystkich.

Figur bowiem o pokroju małostkowym, nudnych i płytkich, a pontyfikujących zawsze choćby w towarzystwie jednej tylko osoby, wymagających kadzidła i okadzających samych siebie dokoła trybularzem, przeładowanym chwalbą własną, nie obdarzonych przez naturę inteligencyą, a zarozumiałych, zwłaszcza ludzi bez serca — nie znosił, w ich obecności nie umiał być sobą. Jeśli z nimi przestawał, to dla »sprawy«. Dla siebie chciał mieć »ludzi«. »Człowieka« szukał, do »człowieka« chciał mówić i »człowiekiem« się cieszyć.

Stąd ogół i ci, co go w swojem mniemaniu reprezentują musieli mieć o nim odmienne od rzeczywistości pojęcie.

Stąd wielu nie mogło ogarnąć całokształtu jego istoty; jedni widzieli strony jej takie, jakich drudzy nie dostrzegali, a jedni znów zaprzeczali istnienia przymiotów w Wawrzyniaku, które drugich wprawiały w podziw lub zachwyt.

(Dok. nast.)

Ks. Kazimierz Zimmermann.

---

przedstawić sobie. Zanim zajechali na Nordkap, Wawrzyniak wszystkie utwory dawno przed swoim towarzyszem pochłonął, siedząc nieruchomie na tem samem zawsze miejscu w krześle, na pokładzie okrętu. Tylko nigdy o treści ani formie żadnej powieści nie mówił.

ESTETYKA T. LIPPS'A.

(Dokończenie).

Zróbmy tu naprzód jedną uwagę.

Słowa, któremi wyrażamy myśli, nie mają z natury swej ściśle określonego znaczenia. Jak wogóle są one dowolnie przyjętymi znakami, zastępującymi w myśli naszej miejsce przedmiotów, tak też i zakres ich znaczenia zależy od umowy. W potocznem życiu, gdy nam nie chodzi o całą wyrazistość myśli, nie zwracamy uwagi na te delikatne odcienie znaczenia, jakie przybierają w każdym poszczególnym wypadku. Ale w dyskusyach naukowych, w badaniach analitycznych, kiedy musi się uwzględniać wszystkie różnice, nawet najdelikatniejsze, wówczas potrzeba dokładnego określenia znaczenia wyrazu staje się koniecznością i nie wolno odstępować od raz przyjętego znaczenia pod grozą szerzenia bałamutnych pojęć i ciągłego nieporozumienia. Słowo wczucie jest właśnie jednem z takich słów, które nastręczają sposobność do dużych nieporozumień wskutek swej nieokreśloności. Wprowadzone ono zostało do estetyki na oznaczenie tego zjawiska psychicznego, w którem człowiek swoje uczucia i nastroje przenosi, wkłada i niejako odczuwa w rzeczach do uczuć i nastrojów niezdolnych. Ale rozpatrywania bliższe i głębsze śledząc za tym objawem psychicznym rozszerzały zakres jego znaczenia — a Lipps, dopatrując się go wszędzie, przy każdem zetknięciu się człowieka z otaczającym go światem, tak go uogólnił, że znaczenie wyrazu wczucie prawie staje się równoznacznem z po-

znaniem ludzkiem bez bliższego określenia, jakie czynniki w nie wchodzą, zmysłowe czy umysłowe, poznawcze czy uczuciowe. Wskutek tego, mimo klasyfikacyi i wprowadzenia pewnych podziałów, nie zdołał jeszcze zadawalniająco wyświetlić zjawiska wczuć, wydzielić go od samego poznania, wykazać jego stosunku do poznania, przeprowadzić jego analizy bez zarzutu. Raz po raz mowa o wczuciach, raz po raz wyjaśnia jego znaczenie, nie żałując słów do jego określenia, ale właśnie te powracające co chwila wyjaśnienia i ta potrzeba ustawicznego a obszernego omawiania niby tego samego objawu, wykazuje, że są trudności w jego rozumieniu, że w samem pojęciu wczuć mieszczą się odcienie, nierówności, któreby należało usunąć, zrównać, sprowadzić do wspólnego mianownika, ogólniej a jaśniej określić. Brak jasnego określenia wczucia mimo wszelkich opisów daje się odczuwać od początku do końca — jakaś niejasność ustawiczna, jakieś zamglenie nadmiarem słów gromadzonych, które się ustawicznie powtarzają, słów o znaczeniu skomplikowanem siły, życia, wyżycia, wartości osobistych i tym podobnych. Trzeba przez te przesłony domyślać się jakichś stalszych pojęć. Lipps ich nie daje. Jemu ta niejasność, to używanie i nadużywanie skomplikowanych pojęć psychologicznych ułatwia osiągnięcie pewnej jedności stanowiska, umożliwia zwycięskie na pozór dowodzenie. Ale taka metoda nie zadowala ścisłego badacza, który przy tych pięknie brzmiących słowach formalnie odczuwa tęsknotę do czegoś bardziej określonego [1].

Jemu ta nieścisłość i elastyczność pojęcia pozwala pod jeden mianownik ujmować objawy estetycznych przeżyć, i twierdzić rezolutnie, że »niema piękności bez pozytywnego wczucia się, jak niema brzydoty bez wczucia się negatywnego« [2], ale estetycy jak Witasek, Meumann, Dessoir i inni nie dowierzają tym zapewnieniom i choć przyjmują wczucia jako element estetycznych przeżyć, to nie za element konieczny, tem mniej za jedyny.

My nie mamy nic rzeczowo przeciwko temu, żeby Lippsowi przyznać jego twierdzenie nawet w tej najogólniejszej formie:

[1] E. Meumann: *Aesthetik der Gegenwart,* str. 67.

[2] *Die aesthetische Betrachtung und die bildende Kunst,* str. 140.

»przez wczucie tylko wyglądają rzeczy pięknie« [1], jeśli przez wczucie stale rozumie ten szczególny życiowy objaw jakiegoś złączenia się przedmiotów obcych z istotą żywą, która w każdym akcie poznawczym istnieje, człowieka sprowadza do przedmiotu a przedmiot do człowieka i łączy węzłem wspólnej immanencyi duchowej obydwu [2]. W tym razie wczucie jest tylko wyrazem opisowym konkretnego poznania, a słowa Lippsa »tylko przez wczucie wyglądają rzeczy pięknie«, znaczyłyby w gruncie rzeczy to samo, co w ogólności przyznają estetycy, że piękność odnosi się do poznawczych władz człowieka. Tylko wyrażenie Lippsa bardziej konkretnie tę myśl ujmuje z uwzględnieniem zabarwienia uczuciowego, które w rzeczywistości zawsze łączy się w pewnym stopniu z naszem poznaniem zmysłowem. Ale Lipps nieścisły w wyrażeniach, stawia nieraz kwestyę tak, że wyklucza pewne czynniki z wczuć, albo stawia pewne pozytywne żądania, które wczucia określają bliżej, jako przeniesienie się i odnalezienie siebie w przedmiotach dostrzeżonych. W tym razie i tak zrozumiane wczucie doznało słusznego oporu ze strony estetyków, jakoby ono tylko stanowiło istotę upodobań estetycznych.

I rzeczywiście Lippsowi nie udało się na owo twierdzenie przytoczyć żadnego przekonywującego dowodu, bo silne akcentowanie i ustawiczne powtarzanie tego samego, za dowód uważać nie możemy. Wprawdzie posuwa się on aż do twierdzenia, że mamy bezpośrednią świadomość o takiem, a nie innem znaczeniu wczuciowem estetycznej wartości, że »wprost doświadczamy, że estetyczna wartość nie leży w podpadającym pod zmysły przedmiocie, lecz rozciąga się na coś ludzkiego, na życie pod przykryciem zmysłowem leżące« [3] — ale i to zapewnienie pozwalamy sobie podać w wątpliwość. Bardzo często się zdarza, że przez kształty dostrzeżone dociera dusza nasza do wnętrza innych osób, do ich uczuć, myśli, usposobień, że odczuwamy je w sobie, że raz po raz swoje stany wnętrzne przenosimy na martwą naturę i w tem znajdujemy upodobanie, ale taż sama świadomość bezpośrednia nam mówi, że nie-

[1] *Grundlegung der Aesth.* str. 166.
[2] Mercier: »Psychologia«. Warszawa 1901, str. 162.
[3] *Grundlegung der Aesthetik.* 157.

raz doznajemy upodobania i nazywamy pewne przedmioty pięknymi mimo, że wewnętrznego ich stanu wcale nie odczuwamy, ale po prostu dlatego, że zajmują i bawią nasze oko, że dźwięczą w uszach, że dostarczają swoim władzom poznawczym pożądanego przedmiotu do zajęcia się. Jest to, przyznajemy chętnie, upodobanie niewybredne, pierwotne, takie, jakie mają dzicy, przewieszając na się barwne świecidełka, lub dzieci klaszczące w dłonie, ale bądź co bądź jest ono estetyczne, choć o jakiemś głębokiem wczuwaniu życia mowy być w nich nie może. Albo jakież wczucie wytłumaczy nam upodobanie w pewnych proporcyach wielkościowych, n. p. w tak zwanem złotem cięciu, w pewnem zestawieniu i kombinacyi barw, że n. p. dwie barwy, które bezpośrednio stykając się z sobą rażą patrzącego, gdy zaś się je przedzieli białym paskiem sprawiają upodobanie?

Prawda, że podobne wypadki stara się Lipps wczuciowo wytłumaczyć, — prawda, że w nich przedmioty oddziaływują na człowieka wywołują w nim życiowy przebieg poznania, odczuwalny w jakiś sposób, ale jakież w tych wypadkach upodobania zachodzą wczucia w tem ostatniem określonem rozumieniu, co w tych barwach i liniach żyje tak, jak człowiek, jakie życie wyraża się w nich, żeby je człowiek odczuł i musiał odczuć, jako swoje własne? One z życia człowieka nie posiadają nic, więc i nie są naturalnym wyrazem życiowych jego wartości, a jeśli człowiek im przypisuje w mowie pewne właściwości, n. p. powagi, radości, swobody, siły, to są to tylko przenośnie na podstawie owego właśnie ogólnego złączenia właściwego każdemu poznaniu zmysłowemu, w którem człowiek niejako wychodzi ze siebie i dąży do przedmiotu, poznaje wprost przedmiot a ubocznie tylko siebie, a wskutek tego nie odróżniając jasno, refleksyjnie dwóch czynników, okazuje skłonność przypisywania przedmiotowi poznania tego, co jest jego tylko własnością. W każdym razie nie jest to wczucie się w życie przedmiotowe. Jest to tylko niejasne odczucie swego stanu przy poznawczem obejmowaniu przedmiotu podpadającego pod zmysły. Upodobanie estetyczne w tych razach nie pochodzi z wczucia w znaczeniu ściślejszem, ale z wczucia, o ile ono jest równo-

znaczne z poznaniem, w którem przedmiot poznania dostosował się do oczekiwań podmiotu, do wymogów subjektywnych, psychicznych i fizyologicznych.

Dlatego też nie przywiązujemy wagi do tego rodzaju dowodzenia: »Niemożliwą jest rzeczą, żeby równoznaczne w sobie (?) poczucie piękności raz pochodziło z takiego »wczucia się« mojego w piękno, z takiego odnalezienia się osobowości albo jakiejś jej strony w pięknie, a drugi raz powstawało z przedmiotu dostrzeganego, który mi się jako dostrzeżony przeciwstawia bez względu na współdziałanie elementów osobistych. I nie może słowo piękność oznaczać rzeczy tak zasadniczo (?) różnych, żeby raz oznaczało coś wypełnionego treścią osobistą, drugi raz bez tej treści tylko zmysłowego. Piękność ostatecznie jest zawsze tą samą pięknością, używanie piękna tem samem używaniem, sztuka, która tworzy piękno i umożliwia jego używanie jest zawsze tem samem działaniem ludzkiem. Tem wspólnem podłożem każdego uczucia piękności jest wczucie, a każde piękno jest symbolem życia i wyżycia«. Jest to szermowanie ogólnemi nierozróżniczkowanemi pojęciami, które zawierając częściowo prawdę mogą mieć pozory dowodów, ale przy bliższych określeniach utrzymać się nie dadzą.

Oczywiście piękność jest jedna w najogólniejszem znaczeniu, ale z tego nie wynika, żeby nie dopuszczała rozmaitych odcieni, stopni, żeby tą samą drogą przychodziła do skutku. Wszak w ten sposób i ciepło jest jedno, ale pojęcie relatywne ciepła nie wyklucza rozmaitych jego stopni, które w działaniu na człowieka rozmaicie przejawiać się mogą, z których jedne przyjemne są dla człowieka, inne nieprzyjemne, inne wprost zabójcze.

Podobnież i pojęcie piękności jest jedno, a sądząc według tego, co zawsze i w każdym razie pod nie podkładamy, ilekroć je słyszymy lub wymawiamy, oznacza ono upodobanie z dostrzeżonego przedmiotu. Ale to upodobanie może być większe lub mniejsze, może posiadać różne stopnie, zależne tak od podmiotu jak i przedmiotu, a każdy stopień upodobania, większy czy mniejszy, zawsze będzie upodobaniem z przedmiotu dostrzeżonego, i ktokolwiek ma choćby najniższy stopień upodobania o dostrzeżonym przedmiocie, może mówić o jego piękności. Przez to, że

jeden stopień upodobania w porównaniu z wyższym okazuje się małym, przez to jeszcze nie traci swej absolutnej wartości, nie zasługuje na to, by go odsądzić od wszelkiej wartości. A właśnie na tem założeniu opiera się całe dowodzenie Lippsa, usiłujące wykazać znaczenie wczuwania. Że w wysokich stopniach upodobania estetycznego widział wybitną rolę wczucia się w wyraz żywej istoty, przeto nie wahał się zawyrokować, że wczucie cechuje każde upodobanie estetyczne i biorąc ten wysoki stopień za miarę wszelkich upodobań, łatwo doszedł do wykluczenia poza obręb wartości estetycznych wszystkiego, co nie nosi na sobie śladu wczuć, albo przeciwnie, widząc, że coś się podoba, usiłuje sztucznie przez naciąganie w tem upodobaniu wykazać obecność wczuć.

Jest to założenie dowolne, nieuzasadnione, jednostronność pojęcia, która pomściła się na całej pracy, wyciskając na niej piętno jakiejś niejasności, niedokładności, braku ścisłej i jasnej konsekwencyi systemu.

E. Meumann wytyka mu, że wbrew psychologicznemu stanowisku wplata do swej pracy przedmiotowe uwagi. My nie upatrujemy w tem żadnej ujemnej strony, sądzimy bowiem, że psychologiczne stanowisko nie tylko ich nie wyklucza, ale owszem domaga się uwzględnienia strony przedmiotowej w badaniu przeżyć estetycznych. Bez niej nie byłby zrozumiałym ten stosunek zgodny, jaki ma istnieć w upodobaniu estetycznem między podmiotem a przedmiotem. Zródło jego chwiejnego stanowiska, pewnego przerzucania się z jednego na drugie upatrujemy w skrajności i jednostronności estetyki wczuć, która nie jest zdolna objąć ogółu czynników upodobania estetycznego. Z tego musiały wyniknąć niejasności, na które się także skarży Meumann, np. nie wiadomo dobrze, w jakim stosunku do wczucia stawia Lipps zasady formalne piękna, czy one są koniecznie czynnikiem wczuciowym i jedynie jako takie mają znaczenie, czy też mają odrębną wartość estetyczną, niezależną od wczuć, jak zdawałoby się wskazywać odrębne, niezależne od wczuć ich traktowanie. My jesteśmy tego zdania, że one mają odrębną wartość estetyczną dla siebie, niezależną od wczuć, które wywołać mogą, ale nie zawsze wywołują. Wartość ich, jako zasad formalnych piękna

jest mniejsza wtedy, gdy są pozbawione cech symbolicznych, ale mimo, że jest mniejsza, jest stałą dla siebie wartością estetyczną.

Ciasne stanowisko, jakie Lipps zajął w estetyce, stało się też powodem, że myśl wszelką wyrzuca poza nawias wartości estetycznych, wypędza ją z dziedziny sztuki, albo, co najmniej, nie wypowiada się w tym względzie jasno. Wyżej wspomnieliśmy, jak złowieszcze biada wypowiada sztuce, »która i w treści myślowej szuka swych domniemanych wartości«, jak straszy czasami owymi, kiedy to głowy świętych otaczano świetlistemi kołami, a fruwające wstążeczki z napisami dopowiadały to, czego nie mówiło dzieło samo. A jednak myśl wyrażona — podkreślamy to słowo — nie jest estetycznie obojętną. Koncepcya, treść myślowa — przyznaje sam Lipps dość zresztą ogólnikowo — oddziaływa dodatnio na artystę przy tworzeniu, oddziaływa na widza przy kontemplacyi dzieła. Ale zaprawdę zagadką jest dla nas, jak ta myślowa treść, której dodatni wpływ Lipps uznaje na wytworzenie dzieła i na wzbudzenie upodobania w widzu przez dzieło, jak ona może nie być estetyczną wartością dzieła samego. Boć jeżeli wpływa dodatnio na artystę, to chyba tem, że tak opanowała jego duszę, że nie daje mu spokoju, aż ją z siebie wydobędzie, ucieleśni, wbije w marmur lub oblecze w słowa, aż zobaczy wyrażoną środkami swej sztuki w wykonanem dziele: więc myśl swą daje swemu dziełu, wyraża w dziele. Więc ta myśl musi spoczywać w niem i z dzieła artysty dowiaduje się o niej widz przyglądający się dziełu. Jakżeż więc można twierdzić, że jest tylko jakimś warunkiem upodobań estetycznych lub powstawania dzieła sztuki, a nie należy do przedmiotowego piękna?

Słusznie Lipps, ogólnie mówiąc o upodobaniach estetycznych, opisywał je, jako stany powstałe z odpowiadającego pociągowi duszy zatrudnienia jej władz, »z drgania jej strun«, jakiego dostarczyły zewnętrzne przedmioty, zjawiska, przedstawiając się przed nią z takimi cechami, jakich wyczekiwała, tak dotykając jej strun, jak one są nastrojone. To upodobanie tem jest większe, im przy jednakowych zresztą warunkach więcej strun, więcej władz duszy będzie przy jakiemś zjawisku, stosownie do swej natury zajętych, im pełniej obejmie je dusza wszystkiemi władzami.

Z tych przesłanek wynika, że wartość estetyczna przedmiotu rośnie odpowiednio do tego, im więcej władz duszy zajmie i z pewnością będzie większa wtedy, gdy nie tylko bawi dźwiękiem ucho lub barwą oko, fantazyę kształtem, ale i przy tem wszystkiem, albo raczej ponad to, przedstawi dla rozumu jakieś zainteresowanie, jeżeli nie tylko zwracać się będzie do sfer niższych poznania z wykluczeniem wyższych, jak tego się domaga Lipps, ale przez niższe sfery zaapeluje do wyższych.

Jak widać z tego, my nie stawiamy tak kwestyi bałamutnie, jak ją stawia Lipps, który występując przeciw myślowej treści w sztuce, insynuuje, jakoby jej obrońcy całe znaczenie dzieła sztuki w niej upatrywali a całkiem pomiatali jej stroną zjawiskową, stroną odnoszącą się do zmysłów, jako będącą bez znaczenia. Nie stawiamy dylematu: albo albo — albo całe znaczenie estetyczne zależy od treści myślowej, albo zupełnie od niej nie zależy, — bo jeszcze możliwy jest trzeci wypadek rozłączności, że wartość estetyczna częściowo zależy także od tematu myślowego. I ten właśnie wypadek podnoszą obrońcy treści myślowej w dziełach sztuki. Dołączają oni treść myślową do przedstawienia podpadającego pod zmysły, do barw, kształtów i dźwięków, którymi zajmują się niższe zmysłowe władze poznawcze, — przyczyniają i dodają to, do czego władze zmysłowe dotrzeć nie mogą same przez się, ale co może dostrzedz i wyrozumieć tylko rozum ludzki poza niemi ukryty i czuwający — idealną treść przedstawienia. Ten dodatek myślowej treści nie przedstawia się jako zasadniczy postulat każdego, nawet najniższego upodobania estetycznego, lecz tylko jako zwiększenie, spotęgowanie tego upodobania, podniesienie go do godności estetycznego upodobania, κατ' ἐξοχήν, człowieczego, ile że w nim bierze udział nie tylko zmysł wspólny człowiekowi i niższym od niego zwierzętom, ale i władza jemu tylko właściwa, człowieczy rozum.

Lipps nazywa upodobanie z myślowej treści płynące oszukiwaniem samego siebie. »Tam, gdzie do dzieła sztuki dołącza się dodatek myślowy i w estetycznej kontemplacyi przychodzi do głosu, staje się współczynnikiem przedmiotowym estetycznego rozważania i upodobania, tam oszukuje człowiek sam siebie

co do swego upodobania: myśląc, że cieszy się z dzieła sztuki, cieszy się z własnych myśli«. — Otóż twierdzenie to znów jako przesadne nie jest prawdziwe. Byłoby niem, gdyby myśli człowieka, jego rozważania, nie stały w żadnym stosunku do dzieła sztuki, jeżeliby mu się nasuwały w zupełnej od dzieła niezależności, albo bardzo tylko luźno były z niem złączone, np. gdyby w wysokiej, smukłej świątyni gotyckiej zastanawiał się nad prawami ruchu wahadłowego i rozkoszował się bujaniem na huśtawce w przestworzu, albo gdyby w kaplicy sykstyńskiej na widok Boga-Stwórcy, wyrażonego na freskach powały, myślał o jakiejś deklamacyi aktora wędrującego teatru i z jej treści czerpał swe zadowolenie. Wówczas jego upodobanie z myślowej treści, przyznajemy to chętnie, nie byłoby estetycznem upodobaniem z dzieła sztuki, ale z własnych myśli widza, ale bo też te myśli nie są wnętrznie związane z dziełem sztuki. Ani Bóg-Stwórca na pułapie Sykstyny nie mówi o aktorach, ani formy gotyku o ruchu wahadłowym; a że widzowi ze swej strony przy oglądaniu dzieła sztuki mogą najrozmaitsze myśli nasuwać się do głowy i że człowiek w nich zasmakować może, to jego rzecz. Tylko wtedy on sam łatwo zda sobie sprawę i osądzi, co właściwie jest przedmiotem jego upodobań, dzieło sztuki czy też co innego, czego z dzieła sztuki nie wyczytał, a tylko z zewnątrz mu się nasunęło z okazyi oglądania dzieła sztuki.

Jeżeli do większego estetycznego upodobania należy też i treść myślowa to nigdy w tem rozumieniu, żeby miała się dołączać z zewnątrz, żeby należało ją sobie »dośpiewać w duszy«. Myśl musi być wyrażona i zawarta w dziele, musi widnieć w przedstawieniu, żeby ją rozum z łatwością mógł odczytać. Tak! musi widnieć w dziele, dzieło ma być tej treści przedstawieniem tem łatwiejszem do odczytania, że przemawia do rozumu przez zmysły, że uzmysławia, unaocznia treść rozumową, podaje ją nie jako abstrakcyjną, ogólnikową formułkę, ale »indywidualizowane uogólnienie«, jak się bardzo trafnie wyraża Lipps sam, mówiąc o treści, w dziełach sztuki. »Artysta indywidualizuje to, co jest ogólne, a uogólnia, co jest szczegółowe t. j. z obojga wytwarza coś ukształtowanego indywidualnie a posiadającego ogólne zna-

czenie« [1]. W ten sposób treść rozumowa może i powinna się mieścić w dziełach sztuki o wyższej wartości estetycznej.

Jeżeli sztuka pierwotna, nierozwinięta, niedojrzała, posługiwała się dawniej wstążeczkami z napisem wychodzącym nieraz z ust przedstawionych osób, — o czem sarkastycznie wspomina Lipps, występując przeciw rozumowej treści, — to fakt ten doświadczalny powinien go był raczej o czem innem pouczyć, do innych wniosków doprowadzić, aniżeli do lekceważącej ironii na temat fruwających wstążeczek z napisami na obrazach starych malarzy. Fakt istnienia tych wstążeczek, jak również fakt istnienia dzieł sztuki o treści allegorycznej powinien był go zastanowić tem bardziej, że jest przedstawicielem kierunku doświadczalnego psychologicznego w estetyce i zwrócić uwagę na widocznie w nim ujawnioną skłonność, pociąg duszy do wyrażenia myśli i treści rozumowej w dziełach. Że takie dzieła były, że je artyści tworzyli, to wskazuje, że i w nich była dążność do wyrażania tego, co myślą w swych dziełach i że widzowie najwidoczniej znajdywali upodobanie w dziełach o treści myślowej, kiedy ich jest tak wiele. Więc dusza widocznie szuka i domaga się z dzieł sztuki tej treści myślowej, a jeżeli pierwotni artyści posługiwali się wstążeczkami, to przyczyną tego ich niewyrobienie, nieporadność, stan prób i stawiania pierwszych kroków. Faktem więc jest i zostanie, że dusza pragnie i szuka myślowej treści w dziełach sztuki.

Że tej treści myślowej pożąda i domaga się dusza w dostrzeganych przedmiotach, na to dowodów dostarcza sam ten, który usiłuje ją wyrzucić z dzieł sztuki — sam Lipps w swoich dowodzeniach. Czemżeż ostatecznie są wczucia? Jeżeli się dokładnie odróżni estetyczną kontemplacyę, która jest ześrodkowaniem uwagi w przedmiocie, zapomnieniem o sobie a zagłębieniem się w przedmiocie, od samego wczucia, które subjektywne nastroje albo wyobrażenia wkłada w przedmioty, to we wczuciach tego ostatniego rodzaju należy upatrywać dążność psychiczną do zrozumienia i wytłumaczenia sobie zjawisk dostrzeżonych na podstawie jakichś

[1] *Die aesthetische Betrachtung u. die bildende Kunst*, str. 92.

praw, już dawniej we wnętrznem albo zewnętrznem doświadczeniu poznanych.

Czemże innem jest »interpretacya mechaniczna« [1] w estetyce przestrzennej Lippsa, mocą której człowiek upatruje w każdej linii rezultat znanych sił mechanicznych, jeżeli nie objawem dążności rozumu, usiłującego zrozumieć każdy dostrzeżony przedmiot i dojrzeć w nim swoje tłumaczenie, swoją treść rozumową uwidocznioną? To poczucie, do którego Lipps odnosi interpretacyę mechaniczną, niczem innem nie jest, jak tylko rozumieniem nawykowem mechanicznej prawidłowości linii, rozumieniem bezpośredniem, oczywistem, ale nie refleksyjnem jeszcze, jeszcze nie rozbitem na pojedyncze składniki, nie przepuszczonem przez tryby umysłowej analizy.

Interpretować, tłumaczyć może jedynie rozum i czy to on robi w długich dowodzeniach, czy w rzeczach jasnych obejmując niejako ich całą zawartość od razu w jednym akcie intuicyi, zawsze robi to on sam i nie może tych interpretacyi odstąpić samym tylko zmysłom.

A czyż wczuwania się w kształty natury martwej nie tłumaczył Lipps na podstawie »myślenia przyczynowego«, *das kausale Denken* [2]. Wszak »myślenie przyczynowe«, to rozumienie stosunku i zależności wzajemnej pewnych objawów i przedmiotów, rozumienie niedostępne zmysłom, lecz tylko rozumowi, który poprzez kształty zmysłowe dopatruje się wewnętrznej treści myślowej — *intelligibile in sensibili* — wewnętrznego powiązania pomiędzy rzeczami. I tak przeważna część wczuć, ta zwłaszcza ich grupa, która nie tak nastroje, jak raczej przedstawienia i »tłumaczenia« całe wkłada w przedmioty, jest przekonywującym dowodem dobijania się rozumu o swe prawa i swe miejsce w poznawczem zetknięciu się człowieka z otaczającym go światem. Czyż mogłaby więc znaleźć dusza zadowolenie, upodobanie w dziele sztuki, przynajmniej zadowolenie w większym stopniu, gdyby tej tendencyi rozumowej nie uczyniło się zadość przez włożenie myślowej treści

[1] *Grundlegung der Aesthetik*, str. 228 i nast.
[2] Tamże, str. 183.

w utwór wykonany? Czyż upodobanie z przedmiotu sztuki byłoby upodobaniem prawdziwie godnem człowieka, gdyby w niem nie brał udziału, był wykluczony rozum dla braku rozumowej treści w przedstawionem dziele? Tak on i wtedy będzie się dalej dobijał o swe prawa, będzie się dopatrywał, doszukiwał, »domyślał« tej treści, którą artysta zaniedbał włożyć albo nie umiał włożyć w swe dzieło. I wtedy dopiero nastąpi owo łudzenie się człowieka, o którem Lipps nadmienia, gdy dzieło będzie bez treści myślowej. Wtedy człowiek nie mogąc nic odczytać z dzieła, sam będzie ze siebie wysnuwał treść i swe domysły będzie doczepiał do niego i ciesząc się ze swych tłumaczeń, łudzić się będzie mniemaniem, że to dzieło przynosi mu tę rozkosz estetyczną.

Ale czy można właściwie wlać treść myślową w dzieła sztuki, które są zawsze czemś odnoszącem się do zmysłów — barwą, kształtem, tonem. O to przedewszystkiem się rozchodzi, toby było najważniejsze pytanie w całej tej kwestyi.

Lipps rozstrzyga je z tą pewnością, która już nawet niezdolna czekać jakichkolwiek zarzutów. »No przecież ostatecznie nie można filozofii, nie można wogóle myśli ani idei rzeźbić, malować, nie można przenieść w poezyę ani do muzyki«.

Czy naprawdę jest to twierdzenie tak jasne, pewne, oczywiste, żeby z góry każdy zarzut wykluczało? Przynajmniej w tej formie ogólnej nie jest ono prawdziwe.

Jakkolwiek abstrakcyjnych rozumowań, dowodów w ścisłej formie i powiązaniu filozoficznem nie zdołają sztuki plastyczne przedstawić, ani muzyka nie może ich wygrać, jednak co do poezyi trzebaby zrobić zastrzeżenie. Poezya posługując się słowami, rozporządza najzupełniej zdolnym materyałem do ujęcia i myśli filozoficznych i dowodzeń rozumowych w zakres swej twórczości. Wszak całe systemy filozoficzne stawały się przedmiotem opracowań poetyckich, z większem lub mniejszem powodzeniem przedsiębranych. »Boska komedya« jest niedoścignionym tego okazem. Filozoficzny podkład nosi każda bajka. To, żeby poezya nie mogła przedstawić myśli, jest wprost niezrozumiałe, i dopiero trzeba jakiegoś znaczenia tych słów z mozołem doszukiwać się w niezgodnych z faktami dowodzeniach ze stano-

wiska ciasnej teoryi wczuć, która jako przedmiot sztuk pięknych wprowadza elastyczne a nieuchwytne pojęcie życia, a podkopuje i ruguje ze świata sztuki taką wartość, jaką jest dla człowieka prawda i myśl rozumna wogólności. Nad takiemi skrajnemi teoryami przejdzie praktyka i rzeczywistość bez zwracania na nie uwagi, a teorya sama musi się ratować wykrętami i niekonsekwentnem naginaniem się do faktów lub naciąganiem faktów do siebie. I w poezyi pozostanie na zawsze najwyższą zaletą idea i myśl przewodnia, koncepcya połączona oczywiście z odpowiednią formą, a zanik myśli, jałowość treści w poezyi pozostanie na zawsze charakterystyczną cechą każdego jej upadku.

Ale może rzeźba, malarstwo, jako rozporządzające mniej podatnym materyałem, niż poezya, nie są zdolne do wyrażenia myśli. Może naprawdę myśli nie można rzeźbić, malować, wygrać na jakimś instrumencie.

Nie chcemy tu twierdzić, żeby te sztuki wszystkiej myśli, jakiekolwiek mogą powstać w umyśle człowieka, mogły wyrazić swoimi środkami. Ani nie chcemy, żeby wszystkie sztuki w jednakowym stopniu mogły przedstawiać treści myślowe. W różnych sztukach są różne stopnie wyrażania myśli; w zakresie jednej sztuki jeden artysta tę samą myśl wyrazi lepiej, niż drugi mniej zdolny lub mniej wykształcony w swej sztuce, a czasem są chwile, że artysta potrafi sam siebie prześcignąć w wyrażeniu tej myśli.

Malarzowi przychodzi trudniej niż poecie wyrazić myśl jaką w swem dziele, bo on rozporządza materyą mniej podatną do tego t. j. linią, kształtem i barwą; jeszcze trudniej rzeźbiarzowi, który tylko kształtem brył rozporządza; co potrafi słowo w kierunku przedstawienia idei abstrakcyjnych, tego nie dokaże malowidło ani rzeźba. Ale i one mogą coś przedstawić w swoim zakresie. »Każdy materyał ma właściwego sobie ducha i swoją poezyę«, powiedział gdzieś Klinger.

Estetyka poszczególnych sztuk określa dokładniej granice ich uzdolnienia w przedstawianiu. Ale w każdym razie i rzeźba i malowidło przedstawiać może myśli i całe poglądy

myślowe, zrozumiałe dla widzów i przynoszące im prawdziwą radość estetyczną, którą oni wprost z tych dzieł czerpią.

Przedstawienia te nie będą we formie abstrakcyjnej, ogólnej — i pod tym względem zgadzamy się z Lippsem, że abstrakcyi i ogólników, jako ogólników żadna sztuka piękna nie może przedstawiać, — ale posiadać będą formę konkretną, indywidualną będą przedstawiać się jako pojedyncze zdarzenia, zjawiska, jednak o znaczeniu ogólnem.

Ale to ogólne znaczenie przedstawienia indywidualnego, to jest właśnie treść myślowa, która może być i jest często wyrażona w sztuce, a w dziełach o większej wartości estetycznej powinno się jej domagać.

O ogólnem znaczeniu jakiegoś przedstawienia nic nie wie, nie może sądzić, ani go nie odnajduje w pojedynczych, indywidualnych kształtach linii, barw, obrobionej powierzchni brył, żadne oko, ani żaden inny zmysł — wyczytać je może z tych kształtów t y l k o r o z u m, kryjący się poza szczegółowem działaniem zmysłów. Jeżeli odnajdzie to ogólne znaczenie, wyrażone w indywidualnych kształtach przedstawienia, jeżeli je z nich odczyta, zrozumie, wytłumaczy sobie, wówczas znajduje przyjemność wyższego rzędu, a zawsze estetyczną, bo z dostrzeżonego przedmiotu zaczerpniętą.

Tak więc i filozoficze zapatrywania i zasady moralne i wyniki uczonych badań i wogóle treść myślową wyrażać może poeta, przedstawiając ją »obrazowo« słowami; tak przedstawić ją może malarz na płótnie, a rzeźbiarz wykutą w kamieniu, tak wreszcie robi uczony profesor, gdy ma wykładać przedmiot naukowy wobec niedość rozwiniętych słuchaczy. I on także stara się przedmiot naukowy, treść myślową podać im we formie przystępnej, »uzmysłowić« ją na pojedynczych faktach i przykładach i dlatego przedstawia ją obrazowo, »maluje słowami« to, co podane we formie abstrakcyjnej, ogólnej, pozostałoby niezrozumiałe. Ale czyż dlatego, że wykłada przystępnie, »obrazowo«, że maluje słowami, czyż dlatego jego wykład przestaje być wykładem naukowym, czyż dlatego brak mu treści myślowej? Czyż przez uzmysłowienie treści usuwa

ją z pod kontroli rozumu? Owszem tylko dopomaga do zrozumienia przez unaocznienie prawdy.

Więc można jakoś malować i rzeźbić myśli, naukowe i filozoficzne kwestye, tylko zależy od uzdolnienia artysty, żeby umiał odnaleźć taki »moment brzemienny w znaczenie«, któryby sam przez się, bez uciekania się do pomocy fruwających wstążeczek, tłumaczył widzowi tę treść myślową. I zdumiewać się naprawdę przychodzi, jak Lipps, który takie mnóstwo cennych uwag rozsypał w swem dziele, tyle własnych porobił spostrzeżeń, nowych punktów widzenia odsłonił, mógł tak bez zastrzeżeń, z taką pewnością wypowiedzieć zdanie o niemożliwości wyrażenia treści myślowej w sztuce, kiedy temu twierdzeniu mnóstwo jego własnych badań zaprzecza.

Jak sobie tłumaczyć tę wewnętrzną niezgodę zapatrywań? Nie inaczej tylko skrajnością i ciasnotą obranego stanowiska, które mimo oporu stawianego przez fakty, za wszelką cenę pragnie zachować przynajmniej z pozorem jednolitości.

Lipps za podstawę upodobań estetycznych wziął zjawisko wczuć. One to, według niego, wypełniają treść tych upodobań. Ale kiedy przyszło mu opisać przebieg tych wczuć, oparł się ostatecznie na wnętrznem doświadczeniu własnem. To, co sam czuł, co sam doświadczał wobec przedmiotów pięknych, to starał się zanalizować i dokładnie opisać. Taka autoanaliza, takie szperanie drobiazgowe we własnem wnętrzu w celu wyświetlenia własnych przeżyć, pominąwszy już to, że choćby najdokładniej i najsumienniej przeprowadzone może mieć tylko znaczenie subjektywne, jeszcze narażone jest często na pewne złudzenia, na przesadne wybicie momentów mniej ważnych, a pominięcie tych, które były, ale się na nie nie zwróciło dostatecznej uwagi. Człowiek wmyślając się, śledząc przebieg jakiegoś swego przeżycia, jakiś swój objaw, jakiś szczegółowy jego rys, może się poddać jego suggestyi. Rys jeden go szczególnie uderzy, zainteresuje, coraz bardziej pociąga ku sobie, a wtedy, idąc coraz dalej w jego kierunku, traci człowiek oryentacyę objektywną, pomija niektóre szczegóły i najczęściej przesadza w tym kierunku. I wtedy opis jego nie jest zrównoważony. Przesadne wybicie pewnego mo-

mentu z przeoczeniem innych rzuca fałszywe światło na objektywny przebieg obserwowanego objawu duchowego.

I właśnie sądzimy, że takiemu złudzeniu uległ Lipps.

Mając z założenia swego za zadanie wyśledzić i zanalizować objawy wczucia, zanadto wybił pewien jego rys ze szkodą objektywnej prawdy. Rozpatrując pojęcie wczucia u Lippsa, zwracaliśmy uwagę na ustawiczne jego akcentowanie uczuciowego zlania się podmiotu z przedmiotowym objawem, na identyfikacyę się z nim. »Estetyczne wczucie, to zupełne rozpłynięcie się mej osobistości w dostrzeżonym objawie, w tem, co w niem przeżywam« [1], to jakieś zapamiętanie się w dostrzeżonym objawie, które nie zwraca uwagi ani na rzeczywistość przedmiotu, ani na rzeczywistość własną, które wogóle na nic nie zważa, o niczem nie wie, o nic nie pyta, które tylko czuje, i nic więcej tylko czuje w dostrzeżonym przedmiocie. »Wtedy niema przedmiotu ni podmiotu, niema widzianego i widzącego, niema mnie — jest tylko jedno czujące w przedmiocie ‚ja', ponadosobowe ‚ja'« [2].

W ten sposób opisując pospolity zresztą rys, nie tylko estetycznych objawów, ale i każdej skupionej uwagi na pewien przedmiot, rys zapomnienia o sobie, któremu zwłaszcza podlegają dystrakci, wielkiemi słowami spotęgował jego znaczenie i podniósł do przesadnych rozmiarów, nadał mu doniosłość zasady: tak być powinno w każdem upodobaniu estetycznem. A że w takiem zapamiętaniu, wyjściu z wszelkiej rzeczywistości przedmiotowej i podmiotowej, takiem wykluczeniu z wszelkiego pytania, wszelkiego zdawania sobie sprawy, nie może brać udział rozum, to chyba jasne dostatecznie. To też Lipps wprost wyklucza wszelkie działanie rozumowe w przeżyciach estetycznych i pojawienie się refleksyi, opamiętanie się, nazywa przerwaniem, końcem estetycznego upodobania, powrotem do stanu normalnego, do szarej pospolitości. I tu należy upatrywać główny błąd u Lippsa, z którego potem wyszedł cały szereg bałamutnych dowodzeń innych. A ten πρῶτον ψεῦδος powstał na podstawie przesadnego zaakcentowania zapo-

[1] *Grundlegung der Aesthetik*, str. 125.

[2] *Die aesthetische Betrachtung und die bildende Kunst*, str. 87 i nast.

mnienia się, przytrafiającego się każdemu, kto się dobrze zajmie jakąś rzeczą.

Że doniosłość tego zapomnienia się przy wczuciach estetycznych jest bardzo przesadzoną, że taki zachwyt głęboki trafia się rzadko, o tem najlepiej świadczy przegląd własnych przeżyć estetycznych, a i wtedy, kiedy człowiek naprawdę czuje się bardzo wzruszony, n. p. na przedstawieniach dramatycznych, to nie do tego stopnia, żeby tracił z u p e ł n i e świadomość o sobie. Może się to chyba zdarzać u ludzi wyjątkowo wrażliwych, uczuciowych, przeczulonych, ale nie trafia się u ludzi o normalnym rozwoju psychicznym.

I czy naprawdę refleksya rozumowa, zdawanie sobie sprawy z otrzymanych wrażeń jest śmiercią upodobań estetycznych?

Prawie równocześnie z Lippsem wypracował estetyk tybingski, Konrad Lange [1], inną teoryę estetyczną także na podstawie autoanalizy przeżyć estetycznych i jakoś na tej samej drodze, którą postępował Lipps, do innych doszedł rezultatów. K. Lange nie tylko nie wyklucza z przeżyć estetycznych elementu rozumowego refleksyi, ale ją wprowadza jako konieczny czynnik upodobań estetycznych. Biorąc ściśle, teorya jego ma wygląd ekscentryczny, dziwny, niemal dziwaczny. Oto według niego, upodobanie estetyczne polega na łudzeniu samego siebie i to na łudzeniu świadomem, umyślnem. Człowiek, patrząc na dzieło sztuki, miotany bywa między dwoma krańcowo przeciwnemi seryami wyobrażeń, między ułudą a rzeczywistością. Raz, n. p. wobec grupy marmurowej walczących zapaśników, wydaje mu się, że rzeczywiście walczą, ale zaraz przychodzi mu na myśl: to pozór tylko nie rzeczywistość. Ale zdając sobie sprawę, że to tylko pozór, zatapia się dalej w rozważaniu ich jako rzeczywistych.

I w tej w ciągłej zmianie, w wahaniu się między rzeczywistością a pozorem, które potrafi długo bawić człowieka bez znużenia, upatruje K. Lange istotę upodobania estetycznego. Nie wdajemy się w merytoryczną ocenę tej teoryi, nie chcemy roz-

---

[1] *Die bewusste Selbsttäuschung als Kern des künstlerischen Genusses.* Leipzig, Veit & Co. 1896. *Das Wesen der Kunst.* Berlin. 1901.

strzygać czy takie wahanie między prawdą a illuzyą może stanowić istotę upodobań estetycznych, ale podkreślamy w niej jeden moment. Opis faktycznego stanu rzeczy przy przeżyciach estetycznych u Langego wydaje nam się trafniejszy i wszechstronniejszy, aniżeli u Lippsa. Nie chodzi o owo wahanie się między dwoma szeregami wyobrażeń, ale ten opis zwraca uwagę, że w przeżyciach estetycznych i rozum dobija się o swe prawa. Mimo wielkiego zaabsorbowania i zajęcia się wrażeniami płynącemi z dzieła, mimo, że cała niższa strona uczuciowa człowieka stoi pod ich urokiem, rozum nie daje za wygraną, przedziera się przez zasłonę nieokreślonych wczuć, chce zaznaczyć się i zrozumieć swoje stanowisko wobec dostrzeżonego przedmiotu. I kiedy wczucie po krótkiej chwili wyczerpać się musi, rozum z pełną świadomością rozwija swą czynność w rozumieniu i na swój sposób chce zrealizować upodobanie, którego już doznały pobratymcze mu niższe władze poznawcze. I na tym punkcie, że wprowadza świadomość, zdawanie sobie sprawy przy estetycznych przeżyciach ma teorya Langego znaczenie, choć jako całość krytyki nie wytrzymuje.

Na podkładzie dobijania się rozumu o swe prawa dadzą się dopiero wytłumaczyć owe asocyacye, owe domyślania się treści myślowej w dziełach sztuki. Im mniej dzieło samo z siebie mówi, a większe okazuje pretensye do artyzmu, tem więcej rozum wysila się, by coś z niego zrozumieć, odczytać i tem bardziej narażony jest na niebezpieczeństwo fałszywych domysłów, jeśli dziełu sztuki brak treści myślowej. Ale na zapobieżenie temu niebezpieczeństwu jest jedna rada. Nie, żeby artyści nie dbali o treść myślową, jak to doradza Lipps, lecz żeby wyrażali ją jasno, zrozumiale dla każdego, żeby nie stawiali zagadek myślowych widzowi, ale przedstawiali tę treść w zakresie swoich środków jak najlepiej.

Teorya, która wyklucza treść z artystycznego przedstawienia, degraduje sztukę, zamyka przed nią wyższe stopnie twórczości, do których wielcy artyści dążyli, które niejednokrotnie szczęśliwie osiągnęli. Wypędzając ze sztuki myśl wszelką, tamuje ona i zasypuje źródło wyższych upodobań dla człowieka, do

których dusza ludzka tęskni, których oczekuje, a nie znajdując w dziele zmuszona jest niejako sama ze siebie domyślać się i wysnuwać treść jaką, by się ucieszyć przynajmniej płodem własnego rozumu, kiedy twórczość artysty mu jej nie dała.

Oczywiście i dziełu bez treści, wrażeniowemu tylko, przemawiającemu tylko do uczuć i narzucającemu nastroje przechodniom i widzom po galerych, może rozum rzucić jałmużnę w formie przymiotnika: ładny, piękny, nawet zachwycający, ale to nie będzie uścisk ręki oddany równemu sobie, to nie będzie pochylenie czoła przed wyższym od siebie, to będzie protekcyonalny uśmiech, pogłaskanie po głowie, zdawkowe uznanie rozumu, złożone dziełu dlatego, że się spodobało i zabawiło to niedojrzałe jego rodzeństwo zmysłów, drepcące z boku przy nim.

Póki człowiek człowiekiem zostanie i póki będzie cenić swą władzę rozumową, dopóty, mimo ciasnych teoryi, wielką wartość estetyczną przyzna tylko temu dziełu, które dogodzi nie tylko jego zmysłom, ale zadość uczyni i rozumowi rozumową treścią w naocznem przedstawieniu, a jeszcze więcej, gdy ono i dla woli jego przedstawi coś z tego, co ona ceni, lubi i czego pożąda, słowem: wartość estetyczna dzieła będzie tem większą i bardziej odpowie ono całości natury ludzkiej, która jest i zmysłową i rozumową, uczuciową i moralną, społeczną i religijną.

Lipps mimo głośno brzmiących słów o estetycznem zadowoleniu, któreby było »nie tylko zmysłowem widzeniem, ale i używającem patrzeniem t. j. wyżyciem się w dziele sztuki, czynnością osobistą, rozszerzaniem się i skupianiem, przechadzaniem się tam i napowrót, gubieniem się gdzieś w dali i odnajdywaniem się i t. d., zwłaszcza jeżeli w nich drga *całe tętno wewnętrznego życia* człowieka patrzącego na dzieło sztuki«, mimo tych wszystkich dźwięcznych słów o nieokreślonem znaczeniu, nie okazał się dla niego sprawiedliwym. Wyłączając treść myślową, historyczną, religijną poza obręb wartości estetycznych, nie uwzględnił tego całego tętna wnętrznego życia, które jest też i rozumne i moralne, społeczne i religijne i w miarę tego im bardziej się rozwinęło, tem bardziej tęskni do tych wyższych swoich objawów, pożąda ich i rade je widzieć przedstawione w sztuce.

I znów przesadą jest i podstępnym manewrem dla zachowania rozłażącej się teoryi, kiedy się twierdzi, że przedstawiać można tylko życie, a sprzecznością jest chcieć przedstawić historyę lub pojęcia religijne, że Madonny nikt nie wymalował, a to, co nazywamy Madonną, jest tylko kobietą o mniej lub więcej wzniosłym charakterze, postawie, ruchu, »bez tego, co specyficznie rozumiemy pod tem pojęciem Madonna« [1].

Zarzuty takie wyglądają raczej na walkę z wiatrakami. Stawia się żądania chimeryczne, o których się nikomu nie śniło, a potem się z niemi walczy i odnosi łatwe zwycięstwa. Gdybyśmy chcieli być złośliwi i użyć tej samej metody, również moglibyśmy w ten sposób zaatakować teoryę Lippsa, która za zadanie sztuki uważa przedstawienie życia. Życia nikt nie wymalował, powiedzielibyśmy i wymalować nie może, malarze malują zewnętrzne kształty dostrzegalne zmysłom, zewnętrzne ruchy muszkułów, ścięgien i t. d., ale tego, co się nazywa specyficznie życiem, żadna sztuka oddać nie potrafi, życiem można żyć, ale nie malować go, ani rzeźbić, ani wyśpiewać i t. d. My tej metody walki się nie chwytamy. Przyznajemy, że tego, co stanowi specyficzną, więc istotną stronę życia, oddać nie można, to tylko abstrakcyjnie rozumieć można. Ale przedstawić można zewnętrzne objawy, które są naturalnym życia wyrazem. Ale jak życie w objawach swoich daje się dla nas wyrazić, tak istnieją pewne objawy, po których dla nas staje się widocznem, że wymalowana Pani, to nie jakaś tylko dama, ale to Pani Nieba lub Matka Boża, którą już znamy skądinąd, której pojęcie zaczerpnęliśmy z wiary. Znów oczywiście gra tu rolę rozum, nie same tylko zmysły, ale też rozum musi się znajdować w każdem wyższem upodobaniu estetycznem i wykluczanie go z przeżyć estetycznych stoi w sprzeczności tak z historyą sztuki, jak i z faktami upodobań estetycznych.

Albo i znaczenia owego kółka nad głowami świętych. Lipps mówi o niem z przekąsem. On, który tak świetnie omawiał znaczenie wyłączenia »obrazu« z rzeczywistości, tak trafnie pojął znaczenie podrzędnych nawet środków dla zwiększenia estetycz-

[1] *Die aesthetische Betrachtung und die bildende Kunst*, str. 91.

nych wrażeń, dziwnym sposobem jakoś ani krzty nie pojął znaczenia tego sposobu oznaczania świętych, tak estetycznie znakomitego, jakiem jest owo kółko świetlane nad głową, zwłaszcza gdy tworzy złociste tło dla niej. Wszak takie złociste kółko właśnie ma za zadanie wyniesienia postaci świętej ponad rzeczywistość ziemską, ponad otoczenie codzienne, a przeniesienie jej w sfery świetlane niebieskie. I zadanie to spełnia doskonale. Patrząc na postać świętego, którego cała figura albo przynajmniej głowa odcina się na takiem złocistem tle, odbiera się wrażenie, że mimo kształtów ludzkich, ta postać nie należy do ziemi, do świata powszedniego, że jest wyższa nad ziemię, przeniesiona w jakieś tajemnicze blaski, spowita w uroczyste, mistyczne połyski zaziemskiego otoczenia, którego wyrazem są te drgające połyski złotego tła. A wierny, który wchodząc do kościoła nie wypróżnia swej głowy z wszelkich nabytych wiadomości religijnych, stając przed obrazem ze złotemi kółkami, obok wrażeń czegoś podniosłego, wysokiego, jakich mu dostarczają podobne obrazy, rozumie też doskonale, że ma do czynienia z nadziemską postacią świętego.

Nie chcemy dłużej zabawiać się szczegółami, które niejednokrotnie same do opozycyi wyzywają. Ograniczamy się na przedstawieniu zasadniczego stanowiska, zajętego przez Lippsa w badaniach estetycznych, oraz braków z niego wynikających. Stanowisko to nie może objąć i wyświetlić wszystkich kwestyi estetycznych i staje się powodem sztucznych naginań faktów do teoryi, polemik i dowodzeń więcej słownych niż objektywnych, wrażeniowych więcej niż rzeczowych.

Znaczenie ogólne estetyki wczuć jest duże, bo jest ona pożądanym i ważnym przyczynkiem do badań estetycznych, ale jednolitym systemem nie jest i być nie może, bo podstawa, na której się opiera, jest za wązką, aby się na niej mogła wznieść silna budowla, obejmująca całość przeżyć estetycznych.

Ks. L. Rudnicki.

DZIEJE FILOMATÓW W ZARYSIE.

(Dokończenie)

Kierująca gronami klasa Błękitników obejmuje już, jak widzieliśmy, kompletną związkowość, widzi cały ogół działów i wpływa nań we względzie naukowym, moralnym i politycznym. Członkowie starają się jednoczyć i skupiać całą pracę poszczególnych cząstek organizacyi tak, by módz objąć od razu cały jej postęp na drodze systematycznego rozwoju. Naukowość nie wchodzi już tu wcale, miejsce jej zaś zajmuje szeroka praca administracyjna, która, nie obejmując jeszcze w tym roku nazbyt szerokich widnokręgów, zapobiegła przecież rozprzężeniu się młodzieży filareckiej, potrafiła rozbudzić w niej radość ze wznowienia związkowości i zachęcić do tworzenia kółek, co już wróży jak najlepiej na przyszłość. Pomimo pewnej nieakuratności w bywaniu na posiedzeniach a zwłaszcza w opłacie składek, większość członków okazuje się skłonną do ofiar i stara się stanąć na wysokości swego powołania. Obawa śledztwa, osłabiony duch wśród Filaretów, brak osób zbliżonych do życia akademickiego powstrzymało coprawda przedsiębiorczość i sprężystość działań; szpiegów jednak potrafiono szczęśliwie uniknąć, a zarazem przekonano się, że ostrożność połączona z taktem stanowi jedyną gwarancyę i deskę ratunku. To też rodzi się nadzieja, że na rok przyszły stowarzyszenie, zjednoczone już silnym węzłem, zdoła objąć szerszą skalę działań, że stałe w zamiarach a przezorne w ich wykonaniu kroczyć będzie śmielej i szybciej ku głównemu swemu celowi. Wybór

dróg odpowiednich pozostawia się osobistej uwadze członków, którzy sami zakreślają sobie obręb pracy, rozszerzają go lub zmniejszają odpowiednio do okoliczności, obowiązani tylko składać raporty i stosować się do wskazówek władzy wyższej.

To też należący do błękitnych Filomaci, Piasecki, Pietraszkiewicz i Domejko nie zajmują się wcale organizacyą gron i kółek, ani przysposabianiem osób do związku, służąc natomiast radą i pomocą Stanisławowi Kozakiewiczowi, jako tajemni lecz najczynniejsi kierownicy. Ich też pracy i zabiegom zawdzięcza głównie swój pomyślny rozwój cała działalność Błękitnych; oni wraz z innymi Filomatami pragną tak wykształcić to stowarzyszenie, by złożyć na przyszłość w jego ręce cały kierunek młodzieży w obrębie miasta Wilna, pozostawiając sobie tylko ogólny nadzór.

Tymczasem jednak Filomaci jeszcze decydują o wszelkich czynnościach Błękitnych; oni przyjmują raporty, wystosowują odezwy, ustanawiają zapytania zadawane kandydatom, roztrząsają ich odpowiedzi i wydają sąd, o ile są one sformułowane w duchu chrześcijańskim, moralnym i patryotycznym a tem samem zgodne z zasadami towarzystwa. Jednocześnie zastanawiają się, jak wydobyć z odrętwienia część dawnych Przyjaciół, stanowiącą dziś wyższy związek Czerwonych Filadelfistów. Według słów Stanisława Kozakiewicza nie byli oni w tym roku ani na chwilę czynnymi, ani na chwilę nie można było powołać ich do działań. Przyczynę tej opieszałości upatruje on głównie w braku uzdolnień administracyjnych wśród danych osób, które, oddane przedtem wyłącznie pracy naukowej, nie potrafiły ująć silną dłonią ani kierunku Filaretów powierzonych im jeszcze w 1821 roku, ani stanąć na wysokości swych obowiązków teraz jako czwarty stopień zgromadzenia.

Jak zapobiedz złemu temu na przyszłość i stworzyć doskonale zorganizowaną klasę Czerwoną — oto pytanie, które nurtuje głównie umysły Filomatów; Jeżowski, szukając źródła złego, radzi w listach do Pietraszkiewicza, Czeczota i Domejki przedewszystkiem wejrzeć w siebie i zwrócić uwagę na osłabienie wewnętrzne głównego Towarzystwa. Melancholia, niepewność, brak energii

toczą już od dawna pień podstawowy; zachwiała się jedność, osłabła przyjaźń i szczerość, poszczególne zaś uczucia, myśli i opinie, dawniej wszystkim wspólne, dziś zmieniły się i rozdzieliły. Pracę nad wzmocnieniem budowy wewnętrznej winni rozpocząć, według zdania Jeżowskiego, Czeczot, Pietraszkiewicz i Domejko, pod ich zaś kierunkiem Kozakiewicz i Aleksander Mickiewicz. Inni, a zwłaszcza Zan, z powodu trudnych okoliczności nie mogą wziąć tu czynnego udziału.

Ku zjednoczeniu umysłów i wyrobieniu stałych, wspólnych wszystkim poglądów posłuży głównie głośne czytanie poważnych dzieł z dziedziny historyi i polityki, jak Plutarcha, Tacyta, Liwiusza, Gibbona, Humea, Robertsona, Richelieua, Cobberta, Pombala i innych. Złączone z czytaniem tem rozprawy, referaty i charakterystyki rozświetlą niejedną kwestyę i przygotują umysły do praktycznych i pożytecznych działań.

Wszelkie teorye radzi tymczasem zawiesić, wszelkie ulotne pisemka rewolucyjne odrzucić, a natomiast zająć się spisaniem uwag nad przeszłą działalnością i, wchodząc w najdrobniejsze szczegóły, zwrócić uwagę na wszelkie omyłki, zboczenia, oraz na przyczyny ich i skutki; następnie proponuje zebrać ścisły regestr szkodliwych a rozpowszechnionych wśród ogółu wad i przesądów i wskazać najodpowiedniejsze środki zaradcze, czyli, innemi słowy, przeprowadzić najpierw ścisły rachunek sumienia zarówno związkowego, jak społecznego, a potem dopiero kreślić plan przyszłych działań.

Na pytanie, ile rady te znalazły w czynie swój wyraz, nie możemy dać stanowczej odpowiedzi. To tylko nie ulega wątpliwości, że nadzieje pokładane na wezwanych członkach nie zawiodły, że zarówno Aleksander Mickiewicz i Kozakiewicz, jak Czeczot, Pietraszkiewicz, Domejko i pominięty przez Jeżowskiego Piasecki rozpoczynają szczerą i gorliwą pracę, snując szczegółowe i głęboko pomyślane projekty organizacyjne. Szukając środków, jak stworzyć jednolite pod względem myśli i poglądów ciało towarzyskie, przedstawia Czeczot cały szereg opinii, które, wpajane w umysły członków, stać się mają kamieniem węgielnym przyszłej budowy.

W pierwszej kategoryi opinii tych, przeznaczonych dla klasy niższej, na głównym planie stoi dobrze znana Filomatom zasada, że szczęście prywatne leży w szczęściu publicznem, a polega na spokoju wewnętrznym, wypływającym z poczucia spełnionego obowiązku. Prawy obywatel, poświęcając dla dobra kraju siły, zdrowie i majątek, przestrzega jednocześnie praw sumienia, moralności a zwłaszcza religii, która stanowi główną podstawę ustroju społecznego.

Dalej piętnuje Czeczot ostro rozwiązłość obyczajów, zbytki, próżniactwo, wychowanie zbyt miękkie i wykwintne, kładzie zaś wielki nacisk na oszczędność, pracę fizyczną i umysłową, szerzenie oświaty i dobrobytu, jako głównych źródeł szczęścia publicznego. Wreszcie stara się wpajać w młode umysły tę wielką prawdę, że więcej niż słowa i wszelkie zachęty działa dobry przykład i poświęcenie.

W opiniach mających się rozpowszechniać w klasie wyższej, porusza Czeczot poważną kwestyę pomyślności krajowej, która zależy z jednej strony od rządu, z drugiej od samych obywateli; onito wspólnemi siłami i mocą zgodnej opinii zdolni są wszelkie zło przemódz a przynajmniej zmniejszyć, nawet wobec wrogiego usposobienia rządu. Następnie zwraca uwagę na stany społeczne i ich obowiązki; na duchowieństwo zbyt pogrążone w swej wyłączności z zaniedbaniem pracy obywatelskiej; na włościan, których niewola tamuje wszelki rozwój kulturalny, a choć w obecnej chwili niepodobna znieść poddaństwa, można zmniejszać pańszczyznę, oświecać chłopa i wpływać na jego dobrobyt; wreszcie wyraża nadzieje pokładane w młodzieży tak pełnej sił żywotnych i zdolnej być dźwignią całego kraju.

Gdy opinie powyższe staną się wyrazem przekonania klasy Błękitnych i gdy zaczną powoli w czyn się wcielać, budowa towarzystwa oprze się już na fundamencie niewzruszonym i będzie ogarniać swym wpływem coraz szersze warstwy.

Te same mniej więcej zasady znajdujemy wśród opracowanych przez Pietraszkiewicza maksym dla kierujących Błękitnymi Czerwonych. Niektóre punkta są tu nawet wprost przepisane z projektu Czeczota z większym tylko naciskiem na patryotyzm

i wyraźnie wypowiedzianą myślą o wskrzeszeniu ojczyzny, która dopóty nie może upaść, dopóki obywatele czują jej stratę i, podlegli władzy sumienia i religii, pracują nad oświatą i dobrobytem.

Opinie powyższe, ujęte w kilkanaście punktów pod nazwą obowiązków prawego obywatela, stanowią podstawowe zasady związku Filadelfistów. Jakie stanowisko ma on zająć na przyszłość w stosunku do tajnych stowarzyszeń szerzących się w Europie? czy pójść w ślady związku Węglarzy, czy też torować sobie własną, odrębną drogę? Nad pytaniami temi ze zwykłą sobie logiką i śmiałością zastanawia się Kazimierz Piasecki. Pogląd jego przytaczamy w skróceniu.

Dla zrzucenia znienawidzonego przez ludy despotyzmu i zamknięcia władzy w pewnych określonych granicach, potrzebny jest związek obywateli, którzy znają źródła ucisku i sposoby ich zatamowania, to jest mają dokładne pojęcie o porządkach, jakie, stosownie do miejsca i czasu, zaprowadzone być powinny, potrafią ująć w swe ręce funkcye krajowe, a kapitały poniosą ojczyznie w ofierze.

Takim właśnie jest związek Węglarzy. Nie pomnaża on bogactw, nie kształci urzędników, nie szerzy oświaty, lecz zbiera gotowe pieniądze, i kosztem pełnych zaparcia się ludzi pragnie zapewnić szczęście narodu. To też z samej jego natury wypływa, że tam tylko może skutecznie działać, gdzie światło tak jest rozpowszechnione, że większość obywateli wejdzie pod sztandar Węglarzy, a zaprowadzone przez nich porządki konstytucyjne będą zrozumiane i ukochane przez naród. Gdy teoretyczna znajomość praw zastosuje się w praktyce do potrzeb administracyjnych, gdy każdy do rządzących nim przepisów tak się przywiąże i tak je dobrze pozna, że o najmniejszą niedokładność potrafi się upomnieć, nieład i rozprzężenie nigdy się nie rozwiną, a natomiast zakwitnie handel, przemysł, oświata a tem samem pomyślność ogółu.

Lecz gdy naród nie zna granicy przysługujących mu praw, gdy urzędnik nie wie, gdzie się kończy jego władza, a obywatel nie rozumie, kiedy winien jej ulegać, względy osobiste muszą wejść w rachubę, przepisy konstytucyi staną się martwą literą,

a despotyzm wróci samą siłą rzeczy. Już we Włoszech brak uświadomienia narodowego udaremnił pracę Węglarzy. My pod tym względem stoimy jeszcze daleko poza Włochami, i nie tylko światła potrzebnego nie posiadamy, lecz, jak świadczy wymownie rok 1812, zupełnie porządków konstytucyjnych nie pojmujemy. To też nasze związki, pomijając zupełnie utorowaną przez Węglarstwo drogę, winny przedewszystkiem oświecać naród, zaszczepiać weń jednocześnie z miłością ojczyzny znajomość porządków konstytucyjnych, zbierać kapitały na przedsiębiorstwa przemysłowe, pracować nad umoralnieniem włościan, a brak udoskonalonych urządzeń zastąpić trafnym doborem osób, mogących zająć posady administracyjne. W tym celu, prócz związków kształcących młodzież, winien powstać specyalny związek obywatelski, który w przyszłym ustroju towarzystwa zajmie jedno z głównych i najważniejszych miejsc.

Podane przez Piaseckiego myśli zostają w całej pełni uwzględnione w projektach ostatecznej organizacyi, która, dzięki pracy Filomatów, a zwłaszcza Czeczota, Domejki, Kozakiewicza, Piaseckiego, Pietraszkiewicza i Zana, przedstawia się przy końcu obecnego roku szkolnego jako rzecz zupełnie wykończona w teoryi, w praktyce zaś o ile możności choć częściowo w czyn wprowadzana. Podajemy jej ogólny zarys:

Na czele organizacyi mającej objąć systematem związków swych wszystkie zakątki Litwy i Rusi, stoją jak dawniej główni jej założyciele i kierownicy — Filomaci. Przyjmują oni dziś nazwę Białych B. B. i stanowią rodzaj ściśle zjednoczonego zakonu, którego obowiązkiem jest krzewić uczucia obywatelskie oraz czynną i praktyczną miłość ojczyzny. Czyni się to w sposób zastosowany do okoliczności, a zatem w danej chwili przez organizacyę związków kształcących rozum, serce i wolę.

Praca Białych, rozwijając się w najrozmaitszych kierunkach, obejmuje dwie główne sfery działań: wewnętrzną, która przygotowuje plan postępowania, oraz zewnętrzną, dążącą do wykonania tego planu. Pierwsza rozwija się w dziedzinie nauk moralnych, filozoficznych i politycznych i szuka w nich zasad mogących zapewnić szczęście zarówno poszczególnym jednostkom,

jak całej ludzkości. Znaczną pomoc stanowić tu będą głębsze studya historyczne, które wskażą na podstawie faktów, co narodom zapewnia szczęście, co zaś pociąga upadek pomyślności i swobód. Poglądy te, złączone z gruntowną znajomością stanu kraju pod względem statystyki, ekonomii i administracyi, pozwolą wyprowadzić cały szereg praktycznych a dla przyszłości niezmiernie ważnych wniosków.

We względzie pracy zewnętrznej związek stara się zapobiedz panującym w kraju niedostatkom, podnieść oświatę, kształcić obyczaje, wpływać na zmianę ustroju prawodawczego, a wpajając zasady liberalne, tłumaczyć zarazem ducha tych zasad i w czynie go stosować. Dotychczasowa działalność obejmowała zaledwie cząstkę młodzieży akademickiej, która, dzięki zbawiennemu wpływowi, zaczęła już nabierać chęci do nauk, miłości kraju i współziomków. Szerszy rozwój pracy tej, ujęcie w systematyczną organizacyę zarówno studentów uniwersytetu jak uczniów szkół średnich, będzie w przyszłości zadaniem niższej od Filomatów klasy Czerwonych Filadelfistów; osoby oddalające się na prowincyę utworzą osobny oddział Zielony, czyli podwalinę przyszłego związku obywatelskiego, szerzącego na wsi oświatę i dobrobyt.

Bezpośredni kierunek obu klas tych spoczywa w rękach Filomatów, którzy delegują w tym celu z pomiędzy siebie trzech członków, składając w ich ręce odpowiednie funkcye, a mianowicie: przewodnictwo Czerwonych, przewodnictwo Zielonych i reprezentacyę władzy wyższej, która w ten sposób przesyła swe rozporządzenia naczelnikom C. C. i Z. Z. Odezwy te przychodzą na piśmie, opatrzone pieczęcią lub pewnym umówionym znakiem, naczelnicy zaś, związani uroczystą przysięgą, gotowi są raczej życie utracić, niż zdradzić towarzysza, komunikującego im rozkazy Białych. Gdyby zaś śmierć lub inne okoliczności kazały mu usunąć się z zajmowanego stanowiska, każdy z naczelników obowiązany jest przedsięwziąć środki dalszego rozwoju działań, aż zjawi się osoba, która znanem godłem udowodni, że władza wyższa ją na swego powiernika wybrała.

Każdy z dwu wyżej wymienionych związków dzieli się sto-

sownie do zakresu przyszłej swej pracy na kilka odpowiednich komitetów. Funkcye ich przedstawiają się w klasie Zielonych w następującym porządku: komitet sądowniczy stara się załatwiać polubownie wszelkie spory i zatargi; rolniczy usiłuje podnieść kulturę rolną, kształcąc w tym kierunku młodych wieśniaków; przemysłowy i handlowy zwraca przeważnie uwagę na mieszkańców miast, zachęca ich do rękodzieł, handlu, zakłada odpowiednie szkoły i rozpowszechnia wyroby krajowe; instrukcyjny zajmuje się edukacyą publiczną i układem ksiąg elementarnych; kierujący wyborami stara się osadzać na urzędach ludzi zdolnych i zacnych; wojskowy opiekuje się żołnierzami; skarbowy zawiaduje kasą związkową.

Przysposobieniem osób zdolnych zająć miejsce w komitetach Zielonych trudnią się Czerwoni Filadelfiści. Oni to, jednocząc i kształcąc młodzież, rozwijają w niej zarazem charakter moralno-polityczny, tak, aby w każdej potrzebie i na każde zawołanie mieć już ludzi gorliwych, zdolnych poświęcić sprawie publicznej życie swe, pracę i majątek. Rozsądna dążność do systematycznego rozwoju działań w jak najszerszym zakresie, dzieli Czerwonych podobnie jak Zielonych na kilka specyalnych komitetów. Przedstawiają się one w następującym porządku:

Komitet kierujący Błękitnymi t. j. młodzieżą akademicką.

Komitet duchowny.

Komitet korespondencyjny.

Komitet żądań i potrzeb.

Komitet naukowy.

Każdy z powyższych komitetów ma pod swem kierownictwem niższe związki, złożone z t. zw. dyrekcyi, których liczba zastosowuje się do potrzeb chwili. Komitet pierwszy, kierujący Błękitnymi, ustanawia tyle osobnych dyrekcyi, ile jest fakultetów w uniwersytecie i stara się skupić pod ich przewodnictwem całą uczącą się młodzież. Opiekując się nią zbiera on o każdym z członków szczegółowe wiadomości i stara się tak wykształcić władze jego umysłu i serca, by, przejęty miłością

ojczyzny, nauki i cnoty, rozwijał uczucia te po gronach, sam zaś stawał powoli na wysokości zadań obywatelskich.

Komitet ten jest ściśle związany z komitetem naukowym, który znów stara się przedewszystkiem krzewić światło wiedzy, udzielając wskazówek, jak należy korzystać z zasobów dostarczonych przez uniwersytet, oraz jak je rozwijać i dopełniać. Tu zwracają się wszelkie prace naukowe Błękitnych oraz przygotowują się kandydaci do Czerwonych. Ci ostatni pozostają w osobnej dyrekcyi, gdzie zwraca się specyalną uwagę na wybór dzieł do czytania najstosowniejszych oraz na treść i porządek referatów. Wybranych z niższych kółek członków otacza komitet szczególną opieką, ułatwia im korepetycye, zdolniejszych wysyła za granicę; prócz tego utrzymuje archiwum, zbiera materyały do wydawnictwa pisma peryodycznego i kieruje biblioteką, złożoną przeważnie z dzieł historycznych, pedagogicznych oraz dotyczących filozofii, prawa, polityki i administracyi. W przyszłości do zadań tych dołączy się jeszcze organizacya specyalnych szkół prywatnych dla nauczycieli, buchalterów, architektów, geometrów, dyrektorów fabryk i t. p.

Komitet duchowny ogarnia wpływem swym seminarya dyecezyalne oraz zakony Pijarów i Bazylianów, starając się zaszczepiać w młodych alumnach zasadę, że prócz zadań ściśle duchownych ciążą na nich w przyszłości szerokie obowiązki obywatelskie, których pierwszym wyrazem jest oświata i dobrobyt ludu. W skład komitetu, prócz członków świeckich, wejdzie kilku światłych księży, którzy rozpoczną niezwłocznie organizacyę dyrekcyi duchownych, kształcąc w nich osoby zdolne zająć kiedyś miejsce w związku Zielonym.

Komitet korespondencyjny utrzymuje stosunki z oddalającymi się na prowincyę członkami zarówno wyższych jak niższych stowarzyszeń. Głównem zadaniem jest tu umiejętna zachęta do korespondencyi przyjacielskiej, naukowej i statystycznej oraz zręczność w wynalezieniu środków bezpiecznej komunikacyi, zwłaszcza przy przesyłce listów w kwestyach czysto związkowych, politycznych i administracyjnych.

Komitet żądań i potrzeb czyli interesów we-

wnętrznych ma powierzoną sobie szczególną pieczę nad życiem prywatnem młodzieży akademickiej, odciąga ją od gier hazardowych i szkodliwych rozrywek, urządzając natomiast ćwiczenia gimnastyczne oraz stosowne i pouczające zabawy; zbiera przytem wiadomości o niedostatnich uczniach i rozporządza na ich korzyść kasą, którą ma w swojem zawiadywaniu. Czuwając jednocześnie nad bezpieczeństwem związków, komitet niszczy w razie potrzeby piśmienne dowody posiedzeń, w kancelaryi zaś uniwersytetu oraz innych instytucyach stara się mieć osoby życzliwe, któreby donosiły zawczasu o zamiarach władz rządowych.

Kierunek pięciu powyższych komitetów spoczywa w rękach poszczególnych dyrektorów, którzy wraz z naczelnikiem formują rząd Czerwonych, czyli najwyższą znaną im instancyę. Tu na osobnych posiedzeniach przedstawia się cały stan rzeczy zarówno w wyższych jak niższych związkach, czytają raporty, redagują się potrzebne instrukcye, rozważają wszelkie myśli i projekty, mogące podnieść i rozszerzyć zakres działań. Decyzye zapadłe w rządzie, komunikują dyrektorowie swoim komitetom na specyalnych komitetowych zebraniach, gdzie też wyznaczają się przewodnicy dyrekcyi, potwierdza się wybór członków w niższych wydziałach, przedstawiają kandydaci do Czerwonych i określa się plan ich badania. O ostatecznem przyjęciu lub odrzuceniu proponowanych decyduje ogólne zebranie wszystkich komitetów pod przewodnictwem Białego naczelnika. Tu też odbywa się uroczysty obrzęd wejścia do związku według form w ceremoniach przepisanych.

Zanim jednak podda się obiór członka ogólnemu głosowaniu, obowiązkiem komitetu jest poznać jego zasady, poglądy, zdolności, stopień inteligencyi, pamiętając, że tylko człowiek z charakterem stałym i wyrobionym zdolny jest zająć stanowisko kierownika młodzieży. Od każdego wymaga się też ciągłego postępu we względzie naukowym i moralnym, którego wyrazem będą co pół roku podawane sprawozdania o poglądach swych na życie i jego zasady. Ważny czynnik kształcący stanowią tu obowiązkowe studya nad dziełami wielkich myślicieli w dziedzinie filozofii, polityki

i historyi, których rozliczne systemata badane i roztrząsane krytycznie wpłyną na wyrobienie stałych zdań i przekonań.

Każdy członek po złożeniu przysięgi obiera sobie komitet najodpowiedniejszy do usposobienia i zdolności; gdyby jednak przekonał się w praktyce, że droga ta nie jest dlań właściwą, podaje do naczelnika prośbę o zmianę komitetu i przechodzi na inne pole pracy. Obwiniony o trzymiesięczną nieczynność, ulega całej surowości praw karnych.

Członek opuszczający Wilno na czas dłuższy winien jest donieść o tem władzy wyższej, podając przytem szczegółową wiadomość o przyszłem miejscu pobytu i życiu, jakie tam prowadzić zamierza. Po wyjeździe przestaje należeć do komitetu, w którym zostawał, lecz otrzymuje osobną, do okoliczności zastosowaną instrukcyę.

Wszystkiemi temi czynnościami kieruje zdala władza wyższa Białych, która stara się przecież powagi swej nie nadużywać, o ile możności pozostawiając umysły samodzielnemu rozwojowi. Żeby zaś rozwój ten nie zboczył z odpowiedniej drogi, przyjmują Filomaci postać Czerwonych i zajmują w tym charakterze miejsce w związku, starając się wyrobić w członkach wspólność przekonań i stałe, zgodne z duchem Towarzystwa zasady. W tym też celu każdy komitet wchodzi w skład podwładnych sobie dyrekcyi, członkowie zaś dyrekcyi zasiadają w niższych gronach i kółkach. Wprowadzona w każdej klasie despotyczna władza naczelnika chyba w nadzwyczajnych wypadkach stosuje się w całej rozciągłości; wogóle nadużywać jej nie wolno, co też naczelnik uroczystą przysięgą stwierdza. W razie gdyby zobowiązanie to przestąpił i powszechną nieufność wywołał, członkowie składają na jego ręce opieczętowaną skargę, którą obowiązany jest władzy wyższej wręczyć i umówiony dowód na to przynieść.

Na posiedzeniach czynności załatwiają się ustnie i żaden piśmienny ślad działań w rękach członków pozostawać nie może. To też wszelkie zaręczenia, przysięgi i wiadomości o obradach przesyła naczelnik władzy kierującej, ona zaś składa je w archiwum komitetu naukowego.

Jak widzimy z wyżej przedstawionych zasad nowej organi-

zacyi, na pierwszym planie stoją tu trzy główne klasy: Biała, złożona z Filomatów ze stałą siedzibą w Wilnie, Zielona czyli związek obywatelski na prowincyi i Czerwona kierująca młodzieżą akademicką. Oddalający się z Wilna Biali stają się Zielonymi i dopiero po powrocie odzyskują swe prerogatywy; Zieloni znów gdy przybędą do miasta przybierają tu postać Czerwonych i tak się ukazują związkom.

Ponieważ jednak dla braku odpowiednich osób klasy Zielonej w danej chwili utworzyć niepodobna, działalność jej przenosi się tymczasem do komitetu korespondencyjnego Czerwonych, którego głównym obowiązkiem jest założyć na prowincyi podwaliny związkowości. Projektowane grona powstać mają w każdej parafii, przyczem czynności ich winny rozwijać się głównie na polu pedagogicznem i dobroczynnem. W tym celu projektuje się organizacya szkółek Lankastra, zakładanie szpitali, ulgi w pańszczyznie; dzieci uboższych rodzin będą się kształcić z funduszów składkowych, które też posłużą na kupno książek dla niedostatnich a nagród dla najpilniejszych uczniów. Zarazem obmyślać się mogą środki zwiększenia honoraryum nauczycieli, co pozwoliłoby oddawać te posady ludziom zdolnym i wykształconym; uczniów kończących zachęca się do stałej decyzyi w obiorze powołania, zdolniejszych zaś wysyła się za granicę. Ważne miejsce w pracy korespondentów zajmą opisy statystyczne oraz prenumerata licznych pism i dzienników.

Organizacya powyższa zachować ma swą moc obowiązującą od 1823 do 1826 roku, t. j. przez trzy lata, ulegając potem zmianom, podyktowanym warunkami chwili. Zakreślona jednak w teoryi na tak szeroką skalę, w praktyce nie może stać się dziełem kilku tygodni; to też obok znanej nam już działalności Błękitnych poprzestają Filomaci w tym roku na próbie zjednoczenia duchownych w związek nazwany Towarzystwem religijno-moralnem. Powstać ma ono w seminaryum dyecezyalnem jako jedna z dyrekcyi komitetu duchownego, którego reprezentacyę stanowią należący już dawniej do Filaretów księża: Lwowicz, Brodowski, Dempi i Kisielewski.

Zanim jednak komitet ten, powstały w kwietniu 1823 roku,

zdołał rozwinąć szerszą i owocną pracę, nieszczęśliwy zbieg okoliczności zmusza do wyjazdu na wieś jednego z najczynniejszych i najenergiczniejszych członków. Nazwiska jego nie podaje nam Kozakiewicz, zaznaczając tylko, że tegoroczna działalność duchownych musiała uledz kompletnemu zawieszeniu.

Prócz wyżej wymienionych związków filareckich i filadelfickich w Wilnie, które stanowią niejako pierwsze latorośle przyszłej organizacyi Czerwonych, znajdujemy podobne, acz nierównie słabsze zaczątki działań obywatelskich na prowincyi. Wyrazem ich są stowarzyszenia założone w Szczuczynie przez Pietraszkiewicza i w gubernii grodzieńskiej przez Bukiewicza. Ostatnie składa się z obywateli dążących do postępu na drodze kultury rolnej, polepszenia bytu włościan i zyskania wpływu na obiór urzędników; o związku Szczuczyńskim brak nam znów zupełnie wiadomości prócz krótkiej wzmianki, zawartej w ostatnim przechowanym protokole Filomatów pod datą 19-go lutego 1823 roku. Odtąd urywają się piśmienne świadectwa posiedzeń klasy kierującej, a tylko pozostałe zapiski i raporty Błękitnych świadczą, że czynności przetrwały do końca czerwca 1823-go roku.

Dalsze nadzieje, śmiałe projekty, cała szeroka organizacya, która tak wymownie świadczy o znanem haśle przewodniem »mierz siły na zamiary«, wszystko skonać musiało zdeptane i stłumione. Już wypadki majowe 1823-go roku, śledztwa, rewizye i areszty, wywołane pamiętnym napisem w szkole na tablicy »Wiwat konstytucya 3-go maja«, kazały spodziewać się coraz ostrzejszych prześladowań.

Ostrożność nie pomogła, obawy nie okazały się płonne. W październiku 1823-go roku zdrada Jankowskiego wydaje byt Filaretów. Niemożebność porozumienia się z aresztowanym za granicą Franciszkiem Malewskim sprawia, że nazwisko Filomatów zostaje nieostrożnie rzucone na pastwę władz śledczych. Za śmiałe marzenia, za miłość ludzkości i pracę dla jej dobra, płacą młodzi myśliciele i dzielni działacze gorzkiem męczeństwem. Rozdzieleni i rozproszeni zrazu w murach więziennych, skazani są następnie po większej części na wygnanie i tułactwo. I tu jednak snują w dalszym ciągu wątek myśli, jak nici, w pożytek

ojczyznie i społeczeństwu i o ile możności myśl tę w czyn wcielają. Do nich to przedewszystkiem zastosować można słowa ich towarzysza i przyjaciela, a zarazem największego wieszcza narodu:

Polak, choć tem między narodami słynny,
Że bardziej niźli życie, kocha kraj rodzinny,
Gotów jest go porzucić, puścić się w kraj świata
I w nędzy, poniewierce trawić długie lata,
Walcząc z ludźmi i losem, póki mu wśród burzy
Przyświeca ta nadzieja, że ojczyznie służy!

Stanisława Pietraszkiewiczówna.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Z piśmiennictwa polskiego.

Z literatury homiletycznej.

Prace homiletyczne będące właśnie w ocenie, przedstawiają nam głównie praktyczny cel wydawnictw na tem polu piśmiennictwa. Autorowie tych prac, dalecy od szukania lśniącej powłoki krasomówczej, pragną Braci Kapłanom przyjść w pomoc w duszpasterstwie, własnem doświadczeniem wytrawnego duszpasterstwa. Wśród tych prac znajdziemy też znaczny procent nawet rzeczy przyswojonych z obcych języków, zwłaszcza z niemieckiego, które uważano za dobre i praktyczne dla naszych stosunków i podano je jako całkowite dzieła tłumaczone, albo wcielono wybrane kazania wśród swoje utwory. Spotkamy się także z rzeczami naszemi, swojskiemi, nie wydanemi wprawdzie jako dzieła kaznodziejskie, których jednak treść i myśli z niemałem powodzeniem zastosowano do form wymowy kościelnej.

Praktyczny ten prąd odzwierciedla nam doskonale żywotność ruchu homiletycznego i jego aktualną wartość, zespoloną ze społeczeństwem. Gdy duch jego wynika z najgłębiej odczutej potrzeby dzisiejszego katolika w koniecznem kształceniu go we wierze przez kazania katechetyczne i konsekwentny, w cykle ujęty wykład pewnych zasad i podstaw, a tam, gdzie z duszy wyrywa się uczucie gorącej miłości ojczyzny i Kościoła, jak np. w mowach ks. Szlagowskiego, idzie ono również zharmonizowane z duszą tego dzisiejszego katolika, spełniając wykładem wiary i podniesieniem duszy zawsze tylko misyę apostolską kazalnicy.

Pamiętamy dobrze gruntowne i pracowite, sześciotomowe dzieło kaznodziejskie o Męce i śmierci Pana Naszego Jezusa Chrystusa nie tak dawno ukończone przez jednego z kapłanów archidyecezyi gnieźnieńskiej. W tak obszernym zakresie dzieło było zaprawdę trudnem do wykonania, a jeśli mimo to, zyskało sobie ogólne uznanie krytyki, która policzyła je wśród najlepsze podręczniki homiletyczne w tym rodzaju, musiało temu sądowi ogólnemu dostarczyć dużo pozytywnych danych. Ten sam, ukryty pod autorstwem »Kapłana archidyecezyi gnieźnieńskiej« kaznodzieja wydaje »Nauki katechizmowe» [1]. Dzieło przedstawia się bardzo poważnie, zupełnie w szerokiem pojęciu wyczerpując dany materyał homiletyczny.

Pracę swoją autor rozpoczął już jako młody kapłan, jeden z tych, których posłano w pierwszy ogień walki kulturnej. Do dziś dnia jeszcze imię Zollnera otoczone jest w praktyce kaznodziejskiej aureolą wzorowości wymowy parafialnej, opartej na skojarzeniu w jego dziełach ścisłości, systematyczności i lubo nie wzniosłej, ale dobrej, prostej formy. To też w naszej literaturze homiletycznej znajdował zawsze nie tylko dużo zwolenników, ale rzeczywistych potrafił wytworzyć swoich naśladowców. Dla młodego wówczas pracownika w winnicy Bożej, stał się on podstawą pierwiosnków kaznodziejskich. Zwłaszcza, że czując wówczas właśnie potrzebę systematycznego wykładu nauk katechizmowych dla swoich parafian, nie znalazł lepszego przykładu. Czy więc obecne dzieło jest po tylu latach niewolniczą ewolucyą Zollnera? Tak i nie. Zollner bez kwestyi wywarł swój wpływ, wpływ ograniczający się jednak w przeważnej części do samej formy. Z niego zaczerpnął autor dużo systematyczności, umiejętności rozłożenia jasnego i przystępnego przedmiotu, rzadkiego u nas daru wdzięczności prostoty. Idąc nawet dalej, znajdą się tu kazania i takie, o których zależności od Zollnera autor powiada sam, że przepisywał niektóre z nich dla siebie. Nastały lepsze czasy, swobodniejsze. Potrzeba tych systematycznych wykładów kaznodziejskich nie malała, zwiększała się, a dawała z biegiem czasu większą obfitość treści, przy swobodzie myśli i wydoskonalonem doświadczeniu życiowem. Opracowanie pierwotne Zollnera wzbogacała nagromądzona z latami biblioteka kapłańska. Tematy coraz się mnożyły i wyszczególniały pod wpływem studyami zdobycznych wiadomości, a pogłębionej wiedzy. Tak po latach mró-

[1] Nauki Katechizmowe... przez kapłana archidyecezyi gnieźnieńskiej... tom I—IV. Poznań, 1910.

wczej pracy powstało to dzieło, dziś w ręce i na użytek kapłanów oddane, o którem bez wszelkiej przesady można powiedzieć, że ono jedno może stanowić podręczną bibliotekę kaznodziejską początkującego kapłana.

»Wierzę w Boga« [1] ks. Wawrzyńca Puchalskiego, czysto ludowego homilety, daje nam popularny na wiejskiej ambonie wykład Składu Apostolskiego w 52 naukach katechizmowych. Prosty i jasny wykład swój ozdabia autor licznymi, pięknymi przykładami, wyimkami z naszych pieśni religijnych. Formę kaznodziejską zachował bardzo poprawną i przejrzystą, mimo to, że wlał w nią dużo ciepła i życia. Długoletnia styczność z ludem pozwoliła autorowi dokładnie zbadać serce i potrzeby ludu, toż widzimy, że wykład jego nie jest suchem przedstawieniem zbioru prawd, ale zarazem pragnie wszczepić je w praktykę życiową.

Ta sama praktyczna dążność wykładów katechizmowych podała myśl wznowienia znanego już dawno, a wyczerpanego zbioru nauk katechizmowych ks. Alojzego Melchera w tłumaczeniu męczennika-wygnańca, ks. biskupa Pawła Rzewuskiego [2]. Wyczerpują one całość katechizmu według trzech jego zasadniczych części. Wydanie obecne poprawiło teksty z Pisma św., które w pierwszem były niedokładne, ponieważ czcigodny tłumacz nie miał na wygnaniu, gdzie pracował nad tem dziełem, Pisma św., oraz w niektórych miejscach zmieniony został z korzyścią układ zdań. Są to krótkie, łatwo ułożone kazania, stylem katechizmowej homiletyki objaśnione przykładami, część praktyczną należy samemu w danych okolicznościach uwzględnić, tutaj bowiem nie dość szczegółowo została wyzyskaną.

Z kompletnych dzieł homiletycznych, obejmujących cały rok liturgiczny, wymienić możemy »Wybór kazań niedzielnych i świątecznych« ks. Józefa Stagraczyńskiego. Jego biblioteka kaznodziejska, którą od r. 1870 wydawał, już się wyczerpała, a chociaż w swoim czasie wielkie oddawała usługi naszej ambonie, przecież w tak obszernem, o zakroju peryodycznem dziele, siłą rzeczy musiały obok najlepszych utworów znaleźć się i słabsze, których przedruk nie stanowiłby dziś interesu. Kiedy więc poznańska księgarnia św. Wojciecha przystępowała obecnie do przedruku, równocześnie zrobiła staranny wybór najlepszych z kazań i podała go nam w dwóch tomach. Na każdą nie-

[1] Lwów 1910, str. 421.

[2] »Sto pięćdziesiąt kazań«. Warszawa 1910.

dzielę i święto mimo to znajdujemy wybór kilku kazań, o tematach zarówno dogmatycznych jak i moralnych. Czuć zarówno we formie jak sposobie spożytkowania materyału, że nie wyszły one z pod jednej ręki; w niektórych kazaniach ta forma jest zbyt archaiczną, wyszła już z mody, ale niema mimo to żadnego kazania fałszywie zbudowanego, pretensyonalnego jakąś nastrojowością lub oryginalnem popisywaniem się erudycyą świecką. Owszem, treść ich, gruntownie dobrana i opracowana, daje dobre świadectwo wydawnictwu. Obok »Wyboru« ks. Stagraczyńskiego wychodzi nowe kompletne dzieło kaznodziejskie ks. Józefa Stanisława Adamskiego. T. I [1]. Zakrojone obszerniej niż inne, I-szy bowiem tom o 473 stronach objął dopiero kazania adwentowe, okresu Bożego Narodzenia, niedziele po 3 Królach aż do pierwszej niedzieli Postu. Na każdą z niedziel przeciętnie przypada do wyboru po trzy kazania. Autor znany jest z wzniosłości pewnej pojęcia swego tematu, co nadaje uczuciom niepowszedni charakter; z formy bogato figuralnej, a łatwej, i naturalnej sobie; z obszernego wykładu przedmiotu. Kazania te, przeznaczone dla słuchacza wykształconego, rozbierają przedmiot odnośnej perykopy ze strony dogmatycznej i moralnej, lubo ta ostatnia w tematach przemaga i uwzględnia nawet dla ludzi świeckich dostępną ascezę (np. kazanie o korzyści z ćwiczenia się w obecności Bożej, o czystej intencyi), ale wszystkie odpowiadają głównemu celowi kazania w pouczeniu słuchacza i zachęceniu go do praktycznego wprowadzenia w życie nauki Chrystusowej. W doborze tematów znać doskonale, że autor wśród inteligentnego swojego audytoryum rozróżnia ludzi w obowiązkach religijnych zupełnie zastygłych, obojętnych i innych pobożniejszych, i takich, co dążą i pragną wyższej doskonałości. A potrafi do tego dostroić źródła dowodowe i styl i samo zastosowanie praktyczne. Każde kazanie w wykładzie swoim lubo ścisłym, bez żadnych dygresyi i obrazowości rozwlekłych, jest bardzo obszerne, jakiekolwiek z nich wygłosić w przeciągu pół godziny byłoby niepodobieństwem. To jest, co praktyka mogłaby zarzucić kazaniom ks. Adamskiego. Dla korzystających jednak praktycznie z jego dzieła, jest ono wskazaniem obfitego materyału do wyboru nawet w poszczególnych kazaniach, należycie na części rozwijające temat rozczłonkowanych. Kiedy mówimy już o podziałach, których tytuły wskazują bardzo interesujące i aktualne kwestye, mimochodem znajdujemy kazanie bardzo dobre i pożyteczne,

[1] »Kazania na niedziele całego roku kościelnego«. T. I i II. Kraków 1910.

mniej jednak w swym podziale aktualnym sposobem określone t. j. kazanie na drugą niedzielę po Trzech Królach: Czego potrzeba do uszczęśliwienia małżeństwa: 1) Trzeba przed zawarciem małżeństwa radzić się Jezusa; 2) Zaprosić na ślub Jezusa; 3) W małżeństwie zatrzymać Jezusa. Wogóle, wydawnictwo to w swym dziale homiletycznym zajmie jedno z poważniejszych miejsc.

Dobrze są znane ogółowi kapłanów wychodzące w *Gazecie Kościelnej* kazania ks. d-ra Aleksandra Pechnika, i dobrą usługę autor nam oddał wydając je w osobnej odbitce. Mamy tak nowe dzieło kaznodziejskie o 200 stronach [1]. Złożyły się na nie: cykl kazań pasyjnych i 20 luźnych kazań na święta i uroczystości kościelne, przeważnie Matki Boskiej. Jest to dzieło pracy systematycznej i skrupulatnej, gdzie autor nie unosi się przelotnem natchnieniem, nie obrazuje, nie używa nawet silniejszych wstrząśnień uczucia, ale wykłada i przemawia spokojnie ze ścisłą konsekwencyą, a jak cały wykład swój przerobił i rozłożył w należytych granicach, tak wlewa go w dobrze wyzyskaną również ścisłą formę kaznodziejstwa. Zdawałoby się, że podobne opracowanie staje się nie przemawiającem, zbyt lapidarnem. Nie. Autor unika owego chłodu, przy ścisłości wprowadzając odwołanie się do słuchacza, oraz spokojniejsze, więcej homilijne uczucia, a w kazaniach o Męce Pańskiej zastępując silne uczucia wzorowem i barwnem opowiadaniem samej historyi Odkupienia, która treścią swą sama bez wątpienia musi wzbudzić uczucia w słuchaczach. Jako jedną jeszcze z cech dodatnich tych kazań, podnieść musimy ścisły stosunek z Pismem św. w licznych i dobrze zestawionych cytatach, jako też używanie jako dowodu, coraz bardziej zaniedbywanego dzisiaj źródła pism Ojców i Doktorów Kościoła. Kazania skierowane są do audytoryum przeciętnego miejskiego, na co wskazuje ich ton skromny i sposób przeprowadzenia praktyki życiowej. W kazaniach tych, jakeśmy to już zaznaczyli, znać wielką pracę i sumienność. Autor raz po raz czerpał myśli z najcelniejszych kaznodziejów, ale wszędzie w odnośnikach odpowiednio je odznaczył, owszem, nawet trzy z kazań przyswoił z Einiga, Albana Stolza i Segneriego, uznając je za odpowiednie swemu słuchaczowi.

Coraz to częściej w naszych czasach odczuwaliśmy w kaznodziejstwie pewną dążność do wyzwolenia z pewnego szablonu, przyjętego w tematach homiletycznych. Fałszywem byłoby mniemanie, jakoby

[1] »Kazania pasyjne, świąteczne i niedzielne«. Lwów 1909.

zwolennicy tego prądu chcieli wprowadzić jakoweś zeświecczenie ambony, lub zrobić z niej trybunę przemawiających ich zapatrywaniom zasad ekonomicznych lub gorzej jeszcze politycznych. Zgoła nie. Ale wobec systemu rozgłośnej a szybkiej agitacyi owych trybunów ludu, co odciągają od Boga i wiary, niszczą tradycye ojczyste, rozwijając w swoich teoryach swym zwolennikom obietnice idealnego dobrobytu materyalnego z wykluczeniem cnoty, stawiając zamiast nabożeństwa przedstawienia teatralne, zamiast kazania, zebrania i odczyty agitacyjne, zamiast Świętych, bohaterów świeckich, wyłoniło się pytanie, czy duszpasterz nie ma obowiązku, jeszcze bardzo przywiązanego do wiary ludu bronić odpowiednio na ambonie, zdzierać maskę fałszu, podjąć również na ambonie akcyi zapobiegawczej złemu, a co za tem idzie w kazaniach i katechizacyach odpowiednio do pojęcia słuchacza uwzględniać prądy, kierunki i plany pracy społecznej katolickiej.

Najwięksi kaznodzieje złotej epoki, walczyli o dogmaty wiary zagrożone w ich czasie i dzielnie kopie o nie kruszyli. Wskazali im tę drogę starzy Ojcowie Kościoła: taki św. Chryzostom, Grzegorz Nissejski, Bazyli, Ambroży, Bernard i tę tradycyę żywotności i podnoszenia aktualnych kwestyi przekazali na długie lata. Epoka racyonalizmu jakoby tę tradycyę przerosła, bo złą była i strupieszałą. Wygodniej i popłatniej było wówczas abstrakcyą filozoficzną zajmować słuchacza, a przytem taki monopol sobie wytworzyła, że aktualności, duszy społeczeństwa można było szukać jedynie w kazaniach patryotycznych i okolicznościowych. Tą drogą tryumfowała obojętność religijna niemal po najnowsze dzieje wymowy kościelnej. A kiedy ta zbudziła się do życia, naturalnie natrafiła na oścień. Dzisiaj mamy strzedz i bronić zarówno zasady wiary, jak etycznej chrześcijańskiej moralności, której żadna kwestya społeczna nie jest i nie może być obcą. A jak ściśle kwestya społeczna łączy się z katechizmem, świetnie pojął w swoim katechizmie ks. Spirago.

To intermezzo, które przyszło nam pod pióro wobec początków zrobionych na tem polu, kończymy słowy listu pasterskiego ks. biskupa Pelczara na wielki post 1907 r. »O kwestyi społecznej«: »Kwestya społeczna jest nie tylko kwestyą ekonomiczną i polityczną, ale także religijną i moralną; rozwiązanie jej należy przeto w pierwszym rzędzie do Kościoła, który stojąc na straży porządku nadprzyrodzonego, określa zarazem i wedle woli Bożej urządza przyrodzone stosunki bogatych do ubogich. Otrzymał on tę misyę od Boga, bo wszakże do niego to przedewszystkiem rzekł Bóg: »Tobie zostawiony jest ubogi,

sierocie ty będziesz pomocnikiem« (Ps. IX. 14). Misyę tę otrzymał Kościół, a więc i kapłani. A więc wykonanie jej jest ich obowiązkiem, nie w teoryi, westnieniach i łzach, ale w nawoływaniu produktywnem i wszczepianiu jej w praktyczne drogi życia. A dla kapłana i wiernych niemasz czcigodniejszego miejsca i im w pierwszym rzędzie powierzonego, jak kazalnica, jak miejsce obecnością Bożą uświęcone«.

W tej myśli pracy społecznej i jako owoc własnej, wydaje ks. Władysław Gryziecki swoje »Socyalne kazania« [1]. Chodzi najpierw o kwestyę formalną. Mamy ich w pierwszym tomie 25, luźnych, nie związanych cyklowo. Nie są to kazania również przywiązane do niedziel ani wogóle wielkich perykop, sposobność do nich dają autorowi głównie uroczystości, a zwłaszcza obchody poświęcone czci Świętych Pańskich, w których życiu upatrywał wzory wysokich cnót społecznych. Tematy społecznie obrobione mamy głównie o pracy, sprawiedliwości i cnotach, dążących do zaparcia i poświęcenia się, miłości wspólnej, wiary i niewiary, z tego punktu wyczerpane, z wad poświęcone pijaństwu. Pewną, jeśli chodzi o ścisłe słowa znaczenie, stanowi różnicę kazanie na Dzień Zaduszny, zaś rachunek sumienia jest streszczeniem w dziele myśli, nauk i uczuć autora. W kazaniach ks. Gryzieckiego nie mamy widocznej formy kaznodziejskiej, a tem mniej znaczonej numeracyą, istnieje ona jednak innym mowczym sposobem, mimo usunięcia tego wyraźnego programu. Siła oryginalności kazań polegałaby tutaj na doborze i ugrupowaniu tematu, jako też, rozumie się, i formie zastosowanej do względów kaznodziejskich.

Przedewszystkiem, kwestye społeczne na ambonie najlepiej wychodzą w cyklach. Muszą one być dokładnie wyczerpane, zostawienie bowiem w słuchaczu wątpliwości, równałoby się zazwyczaj zaprzepaszczeniu sprawy katolickiej. Skutkiem tego, jeśli temat się pragnie zamknąć w luźnych kazaniach, muszą one zbyt się przeciągać. Z czego też w przedmowie autor się usprawiedliwia. Forma dla nich najlepsza konferencyjna, bo nie krępuje tak bardzo proporcyonalnością koniecznych wymiarów kaznodziejskich tematu, a zostawia dużo nawet swobody obrazowaniu i figurom mowczym, odrzucając na bok prawie zbyteczną w tym rodzaju uczuciowość. Źródła argumentacyi tyle bogate dzisiaj stoją wszystkie otworem. Pamiętać jednak wypada, że jeśli na ambonie podnosi się podobne kwestye, stoją one w zasadach wymowy świętej. Aczkolwiek więc obracamy się w zakresie etyki, to

[1] Lwów, Warszawa 1910, t. I, str. 255

uwzględnić musimy w szczególności zasadę etyki chrześcijańskiej nie odsuwającej rozumu ludzkiego i doświadczenia od Boga, ale prowadzącej do uszanowania Jego najwyższej woli i prawa, Jego słowa Bożego, Jego najwyższej społecznej instytucyi Kościoła i Jego Założyciela, jako źródła prawdziwego szczęścia doczesnego i wiecznego. A więc i tutaj słowa Pisma św. i dzieje Kościoła i jego prawa w pierwszym rzędzie muszą być uwzględnionemi. Autor w tym kierunku doskonale się wywiązał z trudnego, ale dobrze pojętego zadania. Ten pierwszy tom socyalnych kazań ks. Gryzieckiego może być wzorem, jak tematy społeczne skojarzyć można z zasadami wymowy świętej i w danej okazyi budująco i pouczająco wyzyskać na ambonie.

(Dok. n.)

Ks. Jarosław Rejowicz.

Hetmani. Powieść. *J. Weyssenhoff.*

Literatura powieściowa, którąby czerpała swoje tematy z niedawno przebytej przez społeczeństwo w Królestwie rewolucyi; więcej — którejby rewolucya była źródłem natchnienia a forma powieściowa środkiem do wypowiedzenia się w kwestyi przeszłości i przyszłości, literatura ta jest obfitą. »Wiry« Sienkiewicza, »Dzieci« Prusa, »Ozimina« Berenta, »Róża« Katerli, »Płomienie« Brzozowskiego, »Łuna« i »Opoka« Zdziechowskiego i tyle, tyle innych. Wszyscy ci autorowie próbowali z tej lub owej strony ująć istotę wstrząsających czasów; każdy z własnego punktu widzenia oceniał ważność momentu, sądził czy przesądzał dokonanie się ewolucyi w pojęciach, programach, duszach. I koniecznością musiało być usunięcie się na plan drugi w każdym z nich — artysty; na planie pierwszym pozostawał zawsze człowiek, Polak, socyalista, anarchista, nauczyciel, prorok. To znaczy: celem była idea zasadnicza, wnętrzne wierzenia piszącego; nie potrzeba artysty szukania momentów piękna czy grozy.

»Hetmani« idą w szeregu najdalszym: pod względem chronologicznym zjawiają się najpóźniej. Wtedy, kiedy już ustało wrzenie, zapanował porządek normalny, codzienny. Ale póki jeszcze nie ustał ból. Tym bólem żyją karty książki, nawet wtedy, gdy autor uśmiecha się satyrycznie, lub gdy szaleje namiętnością do kobiety.

Weyssenhoff ongi już dowiódł, co potrafi w zakresie najsubtelniejszego ironizowania. Jego Podfilipski, Zbązcy, Szafrańcowie, Zbarazcy, a nadewszystko Budzisze, to *sui generis* galerya portretów pierw-

szorzędnej siły kolorystycznej, która w świetle »estetyki humoru« pokazałaby całą swą wartość w rzędzie komicznych kreacyi świata.

Natomiast nigdy jeszcze nie dał Weyssenhoff scen miłosnych, któreby same dla siebie były celem, obrazem malowanym w jaskrawem świetle słońca wschodu czy południa, sztuka dla sztuki. Halka Zbarazka kochała Dołęgę, Podfilipski uczestniczył w miniaturowych orgiach w Marcelinie, wśród litewskiej wsi rozgrywają się mniej lub więcej erotyczne epizody, ale tego tonu, powiedzmy wyraźnie, równie wielkiej zmysłowości w oddaniu szałów miłosnych, dotąd u Weyssenhoffa nie było.

Inna rzecz, czy nowy przymiot wyszedł »Hetmanom« na korzyść!

Historya romansu, oparta o »dni polityczne« Warszawy w r. 1905, zaczyna się 6 lat wcześniej, a jest prosta: Tadeusz Sworski poznał w Hadze, podczas wakacyi, szereg uczestników »konferencyi pokojowej«, wśród nich pana i pannę Latzkich. Ojciec jest urzędnikiem pruskim, »figurą« w Berlinie; panna rekomenduje się Sworskiemu słowami: »my z Polaków«. Jest inteligentna, obyta i piękna, nawet bez »typu« — chyba zdradzają go oczy czarne, połyskliwa zalotność, wyraźna nawet wtedy, gdy jest tylko poważną rozmową, temperament, bijący w oczy ruchliwością nozdrzy i pełnią warg. Stokroć niebezpieczniejszy, jako ruch, spojrzenie; to »coś«, co niema organu ni nazwy.

Sworski zajął się panną, ale o małżeństwie nie myślał, partya była — według niego — dla niego zbyt świetna. Jednak nie uświadomił sobie, czem Latzcy są właściwie — i nie to go odpędzało.

Objaśnił mu pochodzenie ich pan Wojciech Piast, spotkany przypadkiem nocą nad brzegiem morza »Stryj«. Pokrewieństwa z nim właściwego Sworski nie umiał określić, za to odczuwa moralną jego siłę i moc panowania nad sobą, nad Tadeuszem Sworskim.

Pan Wojciech Piast krótko załatwił się ze sprawą stosunku Sworskiego do Latzkich. »Próżnujesz — bałamucisz — a to Żydy«. Na replikę młodzieńca, »niema w nich nic żydowskiego«, odrzekł dobitnie: »dusze«. A pan Wojciech Piast nie mylił się nigdy.

Ciąg dalszy romansu to pobyt Sworskiego w Berlinie, skutkiem zaproszenia panny Latzkiej, i wycieczka decydująca do Wannsee. Decydująca dla Sworskiego o tyle, że tu nastąpiło wyznanie. Zresztą bez dalszego ciągu, bo panna nagle zmieniła taktykę. Po gwałtownych wybuchach, po ciszy niemych upojeń, stała się zimna, odpycha-

jąca. Przesyciła się na chwilę pocałunkami Sworskiego. Ale to widzi czytelnik, nie on.

Następuje rozstanie. Sworski wraca do biurowych swych zajęć w Warszawie, i niebawem dowie się o zamążpójściu p. Latzkiej, co jednakże nie dotknie go już mocniej, bo zajęty jest czem innem. Minęło lat 6. Warszawa wrze, a Tadeusz Sworski mimo swych szlacheckich antecedencyi jest socyalistą.

À propos: znakomicie określony demokratyzm współczesny znajdujemy na pierwszych kartach książki. »Pochodzę ze szlachty jak wszyscy u nas. Czasy są demokratyczne, ale proces demokratyzacyi przeprowadza szlachta. Jest to ruch bardziej wyrozumowany, niż żywiołowy. Tytanów z ludu, wogóle Tytanów brak. Przeciętni obywatele kraju, zarówno sumienni, jak spekulanci, idealizują i popierają nowy rzekomo ustrój społeczny — erę ludową — przeważnie zaś część tych pionierów jest ze szlachty — i pionierowie nie myślą wcale ustępować z widowni — po dawnemu uszlachcają lud i mieszczaństwo, a choć się to dziś inaczej nazywa, rzecz pozostaje bardzo podobną: tworzy się nowa warstwa równouprawnionych i uświadomionych obywateli, która dawniej nazywała się szlachtą. Członek tej nowej warstwy zwać się może postępowcem, ludowcem, demokratą, ale wszyscy razem mają cnoty i narowy dawnej szlachty: cnotę czujności na sprawę publiczną i patryotyzm; narowy zaś różne, a przedewszystkiem: każdy pomysłowy »demokrata« chce być wojewodą w nowej Rzeczypospolitej«.

Ocena wartości tak zwanego dobrego pochodzenia jest równie trafną, a streszcza się w określeniu: »dziedziczność kultury«. Wreszcie weźmy jeszcze zaklasyfikowanie największej części ludzi myślących u nas, do typu wyznawców »idei polskiej« nie dogmatycznej, i dość luźno z życiem związanej religii »polskiego patryotyzmu«, to przyznamy sądom autora dwie cechy: bystrość i szczerość.

Robota pomocnicza płynie dwoma szlakami: z Berlina i Petersburga. Pan Wawrzyniec Latzki napisał broszurę o międzynarodowym związku robotników i własnym nakładem tłumaczył ją na język polski; — Tomiłow, delegat do polskiej partyi socyalnej od rosyjskich przyjaciół, świeży Europejczyk, działacz potężny, szeroka natura, charakteryzuje się cynizmem brutala, bezwzględnością bojowca. »Ten człowiek musiał zostać albo artystą albo spiskowcem«. — Braterskie uściski z braćmi Rosyanami, jakaś akcya mętna, jakieś oczekiwanie co przyniesie historya, trzymają myśli Sworskiego na uwięzi. Nagle odwołał go

ktoś od dni roboczych, — jakby przypomniał o młodości — i o tem, że »jesień jest piękna«.

Dawna Hela Latzka, dziś baronowa Paugwitz, wzywa Sworskiego do Berlina, w ważnej sprawie. Nie uwierzył i nie pojechał. Przyjechała — ona. Z czem? z pieniądzmi, z pruskimi pieniądzmi dla »Partyi«, do »dyskrecyonalnego użycia przez jej naczelników«. Pretekst? nie, to raczej podsunięcie delikatne czytelnikowi, że ruch rewolucyjny w Królestwie stał pruskimi pieniądzmi. A w powieści? to łącznik między przeszłością a teraźniejszością: Sworski do pani Baronowej wraca, wtedy gdy wszyscy cierpią, gdy wszyscy walczą szaleje najwięcej osobistem upojeniem. Następuje »Pieśń Salomonowa«, pieśń miłości, strasznie szczera, żarem tchnąca, nie wyuzdana i nie potworna — tylko bezwstydliwa.

Tomiłow zgadł: Latzki pieniądze przysłał Żydom; — Tomiłow zgadł drugi raz: »maniery Baronowej nie polskie«. Ta rasa się do tej córy nie przyzna.

Minęły dnie i noce rewolucyjne; dla Warszawy grozy pełne, dla nich od szału czerwone. Wreszcie Sworski zapragnął własne ujrzeć mieszkanie. Szedł — śmiertelnie cichą ulicą Warszawy od hotelu Bristol do Placu Aleksandra — aż naprost kościoła św. Krzyża spotkał trzy piesze cienie: płaszcz szary — udrapowany po polsku i czapka — kształtem przypominająca generalską z niewidzianych przez nas czasów, omylić nie mogły: to szedł aresztowany pan Wojciech Piast. »a od niego biły pioruny — od orlich oczu szła siła, jeszcze niewidzialna w cieniu wyniosłej głowy — jak te gwiazdy obiecane — których światło płynie przez wieki«. Szedł dumnie, jakby to on wiódł tamtych, on o twarzy wodza, sołdaty ze zwieszonymi głowami niewolników. Potężne spojrzenie oczu Piasta, oczu ojcowych ostało już odtąd przy Sworskim, ale nie od razu obudziło czujność jego sumienia. Nawet i dzień 1-go listopada nie zdołał wyrwać go z otchłani osobistych wstrząśnień i wzruszeń. Ale przecież od tego dnia zaczęło się coś łamać w programowych wierzeniach Sworskiego. Sprawiło to drobne pozornie zajście: »pośród panujących w dzielnicy, którą szedł, pieśni socyalistycznych i czerwonych latarek zaczął się zbierać kłęb ludzi około latarek i białych sztandarów, intonując »Boże coś Polskę«. Pieśń płynęła nieśmiało, bo szwadron złożony był z wyrostków prowadzonych przez kilku wąsaczów, potomków nieodrodnych Kilińskich. Naprzeciw dążył zwarty pochód socyalistów. Aż obie grupy stanęły naprzeciw siebie dwoma frontami, mierząc się oczyma swych latarek, a pieśni

starły się w powietrzu, poróżnione w fałsz i wyzwanie. Aż z pod czerwonych latarek zaczęli przebiegać dezerterowie i łączyć się z pochodem narodowym. Wtedy na czoło czerwonego pochodu wyskoczył młodzieniec o obcym typie i akcencie i, jak pies owczarski, spędzał czoło swego stada — przeszkadzając wybiegać do rzekomych przeciwników. »Niema już białych sztandarów — dziś tylko czerwony sztandar«, wołał. Pochód biały zawrócił, pchany przeważną liczbą, szedł na czele, nie milknąc pieśnią, ściganą przez pieśń czerwoną. Aż zniknął w mrokach nocy«.

»Zakazywać dzieciom polskim ich pieśni, zakazywać dzisiaj komukolwiek łączenia się z białym orłem, to chyba pachnie obcą agitacyą«, mówi autor. I odtąd powieść robi się jednolitą w jednym swym celu: jest antysemicka.

Wśród manifestacyjnego pochodu w dniu 5-ym listopada, Sworski z balkonu Heli ujrzał Wojciecha Piasta. — I to był w drodze do przebudzenia moment drugi. Ale jeszcze urok trwał. Nie rozwiały go nawet paroksyzmy zazdrości, wywołane ciągłą obecnością Helda, Tomiłowa, czy konsula niemieckiego w salonie pani Baronowej.

Chwilami wygląda to na tragiczną farsę, tak zupełnie nie może mylić się czytelnik co do wartości uczuć dawnej panny Latzkiej, i taką jest nierówność udziału dwóch stron w walce owej o życie. Wreszcie wyjechała. Nie mogło stać się inaczej: za nią po kilku dniach podążył Sworski.

W Berlinie, rozmowy z panem Latzkim nie pozostawiły żadnych wątpliwości: chodziło o wyzwolenie Żydów, choć przez dyplomacyę dodawało się«...i Polaków«. — Poza sprawami politycznemi romans miał i tam swój ciąg dalszy; nie tylko Hela miała dopomódz Sworskiemu do przewiezienia broni przez granicę, lecz jeszcze wyczarowała mu nowe uroki w jakiemś ustronnem mieszkaniu jakiejś urojonej hrabiny... Tutaj Sworski ma złe przeczucia, jest: »romantykiem, Polaczkiem«, jak mówi ona. Granica przebyta — rozstanie — powrót do Warszawy. Rozczarowanie. Ani przyszłość jasna bliższa, ani czyny nadziejne, ni wielkie.

»Gdzież jest tu Polska nieśmiertelna, Błękitna Królowa, o której bajał mi Piast? W ludzie? ależ jestem w nim, pogrążony aż do wnętrznych zaduchów. Szukam tej Polski, którą pokochać mógłbym — nie tylko wysilonym mózgiem, lecz całem sercem. Szukam we dnie i w nocy, po domach i ulicach, a ślizgam się tylko po krwi rozlanej, głuchnę od wrzasku swarów, od grzmotu broni, duszę od oddechu

paszcz rewolwerowych, nie — od smrodu tych dusz, których miliony nazywam moim narodem«. To jest gorzkie; tak przemawia ból, tak woła ogromnym głosem serce, zranione do żywego. Teraz musi paść wieść jakaś o Piaście, wszakżeż on tam wszędzie, gdzie bronić trzeba, czy trzeźwić, czy duszę brać w mocne pęta rozkazu. Towarzysz Kulik opowiada o sporze wywołanym między robotnikami agitacyą za i przeciw strejkom: oko w oko stali Held i Piast. Umarł Sworski socyalista, narodził się Sworski narodowiec. A Piast? Piast zwyciężył.

Odnalazł go Sworski — i słuchał. »Czy sądzisz, że umarł naczelnik, gdy widzisz zastępy w sukmanach? czy wątpisz, że żyje bohater z pod Lipska w jakimś duchu szlacheckim, nie wyzwolonym jeszcze do czynu. Czy w mądrości niektórych mężów cichych nie widzisz ducha Wielkiego Sejmu? — Legion ducha powołany przez wielkiego Hetmana Litewskiego rośnie, krzepi ducha, łączy się z drużyną Naczelnika i gwardyą ks. Józefa, z radą W. Sejmu, oni poprowadzą nas w chwałę. I prowadzą już dzisiaj. Tacy bowiem hetmani nie umierają. Wzmagajmy tylko siły własne«.

Zwrócone tak ku wielkim rzeczom oczy Sworskiego, ścmiło przeczucie: czuł, że Heli coś grozi, sądził się zobowiązanym nieść jej pomoc. Do Piasta poszedł po radę. Ten słuchać spowiedzi nie potrzebował: wiedział już. »Obowiązki nie rodzą się ze wspólnictwa grzechu, synu mój«, powiedział, a wysłuchawszy opowiadania o widzeniu Sworskiego, wyrzekł zamyślony: »Możeś wyzwolony — bądź nareszcie mężczyzną i Polakiem«.

Nazajutrz gazety przyniosły wiadomość o zamordowaniu w Berlinie baronowej P. — Nieznanem było nazwisko mordercy. Ten odkrył się Sworskiemu sam, nieoczekiwanie: Tomiłow. Za zdradę sprawy socyalistycznej na rzecz Żydów, i za zdradę osobistą. Boć kochanką była i jego, i Helda, i Czeremuchina, i tenora Celeoni i... »może Sworskiego? a?« — przepaść ohydy, potworności. Na dobitkę wykrzyknik: »Krasawica ot sławna była! a?«

Latzki szukał mordercy i od razu rzecz przesądził; ten musiał być z ludzi Warszawy; Sworski objaśnień odmówił. Aresztowano całe tłumy — i Piasta. Podczas śledztwa padają z ust jego słowa może najbardziej ważne w całej powieści, a przynajmniej w całej jej osnowie na temat stosunku Żydów do nas i odwrotnie: »Chwila jest, że prawdę ogłosić trzeba o tobie i o was, bo przebrała się miara nieprawości waszej. Dopóki władaliście złotem tylko, byliście znośni; gdy

sięgacie do innych potęg, gdy oplatacie dusze, czas z wami walczyć i otrząsnąć się«.

Piasta, oskarżonego o zbrodnię stanu, rozstrzelano.

Mimo to, pozostała wyznawcom jego wiara, że odszedł tylko i jedynie: nie zginął.

Ujrzymy go na polach mazowieckich i łąkach wielkopolskich, w warsztatach i chatach, zawsze w pracowitem działaniu, na służbie Błękitnej Królowej.

Bowiem żyje i »hetmani«.

Kim jest Piast?, symbolem Polski? wcielonem sumieniem narodowem? sumieniem Sworskiego? miłością kraju? — Jest tem wszystkiem, ale to wszystko jedno. Jest piękny.

Piękną jest ta orla głowa, wzniesiona ponad rozpacz i szał; pięknym duch, o królewskiej wielkości; pięknem życie i piękną śmierć.

Z historyą bohatera związany, sprawia niejednokrotnie wrażenie zjawiska, wywołanego psychologicznym nastrojem Sworskiego. Dlatego mimo całej swej widmowości, jest żywy.

Czy książka jest tendencyjna i czy tendencyą jej jest antysemityzm? Zapewne tak. Ale twierdzenia autora są w znacznej części prawdziwe. Wolno zarzucać mu ton ostry, twardy, nieubłagany; treści argumentacyi nie potrafimy zaprzeczyć. O dusze polskie bowiem chodzi, o chronienie ich przed rozkładem, który bezsprzecznie wnosi inna etyka, inna rasa, odmienny temperament i kultura. Winą naszą jest, że walczyć nie możemy zwycięsko; ale właśnie ze słabością ową liczyć się musimy.

Marya Ruszczyksńa.

Z piśmiennictw obcych.

Theologia biblica sive scientia historiae et religionis utriusque Testamenti catholica. Scripsit in usum scholarum *P. Michael Hetzenauer O. C.* Tomus I: Vetus Testamentum. Imaginibus 100 et tabulis 3 geographicis illustrata. Gr. 8⁰ (XXXII u. 654) Friburgi Brisgoviae et Vindobonae 1908. Sumptibus Herder.

Wobec wielkiego zainteresowania się kwestyami biblijnemi, jakie objawiło się w ostatnich latach, zwłaszcza wobec modernistycznych prądów, które zwłaszcza na polu tłumaczeń Pisma św. szerzą najfa-

talniejsze zamieszanie pojęć katolickich, coraz liczniejsze zastępy duchownych muszą się dziś bliżej zaznajomić ze stanem nauk biblijnych i z rezultatami nowszych badań. Widząc tę potrzebę naszych czasów, polecił Pius X brewem *Quoniam in re biblica* (n. XI), z dnia 27 marca 1906, aby w seminaryach duchownych, uprawnionych do udzielania stopni akademickich w teologii, poświęcano odtąd więcej czasu i studyum teologii biblijnej. Ułożenie podręcznika, któryby, oparty na zasadach zdrowej filozofii i hermeneutyki, ujął historyę i religię Starego Zakonu w systematyczną całość z uwzględnieniem kwestyi spornych, stało się wobec tego palącą potrzebą, zwłaszcza, że od 50 prawie lat, t. j. od wydania teologii biblijnej Scholza, nie pojawiło się żadne katolickie dzieło, obejmujące całość teologii biblijnej.

O. Hetzenauer O. C., profesor egzegezy na uniwersytecie św. Apolinarego, był wobec szerokiej swej wiedzy i swego na wskroś katolickiego stanowiska, najbardziej odpowiednią osobą do napisania teologii biblijnej dla użytku kandydatów stanu duchownego, zwłaszcza jako autor cennych prac nad krytyką tekstu Wulgaty. Pierwszy tom jego dzieła, obejmujący teologię biblijną Starego Zakonu, jest też dowodem jego uczoności i świadectwem niezwykłej pracowitości.

W przedmowie objaśnia H. stosunek swego dzieła do doktryn modernistycznych, wychodzących z założeń protestanckich i wogóle racyonalistycznych. Żałować należy, że H. także zwolenników nowszych metod egzegetycznych, którzy zachowują szczerą uległość dla powagi Kościoła katolickiego, zalicza imiennie do »modernistów« i »liberałów« — takie cenzurowanie przekracza kompetencyę jednostki o prywatnej powadze, i przysługuje tylko władzy kościelnej. Zresztą w teoryi przyznaje to także sam O. Hetzenauer, gdy na str. XXXI zwraca się przeciw hyperkonserwatystom, którym przypomina list Piusa X do ś. p. biskupa Le Camus z dnia 11 stycznia 1906.

We wstępie określa H. jasno i treściwie pojęcie, podział, przedmiot, źródła, pożytek i cel teologii biblijnej, tudzież ich stosunek do nauk biblijnych pomocniczych. Ponieważ Objawienie dokonywało się stopniowo w związku z faktami historycznymi, teologia biblijna dzieli się na część historyczną, czyli historyę biblijną, i część dydaktyczną (teologię biblijną w ścisłem tego słowa znaczeniu).

W pierwszej części (str. 21—367) uwzględnia autor obszerniej fakta, które mają styczność z nauką. Stanowisko jego jest bardziej konserwatywne, a nie brak tu i ówdzie zbyt silnych akcentów w polemice z odmiennymi poglądami katolickich uczonych. Przyznać należy,

że H. zna wszystkie ważniejsze prace z przeciwnego obozu, że nie ukrywa wcale trudności i zarzutów, i że zawsze popiera swoje zapatrywania rzetelnymi dowodami. W interesie przejrzystości możnaby sobie życzyć, aby liczne cytaty przy nowem wydaniu umieszczał, nie w samym toku dzieła, lecz w uwagach na dolnej części stronic.

Druga część (369—646) ma dla teologa i duszpasterza szczególniejszą wartość; zwłaszcza są bardzo cenne rozdziały o jedności i przymiotach Boga, o śladach Trójcy Przen. w księgach Starego Zakonu i o proroctwach mesyańskich.

Illustracye archeologiczne i topograficzne są trafnie dobrane, tablice geograficzne w dodatku także znakomite.

Nauka katolicka powinna autorowi być wdzięczną już za ten pierwszy tom, dający rękojmię, że i teologię biblijną Nowego Zakonu opracuje z równą pracowitością i sumiennością.

Ks. Ernest Matzel.

Geschichte der Päpste Von *Ludwig von Pastor*. Tom V. Geschichte Papst Pauls III. Erste bis vierte Auflage. Herder. Freiburg im Breisgau. 1909. 8⁰ (XLIV i 891).

Ponieważ sobór trydencki i założenie zakonu Towarzystwa Jezusowego dla Kościoła wieków ostatnich mają przełomowe znaczenie, dlatego pontyfikat Pawła III, na który przypadają początki jednego i drugiego, przedstawia najwyższy interes u historyka zwłaszcza, ale także bardzo trudne stawia mu zadania. Już samo tło historyczne dla prac soboru, które już nieraz było przedmiotem mozolnych i uczonych badań, jest niezmiernie zawiłe i żąda od historyka bardzo rozległej znajomości kościelno-politycznych stosunków owej doby i odnośnej literatury obok nużących archiwalnych studyów. Dlatego najpowołańszym uczonym dla podjęcia się tej pracy bezsprzecznie jest Ludwik von Pastor, niezmordowany badacz historyi papieżów Odrodzenia, w którego znanem i znakomitem dziele monografia o Pawle III zajmuje cały tom piąty.

Pastor nie tai tego, że osoba Pawła III mieści w sobie obok jasnych także i ciemne strony Odrodzenia. Stanowczy zwrot w jego życiu, zwłaszcza co do strony moralnej, oznacza rok 1509, w którym został biskupem Parmy. Jako papież zaś od samego początku objawia niezłomną wolę naprawienia wielkich szkód w Kościele, oraz wysuwa od razu na pierwszy plan kwestyę soboru. Znana jest rzecz, jak i dlaczego rozbiły się plany co do soboru w Mantui i Vincenzy, i że

wina nie była po stronie papieża, lecz po stronie księcia mantuańskiego, króla francuskiego Franciszka I i ostatecznie także samego cesarza, który z początku domagał się soboru, powoli zaś uległ namowom i raczej w dysputach i konkordatach z protestantami począł szukać poprawienia stosunków religijnych w państwie. Wobec tych trudności zrodziła się u Pawła III myśl przeprowadzenia naglących reform w Kościele przed zejściem się soboru. Dobitnie podnosi Pastor ważność tego kroku Pawła III dla późniejszych prac reformacyjnych soboru trydenckiego, i odpiera nieprzychylnę Pawłowi III insynuacye, które w nim dopatrują się zamiaru odroczenia koniecznych reform. Dla wykonania swego planu posłużył się Paweł III najprzód kreacyami nowych kardynałów, przeważnie ludzi znakomitych tak pod względem moralnym, jako też naukowym, aby w ten sposób utworzyć w kolegium kardynalskiem większość przychylną dla reformy; oprócz tego ustanawia komisyę dla przeprowadzenia reformy, złożoną z najznakomitszych ludzi ówczesnego Kościoła, z szlachetnym kardynałem Contarinim na czele. Jak doniosłe były prace tej komisyi dla dzieła reformy, o tem świadczą akta soboru trydenckiego, który się głównie opiera na sławnem *consilium delectorum cardinalium de emendanda ecclesia* z roku 1537 i często dosłownie z niego skorzysta. Jeżeli zaś podjęte prace tej komisyi nie przyniosły od razu wielkiego rezultatu, to uwzględnić trzeba, że reforma tak głęboka może być przeprowadzona tylko powoli i że praca reformy zawsze, zwłaszcza wówczas, miała przeciw sobie silną opozycyę. O dobrych zaś chęciach Pawła III pod tym względem wątpić niepodobna. Stoi się wobec faktów niezaprzeczalnych. Paweł III miał tu słuszność odradzając pertraktacyi z protestantami. Pomimo dysput, projektów tolerancyjnych i bardzo niebezpiecznej propozycyi nacyonalnego synodu, nie tylko do porozumienia nie doszło, ale owszem buta protestancka rosła a zjazdy przyczyniały się tylko do szybszego rozszerzenia błędów. Zasługą jest Pastora, że jasno udowodnił niezachwianą prawowierność szlachetnego kardynała Contariniego, który w tych wszystkich przejściach czynny i żywy brał udział jako delegat apostolski do Niemiec, zwłaszcza na słynny sejm regensburski w roku 1541, gdzie w dobrej wierze ale za daleko szedł w ustępstwach dla protestantów w kwestyi o usprawiedliwieniu. To samo z naciskiem powiedzieć może Pastor o kardynałach Pole i Mrone, jako też o sławnej Vittorii Colonna, którzy dzielili przekonania Contariniego a zarazem jego przywiązanie do Kościoła i papieża.

Wobec ugodowej polityki Karola V, utrudniającej niezmiernie zwołanie upragnionego przez papieża soboru, Paweł III prowadzi dzieło reformy powoli ale prowadzi dalej, w czem dopomagają mu wybitni biskupi jak: Giberti, biskup Verony, wzór pastoralnej gorliwości dla św. Karola Boromeusza, Ercole Gonzaga, biskup i książę Mantui i cały szereg innych kardynałów i biskupów, obok wybitnych także generałów zakonnych, jak Seripando, generał Augustyanów i inni. Szczególną zaś Opatrzność Bożą upatrywać należy we wskrzeszeniu licznych nowych zakonów i ich działalności na rzecz reformy, jak Teatynów, Barnabitów, Urszulanek, Braci Miłosierdzia, Kapucynów i Towarzystwa Jezusowego. Temu ostatniemu poświęcił Pastor cały rozdział VII, w którym omawia samą osobistość św. Ignacego, rekolekcye, założenie, instytut i pierwszy rozwój zakonu na podstawie szerokiego materyału źródłowego. Dostarczyły mu go głównie od roku 1903 w Madrycie wychodzące *Monumenta Societatis Jesu historica* i liczne opracowania czasów ostatnich, dotyczące tego przedmiotu. Wywody Pastora wprawdzie nic nowego nie przynoszą, ale gruntownością i objektywnością swoją są znakomitą odpowiedzią na niejedno nieuzasadnione twierdzenie protestanckich historyków, jak Gotheina i Bohemera.

Kiedy pomimo niezwykłych trudności, bullą z 22 maja 1542 Paweł III zwołał nareszcie sobór do Trydentu na 1 listopada tegoż roku, wówczas cały świat mógł się naocznie przekonać, że wina ustawicznego odraczania soboru nie była po stronie papieża; a jednak gdy grożące niebezpieczeństwo od Turków i nowa wojna Karola V z złym duchem owych czasów, Franciszkiem I. zmuszała papieża już w lipcu tegoż roku do ponownego zawieszenia soboru, nie brakło głosów, które winę tego smutnego faktu głównie Pawłowi III przypisały. Wchodzi tu w grę neutralne stanowisko papieża wobec ustawicznych zatargów między Karolem V i Franciszkiem I, które doprowadziło nawet do chwilowego zerwania stosunków dyplomatycznych między Rzymem i Karolem V. I tu, sądzę, Pastor jednostronnie, nie dość przekonywująco broni polityki Pawła III. Uważa jego neutralne stanowisko za jedynie możliwe, nie podnosząc zarazem, że przychylne usposobienie papieża dla Franciszka I, króla bez sumienia i charakteru, który dla własnych interesów poświęcał sprawę religii i umyślnie wikłał, musiało zrazić Karola V, który jako cesarz w tak trudnych warunkach miał najświętsze prawo do najenergiczniejszego poparcia ze strony papieża. Wyczekujące usposobienie Pawła III, które mu przyniosło przezwisko *vas dilatationis,* powiększało często rozpaczliwe położenie Ka-

rola V i ułatwiło Franciszkowi I dalsze prowadzenie intryg i zasadzek nie bez wielkiej szkody dla Kościoła.

Pokój w Crespy 17 września 1544 zawarty między Karolem V i Franciszkiem I, z wykluczeniem papieża, usunął na razie naprężenie między Pawłem III i Karolem i umożliwił dalsze kroki w celu ponownego zwołania soboru, ale rok jeszcze czekać musiano, nie z winy jednak papieża, aby nareszcie 13 grudnia 1545, módz zagaić dawno upragniony sobór. Do pierwszego okresu soboru, t. j. aż do jego przeniesienia niefortunnego do Bolonii, miał Pastor znakomite źródła w doskonałem wydawnictwie Towarzystwa Görresa, zwłaszcza w Dyaryuszu sekretarza soboru Massarelliego, którego wiarogodność Merkle gruntownie uzasadnił. Paweł III już nie miał się doczekać ponownego przeniesienia soboru do Trydentu. Buta Karola V po zwycięstwie nad związkiem szmalkaldzkim i zgonie Franciszka I, która dosięgła szczytu w Interim Augsburskiem (z r. 1548) i mordzie popełnionym za wiedzą cesarza na synie papieskim Pier Luigiem (10 września 1547) wywołała spory o Piacenzę; posunęły wzajemną nieufność do ostatnich granic. Wśród tego zamętu zdrada nepota papieskiego, Ottawia Farnezego, przyspieszyła śmierć Pawła III, którego najsłabszą stroną było zbytnie przywiązanie do rodziny. 10 listopada 1549 zakończył Paweł żywot pełen zasług i trosk o dobro Kościoła, ale także nie wolny od ciężkich zawinień. Jego pontyfikat należy do najznaczniejszych w historyi Kościoła.

Znane są usiłowania Pawła III, aby przeciwdziałać usiłowaniom reformacyi także w innych krajach, jak w Anglii i Francyi, zwłaszcza zaś we Włoszech samych. We Włoszech rażąca apostazya Vermigliego i Ochina nagliła do ostrych środków zaradczych i wtedyto nastąpiło wskrzeszenie inkwizycyi, tylko w zmienionej formie, to jest ustanowienie centralnego trybunału inkwizycyjnego w Rzymie. Żałować trzeba, że Kongregacya S. Officium odmówiła, pomimo wysokiej protekcyi, Pastorowi wstępu do tajnego archiwum, tak, że mu uniemożliwiła wyświetlenia tej tak ważnej i przez agitacyę antykościelną tak często wyzyskiwanej kwestyi. Archiwaryusz O. van Rossum oświadczył Pastorowi, że akta procesów inkwizycyjnych z czasów Pawła III zaginęły, lecz dekrety się przechowały, do tych ostatnich zaś zajrzeć Pastorowi nie pozwolono.

Ostatni rozdział znakomitej pracy poświęcony jest znaczeniu pontyfikatu Pawła III na polu sztuki i wiedzy. Wystarczy przypomnieć, że Paweł III wskrzesił akademię rzymską, że jemu to dedykował Ko-

pernik nieśmiertelne dzieło swoje, że na jego zlecenie Michał Anioł maluje Sąd Ostateczny w kaplicy Sykstyńskiej i od niego otrzymuje nominacyę na głównego architekta kościoła św. Piotra, aby mieć wyobrażenie o znaczeniu jego pontyfikatu dla sztuki i wiedzy w czasach Odrodzenia. Interesujący jest tekst dekretu Kongregacyi Soboru Trydenckiego z 21 stycznia 1564 dotychczas nieznany, odnoszący się w części także do Ostatecznego Sądu Michała Anioła: *Picturae in capella Apostolica coperiantur, in aliis autem ecclesiis deleantur, si quae aliquid obscoenum aut evidenter falsum ostendant, iuxta decretum secundum in sess. 9 sub Pio.* Wiadomo, że ten dekret też później ściśle został wykonany.

Przy końcu dodał Pastor jeszcze cały szereg (85 numerów) dotychczas drukiem nieogłoszonych dokumentów, które do uzupełnienia i objaśnienia tekstu służyć mają, początkowy zaś spis archiwów i literatury, z których skorzystał autor, znowu może przekonać każdego, z jak niezmierną gruntownością i sumiennością Pastor swemu dziełu się poświęca.

Dzieło tej miary zaleceń ani pochwał nie potrzebuje i nowy daje dowód, że najlepszą apologią i obroną papiestwa jest jego historya.

Ks. A. Starker.

ZAPISKI BIBLIOGRAFICZNE.

Szkice skandynawskie. *Alfred Wysocki.* Nowości literackie. Tom XXVI. Warszawa. Wydawnictwo St. Sadowskiego. 1909.

Tomik sympatycznego pisarza, znanego sprawozdawcy teatralnego *Gazety Lwowskiej,* zawiera sześć szkiców, które powstały w czasie pobytu jego w Skandynawii. Nie są to jednak suche notatki turysty, ale barwne, z powodu odczuwania piękna przyrody północnej oraz dokładnej znajomości ruchu umysłowego i literackiego ojczyzny Ibsena i Griega, szkice, które czytelnikowi przynoszą nie tylko czysto estetyczne zadowolenie podczas czytania, ale i wiele korzyści rzeczywistych, bo pozwalających wniknąć mu i zaznajomić się w jedną z najciekawszych współczesnych literatur. Te dobre strony ujawniają przedewszystkiem szkice: »Henryk Ibsen, jego młodość i dzieła« i »Wspomnienia«, z których pierwszy poświęcony jest uwagom nad wpływem przyrody północnej i środowiska na twórczość Ibsena, drugi zaś podaje ciekawe szczegóły z życia, usposobienia i przyzwyczajeń wielkiego pisarza. Również wiele znajomości literatury północnej i wiele słusznych uwag krytycznych zawierają szkice o muzyku Griegu i o pisarzach Lie'em i Wiedzie.

Z tych powodów dobra, ładna i pożyteczna publikacya p. Wysockiego powinna znaleźć licznych czytelników.

a. st.

Stanisław Tarnowski. *Ferd. Hoesick.* Tom I, str. 272; tom II, str. 366.

Przysługę dla zawodowych badaczy wyświadczył autor: zebrał bardzo bogatą osnowę szczegółów, z której dziejopis wybierze rzeczowy pogląd na jednego z najwybitniejszych przedstawicieli narodu w literaturze i polityce współczesnej.

Najbliższa rodzina zasłużonego męża i grono przyjaciół jego osobistych nie będzie narzekać na rozmiary dwutomowej monografii: ciekawie przeczyta ją, jakby miły pamiętnik, skreślone ręką, którą wdzięczne serce prowadzi.

Szersze koła narodu mogą za to dzieło autorowi dziękować, jako za wymowny dowód, że społeczeństwo nasze nie zawsze dla wzniosłych postaci swoich żywi cześć dopiero po ich śmierci. Przodownik poważnej myśli narodowej znajduje szczerych wielbicieli, którzy z jego jubileuszu korzystają, aby drogę jego żywota dokładnie uprzytomnić w pamięci znajomych i jako wzór przekazać ją w pracowitym opisie dla potomnych.

K. C.

Paweł Stalmach, jego życie i działalność w świetle prawdy. *E. Grim.* Cieszyn 1910. Str. 310.

Nakładem »Dziedzictwa bł. Jana Sarkandra dla ludu polskiego na Śląsku« między innemi pożytecznemi wydawnictwami popularnemi wyszła i książeczka, przedstawiająca życie męża, któremu w pierwszym rzędzie lud śląski zawdzięcza swe uświadomienie narodowe, a następnie wiele instytucyi oświatowych, kulturalnych i ekonomicznych. Życiorys Pawła Stalmacha, owego teologa protestanckiego, który przez cały żywot swój był duchowym wodzem polskiego ludu na Śląsku bez względu na wyznanie, a w końcu życia przeszedł na łono tego Kościoła, którego wyznawcy lepiej go rozumieli, opowiedziany na podstawie głównie własnego jego pamiętnika, zmierza nie tylko ku temu, by dać poznać ludowi jego przewodnika, lecz również, aby obronić pamięć zasłużonego działacza przed zarzutami wrogów i zawistnych.

J. U.

Z życia domowego szlachty sandeckiej w epoce dynastyi Wazów. *Ks. Jan Sygański T. J.* Z 15 rycinami. Lwów 1910, str. 185 in 4-to.

Tak zasłużony badacz Sandecczyzny daje nam znowu wiązankę szkiców do dziejów jej w XVII w. A szkice te tem ciekawsze i tem więcej wartościowe, że oparte na źródle współczesnem i prawie współczesnego autora słowami przedstawione. Opiera się bowiem ks. Sygański na dyaryuszu Tymowskiego, sandeckiego kupca, i wydobywa stamtąd obyczajowe szczegóły, jakich nie miał sposobności użyć w poprzednich swych pracach. Nadto skorzystał z innych jeszcze współczesnych źródeł, zapomocą których mógł swe szkice więcej zaokrąglić, wykończyć.

Najprzód prowadzi nas autor do szlacheckiego dworku, który opisuje najdokładniej, według dawnych inwentarzy (str. 5—7), następnie podaje ubiory męskie i niewieście, opisując wszystkie szczegóły z podaniem nawet cen. O licznych a dobrych stosunkach między szlachtą a mieszczaństwem dowiadujemy się z r. II—IV. W rozdz. VI mamy wiele szczegółów, odnoszących się do czci błog. Kingi;

w rozdz. VII nieznane dotąd relacye o kollegiacie sandeckiej. Wreszcie rozdz. V i VII omawia awantury i burdy szlacheckie, wynikłe bądź to ze zwykłego naszej szlachcie pieniactwa, bądź też z powodu niesnasek religijnych, między katolikami a licznymi w sandecczyźnie aryanami.

Wśród tego opisu, mamy mnóstwo przyczynków do życia ówczesnej szlachty sandeckiej, Jordanów, Stradomskich, Wielogłowskich, Rożnów, Sędzimirów i t. d., a z takiej strony codziennego życia, z jakiej mógł ich doskonale śledzić kupiec Tymowski. W dodatkach podaje ks. Sygański między innymi bardzo ciekawy rachunek kupiecki, za sprowadzane przez granicę węgierską towary; dalej wiadomości o zamkach w Sandecczyźnie, o korespondencyi szlachty i mieszczan, o osadnictwie żydowskiem. Całość uzupełniają ryciny.

Dodać trzeba, że wszystko tak żywym opisane stylem, tak barwnie, że czytając te opisy, ma się wrażenie, jakby się na własne oczy oglądało tych ludzi, ich codzienny tryb życia: tak więc poważne studyum podane jest we formie nader przystępnej i miłej.

K. K.

Znaczenie stanu robotniczego dla społeczeństwa i Kościoła. *Ks. dr. Kazimierz Zimmermann.* Poznań. Nakł. księg. św. Wojciecha. 1908, str. 69.

Przedewszystkiem autor wykazuje nam wielką siłę moralną i fizyczną, jaka znajduje się w stanie robotniczym. Jednak niestety siłę tę zamiast ocenić należycie wyzyskuje się a poniekąd i zabija przez upośledzenie robotników w produkcyi, które polega, według autora, na niepewności egzystencyi, przymusie podaży pracy za jakąbądź cenę, zależności osobistej od chlebodawcy, na nieodłączności osoby od wytwórczości robotnika, i wreszcie na złych hygienicznych stosunkach. Upośledzeniu robotnika w Europie przeciwstawia stosunki pomyślne w Ameryce. Następnie przechodzi rozwój prawno-politycznego położenia robotników i obowiązki społeczeństwa wobec stanu robotniczego. Mają one mianowicie polegać przedewszystkiem na równouprawnieniu politycznem. Dając bowiem wiele robotnikowi, zyskuje się stan silny i liczny dla sprawy narodowej i dla Kościoła.

St. B.

Materyały do odczytów w towarzystwach robotników. Napisał *ks. lic. Augustyn Jaskulski.* Z papierów pośmiertnych zebrał i wydał ks. S. Okoniewski. Poznań 1909. 8-ka. Str. 219.

W sposób przystępny i zajmujący omawia ks. Jaskulski trudne zagadnienia społeczne, z któremi robotnika zapoznawać należy, by uchronić go od sideł socyalnej demokracyi. Widać po tych odczytach, że są owocem sumiennego i rozległego oczytania się w literaturze społecznej oraz gruntownego studyum encykliki *Rerum novarum.* Przebija w nich szczera życzliwość dla klas robotniczych, wszechstronne zrozumienie ich potrzeb i szlachetny zapał dla katolickiej pracy socyalnej. Wyborna to książka dla czytelni robotniczych: wszystkie niemal kwestye, mające praktyczne znaczenie dla robotnika zostały uwzględnione.

E. M.

Roczniki Towarzystwa Naukowego w Toruniu. Rocznik szesnasty. Nakładem Tow. Nauk. Toruń. 1909. Str. 214.

Nader bogata treść złożyła się na szesnasty Rocznik Tow. Nauk. w To-

runiu: ks. St. Kujot w swem ...*usque in Pruciam*... dał studyum nad dokumentami Kawalerów Dobrzyńskich z r. 1228, dołączając do swej pracy mapę Ziemi Dobrzyńskiej. Roztrząsa on również pytanie: »Gdzie leżało pierwotne Chełmno«. »Dzieje drukarstwa i piśmiennictwa polskiego w Prusiech Zachodnich«, opracowane przez ks. Alfonsa Mańkowskiego, znajduje się tu w swoim dalszym ciągu i obejmuje Chełmno, Chełmżę, Czersk i Elbląg. Obrazek historyczno-statystyczny parafii przechlewskiej w powiecie człuchowskim skreślił ks. Kościński opatrując go również mapą. Krótką wzmiankę w sprawie nazwy wsi Swornegacie umieścił K. Nitsch. Znaczną ilość stronic obejmuje »Pamiętnik 1806—1810« Walentego Wolskiego, którego dokończenie znajdzie się w dalszym roczniku. Ks. G. Czaplewski napisał »Przeszkody w założeniu szkoły katolickiej w Gdańsku poreformacyjnym«, a ks. Czmielecki podał swoje badania w ustępie p. t. »Trzy cmentarze grobów skrzynkowych w Żelewie«. Dołączona zaś tablica podaje fotografie nader ciekawych urn twarzowych. Rocznik zamyka, jeżeli się spis członków pominie, »Bibliografia zachodnio-pruska i sąsiednich okolic polskich z roku 1908—1909«. Mniej zapewne ciekawym, bo źródła obejmującym, jest tom III *Fontes,* które wydało również Tow. Nauk. w Toruniu w r. 1909. Obejmuje ten tom przeważnie Inwentarze dekanatów: stochowskiego i hamersztyńskiego, tucholskiego, więchowskiego, łobsińskiego i nakleńskiego, prócz tego inne kościołów tyczące się dokumenty. *b.*

Żydzi oświeceni. *Teodor Jeske-Choiński.* Warszawa 1910. Str. 82.

Kwestya żydowska ożyła w ostatnich czasach. Stronice *Przeglądu Powszechnego,* szpalty pism naszych zajmują się żywo tą sprawą. Poczęto sądzić, czy i jak wielkie i jak blizkie jest niebezpieczeństwo grożące z tamtej strony. Do rozwiązania tego pytania zdąża i autor powyższej książki. W sądy się nie bawi, lecz historycznie wykazuje, jakie stanowisko wobec kraju, wobec religii katolickiej zajmowała i zajmuje grupa żydów oświeconych — od Mojżesza Mendelssohna począwszy, a na krakowskim Feldmanie i warszawskim Belmoncie kończąc.

st.

Jak przemawiać na zebraniach i zgromadzeniach. *Ks. St. Sadowski.* Nakładem księgarni św. Wojciecha. Poznań 1909. Str. 28.

Doczekamy się zapewne chwili, kiedy obok różnych przedmiotów w szkołach naszych uwzględnianych będzie obowiązywała gimnastyka organu głosowego, w połączeniu z gimnastyką myśli, by módz w jak najpiękniejszej formie się wypowiedzieć. Zanim to nastąpi cennymi są podobne jak powyższy podręczniki, w którym autor bardzo przystępnie poucza, jak się należy przygotowywać, by posiąść ową trudną sztukę mądrego przemawiania.

W. B.

Nauka zręczności w dzisiejszem wychowaniu. *Glasgall Henryk.* Lwów 1909. Nakł. autora. 16-ka, str. 56.

Za przykładem Szwecyi i innych państw, które poszły w jej ślady, zwrócono także i u nas baczniejszą uwagę na naukę zręczności, zwaną z obca *slöjdem.* Przyznać trzeba atoli z góry, iż nauce tej nie poświęcono tyle starania, ile jej się należało ze wszech miar najsłuszniej

Wobec częściowego zapoznania nauki slöjdu, tem życzliwiej należy powitać książeczkę p. Glasgalla, że z niej laik nawet wyniesie dokładne wyobrażenie o slöjdzie, oraz korzyściach płynących z niego niezaprzeczenie.

Ile treści zawiera tych pięćdziesiąt parę stron, o tem pouczy doskonale spis rozdziałów, który jest następujący: historya nauki zręczności; kierunki, cel; wpływ nauki zręczności na rozwój cielesny i zdrowotny wychowanka; wpływ nauki zręczności na rozwój duchowy ucznia; wpływ nauki zręczności na umoralnienie ucznia oraz na rozwój stosunków ekonomiczno-społecznych; nauka zręczności, jako środek wychowawczy poza szkołą; obecny stan nauki zręczności w różnych państwach; nakoniec systemy i praktyczne przeprowadzenie nauki zręczności w rozmaitych krajach.

Z samego początku książki p. Glasgalla dowiadujemy się, iż aż do ery Komisyi Edukacyjnej głucho u nas było o nauce zręczności i że dopiero ta najwyższa magistratura wychowawcza uznała pracę fizyczną za pożądany czynnik pedagogiczny, ks. Staszic zaś i Piramowicz popierali myśl tę najżarliwiej. U nas w Galicyi pierwszym orędownikiem nauki zręczności było Tow. pedagogiczne, które w roku 1880 urządziło nawet pierwszą wystawę z tego zakresu. Mecenasami zaś slöjdu byli u nas: hr. Włodz. Dzieduszycki, ks. Jerzy Czartoryski oraz Stan. hr. Badeni. Z pomiędzy znawców szkolnictwa: radca Baranowski w *Szkole*, zostającej naówczas pod jego redakcyą, propagował wytrwale naukę slöjdu wśród nauczycielstwa szkół ludowych, jak niemniej p. Spis, inspektor szkolny w Krakowie, którego zasług nie godzi się lekceważyć.

W latach ostatnich walne zasługi około krzewienia slöjdu położył p. Kaz. Bruchnalski. Że zaś usiłowania wymienionych nie pozostały bez skutku widocznego, tego najlepszym dowodem trwająca ciągle u nas dążność do stworzenia przemysłu domowego przez szkołę, o czem przekonywuje wybornie sprawozdanie z ostatniej wystawy pszczelniczo-ogrodniczej. Usiłowania osób dobrej woli sprawiły, że obecnie nauka zręczności obowiązuje u nas w szkołach wydziałowych męskich, jak niemniej w 200 szkołach ludowych. Rezultat to wcale pomyślny.

E. W.

Nowe horyzonty. Przez *d-ra med. Stan. Breyera.* Kraków 1910.

Autor chce zwrócić uwagę czytelnika na mylne a głęboko w niektórych kołach społeczeństwa zakorzenione zapatrywanie się na człowieka, jako na rzecz czysto fizyczno-chemiczną. Takie bowiem pojęcie sprzeciwia się faktom i pociąga za sobą nieobliczalne szkody nawet w hygienie, nie mówiąc już o tem, że burzy moralność człowieka.

Cel swój przeprowadza autor nie jakimś systematycznym wykładem, lecz narzucaniem krótkich myśli lub faktów, które mają w umyśle czytelnika wzbudzić pewne wątpliwości co do niektórych twierdzeń materyalistycznych, by szukać mógł prawdy objektywnie i samodzielnie.

Pod formą więcej poetycką, niż sucho-naukową kryje się wiele uwag i myśli oryginalnych, pożytecznych i śmiałych.

S. K.

Drei Grundlehren des geistlichen Lebens. *Ks. Maurycy Meschler T. J.* Freiburg i. Br. Herder. 1909. Str. IX, 171.

Ze zwykłą sobie prostotą i pobożnością ujmuje autor w tej książ-

żeczce zasady wszystkie życia duchownego w trzy punkty, by módz mieć niejako *die Ascese in der Westentasche,* w kilku zasadach ujętą całą treść życia duchownego. Modlić się, siebie zwyciężać, Zbawiciela miłować, to treść doskonałości chrześcijańskiej. »Modlitwa jest potrzebna i początkiem wszelkiego dobra, lecz tylko początkiem«. Stąd w drugiej części wytłumaczenie zasad zwycięstwa nad sobą i chrześcijańskiego umartwienia, we wszystkiem, ale i bez przesady zewnętrznego a zwłaszcza wewnętrznego. A gdy z umartwieniem człowieka ciężko i przykro, a oto przychodzi miłość i wszystko ułatwia. Taka treść trzeciej części. Książeczka ta, ujęta w krótkie rozdziały i trafne zdania, nadawać się dobrze może nie tylko do czytania, ale i do rozmyślania. *S. J.*

Das Leben unseres Herrn Jesu Christi des Sohnes Gottes in Betrachtungen. Von *P. Moritz Meschler S. J.* Siebte Auflage. Freiburg i. Br. Herdersche Verlagshandlung.

Już w siódmem wydaniu pokazują się O. Meschlera rozmyślania o życiu P. Jezusa. Świadczy to najlepiej o ich wnętrznej wartości i jest dobrem stwierdzeniem pochwał, których mu nie szczędzono. Naprawdę czuje człowiek wielkie zadowolenie, że się miało sposobność zetknąć z tak znakomitym przewodnikiem, tak zżytym, tak spoufalonym z Chrystusem, że zna niemal każdy jego krok, każdy gest, odczuwa każdy odcień jego wyrażenia i potrafi podnieść i zaznaczyć to, coby uszło uwagi ogółu. Spostrzeżenia jego i uwagi są ścisłe i oparte na pierwszorzędnem źródle, bo na tekście ewangelii samej, której odnośne do rozważania ustępy przytacza w całości ze wszystkich czterech ewangelistów, a tak proste, naturalne, trafne, że wprost zdumiewamy się nad tem, dlaczegośmy sami czytając tekst ewangelii uwag tych nie porobili. Wielka szkoda, że dotychczas brak nam tłumaczenia polskiego tej książki, a pracę w tym kierunku podjętą należałoby przyspieszyć, żeby nie pozbawiać możności korzystania z tej książki jak najszerszych naszych warstw.

L. R.

Die Gabe des hl. Pfingstfestes. Betrachtungen über den hl. Geist. Von *M. Meschler S. J.* Freiburg i. Br. Herder. Str. LIV, 560.

Celem autora jest zapoznać wiernych, szczególnie duchownych, księży i zakonników z Boską Osobą Ducha św. i z Jego wieloraką działalnością czyto bezpośrednią, mistyczną, osobistą, czyto pośrednią przez Kościół Chrystusowy w uświęcaniu dusz i w prowadzeniu wiernych do prawdziwych ideałów życia społecznego, kulturalnego i ascetycznego. Wszystkie wywody swoje opiera na nauce najznakomitszych teologów, podając źródła. Treść ascetyczna bardzo obfita; z uznaniem wypada podnieść rozdziały, w których tłumaczy dary Ducha św. (rozdz. 26) oraz hymny *Veni Creator* i *Veni S. Spiritus* (rozdz. 48 i 49). Rozdziały, jak »Rodzina chrześcijańska«, »Oświata i cywilizacya«, »Kwestya socyalna« i t. d. przedstawione w nowem świetle, są bardzo pouczające. Dziełko przeznaczone i podane w formie rozmyślań, odda także znakomite usługi kaznodziejom.

M. H.

SPRAWOZDANIE Z RUCHU

religijnego, naukowego i społecznego

Sprawy Kościoła.

Centralna organizacya katolików w Austryi.

Dnia 19 lutego podała *Reichspost* wiadomość, która bezsprzecznie zasługuje na najwyższą uwagę katolików monarchii austryackiej, mianowicie dowiadujemy się z niej, że w Wiedniu zorganizował się centralny komitet dla Unii katolickiej w Austryi, której celem jest połączyć wszystkie istniejące organizacye katolickie w jeden wielki związek, mający chrześcijańskim zasadom zabezpieczyć słuszne poszanowanie i należyte uwzględnienie na wszystkich polach dzisiejszego życia, na gospodarczem, społecznem i kulturalnem z wykluczeniem polityki. Program Unii już jest wypracowany z uwzględnieniem żądań narodowych i pozostawieniem zupełnej autonomii pojedynczych organizacyi, i w maju prawdopodobnie na ogólnem zebraniu delegatów ze wszystkich krajów Austryi do zatwierdzenia zostanie przedłożonym. Wprawdzie od V wiecu katolików austryackich w Wiedniu r. 1905 już istnieje centralna organizacya katolicka, ale dopiero za inicyatywą ostatniego wiecu w Insbruku program jej został ściślej określony i więcej do potrzeb obecnej chwili dostosowany. Główna zmiana dawnego programu polega na tem, że różnorodne organizacye dyecezyalne i krajowe mają być odtąd złączone dla wspólnej i jednolitej pracy. Nienaruszone więc zo-

stają w centralnym związku nacyonalne i organizacyjne właściwości pojedynczych stowarzyszeń katolickich, tylko ich związanie wzajemne w Unii katolickiej ma im dodać większej siły, rozmachu oraz większego porozumienia się i jednolitości w ogólnej akcyi. Do komitetu przygotowawczego należą: książę Lobkovic, hrabia Silva-Tarouca, baron Wittinghoff-Schell, hr. Rességuier i inni.

W odezwie zwraca komitet słusznie uwagę na coraz groźniejsze położenie katolicyzmu w Austryi i na niezbędną konieczność centralizacyi akcyi katolickiej. Niema też chyba nikogo w szeregach myślących katolików, któryby nie odczuwał potrzeby takiej centralizacyi stowarzyszeń katolickich, zwłaszcza, jeżeli nie chce przeoczać jaskrawo narzucającej się w oczy solidarności wszelkich żywiołów wrogich katolicyzmowi. Ale praca konsolidacyi sił katolickich będzie trudna i napotka na poważne trudności choćby dla samych antagonizmów narodowościowych. Czas jednak nagli i dlatego najskromniejszy początek tej Unii katolickiej już wielkim będzie krokiem naprzód na drodze do porozumienia się i zgodności akcyi w celach dla katolików najwyższych. Cofanie się i opóźnianie konsolidacyi z wygórowanych pretensyi narodowościowych lub partyjnych byłoby winą nie do darowania wobec groźnej sytuacyi ogólnej, bo odosobnione wysiłki nawet bohaterskie mogą wprawdzie zyskać poklask, dogodzić ambicyom, ale pożądanych rezultatów dla sprawy bożej nie przyniosą. Zszeregowania i jedności — *unum sint.* Będzie więc zadaniem przedewszystkiem episkopatu i kleru i wybitnych świeckich działaczów katolickich spieszyć w pomoc centralnemu komitetowi w Wiedniu, aby od dawna upragniona centralizacya sił katolickich w Austryi nareszcie doszła do skutku.

Korespondencya w sprawie Unii skierowywana ma być pod adresem: Komitet Unii katolickiej. Wien I, Bäckerstrasse 8.

Kościół w krajach romańskich.

Zanosi się na to, że rok 1911 będzie rokiem niespodzianek dla Kościoła w krajach romańskich. We Francyi nienawistny stosunek ateistycznego rządu przybiera coraz ostrzejsze formy. Obecnie kwestya szkoły neutralnej daje pretekst do nowych ataków na Kościół, który oczywiście

wszelkiemi siłami stara się paraliżować destrukcyjny wpływ rządowego ateizmu na szkoły. Bardzo słusznie zwraca doroczna odezwa katolickiego komitetu dla obrony religii uwagę na to, że rząd stoi pod wyłącznym wpływem idei antyreligijnej, podczas gdy niemoralność, alkoholizm i chęć używania niszczą pozostałe ostatki fizycznych i moralnych sił narodu. Na nieszczęście znajdują się i w szeregach katolików jeszcze tacy, którzy, jak abbé Lemire, w Briandzie widzą zbawienie Francyi i niepojętym jakimś optymizmem całkiem zaślepieni, nie wierzą w antyreligijną większość parlamentu, choć naocznie patrzą, jak ten parlament ustawicznie powtarza i w ostatniej debacie o kwestyi szkolnej najwyraźniej zaznacza, że uważa katolicyzm za nieszczęście Francyi. Zdaje się, że najlepiej położenie katolicyzmu we Francyi określił ów biskup, który niedawno w mowie swojej wyraził obawę, że w blizkiej przyszłości otworzą się dla episkopatu francuskiego bramy więzień państwowych, tylko nie wiadomo, o ile urzeczywistni się dodane przytem zapewnienie, że wtedy katolicy francuscy w zwartym szeregu do bramy więzienia towarzyszyć im będą. W dotychczasowem zachowaniu się katolików francuskich wprawdzie nie brak ofiarności i przywiązania do Kościoła, ale nie brak w niem także objawów bardzo smutnych: ustawiczna rozbieżność zdań, niezrozumienie i niedocenianie grozy obecnego położenia. Ostatnia zmiana gabinetu przedstawia się z podwójnej przyczyny dla Kościoła katolickiego, jako zmiana na gorsze. Najprzód dlatego, że Briand zmuszony został do ustąpienia przez radykałów, którym nawet antykatolicka polityka Brianda była za łagodną, powtóre dlatego, że Monis, nowy prezydent ministrów i cały jego gabinet, z wyjątkiem jednego, reprezentuje skrajny kierunek, który nam obiecuje, że zarzut Briandowi uczyniony, w erze Monisa już się nie powtórzy. Są więc bardzo uzasadnione obawy, że Francya w najbliższym czasie stanie się widownią bardzo zaciekłych walk religijnych.

Zapowiedziane od dawna prawa, tyczące się separacyi Kościoła od państwa w Portugalii, dotychczas wprawdzie nie zostały ogłoszone, ale każdy też wie, że przyczyną tego jest tylko bezwładność i bezradność rządu wobec panującej w kraju anarchii

i obawa przed wzrastającym ruchem monarchicznym. Że rządowi nie brak chęci do przeprowadzenia swego programu antykatolickiego i antyreligijnego, o tem trudno po dotychczasowych zajściach wątpić, ale nie jest wykluczone, że przy niedołęstwie rządu obecnego sprawa weźmie inny obrót, że monarchicznym i katolickim żywiołom uda się najgorszym skutkom jakoś zapobiedz. Trudno przepowiedzieć, co się stanie, zwłaszcza, że wiadomości dochodzące z Portugalii są dość niewyraźne i niepewne i nie mogą stanowić podstawy do jakichkolwiek uzasadnionych przypuszczeń. Tymczasem rząd portugalski bawi się w szykany biskupów i kleru, zakazując ogłaszania listu pasterskiego, w którym episkopat omawia obecną sytuacyę, nie zdradza wielkiej sympatyi dla rządu, co jest rzeczą zbyt zrozumiałą, ale zachęca do uznania *status quo* rządowego. Rząd widocznie w tym liście pasterskim widzi obrazę swego majestatu i poniżenie swej powagi, bo ogłoszenie jego uważa za zdradę stanu i grozi odpowiedniemi karami.

Hiszpania jest w części zagadką. Canalejas cieszy się nadal pełnem zaufaniem króla i odgrywa dalej dwulicową swoją rolę polityczną. W wysokim stopniu nieprzychylne ogólnie dla Kościoła usposobienie obecnego rządu nie przeszkadza mu jednak zająć jak najprzychylniejszego stanowiska wobec gotującego się tegorocznego kongresu eucharystycznego w Madrycie. Król sam przyjął protektorat i z królową przyrzeka w uroczystościach czynny udział i odstępuje dziedziniec zamku na miejsce świetnej manifestacyi ku czci Najśw. Sakramentu, nawet ten sam Canalejas, który wywołał tak bardzo naprężone stosunki między Watykanem a Madrytem, oświadcza się z gotowością udziału w uroczystościach kongresowych. Widocznie oburzenie i opozycya wywołana wśród katolików hiszpańskich antykościelną polityką rządu, masowe manifestacye, powtarzające się raz po raz po całym kraju przeciw liberalnym dążnościom rządu, skłoniły go do większej ostrożności w swych zamiarach i do uspokojenia wywołanego podrażnienia najświętszych uczuć katolickiego kraju. Zanosi się na to, że kongres madrycki, odbywający się w dniach od 25—30 czerwca nabierze wielkiej doniosłości wobec obecnego położenia Kościoła w Hiszpanii. Udział na kongresie zapowiada się wielki

z całego katolickiego świata. Z Niemiec i Austryi już są zapowiedziane osobne pociągi, a katolickie gazety ustawicznie zwracają na tegoroczny kongres uwagę. Jeżeli się ma na oku dodatnie rezultaty kongresów eucharystycznych w Londynie i w Montrealu w Kanadzie, to trudno oprzeć się przypuszczeniom, że kongres w Madrycie może być tylko błogosławieństwem a może i szczególniejszą opatrznością dla zagrożonego w Hiszpanii katolicyzmu. Widocznie też o tem komitet przygotowawczy jest głęboko przekonany, bo dotychczasowe wiadomości świadczą o bardzo energicznem jego działaniu.

Z niesłabnącą uwagą zwracają się tego roku oczy katolików całego świata na W ł o c h y. Wiadomo, że Italia miła przygotowuje się na niezwykłe uroczystości z powodu 40-letniej rocznicy królestwa włoskiego, ale zarazem także wszystkim a zwłaszcza katolikom wiadomo, że wszystkie te uroczystości mają wyraźny charakter antykościelny i inicyatywę swoją zawdzięczają w głównej mierze bezczelnej agitacyi wolnomularskiej we Włoszech. Nienasycona w nienawiści do Kościoła a w szczególności do papiestwa loża, zbyt niecierpliwa aby czekać jeszcze lat 10 do 50-tej rocznicy istnienia światowładnego królestwa, zapragnęła w tym roku urządzić hecę antykościelną. Oczywiście nie zrzekają się w przyszłości urządzić podobnej, ale dlaczegóżby nie dać upustu swej nienawiści do katolicyzmu, dlaczego nie zademonstrować jaskrawo przed światem, że kwestya papiestwa już dziś definitywnie pogrzebana, że z właściciela na Watykanie mogą sobie bezkarnie kpić i naigrawać się? Głośna sprawa Nathana, burmistrza Wiecznego Miasta, wymownie udowodniła, że rząd włoski z programem loży w tym punkcie zupełnie się identyfikuje. Jaki będzie wynik tego wszystkiego dziś trudno przewidzieć, ale wobec słabości rządu i bezczelności radykalnych żywiołów wszelkie i najsmutniejsze ewentualności są możliwe. Na wszelki wypadek usiłuje rząd włoski zaskarbić sobie sympatyę mocarstw europejskich i spodziewa się licznego zlotu koronowanych i niekoronowanych gratulantów w Wiecznem Mieście. Gdyby się te i inne życzenia nie spełniły, na co się prawdopodobnie zanosi, wina cała spadnie naturalnie na Watykan, który nie tai się z oburzeniem dla tej niegodziwej

agitacyi wolnomularskiej. I tak znajdzie się łatwo nowy powód do napaści na Kościół i papieża, tem oczywiście efektowniejszy, że oparty i jadący na tak zwanych uczuciach patryotycznych narodu. Lecz nikt chyba za złe brać nie może Piusowi X, że wyciągnął jasne konsekwencye z dotychczasowego zachowania się rządu i ostatnich zajść tak dla siebie bolesnych, i ogłosił rok ten głośnych manifestacyi antykościelnych za rok żałoby dla Watykanu. Niema też obawy, żeby Watykan dał się porwać do kroków niezgodnych z powagą swoją przeciw ukartowanym manifestacyom, ma zaś słuszne prawo żądać od wszystkich katolików, aby zgodnie z winną wdzięcznością i miłością dla Stolicy świętej umieli się wobec niegodziwych manifestacyi włoskich zachować i w danym razie swoje katolickie przekonania słowem i czynem zaznaczyć.

Nowy organ ruskich księży.

W maju roku ubiegłego księża z obozu »staroruskiego« założyli »Stowarzyszenie św. Jana Chryzostoma« jakoby *pendant* do stowarzyszenia ukraińskich księży imienia św. Pawła. Na samym początku b. roku wyszedł i pierwszy zeszyt własnego czasopisma rzeczonego stowarzyszenia, kwartalnika *Cerkownyj Wostok* (Kościelny Wschód). Z niego dowiadujemy się o celach i dążeniach stowarzyszenia św. Jana Chryzostoma. Celem nowego związku, jak głosi ustawa, jest *a)* jednoczyć kapłanów grecko-katolickich i pomagać im w wypełnianiu obowiązków kapłańskich, *b)* przyczyniać się do sprawy zjednoczenia Kościołów, a napaści na unię z godnością i powagą odpierać. Dodany w kwartalniku komentarz do ustawy zaznacza trzy prądy, usiłujące zakłócić bieg życia w Cerkwi unickiej, którym ma stawić tamę Stowarzyszenie św. Jana Złotoustego. Tymi prądami są: latynizacya obrzędów Cerkwi, propaganda rosyjskiego prawosławia i radykalna niewiara. Na trzy fronty więc mają walczyć księża »staroruscy«. Artykuł wstępny z naciskiem zaznacza, że Towarzystwo stoi mocno przy jedności Kościoła pod jednym widzialnym zwierzchnikiem — papieżem rzymskim, zacytowawszy atoli niektóre zarządzenia wyższej władzy duchownej, jako dowody nierozumienia potrzeb Cerkwi unickiej i nieuszano-

wania jej osobliwości, wyznaje, że miłość ku papieżowi zachowuje w »rozumie«, powstrzymując się jednak od »obłudnego« wyrażania jej w »uczuciach«. Z tego powodu, organ większości kleru ruskiego *Nywa* zaznacza, że z enuncyacyi tych możnaby wywnioskować, iż występuje tu nie skromne nowe stowarzyszenie o 200 członkach, lecz nowo nawrócony jakiś buńczuczny patryarcha Wschodu ze swym klerem i ludem, chcący jeszcze poczynić jakieś obrachunki z papieżem. Artykuły w nowem czasopiśmie pisane są jużto w miejscowym języku ruskim, jużto po rosyjsku. Rosyjski język jednak roi się od leksykalnych, stylistycznych i gramatycznych błędów, co musi wydać się dość dziwnem wobec uważania przez współpracowników tego organu — języka rosyjskiego za swój własny literacki.

Rozłam w obozie Maryawitów.

Podczas gdy w katolickim Kościele od apostolskich czasów niejako zasadą się stało, że »kobieta w kościele milczy«, w odszczepieństwie maryawickiem rzecz ma się przeciwnie, kobieta jest tutaj wyrocznią od samego początku. Obok mateczki Kozłowskiej stanęła mateczka Cychlarzówna czyli, jak ją nazywają, »Marya z Pragi«, która zupełnie słusznie nie mogła się dopatrzeć racyi, dlaczego proroctwo miałoby być tylko przywilejem mateczki Kozłowskiej a nie innych także cór Adama, dbających tak samo o całość Kościoła Chrystusowego w ogólności a sekty Maryawitów w szczególności.

Gorączkowa praca Maryawitów na polu społecznem, gospodarczem i kulturalnem, która dotychczas odszczepieństwu nadawała pewne pozory żywotności, od dłuższego czasu stała się powodem niezadowolenia w obozie maryawickim. Żywioły dbające więcej o stronę religijną całego ruchu, spostrzegły, że maryawityzm oddala się coraz więcej od pierwotnego swego programu, jeżeli jakiś program wogóle istniał, że na ryzykownych przedsiębiorstwach traci charakter religijny i kler maryawicki, który wzorową ewangelicznością swoją miał być ustawicznym wyrzutem dla kleru rzymskiego Kościoła, ugania się za godnościami i dobrami doczesnemi. Na czele niechętnych takiemu obrotowi rzeczy stanęła owa Marya z Pragi i jeden z najgorliwszych księży-Ma-

ryawitów, bardzo popularny proboszcz Warszawy, ks. Żebrowski, spowiednik Maryi. Mamy więc przed sobą zjawisko bardzo zwyczajne, powtarzające się bez liczby w historyi, zjawisko walki idealnego kierunku z kierunkiem realnym; jeżeli wolno nam sądzić według historycznego doświadczenia wieków, to zwycięstwo stanie po stronie realistów, zwłaszcza, że policya rosyjska, nie skłonna do idealizmu, już wkroczyła na korzyść elementów realniejszych. Doraźny sąd nad księdzem Żebrowskim, odbywający się w kościele pod przewodnictwem biskupa Kowalskiego, przerwany został wkroczeniem policyi i rozterka na razie uciszona. Jak zawsze w takich wypadkach, tak i tutaj lud maryawicki stanął po stronie gorliwszych tak, że faktycznie obóz maryawicki jest już dziś podzielony na dwie partye, partyę Żebrowskiego i Maryi z Pragi, za którymi się ujmuje lud, i partyę Kowalskiego i Kozłowskiej, z którymi trzyma cały kler maryawicki. Z różnych zeznań Żebrowskiego można sądzić, że nagły jego zwrot od bardzo szerokiej i realnej akcyi w ruchu współdzielczym do pewnego wygórowanego idealizmu religijnego nie zależy jedynie od wpływów histerycznej prorokini Cychlarzówny (Ziglerówny), lecz także, a może głównie od niemałych kłopotów finansowych, spowodowanych rozlicznemi jego przedsiębiorstwami. Dlatego nie jest wykluczone, że po usunięciu tychże kłopotów ustanie zapał idealistyczny i nastąpi zgoda. Zresztą w rozmowie z ks. Żebrowskim, ogłoszonej w warszawskiem *Słowie*, twierdzi Żebrowski, że chce za wszelką cenę uniknąć rozłamu w maryawityzmie i pragnie usunąć się tylko od wszystkiego, co przeszkadza dalszemu wydoskonaleniu się jego duchownemu. Rozmowa zaś z Maryą Cychlarzówną pokazuje, że obok histeryi nie brak jej zdrowego rozsądku. Widzi ona jasno, że »ruch współdzielczy przyciągnął do Maryawitów całą masę mętów, a więc niedobitki socyalizmu i proletaryat miejski« i odczuwa doskonale sytuacyę, że maryawityzmowi brak wewnętrznej siły przyciągania ludzi, a zwolennicy obecni znaleźli się w nim dlatego, że spostrzegli w nim pewne ekonomiczne korzyści.

Jeszcze więcej zasługuje na uwagę jej zdanie, że »Maryawici, występując z Kościoła katolickiego, wykoleili się od razu.

Gwałtowne reformy bowiem nie mogą być nigdy wolą Bożą«, czyli, że rdzennem głupstwem i zarodkiem śmierci Maryawitów jest ich zerwanie z Kościołem katolickim. Z tego znać, że Marya Cychlarzówna nie jest zagorzałą Maryawitką na tle fałszywej mistyki jak Kozłowska, ale raczej zbliża się do Kościoła katolickiego i przy niektórych wygórowanych aspiracyach wcale zdrowo zapatruje się na całą sprawę. Tymczasem skończyło się na tem, że oboje zostali wykluczeni ze społeczności maryawickiej dla zachowania całości sekty, której istnienie leży w interesie rządu rosyjskiego, jako sojusznika w walce z katolicyzmem i narodowością polską«.

Dom katolicki we Lwowie. — 10-lecie arcybiskupstwa.

Mniej słów, więcej czynu — to hasło, które słusznie możnaby umieścić nad bramą wspaniałego domu katolickiego we Lwowie, uroczyście poświęconego 29 stycznia r. b. Przed 4 laty wyszła od J. E. ks. arcybiskupa d-ra Bilczewskiego inicyatywa do tego chwalebnego dzieła, a dziś już Lwów może się poszczycić domem katolickim, którego i Wiedeń może mu pozazdrościć. Ideą przewodnią, która przyświecała inicyatorom, było stworzenie we Lwowie środowiska dla katolickiej akcyi społecznej i tem samem dokonanie pewnej centralizacyi sił, tak potrzebnej w naszych czasach. Obszerne ubikacye domu katolickiego są miejscem zebrań i prac dla różnych stowarzyszeń. Lewe skrzydło zajął internat Tow. św. Stanisława Kostki dla terminatorów i czeladników katolickich, który ma do dyspozycyi bursę, uczelnię, własną salę teatralną, łaźnię parową, tusze i wanny. Oprócz tego mieści się w tem skrzydle Związek zawodowy chrześcijańskich robotników, redakcya *Gazety Niedzielnej* i lokal miejscowego Koła Związku urzędników kolejowych. Środek budowy zajmuje sala teatralna dla teatru ludowego, urządzona według wszelkich wymogów nowoczesnych. Dom katolicki łączy, jak widać, pracę i zabawę w duchu chrześcijańskim, społeczne i kulturalne cele grupuje pod znakiem krzyża, który jest źródłem i zdrowej kultury i miłości łączącej wszystkie warstwy społeczeństwa. To też Dostojny Arcypasterz lwowski w mowie swojej, wygłoszonej przy poświęceniu domu katolickiego, mógł słusznie powie-

dzieć: »Przeznaczenie tej poświęconej dziś społecznej instytucyi nie może być inne, jak krzewienie zasad sprawiedliwości, czynnej miłości Boga, bliźniego, Ojczyzny — w jedności wszystkich stanów. Przed egoistycznemi teoryami walk klasowych, przed głosami nienawiści stanowej — drzwi tu zawsze muszą być zamknięte«. Mamy nadzieję, że zbożne dzieło lwowskiego Arcypasterza w tak krótkim czasie przy hojnej pomocy dobrze myślących katolików dokończone, stanie się nie tylko punktem zbornym lokalnej akcyi katolickiej na różnych polach życia, ale też i punktem wyjścia dla centralizacyi wszystkich organizacyi katolickich całego kraju, a zarazem punktem oparcia systematycznej pracy w zwartych szeregach, której potrzebę zbyt chyba jasno wykazały ostatnie zajścia na uniwersytecie krakowskim.

Dom katolicki we Lwowie ma jeszcze inne znaczenie. Jest koroną dziesięcioletniej działalności arcybiskupiej dostojnego lwowskiego metropolity, ks. Bilczewskiego. Niejednokrotnie w naszem piśmie składaliśmy hołd tej działalności, tak intensywnej, tyle pól obejmującej i tak w owoce bogatej. Jeżeli Lwów w latach ostatnich pod niejednym względem wystąpił z energiczną inicyatywą w akcyi katolickiej, to tu lwią jej część przypisać należy gorliwemu Arcypasterzowi, który żywo interesuje się i najmniejszym objawem życia katolickiego. Stąd zrozumiałą jest wielka popularność J. E. Metropolity, stąd też płynie gorące życzenie, aby tak błogie skutki dziesięcioletniej pracy arcypasterskiej były zapowiedzią jeszcze szerszego znaczenia tej prawdziwie duszpasterskiej gorliwości, błogosławieństwem nie tylko dla archidyecezyi lwowskiej, ale dla całego kraju.

Ks. A. Starker.

Z kultury Krakowa.

»Sala hetmańska«. — Nowe budynki.

Stary Kraków, serce Polski, odświeżyło w roku jubileuszowym zwycięstwa pod Grunwaldem swoje dawne splendory. Jednym z takich klejnotów, które zabłysły w nowej oprawie, jest niewątpliwie »sala

hetmańska« w t. zw. »kamienicy hetmańskiej« na Rynku. Jest to dom, w którym od przeszło pół wieku mieści się księgarnia Friedleina, a więc znany każdemu. Tymczasem niewiele zapewne osób wie o tem, że budynek ten, to jeden z najstarszych budynków świeckich Krakowa, jeden z najcenniejszych dokumentów dawnego życia politycznego narodu. W jego murach, na parterze od ulicy, po drugiej stronie sieni wchodowej, mieści się nieoszacowanej dla nas wartości klejnot, w postaci t. zw. »sali hetmańskiej«. Szacowność jej polega na czemś więcej, niż na zimnym kamieniu i nagich ścianach. Gdy przestąpimy tylko próg tej sali, uderza nas całkiem inny duch, czy inny świat, od tego, w którym żyjemy.

A więc jesteśmy w sali niewielkiej, ale przestronej, nie wysokiej, nakrytej ogromnem, ciężkiem sklepieniem, schodzącem aż do jednej trzeciej wysokości ścian od dołu. Mimowoli odczuwamy, że to coś bardzo starego. Bo i mury potwornej jakiejś grubości i sklepienie, niby symetryczne, a powykręcane w różne zygzaki, na pierwszy rzut oka kryje jakąś zagadkę. A nadto w miejscach przecinania się żeber sklepiennych, wystają okrągłe kamienie czyli zworniki, a nich jakieś rzeźby niezrozumiałe. Za tą salą mieści się jeszcze druga mniejsza, kwadratowa, o podobnem sklepieniu i rzeźbach.

Zastanawiając się nad układem sklepienia i traktowania rzeźby, odgadniemy, że powstały one w pierwszej połowie czternastego stulecia, czyli dobiegają już sześciu wieków żywota. Następnie rzeźby przedstawiają herby ziem polskich. Są to t. zw. klejnoty herbowe. W czternastym wieku bowiem, w epoce największego rozkwitu rycerstwa był zwyczaj noszenia na hełmie podobnego lub odmiennego znaku, niż na tarczy, zwanego klejnotem. Potem moda ta ustała, dłużej utrzymując się tylko w pieczęciach. Profesor Piekosiński na podstawie tych herbów doszedł do przekonania, że w sali tej mieścić się musiał królewski sąd wyższy prawa niemieckiego na zamku krakowskim. A ponieważ zaś apelacye, zanoszone przez mieszczan nie mogły być rozstrzygane na zamku, tylko w obrębie jurysdykcyjnym miasta, więc do tych właśnie celów służyła ta sala. Widzimy zatem, jak ważne zajmowała niegdyś stanowisko. Ma ona przytem z jednego względu jeszcze donioślejsze znaczenie. Mianowicie odnajdujemy tutaj jedyny z istniejących, wizerunek króla Kazimierza Wielkiego. Na zworniku, w środku sali jest herb ziemi Dobrzyńskiej, a w nim portret królewski w koronie, o długich włosach i wąsach. Monarcha przedstawiony jest tutaj jeszcze w wieku młodzieńczym. Jest to najbardziej wiarygodne

popiersie króla. Na sarkofagu w katedrze wawelskiej — jednem z arcydzieł rzeźby średniowiecznej — rysy królewskie są bardziej idealnie traktowane.

Na innym zworniku widzimy biust kobiecy, w dużym kwefie na głowie. Jest to małżonka króla Kazimierza Wielkiego, królowa Adelajda Heska, która już w r. 1356 porzuciła męża, a której smutny wyraz, widoczny na płaskorzeźbie, zdaje się wskazywać na przykrości pożycia małżeńskiego. Pozostające kamienie wyobrażają herby ziem polskich w następującym porządku: Jeden z trzech pierwszych przedstawia wspólny herb ziemi Kujawskiej, Sieradzkiej i Łęczyckiej: pół orła i lwa, dalej herb Wielkopolski: głowa żubra w koronie i herb ziemi Sandomierskiej: w jednem polu gwiazdy, w drugiem cztery belki poprzeczne. Następnie w drugim szeregu widzimy herb ziemi Dobrzyńskiej z portretem króla i obok orzeł polski. W ostatnim rzędzie mamy popiersie królowej, herb ziemi ruskiej: lew w koronie i nieznany bliżej znak herbowy: skrzydło na hełmie. W drugiej salce mamy cztery zworniki o znaczeniu symbolicznem. Więc najpierw zagadkowy smok, zwinięty w koło, wiecznie gotowy do skoku: to symbol czujności. Obok trzy maski poważnych starców, o rozwianych brodach i włosach, w pierścień związane, przywodzą na myśl nauki wyzwolone. Trzeci zwornik wyobraża leżącą sukę ze szczeniętami: symbol płodności czy obfitości. Wreszcie na czwartym charakterystyczny znak, niewątpliwie monogram kamieniarza.

Przyglądając się równocześnie układowi sklepienia, dojdziemy do przekonania, że ta sala musiała być nieco dłuższą i że sklepienie składało się z trzech części, podobnie jak w pierwszej. Tam bowiem końce sali zajmuje sklepienie w formie półgwiazdy, a środek t. zw. sklepienie namiotowe. Tu znowu końce były w ten sam sposób ukształtowane, a środek zajmowało bardzo ściśnięte — wobec braku miejsca — sklepienie krzyżowe. Prawdopodobnie przy restauracyi domu w siedemnastym wieku, nowo przeprowadzona klatka schodowa obcięła jedną część tej sali ze sklepieniem półgwiaździstem. Dom ten w czasach średniowiecznych mieścił w sobie urząd menniczy. Potem zaś był przejściową rezydencyą hetmanów polnych i stąd jego nazwa. Pod koniec w. XVII odnowiony, otrzymał wspaniały barokowy portal, najwięcej majestatyczny w całem mieście. Aż po ostatnie czasy dumnym i pańskim wyglądem odbijał od otaczających go bardziej skromnych, mieszczańskich domów. I dziś nawet, mimo, że zepchnięty do rzędu kamienic czynszowych, zachował jeszcze pewne rysy wysokiego i starego pochodzenia.

Teraz dopiero pojmujemy, ile interesu kryją te mury, jak niezmiernie ciekawym są dokumentem, jak cennem świadectwem przeszłości. Od kilkudziesięciu lat sala ta pozostawała w zupełnem opuszczeniu. Przedzielona podłużnie drewnianem przepierzeniem na dwie części, służyła do wynajmu na sklepy. Zawalona przez składy towarów, pokryta na sklepieniu grubą warstwą tynku i farby, nie budziła ni czyjego zajęcia. I w tym stanie zaniedbania przetrwała do dni ostatnich, z którego wydobył ją obecnie bank czeski »Živnostenska banka«. Osiedliwszy się przed paru laty w naszem mieście, uznał za potrzebne wystąpić teraz na zewnątrz z większą okazałością. Po zajęciu apartamentów pierwszego piętra na biura, postanowił na parterze w »sali hetmańskiej« otworzyć kantor wymiany. Radca budownictwa p. Tad. Stryjeński, doskonale oceniając znaczenie tego wyjątkowego zabytku, wezwał p. Karola Maszkowskiego, artystę malarza i p. Franciszka Mączyńskiego, architekta i dzięki tym trzem ludziom Kraków odzyskał jeden z najstarszych swych klejnotów.

Restauracya polega nie tylko na przywróceniu jej do pierwotnego stanu, ale i na oddaniu jej dla celów dzisiejszych. Po usunięciu zatem przepierzenia, oczyszczeniu murów, sklepień i rzeźbionych zworników z tynku i farby, sala otrzymała skromną polichromię, zaprojektowaną przez malarza Maszkowskiego. Polega ona na podkreśleniu żeber sklepiennych przez drobny szlak, utworzony z popielato-czarnych pawich oczu, z czerwoną obwódką ze złotemi kulkami i na zaznaczeniu po bokach rzeźbionych kamieni czerwoną farbą. Zresztą sklepienie powleczono lekko-kremowym kolorem, a ściany utrzymano w jasno-kawowym tonie. Puste ściany zyskałyby niewątpliwie, gdyby je ożywiono niewielkim fryzem dekoracyjno-figuralnym, położonym na linii zbiegu żeber sklepiennych. Następnie architekt Mączyński dał rysunek boazeryi z jasnego drzewa, skromnej ale wykwintnej, pulpitów do pisania, półek, krzeseł, lamp, w połowie oszklonych, w połowie zaś górnej ujętych w ażurowe kopuły z mosiądzu. Stoją one na trójbocznej w głąb wsuniętej ladzie kantoru i mimowoli zatrzymują na sobie uwagę. Także na zewnątrz kantor otrzymał stylową ramę z biało-zielonego marmuru, nakrytą miedzianym daszkiem, ożywioną kwiatami.

Salę tę oddano do publicznego użytku i każdy może się przekonać, jak wypadła jej restauracya. Stary, przepyszny zabytek odzyskał swą pierwotną okazałość, ale w nowej oprawie. Tą drogą powinno się zawsze postępować w takich wypadkach. Przy restauracyi dawnych pomników budownictwa należy się zachować z największą

ostrożnością i rozwagą, nic, ile możności, nie ujmować z ich istoty, nie zapominając jednak o potrzebach i celach dzisiejszych. Tak tutaj postąpiono. Odsłonięto całą pierwotność architektury, podkreślając jej akcent zapomocą dzisiejszej sztuki. Dlatego sala ta, zachowując doskonale średniowieczny swój charakter, stała się zarazem nowożytnym, wykwintnym przybytkiem handlowym. *Tempora mutantur.* Tak, ale tu właśnie zatrzymano to, co nie przemija. W ten sposób postępowano zawsze w dawnych wiekach i dzięki temu sala ta przetrwała do naszych czasów.

Po wielu latach zastoju rozwinął się w Krakowie w ostatnim czasie dość ożywiony ruch budowlany. Wskutek wzrostu miasta i braku mieszkań, powstało świeżo wiele nowych domów i to głównie w obrębie starego miasta, na miejscu dawnych zburzonych. Nowe budowle są przeważnie ogromne kamienice, które tem samem w niejednym wypadku zdobyły sobie od razu wybitne miejsce w zewnętrznym wyglądzie miasta. Dlatego należy się nieco nad niemi zastanowić, aby poznać, czy Kraków przez nie zyskał na swym estetycznym wyglądzie, czy może stracił.

Po dziesiątkach lat wznoszenia zwykłych, koszarowych domów zaszła zmiana. Na skutek interwencyi jednego z kulturalnych Towarzystw miasta, architekt p. Wyczyński zaprojektował fasadę dużego, trzechpiętrowego domu przy ul. Karmelickiej i Dunajewskiego. Dom ten ukończony, zyskał sobie powszechną sympatyę, jako zupełnie udany tak w obramieniach okien i portali, w kompozycyi balkonów, erkerów i łamanego dachu, jak i w ogólnym podziale płaszczyzn fasady. Wywołał on dlatego pewną chęć rywalizacyi u architektów i właścicieli budujących się domów. Równocześnie z nim budowany i niedawno ukończony dom p. Suskiego przy ul. Grodzkiej i Placu Dominikańskim jest również dowodem nowego ożywczego prądu w budownictwie. Twórca jego prof. Ekielski pragnął go dostroić do ogólnego charakteru miasta. Dlatego też spotykamy w fasadzie pewne motywy, zapożyczone z dawnej architektury Krakowa, np. attykę wzorowaną na Sukiennicach i narożny szczyt, przypominający zakończenie fasady kościoła XX. Pijarów. Attyce można zarzucić, że jest trochę luźno skomponowana i za mało zrosła z resztą fasady. Mimo to budynek ten, jako całość, jest zupełnie udanym. Ogromne płaszczyzny muru, ujęte w pionowe pasy, ze zgrabnemi obramieniami okien, sprawiają miłe

wrażenie i przyciągają oko. Dobrze się również stało, że ładny posążek Madonny ze starego domu, umieszczono w nowym.

Dodatni wpływ starego Krakowa i poniekąd domu p. Wyczyńskiego, znać w dwóch nowych kamienicach pod Wawelem, przy końcu ulicy św. Gertrudy. Widzimy na nim, że dom skromny może być bardzo ładnym. Potrzeba tylko, żeby architekt celowo i krytycznie opracował projekt fasady, a nie bezmyślnie kopiował ze starych wzorów. Mimo pewnych usterek — np. niepotrzebna attyka, trącąca trochę szablonem, z zawysokimi stanowczo narożnikami — powab tych domów podnosi jeszcze więcej brzydki, szablonowy gmach przeciwległy hotelu »Royal«.

Za mniej udany należy uważać nowy dom przy ul. św. Anny l. 8, w miejsce zburzonego. Razi w nim banalność fasady. Architekt chciał się dostroić do stylowego otoczenia, co jednak mniej szczęśliwie wypadło. Zarówno bowiem okna parteru, o bezprzykładnie grubych laskach kamiennych, jak i dwa szczyty, przerywające górny gzyms, aż uderzają banalnością pomysłu. Dom ten jest przykładem wielkiego luksusu. Np. ściany klatki schodowej wykładane są kolorowym marmurem. Poręcz schodów, zdobna w kwiaty z blachy jest dość nietrwała. Wogóle w całym budynku panuje wielki luksus, ale raczej niepraktyczny. Jedynym jego plusem są prześliczne witraże artysty-malarza Uziembły, oświecające klatkę schodową.

W ostatnich czasach zmieniła się bardzo fizyognomia Placu Szczepańskiego. W miejsce dawnych powstało parę nowych budowli, jak Pałacu Sztuki i Stary Teatr, niedawno zaś ukończono gmach Towarzystwa Rolniczego i dom pod l. 2 (obok Starego Teatru).

Główną zaletą domu Tow. Rolniczego jest świetnie skomponowany wysoki, lekko wgięty dach, o silnie wystającym gzymsie. Przez to doskonale jest podkreślony charakter budowli i to sprawia, że otrzymuje się w całości nieporównaną sylwetę, patrząc czy to z końca ulicy Jagiellońskiej — której jest dobrem zamknięciem — czy z pod Pałacu Sztuki. Mimo to budynek ten ma szereg błędów. Największym są figury rzeźbione, same w sobie dobre, ale nie skomponowane architektonicznie z fasadą i z nią nie mające nic wspólnego, prócz treści. Wyobrażają bowiem symboliczne postacie rolnictwa. Dlatego robią wrażenie przypadkowo dolepionych, czem też są istotnie. Obok tego nielogiczne są w profilach i w rysunku pilastry fasady, ciężkie i nieudolne w podstawach. Drugi dom przy Placu Szczepańskim, obok Starego Teatru, zapisał się najgorzej w bilansie budowlanym. Po prostu trudno o gorszy przykład banalności pomysłów, goniących za tanimi

efektami. Wszystko w tym domu, począwszy od polerowanego parteru, aż do zabawnego dachu, jest śmieszne i z daleka przypomina żywo tekturowe domki dla dzieci. A przytem posługiwanie się obcymi motywami, t. j. obramieniami okien Starego Teatru w ten sposób, powinno być może niedozwolone. Również banalnym jest także budynek elektrowni miejskiej przy ulicy Łobzowskiej. Jest to tem smutniejsze, że zarząd miejski, który powinien chronić miasto przed zebrzydzaniem podobnymi budynkami, daje w tym wypadku jak najgorszy przykład.

W najbliższem sąsiedztwie Placu Szczepańskiego powstał przy ul. Dunajewskiego olbrzymi, czteropiętrowy dom, którego budowie starano się przeszkodzić — ze względu na wysokość — ale bezskutecznie. Zredukowany do rozmiarów sąsiednich budynków, a przytem zasłonięty drzewami, sprawiałby może daleko korzystniejsze wrażenie. Olbrzymia jego fasada, przecięta w środku olbrzymim erkerem, urozmaicona licznymi balkonami, jest w szczegółach dość banalną. Ma on przecież dużą dodatnią stronę, gdyż jest pierwszym wyłomem w zakorzenionym u nas zwyczaju mieszkania »od frontu«. Dokoła bowiem małego podwórka rozłożyły się oficyny z mnóstwem mieszkań, w niczem nie ustępujących ubikacyom frontowym. Lepszym jest stosunkowo dom p. Bazesa na rogu ulicy św. Marka i Floryańskiej. Poważną i spokojną jego fasadę, zakończoną z obu stron trójkątnym frontem, należy zaliczyć do wcale udanych. Są jednak tutaj pewne szczegóły, bez którychby całość tylko zyskała. Niepotrzebnie np. doczepiono do okien trzeciego piętra małe ganeczki. Gorszym jest ciężki, nieudolny taras. Zresztą dom ten mógłby posłużyć za przykład doskonale wyzyskanego miejsca w celach czynszowych, gdyby nie pewna niepraktyczność w rozkładzie mieszkań i nieco za cienkie ściany wewnątrz pomiędzy pokojami, mające zaledwie kilkanaście centymetrów grubości.

Niedawno ukończono również budowę Sanatoryum przy ul. Garncarskiej. Twórca jego, architekt p. Stryjeński, cofnął je w głąb ogrodu, zabudowując przytem jeden bok parceli i przez to osiągnął bardzo malowniczy efekt, jaki sprawia boczna elewacya, widziana od ulicy Jabłonowskich, z grupującymi się skrzydłami budowli. Oprócz tego przebija się wszędzie wielka celowość, a także prostota fasady, wolna od wszelkich krzykliwych ozdób, mająca dużo powabu i wdzięku.

Obok wymienionych domów powstał jeszcze cały szereg czynszowych kamienic, które jednak nie zasługują na wzmiankę. Są one jedynie smutnym dowodem, że właścicielom budujących się domów w przeważnej części, a także i samym budowniczym bardzo mało zależy na

tem, czy dom będzie ładnym, czy nie. Chodzi im przedewszystkiem o to, aby się jak najprędzej i najskuteczniej włożony kapitał procentował. Wszystkie inne względy natury estetycznej ich całkiem nie obchodzą. Tymczasem tak postępując, nie starają się wyposażyć swego domu w ładną fasadę, szkodzą sobie najwięcej. Ładna fasada bowiem jest tem samem dla domu, czem dobra wystawa dla sklepu, piękna okładka dla książki. Zwraca na siebie mimowoli uwagę. Jest zatem reklamą, która przeważnie drożej nie kosztuje. Chodzi tylko o to, by fasadę projektował dobry architekt i aby właściciele budujących się domów kładli na ten warunek szczególny nacisk. Jest to bardzo poważną rzeczą zwłaszcza w obecnej chwili w Wielkim Krakowie, gdzie wkrótce rozpocznie się ruch budowlany na ogromną skalę. Tak było zawsze w dawnych czasach, że właściciel budującego się domu nie pozostawiał go na łaskę architekta, nie troszcząc się zupełnie o jego zewnętrzny wygląd, ale przeciwnie, współpracował z nim, mając jasno określone żądania i plany. Dlatego dawne domy, choć skromne, są zawsze ładne i gdy dziś mają być zburzone lub przerobione, wszystkie czynniki kulturalne stają w ich obronie, czego oczywiście nie mogą zrozumieć ludzie, zajęci gorączkową spekulacyą budowlaną.

Franciszek Klein.

Nowe muzeum etnograficzne na ziemiach polskich.

W chwili bieżącej powstaje na ziemiach polskich nowa pracownia naukowa, poświęcona sprawie naszego narodu, nowa instytucya oświatowa, która ma szersze koła społeczeństwa zapoznać z tem, co nas chyba najbardziej obchodzi, z naszymi braćmi, z ludem polskim. Tą pracownią i instytucyą oświatową będzie rodzące się właśnie Muzeum Etnograficzne w Krakowie. Żywimy nadzieję, że okoliczność, iż to Muzeum powstało w Krakowie, gdzie znajdują się najwyższe polskie instytucye naukowe i gdzie największa liczba uczonych polskich pracuje, będzie rękojmią gwarantującą przyszłość tego Muzeum i jego naukowe i oświatowe znaczenie.

Już od długich lat i w licznych stronach polskich odczuwano potrzebę, ba konieczność założenia takiej instytucyi, któraby starała się skupić w swojem łonie, przechować, opracować i pokazać szerszemu ogółowi wszystko, co ma jakikolwiek związek z ludnością polską, z jej życiem i pracą, z jej zwyczajami i strojami, z jej przeszłością

i nadziejami na przyszłość. Ta potrzeba była i jest tem większą, tem dotkliwszą, że w naszych czasach następuje szybki zanik wszystkiego tego, co polskiego chłopa na zewnątrz cechuje: szybko zmienia swój strój, zapomina o dawnych obyczajach, chwyta się nowych sposobów pracy i zarobku — jednem słowem jego charakter zewnętrzny i nawet wewnętrzny, przeobraża się bardzo szybko i radykalnie pod wpływem ewolucyi ekonomicznej i społecznej ostatnich lat dziesiątek. Odrębność ludu polskiego coraz bardziej się zaciera; z przerażającą szybkością przetwarza się ten lud w część owego jednostajnego, szarego, bezbarwnego ogółu, który się w zachodniej Europie wytworzył w drugiej połowie XIX wieku.

Tego wszystkiego nie przeoczyli ludzie, którzy zajmowali się badaniem charakteru i rozwoju ludu naszego, i stąd prawie gorączkowa dążność do założenia muzeum etnograficznego: tu spływałyby i gromadziłyby się wszelkie okazy i wiadomości tyczące ludu polskiego, to muzeum stałoby się środowiskiem pracy około poznania rdzennie polskiej warstwy naszego społeczeństwa, około chłopa polskiego; to muzeum przechowałoby i pokazywałoby naszym potomkom świadectwa dawnego charakteru chłopa polskiego, jego dawnego sposobu życia, nawet wtenczas, gdy fala szarej, uniformującej cywilizacyi przemysłowej zachodniej Europy już cały nasz kraj zalała i pochłonęła.

W licznych wypadkach te próby nie powiodły się, z różnych powodów: czasami z powodu braku tej garstki czynnych, energicznych ludzi, którzyby gorliwie sprawą się zajęli, czasami z powodu braku zainteresowania się ogółu, tam znów z powodu braku materyalnego poparcia, a czasami z powodów zupełnie zewnętrznych. Dosyć często słyszeliśmy o takich niepowodzeniach: w ostatnich czasach upadła myśl stworzenia Muzeum etnograficznego we Lwowie, upadło czasopismo etnograficzne *Wisła* w Warszawie i t. p.

W innych wypadkach powiodły się lub budzą nadzieję, że się ostaną; trzeba tu wspomnąć o licznych choć małych muzeach krajoznawczych, które po całem Królestwie Polskiem założyło i dalej zakłada Polskie Towarzystwo krajoznawcze w Warszawie. Jednem z głównych zadań tych już licznych miejscowych muzeów jest skupienie i uporządkowanie materyałów etnograficznych. Również dział etnograficzny przy Muzeum Przemysłu i Rolnictwa w Warszawie rozwija się pomału, ale stale i staje się coraz bogatszym w materyały etnograficzne. Także o nowem Muzeum etnograficznem w Poznaniu słyszeliśmy w ostatnich czasach. Inne zbiory małe, ale cenne, znajdują

się w prywatnych rękach; rozrzucone po kraju, niedostępne dla ogółu a nawet czasami dla fachowców, pracujących na tem polu, staną się one ważnem źródłem dla poznania naszego ludu w tej chwili, gdy przejdą na rzecz instytucyi publicznej.

Albowiem praca etnograficzna czerpie głównie z dwóch źródeł: po pierwsze z żywego społeczeństwa, do którego etnograf udać się musi, aby wniknąć w cały jego sposób życia, a powtóre ze zbiorów, na podstawie których można uprawiać przedewszystkiem etnografię porównawczą, t. zw. etnologię, która nie tylko opisuje pojedyncze szczegóły etnograficzne, ale szuka związku między nimi, chce tłumaczyć i wyświetlić ich pochodzenie. Tą ostatnią częścią pracy etnograficznej z natury rzeczy wobec braku zbiorów mało się u nas dotychczas zajmowano.

Dziwić się nie możemy, że większych zbiorów etnograficznych nie mamy w W. Ks. Poznańskiem — tam cały rozwój społeczeństwa zwrócony jest ku zdobywaniu sobie bytu, zagrożonego równouprawnienia wpływu i przybiera tym sposobem bardziej kierunek materyalny; nadto społeczeństwo jest tam zanadto w walce rozgorączkowane, by zdobyć się na spokój konieczny przy założeniu retrospektywnych zbiorów. Również dziwić się nie będziemy, że większych, zcentralizowanych zbiorów niema w obrębie Królestwa Polskiego, albowiem tam niema wyższych szkół polskich, poważniejszych i zdolnych do pracy instytucyi naukowych. Ale dziwić powinniśmy się, że w obrębie austryackiego zaboru, gdzie mamy zupełną swobodę ruchu, dużo ludzi zdolnych, polską Akademię Umiejętności, dwa polskie Uniwersytety, setki różnych wyższych i niższych szkół polskich, że tu muzeum ludoznawczego dotychczas nie mamy. Czy nie jest to wstyd, że najlepiej prawie życie i stroje naszego ludu poznać możemy w niemieckiem muzeum etnograficznem w Wiedniu?

Tem serdeczniej powitać, tem szczerzej popierać powinniśmy nową instytucyę w Krakowie, która stara się te luki wypełnić. I ona ma swoją historyę, krótką a przecież pełną zawodów. W roku 1902 świeżo założone Towarzystwo »Sztuka Polska stosowana« urządziło w wielkiej sali Sukiennic wystawę, obejmującą osobny i bogaty dział sztuki ludowej. w którym umieścił także część ślicznych zbiorów swoich zaszczytnie znany etnograf i folklorzysta, inspektor szkół, Seweryn Udziela, który, jak zobaczymy, był duszą wszystkich dążeń około stworzenia muzeum etnograficznego w Krakowie. On to już w roku 1902 czynił zabiegi, by prócz swoich własnych zbiorów, które

darował Muzeum Narodowemu w Krakowie, część okazów umieszczonych na tej wystawie mogła stać się zawiązkiem stałego Muzeum etnograficznego, związanego z Muzeum Narodowem w Sukiennicach.

Myśl tę poparł dyrektor Muzeum Narodowego, dr. Kopera, odstępując na początek urządzenia tegoż muzeum w Sukiennicach salę zwaną Pretoryalną. Z zapałem p. S. Udziela zajął się urządzeniem działu etnograficznego, który wszedł jako część składowa w Muzeum Narodowe; w tej pracy dzielnie mu pomagali pp. Włodzimierz Tetmajer, Procajłowicz i Jerzy Warchałowski. I rzeczywiście w styczniu r. 1905 otwarto w Sukiennicach oddział etnograficzny a S. Udziela wiadomość o tem podał, zbiory opisał i do współpracownictwa nawoływał w artykule umieszczonym w *Ludzie* i wydanym także osobno w odbitce[1]. Udziela tam nie tylko wyłuszczył, co do etnograficznych zbiorów zaliczyć wypada, ale podał także praktyczne wskazówki dla zbierających, wogóle gorąco nawoływał do poparcia rzeczowego i pieniężnego młodej instytucyi. Jego ówczesne słowa można i dziś dosłownie stosować do nowego naszego Muzeum.

W sali pretoryalnej to muzeum ładnie się urządziło; okazy ustawiono systematycznie w sali przerobionej na krakowską izbę chłopską, było dużo modelów drewnianych, dużo lalek strojowych, obrazów, tkanin i t. d. Ale S. Udziela wiedział dobrze, że ten zbiór, choć już ładnie się przedstawiał, miał być tylko początkiem. Liczył na dwie rzeczy: po pierwsze na to, że połączą się z nim różne mniejsze i większe zbiory prywatne, tak, iż zbiory uzupełnią się i staną się rzeczywiście całością. Ta nadzieja, ten apel do społeczeństwa nie zawiodły go: w krótkim czasie napływały najróżniejsze cenne dary, zarówno od ciał publicznych, rad gminnych i powiatowych, jak od całego szeregu chętnych osób prywatnych z Galicyi, z Królestwa i Litwy, tak iż »sala zapełniła się od góry do dołu. Niema prawie tygodnia, aby ktoś nie nadesłał do muzeum jakiego przedmiotu. Należy wnosić, że po kilku latach dział etnograficzny w Muzeum Narodowem w Krakowie zaprezentuje się wspaniale«.

Druga nadzieja p. Udzieli polegała na tem, że tak wielka instytucya, jak Muzeum Narodowe potrafi zapewnić oddziałowi byt, opiekę i bezpieczeństwo. Niestety właśnie ta nadzieja zawiodła: prze-

[1] Sewer n Udziela: »Muzeum Narodowe w Krakowie, dział etnograficzny«. Kraków, 1905, str. 6

ciwnie Muzeum Narodowe podkopało byt zbioru etnograficznego, rozszerzające się zbiory sztuki udusiły zbiory ludoznawcze. Do Muzeum Narodowego napłynęły okazy odnoszące się do historyi sztuki tak szybko i w takiej ilości, że Dyrekcya tego muzeum musiała zabrać salę pretoryalną na swoje cele, a okazy etnograficzne przeszły po części na półpiąterko do dwóch bardzo źle oświetlonych salek, wiele zaś okazów musiano spakować i odesłać do magazynu. Dział etnograficzny nie mógł się dla braku miejsca przy Muzeum Narodowem rozwijać: nastąpił kilkoletni zastój.

Nadszedł rok 1909-ty i 1910-ty. W Krakowie powstały przy okazyi przejęcia Wawelu na własność kraju i odnowienia jego wielkie plany muzealne. Zdecydowano, że Muzeum Narodowe ma być z Sukiennic przeniesionem na Wawel do zamku królewskiego i otrzymać przy tej sposobności o wiele więcej ubikacyi, niż miało dotychczas. Niektórzy chcieli, by to rozszerzone Muzeum Narodowe obejmowało nie tylko zbiory z historyi sztuki i kultury w Polsce, ale także zbiory przyrodnicze i etnograficzne, więc z krajoznawstwa polskiego. W razie urzeczywistnienia tego projektu, dotychczasowy oddział etnograficzny miał nowe widoki rozwoju; ale wyłoniły się liczne wewnętrzne i zewnętrzne trudności tak, iż projekt ten, przynajmniej na razie, upadł.

Drugi wielki projekt muzealny wyszedł z łona Towarzystwa przyrodników im. Kopernika, względnie jego krakowskiego oddziału, w porozumieniu z Komisyą fizyograficzną Akademii Umiejętności. Proponowano[1] stworzenie krajowego Muzeum Przyrodniczego, obejmującego wszystkie strony naszej przyrody nieżywej i żywej i przedstawiającego równocześnie stałą pracownię naukową, gdzieby się zbiory opracowywało bezustannie w celach naukowych. Planem tym zajmuje się stały komitet muzealny, niestety dotychczas bez konkretnych wyników. Między licznemi grupami tego Muzeum Przyrodniczego wstawiono jako ostatnią także ludoznawstwo. Ale i tu zachodzi uzasadniona obawa, że inne działy uduszą dział etnograficzny; nadto ten drugi projekt jest również jeszcze daleki od urzeczywistnienia.

A szkoda czasu zwlekać z pracą, z stworzeniem instytucyi etnograficznej, kiedy, jak już wyżej zaznaczyłem, obecny nasz lud, zwłaszcza w zachodnich okolicach tak szybko zatraca swoje odrębne cechy, że potrzeba ratowania okazów etnograficznych jest nadzwyczaj pilną

[1] Stefan Stobiecki: »W sprawie krajowego muzeum przyrodniczego«. Kraków 1910, str. 36.

i urządzenie muzeum etnograficznego nader konieczne. Dlatego zebrało się znowu za inicyatywą niezmordowanego S. Udzieli małe ale energiczne kółko miłośników spraw etnograficznych, przeważnie profesorów Uniwersytetu Jagiellońskiego[1] i po kilkakrotnych naradach, nie zwlekając i nie czekając na ewentualne urzeczywistnienie innych projektów, założyło »Towarzystwo Muzeum Etnograficznego w Krakowie«. To Towarzystwo zawiązało się dnia 9/II 1911.

Celem tego Towarzystwa jest:

a) gromadzenie wszelkich okazów muzealnych, wchodzących w zakres etnografii,

b) odpowiednie i bezpieczne umieszczenie zbiorów w Krakowie,

c) należyte utrzymywanie zbiorów i uprzystępnienie ich dla badań naukowych i dla zwiedzającej publiczności,

d) założenie i utrzymanie fachowej biblioteki.

Środki do osiągnięcia powyższych celów są następujące:

a) zainteresowanie społeczeństwa słowem i pismem badaniami etnograficznemi, przez urządzanie odczytów, wykładów, zjazdów, wycieczek, wystaw i t. p., przez omawianie badań etnograficznych w czasopismach, dziełach i t. d.

b) zbieranie potrzebnych funduszów na koszta pomieszczenia i utrzymania muzeum drogą wkładek członków, darowizn jednorazowych, zapisów, subwencyi przeróżnych,

c) zakupywanie okazów muzealnych, przyjmowanie darów i depozytów do muzeum,

d) utrzymywanie stosunków wzajemności z instytucyami i towarzystwami o pokrewnych celach.

Członkiem zwyczajnym Towarzystwa może być każdy, bez różnicy płci, także osoby prawne jak towarzystwa, instytucye i t. d. Członkowie winni według sił swoich popierać cele Towarzystwa i uiszczać wkładkę roczną w kwocie 12 koron (10 marek, 5 rubli).

Z krótkich powyższych danych każdy wyczytać może, w jaki sposób on mógłby przyczynić się do rozwoju tego Towarzystwa, względnie tego Muzeum. Przy dobrej chęci każdy choćby najbardziej oddalony, choćby najbardziej ubogi służyć może tej instytucyi a przez

[1] W obradach tych żywy udział brali: inspektor S. Udziela, profesorowie Uniw. J.: Talko-Hryncewicz, Fr. Bujak, W. Czermak, W. Żórawski, St. Estreicher, ks. Fr. Gabryel, hr. Łoś, St. Kutrzeba, pp. Wł. Tetmajer, J. Bukowski, F. Taroni, W. Wodzinowski, asystent F. Kiernik i docent L. Sawicki.

to nauce polskiej i ojczyźnie, bądź to nadsyłając okazy etnograficzne w darze lub depozycie, bądź to wspierając Towarzystwo materyalnie, bądź to interesując się jego sprawami i szerząc to zainteresowanie.

Najważniejszy krok już został zrobiony: Muzeum założono, urządzono, od 19 lutego 1911 będzie otwartem dla publiczności, w skromnym na razie, najętym lokalu (Kraków, ul. Studencka l. 9 parter). Kustoszem tego Muzeum jest inspektor p. Seweryn Udziela. Żywimy nadzieję, że z czasem rozwinie się z niego wielkie centralne Polskie Muzeum etnograficzne, że w jego salach intensywnie się będzie pracowało nad poznaniem naszego ludu, że stąd oświata wyjdzie i otworzy szerszym warstwom oczy na piękność i odrębność naszego ludu. My, co się żywo sprawą interesujemy i których nasz lud blizko obchodzi, życzymy nowemu zakładowi »Szczęść Boże« i gorąco polecamy wszystkim, choćby dalekim i ubogim braciom naszym, sprawę nowego Muzeum etnograficznego w Krakowie: ma ono wielkie narodowe i kulturalne zadania, a spełnić je może tylko przy jednomyślnem poparciu przez cały naród polski.

Ludomir Sawicki.

Polemika.

Odpowiedź na recenzyę księdza profesora d-ra Jougana mej książki p. t. »Miscellanea pastoralne« t. I. *(Przegląd Powszechny,* styczeń 1911).

Zasadniczo nie lubię polemizować z recenzentami mych prac: uważam, że trudno być objektywnym w ocenie i obronie swego dzieła, wszakże *nemo iudex in propria causa.* Jeżeli jednak recenzent nie ogranicza się do krytyki, choćby najostrzejszej dzieła, lecz podsuwa autorowi myśli i poglądy, których on ani nie żywi, ani w danem dziele nie głosi, wówczas, sądzę, ma autor wprost obowiązek napisać nie polemikę, ani obronę, ale sprostowanie, aby ci, którzy nie znają książki nie posądzali go o poglądy, myśli, czy opinie, których on nigdy nie miał. Ta okoliczność skłania mnie do zabrania głosu w sprawie wyżej wymienionej recenzyi.

Mniejsza o to, że ks. dr. Jougan uważa za stosowne polemizować w rzeczach nawet tak drobnych, jak n. p. tytuł książki albo kwestya czy wstęp do kazania należy komponować przed czy po ułożeniu całego kazania. Mniejsza o to, że z jednej strony zarzuca mi zbyt niewolnicze trzymanie się zdania Jungmanna, (który to autor wywarł

tak stanowczy wpływ na całą teoryę homiletyki w ostatnich dziesiątkach lat), z drugiej strony rzekomą oryginalność moich poglądów.

Gorzej, że ks. recenzent wysnuwa z książki mojej konsekwencye, o których mi się ani śniło. Głównym zarzutem, który czyni, jest to, że w moim artykule o dowodach w kazaniu staram się obniżyć powagę Pisma św. i Ojców Kościoła, a przynajmniej usuwam ich używanie z kazania. Wiem o tem dobrze, że właśnie w obecnych latach coraz bardziej rozbrzmiewa hasło powrotu do źródeł pierwszorzędnych i czerpania bezpośrednio z Pisma św. i Ojców Kościoła. Co innego jest jednak poznać i ukochać Pismo św., przejąć się jego myślą i treścią, co innego jest studyować Ojców Kościoła, aby poznać ich myśli i poglądy i korzystać z nich całą duszą w kazaniach, a zgoła co innego jest c y t o w a ć poszczególne zdania czy słowa Pisma św. czy Ojców. Otóż w moim artykule nie występuję przeciw studyowaniu Pisma św. i Ojców Kościoła, nie występuję nawet przeciw cytowaniu, tylko stwierdzam: 1) że nie wszystkie prawdy wiary są zawarte w Piśmie św., a przynajmniej nie są zawarte tak wyraźnie, by cytaty Pisma św. mogły być dowodem zrozumiałym i popularnym dla słuchaczy; 2) że cytaty jednego lub drugiego autora nie są dowodami dogmatycznie ścisłymi, o jakie chodzi mi właśnie w mojej rozprawce; 3) twierdzę, że sam cytat bez dokładnego objaśnienia i pogłębienia myśli nie jest dla zwyczajnego słuchacza dowodem dostatecznie przystępnym, a więc nie ma w kazaniu dostatecznej wartości. O tych prawdach powinien czcigodny recenzent, jako autor podręcznika dogmatyki fundamentalnej, chyba dobrze wiedzieć, a jako profesor homiletyki dobrze rozumieć, iż nie chodzi o to w kazaniu, aby cytować, ale o to, by wzbudzić w słuchaczach rzeczywiście głębokie przekonanie. W jaki sposób mógł czcigodny recenzent z tych moich myśli wysnuć naukę o usuwaniu Pisma św. i Ojców Kościoła — nie wiem. Prawda, że w tym artykule nie mówiłem *ex professo* o potrzebie studyowania Pisma św., ale trudno, bym w artykule o dowodach mówił wszystko, cokolwiekby ks. referent chciał w nim znaleźć. Że zbytnią ilość cytatów Pisma św. i Ojców Kościoła ruguje się także z podręczników szkolnych, wiem o tem dobrze. Może szanowny recenzent przypomni sobie referaty ks. prałata Lenkiewicza i ks. Sieniatyckiego na pierwszym Kursie katechetycznym w r. 1907 i dyskusyę z powodu jego własnego referatu o Dogmatyce ks. Sieniatyckiego. Tam miał ks. recenzent sposobność przekonać się, jakie jest zdanie prawie wszystkich teoretyków i praktyków o wartości

»dowodów« a raczej cytatów z Ojców Kościoła nawet w szkole na wyższym stopniu nauki, a tem bardziej w kazaniu.

Nie podoba się dalej ks. recenzentowi, że wystąpiłem przeciwko wplataniu Pozdrowienia Anielskiego w tekst kazania, szczególniej przy końcu wstępu. Na dowód, że zwyczaj ten dobry, powołuje się ks. recenzent na to, że zwyczaj ten jest dawny i świadczy o pietyzmie kaznodziei dla tej prastarej modlitwy. Nie kwestyonowałem bynajmniej, że ten zwyczaj jest dawny, tylko twierdziłem, że jest niedobry. Przez długi czas był w Kościele zwyczaj cytowania n. p. autorów świeckich, cytowania po łacinie, poruszania ciekawych a niepotrzebnych kwestyi i t. d., a jednak zwyczaj ten — chociaż dawny — jako niepraktyczny i nierozumny ustał! Twierdziłem w mojej książce i nie cofam dziś tego twierdzenia, że kto umieszcza na końcu wstępu kazania modlitwę, ten zmusza się niejako do tworzenia wstępu nienaturalnego i naciąganego. Sam ks. recenzent przecież powiada, że formalna modlitwa nie powinna być na końcu wstępu, czemże więc byłoby tam *Ave Maria?* Właśnie pietyzm dla tej modlitwy skłonił mnie do postawienia zasady, że nie można zgodzić się na to, by tak święta i czcigodna modlitwa miała zejść na szablon, lub sztuczkę homiletyczną.

Wkońcu jeszcze jedna uwaga Czcigodny recenzent nie ograniczył się do oceny mej pracy — ale jeszcze wyraził obawę, że »srogie *calamitates* spadną na rzeczpospolitą«, jeżeli tak fałszywe czy oryginalne poglądy będą rozbrzmiewały z katedry Uniwersytetu lwowskiego. Otóż muszę *(salva reverentia)* oświadczyć, że do oceny mojej działalności nauczycielskiej nie mogę uznać czcigodnego ks. recenzenta jako kompetentnego sędziego, ani też łamów *Przeglądu Powszechnego* za odpowiednie *forum.*

Ks. dr. A. Gerstmann.

»Sprostowanie« powyższe zniewala podpisanego do kilku słów uzupełniających recenzyę.

Szanowny autor utrzymuje w niem, że w swej recenzyi »podsunąłem mu myśli i poglądy, których nigdy nie miał, nie żywi ich i w dziele swem nie głosi, że wysnuwam z książki jego konsekwencye, o których mu się ani śniło«.

Owoż zaznaczam, że w recenzyi tej (nr. 325, str. 109) zarzut główny (tak go określił autor) o dowodach z Pisma św. ogranicza się

do tego, iż szan. autor kładzie je dopiero po innych, przenosi na plan dalszy; przyczem wypowiedziałem obawę, aby takie usuwanie Pisma św. na plan ostatni nie stało się z czasem metodą w swoim rodzaju szkodliwą. Lecz tak właśnie postąpił szan. autor, bo całkiem wyraźnie uwydatnił to w swym artykule (str. 53); co więcej, dodał nawet od siebie zastrzeżenie: »Może wyda się to dziwnem, że nie stawiamy dowodów z Pisma św. na pierwszem miejscu« i t. d. Teraz zaś w odpowiedzi swej »nie wie«, w jaki sposób mogłem wysnuć stąd naukę (!) o usuwaniu Pisma św. Dla mnie było ono zawsze głównem źródłem dowodzenia prawd objawionych, a tem samem i przekonania słuchaczy, a nadmienię nawiasowo, że świeżo odbyty kurs homiletyczny w Wiedniu temu znaczeniu Pisma św. dla kaznodziejstwa poświęcił połowę wszystkich referatów.

W szczegóły z kursu katechetycznego we Lwowie z r. 1907 nie wchodzę, jako zbyt osobiste i lokalne, zresztą szan. autor wie przecież dobrze, że w nim udziału nie brałem. Natomiast oświadczam, że z racyi usuwania cytatów z podręczników szkolnych nie wynika wcale, aby te tem »bardziej« usuwać należało z kazań i podręczników homiletycznych. To są zupełnie różne sfery i odmienne też potrzeby.

Podobnie ma się rzecz z cytatami z Ojców Kościoła. Na podstawie słów szan. autora: »Sądzę nawet, że zwyczaj cytowania słów Ojców Kościoła jest zabytkiem dawnej mody zdobienia kazań cytatami z przeróżnych dzieł, jako dowodami erudycyi mowcy« (str. 55), wyraziłem zdziwienie, że profesor wymowy kościelnej mógł taki sąd wypowiedzieć. W sprawie tej mniej zależy na ilości takich cytatów dla dowodu dogmatycznie ścisłego (taki dowód zresztą potrzebny jest tylko w podręcznikach naukowych, a nie koniecznie w każdym z osobna utworze homiletycznym, gdzie przecież cytaty z Ojców Kościoła nie są jedynem źródłem dowodzenia), ale raczej o to chodzi, że szan. autor nad tak poważną skarbnicą homiletyki przeszedł tak lekkiem sercem do porządku dziennego. I jakże wobec tego faktu może teraz śmiało twierdzić, że »podsunąłem mu myśli i poglądy, których w dziele swem nie głosi«.

Spór szan. autora ze mną o *Ave Maria* przy końcu wstępu szwankuje również. Wszak to oczywista, że wstęp kazania nie ucierpi ani odrobiny w całokształcie swoim włącznie aż do założenia tezy, jeśli kaznodzieja doda następnie tradycyjną inwokacyę i zrobi małą przerwę w toku kazania. Dla szan. autora jest to drobnostka a nawet

zwyczaj »niechwalebny — nieodpowiedni — niedobry« i to bez należytego uzasadnienia tak dosadnych epitetów; dla mnie pozostanie on nie tylko starodawną tradycyą zdobny, ale nadto wyrazem rodzimego pietyzmu, którego bez dostatecznego powodu z kazań zwyczajnych rugować się nie powinno. Nawet powaga Jungmana, na którego się autor powołuje — mimo rzekomego jego wpływu na teoryę homiletyki — nie olśniewa mnie w tym szczególe, jak zresztą i w innych. Wszak tenże sam autor na 1200 stronic swej teoryi ledwie 6 poświęcił znaczeniu Ojców Kościoła w homiletyce. Podkreślam jednak, że ks. dr. Gerstmann w niektórych tylko szczegółach jest jego bezwzględnym zwolennikiem, w innych natomiast stara się być przeważnie oryginalnym i wygłaszać zapatrywania indywidualne.

Drobna nawet na pozór kwestya o dorabianiu wstępu sięga przecie w ustalone od wieków prawidła retoryki, nad których skrystalizowaniem pracowali tak poważni i doświadczeni pisarze, że nam dziś nie godzi się ich dorobku wiekowego burzyć jednym rozmachem pióra.

Wreszcie uspokoić muszę szan. autora, że bynajmniej nie mam ochoty przywłaszczać sobie praw sędziego o jego działalności profesorskiej. Oceniając rozprawki w jego »Miscellaneach« wedle przyjętych reguł retoryki kościelnej, spełniłem tylko zakres obowiązków recenzenta i nic nad to więcej. Jeżeliby zatem ustęp jakiś wydawał mu się przekroczeniem tych granic, to niechże tego krzywo sobie nie tłumaczy, ale tak, jak jest powszechnie przyjęte, że przy ocenie prac naukowych profesorów uniwersytetu wnioskować się z nich zwykło o samejże ich działalności publicznej i zasługach dla nauki, gdyż przeważnie takie prace uwydatniają je i znaczenie ich podnoszą, a tylko ich brak lub niedokładność zdoła je obniżyć.

Ks. dr. Jougan.

Druk ukończono 15 marca 1911.

Nadesłano do Redakcyi następujące książki:

Pisklęta. Nowele. Rogoszówna Zofia. Kraków 1910. Str. 138.

Psalterium Davidis cum brevi paraphrasi. Card. Bellarmin. Taurini 1910. Apud Marietti. Pag. 734.

Memoriale vitae sacerdotalis. Arvisenet Claudius. Pag. 548 in 16. Taurini 1910 apud Marietti.

Les origines de l'emigration polonais en France 1831—1832. Sokolnicki M. Str. 239. Paris 1910. Librairie Alcan Felix.

Ideały mistyczne (misterya). Ks. Nawarra Franciszek. Kraków 1909. Str 201.

Gody życia Dramat. Przybyszewski Stanisław. Nakładem »Kasy przezorności«. Warszawa 1910. Str. 172.

Lucyan. Dramat współczesnych i przyszłych pokoleń. 5 aktów z prologiem. Minkiewicz Romuald. Warszawa 1911. Wende i Sp. Str. 127.

Nad morzem mojem. Księga tęsknoty. Minkiewicz R. Warszawa 1910. Wende i Sp. Str. 160.

Wiedza i wiara. Zarys dziejów i zasad ich stosunku. Ks. dr. Barda Fr. Nr. 25 »Głosów na czasie«. Poznań 1910. Str. 124 in 12-o.

Jaką ma być sprawiedliwa płaca robotnika. Ks. Reiter W. Poznań 1911. Str. 101 in 12-o.

Moja pani. Stud. z natury. Tektander. Poznań 1911, Str. 170 in 12-o.

Wykłady dla towarzystw młodzieży. Ks. Cieplucha Z. Poznań 1911. Str. 80 in 8-o.

Kilka uwag o wychowaniu. Gwoździcki Fr. Warszawa 1910. Str. 42 in 8-o.

Lew Tołstoj. Adam Szymański. Kraków 1911. Nakładem autora. Str. 11.

O kościół w Opolu. Wyd. staraniem Bronisława Szlubowskiego. Warszawa 1910. Str. 184.

Uczeni i uczniowie. Nusbaum-Hilarowicz Józef. Lwów 1910. Nakł. księgarni Altenberga. Str. 123.

Moje wakacye na wsi Brzeziński Mieczysław. Warszawa 1911. Nakład Gebethera i Wolffa. Str. 199.

Dzienniczek Hanusi Tynieckiej. Powieść dla dorastającej młodzieży. Raczyńska Marya. Wydanie drugie. Lwów 1911. Str. 156 in 12-o. Altenberg.

Listy prababki 1832—1836. Nowele. Raczyńska M. Wyd. 2-gie. Lwów 1911. Str. 156 in 12-o.

Zarys nowego programu. Jeleński Szczepan. Odbitka z »Roli«. Warszawa 1910. Str. 30 in 16-o.

Psychologia obecnego sejmu galicyjskiego. Polonus. Odbitka z »Głosu Narodu«. 1910. Str. 77 in 12-o.

Katalog wydawnictw Księgarni św. Wojciecha służących do pracy społecznej. Poznań 1910. Str. 48.

Sprawozdanie Związku spółek zarobk. i gosp. na Poznańskie i Prusy Zach. za r. 1909. Ks. Patr. Wawrzyniak. Pozn. 1910. Str. 54 in 4-o.

Nadesłano do Redakcyi następujące książki:

Warsztaty familijne, praca kobiet i dzieci. Hr. Mieroszowski Krzysztof. Cieszyn 1909. Str. 98.

O stronie technicznej uruchomienia bibliotek T. C. L. w nowym systemie. Dr. Michalski Stefan. Nakł. T. C. L. Poznań 1910. Str. 52.

Szopen a naród. Przybyszewski St. Kraków 1910. Str. 53.

Catalogus codicum manuscriptorum Musei principum Czartoryski. Dr. Kutrzeba St. Tomus II. Cracoviae 1910. Pag. 97—192.

Kronika krakowska 1796—1848. Część III. Dr. Bąkowski Kl. Nakł. Tow. miłośników Krakowa. Kraków 1910. Str. 244.

Palenie zwłok ludzkich. Rozbiór broszurki p. t. »Kremacy« Szukiewicza W. Napisał ks. N. M. Włocławek 1910. Str. 31 in 12-o.

Gawędy duszy. Teslar Andrzej. Lwów 1909. Str. 53 in 12-o.

Historia philosophiae. Dr. Kachnik Josephus. Editio 2-a. Olomucii 1909. Pag. 132.

W miłości i boju. Nowele. Daniłowski Gustaw. Nakład. »Książki«. Kraków 1910. Str. 195.

Narcyza. Powieść. Rygier-Nałkowska. Wyd. 2-gie. Nakł. »Książki«. Kraków. Str. 350.

Regulamin musztry Związku strzeleckiego. Kraków 1911. Str. 85.

Królestwo Polskie jako teren strategiczny. Studyum wojsk.-geograficzne. Warszawa 1911.

Dziewica Orleańska. Błog. Joanna d'Arc. Ks. dr. J. Górka. Tarnów 1911. Str. 470.

Dzieje literatury polskiej. Grądzielski K. Nakładem »Książki«. Kraków. Str 392.

Etnograficzno-statystyczny zarys liczebności i rozsiedlenia ludności polskiej. Czyński Ed.—Tillinger F. Wyd. 2-e. Warszawa 1909. Laskauer. Str. 115.

Kazanie ekspiacyjne. Ks. Tuszowski J. Kraków 1910. Str. 20.

Najsw. Marya P. Matka Boża. Wykład tajemnic, życia, zasługi i chwały Niepokal. Pocz N. M. P. Ks. Pruszkowski J. Część III. Warszawa. Laskauer. Str. 404.

Notes sur la médicine et la botanique des anciens Mexicains. Gerste A. S. J. Wyd. 2-gie. Rome 1910. Str. 191.

Sprawozdanie Dyrekcyi Muzeum Narodowego w Krakowie za r. 1909. Kraków 1910. Str. 54.

Stan dzisiejszy organizacyi socyalistycznych reprezentowanych na VIII zjeździe w Kopenhadze. Warszawa 1911. Str. 100.

Album królów polskich według pendzla Jana Matejki, z przedmową I. Kwiatkowskiego. Nakład Miarki w Mikołowie 1910, in 4-o.

Wolne duchy. Dramat karnawałowy w 3 aktach. Kozicki Wład. Lwów 1911. Nakład Tow. Wyd. Str. 155 in 12-o.

Studya historyczne. Handelsman Marceli. Warszawa 1911. Wende i Spółka. Str. 309.

SPIS RZECZY.

Artykuły naukowe i literackie.

Strona

Dom polski. Przez *Henryka Sienkiewicza* . . . . . 1*—4*
Na przyszły wiec katolicki. Położenie religijne wielkich miast. Przez *ks. A. Starkera T. J.* . 1
Ks. Patron Wawrzyniak. Przez *ks. d-ra Kazimierza Zimmermanna* 15 199 337
Donkiszoterya masońska wśród młodzieży krakowskiej. Przez *ks. Jana Pawelskiego T. J.* 30
Nowy plan unii Kościołów. Z powodu artykułu księcia Maksymiliana Saskiego. Przez *ks. J. Urbana T. J.* 42 183
Wobec walki przeciw fakultetom teologicznym: Czy teologia jest umiejętnością? Przez *ks. M. Sieniatyckiego* 55
Estetyka T. Lipps'a. Przez *ks. L. Rudnickiego T. J.* 71 216 350
Dzieje filomatów w zarysie. Przez *Stanisławę Pietraszkiewiczównę* 85 371
Po anarchii uniwersyteckiej. Przez *ks. J. Pawelskiego T. J.* . . . . . 1—16
Zanik wpływu rasy łacińskiej. Przez *prof. d ra Włodzimierza Czerkawskiego* 157
Między Jaures'em a Marc Sangnier'em. Przez *E. S. Naganowskiego* 171
Monolog. Przez *Cypryana Norwida* 181
»Civitas Dei« w epoce Karola Wielkiego. Teorye kościelno-państwowe pisarzy wczesnego średniowiecza i społeczne formacye kościelne. (C. d.) Przez *ks. Leonarda Lipkego T. J.* 231
Modlitewnik. Przez *Cypryana Norwida* . . . . . .
Dwa światy »Krytyki« i dwa inne światy. Przez *ks. J. Pawelskiego T. J.* . . . . . 1*—14*
Byzantynistyka i Krumbacher. Przez *ks. Karola Ranoszka T. J.* 301
Społeczna działalność kółek abstynenckich wśród młodzieży. Przez *ks. M. Kuznowicza T. J.* . . 312
Urywek z aktu drugiego. Przez *Lucyana Rydla* . 331

Przegląd piśmiennictwa.

Z piśmiennictwa polskiego.

Str.

HISTORYA LITERATURY RZYMSKIEJ ZA RZECZYPOSPOLITEJ. Kazimierz Morawski. *(Adam Miodoński)* 99
MISCELLANEA PASTORALNE. Ks. dr. Adam Gerstmann. *(Ks. dr. Jougan)* 106
ITALIA MERCATORIA APUD POLONOS SAECULO XV INEUNTE. Iohannes Ptaśnik. *(Ks. J. Sygański T. J.)* 110
ŚWIĘTY STANISŁAW W ŚWIETLE GALLA-KADŁUBKA I WOJCIECHOWSKIEGO. Ks. Antoni Siuda. *(Dr. A. Miodoński)* 250
ŚLĄSK CIESZYŃSKI. Mieczysław Jarosz. *(Nie-Ślązak)* 254
Z LITERATURY HOMILETYCZNEJ. *(Ks Jarosław Rejowicz T. J)* . . 385
HETMANI. Powieść. J. Weyssenhoff. *(Marya Ruszczyńska)* 392

Z piśmiennictw obcych.

LA THÉOLOGIE DE TERTULLIEN. X. Adhémar D'Alès. *(A. Miodoński)* . 112
Slovanský Svět. Zeměpisný a statistický obraz současného Slovanstva, nápsal prof. Lubor Niederle *(Dr. St. Zdziarski)* 116
DE HYMNI ACATHISTI AUCTORE. P. F. Krypiakiewicz. *(Ks. K. Czaykowski T. J.)* 122
JAN JAKÓB ROUSSEAU. Juliusz Lemaitre. Przekład St. Turowskiego. *(Antoni Mazanowski)*. 261
INITIATIVES FÉMININES par Max Turmann, Docteur ès sciences politiques et économiques, Professeur au Collège libre des sciences sociales. *(X. X.)* 264
THEOLOGIA BIBLICA sive scientia historiae et religionis utriusque Testamenti catholica. Scripsit in usum scholarum P. Michael Hetzenauer O. C. T. I: Vetus Testamentum. *(Ks. Ernest Matzel T. J.)* 398
GESCHICHTE DER PÄPSTE. Von Ludwig von Pastor. Tom V: Geschichte Papst Pauls III. *(Ks. A. Starker T. J.)* 400

Zapiski bibliograficzne.

PISMA POŚMIERTNE I LISTY JULIUSZA SŁOWACKIEGO. Zebrał ks. K. J. Kantak. *(J. U.)* 123
GŁOSY NA CZASIE. Nr. 9—15. *(E. M.)* 124
KRONIKA BERNARDYNÓW BYDGOSKICH. Ks. K. Kantak. *(Ks. J. K.)* . 124
SYNTEZA REWOLUCYI W PAŃSTWIE ROSYJSKIEM. Ignotus. *(St. B.)* . . 125
GESCHICHTE DER MUSIK. Von A. W. Ambross. Vierter Band. Dritte verbesserte Auflage durchges. und erweitert von Hugo Leichtentritt. *(Dr. A. Ch.)* 125
SAMMLUNG KIRCHENMUSIK. I Bändchen: Karl Proske der Restaurator der klassischen Kirchenmusik. Von Dr. K. Wainmann. II Bändchen: Elemente des gregorianischen Gesanges. Von Dr. Peter Wagner. *(Dr. A. Ch.)* 126
MANKIETNICY MANKIETNICTWO. Ks. K. J. Kantak. *(Ks. J. K.)* . . . 266
DLA PRZYSZŁOŚCI. Czytania dla młodzieży i dorosłych. Sempołowska i Unszlicht-Berszteinowa. *(J. R.)* 267
O WYCHOWANIU. Odczyty wygłoszone w roku 1908 w »Stowarzyszeniu Matek Chrześcijańskich w Krakowie. *(J. R)* 268
SZKICE SKANDYNAWSKIE. Alfred Wysocki. *(a. st.)* 404
STANISŁAW TARNOWSKI. Ferd. Hoesick. 2 tomy. *(K. C.)* 405

Str.

Paweł Stalmach, jego życie i działalność w świetle prawdy. E. Grim. *(J. U.)* 405
Z życia domowego szlachty sandeckiej w epoce dynastyi Wazów. Ks Jan Sygański T. J. *(K. K.)* 405
Znaczenie stanu robotniczego dla społeczeństwa i Kościoła. Ks. dr. K. Zimmermann. *(St. B.)* 406
Materyały do odczytów w towarzystwach robotników. Napisał ks. lic. A. Jaskulski. *(E. M.)* 406
Roczniki Towarzystwa Naukowego w Toruniu. Rocznik szesnasty *(b.)* 406
Żydzi oświeceni. Teodor Jeske Choiński. *(st.)* 407
Jak przemawiać na zebraniach i zgromadzeniach. Ks. St. Sadowski. *(W. B.)* 407
Nauka zręczności w dzisiejszem wychowaniu. Glasgall H. *(E. W.)* 407
Nowe horyzonty. Przez d-ra med. S. Breyera. *(S. K.)* 408
Drei Grundlehren des geistlichen Lebens. Ks Maurycy Meschler T. J. *(S. J.)* 408
Das Leben unseres Herrn Jesu Christi des Sohnes Gottes in Betrachtungen. Von P. M. Meschler S. J. 7 Aufl. *(L. R.)* . . 409
Die Gabe des hl. Pfingstfestes Betrachtungen über den hl. Geist. Von M Meschler S. J. *(M. H.)* 409

Sprawozdanie z ruchu

religijnego, naukowego i społecznego.

STYCZEŃ.

Sprawy Kościoła: Rok 1910 i widoki na przyszłość. Przez *ks. A. Starkera T. J.* 127
Nasze biblioteki i muzea w r. 1909. Przez *d-ra Stanisława Zdziarskiego* 134
Wśród młodocianych katolickich rękodzielników i robotników za granicą. (Dok.) Przez *ks. M. Kuznowicza T. J.* 148
Przed pierwszą wystawą polskiej współczesnej sztuki kościelnej. 154

LUTY.

Sprawy Kościoła. Katolicyzm a rząd rosyjski. Wolność sumienia. — Zewnętrzny kult. — Zakony i bractwa — Karność kościelna. — Placetum regium. Przez *X. T. J.* 269
Notatki astronomiczne. Przez *ks. Józefa Sawickiego T. J.* 279
Christliche Kunst. Przez *Maryana Strzembosza* 289
Z kultury Krakowa. Wystawy sklepowe. — Restauracya starych domów. Przez *d-ra Franciszka Kleina* 293

MARZEC.

Sprawy Kościoła: Centralna organizacya katolików w Austryi. — Kościół w krajach romańskich. — Nowy organ ruskich księży.— Rozłam w obozie Maryawitów. — Dom katolicki we Lwowie.— 10-lecie arcybiskupstwa. Przez *ks. A. Starkera T. J.* 410

Str.

Z KULTURY KRAKOWA: »Sala hetmańska«. — Nowe budynki. Przez *Fr. Kleina* 419

NOWE MUZEUM ETNOGRAFICZNE NA ZIEMIACH POLSKICH. Przez *d-ra Ludomira Sawickiego* 426

POLEMIKA. Przez *ks. d-ra A. Gerstmanna* i *ks. d-ra Jougana* . . . 432

Wydawca i redaktor odpowiedzialny: KS. JAN PAWELSKI T. J.